



*Upartego
serca
nie da się
oszukać*

Dorota Gąsiorowska

**Opowieść
błękitnego jeziora**

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Dorota
Gąsiorowska

Opowieść
błękitnego jeziora



znak *litera*
nova

Kraków 2023

Copyright © by Dorota Gašiorowska

Projekt okładki

Anna M. Damasiewicz

Fotografia na okładce

© Nicole Matthews / Arcangel

Elementy graficzne

© Suesse / AdobeStock

© Kate Macate / AdobeStock

Redaktorka inicjująca

Agata Pieniążek

Redaktorka prowadząca

Aleksandra Grząba

Redakcja

Dorota Pacyńska

Adiustacja

Agata Wawrzaszek i Anna Skowrońska / CAŁA JASKRAWOŚĆ

Korekta

Sylwia Kordylas-Niedziółka i Anna Skowrońska / CAŁA JASKRAWOŚĆ

Opieka produkcyjna

Maria Gromek

Opieka promocyjna

Martyna Całusińska

ISBN 978-83-8367-007-2

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2023

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Bukowa Góra dzisiaj

Opowieść Gabriela

Bukowa Góra dzisiaj

Opowieść Rozalii

Bukowa Góra dzisiaj

Opowieść Gabriela

Bukowa Góra dzisiaj

Opowieść Rozalii

Bukowa Góra dzisiaj

Opowieść Gabriela

Bukowa Góra dzisiaj

Opowieść Rozalii

Bydgoszcz dzisiaj

Bukowa Góra rok później

Karta reklamowa

Rekomendacje

Bukowa Góra dzisiaj



U słyszawszy gdzieś za ścianą bicie kurantowego zegara, otworzyłam oczy, ale przez dłuższą chwilę nie miałam ochoty wyjść z łóżka. Z przyjemnym rozleniwieniem rozejrzałam się po niewielkim pokoju, zatrzymując wzrok na kilku stylowych meblach. Podobało mi się tutaj, lubiłam takie subtelne połączenie wiekowych przedmiotów z nowoczesną aranżacją. Wstałam, przeciągnęłam się i wyjrzałam przez okno na cichą uliczkę ze starymi kamienicami. To miejsce emanowało spokojem, przy chodniku zauważyłam tylko cztery zaparkowane samochody. Poprzedniego dnia dotarłam na miejsce dopiero po dwudziestej pierwszej i choć miasteczko w świetle ulicznych lamp wyglądało urzekająco, to jednak w mroku ukryła się większość szczegółów.

Zanim zdecydowałam się przyjechać do Bukowej Góry, sporo o niej czytałam. Można by pomyśleć, że w takiej małej miejscinie trudno znaleźć coś ciekawego. Nic bardziej mylnego, zachowało się tu bowiem kilka średniowiecznych zabytków, ale podobno tym, co najbardziej urzekało, była sama aura miejscowości. Tyle że o tym dopiero musiałam się przekonać. Na razie postanowiłam połączyć przyjemne z pożytecznym i dwutygodniowy urlop wykorzystać też na pracę. Miałam nadzieję, że w tym czasie uda mi się dowiedzieć czegoś więcej o tajemniczej historii z przeszłości związanej z pewną lokalną wytwórnią czekolady o wdzięcznej

nazwie Złote Serce. Zresztą to sama właścicielka zaproponowała mi spotkanie, gdy któregoś dnia tam zadzwoniłam. Telefon odebrała akurat Rozalia i naprawdę miło nam się rozmawiało.

Łódź, gdzie mieszkam, i Bukową Górę leżącą około pół godziny jazdy od Krakowa dzieli spory dystans, dlatego najpierw planowałam wpaść tu na weekend. Kiedy zaczęłam szukać noclegów, zwróciłam uwagę na interesującą ofertę wynajmu kawalerki w jednej z kamienic, a wtedy w głowie zaświtał mi pomysł, by zostać w tym uroczym miejscu na dłużej. Zwłaszcza że wciąż miałam niewykorzystany urlop, a w redakcji w tym czasie nie działo się nic ciekawego. Każdy myślał już o świątach, dziewczyny planowały, co w tym roku ugotują, jakie kupią prezenty i kto zasiądzie przy wigilijnym stole, a ja słuchałam tych relacji ze ściśniętym żołądkiem. Nie znosiłam przedświątecznego okresu właśnie za to podekscytowanie, zbyt nachalną radość i wszechobecny harmider, stwierdziłam więc, że wyjazd stanowi świetną okazję, żeby nie brać w tym udziału. Nie żebym zupełnie nie lubiła świąt, wydaje mi się, że po prostu z nich wyrosłam.

Wszystko zaczęło się po śmierci mamy. Miałam wówczas trzynaście lat i trudno było mi zrozumieć, dlaczego podstępna choroba tak nagle mi ją zabrała. To chyba wtedy zaczęłam wątpić w magię Bożego Narodzenia i dobro, którego podobno każdy może w tym czasie doświadczyć. Ja go nie poczułam, a gdy tata pewnego dnia przyprowadził do domu nową kobietę, zrobiło się jeszcze gorzej. Pech chciał, że Marta mnie nie zaakceptowała i niejednokrotnie starała się uprzykrzać mi życie. Niestety zagubiony po śmierci mamy tata patrzył w nową wybrankę jak w obraz i od początku pozostał głuchy na moje skargi. Doszło do tego, że miesiąc przed moimi osiemnastymi urodzinami, ku uldze Marty, wyprowadziłam się z domu i odtąd radziłam sobie sama. Nie było łatwo, ale myślę, że te pierwsze

„chude” lata mnie zahartowały i teraz, w przeciwieństwie do niektórych moich rówieśników, ja przynajmniej potrafiłam wziąć się z życiem za bary.

Trzydziestka, niby jeszcze młodość, ale już o krok od dojrzałości, i coraz częściej człowieka nachodziły różne przemyślenia. Zewnętrznie podobno niewiele się zmieniłam. Od lat nosiłam tę samą fryzurę: ciemne, zawsze przycięte do ramion włosy. Raczej nie eksperymentowałam z wyglądem, w makijażu nie czułam się sobą, więc zwykle stawiałam na naturalność. Używałam jedynie tuszu do rzęs, bo to sprawiało, że moje zielone oczy wydawały się wyrazistsze. Nie miałam kompleksów, ale nie przywiązywałam też zbytnej wagi do fizyczności. Akceptowałam siebie taką, jaka jestem.

W każdym razie teraz cieszył mnie ten pobyt w nowym miejscu. Liczyłam, że wreszcie uda mi się naprawdę odpocząć i oderwać od codziennej rzeczywistości. Ubrałam się i zjadłam kanapki z podróży, żeby się nie zmarnowały, a potem włożyłam buty i płaszcz, po czym wyszłam z domu. Gdy znalazłam się na chodniku, zaczął padać śnieg. Wczoraj całą drogę uprzykrzał mi deszcz, dlatego podróż nieco się przeciągnęła. Liczyłam, że do Złotego Serca dotrę jeszcze przed zamknięciem lokalu, ale ostatecznie ze względu na późną porę tylko przywitałam się z właścicielami i udałam się do mieszkania.

Kawiarnia Rozalii i Gabriela Witkowskich mieściła się przecnicę od miejsca, gdzie się zatrzymałam, dlatego nie wzięłam czapki ani szalika i teraz było mi chłodno. Szybko przemknęłam wzdłuż jednokierunkowej uliczki i kilka minut później stałam już przed lśniąca witryną, pośrodku której na gustownym stoliczku nakrytym koronkową serwetą piętrzyły się stosy pralinek. Gdy lekko uniosłam głowę, przywitał mnie umieszczony między wystawą a drzwiami mosiężny szyld z nazwą Złote Serce.

„A więc dotarłam”, pomyślałam i nie wiedzieć czy za sprawą łakoci w kolorowych opakowaniach, czy zimowej aury, ogarnęło mnie jakieś dziecięce podekscytowanie.

– Dzień dobry – przywitałam się, gdy weszłam do środka.

– Witaj, Soniu.

Stojąca za kontuarem Rozalia wyszła mi naprzeciw. Zanim mnie objęła, zdążyłam zauważyć, jak ciekawie jest ubrana. Starsza pani miała na sobie biały haftowany fartuszek przypominający sukienkę, a spod niego wystawały kolorowe rękawy bawełnianej bluzki i wzorzysta spódnica. Na pierwszy rzut oka siedemdziesięcioletnia Rozalia skojarzyła mi się z postacią z muzeum regionalnego. A co najważniejsze, idealnie pasowała do tego wnętrza.

– Jak ci minęła noc w nowym miejscu? – spytała.

– Wspaniale, spałam jak niemowlę – przyznałam szczerze, z coraz większą ciekawością rozglądając się po pomieszczeniu.

– Cieszę się – rzekła Rozalia.

– Cudowne miejsce – powiedziałam z zachwytem, wodząc wzrokiem po witrynach wypełnionych pralinkami w rozmaitych kształtach zawiniętymi w różnokolorowe połyskujące papierki. Większe i mniejsze tabliczki czekolady, pękate serca i uśmiechnięte anioły. Wyglądało to tak urzekająco, że aż chciałoby się wszystkiego naraz dotknąć i spróbować. – A jak pachnie, mniam...

– Zaraz będziesz miała okazję jeszcze się przekonać, jak smakuje – rzekła wesoło Rozalia. – Usiądziesz przy kontuarze czy przy stoliku?

Rozejrzałam się po sali wypełnionej kilkunastoma stolikami, z których większość, jak to z rana, była pusta.

– A pani dołączy do mnie? – spytałam, zauważywszy przytulne miejsce pod ścianą.

– Przepraszam, Soniu, ale dopóki nie wróci Gabriel, muszę stać na posterunku – zażartowała Rozalia.

– W takim razie usiądę przy kontuarze, żebyśmy mogły choć chwilę porozmawiać – zdecydowałam.

– Moja droga, masz jakieś szczególne życzenia czy pozwolisz, że to ja zaproponuję ci którąś z naszych czekolad na gorąco? – spytała właścicielka z tajemniczą miną.

– Pani Rozalio, zdam się na panią – odparłam z uśmiechem, ciesząc się w duchu na taką niespodziankę. We wnętrzu tak nieziemsko pachniało, że odkąd przekroczyłam próg, czułam narastającą pokusę, by jak najszybciej spróbować tutejszych słodkości.

Starsza pani zakrzętała się przy ekspresie i po chwili podała mi napój w wysokiej szklance.

– Mhmm, jakie pyszne – wymruczałam po pierwszym łyku. – Nie wiem, czy dobrze wyczuwam... Migdały, anyż, coś prażonego...?

– Tak – potwierdziła Rozalia, kładąc przede mną menu, po czym wskazała na numer osiem.

– Orzechowe Oczarowanie – przeczytałam na głos. – Wszystko jasne.

Ruch był niewielki, więc mogłyśmy z Rozalią chwilę pogawędzić. Jednak obsługującej pojawiających się klientów starszej pani trudno było zebrać myśli i nasza rozmowa wyglądała nieco chaotycznie. Na pewno nie zyskałam większej wiedzy o Złotym Sercu ponad to, co już wiedziałam. Rozalia opowiedziała mi, że cały asortyment powstaje w pracowni na zapleczu. Miałam wielką ochotę przyjrzeć się wszystkiemu z bliska, ale ponieważ ruch w lokalu narastał, nie śmiałam o to prosić. Zauważyłam, że Rozalia coraz częściej spogląda na drzwi, najpewniej wyczekując swojego męża. Rzeczywiście, kiedy do kawiarni wszedł wysoki, szczupły pan z bujną siwą czupryną i ciemnymi oczami, z którym wczorajszego wieczoru

miałam przyjemność zamienić kilka słów, odniosłam wrażenie, że Rozalia poczuła ulgę.

– Wreszcie jesteś, Gabrielu. Myślałam, że wrócisz wcześniej – rzekła do męża, ale bez wyrzutu.

– Jestem, jestem... – Gabriel się uśmiechnął, podchodząc do kontuaru.
– Dzień dobry, Soniu, miło panią widzieć – zwrócił się do mnie.

– Dzień dobry. Proszę mi mówić po imieniu – przypomniałam Gabrielowi, bo już wczoraj to zaproponowałam, ale być może uszło to jego uwadze.

– Oczywiście, Soniu. Jak ci się podoba nasze miasteczko? – zagadnął.

– Niestety jeszcze nie miałam okazji mu się przyjrzeć, ale zaraz zamierzam to nadrobić – oznajmiłam.

– Całkiem ładna dziś pogoda, więc spacer powinien być przyjemny – zauważył Gabriel, patrząc na wystawowe okno, za którym prószył drobny śnieg. – Cieszę się, że zdecydowałaś się zostać dłużej w Bukowej Górze, będziemy mogli spokojnie pogawędzić. Do południa i później, tak do szesnastej, zwłaszcza o tej porze roku, mamy tutaj spory ruch, ale wieczory są długie i można je miło spędzić na rozmowie. – Gabriel spojrzał wymownie na Rozalię, najpewniej chcąc z nią ustalić, kiedy będą mieli dla mnie czas.

– Soniu, może przysłabyś do nas dzisiaj na kolację – zaproponowała Rozalia.

– Z wielką przyjemnością – odrzekłam z uśmiechem.

Gdy ustaliliśmy godzinę, Gabriel, podpowiedział mi, gdzie w miasteczku można najlepiej zjeść i gdzie pójść, by zobaczyć najciekawsze miejsca. Wyjaśnił mi także, że pół godziny drogi piechotą od Bukowej Góry znajduje się jezioro Marana, z którym związana jest legenda Złotego Serca. Ostatni odcinek tej trasy stanowiły polne drogi i przy

śnieżnej zimie nie można było się tam dostać. Ale teraz podobno ścieżki wciąż były dobrze widoczne.

Pożegnawszy się z Witkowskimi, zapalałam chęcią, by zaraz po zwiedzeniu centrum miasteczka zobaczyć jezioro.

Bukowa Góra miała niepowtarzalny klimat. Rynek otoczony kolorowymi kamienicami przywodził na myśl uroczą pocztówkę. Pośrodku małego placu znajdowała się otoczona ławkami kamienna fontanna, latem zapewne kusząca szmerem wody. Do miasteczka wchodziło się przez średniowieczną bramę, połączoną z fragmentem muru obronnego z idealnie zachowaną, górującą nad otoczeniem basztą. Spacerując wąskimi uliczkami, napawałam się niedzisiejszą atmosferą tego miejsca, które mogłoby z powodzeniem stać się scenografią filmu historycznego.

Choć pogoda dopisała i od rana świeciło lekko zamglone słońce, godzinny spacer sprawił, że trochę zmarzłam. Mimo wszystko nie straciłam zapału, by wybrać się jeszcze w okolice jeziora. Wróciłam na chwilę do mieszkania po czapkę, szalik i rękawiczki, a potem, opatulona, ruszyłam na dalszy rekonesans. Szybko wydostałam się z centrum i kierując się wskazówkami Gabriela, znalazłam się na peryferiach. Już po kilku minutach wędrówki i tak rzadkie zabudowania zastąpiły pokryte cienką warstwą śniegu łąki.

Cudownie było tak iść przed siebie, nie myśląc o czekających mnie obowiązkach, złym humorze szefowej i braku celu w życiu. Ostatnio coraz częściej nachodziły mnie różnego rodzaju rozterki, jak wątpliwość, czy zmierzam we właściwym kierunku. Wydawało mi się kiedyś, że praca dziennikarki jest moim marzeniem. Gdy dostałam się na studia dziennikarskie, myślałam, że oszaleję ze szczęścia, a potem musiałam włożyć wiele wysiłku w to, by się utrzymać i pogodzić studia z pracą. Niestety nie miałam oparcia w rodzinie. Wyprowadzając się z domu,

świadomie podjęłam decyzję, że o swój wikt i opierunek będę dalej starać się sama, ale wtedy chyba nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, jak będzie ciężko. Przez pierwsze dwa lata po magisterce pracowałam w lokalnej stacji radiowej jako „ta od parzenia kawy”, ale to zajęcie mnie nie satysfakcjonowało, a bywało też, że okropnie drażniło. Wkrótce zresztą pozbyto się mnie, żeby moje miejsce mógł zająć jakiś znajomy szefa. Nie rozpaczałam długo, tym bardziej że i tak rozglądałam się za inną pracą. Po miesiącu trafiłam do redakcji „Niezwykłości”, niezbyt poczytnej, ale utrzymującej się na rynku od kilkunastu lat gazety, gdzie pisało się o wszystkim i o niczym, a większość artykułów była wyssana z palca. Szybko sobie to uświadomiłam i o ile przez kilka pierwszych miesięcy biegałam do pracy jak na skrzydłach, to z czasem zapał zaczął słabnąć. Teraz, gdy wreszcie udało mi się wyrwać z kieratu, będąc ponad trzysta kilometrów od domu, uświadamiałam to sobie jeszcze wyraźniej niż do tej pory.

Przewijające się w mojej głowie myśli nie przeszkadzały w delektowaniu się spacerem. W pewnym momencie z prawej strony, tak jak mówił Gabriel, dojrzałam kilka dużych kamieni, a parę metrów dalej drewnianą kapliczkę z niewielkim daszkiem, pod którym kryła się płaskorzeźba Madonny. Kawalek za nią skręciłam w węższą drogę. Okolica sprawiała wrażenie słabo zamieszkanego, minęłam tylko jeden dom. Wyglądał na zadbane i odnowiony. Nawet zatrzymałam się na moment przy ogrodzeniu, myśląc o tym, jak cudownie byłoby żyć w takim miejscu. Człowiek się budzi, wychodzi na werandę, a tu jak okiem sięgnąć piękny pejzaż. No i ten sad ze starymi drzewami... Aż chciałoby się skosztować latem takich zdrowych owoców.

Gdy już zamierzałam ruszyć dalej, zza płotu leniwie wyłonił się rudy kot. Kucnęłam i zachęciłam go, żeby do mnie podszedł, ale choć sprawiał

wrażenie przyjacielskiego, nie odważył się zbliżyć. Widok zwierzęcia upewnił mnie, że ktoś tutaj mieszka, i stwierdziłam, że nie wypada tak obcesowo zaglądać na posesję.

Dalsza droga biegła raz w górę, to znów w dół lekkiego wzniesienia. Wokół rozciągały się połacie łąk. Spod cienkiej warstwy śniegu wychylały się uschnięte szypułki wrzosów. Wyobraziłam sobie, jak pięknie musiało być tutaj jesienią, kiedy kwitły. Z oddali zauważyłam coś błękitnego i zaintrygowana przyspieszyłam kroku. Okazało się, że to kolejna stara maryjna kapliczka, która wyglądała tak, jakby zaraz miał unicestwić ją czas, jednak odniosłam wrażenie, że ktoś wciąż o nią dba. Przy smukłej figurce Marii stał fajansowy wazon ze sztucznymi kwiatami. Obok palił się szklany lampion. To małe sanktuarium miało w sobie coś zadziwiająco uroczego. Stałam wpatrzona w migotliwy płomyk dotąd, aż zmarzłam. Wiedziałam, że jeśli tylko śnieg nie zasypie polnych dróg, na pewno tutaj wrócę. Ostatecznie dotarłam też do jeziora, ale było mi już tak zimno, że tylko spojrzałam w stronę pomostu, przy którym kołysała się mała łódka, powiodłam wzrokiem po ściętym mrozem brzegu z oprószonymi śniegiem szuwarami i zaraz ruszyłam w drogę powrotną.



Nie mogłam się doczekać kolacji u Witkowskich. Po dzisiejszym spacerze jeszcze bardziej ciekawiła mnie historia związana z powstaniem ich kawiarni. Chciałam ją jak najszybciej poznać i zacząć o tym pisać. Wyjęłam nawet laptop i otworzyłam nowy plik, gdzie zamierzałam notować pozyskane od Rozalii i jej męża informacje, ale na razie nie miałam nic oprócz rozpalonej wyobraźni, która podpowiadała mi jakieś bajkowe obrazy.

Punkt osiemnasta pchnęłam drzwi wejściowe do Złotego Serca, chcąc jak najszybciej spotkać się z właścicielami lokalu.

– Witaj, Soniu. – Krzątająca się za kontuarem Rozalia, wyszła mi naprzeciw. – Jak ci minął dzień?

– Wspaniale – odparłam z uśmiechem. – Zwiedziłam miasteczko i byłam nad jeziorem.

– Cieszę się – rzekła Rozalia. – Myślałam, że po spacerze wpadniesz na gorącą czekoladę.

– Eeech, nie chciałam wam przeszkadzać. – Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem, zastanawiając się, czy przypadkiem Rozalia nie dostrzegła mnie przez okno, kiedy wracając z mojej wycieczki, podeszłam jeszcze do Złotego Serca, lecz zauważywszy, że panuje tam spory ruch, zrezygnowałam.

– Co też mówisz, kochana. – Rozalia pokręciła z dezaprobatą głową i zbliżywszy się do mnie, pochyliła się i konfidencjonalnie szepnęła: – Soniu, jesteś naszym gościem i oboje z Gabrielem bardzo chcielibyśmy, żeby było ci tutaj jak najlepiej. Szkoda, że nie jesteśmy w stanie poświęcić ci więcej czasu w ciągu dnia, ale gdy tylko z krótkiego urlopu wróci nasza pomocnica Agnieszka, obiecuję, że będę bardziej dyspozycyjna.

– Pani Rozalio, ja jestem niesłychanie wdzięczna, że razem z panem Gabrielem zgodziliście się porozmawiać ze mną na temat waszej rodzinnej historii. To dla mnie ogromnie ważne.

– A ja się cieszę, że będziemy mogli ci ją przekazać. Wiesz... za każdym razem, gdy wracamy do tej opowieści, mam wrażenie, że w ten sposób przedłużamy jej życie – powiedziała Rozalia z zamyślonym uśmiechem.

– Ooo, Sonia. – Wtem drzwi pracowni się otworzyły i do kawiarni wkroczył Gabriel. – Rankiem nie było na to czasu, ale pomyślałem, że

zanim pójdziemy na górę, może zechciałybyś zobaczyć naszą fabryczkę?

– Cudownie! – Ucieszyłam się. Wiedziałam, że gdy poznam to miejsce od podszewki, łatwiej będzie mi napisać o nim artykuł.

– To w takim razie ja uciekam do mieszkania, a ty sobie spokojnie obejrzyj pracownię – zwróciła się do mnie Rozalia, gasząc światło nad kontuarem, i zaraz dodała życzliwie, przenosząc wzrok na męża: – Oczywiście nie musicie się spieszyć, ale myślę, że za dziesięć minut kolacja będzie już na was czekać.

Gdy przekraczałam próg pracowni, byłam tak przejęta, że aż się potknęłam. Wyczuwając znajomy zapach czekolady, prażonych migdałów i pomarańczy, przełknęłam głośno ślinę, wodząc wzrokiem po umieszczonych przy dwóch ścianach regałach, których półki ugiwały się od słoików z pralinami. Na długim stole z wytartym blatem tężały w formach tabliczki czekolady. W przeciwległym rogu stał wiekowy piec z oliwkowymi kaflami, na którego pociemniałej blasze, najpewniej w formie rekwizytów, umieszczono stare gliniane naczynia. Zauważyłam, że przy uchwycie szabaśnika wisi jakiś przedmiot, dlatego zaciekawiona, zatrzymałam na nim spojrzenie. Spostrzegłszy to, Gabriel zachęcił mnie ruchem dłoni, żebyśmy tam podeszli.

– Z tym piecem związana jest historia Złotego Serca – oznajmił z dumą w głosie.

Zaintrygowana kucnęłam i przyjrzałam się fantazyjnie grawerowanemu sercu, zawieszonemu na łańcuszku przypiętym do rączki szabaśnika.

– Ale na razie nic więcej nie zdradzę, bo uzgodniliśmy z Rozalią, że razem opowiemy ci wszystko dokładnie, od początku.

Wstałam i zatrzymałam na starszym panu pytające spojrzenie. Wzmianka o tej historii rozbudziła moją wyobraźnię i poczułam się zawiedziona, że na razie niczego się nie dowiem.

– Zawsze przekazywaliśmy tę opowieść w dużym skrócie, ale ponieważ nadarzyła się okazja, żeby została opublikowana, doszliśmy do wniosku, że poskładamy z Rozalią kolejne fragmenty, których część przez lata spisaliśmy, a o niektórych od czasu do czasu rozmawialiśmy, by nie uleciały z pamięci.

Właściwie słowa Gabriela powinny mi schlebiać, tymczasem zasiały we mnie ziarno obaw. Czy aby gazeta, w której pracowałam, zważywszy na to, co zwykle tam drukowano, będzie odpowiednia dla takiej historii? Wiedziałam, że ta opowieść, najpewniej ze względów sentymentalnych, jest ważna dla starszego małżeństwa i teraz po raz pierwszy naszły mnie wątpliwości, czy wszystko uda się to tak, jak zaplanowałam. Podejrzywałam, że w redakcji przyjmą z pocałowaniem ręki wszystko, co im dam, ale czy powinnam proponować mojemu wydawcy tak wyjątkowy artykuł? Nie wyobrażałam sobie, żebym mogła napisać go byle jak.

– Mam nadzieję, że będą państwo zadowoleni – rzekłam, nieco onieśmielona.

Nagle usłyszeliśmy dobiegający od strony kawiarni stukot, jakby ktoś pukał w szybę.

– Pójdę sprawdzić, cóż to za zagubiony wędrowiec się do nas dobija – oznajmił Gabriel z humorem.

Gdy wyszedł, przez uchylone drzwi zajrzałam do drugiego pomieszczenia, gdzie stały maszyny. Na jednej z niższych półek zauważyłam pękate worki, jak się domyślałam – z prażonymi ziarnami kakaowca, głównego składnika czekolady. Przy najdłuższej ze ścian znajdował się dębowy blat z mnóstwem mniejszych i większych foremek o różnych kształtach oraz formy na tabliczki czekolady. Nad nim wisiały drewniane półki, na których ustawiono słoje i puszki z przyprawami niezbędnymi dla wzbogacenia smaku czekolady. Najpierw przyglądałam się

wszystkiemu z oddali, ale skuszona unoszącym się tu zapachem, a zwłaszcza widokiem kolorowych dodatków, weszłam do środka. Ależ to było magicznie miejsce. Niby zwyczajne pomieszczenie z maszynami, a jednak mnogość różnych kolorów i ten specyficzny słodko-korzenny aromat sprawiały, że poczułam się tutaj jak mała dziewczynka, która nie potrafi się oprzeć pokusie słodyczy. Miałam ochotę sięgnąć niemal po wszystko, co znalazło się w zasięgu mojego wzroku. Ręka sama wyciągała się do słoików z jaskrawoczerwoną żurawiną, pełnych różnych rodzajów orzechów, suszonych owoców, rajskich jabłuszek, wiśni, kiwi i pomarańczy. Kremowe płatki migdałów, wiórki kokosowe niczym drobinki śniegu zamknięte w kulistym, pękatym słoiku, drobne marcepanowe kuleczki i wielobarwne posypki zdawały się wołać do mnie: „skosztuj nas, na pewno się nie zawiedziesz”. Nie mogłam się napatrzeć na ten kolorowy kolaż różnaitości.

Usłyszawszy jakieś głosy i śmiech, cofnęłam się do wyjścia.

– Soniu, pozwól, że przedstawię ci mojego syna Błażeja i jego narzeczoną Laurę – odezwał się Gabriel, gdy dostrzegł mnie w drzwiach.

Zobaczyłam przed sobą ciemnowłosego, postawnego mężczyznę i uśmiechniętą, śliczną kobietę z burzą sięgających ramion, miedzianych włosów.

– Bardzo mi przyjemnie, jestem Sonia. – Wymieniłam się uściskami z gośćmi.

– A ta młoda dama ma na imię Marysia. – Gabriel wyciągnął rękę w stronę dziewczynki, która być może dla figli kucnęła i schowała się pod kontuar, a teraz ciekawsko spoglądała w naszą stronę. Zadziwiło mnie niesłychane podobieństwo małej do Laury. Marysia wyglądała jak jej wierna kopia. Te same lekko falowane, miedziane włosy, zielone oczy i zgrabny, nieco zadarty nosek.

Na początku dziewczynka wydała mi się trochę speszona, ale spojrzawszy na Gabriela, uśmiechnęła się, po czym wygramoliła się spod blatu i podała mi rękę.

– Witaj, Marysiu – przywitałam się z małą.

– Dobry wieczór – odpowiedziała i zaraz przylgnęła do Laury.

– Córeńko, trzeba rozpiąć kurtkę, bo już jesteś cała zgrzana – zauważała troskliwie Laura.

Gabriel zaprosił przybyłych na kolację i kilka minut później wszyscy wspinaliśmy się schodami do mieszkania Witkowskich. Żeby się tam znaleźć, nie trzeba było wychodzić na zewnątrz, gdyż jedne z drzwi na zapleczu wiodły na klatkę schodową, która prowadziła do ich lokum.

Gdy tylko Gabriel otworzył drzwi wejściowe, w przedpokoju już pojawiła się Rozalia.

– Ale niespodzianka! – Ucieszyła się, widząc rodzinę.

– Podobno w tej kuchni serwują dziś coś dobrego – zażartował Błażej.

– Serwują, serwują – potwierdziła wesoło Rozalia. – Rozbierzcie się i do jadalni.

– Nie będziemy przeszkadzać, macie dzisiaj gości... – krygowała się Laura.

– No wiesz, kochana! – zawołała jej teściowa z udawanym oburzeniem.

– W kuchni Witkowskich nigdy nie zabraknie ani jedzenia, ani miejsca dla bliskich.

Marysia, widząc babcię, uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Maryniu, zdejmij kurteczkę i chodź z babcią. Pomożesz porozkładać talerze – zaproponowała Rozalia dziewczynce.

Weszliśmy do przestronnego pokoju jadalnego, pośrodku którego stał owalny stół nakryty jasnym obrusem, a jedną ze ścian ozdabiał okazały

przedwojenny kredens. Przystanęłam obok, podziwiając umieszczony w nim porcelanowy serwis kawowy z delikatnym kwiatowym deseniem, gdy za sobą usłyszałam Laure.

– Piękny, prawda? – zagadnęła z uśmiechem.

– O tak, wygląda na zabytkowy – potwierdziłam, na jednej z filiżanek dostrzegając drobny ubytek i lekkie przetarcie na wzorze cukiernicy.

– Zgadza się, to wyjątkowa pamiątka. Cenna tym bardziej, że jego poprzedni właściciele, dziadkowie Gabriela, Marcin i Sabina, byli założycielami Złotego Serca – wyjaśniła Laura.

– Domyślałam się więc, że są bohaterami opowieści związanej z tym miejscem – zauważyłam.

– Tak – potwierdziła Laura. – Ech, gapa ze mnie. Dopiero teraz skojarzyłam, że przecież przyjechałaś tu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tej historii.

Uśmiechnęłam się uprzejmie na tę wzmiankę. Tak jak Gabrielowi i Rozalii, mnie też sprawiła przyjemność wizyta Błażeja, Laury i uroczej Marysi, ale czułam się trochę zawiedziona, podejrzewając, że pewnie dzisiejszego wieczoru nie będziemy mieli okazji dłużej i szczegółowo o niej pomówić. Moje przypuszczenia szybko zresztą okazały się słuszne. Gdy chwilę później wszyscy usiedliśmy nad talerzami z apetyczną makaronową zapiekanką z kurczakiem i pieczarkami, tylko na początku wspomniano coś o moim przyszłym artykule, a potem rozmowa obracała się głównie wokół spraw kawiarni, wyrobu czekolady i zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Panująca przy stole atmosfera była tak miła, że bardzo szybko zostałam wciągnięta w ożywioną wymianę zdań, a po kilkunastu minutach miałam wrażenie, że znam tę rodzinę od dawna. Czułam się w ich towarzystwie wyjątkowo swobodnie, tym bardziej że nikt nie dał mi odczuć, że jestem tutaj obca.

Tego wieczoru mieszkanie Witkowskich przeżyło prawdziwy najazd. Ledwo zjedliśmy kolację i przenieśliśmy się na sofę do pokoju obok, gdy zabrzączał dzwonek przy wejściu.

– Któż to może być? – zastanawiał się Gabriel, kierując się z uczeponą jego ręki Marysią do przedpokoju, a po chwili od wejścia słyhać było jego radosny głos. – Kolejna niespodzianka! Rozalko, dzieci przyjechały!

Okazało się, że Witkowskim złożyła nieoczekiwaną wizytę także ich córka Hania z mężem Krzysztofem i synkiem Michałkiem. Chłopczyk, na oko kilka lat starszy od Marysi, początkowo wydawał się skępowany moją obecnością, ale kiedy zauważył, że jego mama, która usiadła obok mnie, wesoło ze mną gawędzi, w końcu też się do mnie przekonał.

– Polubił cię – stwierdziła Hania, spostrzegłszy w pewnej chwili, że Michał już drugi raz mnie zagadnął. – Chyba po raz pierwszy tak szybko się otworzył przed nowo poznaną osobą. Był czas, że w ogóle bał się ludzi, ale niestety jako dziecko doznał wielu przykrości ze strony rówieśników.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Gdy tylko weszli, zauważyłam, że chłopiec ma zespół Downa, a ponieważ wyczułam, że jest przy mnie zawstydzony, niepewna jego reakcji, nie starałam się wciągać go w rozmowę.

– Na szczęście teraz to zupełnie inne dziecko – dodała Hania, pieszczotliwie gładząc synka po starannie przyciętych włosach.

Uśmiechnęłam się, a mój wzrok nieoczekiwanie zatrzymał się na wydatnym brzuchu kobiety, na którym teraz lekko opinała się, wcześniej spływająca luźno sukienka. Nie uszło to jej uwadze.

– A niebawem Michaś będzie miał siostrę – oznajmiła wesoło.

– Cudownie – przyznałam i niemal natychmiast udzielił mi się radosny nastrój Hani. – A można zapytać, kiedy termin?

– Początek stycznia. Właściwie to już siedzimy jak na rozżarzonych węglach – odparła kobieta z humorem, ale na jej ładnej okrągłej buzi pojawił się cień zatroskania.

Siedzący obok niej mąż od razu to zauważył i wspierająco położył rękę na jej dłoni. Odebrałam Krzysztofa jako najbardziej nieśmiałego z towarzystwa, ale sprawiał wrażenie niezwykle ciepłego, sympatycznego mężczyzny. Tego wieczoru rzadko jednak zabierał głos, przeważnie tylko potakiwał głową albo odpowiadał na zadane pytania. To już nawet ja, obca przecież osoba, miałam dziś dużo więcej do powiedzenia. W pewnym momencie dzieciaki usiadły przy biurku w drugim pokoju, gdzie dziadek wręczył im kartki z bloku rysunkowego i kredki. Oboje podobno bardzo lubili rysować i podczas rodzinnych uroczystości, gdy nacieszyli się już towarzystwem bliskich, zwykle przepadali w kolorowym świecie stworzonych przez siebie postaci i bajkowych krain.

W ciągu dwóch godzin sporo się dowiedziałam o rodzinie Witkowskich i wcale nie było mi żal, że z dzisiejszym wieczorem wiązałam inne plany. Gabriel i Rozalia zgotowali mi wspaniałe powitanie, a pojawienie się ich dzieci z najbliższymi, choć nieplanowane, stanowiło idealny dodatek do tego początku. Mój pobyt zapowiadał się wyśmienicie. Już dawno tak cudownie się nie bawiłam i nie czułam się tak swobodnie i miło w towarzystwie właściwie obcych osób. A może to dlatego, że brakowało mi domowego ogniska, a tutaj przekonałam się, jak naprawdę powinna wyglądać rodzinna relacja. Pierwsi wyszli Krzysztof i Hania z Michałkiem, choć ten ani myślał rozstawać się jeszcze z Marysią. Niestety minuty na minutę przybywało śniegu i obawiano się, że później może być trudno dojechać do Kalinowa, pobliskiej miejscowości, gdzie mieszkali. Zaraz po nich zaczęli się zbierać Laura i Błażej, mimo że Gabriel z Rozalią nalegali, by jeszcze zostali, bo przecież mieszkali w pobliżu. Z rozmów

wywnioskowałam, że syn Witkowskich przyjechał tutaj z Krakowa, gdzie pracuje w szpitalu dziecięcym jako kardiolog, ale nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam. Dopiero słowa jego narzeczonej wszystko wyjaśniły.

– Odwiedź nas, gdy następnym razem wybierzesz się nad jezioro – powiedziała Laura, wkładając płaszcz.

Spojrzałam na nią pytająco. Jak bowiem miałam ich odwiedzić, jeśli nie wiedziałam, jak do nich trafić. Niezręcznie było mi przyznać się do tego, bo być może nieuważnie jej słuchałam. Wspominała, że mieszkają w jakimś wyremontowanym drewnianym domu i że ona sama przyjechała do Bukowej Góry kilka lat temu. A ponieważ zakochała się w synu Gabriela i Rozalii, jak i w samej miejscowości, potem nie wyobrażała sobie już życia w innym miejscu.

– Nie pobłądzisz, przy drodze stoi tylko jedna chałupa – rzekła z humorem Laura, poprawiając córeczce szalik.

– Mieszkacie w tym ładnym drewnianym domu z werandą i starym sadem? – zapytałam.

– Tak – odparła, po czym pochyliła się i po cichu zaczęła coś tłumaczyć coraz bardziej marudnej, zmęczonej i sennej Marysi.

– W takim razie na pewno się u was pojawię – zapewniłam z uśmiechem.

– Wybierz się szybko, bo na dniach zapowiadają śnieżycę, więc potem możesz już tak łatwo nie dotrzeć do jeziora – zauważyła Laura.

Gdy przedpokój opustoszał, także i ja zaczęłam się zbierać do wyjścia.

– Już nas zostawiasz? – spytała Rozalia i zaraz dodała z przeproszającą miną: – Wiem, że ten wieczór ułożył się inaczej, niż zaplanowaliśmy.

– To było cudowne spotkanie, świetnie się bawiłam – zapewniłam ją szczerze. – Jest już późno, a państwo są bardzo zmęczeni.

Znużenie po całym dniu pracy sprawiło, że Rozalia nie zaprotestowała, a jedynie cicho westchnęła.

– Moja droga, jeśli nie masz nic zaplanowane na jutrzejszy wieczór, zapraszamy – rzekła, wciąż nie mogąc się pozbyć poczucia winy. – Co się odwlecze, to nie uciecze.

– Będzie mi bardzo miło.

– A i za dnia do nas zagłównij – dodała, gdy stałam już przy drzwiach.



Tej nocy znów spałam jak kamień, więc gdy nazajutrz się obudziłam, byłam pełna wigoru. Ledwo się umyłam, ubrałam i zjadłam śniadanie, a już zapragnęłam wyjść z domu. Po wczorajszym, pełnym ciepłych rozmów wieczorze zaraz zateśniłam za serdecznością Witkowskich, więc pierwsze kroki odruchowo skierowałam do Złotego Serca. Stanąwszy jednak przed witryną, od razu zmieniłam zdanie. Choć dopiero minęła dziesiąta, w kawiarni panował spory ruch; zauważyłam, że wszystkie stoliki są zajęte. Nie chciałam odciągać Rozalii od pracy rozmową, dlatego przeszłam dalej w górę uliczki i nie wiedzieć kiedy, nogi same poprowadziły mnie na drogę wychodzącą z miasteczka. Ciągnęło mnie nad jezioro. Z każdym krokiem rosło we mnie jakieś nieuchwytnie pragnienie, by znów zobaczyć to miejsce.

Oprócz dzikiej, teraz uspionej przyrody, częściowo ściętej mrozem tafli wody, szuwarów obleczonych w zmarznięty śnieg, nie zauważyłam tam nic, co szczególnie zapadłoby mi w pamięć, mimo to czułam nieodparte pragnienie, by tam pójść. Przyjrzeć się temu miejscu jeszcze raz i być może zobaczyć to, czego nie dostrzegłam wczoraj. Skoro z jeziorem Marana

więzała się miejscowa legenda, o czym wspomniano w czasie wczorajszej rozmowy, musiało być wyjątkowe.

Szłam tak żwawo, że ani się obejrzałam, a już minęłam ogromne głązy i starą drewnianą kapliczkę przy skřęcie z szosy w lokalną drogę. Po kilku minutach przechodziłam obok domu Laury i Błażeja. Z komina ulatywał dym, kreśląc na błękitnym niebie białe zawijasy, a z jednego z okien spod szydełkowej zazdrostki zachęcająco spoglądał na mnie rozmaryn przypominający niewielkie drzewko. Zatrzymałam się przy ogrodzeniu, przypominając sobie o wczorajszym zaproszeniu Laury. Nagle zapragnęłam wejść do tego przytulnego domu i ogrzać się w jego ciepłym wnętrzu. Przeszłam przez furtkę, która okazała się otwarta, i ruszyłam do wejścia. Najpierw tylko zapukałam, lecz kiedy po dłuższym czasie nikt nie podszedł do drzwi, wcisnęłam przycisk dzwonka. Wszystko wskazywało na to, że nie zastałam właścicieli, dlatego odczekawszy jeszcze chwilę, w końcu zawiedziona opuściłam posesję.

Potem obrałam kurs na jezioro. Przechodząc obok błękitnej kapliczki, zatrzymałam się, odczuwając takie samo jak poprzednio wzruszenie. Wpatrywałam się w wiekową, w wielu miejscach nadkruszoną figurkę Maryi, wyblakłe kwiaty wychylające się z fajansowego wazonu i w wąty płomyk lampionu, żałując, że wcześniej nie wpadłam na pomysł, bym i ja zapaliła tutaj symbolicznie znicz, tym bardziej że ten właśnie dogasał. Ta maleńka, ukryta pośród pól świątynia miała w sobie coś niesamowitego. Przywodziła na myśl opowieści bazarzy o dawnych czasach, kiedy ludzie żyli jeszcze w zgodzie z naturą, a świat nie pędził tak jak dziś, na oślep. Później, idąc dalej, co parę metrów oglądałam się za siebie, łowiąc wzrokiem coraz mniej wyraźną niebieską plamkę pośród lśniącej bieli.

Właśnie wspięłam się na łagodny pagórek, skąd rozpościerał się ładny widok na najbliższą okolicę, gdy zauważyłam, że ktoś zbliża się do

kapliczki. Stałam i wyteżyłam wzrok, starając się dostrzec coś więcej. Niestety z tej odległości nie można było zobaczyć nic poza rozmytymi konturami sylwetki. Wydawało mi się, że to mężczyzna. Wędrowiec zatrzymał się przed kapliczką, pokręcił się obok, a potem stał przez kilka minut nieruchomo. Nie wiem, czy mnie dostrzegł, ale ja dość uporczywie na niego patrzyłam.

Gdy wreszcie ruszyłam dalej, co jakiś czas oglądałam się przez ramię dotąd, aż coraz bledszy błękitny punkt zupełnie nie zniknął mi z oczu. Właśnie minęłam brzozowy młodniak, skąd były już tylko dwa kroki do jeziora. Z oddali majaczyła nawet migotliwa plama wody, kiedy nagle zdecydowałam się zawrócić. Naszła mnie myśl, że może jeszcze zdążę spotkać się z osobą, dla której z jakiegoś powodu ten przydrożny świątek jest ważny. Niestety czekał mnie zawód. Wspiąwszy się na pagórek, ujrzałam jedynie oddalającą się sylwetkę wędrowca, którego widok tak mnie zaintrygował. Tak jak przypuszczałam, przechodząc potem obok kapliczki, zauważyłam, że płonął w niej nowy lampion. Po mężczyźnie pozostały też ślady dużych butów na puszystym śniegu, którego w ciągu ostatnich dwudziestu minut znów zaczęło przybywać, i równo ułożone kwiaty w jarmarcznym wazonie obok zadowolonej, jak mi się wydawało, figurki Maryi.

Podążałam potem zamyślona, główkując nad tym, co ujrzałam, a raczej czego nie udało mi się zobaczyć, i omal nie przeoczyłam Laury, która stanąwszy za ogrodzeniem swojej posesji, żywiłowo do mnie machała.

– Cześć! – zawołałam, zatrzymując się przed furtką.

Laura zdążyła ją już otworzyć i teraz gestem dłoni zapraszała mnie, żebym weszła.

– Cieszę się, że się tu wybrałaś – powitała mnie, sięgając po postawioną obok samochodu wypakowaną po brzegi torbę. – Właśnie wróciłam,

odwiozłam Marysię do szkoły i przy okazji zrobiłam zakupy.

– Byłam u was wcześniej, ale nikogo nie zastałam – wyjaśniłam. – Dlatego ruszyłam w stronę jeziora.

– A widzisz, to dobrze, że się nie minęłyśmy. Błazej z samego rana pojechał do pracy, a ja, żeby zacząć ogarniać nowy dzień, musiałam najpierw wybrać się do sklepu po kawę, bo zabrakło. Mam nadzieję, że się ze mną napijesz – powiedziawszy to, Laura ziewnęła. Nie dało się ukryć, że jest niewyspana. – Nie wiem, czy wspominałam ci, że jestem nocnym markiem i najlepiej pracuje mi się po zmroku. Wczoraj, gdy wróciliśmy do domu jeszcze usiadłam nad projektem i gdyby nie Marysia, która o trzeciej w nocy się wybudziła, pewnie bym skończyła. Zaczęła marudzić, że miała jakiś straszny sen, więc musiałam się z nią położyć – wyjaśniła.

Wiedziałam, że Laura jest graficzką i od wielu lat pracuje jako wolny strzelec. Wspominała, że teraz projektuje okładki książek jakiejś historycznej serii.

Dwie minuty później stałam już w przytulnej kwadratowej sieni o ścianach w ładnym oranżowym odcieniu. Laura postawiła torbę obok drzwi, żeby zdjąć kurtkę i odebrać ode mnie płaszcz, które zaraz powiesiła na stojącym w rogu drewnianym wieszaku.

– Wejdz i się rozgość. – Gospodyni wskazała na otwarte drzwi z lewej strony i szerokim gestem zaprosiła mnie do środka. – A ja na chwilę zniknę w kuchni.

W progu obrzuciłam spojrzeniem ładne wnętrze, wiekową komodę z oryginalnymi uchwytyami w kształcie kołatek, biblioteczkę z mnóstwem książek, wyłożony kaflami piecyk kominkowy, w którym przyjemnie buzował ogień, i stojący nieopodal niego fotel w ciekawy etniczny wzór. Dopiero po chwili dostrzegłam leżącego na nim rudego kota, który leniwie podniósł głowę i wlepił we mnie zielone ślepia, przez co poczułam się tutaj

jak intruz. Mimo wszystko wkroczyłam i usiadłam na kanapie pod oknem, co jakiś czas zerkając na zwierzę, które nieustannie mnie obserwowało. Skojarzyłam, że to pewnie ten sam kot, którego poprzednio widziałam tutaj za ogrodzeniem. W pewnym momencie zszedł na podłogę, po czym powoli zbliżył się do mnie i jednym susem wskoczył na kanapę. Od razu wyciągnęłam rękę, by go pogłaskać, a on na szczęście przyjął te pieszczoty, wyrażając aprobatę cichym mruzeniem.

– Widzę, że poznałyście się już z Dewą – zauważyła wesoło Laura, wchodząc do pokoju z tacą, na której stały filiżanki, dzbanek z kawą i talerz z kawałkami wiśniowego ciasta.

– Ach, więc to kotka. – Spojrzałam na Dewę, która, miałam wrażenie, właśnie obdarzyła mnie kocim uśmiechem.

– Kotka i największy pieszczoch, jakiego znam. Mieszka tutaj ze mną od początku. Przyplątała się na spacerze, ledwo przyjechałam do Bukowej Góry, i ze mną została. – Na twarzy Laury pojawił się sentymentalny uśmiech.

– Przyjechałaś sama...? – palnęłam, bo tak wywnioskowałam ze słów Laury. Zresztą wczoraj też opowiadała o swoich zmaganiach z kupnem domu i remontem na odległość. Zaraz jednak pożałowałam swojego wścibstwa. Po moim najwyraźniej nietaktownym pytaniu Laura natychmiast posmutniała.

– Tak, sama. Marysia, mimo że jest moją córeczką, pojawiła się w moim życiu dopiero kilka lat temu. To smutna historia – odparła z westchnieniem po dłuższej chwili, miętoląc w palcach mereżkę na brzegu obrusu.

Myślałam, że nie zechce kontynuować tematu i chyba wolałabym, gdyby zaczęła mówić o czymś innym, ale ona uznała, że chce mi wszystko wyjaśnić.

– Mój były mąż mi ją odebrał i tak to wszystko sfabrykował, bym myślała, że Marysia nie żyje. Cztery lata temu pojawiła się z moją byłą teściową pod moim domem. Okazało się, że po śmierci syna wychowywała ją Rita. Gdy się dowiedziała, że jest nieuleczalnie chora, zaczęło uwierać ją sumienie i zdecydowała się wyznać mi prawdę – rzekła gorzko.

– Aż nie wiem, co powiedzieć. – Poruszona pokręciłam głową.

Przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek i takie historie nie mają prawa się zdarzyć. Czyta się o nich jedynie w książkach. Nawet nie byłam w stanie sobie wyobrazić, co czuła ta młoda, zaledwie kilka lata starsza ode mnie kobieta. Zawsze wydawało mi się, że to mnie jest trudno w życiu. Bez oparcia rodziny, odarta z miłych wspomnień i rzucona bezwzględnie na pożarcie brutalnemu światu dorosłych. Ale co musiała czuć kobieta zmuszona w samotności przeboleć stratę swojego dziecka.

– Na szczęście los okazał się dla mnie przychylny. A wszystko zdarzyło się tutaj, w Bukowej Górze. Tu całkowicie odmieniło się moje życie – powiedziała Laura nieco weselszym tonem, być może starając się zagłuszyć złe wspomnienia. – Od dawna nikomu tego nie mówiłam.

Nie byłam pewna, czy nowa znajoma czuje potrzebę, by dalej drążyć ten temat. Siedziałam więc w skupieniu i czekałam, czy Laura zechce odkryć jeszcze przede mną jakieś fakty ze swojej przeszłości.

– Sama się przekonasz, że to wyjątkowe miejsce. Zwłaszcza że Rozalia i Gabriel zdradzą ci historię Złotego Serca. Aż mnie korci, żeby opowiedzieć ci, jak to było ze mną, kiedy ich poznałam i dzięki pewnemu wydarzeniu związanemu z ich wytwórnią czekolady przekonałam się, że magia naprawdę działa – rzekła tajemniczo Laura, jeszcze bardziej rozpalając moją ciekawość.

– Co to za wydarzenie? – Uśmiechnęłam się chytrze, niczym lis.

– Ech, nic więcej ode mnie nie wyciągniesz. W swoim czasie rodzice Błażeja wprowadzą cię w arkana tej wiedzy. – Laura pogroziła zabawnie palcem przed moim nosem. – Nie chcę psuć ci zabawy.

– Czuję się wielce zaintrygowana – oznajmiłam z uśmiechem.

Już wczoraj świetnie się bawiłam w towarzystwie Laury, ale dzisiaj, w jej domu, miałam wrażenie, że jeszcze lepiej ją poznałam. Ona też najwyraźniej poczuła się przy mnie dobrze, bo opowiedziała mi szczegółowo historię Marysi. Choć już dawno pokonała trudne emocje, wciąż ze ściśniętym gardłem mówiła o brutalności byłego męża i swojej naiwności, przez którą w porę nie dostrzegła jego prawdziwej twarzy. Nie wiedzieć kiedy stała się ofiarą, a rozrastający się w niej strach pozbawił ją najpierw motywacji, a potem siły, by uwolnić się od tyrana. Ta opowieść idealnie nadawała się na artykuł. Nie miałam jednak pewności, czy Laura byłaby w stanie na tyle się otworzyć, by podzielić się ze światem swoją straszną historią. W każdym razie ja widziałam w tym wielki potencjał. Uważałam, że gdyby opisać w artykule niektóre fakty i pominąć to, czego Laura nie chciałaby ujawniać, można by dotrzeć do wielu kobiet, które nieraz pozbawione nadziei, ukryte przed światem, nie wierzą w lepsze jutro. Tymczasem nie odważyłam się zaproponować tego Laurze. Zresztą na razie powinnam się skupić na tym, po co tutaj przyjechałam – na historii Złotego Serca.

Z minuty na minutę relacja Laury stawała się coraz weselsza. Dowiedziałam się, że niedługo po przyjeździe do Bukowej Góry poznała nie tylko Witkowskich, którzy otworzyli przed nią drzwi do swojego domu i swoich serc, ale także ich syna Błażeja, z którym nieoczekiwanie połączyła ją prawdziwa miłość. Wspaniale się słuchało takiej dobrej, pokrzepiającej opowieści, dającej nadzieję, że skoro udało się Laurze, to przecież może się udać każdemu. Rozmowa z nią dodała mi skrzydeł i w

pewnej chwili ja też ośmieliłam się opowiedzieć co nieco o moim życiu. Z natury byłam dość skryta i żadnej z koleżanek, których w moim otoczeniu nie było zbyt wiele, nigdy nie odważyłam się przyznać do tego, że zostałam odrzucona przez ojca. Wobec prawdopodobnie często przesłodzonych historyjek dziewczyn czułam się gorsza, wybrakowana i niegodna, by zwracano na mnie uwagę. Przy Laurze było inaczej. Mogłam bez skrępowania wyrzucić z siebie większość traum upychanych przez lata na dnie serca. Potrafiłam o tym mówić.

Zaabsorbowane rozmową wypiliśmy kawę i zjadłyśmy ciasto do ostatniego kawałka. Laura zaproponowała, że jeszcze dołoży placka, ale stwierdziłam, że najwyższa pora się zbierać. Między słowami wyłapałam, że znajoma ma dziś sporo obowiązków, a ja bądź co bądź urlopowiczka, nie zamierzałam zabierać jej więcej czasu. Nie chciała mnie tak łatwo wypuścić, próbując przekupić jeszcze jakimiś łakociami, i musiałam obiecać, że niebawem znów ją odwiedzę.

Zaproponowała, że mnie podwiezie, lecz bijąc się w pierś, oznajmiłam, że uwielbiam chodzić na piechotę i dopiero teraz widzę, jak bardzo brakowało mi spacerów. Laura narzuciła płaszcz i wyszła ze mną przed furtkę. Obie w tym samym czasie spojrzaliśmy na wijący się między dolinkami zarys dróżki ledwo widoczny w otoczeniu srebrzących się w słońcu, zaspanych śniegiem pól i łąk.

– A dlaczego właściwie nie doszłaś dziś nad jezioro? – zainteresowała się nagle Laura, bo wcześniej wspomniałam jedynie, że zawróciłam.

To banalne pytanie sprawiło, że w pierwszej chwili mnie замуrowało.

– Zrobiło mi się zimno – odparłam po dłuższej pauzie, bo przecież musiałam coś odpowiedzieć. Głupio brzmiałoby bowiem, gdybym wyznała prawdę, że rzuciłam się pędem za nieznanym spod kapliczki. Szybko doszłam jednak do wniosku, że może od Laury dowiem się czegoś na

interesujący mnie temat. – Ale mam nadzieję, że zanim całkowicie zasypie Bukową Górę, jeszcze zdążę się tam wybrać.

– Możemy pójść razem, Marysia uwielbia tam biegać. Szaleje w śniegu, a powiem ci, że nawet mnie udziela się jej nastrój, choć zwykle przegrywam w bitwie na śnieżki. Żebyś ty widziała, co się tam wyprawia, gdy jeszcze dołączą do nas Michaś z Hanką. Oj, dzieje się wtedy, dzieje... – mówiła, podśmiewając się, Laura.

– Na pewno jest bardzo wesoło – zgodziłam się z nią i zaraz nabrałam ochoty, żeby wziąć udział w takiej zabawie.

– Przyznam ci się, że my też zwykle wybieramy się ambitnie nad jezioro, ale przeważnie zawracamy zaraz przy kapliczce. Marysia uwielbia to miejsce. Choć bardzo żywiołowe z niej dziecko, przed kapliczką potrafi stać spokojnie przez kilka minut i wpatrywać się w płomyk lampionu. Za każdym razem liczy też płatki stojących w wazoniku kwiatków, mimo że ich liczbę od dawna zna już na pamięć – opowiadała Laura z uśmiechem.

– Mnie też bardzo się spodobało to miejsce, panuje tam wyjątkowy spokój – potwierdziłam, zadowolona, że temat starej kapliczki nieoczekiwanie sam pojawił się w czasie rozmowy. – To miłe, że nawet zimą ktoś o nim pamięta i zapala tam znicz.

– Tak jest już od dawna. W każdym razie, odkąd ja tutaj osiadłam, nie przypominam sobie, żeby kiedyś zgasnął tam płomień. Pan Maurycy dba, by światło zawsze oświetlało tę starą, podobno pamiętającą jeszcze czasy pierwszej wojny, figurkę Maryi.

– Pan Maurycy? – Coraz bardziej zaintrygowana, zatrzymałam na Laurze pytające spojrzenie.

– Tak, Maurycy Borowski. Powiem ci, że kiedy zamieszkałam w Bukowej Górze, dopiero gdzieś po roku się dowiedziałam, kto dba o tę starą kapliczkę. Pamiętam, że wielokrotnie chodziłam tam, żeby spotkać

osobę, która tak sumiennie zapala znicze, ale długo nie mogłam na nikogo natrafić. Kiedyś wreszcie spotkałam pana Maurycego i zagadka została rozwiązana – wyjaśniła Laura z humorem.

– Wiesz, dlaczego to robi? Może ma jakąś szczególną intencję... – zagaiłam delikatnie, licząc na kolejną porcję informacji.

– Nie mam pojęcia. – Laura odruchowo rozłożyła ręce. – To miły starszy pan, chyba samotny, dlatego myślę, że może przychodzi tam dla zabicia czasu.

– Ale ten gest jest taki wymowny – zauważyłam.

– Naprawdę nie wiem. – Laura machinalnie znów odwróciła się w stronę pagórka, za którym w małej dolince kryła się błękitna kapliczka. – Kilka razy rozmawialiśmy ze sobą, ale raczej nie odważyłabym się zadać mu tak osobistego pytania.

Laura miała całkowitą rację, bo przecież nawet jeśli pan Maurycy regularnie przychodził do kapliczki i o nią dbał, robił to z jakichś prywatnych względów, a może z przyzwyczajenia. I tylko moja wyobraźnia podpowiadała mi niestworzone rzeczy. Ale choć wytłumaczyłam to sobie w myślach, coś wewnątrz mnie szeptało, że ta zwyczajna historia o starszym panu oddającym się zadumie w cieniu przydrożnego świątka ma jakieś drugie dno. Bardzo chciałam poznać pana Maurycego i wierzyłam, że uda mi się to, zanim stąd wyjadę.

Dzień przeleciał błyskawicznie i ani się obejrzałam, jak stałam pod zamkniętą już kawiarnią i nieśmiało pukałam w szybę.

– Jesteś! – powitał mnie ucieszony Gabriel i wpuścił mnie do środka. – Zaczekaj chwilkę, sprawdzę tylko, czy w pracowni wszystko pogaszone, i zaraz idziemy na górę. Jest szansa, że Rozalia czeka już na nas z czymś smacznym – oznajmił z zadowoleniem.

Stałam przy kontuarze i popatrzyłam przez lekko oszronioną szybę, za którą znów prószył drobny śnieżek. W Złotym Sercu odczuwało się już świąteczną atmosferę. Na drzwiach zauważyłam jodłowy wieniec przystrojony szyszkami i ozdobami ze słomy, a na narożnej szafce z prawej strony stała choinka udekorowana kolorowymi bombkami, lukrowanymi pierniczkami o różnych kształtach i oczywiście firmowymi czekoladkami. W kilku miejscach dostrzegłam też poustawiane bajeczne porcelanowe domki z małymi świeczkami.

– Możemy iść – zakomunikował nagle Gabriel, stanąwszy w drzwiach pracowni.

Kiedy do niego podeszłam, zgasił główne światło, po czym skierowaliśmy się ku drzwiom prowadzącym do wyjścia z zaplecza na klatkę schodową.

Dziś też w mieszkaniu Witkowskich unosił się aromatyczny zapach jedzenia, pod którego wpływem od razu poczułam, że jestem głodna. Bardziej interesowała mnie jednak rozmowa i miałam nadzieję, że tego wieczoru nic już nie zakłóci jej przebiegu. Chciałam wreszcie ruszyć z artykułem, a do tego potrzebowałam konkretnej historii. Wszyscy troje usiedliśmy przy stole w jadalni, lecz dopiero gdy odłożyliśmy puste talerze po zupie dyniowej i Rozalia nałala każdemu do filiżanki herbaty z cytryną i imbirem, Gabriel z przekonującym uśmiechem stwierdził, że choć opowieść o Złotym Sercu kojarzy się z listopadem, to jednak grudzień, jeden z najbardziej magicznych miesięcy, jest idealny, by przekazać tę niesamowitą historię. Coraz bardziej się niecierpliwiłam, gdy Gabriel przekomarzał się z Rozalią, kto ma zacząć. Starsza pani twierdziła, że to właśnie jej mąż jest idealnym bazarzem, on zaś jako dżentelmen chciał oddać pierwszeństwo żonie. Mnie było wszystko jedno, kto to robi. Czułam w sobie narastające napięcie, które jak najszybciej chciałam ugasić

usłyszaną historią. Stało na tym, że to Gabriel został wybrany, żeby zacząć opowieść. Zanim wszyscy rozparliśmy się wygodnie na krzesłach, Rozalia wyjęła jeszcze z kredensu i położyła na stole talerz z przygotowanymi wcześniej na tę okazję czekoladowymi ciastkami.

– To jak, drogie panie... – Gabriel przybrał pocieszny wyraz twarzy. – Jesteście gotowe na tę ekscytującą historię z dreszczykiem? – żartował, ku zgrozie coraz bardziej zniecierpliwionej Rozalii, która aż przewróciła oczami.

– No mówże już, Gabrielu, bo jak nie, to ja to zrobię – ponagliła.

– Dobrze – zgodził się Gabriel, w zadumie pocierając brodę. Zapatrzył się w płomień stojącej na stole, wetkniętej w mosiężny kaganek świecy, a jego wzrok z chwili na chwilę stawał się coraz bardziej nieobecny, jakby starszy pan odpłynął hen myślami i teraz był już przy bohaterach historii, którą lada moment miał opowiedzieć.

Opowieść Gabriela



Nie wiedział, gdzie się znajduje i jak długo idzie. Przez chwilę musiał się nawet zastanowić, kim jest ten chyba jeszcze młody człowiek z długimi, posiwiałymi włosami i sięgającą torsu brodą. Odziany w łachmany, z dziurawą płachtą, którą wręczyła mu jakaś litościwa gospodyni, gdy akurat przechodził obok jej domostwa, wędrował już od dawna. Od momentu, gdy udało mu się cudem wydostać z rosyjskiej niewoli.

„Kiedy to było...?” Marcin bezradnie rozejrzał się wokół. Nie miał pojęcia, co to za miejsce, ale czuł, że to polska ziemia. Pachniała bowiem inaczej niż zgnębiony mrozami obszar koło Nowonikołajewska. Liczył na to, że jeśli jeszcze nie dotarł do Maciejowa, rodzinnej miejscowości na Podkarpaciu, to przynajmniej jest gdzieś niedaleko. W oddali dostrzegł migoczącą w słońcu, rozległą taflę wody. Nie pamiętał wprawdzie w rodzinnej okolicy żadnego jeziora, ale teraz niczego nie był już pewien. Zdawało się, że niedożywione, chude ciało i wyjąłowiony, zmęczony umysł nie należą do niego. W niewoli nieraz miewał momenty załamania i prosił Boga o śmierć, lecz potem zwykle się reflektował, patrzył na wyraźne linie niebieskich żył na rękach, dostrzegając w sobie życie. Było ono kruche, ledwo się tliło w wątłym mężczyźnie, jakim stał się w zaledwie dwa lata, ale mimo wszystko nadal miał w sobie zapał. Postawną, barczystą sylwetkę

zastąpił obleczony w szorstką skórę szkielet, a niebieskie, niegdyś wesołe oczy przypominały raczej mętną wodę w stawie niżli błękit uwodzicielskiego spojrzenia przystojnego chłopaka, któremu kilka lat wcześniej nie mogła się oprzeć żadna panna w okolicy.

Usiadłszy pod starą brzozą, zebrał nieco sił po ostatnim zmudnym odcinku wędrówki i pomyślał, że podejździe jeszcze do brzegu. Przynajmniej się obmyje, bo od dawna nie miał ku temu okazji. Dziś wyruszył skoro świt, ledwo zapał kogut w zagrodzie chaty, za którą, zagrzebany w stercie chrustu, znalazł na noc schronienie. Usłyszawszy kura, nie chcąc, by ktoś go zobaczył, choć jeszcze z resztkami snu pod powiekami, od razu wyruszył w drogę. Leśne ścieżki ledwo majaczyły w bladym świetle budzącego się dnia, ale Marcin po wielu tygodniach wędrówki nauczył się już odczytywać sygnały przyrody. Wiedział, jak iść, by o zmroku nie wpaść w łapy wygłodniałego zwierza, i z rozwagą omijał mokradła. Wierzył, że coś nad nim czuwa, bo przecież wiele razy już stała nad nim kostucha, a jednak zawsze jej umykał. Wszak w tej uciążliwej wędrówce trzymało go jedno pragnienie – marzył o tym, by znów wejść do rodzinnej chaty, pokłonić się ojcu i paść w ramiona matce, do których wyrывało się serce. Poorana trudami życia, choć zwykle pogodna twarz rodzicielki i surowe, ale miłosierne i sprawiedliwe spojrzenie ojca były mu ponad wszystko drogie. Ich obraz przechowywał w głowie niczym najcenniejszą relikwię, której żadne zło świata nie może zbrukać. Nie bacząc zatem na to, że jest coraz słabszy i wymizerowany, w największych chwilach zwątpienia widząc przed oczyma rodzinną chatę z ulatującym z komina dymem, Marcin krok za krokiem, z determinacją podążał przed siebie.

Gdy stanął na brzegu jeziora, kucnął i rozgarnąwszy zmarznięte i gdzieniegdzie oszronione kępy trawy, z czułością dotknął chłodnej ziemi.

Nie potrafił tego wyjaśnić, ale coś mu szeptało, że właśnie dotarł do celu. Nie znał tego miejsca, był pewien, że nigdy wcześniej go nie odwiedził. Trzęsąc się z zimna, rozebrał się do pasa i obmył ciało lodowatą wodą. Przenikliwy chłód sprawił, że zadygotał, ale mimo wszystko, na tyle, na ile dał radę, starał się zmyć z siebie trud wędrówki. Na koniec wdział brudne łachmany i padł na trawę. Potoczył znużonym spojrzeniem po najbliższej okolicy. Jezioro wyglądało tak, jak po pierwszych przymrozkach, stąd Marcin wywnioskował, że może zaczął się już listopad. Świadczyły o tym zarówno zmarniałe rośliny, jak i częściowo zamrożona przy brzegu woda. W oddali wznosił się niewysoki pagórek i majaczył las. Brązowo żółte liście wciąż pokrywały część gałęzi drzew, ale wyglądało na to, że to już ostatni oddech przed zimą. Że lada chwila ta najsurowsza ze wszystkich pór roku upomni się wreszcie o należne jej miejsce w cyklu dorocznych zmian.

Nagle poczuł głód tak dotkliwy, że aż musiał objąć rękoma zapadnięty brzuch. Zakręciło mu się w głowie, dlatego wsparł się zaraz na rękach, by nie upaść. Zastanowił się, ileż jeszcze wytrzyma jego wycieńczone ciało bez posiłku. Jak długo będą w stanie nieść go patykowate nogi, które w ostatnich dniach zdawały się plątać przy byle podmuchu wiatru. I wreszcie, czy on sam da radę wykrzesać jeszcze z siebie odrobinę siły potrzebnej do tego, by przetrwać. Zapatrzył się w bezkres przejrzystego nieba, a to przynajmniej przyniosło mu trochę ukojenia. Piękno świata na przekór wszystkim jego bezceństwom wciąż zaskakiwało doskonałą harmonią i człowiek nie był w stanie go tego pozbawić.

Nagle głowę Marcina przeszył pulsujący ból, ale wbrew temu odczuciu po jego ciele zaczęło się rozlewać przyjemne ciepło. Jeszcze moment walczył ze sobą, by nie wtulić twarzy w rachityczne źdźbła traw i nie zapaść w sen, bo zdawał sobie sprawę, że to może być jego ostatnia chwila. Zmęczenie wzięło górę i Marcin nieoczekiwanie się położył, zawijając pod

głową zszarganą kapotę. Na moment zamknął oczy, ale czując na ciele dotkliwy podmuch wiatru, przekręcił się na bok, a wreszcie usiadł, by nasunąć na zziębnięte nogi resztę lichego odzienia. Lecz o dziwo, dotykając ziemi, między palcami ujrzał trawę tak zieloną, jaka może być tylko latem. Przetarł oczy, żeby odrzeć je z iluzji, co nagle go nawiedziła, ale znów zobaczył życiodajną zieleń. Co więcej, brzeg jeziora, gdzie kilkanaście minut wcześniej przysiadł, wydawał się mu teraz zupełnie innym miejscem. I nie chodziło tylko o to, że wokół niego pachniały wielokolorowe polne kwiaty, nad którymi radośnie latały różne owady, a jego twarz mile łaskotały słoneczne promienie. To raczej samo wybrzeże zdawało się być innym miejscem. Po drugiej stronie jeziora zauważył kilka przycupniętych na zielonym zboczu chat, ale dalej, na niewielkim wzgórzu, gdzie przed chwilą widział jedynie wysokie, obleczone w barwy późnej jesieni drzewa, teraz dostrzegł warowny gród. Chcąc się pozbyć zaskakującej wizji, znów przetarł oczy, a potem kilkakrotnie poruszał powiekami, ale kiedy je rozchylił, nadal otaczało go to samo niepospolite piękno.

Wtem dojrzał kołującego ponad warownią ptaka, który z każdą chwilą się do niego przybliżał. Kiedy Marcin mógł mu się już lepiej przyjrzeć, stwierdził, że to najpewniej sokół; wskazywały na to jego rozłożyste, ogromne skrzydła i królewska sylwetka. Widok ten przyniósł zmęczonemu mężczyźnie nową falę ukojenia. Nieoczekiwane pojawienie się tego wyjątkowego ptaka było jak dobry znak, jak upragnione światło jutrzni po przymusowych latach wszechobecnego mroku. Co więcej, ptak był coraz bliżej miejsca, gdzie siedział strudzony wędrowiec. W pewnej chwili sokół zakołował nad nim i, by mu się lepiej przyjrzeć, mężczyzna musiał bardziej odchylić głowę. Zauważył, że ptak trzyma coś w dziobie. Starał się dociec, co to może być, gdy raptem trzymany przez sokoła przedmiot wypadł mu z dzioba. Marcin zdążył jedynie pomyśleć, że może to jedzenie, bo przecież

tego teraz najbardziej pragnął, gdy nagle coś pacnęło go w głowę. Uderzenie okazało się na tyle silne, że świat zawirował mu przed oczami i padł na trawę jak długi.

Ile czasu tak leżał, nie wiedział, lecz gdy wreszcie usiadł, znów dojrzał ten piękny, niemal bajkowy świat. Pomyślał nawet, że pewnie umarł i zaraz stanie przed obliczem Świętego Piotra. Żywił nadzieję, że święty wpuści go do raju. Marcin nie był aniołkiem, ale w życiu zawsze kierował się Dekalogiem i wartościami wpojonymi przez rodziców. Gdyby miał różaniec, odmówiłby teraz chociaż dziesiątkę, ale jak na złość, nie dość, że go nie posiadał, to jeszcze trudno było mu przypomnieć sobie proste i jakże dobrze znajome słowa pacierza. Ogarnęła go dziwna niemoc. „Czy tak wygląda świat po drugiej stronie? Czy zaraz trafię do czyśćca? A może nie zasługuję na szansę i odegnąją mnie do piekielnych bram”, rozważał coraz bardziej przejęty chłopak.

Wtem znów spojrzął na jezioro. Tym razem nie przecierał już oczu, choć zdumienie, jakie go ogarnęło, było znacznie większe niż wcześniej. Do miejsca, gdzie siedział, kierowało się wysmukłe, ozdobne czółno z pozłacanym kadłubem. Siedziała w nim urocza niewiasta. Marcin wpatrywał się w nią jak urzeczony, tak była piękna. Najpierw pomyślał, że widzi anioła – choć przecież te zawsze kojarzyły mu się z włosami koloru lnu, natomiast głowę nieznajomej ozdabiała długie miedziane pukle. Nie mógł wykonać najmniejszego ruchu, gdy cudna dziewczyna wyszła z łodzi, a potem powoli ruszyła w jego kierunku. Gdy stawiała na trawie bose stopy, z porastających ziemię kwiatów, jakby w hołdzie dla swojej pani, co rusz wyfruwały wielobarwne motyle. Miała na sobie zwiewną suknię, która zdawała się utkana z tkaniny delikatniejszej niż owadzie skrzydła. Marcin nie był w stanie oderwać oczu od tego niezemskiego zjawiska. W pewnej chwili, gdy niemal był pewien, że piękna nieznajoma zaraz go dotknie – już

bowiem wyciągała w jego stronę smukłą dłoń – ona nagle przykucnęła i jęła szukać czegoś w trawie. Z kępy długich źdźbeł wydobyła kamienne serce, po czym włożyła je w rękę oszołomionego chłopaka, oznajmiając dźwięcznym głosem, że dzięki niemu zapewni sobie i swojej rodzinie szczęście. Że gdy się obudzi i otworzy oczy, odnajdzie miłość życia i zostanie w Bukowej Górze do końca swoich dni, bo właśnie to miejsce wybrało go, żeby mógł być tu szczęśliwy i stworzyć coś, co będzie przynosiło ludziom słodycz, rozkosz i radość. Choć serce Marcina wyrywało się z piersi, ściśnięte gardło sprawiało, że nie był w stanie wymówić nawet słowa. Chciał jej rzec, a nawet wykrzyczeć, że to właśnie ona jest tym nieopisanym szczęściem i wielką miłością, że tylko z nią będzie mógł zaznać rozkoszy życia, lecz ona nagle wstała i zaczęła się oddalać. Gdy już niemal wchodziła do łodzi, z ust Marcina wreszcie wyrwały się tłumione słowa.

– Nie odchódź! – wrzasnął i znów ogarnęła go wcześniejsza niemoc.

Na ten okrzyk nieznajoma uniosła jedynie rękę, a on miał wrażenie, że z jej drobnej otwartej dłoni ulatują złociste cytrynki i nieco mniejsze modraszki. Potem, usadowiwszy się w czólnie, sięgnęła po wiosło i odbiła od brzegu.

Marcin patrzył na odpływającą łódź i wzbierała w nim coraz większa rozpacz. Chciałby tak wiele powiedzieć tej cudnej pannie, pragnął patrzeć w jej zielone oczy. Marzył, by ją utulić lub choćby na nią spojrzeć, ale ona z każdą chwilą coraz bardziej się od niego oddalała.

– Jak masz na imię, o piękna pani?! – zapytał głosem jak dzwon, kiedy już się wydawało, że z jego krtani w najbliższym czasie nie wydostanie się nawet słaby dźwięk.

Odwróciła się w jego stronę i Marcin nawet miał nadzieję, że cudnej krasy białogłowa zaraz zawróci czółno, lecz ona jedynie wstała i patrzyła

na niego z oddali.

– Imię moje Marana, znaczy wodna – usłyszał, gdy pomyślał, że nieznajoma lada chwila zniknie mu z oczu i nigdy więcej nie ucieszy go jej kojący głos.

Potem stanąwszy po kostki w wodzie, jeszcze próbował ją zatrzymać, machając zapamiętane rękoma niczym rozbitek. Jeszcze miał nadzieję, jeszcze wierzył, że ta cudna panna wróci do niego. Ale czółno bezpowrotnie się oddalało i po chwili pozostały po nim jedynie rozchodzące się faliście pasy wody do momentu, aż jezioro znów przypominało gładkie, przejrzyste lustro. Marcina zadziwił jego kolor. Błękitny, krystaliczny, wyglądający tak, jakby odbijało się w nim samo niebo. Zastanowił się, czy to w ogóle możliwe, by woda w jeziorze miała taką doskonałą barwę. W każdym razie po raz pierwszy w życiu widział tak niebywałe zjawisko. Nagle znów zwrócił wzrok ku wzniesieniu, gdzie stała warownia, potem ogarnął spojrzeniem brzeg, na koniec popatrzył na rosnące tuż obok, wydzielające słodką woń kwiaty, których nazw nie znał, nigdy wcześniej bowiem takich nie widział, gdy zaczęła ogarniać go ta sama, co wcześniej senność. Tym razem nie starał się walczyć ze zmęczeniem, lecz z lubością wtulił się w zielone, miękkie poszycie, myśląc, że od dawna nie było mu tak dobrze.

I znów nie wiedział, co się z nim dzieje i gdzie jest, gdy po jakimś czasie usłyszał nad sobą kobiecy głos. Ciężkie powieki nie chciały się otworzyć, a usta przemówić. Czuł, że ktoś dotyka jego ręki, chyba sprawdzając mu tętno, a później ta sama dłoń muskała jego czoło. Miał wrażenie, że zapada się w niebyt, że dryfuje gdzieś pomiędzy tą cudowną krainą, której słodycz wciąż w sobie odczuwał, a znajomą rodzinną wioską. W otwartych drzwiach widział matulę, ale wydała mu się dziwnie markotna i jakaś taka przezroczyista, niczym duch. W oknie z jaskrawoczerwonymi

pelargoniami stał ojciec, ale i on nie wyglądał na zadowolonego. Przeganiał Marcina, gdy tylko ten chciał się do nich zbliżyć. Nie pozwolił podejść do chaty. Odpędzając jedyne syna, mełł w ustach przekleństwa, co było do niego niepodobne, bo przecież z natury był łagodny i kulturalny. Marcin czuł się zagubiony.

– Proszę pana, jak się pan czuje?

Marcin próbował rozewrzeć powieki, ale wciąż ogarniała go ta dziwna, obezwładniająca słabość.

– Maranaa... – wydukał i wreszcie otworzył oczy. Miał nadzieję, że zobaczy miedzianowłosą nieznajomą, ale zdziwiony spostrzegł, że pochyła się nad nim jasnowłose dziewczę. Pierwszym, co ujrzał, były jej oczy w prześlicznym, chabrowym odcieniu i zaplecione w długi warkocz włosy w kolorze dojrzałej pszenicy. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna jest piękna, ale to nie była Marana. Po dłuższej chwili udało mu się odzyskać jasność widzenia, a zmysły powoli wróciły do równowagi. Z pomocą dziewczyny usiadł i ze smutkiem zauważył, że znów otacza go zmarniała, zmrożona trawa, a zamiast przejrzystego błękitu jeziora widzi teraz jego burą wersję. Zachodził w głowę, co tutaj zaszło. Nie potrafił wytłumaczyć wydarzeń, które stały się jego udziałem, i pewnie złożyłyby je na karb wycieńczenia, gdy nagle, przesunąwszy ręką w lewo, natrafił na coś twardego. Uniósł znalezisko przed oczy i zamarł. Miał przed sobą kamienne serce, które mimo braku słońca lśniło tak pięknie, jak gdyby właśnie musnął je jeden z jego promieni. Marcin wpatrywał się w ów osobliwy kamień z taką determinacją, jakby chciał, by ten odpowiedział na dręczące go pytania. Z namysłem podrapał się po długiej brodzie, gdy znów usłyszał dźwięczny głos dziewczyny.

– Jak się pan tu znalazł? – spytała z troską.

– Ja... szedłem długo, bardzo długo... nie wiem. – Tylko tyle był w stanie powiedzieć.

– Dobrze, proszę nie tłumaczyć. Lepiej niech się pan nie odzywa. Widać, że jest pan na wskroś wyczerpany. Bałam się, że pan nie żyje – oznajmiła dziewczyna, a przy ostatnich słowach nieznacznie opuściła wzrok, uświadomiwszy sobie zapewne, że mogła urazić nimi nieznanego. Wyglądał strasznie i nieładnie pachniał, ale ona pod łachmanami i skołtunionymi włosami od razu dojrzała przystojnego młodzieńca. – Jeśli da pan radę, pójdziemy do naszej chaty, tam rodzice się panem zajmą. Pomożemy panu.

– Dziękuję. – Marcina nagle zalała fala wzruszenia. Już od dawna nie doświadczył bowiem takiej szczerzej troski, tak niewymuszonej pomocy. Coraz śmielej i przychylniej przyglądał się szczupłej młodziutkiej dziewczynie i nie mógł uwierzyć, że w tym kruchym ciele odzianym w lnianą sukienkę, z chustą na ramionach, drzemie taka siła. Gdy podała mu rękę, pomagając wstać, jej uścisk wydał mu się niezwykle silny, niemal męski. A może to on, pozbawiony tężyzny, był teraz jak te otaczające go zewsząd, pochylające się do ziemi, zmarniałe rośliny.

– To kawałek, będzie z kilkaset metrów. Da pan radę dojść? Bo jeśli nie, sprowadzę tu ojca i kogoś z sąsiadów, to pomogą.

– Dam – oświadczył Marcin z determinacją w głosie, wspierając się na ramieniu dziewczyny.

– Dobrze. – Obdarzyła go wspierającym uśmiechem. – W takim razie idziemy.

Szli potem wzdłuż jeziora, zanim dotarli do rozwidlenia ścieżek, z których jedna prowadziła do lasu, a druga w stronę łąk porośniętych przekwitłymi wrzosami. Marcin spojrzał z nadzieją na wzgórze, jakby się starał odnaleźć tam ślady wcześniejszego snu czy wizji. Wciąż nie widział,

jak to nazwać. Jedno było pewne – w zaciśniętej dłoni, niczym cenny talizman, trzymał kamienne serce i w najmniejszych szczegółach pamiętał każde słowo miedzianowłosej piękności.

– Czy tu stał niegdyś zamek? – wyrwało mu się nagle i poczuł się z tym głupio.

– Zamek? – Dziewczyna się zastanowiła. – Podobno tak, ale było to bardzo dawno temu – odparła po chwili, jakby dopiero sobie o tym przypomniała. – Tak gadają...

– A może władała nim pani o imieniu Marana? – Nieco ośmielony Marcin postanowił skorzystać z okazji i dowiedzieć się czegoś więcej o miejscu, w którym się znalazł.

– Marana? – Jasnowłosa się zaśmiała. – Ależ skąd, chociaż, prawdę mówiąc, nie wiem... – dodała po chwili. Zrobiło jej się wstyd, gdy zauważyła poważne, wyczekujące spojrzenie chłopaka. Rozumiała, że był wyczerpany i miał prawo bajdurzyć, ale nie mogła nic poradzić na to, że rozśmieszyły ją słowa o jaśnie pani z zamku.

Od najmłodszych lat twardo stąpała po ziemi, a teraz mawiano, że mimo osiemnastu wiosen można na niej polegać bardziej niż na niejednej doświadczonej dorosłej kobiecie. Obdarzona niezwykłą mądrością, bystra i rezolutna Sabina nie raz służyła ludziom z wioski nie tylko dobrą radą, ale i pomocą. Mimo delikatnej postury nie bała się fizycznej pracy i jak tylko mogła, uwijała się z matulą w obejściu, by jej ulżyć. Pomagała też ojcu, w każdą środę i sobotę zanosząc do Ratajnik, pobliskiej wioski, złowione przez niego ryby na odbywający się w te dni targ.

– Jezioro, na którego brzegu pana znalazłam, nazywa się Marana – wyjaśniła.

– Ach, tak – rzekł Marcin z niedającym się ukryć rozczarowaniem, zaciskając w dłoni kamienne serce. – Rozumiem.

Kiedy kilkanaście minut później stanęli przed niebieską, krytą strzechą chatą, z której komina ulatywał dym, Marcin nie dowierzał, jak znalazł w sobie tyle siły, by tu dojść. Bez wątpienia była to zasługa jego wybawicielki, jak zaczął ją nazywać w trakcie wędrówki. Uświadomił sobie, że gdyby go nie znalazła, pewnie dokonałby żywota na brzegu jeziora. Bolały go nogi, a momentami trudno było mu złapać oddech, ale wsparty na ramieniu dziewczyny, pokrzepiony jej życzliwym słowem, czuł, że jego koniec jeszcze nie nadszedł i mimo wyczerpania musi iść. Zauważywszy chybczący się przy framudze drzwi zasuszony pęczek polnych kwiatów i ziół, pamiątkę po święcie Matki Boskiej Zielnej, ogarnęła go nieopisana tkliwość, a żal ścisnął mu serce nagłym skurczem. Przed oczyma ujrzał bowiem swój rodzinny dom i przez chwilę uległ nawet złudzeniu, że w pobielanej izbie spotka zaraz stęsknioną matulę i ojca, którzy na pewno czekali na niego, wierząc, że we właściwym czasie do nich wróci.

– Matko, ojczy, przyprowadziłam człowieka w potrzebie – oznajmił jasnowłosy anioł z długim warkoczem, wprowadziwszy Marcina do sieni.

– Dzień dobry – przywitał się chłopak, wspierając się o drewnianą framugę. Zobaczył niemłodą już, ale też i niestara, jasnowłosą kobietę z warkoczem zaplecionym w koronę, w sięgającej kostek, zmechaconej spódnicy, jasnej bluzce i w zarzuconej na plecy wełnianej chuście. Obok niej stał nieco już posiwiały mężczyzna z sumiastym wąsem, w lnianej koszuli i spodniach z luźnymi nogawkami. Przez chwilę Marcin poczuł się skrępowany, a nawet się zląkł, że ci ludzie lada chwila go odprawią. Przyjemne ciepło już dotknęło jego zziębniętego ciała i na myśl, iż miałyby wrócić w zimnicę, przeszył go tak dotkliwy ból, że aż zadygotał.

– A wprowadźże, Sabinko, czym prędzej tego wędrowca, bo wygląda tak, jakby lada chwila duch miał z niego ulecieć – orzekł gospodarz.

Na wymęczonej twarzy Marcina pojawił się uśmiech ulgi. Nie pamiętał dokładnie, co się działo potem. Fragmenty wydarzeń przeskakiwały w głowie niczym elementy niekompletnej układanki. Widział siebie siedzącego na wyścielonej baranym futrem ławie i czuł, że ledwo może połknąć ciepłą polewkę, którą drewnianą łyżką karmiła go blondwłosa dziewczyna, a już za moment dygotał jak w febrze, bo zdawało mu się, że wpadł w łapy wroga. Patrzył w sycący zmysły, napełniający poczuciem bezpieczeństwa płomień na palenisku, a zaraz zakrywał oczy, bo zdawało mu się, że dosięgnie go ogień artylerii. Wyczerpany po ponadludzkiej wędrówce, otulony ciepłem i serdecznością, nie mógł uwierzyć, że jego gehenna dobiegła końca. A kiedy już myślał, że oszalał, że to niemożliwe, by los nagle zesłał mu ratunek, patrzył w oczy swojej wybawicielki, jawiącej się mu teraz jako najprawdziwsza wysłanniczka niebios, i rozpierała go niesamowita radość.

Tak balansował na granicy jawy i snu przez pierwsze dni, gdy trafił pod strzechę Skowrońskich. Ale z czasem, odkarmiony i otoczony opieką, powoli odzyskiwał siły i wracała mu pamięć. Rzadko się odzywał, ale przepelniała go wdzięczność dla gospodarzy, Władysława Skowrońskiego i jego żony Teresy, którzy uchylili przed nim drzwi swojej chałupy, traktując jak swojego. Szczególną atencją darzył pannę Sabinę, bo to dzięki niej dostał szansę, by przetrwać. By na nowo zacząć żyć. Bo nie dało się ukryć, że to życie było inne niż los, jakiego doświadczał przez dwadzieścia osiem wiosen swojej egzystencji, a zwłaszcza ostatnie trzy lata niewoli. Wolałby nie pamiętać tego czasu, a jednak nie umiał o tym zapomnieć. Patrzył też z tkliwością na zwykle siedzącą w rogu izby na starym, wymoszczonym miękkim kocem fotelu lub przy kołowrotku starowinkę Anielę, babkę Sabiny. Odkąd pojawił się u Skowrońskich, nie zamienił z nią nawet słowa. Mimo to często łapał jej łaskawe, jakby nieco

współczujące spojrzenie i wiedział, że Aniela jest mu przychylna. Tak jak przychylna była mu cała ta rodzina.

Codziennie klękał przed wiszącymi obok siebie na ścianie w większej izbie obrazami Matki Bożej Niepokalanej oraz Serca Jezusa i słowami gorącej modlitwy dziękował za ocalenie. Ze wzruszenia zbierało się mu zwykle na płacz, ale widząc, że przeważnie przyglądała mu się wtedy Sabina, starał się powstrzymać łzy. „Co to za kawaler, co płacze przed dziewczyną”, ganił siebie w duchu i unosząc wyżej złożone dłonie, jeszcze żarliwiej wymawiał słowa wyuczonych modlitw.

Wiele tygodni dochodził do siebie, ale nastał czas, że wreszcie mógł pewnie stanąć na własnych nogach. Właściwie nie pamiętał tych pierwszych słotnych, późnojesiennych dni, gdy pojawił się w Bukowej Górze. Ledwo mógł sobie przypomnieć mroźną zimę i spędzone u Skowrońskich święta Bożego Narodzenia. Zanurzony jeszcze w dręczących wspomnieniach, siedząc przy piecu, powoli dochodził do zdrowia. Dobrze było mu w chacie swoich dobrodziejów, przywyknął do okazywanej mu troski, ale gdy okrzepnął, starał się odwdzińczyć za okazywane mu każdego dnia dobro. Chodził z Władysławem nad jezioro, gdzie łowili ryby, ale czuł się tam nieswojo, bo rozpraszało go wspomnienie miedzianowłosej nieznajomej, której nie potrafił wyrzucić ze swoich myśli i z serca. Ganił się wtedy w duchu, że znów wypuścił z sieci okazałego szczupaka, za którego na pewno dostaliby sporo na targu. Władysław patrzył jednak na młodego przybysza, którego nie wiedzieć kiedy zaczął traktować jak syna, z wyrozumiałością i raz za razem tłumaczył, jak zarzucać sieci, by złapały się w nie najprzedniejsze okazy. Marcin czuł się wówczas rozdarty jak mały kiedyś, bo chciał się odwdzińczyć ludziom, od których doświadczył tyle dobroci. Zarazem nie mógł nic poradzić na to, że tamto dziwne zdarzenie, którego nijak nie potrafił wytłumaczyć, odcisnęło

na nim takie piętno. Wciąż był pod głębokim, czarownym, lecz niepokojącym go wrażeniem tajemniczej Marany. Czasem, leżąc przed snem, zastanawiał się, czy to przypadkiem nie jakaś mara albo kostucha, która przyszła wtedy, by zabrać go na tamten świat, ale od razu odpowiadał sobie w myślach, że niewiasta o tak cudownych przymiotach nie może pochodzić od czorta ani mieć złych zamiarów.

Mimo że Marcinowi przeważnie, gdy myślał o tym, czego nie potrafił pojąć rozumem, wszystko leciało z rąk, garnął się do pracy. A że szybko rozniosła się wieść o kawalerze, który uszedł z rosyjskiej niewoli i zamieszkał w chacie Skowrońskich, również sąsiedzi ruszyli z pomocą. Po wojnie większości zagładała wtedy w oczy bieda, ale w Bukowej Górze i okolicy każdy każdemu był bratem. Zatem gdzie się tylko dało, polecano Marcina, a on, choć nieraz rozkojarzony, miał dryg i garnął się do roboty.

Wiedział, że rychło musi odejść w rodzinne strony, bo coraz bardziej tęsknił za matulą i ojcem, ale ciągle zwlekał z decyzją. Najpierw dochodził do siebie, a wydobrzawszy, powiedział sobie, że wyruszy zaraz, gdy ziemia nieco obeschnie po pierwszych roztopach. Ale gdy marcowe słońce ogrzało pola, a później w sadach zaróżowiło się i zabieliło od kwitnących jabłoni i czereśni, Marcin stwierdził, że zanim odejdzie, powinien się odwdzińczyć gospodarzom. Zaraz potem nastął maj, a chłopak tydzień za tygodniem zwlekał z odejściem. Coś go tutaj trzymało, nie dawało spokoju, nie pozwoliło o sobie zapomnieć. Nie był pewien, ale podejrzewał, że chodziło o tajemniczą Maranę i jej niezrozumiałe słowa, które wciąż pamiętał w najdrobniejszych szczegółach.

Bywały różne dni: jedne naznaczone nostalgią i tęsknotą za czasami dzieciństwa i młodości – wtedy to Marcin podrywał się, skory już nazajutrz wyruszyć do Maciejowa. Po nich nastawały takie, gdy znów ogarniała go radość z bycia w tym miejscu, z ludźmi, którzy stali się mu tak samo bliscy

jak jego prawdziwa rodzina, i nie wyobrażał sobie, by nigdy więcej miał nie usiąść z nimi przy wspólnym stole. Raniło go to spostrzeżenie, ale wiedział, że wreszcie będzie musiał odejść.

Dzisiaj był jeden z tych dni, gdy Marcin czuł się tak, jakby mieszkał w Bukowej Górze od kołyski. Ledwo wstał, zjadł strawę z domownikami i wyruszył do lasu, gdzie miał pomagać przy wyrębie drzew. Cieszył się, że dzięki tej pracy będzie mógł spłacić Skowrońskim swój dług. Choć szlachetni gospodarze powtarzali, że nie jest im nic winien poza życzliwym słowem i przychylnymi myślami, Marcin wziął sobie do serca, że za tak szczególną gościnność należy się wyjątkowa zapłata. Ubolewał, że jest biedny jak mysz kościelna, ale wierzył, że skoro otrzymał szansę na nowe życie, los na pewno sprawi, że kiedyś będzie w stanie odwdzińczyć się swoim dobrodziejom. Bolały go ręce i czuł na barkach wyjątkowy ciężar, ale wracał do chaty szczęśliwy, tym bardziej że nazajutrz leśniczy Jamróż znów chciał go widzieć w swojej ekipie. Marcin był mu wdzięczny za tę szansę, bo sam wysoki i szczupły, przy roślących mężczyznach wydawał się wątły niczym lebioda. Robił jednak wszystko, by brak tężyzny wyrównać sprytem i pracowitością. Udało się i Marcin gratulował sobie tych kilku godzin harówki w lesie, dzięki którym czuł się pożyteczny.

Gdy dotarł do rozwidlenia drózek, z których jedna prowadziła do wsi, a druga nad jezioro, stanął i się zawahał. Kusilo go, by znów pójść do miejsca, gdzie spotkał tajemniczą Maranę. Zwłaszcza że tej nocy mu się przyśniła i była tak samo piękna jak wtedy, gdy ujrzał ją wychodzącą z czółna. Ostatnio, gdy łąki obsypały się kwiatami, a ptaki w najlepsze wyśpiewywały swoje najpiękniejsze pieśni na powitanie lata, Marcin coraz częściej i jeszcze intensywniej myślał o tajemniczej miedzianowłosej panie. Ganił siebie w duchu, że zadurzył się w kimś, kto nie istnieje, ale nijak nie potrafił zapanować nad tym szaleńczym uczuciem. Choć

w Bukowej Górze mieszkał zaledwie od kilku miesięcy, okoliczne panny chętnie wodziły za nim wzrokiem. Zauważył, że także Sabina spogląda na niego przychylnie, i było mu niezręcznie, że nie może wyjść naprzeciw jej oczekiwaniom.

Od zawsze miał w sobie to coś, co przyciągało do niego dziewczęta, i nie musiał się wysilać tak jak jego kompani, by się podobać. Jeszcze przed wojną niejedna mniej cnotliwa proponowała mu swoje wdzięki. Rzadko korzystał z takich okazji, ale młodość rządziła się swoimi prawami i Marcin od czasu do czasu skusił się na to, co z radością ofiarowały niektóre dziewczki ze wsi. Zanim ruszył, zawahał się jeszcze, ale i tak wiedział, że musi tam pójść. Tęsknił za Maraną, jakby była prawdziwą kobietą z krwi i kości, a nie utkaną z mirażu zjawą, której nadał wyjątkowe znaczenie.

Tafla jeziora skrzyła się w blasku późnopołudniowego słońca, a ziemia wydzielala ten specyficzny zapach, jaki można poczuć tylko wtedy, gdy dni stają się coraz dłuższe, a przyroda buzuje od nagromadzonej energii. Marcin pomyślał, jak cudownie byłoby ujrzeć piękną miedzianowłosą, przytulić się do niej jak do żywej kobiety, a potem pochwycić ją za rękę i ruszyć hen w ukwiecone łąki, by po chwili spocząć z nią na trawie i wpić wargi w jej karminowe usta. Coraz bardziej tęsknił za miłością i usiadłszy w miejscu, gdzie pamiętnego listopadowego dnia znalazła go Sabina, zmrużył powieki i jeszcze śmieiej oddawał się takim wizjom. Co jakiś czas zerkał na jezioro, sprawdzając, czy przypadkiem do brzegu nie płynie czółno z połączonym kadłubem, albo unosił wzrok na wzgórze, wyobrażając sobie, że zza wierzchołków drzew wyłania się warowny gród. Gdy jednak spostrzegł, że słońce znacznie się obniżyło, skoczył na równe nogi i porzucając rojenia, popędził do wsi. Wpadłszy do chaty, zamiast pójść do głównej izby i przywitać się z domownikami, wsunął się najpierw do mniejszego pomieszczenia, które traktowano jak

spizarkę, gdzie urządzono mu kąt, i podszedł do drewnianego łóżka pod oknem. Wsunął rękę pod wypełnioną gryczaną łuską poduszkę i wyjął szmaciane zawiniątko. Potem usiadł na skraju siennika, z czią rozchylił materiał i spojrzął na kamienne serce.

„A więc nie oszalałem. To naprawdę się wydarzyło”, skonstatował z błogim uśmiechem. Robił tak zawsze, gdy wydawało mu się, że za bardzo podryfował ku niewiadomemu. Nie potrafił wytłumaczyć tego, co mu się przytrafiło, i czasem ogarniał go wstyd za obrazy, które podsycił w swojej wyobraźni. Choć chciał, nie umiał z tym skończyć, bo świat, w którym on i piękna Marana żyli jako para, nęcił go niczym płomień ćmę, mamił słodką obietnicą czegoś, co przecież nie miało prawa się ziścić.

– Marcinie, dobrze się czujesz? – Przez otwarte drzwi do izby zajrzała Teresa.

Chłopak aż podskoczył. Poczł się tak, jakby ktoś przyłapał go na jakimś niecnym występku. Schował za siebie kamień i spojrzął na gospodynię z niemrawym uśmiechem.

– Ta... tak – wydukał.

– Pewnie jesteś głodny i zmęczony, myśleliśmy, że Jamróz wcześniej cię wypuści – powiedziała kobieta.

– Eee, było sporo roboty – odparł prędko, jakby ktoś włożył mu te słowa do ust.

Potem, gdy się upewnił, że został sam, zawinął kamień w kawałek tkaniny i znów wetknął pod poduszkę. Czasem, gdy w nocy przekręcał się na drugi bok, czuł, że kamień gniece go w głowę i kark, ale naiwnie sądził, że jeśli będzie miał go blisko siebie, spłynie na niego błogi sen o pięknej miedzianowłosej. Skoro nie mógł znaleźć Marany na brzegu jeziora, zaczął wypatrywać jej w snach, gdy zmęczony, ale z nadzieją, zamykał powieki,

licząc na to, że uda mu się rozwiązać zagadkę tamtego niesamowitego listopadowego zdarzenia.

Idąc do drzwi, zahaczył o żarna i potrącił stojący obok wielki gliniany dzban. Zaklął pod nosem, zganiwszy się za niezgrabność, i ruszył do głównej izby. To tam było serce domu, tam spotykali się domownicy, sąsiedzi zachodzili z wizytą i Marcin czuł, że też należy do tego miejsca. Przekroczywszy próg, z rozkoszą zaciągnął się zapachem kapusty z grochem i ziemniakami. Teresa była dobrą kucharką, zwyczajne danie potrafiła przyrządzić tak, że smakowało jak najznakomitszy specjał.

Marcin przywitał się, a zanim zajął miejsce przy stole, rozejrzał się wokół. Aniela, tak jak zazwyczaj, siedziała w swoim fotelu i cerowała odzież. Teraz, wiosną, na ile dała radę, pomagała też w ogródku i zagrodzie, ale najczęściej córka Terenia, jak staruszka mówiła do statecznej Teresy, przydzielała jej jakieś drobne zajęcia. Gospodyni Skowrońska najchętniej zupełnie zakazałaby matce wszelakich prac, ale uparta staruszka oznajmiła, że nie będzie darmozjadem i za nic miała to, że rodzina chciała jej ulżyć.

– Matko, mało to się w życiu napracowaliście? – mówiła nieraz Teresa do rodzicielki, choć wiedziała, że jej słowa i tak wpadają do głuchej studni. – Teraz to już powinniście tylko odpoczywać i koronkę za nas odmawiać, coby nam wszystkim zdrowie służyło.

Aniela kiwała wtedy z politowaniem głową i uśmiechała się zagadkowo. W ogóle rzadko kiedy się odzywała, przyglądała się za to wszystkim przenikliwie i kiedy nieraz patrzyła tak na Marcina, miał wrażenie, że starowinka widzi nawet jego myśli i podkolorowane w jego głowie obrazy. Spuszczał wtedy wzrok, ale i tak w pewien sposób czuł się zdemaskowany. Dziś, gdy zasiadł nad miską kapusty, którą Teresa hojnie okrasiała skwarkami, spojrzenie starej Anieli paliło go jeszcze bardziej niż zwykle. W pewnym momencie omal się nie udławił ziemniakiem, który

niebezpiecznie utkwiał mu w gardle. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie czujność Sabiny. Ledwo zaczął się krztusić i kaszleć, a dziewczyna już była przy nim i dalej zaczęła okładać go po plecach.

– Oj, widać, jaki Marcin dziś wygłodniały – żartowała, gdy chłopak mógł wreszcie spokojnie złapać oddech.

Spojrzał na nią zażawionymi oczami i zrobiło mu się wstyd, bo wyszło na to, że jest strasznie łakomy.

Sabinka rzadko ulegała ponuremu nastrojowi. Była najbardziej wesoła z całej rodziny. Nieraz myślał, że to głównie dzięki jej promiennemu uśmiechowi i żartom tak szybko wrócił do zdrowia. Nie znał wcześniej panny o tak szelmowskiej naturze. Podobała się mu, ale widział w niej raczej siostrę, towarzyszkę śmiesznych i miłych rozmów, z którą można podowcipkować, wiedząc, że się nie obrazi. Dziś jednak żartobliwe uwagi Sabiny wyjątkowo go drażniły. Odkąd wrócił znad jeziora, nie mógł znaleźć sobie miejsca, jak mało kiedy potrzebował samotności.

Dziewczyna chyba odczytała jego nie najlepszy nastrój, bo od razu dała mu spokój i wkrótce wyszła z chaty razem z Teresą. W izbie zostali tylko Marcin i niepuszczająca z niego wzroku Aniela. Kiedy zjadł, wstał, i żeby jak najszybciej ukryć się przed czujnym okiem staruszki, pospiesznie ruszył do drzwi. Grzeczność wymagała, by zanim wyjdzie, się pożegnał. Najchętniej już przemknąłby do sieni, ale w ostatniej chwili się odwrócił, skłonił grzecznie i podziękował.

– A niechże tu Marcin do mnie na chwilę podejdzie – usłyszał niski głos Anieli, który, jak mu się zdawało, za nic nie pasował do tej drobnej, pomarszczonej postaci.

Jak niepyszny wrócił i stanął obok fotela, gdzie siedziała kobiecina.

– Podajcież ten kaftan, bo mi z rąk wyleciał – poprosiła Aniela, wskazując wykrzywionym artretyzmem palcem pod nogi.

Marcin się schylił, sięgnął po leżące na podłodze ubranie i podał je starowince.

– Bóg ci zapłać, Marcinie – podziękowała Aniela z dziwnym, nieco psotnym uśmiechem.

Marcin wiedział, że babcia celowo upuściła kaftan, by go do siebie przywołać. Nie wiedział tylko dlaczego. Czy chciała z niego zażartować, bo przez cały czas siedział przy ławie sztywny jak kij od miotły? A może brakowało jej rozrywki i zamierzała się zabawić jego kosztem.

– Pomóc wam coś jeszcze? – spytał Marcin, siłąc się na uprzejmy ton.

– Oj, Marcinie, ślepyś ty, ślepy... – powiedziała staruszka, kręcąc głową. – Szukasz skarbów tam, gdzie ich nie ma, a pod nosem masz najcenniejszy klejnot.

Poczerwieniał na twarzy i zakasłał nerwowo. Nie wiedział, jak się odnieść do słów Anieli. Ostatecznie je zbagatelizował i opuścił głowę.

– Idź do starego Basałyka, co mieszka w lesie, to opowie ci o tej twojej panie znad jeziora, cobyś nie uschnął z tęsknoty – zaleciła Aniela kpiącym tonem.

Teraz Marcin był pewien, po kim Sabina odziedziczyła szczególny humor i cięty język, którym wszakże dziewczyna nigdy nikogo nie zraniła, a jedynie wprowadzała w dobry nastrój.

Przez dłuższą chwilę patrzył na staruszkę jak gapa, z otwartymi ze zdziwienia ustami, ale w końcu się skłonił, podziękował i wyszedł.

Słyszał już o mieszkającym w środku lasu Basałyku, który leczył ludzi ziołami i Bóg wie czym jeszcze, bo różnie o nim gadano. Przewisko starzec zyskał ponoć dzięki swojej nie najlepszej reputacji. Nikt nie pamiętał, jak się nazywał wcześniej, ale mawiano, że za młodu był z niego straszny hultaj i rozrabiaka. A w leśnych ostępach w okolicy Bukowej Góry ukrył się przed jakimiś zbirami, z którymi miał na pieńku. W każdym razie

wybudował za bagniskiem szałas, a po latach rozniosła się wieść, że Basałyk potrafi więcej niż stara Jamrózowa, szeptucha mieszkająca za Ratajnikami.

Słowa Anieli tak dalece zapadły Marcinowi w pamięć, że tylko wyczekiwał okazji, by nie wzbudzając podejrzeń, udać się do Basałyka. Rozmawiając ze Skowrońskimi i sąsiadami, starał się delikatnie wybadać, czy wiedzą, gdzie dokładnie stoi szałas tego osobliwego człowieka. Nikt jednak nie potrafił dać mu konkretnej wskazówki. Pomimo tego Marcin uznał, że jeśli ma tam trafić, na pewno znajdzie właściwą ścieżkę.

Któregoś lipcowego poranka nadarzyła się wreszcie okazja, by udać się na leśną pielgrzymkę. Sabina pojechała z rodzicami do mieszkającej dwie wioski dalej stryjenki, zaś Anielę zaprowadzono do sąsiadki Matysiakowej, jej serdecznej przyjaciółki z lat młodości. Walerka Matysiakowa, choć o wciąż jasnym umyśle, już od kilku lat nie wstawała z łóżka i nie mogła się wybrać do ulubionej kumy. Aniela rzadko chodziła gdzieś w gości, ale uznawszy, że trzeba by się spotkać, bo nie wiadomo, po którą z nich pierwszą może nadejść kostucha, dała się przekonać, by odwiedzić przyjaciółkę.

Zdenerwowany Marcin na nieco drżących nogach przemierzał bukowy las, starając się zapamiętać mijane po drodze drzewa i charakterystyczne elementy krajobrazu, żeby potem odnaleźć drogę powrotną. Czuł się nieswojo, bo wcześniej rzadko chadzał tutaj sam. Nieobce były mu odgłosy zwierząt, ale i tak truchlał, gdy to tu, to tam zauważał ruszające się krzewy, za którymi najpewniej chowali się dzicy mieszkańcy lasu. Co jakiś czas wsuwał rękę do kieszeni spodni i sprawdzał, czy nie wypadło z niej zawinięte w tkaninę kamienne serce. Uznał, że jeśli oczekuje rady Basałyka, powinien pokazać mu przedmiot łączący go z historią tajemniczej Marany.

Ucieszył się, gdy wreszcie za drzewami ujrzał stojącą pośrodku niewielkiej polany lichą drewnianą chatkę. Siedział przed nią zgarbiony, chudy staruszek z zawiniętą wokół głowy chustą, spod której wystawały długie pasma siwych włosów, przez co skojarzył się Marcinowi z jakimś dziwakiem. Odziany w lniane spodnie i biały kaftan z szerokimi rękawami, zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Z szyi staruszka zwisały kolorowe, nanizane na rzemyk, kamienne paciorki i zaplecione w łańcuszkowy splot zioła.

Marcin obawiał się, czy przypadkiem nie zakłóci spokoju mieszkańca tego dzikiego zakątka. Stąpał cicho, zastanawiając się, w jaki sposób wyłuszczyć sprawę, z którą tutaj przyszedł, gdy nagle usłyszał wysoki i nieco piskliwy głos gospodarza.

– Wreszcie się pojawiłeś – rzucił na powitanie Basałyk, po czym podniósł się ze sterty chrustu, na której siedział, i zbliżył się do gościa.

– Dzień dobry – wydukał coraz bardziej stremowany Marcin.

– Pytaj... – powiedział starzec, patrząc na chłopaka tak przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu, że Marcin aż zachwiał się na nogach.

Zamiast zadać pytanie, włożył rękę do kieszeni portek i wyjął zawiniątko, które rozsupłał i położył na otwartej dłoni tak, by Basałyk mógł dokładnie zobaczyć zawartość.

– Ale ci się poszczęściło. – Starzec głośno zarechotał, co trochę skojarzyło się Marcinowi ze śmiechem szaleńca. – Prawdziwym skarbem cię obdarzono.

– Dostałem to od pięknej miedzianowłosej panny, która rzekła mi, że zwie się Marana – wymamrotał Marcin, patrząc wyczekująco na starca. Nie wiedział, jak z nim rozmawiać, by się nie narazić na śmieszność. Zdawał sobie sprawę, że przyszedł tu z nietypową sprawą.

– Dlaczego wątpisz? – Staruszek wbił w Marcina uważne spojrzenie. – Wszak zostałeś uhonorowany jak mało kto. Dane było ci zobaczyć świat, który inni mogą poznać jedynie w słowach legendy.

– To znaczy, że to... że to, co widziałem, tamto piękne zdarzenie... że to prawda? – Poruszonemu Marcinowi aż zadrżał głos od rozbudzonych nagle emocji.

W odpowiedzi starzec tylko lekko skinął głową.

– Jak mam ją znów zobaczyć? Co zrobić, by ją spotkać? Ciągle o niej myślę i...

– Ona nie należy do ciebie – przerwał Basałyk coraz bardziej rozgorączkowanemu Marcinowi. – Z wdzięcznością skorzystaj z tego, czym zostałeś obdarowany.

– Ale... ona... Marana... ja nie potrafię o niej zapomnieć – wyznał Marcin smętnie, niemal płaczliwie.

– To ty nadałeś jej takie znaczenie, zakochałeś się w iluzji – orzekł Basałyk. – Zwiodły cię i omamiły miraże, oddalając od prawdziwego życia.

– Jak to? – Marcin spojrzał na leżące i roztaczające na jego dłoni złocistą poświatę kamienne serce, a potem przeniósł wzrok na staruszkę.

– Tylko żyjąc i doświadczając, człowiek da radę naprawdę kochać i prawdziwie czuć. Serce można bowiem oddać jedynie żywemu człowiekowi, a nie zjawie. Co rychlej porzuć te niepotrzebne mrzonki, a zauważysz, jakim dobrem zostałeś obdarzony.

Marcin smętnie zwiesił głowę i zapatrzył się w porastające gęstą trawę blad różowe stokrotki. Te drobne kwiatki zawsze kojarzyły mu się z radością, nieoczekiwaną niespodzianką, a teraz towarzyszyło mu jedynie dotkliwe uczucie porażki. Jakże się mylił, wierząc, że Basałyk zaleczy jego rozdygotane serce i udzieli mu odpowiedzi na dręczące go pytania. Jakimż

był głupcem, przychodząc tutaj i ukazując swoją naiwność. Na co liczył?
Na cud?

Starzec spojrzał na strapioną minę stojącego przed nim chłopaka, na jego zgięte plecy, które skojarzyły mu się z powaloną przez wichurę wierzba, i zrobiło mu się go żal. Ludzie przeważnie żądali od niego niemożliwego, chcieli konkretnych wskazówek, by iść w stronę łatwego życia, a tego nie mógł im dać. Starzec wiedział, że każdy sam jest kowalem własnego losu i nie tyle nie chciał, ile czasami nie mógł udzielać pewnych rad. Z tym chłopakiem było jednak inaczej. Wiele przeszedł i omamiło go piękno nie z tego świata. Basałyk podjął nagle decyzję, że opowie mu pewną historię i może to sprawi, że otworzy on szerzej oczy i dostrzeże szczęście, jakim został obdarowany. Albo choć uspokoi jego roztrzęsione serce.

– Pójdź za mną – rzekł do chłopaka i wskazał ręką ścieżkę prowadzącą na wzniesienie.

Zmarkotniały Marcin bez słowa ruszył za staruszką, właściwie nie oczekując już niczego. Wspinali się przez kilkanaście minut, aż doszli na szczyt, pośrodku którego leżały porośnięte mchem fragmenty muru. Tu i ówdzie wystawały z ziemi oszlifowane przez czas głązy. Starzec przysiadł na jednym z nich, zapraszając gestem Marcina, by spoczął obok. Młodzieniec podszedł niepewnie, przez chwilę przebierał nogami w miejscu i w końcu też usiadł. Dopiero teraz, gdy lekko uniósł głowę i spojrzał przed siebie, dostrzegł migoczące w oddali jezioro.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – Basałyk spojrzał na niego pytająco.

Marcin domyślał się tego, ale nie był pewien, dlatego wolał milczeć.

– Tutaj stał jej zamek. – Starzec uniósł rękę i zatoczył w górze koło. – Była dobrą, mądrą królową, bo rozstrzygając spory, zawsze kierowała się sercem. Nie znalazłby człowieka, który miałby jej coś do zarzucenia.

Mówiono na nią „Złota Marana”, bo czystość jej myśli i intencji sprawiała, że roztaczała wokół siebie wyjątkowy blask.

Po słowach Basałyka Marcin wsunął dłoń do kieszeni i odruchowo ścisnął kamienne serce, które tam schował, zanim wyruszyli na wzgórze. Upewniając się, że jest ono na właściwym miejscu, wyjął rękę i położył na kolanie.



Każdego popołudnia w jednej z zamkowych sal władczyni przyjmowała swoich poddanych, służąc im radą. Nie było niezadowolonego z jej mądrych wskazówek do momentu, aż kiedyś przed tronem Marany stanęła czarnowłosa dziewczyna o idealnej, lecz nieco niepokojącej urodzie. Z jej ciemnych oczu zdawała się wyzierać zuchwałość, lecz Marana nie nawykła oceniać ludzi, zanim nie usłyszała, z czym do niej przyszli. W ogóle nie ośmielała się nigdy wypowiadać sądów ani nikogo pouczać, a jedynie w rozmowie naprowadzała tak, by każdy sam pojął, co mu leży na sercu, i odgadnął najlepsze dla siebie rozwiązanie.

– O pani, w tobie jedyna nadzieja, proszę, pomóżcie mi. – Dziewczyna z przesadnym uniżeniem padła do stóp królowej.

– Wstań – powiedziała Marana z uśmiechem. – Co cię trapi?

– Serce mojego wybranka jest zamknięte na wszystkie spusty. Nie patrzy na mnie jak na kochankę, jeno jak na siostrę – załkała dziewczyna. – Proszę, sprawcie, pani, by był mi przychylny. Uczyńcie, by jego serce zabiło dla mnie, a nie dla tej, za którą od dłuższego czasu wodzi wzrokiem.

Marana spojrzała na poddaną spod zmrużonych powiek. Nie mogła uczynić tego, o co ta ją prosiła. Ludzie zbyt często przeceniali jej rolę jako

władczyni. Nie mogła, a przede wszystkim nie chciała się mieszać w prastare prawa.

– Miłujesz go? – spytała Marana, choć w spojrzeniu dziewczyny ujrzała namiętność bliską zaślepieniu, a nie miłość.

– Miłuję, o pani, z całego serca go miłuję! Miłuję tak mocno, że spać przezeń nie mogę, a kiedy myślę, że on marzy o tamtej, mam ochotę jej oczy wydrapać!

Przesycone nienawiścią słowa dziewczyny jeszcze upewniły Maranę co do jej niedobrych intencji.

– Nie mogę ci pomóc, skoro serce twojego wybranka należy do innej. Nikogo nie można zmusić do miłości – oznajmiła z całą stanowczością.

– Przecież potraficie to, pani. – Twarz dziewczyny wykrzywił grymas zawodu. – Powiadają, że nie ma dla was niemożliwego, że samym spojrzeniem dacie radę sprawić, by ludzie stali się lepsi.

– On nie dla ciebie – rzekła Marana. – Spotkasz takiego, któremu sama podasz klucz do twojego serca, by nie musiał go szukać.

– Tylko jego chcę, Miłomira! Żadnego innego!

– Udaj się nad jezioro, zanurz się weń i zostaw w jego toni swoją tęsknotę – poradziła Marana. – A potem usiądź pod czereśnią, która ze wszystkich drzew najprzychylniejsza kobietom, i poproś, by dała ci ukojenie, a zabrała smutki.

Dziewczynie nie spodobały się rady władczyni. Po jej niezadowolonym spojrzeniu było widać, że nie tego oczekiwała. W podzięcie skinęła jedynie głową, dygnęła z przymusem i się oddaliła.

Marana westchnęła, czując, że ziarno jej rad padło na jałowy grunt. Jednocześnie po raz pierwszy w życiu poczuła coś dziwnego. Jakiś nieokreślony lęk wyłonił się z jej serca, a potem nie chciał odejść, tylko zaczął się nieopodal, gotów kiedyś znów o sobie przypomnieć.

Minęło kilka tygodni, a dziewczyna kolejny raz zjawiła się w zamku, padła przed tronem Marany i z jeszcze większą, niemal równą obsesji stanowczością poprosiła o to, co poprzednio. Ale usłyszała od władczyni te same słowa. Wychodząc później z paradnej sali, tym razem poddana nie podziękowała choćby lekkim skinieniem głowy, za to zostawiła za sobą złość. Marana westchnęła, a w jej sercu znienacka znów pojawił się tamten dziwny lęk, o którym zdawała się już nie pamiętać. Na szczęście i tym razem z czasem o nim zapomniała.

Mijały tygodnie i miesiące, a uciążliwa poddana więcej się nie pojawiała. Aż któregoś z pierwszych marcowych dni pewnym krokiem znów wkroczyła do zamkowej sali, ledwo władczyni zasiadła na tronie. Zanim wypowiedziała to samo, co poprzednio życzenie, zmierzyła królową wyniosłym, jadowitym spojrzeniem, jakby z góry wiedziała, jaką otrzyma odpowiedź. Marana jota w jotę powtórzyła zdania, które tamta знаła już na pamięć. Choćby nawet użyła innych słów, wydźwięk byłby ten sam. Po raz pierwszy trafiła jej się tak uparta poddana, która nie tylko podważała jej autorytet jako władczyni, ale swoim niedobrym charakterem sprawiła, że po jej wyjściu nawet dwórki zaczęły się kłócić między sobą, przekomarzając się, która z nich jest mądrzejsza i piękniejsza, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej.

– Obyś nie zaznała potęgi miłości, nim dopadnie cię starość! – wykrzyczała dziewczyna prosto w twarz władczyni.

Zaskoczona i oszołomiona Marana nie zdążyła nic rzec, ani nawet unieść ręki, gdy tamta już wypadła z zamkowej sali i pognąła przed siebie.

„To tylko nieważne słowa”, pocieszała się królowa, ale rzucone w nienawistnym szale prorocstwo sprawiło, że zaczęło się dziać z nią coś dziwnego. Gdy patrzyła w kryształowe zwierciadło, zdawało jej się, jakby rysy jej twarzy zaczęły się zmieniać. Na gładkim licu pojawiły się poziome

i pionowe kreski jak u dojrzałej kobiety, a w miedziane pukle pięknych długich włosów z każdym dniem wkradały się kolejne białe pasma. Także ciało Marany stało się słabsze i królowa nie mogła już tak często jak niegdyś oddawać się wędrówkom i jeździć na ulubionym wierzchowcu. Zmiany, które rozłożone na długie lata wydają się czymś naturalnym, królową zaskoczyły w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Starość dopadła Maranę znienacka. Władczyni nie była na nią gotowa. Poddani, nie wiedząc, jaka to straszna choroba trawi ich ukochaną królową, patrzyli na nią ze szczerym współczuciem. Nikt jednak nie potrafił jej pomóc. Nadal przychodzili do niej po wskazówki, gdyż kryształowego serca i szlachetnej duszy królowej nie dały rady osiągnąć złe czary. Marana wciąż z tą samą mądrością i współczuciem obdarzała każdego dobrym słowem, wbrew temu, co ją spotkało, przynosząc pytającym ukojenie i spokój.

Ale zło ma to do siebie, że choć na początku, często bywa mocniejsze, przeważa nad dobrem, to w ostatecznym rozrachunku nie może go pokonać. Nieoczekiwanie królowa dostała szansę, by odmienić swój los. Przechodząc kiedyś brzegiem jeziora, zmęczona przystanęła na chwilę i pochyliwszy się, ze smutkiem przyjrzała się swojej starczej twarzy w czystym lustrze błękitnej wody. Zapłakała gorzko nad młodością, która przeminęła zbyt szybko, i nad miłością, której nie dane jej było doświadczyć. „Nie płacz, to, co najpiękniejsze, dopiero przed tobą”, usłyszała cichy, kojący głos wody. Nie zdziwiła się, gdyż już wcześniej słyszała jezioro. Nie przez przypadek rodzice nadali jej imię „Marana”, czyli wodna. Od wczesnego dzieciństwa słyszała, jak szepcze do niej woda, a jezioro zdradziło jej wiele ze swoich tajemnic. Usłyszane teraz słowa pokrzepiły ją, ale nie wiedziała, czego może się spodziewać. Ostatnio wszystkie dni zlały się w jedno. Naznaczone bólem kości, bezsenność i inne starcze dolegliwości, o których Marana wcześniej nie miała pojęcia,

przybliżały ją do nieuchronnego końca. Podniosła się z trudem, wygładziła suknię i przesunęła dłonią po teraz już całkiem siwych włosach, których nagle dotknął wiatr. Spojrzała wzdłuż brzegu, tam, gdzie rósł najokazalszy tatarak. Wydawało jej się, że kogoś tam widzi. Zanim ruszyła w tamtą stronę, kilkukrotnie przetarła oczy, wzrok bowiem ostatnio coraz częściej ją mylił. Powoli, z mozołem, ale konsekwentnie, kroczył za kroczkiem zmierzała w kierunku szuwarów.

– Przecież to człowiek – skonstatowała z przejęciem, widząc leżącego na brzegu młodego mężczyznę. Sapiąc, z trudem ukucnęła obok niego, sprawdzając, czy żyje.

„Ależ on urodziwy”, pomyślała i ogarnął ją przeogromny żal, że nie miała okazji spotkać tego człowieka, zanim jej urodę przysłoniła starość. Chłopak żył, ale wyglądał na wycieńczonego. Ciężko oddychał, a jego ciałem co chwilę wstrząsały dreszcze. Nagle gdzieś ponad głową Marana usłyszała znajomy pisk. Mrużąc powieki, spojrzała w niebo i dostrzegła przyjaznego sokoła, który często przysiadł na najstarszym dębie obok okna jej komnaty. Niestety odleciał zbyt szybko, by zdążyła na niego dłużej popatrzeć. Po chwili zorientowała się jednak, że coś spadło na trawę. Wsunęła palce w długie źdźbła i wyjęła kamień. Uśmiechnęła się, nie był to bowiem zwykły kamień. Wyglądał jak utkany ze słonecznych promieni, a jego kształt przywodził na myśl serce. Przyglądała się temu osobliwemu znalezisku z wrażeniem, że wszelkie troski, które przyszło jej dźwigać na starczych ramionach, nagle ulatują, a w jej żyłach na powrót żwawo płynie krew. I wtedy poczuła, że ktoś mocno złapał ją za rękę. Zauroczona pięknem kamienia, na chwilę zapomniała o sobie i leżącym obok mężczyźnie. Teraz spojrzała na niego, a i on śmiało patrzył na nią.

– Jak ci na imię, o piękna pani? – spytał nieznajomy.

Te słowa sprawiły, że poczuła zakłopotanie. Daleko było jej bowiem do urody, z którą przyszła na świat. Nawet teraz widziała ciemne plamy na bladej, cienkiej niczym pergamin skórze swojej dłoni, którą obejmowała młoda i silna, mimo wycieńczenia, dłoń mężczyzny.

– Marana – rzekła z ciężkim westchnieniem, ale nie mogąc pozostać obojętną na wpatrzone w nią spojrzenie tego cudownego, blondwłosego młodzieńca, uśmiechnęła się promiennie.

– Maraanaa... – wymówił z czułością i dotknął białego pasma jej włosów.

Marana pomyślała, że powinien jak najszybciej znaleźć się w zamku, by obejrzał go medyk albo jej droga przyjaciółka, zielarka Gerta. Królowa posmutniała, gdy uświadomiła sobie, że wyczerpany i zapewne chory mężczyzna rychło znów przytomnie przejrzy na oczy, a wtedy zobaczy ją taką, jaka jest naprawdę: starą, schorowaną kobietę, której pewnie niebawem przyjdzie pożegnać się z tym pięknym światem, choć przecież nie zdążyła jeszcze odkryć wszystkich jego tajemnic. Nie miała szansy się nim nacieszyć.

– Pójdźcie ze mną – powiedziała do mężczyzny, gdy ten wreszcie wstał.
– Dacie radę?

Skinął głową, nie przestając wpatrywać się w nią jak urzeczony. Maranę peszyło to jego spojrzenie, ale też sprawiało jej przyjemność.

„Gdyby dane mi było spotkać tego młodzieńca wcześniej”, myślała gorzko, gdy potem wspinali się na zamkowe wzgórze. Ale o dziwo, jej ciało, choć nadal lekko zgięte i z pomarszczoną skórą, w drodze powrotnej nie męczyło się już tak bardzo jak w chwili, gdy z zadyszką zmierzała do jeziora. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale było jej jakoś lżej na duszy i ciele.

Gdy dotarli do zamku, nagle ogarnęła ją senność. Ledwo przekazała młodzieńca służbie, udała się do komnaty i osunęła na łożo. Obudziwszy

się, miała wrażenie, że od momentu, kiedy zapadła w sen, minęły całe wieki. Przez chwilę musiała sobie przypomnieć, kim jest, bo gdy wstała i spojrzała w lustro, ujrzała w nim gładkie lico, błyszczące młodością zielone oczy i burzę falowanych miedzianych włosów. Uniosła rękę, by się jej dokładnie przyjrzeć, ale nie znalazła na niej ani jednej plamki. Jej skóra znów była piękna i delikatna.

„Czy to był tylko sen?“, zastanowiła się, patrząc na zarzucone na łożu atlasowe nakrycie, spod którego dopiero co się wyslizgnęła. Wtem spostrzegła leżące na komodzie obok zwierciadła kamienne serce błyszczące złotą poświatą. A zaraz usłyszała w głowie słowa: „Zły czar już nie ma nad tobą władzy. Ciesz się życiem, Marano. Kiedyś, gdy nastanie inny, odległy czas, będziesz miała okazję, by pomóc komuś uwierzyć w miłość i przychylność losu”. Jeszcze w tym samym roku na zamku odbyło się huczne weselisko Marany i jej wybranka. Po kilku latach już nikt nie pamiętał o złym uroku rzuconym przez niedobrą dziewczynę, pod której postacią być może jakaś czarownica chciała złamać piękną i dobrą królową. Złote serce natomiast stało się symbolem zwycięstwa dobra nad złem, miłości nad obojętnością, łagodności nad gniewem, światła nad ciemnością.



Basalyk przerwał nagle swą długą, niezwykle wciągającą opowieść. Marcin znów wsunął rękę do kieszeni spodni i wyjął kamienne serce.

– To znaczy, że ono... że to serce... że sobie tego nie wymyśliłem... – dukał, poruszony do żywego słowami starca. Brzmiały niczym piękna baśń, niesamowita opowieść, ale chłopak wiedział, w najgłębszym zakamarku serca czuł, że to, o czym mówią, jest prawdą.

– Nie wymyśliłeś – potwierdził mędrzec spokojnym, cierpliwym głosem. – A teraz pójdź tam, gdzie na ciebie czekają.

Marcin się poderwał i spojrzał na Basałyka w oczekiwaniu. Nie usłyszał już jednak od niego żadnych wskazówek, ale i tak wiedział, co powinien zrobić.

Nazajutrz z samego rana zapakował tobolek, do którego włożył przygotowaną przez Teresę strawę i zawinięte w kawałek lnu złote serce, symbol nowego, dobrego życia. Od wczorajszej rozmowy z Basałykiem zaszła w nim jakaś zmiana, patrzył na wszystko inaczej, jakby po raz pierwszy. Z bólem serca odchodził od Skowrońskich i zanim wyruszył w drogę do rodzinnej wioski, musiał im obiecać, że kiedyś znów do nich wróci. Najtrudniej było mu się rozstać z Sabiną. Widział, że kiedy go zegnała, z trudem powstrzymywała łzy, a na koniec, chyba nie mogąc już zapanować nad rozpaczą, wybiegła z chałupy i pognąła hen przed siebie. Dziwnie mu z tym było, bo i jemu ścisnęło się serce, gdy na nią patrzył. A kiedy pomyślał, że miałby jej już nigdy więcej nie ujrzeć, aż zakłuło go w piersiach.

Idąc później do głównej drogi, wyrzucał sobie, że był wielkim głupcem, nie zauważając wcześniej, jakim los obdarzył go szczęściem. I nagle przypomniały mu się słowa Marany, które usłyszał tamtego pamiętnego dnia, gdy leżał wyczerpany na brzegu jeziora, że gdy się obudzi i otworzy oczy, odnajdzie miłość życia i zostanie w Bukowej Górze do końca swoich dni, bo właśnie to miejsce wybrało go, żeby mógł być tu szczęśliwy i stworzyć coś, co będzie przynosiło ludziom słodycz, rozkosz i radość. Nie wiedział dokładnie, czego ów przekaz miałby dotyczyć, ale był pewien jednego: dla kogo mocniej zabiło jego serce. Szkoda, że zrozumiał to dopiero teraz.

Bukowa Góra dzisiaj



Gdy wróciłam do siebie, dochodziła północ i dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że Rozalia i Gabriel położą się tak późno spać. Tym bardziej że jak wspomnieli, nazajutrz z samego rana miał przyjechać ktoś po odbiór zamówionej partii czekolad i starsza pani musiała być na nogach już o siódmej. Długo nie mogłam zmrużyć oka, bo w głowie przewijały mi się obrazy zasłyszanej wcześniej historii. Najchętniej od razu usiadłabym do laptopa i zaczęła pisać, ale z doświadczenia wiedziałam, że nic by z tego nie wyszło. Wielokrotnie przekonałam się, że nocna praca mi nie służy, a chęci nie szły w parze z możliwościami. Po dwudziestej drugiej mój umysł działał opieszale i nawet jeśli zaczynałam z werwą, zwykle szybko ogarniało mnie zmęczenie. Nie obawiałam się jednak, że zapomnę choćby fragment tej wyjątkowej gawędy, bo Gabriel, znakomity bajarz, opowiadał tak zajmująco, że mogłam odtworzyć tę historię w najdrobniejszych szczegółach.

Nie wiem, czy to przez niżową aurę z nieustannie od wczoraj sypiącym śniegiem, czy też przez fakt, że zaciągnęłam zasłony, z trudem się rano obudziłam i gdy zerknęłam na zegarek, od razu zerwałam się na równe nogi.

– Jedenasta?! – Wpatrywałam się w cyferblat szeroko otwartymi oczami. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio tak porządnie sobie pospałam.

Półmrok w pokoju sprzyjał odpoczynkowi, mimo to stwierdziłam, że dość lenistwa.

Rozsunęłam zasłony, przepędzając resztki ciemności, która leniwie przyłgnęła do domowych sprzętów. Spojrzałam w dół na otuloną świeżym śniegiem uliczkę, samochody ubrane w białe puchate czapy i zwisające z dachów sople. Na koniec zatrzymałam wzrok na wirujących w wietrznym tańcu śnieżynkach po drugiej stronie szyby i ogarnął mnie wyjątkowy spokój. Odczuwałam ten spokój nawet kilkanaście minut później, gdy wreszcie usiadłam przed laptopem i otworzyłam plik z nazwą: *Legenda o złotym sercu*. Od dawna nie czułam tak wielkiej przyjemności z pisania, przez cztery godziny niemal nie odrywałam rąk od klawiatury, a historia Marcina, choć jeszcze w początkowej fazie, ledwo zarysowana, z minuty na minutę nabierała coraz wyraźniejszych kształtów.

Nie chciałam naciskać na Witkowskich, mimo że ci wspominali, że znów zapraszają mnie na jutrzejszy wieczór gawęd, ale byłam ogromnie ciekawa dalszej części tej historii. Miałam wrażenie, że znam Marcina, Sabinę i jej rodzinę, a okoliczny las ze wzgórzem, gdzie kiedyś stała warownia, nabrał dla mnie nowego znaczenia. Oczywiście wyobraźni widziałam rozgrywające się tam wiele stuleci temu sceny. Wiedziałam, że w epoce żelaza w tym miejscu rzeczywiście istniał gród warowny, a w okolicy odkryto liczne ślady osadnictwa Celtów, więc miejscowa legenda o Złotej Maranie mogła mieć jakieś podstawy. To jeszcze bardziej pobudziło mój zapal do pracy. Nie byłam pewna, czy teraz, gdy zima zaatakowała z wyjątkową zapalczywością, można było dostać się do lasu i wejść na pagórek, gdzie pozostały ślady dawnych obwałowań. Bardzo chciałam to zobaczyć, bo przecież to miejsce stanowiło rdzeń legendy.

Gdy wreszcie wyłączyłam laptop, ogarnął mnie przyjemny rodzaj zmęczenia, jaki odczuwa się po dobrze wykonanej, satysfakcjonującej

pracy. Stanowiło to miłą odmianę po frustracji i zniechęceniu, z jakimi zwykle wychodziłam z redakcji „Niezwykłości”. Jedyne, co mi dokuczało, to głód. Po lichym śniadaniu – chcąc szybko zabrać się do pracy, zjadłam to, co miałam pod ręką – mój organizm upominał się o porządną posiłek. Kiedy wyszłam na zewnątrz, było już ciemno, i choć miałam w planie odwiedzić dziś Laurę i wyciągnąć ją na spacer, musiałam porzucić ten zamiar. Podejrzewałam, że popołudniami, gdy ze szkoły wraca Marysia, a z Krakowa przyjeżdża Błażej, moja nowa znajoma ma zapewne masę obowiązków.

Wobec tego ruszyłam do pobliskiej, sprawdzonej już przeze mnie jadłodajni, gdzie siedząc w przyjemnym ciepłym kąciku przy oknie, szybko zaspokoilałam głód okazałą porcją pierogów z serem i szpinakiem. Sytość sprawiła, że ogarnęło mnie przyjemne rozleniwienie i nie chciało mi się opuszczać przytulnego wnętrza. Widząc jednak kolejkę osób oczekujących na wolny stół, zebrałam się wreszcie i uregulowawszy rachunek, ruszyłam do wyjścia. Obeszłam niewielki rynek, podziwiając porozwieszane tu i ówdzie świąteczne ozdoby, chwilę powalęsałam się po ubranych w biel śniegu urokliwych zakątkach miasteczka, przyglądając się wymyślnym bożonarodzeniowym wystawom sklepów, a gdy znalazłam się przy przecięciu ulic, skąd jedna prowadziła do Złotego Serca, bez zastanowienia się tam skierowałam.

W kawiarni, tak jak poprzednio, panował spory ruch. Gdy weszłam, na moment stanęłam przy drzwiach, zastanawiając się, czy nie zawrócić. Nie zauważyłam Gabriela, ale Rozalia uwijała się przy ekspresie do kawy. Przy bufecie natomiast ustawiła się spora kolejka oczekujących. Kilkanaście sekund obserwacji otoczenia pozwoliło mi się rozeznac w sytuacji. Wiedziałam, co zrobić. W jednej chwili ruszyłam w stronę kontuaru.

– Dzień dobry – przywitałam się z Rozalią, która ledwo się do mnie odwróciła, a już musiała się skupić na parzeniu kawy.

Nie pytając o pozwolenie, przeszłam na drugą stronę lady, po czym umyłam ręce i stanęłam obok niej.

– Proszę mi powiedzieć, co mam robić – rzekłam z szelmowskim uśmiechem. – Jestem gotowa do pracy.

– Ależ Soniu... – zdążyła tylko powiedzieć Rozalia, bo choć najpewniej zamierzała mnie zaraz odprawić, nie dałam jej ku temu szansy. W jednej chwili zrobił się jeszcze większy ruch i chcąc nie chcąc, starsza pani postanowiła skorzystać z zaoferowanej pomocy.

Zajęłam się kawą, a Rozalia przygotowywała gorącą czekoladę. Kątem oka patrzyłam, jak to robi, żebym i ja zaraz mogła się tym zająć. Nawet nie sądziłam, że tak szybko wciągnę się w zajęcie, z którym dotychczas nie miałam styczności. Pakowałam w ozdobne papiery firmowe czekoladki, kładłam na talerzyki słodkości i zносиłam do stolików zamówione desery. Mimo dużej liczby klientów w lokalu panował przyjemny, gwarny klimat i choć uwijałam się jak w ukropie, to był naprawdę miło spędzony czas. Kilka razy podpytywałam Rozalię o to i owo, ale szybko wpadłam w rytm, a czego nie wiedziałam, na ile się dało, improwizowałam. Przez pierwsze minuty roztargniona Rozalia często patrzyła mi na ręce, lecz gdy minęła godzina, zauważywszy najpewniej, że nie najgorzej sobie radzę, zaczęła traktować mnie jak zaufaną pracownicę.

– Soniu, zaniesiesz te czekolady? – Starsza pani wskazała tacę, na której postawiła trzy kubki z gorącą czekoladą i dwa talerzyki z pralinkami. – Te dwie do stolika pod ścianą, a Orzechowe Oczarowanie pod okno.

– Oczywiście. – Złapałam tacę i ruszyłam na salę.

– Praliny do stolika przy choince! – usłyszałam jeszcze za sobą głos Rozalii.

Przeciskałam się między dostawionymi w wielu miejscach krzesłami i unosząc wysoko tacę, starałam się balansować między stolikami tak, by z kubków nie wylała się nawet odrobina czekolady. Najpierw dotarłam do miejsca przy choince, gdzie zostawiłam talerzyki z zawiniętymi w kolorowe złotka czekoladkami w kształcie serc, a potem dwa stoliki dalej wręczyłam uradowanej parze gorące czekolady o smaku leśnych owoców. Została tylko jedna szklanka.

– Proszę bardzo. – Zdjęłam naczynie z tacy i postawiłam przed zapatrzonym w okno mężczyzną. Zdawał się nie zauważać nikogo ani niczego. Nie chciałam przeszkadzać, ale zanim odeszłam, rzuciłam jeszcze: – Orzechowe Oczarowanie, tak jak sobie pan życzył.

– Jak sobie życzyłem? – Po moich słowach drgnął lekko i zwrócił się do mnie z wciąż nieobecny nieco spojrzeniem.

Dziwny był to klient, jakiś niezdecydowany i niemrawy. Sprawiał wrażenie, jakby znalazł się tu przez przypadek.

– Czekolada z orzechami – wyjaśniłam najprościej, jak się dało. – Z dodatkiem amaretto.

– Zwariowała pani! Z orzechami?! Nie mogę jeść orzechów, mam na nie uczulenie! Wystarczy niewiele, żeby wysłać mnie na tamten świat! – Spojrzał na mnie tak, jakby zobaczył przed sobą zabójczynię. – Zamawiałem czekoladę z owocami leśnymi!

– Przepraszam – wymamrotałam zdenerwowana dopiero po chwili. – Musiała zająć pomyłka.

W tym samym czasie usłyszałam, jak kobieta siedząca przy stoliku pod ścianą donośnym, lecz bardzo przyjaznym głosem informuje, że dostała nie to, co zamawiała. Bez zastanowienia postanowiłam uratować sytuację. Sięgnęłam po Orzechowe Oczarowanie i po chwili dostarczyłam je tam, gdzie powinnam, tłumacząc się skruszona. Zabrałam stamtąd zagubioną

czekoladę z owocami leśnymi i z wciąż buzującymi we mnie emocjami wróciłam do stolika, gdzie jeszcze przed chwilą siedział zamyślony mężczyzna. Spotkała mnie jednak przykra niespodzianka, bo to miejsce zajął już ktoś inny. Stałam jak wryta i rozejrzałam się po sali. Dojrzałam go przy wyjściu, wkładał kurtkę i patrzył na mnie z nieskrywanym niezadowoleniem.

– Do widzenia – rzucił na odchodnym, ale te słowa raczej nie były skierowane do mnie.

– Ale bufon – szepnęłam pod nosem, bo jego zachowanie wyjątkowo mnie dotknęło. Owszem, wiem, że to ja zawiniłam, ale przecież pomyłka to ludzka sprawa i uważałam, że nie miał prawa tak się zachowywać. Przecież go przeprosiłam, chciałam nawet wytłumaczyć mu tę sytuację, ale niestety nie dał mi szansy.

Potem praca w Złotym Sercu nie sprawiała mi już takiej frajdy, bo cały czas się pilnowałam, żeby znów nie popełnić błędu. Zrobiłam się też bardziej wyczulona na nastroje klientów i uważnie nasłuchiwałam, czy ktoś przypadkiem się nie skarży albo nie zgłasza reklamacji. Nie umknęło to czujnemu oku Rozalii, która pocieszyła mnie, żebym się nie przejmowała, bo znakomicie sobie radzę. Co jakiś czasu, gdy akurat przechodziła obok mnie, chcąc dodać mi otuchy i pewności siebie, przyjacielskim gestem dotykała mojego ramienia.

– Kochana, dziękuję ci za pomoc. Naprawdę mnie uratowałaś, a poza tym spisałaś się na medal – powiedziała Rozalia, stawiając przede mną kubek mojej ulubionej, anyżkowo-orzechowej gorącej czekolady, gdy tuż przed dziesiętnastą kawiarnia opustoszała, a my miałyśmy wreszcie okazję, by usiąść i spokojnie porozmawiać. Sama przygotowała dla siebie herbatę z cytryną i zajęła miejsce obok mnie.

– Ech, dałam plamę – rzekłam markotnie. Nadal przeżywałam przykrą sytuację i wciąż stała mi przed oczami kwaśna mina klienta, którego, jak twierdził, omal nie uśmierciłam. Żywiłam nadzieję, że to niefortunne zdarzenie nie będzie miało złego wpływu na reputację kawiarni. Nie dało się ukryć, że mężczyzna był wyraźnie niezadowolony, a wychodząc, posłał mi wyjątkowo nieprzyjemne spojrzenie.

– A ja twierdzę, że idealnie sobie poradziłaś. Mało kto tak szybko wciągnąłby się w pracę, a ten klient... No cóż, nie martw się. Gdybyś pracowała w tej branży dłużej, nie przejmowałabyś się tym aż tak bardzo.

– O mały włos i miałabym go na sumieniu, a w najlepszym wypadku mógłby wylądować w szpitalu – oznajmiłam ponuro.

– Eee, myślę, że zareagował zbyt emocjonalnie. Na pewno nic złego by się nie stało – rzekła Rozalia pocieszająco, delikatnie poklepując mnie po dłoni.

Dość szybko udało się jej podnieść mnie na duchu, a później to ja weszłam w rolę pocieszycielki. Rozalia wyjaśniła mi, że Gabriel musiał nagle pojechać do Kalinowa, żeby zaopiekować się Michałkiem. Hania źle się poczuła i Krzysiek zawiózł ją do szpitala. Rozalia w wirze pracy starała się nie myśleć o problemie, ale i tak co jakiś czas wychodziła na zaplecze i wybierała numer do męża. Gabriel obiecał, że jeśli tylko czegoś się dowie, od razu da jej znać, ale niestety nie miał od zięcia i ich córki żadnych wieści.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się o nią niepokoję – rzekła Rozalia zmartwionym głosem. – Ona już tak wiele przeszła. Oby tylko wszystko dobrze się skończyło.

– Na pewno będzie dobrze – powiedziałam, szukając słów, które by pokrzepiły Rozalię. Niestety nie wiedziałam za wiele o jej córce. Kilka razy słyszałam, jak Witkowscy wspominali coś o tym, że Hania przez większość

życia miała pod górkę i dopiero kilka lat temu uśmiechnęło się do niej szczęście. Choć usilnie próbowałam poprawić nastrój starszej pani, zmieniając temat, jakoś tak naturalnie mnie też udzieliło się jej zdenerwowanie i wyczekiwałam wiadomości od Gabriela.

Rozalia, pomimo zmęczenia, nawet gdy zamknęła kawiarnię, nie zamierzała wracać do mieszkania, twierdząc, że dopóki nie nadejdą wieści od męża, na pewno nie znajdzie tam sobie miejsca. Kilka razy prosiła mnie, żebym poszła już do siebie, ale chociaż czułam znużenie, oczywiście nie mogłam jej zostawić w takim stanie. Poza tym ja też nie zaznałabym spokoju. W obecnej sytuacji razem było nam więc łatwiej. Tymczasem dzwonił też Laura i Błażej, który stwierdził, że sam spróbuje się czegoś dowiedzieć, a jeśli mu się nie uda, wsiądzie do samochodu i pojedzie do szpitala. Widziałam, że Rozalia opadła już z sił, ale starała się trzymać dzielnie. Po dzisiejszym dniu jeszcze bardziej ją podziwiałam – niejednym młody człowiek nie sprostałby jej obowiązkom. Oboje, zarówno Rozalia, jak i Gabriel, mimo swoich ponad siedemdziesięciu lat byli pełni wigoru i jak sami twierdzili, nadal z przyjemnością pracowali w tym miejscu. A może to aura Złotego Serca i związanej z nim historii sprawiała, że tych starszych ludzi przepełniała dobra energia, którą w naturalny sposób chcieli się dzielić z innymi.

Gabriel pojawił się kilka minut przed dwudziestą, gdy Rozalia właśnie zdecydowała, że powinnyśmy przenieść się na górę, by zjeść coś konkretnego, bo po wielu godzinach w kawiarni obie miałyśmy już dość słodczy. Na szczęście przyniósł dobre wiadomości. Hania została dokładnie przebadana, a ponieważ lekarz nie zaobserwował u niej żadnych niepokojących objawów, razem z mężem wróciła do domu. Rozalia dopytywała, co się stało i dlaczego musieli tak nagle pojechać do szpitala, lecz Gabriel sam nie bardzo wiedział, jak ma to wyjaśnić.

– Nie wiem, Róziu. – Wzruszył ramionami. – Krzysiek mówił, że bolał ją brzuch. Chyba się bali, że to już, więc pojechali. Sama do niej zadzwoń, to wszystko ci wytłumaczy.

– A pewnie, że zadzwonię, bo już od zmysłów odchodzę i na pewno nie zmrużę dziś oka, zanim z nią nie porozmawiam.

Potem Rozalia wyjaśniła mężowi, że pojawiając się w kawiarni w najtrudniejszym momencie, spadłam jej dzisiaj z nieba. Gdy opowiadała, z jak wielką wprawą, cierpliwie obsługiwałam klientów i gorliwie wykonywałam wszystkie czynności, było mi miło, że mogłam pomóc i że zostałam doceniona.

Nazajutrz wstałam dość wcześnie, choć z nadmiaru emocji wczoraj długo nie mogłam zasnąć. Do pierwszej w nocy przewracałam się z boku na bok, wciąż od nowa analizując nieprzyjemne zajście w kawiarni. Martwiłam się też o Hanię, chociaż, jak twierdził Gabriel, okazało się, że z nią i dzieckiem wszystko dobrze. Wypiłam herbatę, zjadłam naprędce przygotowaną kanapkę i usiadłam do laptopa. Ponad godzinę przeglądałam to, co napisałam wcześniej, i ku mojemu zaskoczeniu tym razem miałam naprawdę niewiele zastrzeżeń do tekstu. Pod wpływem impulsu otworzyłam też nowy plik i zaczęłam pisać artykuł inspirowany historią Laury. Nie zamierzałam publikować go bez jej zgody, ale to, co usłyszałam, wywarło na mnie tak wielkie wrażenie, że musiałam dać temu upust.

Słoneczny, choć wyjątkowo mroźny dzień zachęcał do spaceru i oczywiście postanowiłam z tego skorzystać. W końcu wzięłam urlop i chociaż postanowiłam połączyć go z pracą, chyba po raz pierwszy poczułam, że naprawdę mam labę. Wystarczyły dwa dni w Bukowej Górze, a ja zyskałam zapał i werwę, o jakie nigdy bym się nie podejrzewała. Zwykle z rana nie mogłam zwlec się z łóżka, a w ciągu dnia brakowało mi energii, którą z marnym skutkiem próbowałam uzupełnić kolejnymi

filiżankami kawy i herbaty. Nie wiem, czy to zasługa tutejszego klimatu, swoistej, nieco baśniowej aury miasteczka, czy może czekolady ze Złotego Serca, ale wydawało mi się wręcz nieprawdopodobne, że tak szybko zregenerowałam w tym miejscu siły. Pomyślałam, że pewnie całkiem fajnie mogłoby się tutaj mieszkać.

Zainspirowana opowieścią Gabriela i Rozalii postanowiłam, że przed południem pójdę do lasu, o ile śnieg nie przykrył prowadzących tam ścieżek. Może nawet uda mi się wyciągnąć Laure, z którą na pewno łatwiej byłoby mi trafić na wzgórze dawnej warowni. Zanim jednak wybrałam się na wędrowkę, postanowiłam wpaść do Złotego Serca i sprawdzić, czy i dzisiaj właścicielom nie będzie potrzebna moja pomoc. Wczoraj zaproponowałam Rozalii, że dopóki nie wróci ich pracownica, z przyjemnością mogę przychodzić do kawiarni, choćby na kilka godzin, i w miarę możliwości teraz, gdy przed świętami panował tam największy ruch, trochę ich odciążać. Niestety Rozalia kategorycznie odmówiła, twierdząc, że świetnie sobie radzą. Nie wiem, czy poczuła się skrepowana moją propozycją, ale stwierdziła, że wczorajsza sytuacja była wyjątkowa. Oczywiście wyraziła przy tym głęboką wdzięczność, że zdecydowałam się jej pomóc. Wobec tego uznałam, że lepiej zanadto się nie narzucać. Mimo wszystko przekornie postanowiłam sprawdzić, jak dzisiaj mają się sprawy.

W kawiarni znowu panował spory ruch, ale starsze małżeństwo wydawało się nad wszystkim panować.

– Sonia! – Rozalia się ucieszyła, dostrzegając mnie już przy drzwiach, zanim zdążyłam się przywitać.

– Dzień dobry – powiedziałam dopiero po chwili, kiedy zbliżyłam się do starszej pani i ją uściskałam. Stojący w głębi sali Gabriel pomachał do mnie, więc i ja z uśmiechem uniosłam do niego rękę.

– Mam coś dla ciebie – zakomunikowała Rozalia, a zanim zdążyłam zapytać, o co chodzi, już umknęła na zaplecze. Wróciła po chwili z wielkim bukietem w ręku.

– Co to takiego? – Ze zdziwienia aż otworzyłam szeroko oczy. Nie miałam urodzin ani imienin. Zresztą skąd niby Witkowsy mieliby wiedzieć, kiedy je obchodzę.

– Proszę. – Rozalia z uroczystą miną przekazała mi okazałą wiązanekę. – To od tego mężczyzny, który wczoraj tak dał ci w kość.

– Coś takiego... – Pokręciłam z niedowierzaniem głową, przyglądając się ciekawej kompozycji, którą tworzyły cyklamenowe róże, bladoróżowe goździki i białe frezje. Była naprawdę piękna. Nie sądziłam, że sprawy przybiorą taki obrót. Po wyrazie twarzy mężczyzny, gdy wczoraj opuszczał Złote Serce, skłonna byłam pomyśleć, że zechce tu wrócić w towarzystwie stróżów prawa albo zleci kontrolę sanepidu.

– Przyszedł z samego rana, gdy tylko otworzyliśmy. Myślał, że tu pracujesz, ale szybko wyprowadziłam go z błędu. Odniosłam wrażenie, że był zawiedziony, kiedy cię nie zastał. Starał się mnie nawet podpytać, w jaki sposób mógłby się z tobą skontaktować, ale dałam mu do zrozumienia, że być może sobie tego nie życzysz – wyjaśniła Rozalia.

– Dobrze pani zrobiła. Kwiaty kwiatami, są przepiękne, ale w sumie nie wiadomo, co to za typ. Sama pani widziała, jak się wczoraj zachował – powiedziałam nieco cierpkim tonem.

– Wiem, Soniu. Mało to się tutaj napatrzyłam...

Zauważyłam dołączony do bukietu bilecik. Ciekawiło mnie, czy jest na nim coś napisane, ale na razie tam nie zajrzałam. Po chwili zresztą oddałam kwiaty w ręce Rozalii, prosząc, żeby jeszcze je przechowała. Nie chciało mi się wracać do siebie tylko po to, żeby zanieść wiązanekę, i stwierdziłam, że przyjdę po nią, gdy będę wracać ze spaceru. Rozalia i Gabriel nie chcieli

mnie jednak tak szybko wypuścić. Zostałam hojnie ugoszczona kubkiem gorącej czekolady i smaczными pralinkami z malinowym nadzieniem.

– Niebo w gębie. – Rozpływałam się nad ich wyśmienitym smakiem. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się skosztować takich wyjątkowych łakoci. Czekolady i pomadki według receptury dziadków Gabriela bez wątpienia miały w sobie to coś, czego trudno by szukać gdzieś indziej.

Nie dziwiłam się już, dlaczego w tym miejscu jest ciągle tłoczno. Klienci przychodzili, a nawet przyjeżdżali do Złotego Serca nie tylko po to, żeby kupić wytwarzane tu specjały, ale też aby posiedzieć w nastrojowym wnętrzu i skosztować niepowtarzalnej gorącej czekolady, która jak już się przekonałam, rozgrzewała zarówno ciało, jak i duszę. Także teraz, biorąc kolejny łyk tego gęstego, aromatycznego specjału, poczułam, że ogarnia mnie przyjemna błogość. Nawet wczorajsze przykre zdarzenie i cierpkie słowa zirytowanego mężczyzny odbierałam już bez wcześniejszych emocji.

Zmrożony śnieg przyjemnie skrzypiał pod nogami, gdy szłam później drogą za miasteczkiem, ale dzięki słońcu, które na bezchmurnym niebie świeciło dziś od wczesnego rana, aż tak bardzo nie czuło się niskiej temperatury. Mimo to, przewidując dłuższą wędrówkę, ubrałam się porządnie, na cebulkę. Spod wełnianej czapy z wielkim pomponem i owiniętego szczelnie wokół szyi szalika w kolorowe paski trudno byłoby mnie rozpoznać. A do tego obszerna puchowa kurtka, ortalionowe, ocieplane spodnie i śniegowce. Wyglądałam jak matrioszka, jakby pod tą grubą warstwą było jeszcze kilka takich mnie. Ujrzawszy się dzisiaj w lustrze, zanim wyszłam, roześmiałam się na swój widok, ale komfort był dla mnie ważniejszy niż styl. Na taki luz niezbyt często pozwalałam sobie na co dzień. W mieście, a już nie daj Boże idąc do pracy, w życiu nie odważałabym się na taką ekstrawagancję. Właśnie tak wolałam teraz siebie postrzegać: jako szaloną turystkę, a nie totalne bezguście. To nic, że

poszczególne części mojego ubioru zupełnie do siebie nie pasowały. Przynajmniej było mi ciepło.

Wędrówka okazała się nadzwyczaj przyjemna. Znałam już trasę i coraz lepiej kojarzyłam charakterystyczne elementy krajobrazu. Dlatego nie musiałam już tak się skupiać na tym, żeby skręcić we właściwym miejscu. Cieszyłam się tym spacerem, a jeśli ktoś obserwowałby mnie z oddali, mógłby pewnie odnieść wrażenie, że tanecznym krokiem, czasem w podskokach, poboczem idzie dziecko, które wyrwało się spod kurateli dorosłych. Przez ostatni odcinek gruntowej drogi prowadzący do domu Laury przemknęłam wyjątkowo szybko.

Poczułam się trochę zawiedziona, kiedy znów jej nie zastałam. Ostatnio wymieniliśmy się numerami telefonów, więc mogłam wcześniej zadzwonić i spytać, czy będzie. Niestety nie pomyślałam o tym, więc teraz nie pozostawało mi nic innego, jak ruszyć samotnie w dalszą wędrówkę. Na szczęście hojnie przysypane śniegiem polne dróżki można było bez przeszkód pokonać. Ułatwiała to lekko zmrożona wierzchnia warstwa śniegu, a na pewno też moje śniegowce.

Na chwilę zatrzymałam się przy błękitnej kapliczce, wpatrując się w palący się równym płomieniem lampion. Odruchowo się rozejrzałam, czy przypadkiem nie zmierza tu pan Maurycy, który jak się dowiedziałam od Laury, dbał o to, by w tej polnej świątynce nigdy nie zgasło światło. Niezwykle mnie to intrygowało. Kolejny element świadczący o wyjątkowości Bukowej Góry i jeszcze jeden wyjątkowy człowiek. Odnosiłam wrażenie, że czas płynie tutaj inaczej, wolniej, jakby odłączył się od ustalonego rytmu, przez co ta mała miejscowość zdawała się istnieć z dala od reszty świata. Niewątpliwie wpływ na moją percepcję miała nie tylko nieprawdopodobna opowieść Gabriela i Rozalii, lecz także unosząca się wokół niesamowita aura. Tutejsi mieszkańcy naturalnie borykali się

z takimi samymi problemami jak inni ludzie. Może tylko ja postrzegałam ten zakątek jako baśniową nieco enklawę.

Trasę na leśne wzgórze pokonałam w ciągu kilkunastu minut. Latem, kiedy większość drózek porastała zielenią, a bujne korony przeważających w tej części lasu buków przysłaniały pagórki, pewnie dojście zajęłoby mi o wiele więcej czasu. Dziś jednak mogłam poczuć się jak maratończyk. Wzniesienie górowało ponad okolicą i roztaczał się stąd bajeczny widok na łąki i jezioro. Mimo śniegu na wzgórzu dało się zauważyć ślady obwałowań.

Gdy stanęłam przy wielkim głazie i spojrzałam w dal, na skrzącą się w słońcu, częściowo zamarznątą toń, od razu przypomniał mi się fragment opowieści Gabriela o najstarszej, niesamowitej, wręcz magicznej historii Marany. „Czy to rzeczywiście mogło się kiedyś zdarzyć?“, zastanawiałam się, wodząc wzrokiem po zapadniętym w wielu miejscach podłożu, a oczyma wyobraźni zaraz ujrzałam tutaj wysoki gród, gdzie tętniło życie. Właśnie taki być może zobaczył Marcin, gdy wyczerpany leżał na brzegu, zanim podpłynęła do niego piękna miedzianowłosa. Spojrzałam w drugą stronę, na las, próbując odgadnąć, gdzie mógł stać szałas Basałyka. Może w chwili, gdy starzec opowiadał dziadkowi Gabriela tamtą niesamowitą historię o mieszkającej tu niegdyś królowej, zatrzymali się akurat w tym samym miejscu, gdzie i ja teraz przystanęłam. Z dziwnym uczuciem, że naprawdę mogło się tak zdarzyć, dotknęłam wielkiego kamienia, aż do rękawiczki przylepił mi się śnieg. Miałam wrażenie, że poznając miejscową legendę, niejako stałam się świadkiem tamtych zamierzonych zdarzeń i w jakimś sensie poczułam się wyróżniona. Zapragnęłam jak najszybciej poznać dalszą jej część. Usłyszeć, jak się potoczyły losy Marcina i Sabiny. Dowiedzieć się, czy Marcin miał jeszcze szansę znów ujrzeć Maranę, której obraz z takim pietyzmem przechowywał w sercu.

Mogłabym tak stać i stać, pewnie dopóki bym nie zamarzła. Dopiero gdy zaczęły mnie piec z zimna palce w grubych rękawiczkach, uznałam, że najwyższa pora wracać. Droga powrotna zajęła mi jeszcze mniej czasu niż wspinaczka na wzgórze. Schodziłam po swoich śladach w śniegu, a dwa razy, śmiejąc się przy tym jak dziecko, spory kawałek górki nieplanowo zjechałam na tyłku. Spacer wprowadził mnie w wyjątkowo dobry nastrój. Gdyby nie było mi tak zimno, z chęcią wybrałabym się jeszcze nad jezioro, ale nagle zamarzyła mi się herbata z cytryną. Albo najlepiej kubek przygotowanej przez Rozalię gorącej czekolady, takiej jak najbardziej lubiałam, z prażonymi orzechami, migdałami i anyżem. Ochocho ruszyłam więc w stronę miasteczka, żeby jak najszybciej zrealizować swój plan. I tak musiałam wstąpić jeszcze do Złotego Serca po bukiet.

Nagle przystanąłam i wyteżyłam wzrok. Wydawało mi się, że obok niebieskiej plamki kapliczki ktoś stał. Właściwie, gdy dojrzałam tę osobę, akurat zaczęła się od niej oddalać. Choćbym nawet przyspieszyła kroku, nie było szansy na nasze spotkanie. Czyżbym znów straciła okazję, by zobaczyć pana Maurycego? Nie miałam wątpliwości, że to on. Bardziej zadziwił mnie fakt, że tak bardzo zależało mi na spotkaniu z tym starszym człowiekiem. Nie wiem, co chciałam sobie w ten sposób udowodnić, czego się dowiedzieć. Tak jak podejrzewałam, gdy dotarłam pod kapliczkę, zauważyłam przy niej tylko świeże ślady dużych, męskich butów. Ale było też coś jeszcze. Ze śniegu wychylało się coś metalowego. Bez zastanowienia kucnęłam i sięgnęłam po to.

– O kurczę... – wyrwało mi się, gdy spostrzegłam pęk kluczy zapiętych na mosiężnym kółeczku. Nie ulegało wątpliwości, kto je zgubił. Wytarłam je w kurtkę i wsunęłam do kieszeni. Musiałam jak najszybciej dotrzeć z nimi do właściciela. Ktoś przecież powinien wiedzieć, gdzie on mieszka.

Dochodząc do domu Laury, miałam nadzieję, że może już wróciła, i to ona mi wyjaśni, jak się tam dostać. Co chwilę spoglądałam też za siebie, czy przypadkiem starszy pan, zorientowawszy się, że nie ma kluczy, nie ruszył w drogę powrotną po zgubę. Niestety pusty podjazd świadczył o tym, że gospodarzy nadal nie ma w domu. Stanąwszy przed bramą, wyjęłam z kieszeni kurtki komórkę i wybrałam numer do Laury.

– Cześć, Soniu – przywitała mnie wesołym głosem Laura. W tle uchwyciłam dziecięce śmiechy i pogłos radosnej rozmowy.

– Cześć. – Słyszając serdeczny i dobrze mi już znajomy głos Laury, uśmiechnęłam się do słuchawki. – Byłam u ciebie, miałam ochotę wyciągnąć cię na spacer, ale znów nie utrafiłam – wyjaśniłam pospiesznie.

– Szkoda... – Laura się zmartwiła. – Jesteśmy u Hani. Koniecznie musiałam się z nią zobaczyć, a wczoraj było już za późno.

– Przekaż jej ode mnie pozdrowienia. Mam nadzieję, że u niej wszystko dobrze – powiedziałam, choć od Rozalii już wiedziałam, że właśnie tak jest.

– Oczywiście przekażę. A może, może wpadłabyś do nas? Wytłumaczyłabym ci, jak dojechać – zaproponowała nieoczekiwanie Laura, przy wtórze Hani i dzieciaków.

Zrobiło mi się miło, bo to świadczyło o tym, że mnie polubili. Ja zresztą też polubiłam całą tę rodzinę.

– Dziękuję za zaproszenie, ale może spotkamy się innym razem. Wiesz, dzwonię do ciebie, bo potrzebuję pewnych wskazówek – oznajmiłam i opowiedziałam o znalezisku przy kapliczce i przypuszczeniu, że należy ono do pana Maurycego. Laura dokładnie wyjaśniła mi, gdzie mieszka sąsiad. Choć ostrzegła, że to spory kawałek drogi.

– Wiesz, kiedy przeprowadziłam się do Bukowej Góry, sądziłam, że to ja mieszkam na końcu świata, lecz pan Maurycy to już żyje na kompletnym odludziu, tam, gdzie diabeł mówi dobranoc – rzekła z humorem Laura, ale

ja, choć było mi coraz chłodniej, i tak uznałam, że dam radę pokonać trzykilometrowy odcinek. – O wiele łatwiej i szybciej byłoby ci trafić przez pola, ale teraz tam pewnie jest po pas śniegu, więc lepiej nie ryzykować. Większość czasu będziesz musiała iść szosą.

– To całkiem przyjemna trasa, niewiele samochodów tędy jeździ – stwierdziłam, bo do domu pana Maurycego prowadziła ta sama droga, którą szłam z miasteczka między innymi do Laury. Tyle że chcąc trafić do jeziora, tuż za charakterystycznymi okrągłymi głazami powinno się wcześniej skręcić w szutrówkę. Żeby zaś dojść do domu pana Maurycego, trzeba było kierować się aż do skrzyżowania z szosą na Kraków, jednak zamiast iść dalej główną drogą, należało wejść na ledwo widoczną, wąską ścieżkę biegnącą w dół do zagajnika – miałam nadzieję, że ją odnajdę.

Rozłączywszy się, od razu ruszyłam z werwą do głównej szosy. Wkrótce z oddali zamajaczyły tablice sygnalizacyjne. Szybkie tempo wędrówki sprawiło, że nie czułam zimna. Jedynie czerwone policzki i nos świadczyły o tym, że przebywam na zewnątrz od dłuższego czasu. Gdy przeszłam na drugą stronę drogi, zauważyłam opisaną przez Laurę dróżkę, która, choć przysypana śniegiem, ciągnęła się do zarośli. Dzięki śniegowcom i nieprzemakalnym spodniom mogłam pokonać tę trasę bez szwanku. Kto by pomyślał, że tej zimy przyda mi się ubranie Eskimosa. Kto by pomyślał, że w ogóle kiedykolwiek mi się jeszcze ono przyda. Kupiłam te spodnie kilka lat temu z zamiarem nauki jazdy na nartach albo na desce, ale tak się złożyło, że nie polubiłam się ze sportami zimowymi. Gdy dotarłam do wąskiego, drewnianego mostku nad częściowo zamrzniętym potokiem, zatrzymałam się, zastanawiając się, czy aby nie pomyliłam trasy. Nie przypominałam sobie, żeby Laura wspominała coś o przepływającej wodzie. Obejrzałam się, a wtedy dostrzegłam zmierzającego w moją stronę mężczyznę. Pomyślałam, że może to pan

Maurycy, bo wypatrywałam go niemal przez całą drogę. W którymś momencie musiał przecież w końcu się zorientować, że zgubił klucze.

Mężczyznę chyba zaskoczył mój widok, bo zbliżywszy się do mostku na tyle, że lepiej mógł mi się przyjrzeć, zwolnił kroku, a później niemal nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Dzień dobry – rzekłam, gdy był już na tyle blisko, by mnie dobrze usłyszeć. Nie miałam pewności, że stojący nieopodal mężczyzna to osoba, którą chciałam znaleźć, dlatego od razu postanowiłam to wyjaśnić. – Szukam pana Maurycego...

– Maurycego? – Wydawał się zdziwiony, ale szybko dodał: – Ja jestem Maurycy.

Przyglądał mi się badawczo i może odrobinę podejrzliwie, pewnie się zastanawiając, kim jestem i czego mogę od niego chcieć. Od razu więc się przedstawiłam, a potem wyjęłam pęk kluczy, które uniosłam przed jego oczy.

– Skąd pani je ma? – spytał zaskoczony i odruchowo wsunął dłoń do rozciągniętej kieszeni wełnianej kurtki, którą miał na sobie.

– Znalazłam obok tej błękitnej maryjnej kapliczki, przy drodze do jeziora – wyjaśniłam nieco skrępowana, bo moje słowa świadczyły o tym, że w jakimś sensie interesuję się tym człowiekiem. Skąd bowiem wiedziałabym, że to właśnie on od wielu lat przychodzi do tego miejsca.

Mężczyzna jeszcze raz włożył rękę do kieszeni, lecz tym razem z drugiego końca wysunęły się czubki jego palców w skórzanych rękawicach.

– A niech to z tą kapotą, dziura!

– Musiały wypaść – zauważyłam.

– Dziękuję. Nigdy wcześniej mi się coś takiego nie zdarzyło. Człowiek z wiekiem traci jednak uważność – powiedział mężczyzna i westchnął.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

– A właśnie, skąd pani wiedziała, że klucze mogą być moje? – Na twarzy mężczyzny pojawiła się wcześniejsza nieufność.

Nie było sensu owijać w bawełnę, bo i tak nie wiedziałabym, jaką historyjkę wymyślić na poczekaniu. Nigdy nie byłam dobra w laniu wody.

– Moja znajoma, Laura, która mieszka nieopodal kapliczki, wspomniała kiedyś, że dba pan o to miejsce – wyjaśniłam, uważnie obserwując reakcję mężczyzny. Może sądził, że nikt nie zwraca uwagi na jego częste pielgrzymki na łąki. Może z jakiegoś powodu czuł się bezpiecznie w swojej iluzorycznej kryjówce, naiwnie sądząc, że skoro on nie zauważa sąsiadów, inni też go nie widzą.

– Ach, ta miła ruda dziewczyna. – Uśmiechnął się, a mnie zrobiło się jakoś raźniej, bo poczułam, że nagle ustąpiło panujące między nami napięcie. – Czyli wygląda na to, że miałem dużo szczęścia. W śniegu trudno znaleźć cokolwiek, zwłaszcza przy wrzosowiskach. Odkąd pamiętam, zawsze były tam największe zasy. Jestem pani dłużnikiem. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób mógłbym się odwdzińczyć. – Spojrzał na mnie wymownie, poprawiając niedzisiejszą, chyba jeszcze robioną na drutach czapkę, która nieco zsunęła mu się na bok.

– To żaden kłopot, cieszę się, że znalazłam się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie. Poza tym miałam świetny spacer – przyznałam zgodnie z prawdą, choć teraz, stojąc od kilku minut bez ruchu, zaczęłam lekko dygotać z zimna. A niestety czekała mnie jeszcze droga powrotna, która, jak podejrzewałam, pewnie nie będzie już tak miła jak wędrówka podjęta w celu wykonania ważnej misji. Wtedy miałam cel, zwawe tempo sprawiło, że trochę podniosło mi się ciśnienie i całą tę wyprawę potraktowałam jak przyjemną konieczność. Teraz wprawdzie czułam miłą satysfakcję, lecz ogarnęło mnie zmęczenie. Poza tym na niebie pojawiły się

przysłaniające słońce ciężkie chmury, z których pewnie lada moment zacznie sypać śnieg. Najważniejsze jednak, że zadanie zostało wykonane.

– Szła pani na piechotę? – spytał mężczyzna, a kiedy potwierdziłam ruchem głowy, zrobił zdziwioną minę, jakbym dokonała czegoś niemożliwego, co wykraczało poza ogólnie przyjęte zwyczaje. – Teraz to ludziom nie chce się już chodzić. Po byle pierdołę, często kawałek, wolą jechać samochodem.

Ja też zauważyłam, jak niektórzy szybko przyzwyczajali się do dobrodziejstw dzisiejszego świata. Nie było w tym oczywiście niczego złego, dopóki zachowało się umiar. Ja akurat chodziłam do pracy pieszo, choć dwa przystanki spokojnie mogłam podjechać autobusem. Dobrze mi to robiło, bo zanim przekroczyłam próg redakcji, zawsze trochę się dotleniłam. Koleżanki się dziwiły, że z rana jestem taka pracowita. Dopiero po jedenastej miałam spadek energii i musiałam ratować się kawą.

– A teraz czeka panią jeszcze powrót – zauważył mężczyzna, patrząc na mnie wymownie. – A może... Wiem, że to pewnie nie będzie dla pani wielką rekompensatą, ale może zechciałaby pani wstąpić do mnie na herbatę, żeby trochę się rozgrzać – zaproponował.

– Jeśli tylko nie sprawię problemu, to oczywiście chętnie skorzystam z zaproszenia. – Od razu się zgodziłam, bo po pierwsze było mi coraz zimniej, a po drugie propozycja pana Maurycego wydała mi się bardzo miła.

– To niedaleko. – Wskazał ręką. – Za tymi drzewami.

Przeszliśmy przez mostek i ruszyliśmy w tamtym kierunku. Gdy zostawiliśmy za sobą wysokie topole i trochę niższe dęby, w oddali ujrzałam niewielki parterowy domek, wyglądający jak z ilustracji baśni o zimowej krainie. Zewsząd otaczał go śnieg, a zaspasy, które potworzyły się wokół wydeptanej, prowadzącej do wejściowych drzwi, wąskiej ścieżki,

przywodziły na myśl lodowy korytarz. Przyznam, że zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie i przechodząc obok tej białej ściany, kilka razy musiałam jej dotknąć. Dom wyglądał dość skromnie. Zbudowany z cegły, z jednospadowym dachem i dwoma frontowymi oknami rozdzielonymi brązowymi drewnianymi drzwiami, przy których zauważyłam opartą o ścianę szuflę do odśnieżania, sprawiał naprawdę niepozorne wrażenie. Ale to pewnie otoczenie nadawało mu szczególny charakter. W każdym razie mnie jawił się niczym ukryta na końcu świata bajkowa chatka. Coś w tym zresztą było, bo rzeczywiście dom znajdował się na odludziu i żeby tu trafić, trzeba było wiedzieć, gdzie go szukać. Podejrzewałam, że wiosną i latem pośród zieleni jeszcze trudniej było go znaleźć.

– Proszę – rzekł pan Maurycy z powściągliwym uśmiechem, gdy stanęliśmy przed wejściem. – Na przyszłość muszę na nie bardziej uważać. – Uniósł klucze i zadyndał nimi, a po otwarciu domu schował tym razem do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Gdyby nie pani, musiałbym spędzić dzisiejszą noc w szopie.

Gdy weszliśmy do sieni, gospodarz zapalił światło. Trochę trwało, zanim ściągnęłam z siebie owinięty kilka razy wokół szyi szalik i grubą kurtkę. Zdjęłam też buty, a pan Maurycy uznał, że najlepiej będzie postawić je przy piecu, żeby trochę obeschły. W zamian dostałam ciepłe i bardzo wygodne, robione na szydełku kapcie. Weszliśmy do kuchni, gdzie pan Maurycy na oparciu jednego z krzeseł, nieopodal pieca rozwiesił moje wierzchnie ubranie, by też mogło się nagrzać.

– Zaprosiłbym panią do pokoju, ale tutaj jest teraz najcieplej – oznajmił i uznawszy, że decyzja już zapadła, odsunął jedno z krzeseł przy stole pod oknem, po czym gestem dłoni zaprosił, bym spoczęła.

Dopiero kiedy usiadłam i wygodnie się oparłam, poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Zimne powietrze mnie orzeźwiło, motywując do dalszej

wędrówki, teraz jednak w przytulnym, ciepłym wnętrzu zupełnie się rozleniwiłam. Przyglądałam się panu Maurycemu, jak stawiał czajnik z wodą na rozgrzanej blasze węglowego pieca, a potem wyjmował z szafki kubki i herbatę. Panowało między nami milczenie, ale wcale mi to nie przeszkadzało, bo dobrze się czułam przy tym starszym człowieku. Myślę, że moje towarzystwo też nie było dla niego niemiłe. Co jakiś czas uśmiechał się bowiem do mnie, a uśmiech ten pozbawiony był jakiegokolwiek sztuczności.

Dyskretnie rozglądałam się po kuchni, której umeblowanie stanowiło tylko kilka sprzętów: prosty kredens, w którym stała zbieranina porcelanowych kubków, filiżanek i miseczek, zlew z przylegającymi do niego po obu stronach szafkami i regał z ciemnego drewna z masą poukładanych na nim kuchennych przyborów. Mój wzrok przyciągało też obsypane śniegiem podwórko, dlatego przysunęłam się jeszcze bliżej parapetu i spod krótkiej firanki z ciekawością zerkiałam za okno. Uśmiech na mojej twarzy wywołał widok wróbli i rudzików siedzących na umieszczonym na konarze niskiego drzewa drewnianym karmniku. Sikorka skubała kawałek powieszanej na gałęzi słoniny. A pod drzewem, na odśnieżonym fragmencie dojrzałam dwa większe ptaki, chyba sójki.

– Proszę. Rozgrzeje się pani. – Maurycy postawił przede mną na stole gliniany kubek z herbatą, a obok cukiernicę w takim samym kolorze i talerzyk z plasterkami cytryny. Zauważywszy, że spoglądam na podwórko, odsunął firankę i usiadł naprzeciw mnie. Dla siebie też przygotował herbatę.

– Już mi lepiej – przyznałam szczerze, bo kuchenne ciepło przyjemnie otuliło moje zziębnięte ciało. Znów spojrzałam za okno. – Uroczy widok.

– O tak. – Starszy pan się uśmiechnął. – Stali bywalcy. Zimą przylatują do stołówki, a wiosną i latem pięknie mi tutaj koncertują.

– To miłe – odezwałam się i sięgnęłam po cukier i cytrynę. O ile wcześniejsza cisza zupełnie mi nie przeszkadzała, teraz milczenie zaczęło mnie nieco krępować. Nie miałam pojęcia, o czym miałabym mówić z tym mężczyzną. Na szczęście Maurycy, jako gospodarz poczuł się zobowiązany do tego, by podtrzymać rozmowę.

– Lubi pani spacerować na łąki za kapliczką? – zagaił.

– Dopiero niedawno odkryłam to miejsce. Dwa dni temu przyjechałam do Bukowej Góry – wyjaśniłam.

– Do rodziny? – spytał, patrząc na mnie z zainteresowaniem.

– Nie, mam tutaj zobowiązania zawodowe – rzekłam oględnie, choć po minie gospodarza zorientowałam się, że chyba liczył na więcej szczegółów. Nie dopytywał jednak, a ja nie miałam teraz ochoty opowiadać o sobie.

Na szczęście dość szybko znaleźliśmy inny temat. Maurycy wspomniał o miasteczku i jego historii, o okolicznych zabytkach, a to sprawiło, że obojgu nam rozwiązał się język. Wciąż byłam pod dużym wrażeniem Bukowej Góry, z ciekawością chłonełam więc każde jego słowo, dopytując o wiele szczegółów. Po chwili gospodarz zaproponował jeszcze kawę, a ja nie odmówiłam. Co więcej, zupełnie straciłam poczucie czasu. Kiedy więc w pewnym momencie spojrzałam na zegar, zdziwiłam się, że już piętnasta. Musiałam się zbierać, żeby jeszcze za dnia dojść do centrum. Wstałam i niechętnie sięgnęłam po kurtkę. Przynajmniej była ciepła. Buty też obeschły, dlatego mogłam włożyć na siebie miłą w dotyku, lekko nagrzaną odzież. Maurycy też się ubrał i wyszedł ze mną na zewnątrz, a potem odprowadził mnie do mostku.

– Soniu, jeszcze raz dziękuję za klucze – powiedział, gdy się zegnaliśmy. W trakcie rozmowy zaproponowałam, żeby zwracał się do mnie po imieniu, i zauważyłam, że sprawiło mu to przyjemność. –

Wspomniałaś, że jeszcze przez jakiś czas będziesz w Bukowej Górze. Gdybyś więc kiedyś zawędrowała tutaj w pobliże, zapraszam do siebie.

– Z przyjemnością się do pana wybiorę – rzekłam z uśmiechem, bo zaproszenie Maurycego naprawdę mnie ucieszyło. – W takim razie do zobaczenia! – rzuciłam, a zaraz potem dziarsko ruszyłam przed siebie. Wypoczęta i ogrzana, z dawką świeżej energii, byłam pewna, że szybko przemknę do miasteczka. Wizyta u Maurycego zdecydowanie podreperowała moje nadwątlone siły.

– Soniu! – usłyszałam nagle za sobą głos Maurycego.

Odwrociłam się i z odległości kilkunastu metrów patrzyłam na niego wyczekująco.

– Pozdrów ode mnie Gabriela i Rozalię – rzucił starszy pan ciszej i jakby mniej pewnym głosem.

– Oczywiście! – odrzekłam i pomachałam do Maurycego na pożegnanie.

W trakcie rozmowy wspomniał, że zna Witkowskich, i dodał nawet, że są z Gabrielem z tego samego rocznika. Miałam ochotę zapytać o więcej szczegółów, ale zręcznie zmienił bieg rozmowy. W ogóle mało opowiadał o sobie, a jeśli już, to jedynie nawiązywał do swoich wędrówek po lesie, które uwielbiał, i częstych wypraw do kapliczki. Nie śmiałam go zapytać, dlaczego to miejsce jest dla niego tak ważne. Szybko się zorientowałam, że Maurycy mówił tylko to, czym chciał się podzielić, a jeśli przypadkiem rozmowa zahaczała o zbyt osobisty wątek, manewrował tak, by wybrnąć i nie wzbudzając podejrzeń, swobodnie zmienić temat. W każdym razie z zaskoczeniem stwierdziłam, że całkiem miło spędziłam czas w jego towarzystwie. Kolejna sympatyczna, interesująca osoba, którą poznałam w Bukowej Górze.

Gdy dotarłam do miasteczka, powoli zaczynało zmierzchać, a na stojącej na rynku choince paliły się już lampki. Urzekł mnie widok porozwieszanych między drzewami na skwerku podświetlanych łańcuchów, dlatego zatrzymałam się na chwilę, by się im przyjrzeć. Do świąt pozostały jeszcze dwa tygodnie, ale przystrojone z tej okazji ulice wyglądały tak uroczyście, że już teraz można było poczuć bożonarodzeniowy klimat. Nie przepadałam za świątami, zawsze spędzałam je sama i szczerze powiedziawszy, traktowałam jak zwyczajne, powszednie dni. Odkąd jednak znalazłam się w Bukowej Górze i trafiłam do Złotego Serca, miałam wrażenie, że zaszła we mnie jakaś zmiana. Nawet teraz, przechadzając się powoli znajomymi już uliczkami, czułam coś dziwnego, czego nie potrafiłam określić. Ogrzewało mnie od środka miłe podekscytowanie bliskie radości. Nie wiem, skąd się to wzięło, ale było mi z tym całkiem dobrze. Zanim udałam się do Witkowskich, odwiedziłam jadłodajnię i pochłonęłam smaczny rosół z makaronem, a krótko po tym skusiłam się jeszcze na polane śmietaną pierogi z borówkami. Podejrzywałam, że gdybym stołowała się tu codziennie, szybko przybyłoby mi ciała tu i ówdzie.

W kawiarni tak jak zwykle panował ruch. Wślizgnęłam się niepostrzeżenie i przystanęłam z boku, czekając, aż Rozalia obsłuży stojących w kolejce klientów. Zdjęłam czapkę i rękawiczki, poluzowałam szalik i rozpięłam kurtkę, bo ledwo przekroczyłam próg, zrobiło mi się ciepło. Ponieważ nie zauważyłam Gabriela, podejrzewałam, że jest w pracowni. Rankiem wspomniał, że po południu czeka go tam sporo pracy. Kusilo mnie, żeby znów wśliznąć się za kontuar, przywdziać fartuch i pomóc Rozalii, lecz po wczorajszym niefortunnym zdarzeniu nie byłam pewna, czy do dobry pomysł. Sprzeciw starszej pani mógł przecież wynikać ze słusznych zresztą obaw, że skompromituję Złote Serce. W końcu moje

wątpliwości zwyciężyły i nie odważyłam się narzucać z pomocą. Nie czekałam długo, bo zaraz zrobiło się spokojniej i Rozalia mnie zauważyła.

– A co ty tu tak w kącie stoisz? – Podeszła do mnie i zaprosiła, żebym zajęła miejsce.

Nie zamierzałam zabierać jej czasu, ale akurat zwolniło się jedno z wysokich krzeseł przy kontuarze, więc odruchowo na nim przysiadłam. Wielokilometrowa wędrówka zrobiła swoje i bolały mnie nogi.

– Czekolada? – Rozalia spojrzała na mnie wesoło.

Nie wiedziałam, gdzie to zmieszczę, ale ochoczo się zgodziłam. Któż by się w końcu oparł takim smakołykom.

– Opowiadaj, co tam dziś porabiałaś – rzekła Rozalia, stawiając przede mną szklanekę z moją ulubioną czekoladą.

– Oj, dzisiaj miałam bardzo intensywny dzień, sporo się nachodziłam. Najpierw wybrałam się do lasu, a potem byłam u pana Maurycego...

– U Maurycego? – przerwała mi zaskoczona Rozalia. – Jak to?

W skrócie, ponieważ zauważyłam zbliżające się do kontuaru osoby, opowiedziałam starszej pani o sytuacji z kluczami. Tymczasem Rozalia obsłużyła klientkę, ale zaraz znów stała naprzeciw mnie, skora kontynuować wcześniejszy temat.

– Wie pani, dlaczego on to robi?

– Co? – Rozalia nie zrozumiała.

– Dlaczego od dawna zapala lampion w kapliczce. Laura mi o tym powiedziała – wyjaśniłam. – Zna pani powód?

– Nie mam pojęcia. – Rozalia pokręciła z przejęciem głową. – Przez wiele lat nie wiadomo było, kto to robi. Nagle ktoś zaczął dbać o kapliczkę, starał się o to, by nigdy nie zgasnął w niej płomień, i dopiero z czasem skojarzyliśmy te zabiegi z przyjazdem Maurycego.

– Z naszej rozmowy wynikało... To znaczy ja tak to odebrałam, że on tu mieszka od dawna. – Zdziwiłam się. – Wspominał nawet, że was zna i ma tyle samo lat co pan Gabriel. Zresztą prosił, żebym was pozdrowiła.

– No proszę. – Rozalia znów pokiwała głową, tym razem z wyrazem zdziwienia na twarzy. – Kto by pomyślał?

– Czy coś w tym dziwnego?

– Hmm, jak by to powiedzieć... – Zastanowiła się przez chwilę. – Maurycy ostatnimi czasy stronił od ludzi. Unikał kontaktu nie tylko z sąsiadami, ale też z dawnymi znajomymi. Choć nie zawsze tak było...

Niecierpliwie czekałam na dalszy ciąg opowieści, ale akurat do kontuaru podeszło starsze małżeństwo i na kilka minut musiałam powściągnąć ciekawość.

Po obsłużeniu klientów Rozalia wróciła do wcześniejszego tematu.

– Kiedyś, gdy byliśmy dziećmi i później, w nastoletnim wieku, wszyscy bardzo się lubiliśmy. Jestem od Maurycego i Gabriela cztery lata młodsza, ale doskonale pamiętam ich z tamtych lat. Ale po skończeniu szkoły Maurycy wyjechał z Bukowej Góry i kontakt się urwał. Potem wrócił na jakiś czas z żoną i małą córeczką, ale rzadko ich wtedy widywałam. Zresztą po kilku latach opuścili naszą miejscowość. Ktoś mówił, że kupili mieszkanie w mieście. W rodzinnym domu Borowskich zamieszkał później jakiś krewny, taki miły starszy pan, o ile pamiętam, ale kiedy zmarł, budynek przez wiele lat stał pusty. Dopiero gdy Maurycy wrócił tu sam pod koniec lat dziewięćdziesiątych, wyremontował dom i znów tam osiadł. Ale od tamtej pory izoluje się od wszystkich. Wiem, że wcześniej któryś z sąsiadów, nie raz, nie dwa do niego zachodził, ale Maurycy udawał, że go nie ma. A potem to już nawet przestał stwarzać pozory, tylko bezczelnie zamykał ludziom drzwi przed nosem. Mówili, że stał się arogancki

i niemiły, dlatego z czasem, właściwie na jego własne życzenie, wszyscy się od niego odsunęli. – Rozalia zakończyła z cichym westchnieniem.

Zdziwiły mnie te słowa, ponieważ ja odebrałam Maurycego zupełnie inaczej. Może i nie był duszą towarzystwa, ale była od niego jakaś serdeczna otwartość. Miałam wrażenie, że gdybym potrzebowała pomocy, mogłabym na niego liczyć. W zachowaniu tego starszego człowieka nie zauważyłam ani krzty arogancji, o której wspomniała Rozalia. Co musiało się stać w życiu Maurycego, że bezczelnością i oschłością zdecydował się odgrodzić od bliskich mu kiedyś osób? Czy zrobił coś złego i po latach wstydził się do tego przyznać? A może to jemu ktoś wyrządził krzywdę i zapobiegliwie, w obawie przed kolejnym ciosem, ukrył się w miejscu, w którym kiedyś czuł się bezpiecznie?

– Strasznie to smutne – powiedziałam w końcu.

– O tak, smutne, gdy człowiek zostaje zupełnie sam – potwierdziła Rozalia. – Dlatego tak bardzo zaskoczyło mnie, że cię do siebie zaprosił.

Kiedy Rozalia przygotowywała kolejne czekolady i kawy dla czekających w kolejce gości, ja dumałam nad tym, co przed chwilą usłyszałam, starając się skonfrontować tę wersję z moimi odczuciami, z tym, jak ja odebrałam Maurycego. Nie pasowało mi to, miałam wrażenie, że mówiłyśmy z Rozalią o dwóch różnych osobach. Nagle towarzyszącą mi od rana radość zastąpił posępny nastrój i mimo unoszącej się wokół wesołości i przedświątecznego gwaru nie potrafiłam nad tym zapanować. Po kilku minutach trwania w takim beznadziejnym zawieszeniu, obserwując twarze uśmiechniętych ludzi, doszłam do wniosku, że historia Maurycego w pewien sposób przypomina moją. Ja też byłam samotna. Przez pierwsze lata po śmierci mamy odgrodziłam się od ludzi kolczastym pancerzem, najczęściej przybierając pozę kapryśnej, krnąbrnej pannicy. Tylko ja wiedziałam, że kiedy twarz wykrzywił mi bezczelny uśmiech,

w tym samym czasie moje rozdarte serce szlochało. Potem niestety nie było lepiej. Choć nauczyłam się żyć bez mamy, samotność stała się moją najwierniejszą przyjaciółką. Od tamtej pory nikomu tak naprawdę nie pozwoliłam się do siebie zbliżyć. A po wyprowadzce z domu, kiedy ojciec nie stanął w mojej obronie i nie wyciągnął do mnie ręki, jeszcze utwierdziłam się w przekonaniu, że nikomu nie jestem potrzebna.

W pewnym momencie ten pomruk toczonych wokół wesołych rozmów zaczął mnie drażnić. Włożyłam kurtkę, naciągnęłam czapkę i zaczęłam wiązać szalik, gdy obok mnie stanęła Rozalia.

– Już idziesz? – spytała, nie spuszczać ze mnie wzroku, jakby próbowała dociec, co stało za moim kiepskim nastrojem. Bo tego, że nagle straciłam humor, nie dało się ukryć. Być może zastanawiała się nawet, czy przypadkiem nie powiedziała czegoś, co mnie uraziło.

– Tak, jestem trochę zmęczona – rzekłam, zmuszając się do bladego uśmiechu, żeby choć trochę ocieplić atmosferę. Od dawna nie dopadały mnie takie przemyślenia. Zaakceptowałam swoją sytuację i nie litowałam się nad sobą. Zganiłam siebie w duchu, że akurat teraz zebrało mi się na żale.

– A myśleliśmy z Gabrielem, że może dziś wieczorem zajrzysz do nas na kolejną porcję opowieści – rzekła niepewnie Rozalia, wciąż dokładnie mi się przyglądając.

– Jeśli tylko nie będę przeszkadzać, chętnie przyjdę – zdecydowałam nagle, uznawszy, że co jak co, ale wieczór gawęd na pewno poprawi mi humor.

– Po dziewiętnastej będziemy w mieszkaniu, lecz jeśli chcesz, możesz zajść tutaj wcześniej – zaproponowała Rozalia z uśmiechem.

– W takim razie będę o wpół do ósmej – rzekłam i po namyśle dodałam:
– Zjawię się zaraz po kolacji.

W ten sposób postanowiłam postawić sprawę jasno, żeby Rozalia nie czuła się zobowiązana po raz kolejny do przygotowywania poczęstunku. Chyba chciała coś odpowiedzieć, ale akurat zagadnął ją siwy mężczyzna siedzący przy najbliższym stoliku. Skorzystałam więc z okazji, pożegnałam się i ruszyłam do wyjścia.

– Soniu! – usłyszałam już przy drzwiach.

Odwróciłam się i zobaczyłam idącą do mnie Rozalię z bukietem w rękach.

– Kwiaty...

– Ach tak, rzeczywiście. – Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem i przejęłam od Rozalii kolorową wiązanekę. – Zupełnie o nich zapomniałam.

Gdy wróciłam do siebie, pierwszym, co zrobiłam, było pozbycie się cięższej już mi po wielu godzinach zimowej odzieży. Potem wzięłam kąpiel, po której poczułam się jak nowo narodzona i dopiero wtedy zajęłam się kwiatami. Nie znalazłam żadnego wazonu, a jedynie szklany dzbanek w jednej z kuchennych szafek. Nalałam do niego wody i wstawiłam wyjęte z papierowej dekoracji kwiaty. Prezentowały się naprawdę pięknie. Zniosłam dzbanek do pokoju i postawiłam przy laptopie, bo tam siedziałam najczęściej. Dopiero wtedy dojrzałam bilecik, który ukrył się za okazałą wstążką. Odwiązałam cienką tasiemkę, za której pomocą został przymocowany, i spojrzałam na ozdobny, przypominający imieninową kartkę, kartonik. Otworzyłam go i przeczytałam:

Przepraszam za moje niestosowne zachowanie. Wiem, że nic nie jest w stanie tego usprawiedliwić. W ramach zadośćuczynienia proszę przyjąć ode mnie kwiaty. Najchętniej spotkałbym się z Panią i przeprosił osobiście, dlatego zostawiam mój numer telefonu. Jeśli uzna Pani, że zasługuję na szansę i zechce do mnie zadzwonić, będzie mi ogromnie miło.

Bartosz Chmielewski

Patrzyłam na rząd równo napisanych liter i z wrażenia aż usiadłam na krześle.

– No, trzeba przyznać, że ma facet tupet. Po kiego czorta chce się ze mną spotykać? – mruknęłam do siebie. Czyżby dręczyło go aż tak wielkie poczucie winy, że potrzebował osobistego rozgrzeszenia? Rozśmieszyło mnie to i cała ta sytuacja, która wczoraj spędzała mi sen z powiek, teraz wydała mi się zabawna. „Ciekawe, co by mi powiedział, jak się wytłumaczył, gdybyśmy rzeczywiście się zobaczyli”, zaczęłam się bawić w domniemywanie. Nie byłam zła na tego mężczyznę, bo ja też popełniłam błąd. Być może miał gorszy dzień albo spotkało go coś przykrego, dlatego tak wybuchnął. „No cóż, jakkolwiek było, już się o tym nie przekonam”, pomyślałam i z jakimś lekkim uczuciem żalu wsunęłam wizytówkę między kartki książki, którą zabrałam na urlop.



Do Witkowskich dotarłam dokładnie o wpół do ósmej. Rozalia otworzyła mi drzwi, po czym zaprowadziła mnie do pokoju gościnnego.

– Tu nam będzie wygodniej, Soniu – powiedziała i zapraszającym gestem wskazała sofę pod ścianą.

Gdy usiadłam, tuż obok na niskim okrągłym stoliku zauważyłam dzbanek, filiżanki i talerzyk z ciemnobrazowymi ciasteczkami w kształcie serc. Jakże mogłoby być inaczej, w końcu znajdowaliśmy się nieopodal Złotego Serca, a przecież tutaj wszystko kręciło się wokół czekolady.

– Gabrielu, gdzieś ty przepadł?! Chodź do nas, Sonia już jest! – Rozalia usiadła obok mnie, wzięła dzbanek i rozlała herbatę do filiżanek.

– Przepraszam – rzekł zmieszany Gabriel, stając w drzwiach. – Musiałem na moment zejść do pracowni, bo nie byłem pewien, czy

wyłączyłem maszynę.

– Dobrze, już dobrze, ale teraz siadaj tutaj z nami, bo czas ucieka. – Rozalia przesunęła na bok ozdobną poduszkę i poklepała dłonią miejsce obok siebie.

– Na czym to myśmy ostatnio skończyli...? – Gabriel rozparł się wygodnie obok żony, ale wydawał się nieco rozkojarzony.

– Po wyprawie do Basałyka Marcin podjął decyzję o powrocie do rodzinnego domu... – podpowiedziałam, coraz bardziej ciekawa dalszej części tej niesamowitej historii.

– Ach, no tak – sapnął Gabriel, po czym łyknął herbaty i spojrzał wymownie na żonę. – Sądzę, że nikt lepiej niż Rozalia nie opowie o tym, co się działo w chacie Skowrońskich po odejściu Marcina.

– Ja? – spytała ze zdziwieniem starsza pani, nie odrywając wzroku od męża. – Nie od dziś wiemy, że to ty jesteś w tej rodzinie najlepszym bajarzem.

– A ty jesteś wyśmienitą bajarką. – Gabriel z szelmowską miną zrewanżował się komplementem.

Speszona Rozalia spojrzała na mnie z ukosa, a potem wzięła głęboki oddech i rzekła:

– Zgoda, niech ci będzie. Żebym nie wyszła przed naszym gościem na milczka. Ale z góry uprzedzam, że nie umiem opowiadać tak ładnie jak Gabriel. – Rozalia chwilę się powierciła, lecz zaraz oparła się wygodnie i zapatrzyła na wiszący na ścianie obraz przedstawiający wiejską chatę w zimowej scenerii. W jednej chwili na jej twarzy zagościł spokój, a z ust popłynęły pierwsze słowa.

Opowieść Rozalii



Sabina straciła poczucie czasu. Nie była pewna, jak długo siedziała nad jeziorem. Przybiegła tutaj zaraz po nabożeństwie majowym. Słońce chowało się już za las, a jej wciąż nie spieszyło się do domu. Odkąd Marcin opuścił Bukową Górę, wszystkie dni były do siebie podobne. Minęło lato, przeszła jesień i wyjątkowo mroźna zima, a kiedy nadeszła wiosna, do dziewczyny powoli zaczęło docierać, że pewnie nigdy więcej nie zobaczy ukochanego.

„Jakiż on ukochany, skoro nie usłyszał bicia mojego serca i nie dostrzegł uczucia w oczach”, ganiła siebie w myślach za swoją naiwność. Ale cóż mogła zrobić, gdy nieposłuszne serce samo wyrwało się do Marcina, ledwo Sabina go ujrzała. To nic, że wyglądał wtedy jak stary, zmęczony życiem człowiek i nieładnie pachniał, skoro ona od razu dostrzegła w nim urodziwego młodzieńca.

Przesunęła ręką po jaskrawozielonej trawie, z której ciekawsko spoglądało na nią kilka stokrotek. Był maj, jeden z najpiękniejszych miesięcy, a przystrojona w rozmaite barwy przyroda kusila obietnicą nadejścia cudownych letnich dni. Wszyscy we wsi i pobliskim miasteczku dali się porwać tej feerii radości dostępnej dla każdego. Bo z dobrodziejstw i cudowności matki natury mógł czerpać każdy: i biedny, i bogaty. W zielonych zagajnikach, na łąkach pośród kwiatów i na leśnych

ścieżynach nieśmiało rozkwitała miłość. Kawalerowie z nienacka obejmowali panny, a te, choć marzyły o gorącym pocałunku, zwykle umykały, dając do zrozumienia, że trzeba się o nie bardziej postarać. Sabina też o tym marzyła, ale z każdym kolejnym dniem, kiedy w jej głowie obraz Marcina coraz bardziej się zacierał, gasła w niej powoli nadzieja na jego powrót.

W końcu wstała, wygładziła długą bawełnianą spódnicę, wyjęła źdźbło trawy, które zaplątało się w koniec jej warkocza i powoli ruszyła do wsi. Jeśli czas pozwalał, przychodziła nad jezioro codziennie, by choć przez chwilę usiąść w miejscu, gdzie dwa lata wcześniej w zimny listopadowy dzień nieoczekiwanie znalazła Marcina. Od tamtej pory jej życie zupełnie się zmieniło. Przedtem zwykle naśmiewała się z koleżanek wzdychających do chłopaków z okolicy. Uważała, że głupotą jest strojenie się dla nich i zalotne uśmiechanie. Sądziła, że jej to nigdy nie spotka. Tymczasem niespodziewanie dla niej samej również ona uległa urokowi miłości. Tylko co to za miłość bez wzajemności, która przynosi jedynie udrękę i rozterki. Ileż to razy Sabina umierała z zazdrości, gdy dojrzała miejscowe dziewczęta wpatrzona w Marcina jak w obraz. Nie dało się zaprzeczyć, że urodziwy był jak mało który kawaler, a do tego jego głos brzmiał tak uprzejmie i jakoś znajomo, że słysząc go, Sabinie aż robiło się ciepło w sercu. Uległa urokowi Marcina, choć wiele razy próbowała się pozbyć tego uczucia. Nie chciała cierpieć, ale nie potrafiła zapomnieć o kawalerze, którego, jak jeszcze do niedawna wierzyła, zesłał jej dobry los.

Kiedy weszła do chałupy, odetchnęła z ulgą, widząc, że nie ma w niej ani matki, która zapewne znów wybrała się do Nowakowej, znajomej z dzieciństwa, ani ojca, który, jak Sabina się domyślała, przysiadł pod chałupą starego Gerarda, gdzie od wiosny do jesieni spotykali się mężczyźni z wioski. Przynajmniej nie będą na nią krzywo patrzeć

i wymawiać jej, że rusza się jak mucha w smole i ciągle buja w obłokach. Przecież robiła to, co zawsze: w środy i soboty wstawiała przed świtem i jeszcze po ciemku ruszała ze złowionymi przez ojca rybami na targ do Ratajnik. Nieraz doprawdy ciążyły w koszu, który Sabina zarzucała na plecy, a potem przez dwie godziny szła przez pola i miedze, aż dotarła do prowadzącej do targowiska kamienistej drogi, gdzie zjeżdżali się ludzie z okolicznych wiosek i miasteczek. Pomagała mamie w obejściu, a jesienią i zimą zawzięcie skubała pierze, choć tego nie znosiła. Gdy pierwszy raz miała wziąć w ręce wrywającą się gęś, zmiękły jej nogi, a przed oczami pojawiły się mroczki i Sabina myślała, że zaraz zasłabnie, ale w końcu się opanowała. Od dziecka nie bała się niczego, a we wsi uchodziła za najdzielniejszą ze wszystkich dziewczyn, głupio by więc było, gdyby spadła z krzesła razem z tym biednym ptakiem. Często nosiła też wodę z pobliskiej studni i prała na tarze ubrania. Nauczyła się gotować strawę i właściwie przejęła większość obowiązków, które kiedyś, gdy Sabina była dzieckiem, wykonywała mama. Naprawdę się starała, choć rzeczywiście ostatnio wszystko leciało jej z rąk. Wszedłszy do kuchni, dojrzała siedzącą w znajomym miejscu babcię. Starowinka trzymała w dłoniach wysłużony różaniec i powoli przesuwając w palcach kolejne paciorki, ruszała bezgłośnie ustami, odmawiając Koronkę. Dopiero po chwili dojrzała wnuczkę, a wtedy jej pomarszczona twarz pojaśniała w uśmiechu.

– Sabinka – powiedziała i odłożywszy na bok różaniec, wyciągnęła do dziewczyny ręce.

Dziewczyna wpadła w objęcie babci, nie bacząc na to, że może za mocno chwyciła staruszkę. Babcia wydawała się teraz tak krucha jak mała, chuda kurka. Przywarły do siebie i każdej wydawało się, że czas się cofnął o kilkanaście lat. Aniela w swojej ślicznej dziewiętnastoletniej wnuczce znów dojrzała małe, krnąbrne dziewczątko, które Pan Bóg obdarzył takim

temperamentem, że można by nim obdzielić kilku chłopaków. A Sabinie wydawało się, że ramiona babuni obronią ją przed całym światem, a już na pewno przed rodzicami, którzy będą chcieli ukarać córkę za kolejną psotę. Bo Aniela była dla małej Sabinki i tej starszej Sabiny najprawdziwszym aniołem. Gdy tylko dziewczynka pojawiła się na świecie, jako najgłośniejszy, najbardziej rozkrzyczany noworodek we wsi, starsza pani roztoczyła nad nią ochronny, niebiański parasol, dbając o to, by małej Skowrońskiej włos z głowy nie spadł. Tym bardziej że dziecko było ruchliwe jak małe które, często nabijało sobie guzy i chodziło podrapane.

– Nie frasuj się, Sabinko – rzekła Aniela do wnuczki. – Młodaś i ładna, szkoda, żeby na takiej gładkiej buzi porobiły się bruzdy. Lato rychło nadejdzie, raduj się tym, dziecko, bo życie zbyt szybko mija, żeby odliczać gorzkie minuty.

– Dobrze tak mówić, babuniu, kiedy wam nie tęskno za niczym – odparła ponuro dziewczyna.

– Oj, tęskno, tęskno, wnusiu. Tęskno mi za Józefem i za moimi dziatczkami, bo za szybko odeszli na tamten świat, a ja nie zdążyłam się nimi nacieszyć. Tęskno mi za siłą młodej dziewczyny, bo teraz, kiedy człowiek wreszcie ma czas, nie da się już pobiec na majówkę do kapliczki ani iść na plotki do Walerki. Obieśmy już jak stare, pochylone do ziemi wierzby, które lada chwila może złamać byle podmuch wiatru. A minęło to szybko, jakby kto ledwo książkę otworzył i już zamknął.

Aniela doskonale wiedziała, za czym, a raczej za kim, tęskni Sabina, ale dopóki dziewczyna się do tego nie przyznała, żeby jej nie peszyć, nie zamierzała udzielać mądrych rad. Zdawała sobie sprawę, że młode serce inaczej odbiera świat, inaczej przyjmuje uciechy i porażki, inaczej się obawia i tęskni. Staruszka wiele by dała, by przynieść ulgę wnuczce, ale nie

było to możliwe, bo tylko Sabina mogła przeżyć swoje życie i wyciągnąć z tych cennych lekcji naukę.

Po tych kilku niewinnych słowach babci Sabinie zrobiło się wstyd, że tak się nad sobą uzala. To oczywiste, że babcia w swoim ponaddziewięćdziesięcioletnim życiu wiele przeszła, a los, jak wiedziała Sabina, kilka razy boleśnie ją doświadczył. Aniela pochowała wcześniej nie tylko męża, ale też trójkę dzieci. Została tylko najmłodsza Terenia, bo starszych chłopaków zabrały panujące raz po raz we wsi zarazy. Dziewczyna nie odezwała się już, a ponieważ zaczęło jej się zbierać na płacz, w obawie, by babcia tego nie zauważyła, jeszcze mocniej do niej przyłgnęła. Aniela utuliła dziewczynę i pogładziła jej lniane włosy, jakby trzymała w ramionach małe dziecko.

Po tym wieczorze w Sabinie coś się zmieniło. Wzięła sobie do serca słowa babuni i postanowiła bardziej się cieszyć życiem. Nadal tęskniła za Marcinem, ale się zawzięła, by przynajmniej nadmiernie o nim nie rozmyślać i codziennie więcej się uśmiechać. Albo choć nie smucić się tak często jak dotychczas. Babcia dobrze mówiła, kolejne wiosenne dni szybko upływały, rychło miało nadejść lato, szkoda więc marnować łyżę na chłopaka, którego Sabina pewnie i tak nigdy więcej nie ujrzy. Kiedy więc w jej głowie nieoczekiwanie pojawiała się przystojna twarz Marcina, Sabina robiła wszystko, by przegnać kuszące myśli. Doszło do tego, że aż rodzina nie mogła uwierzyć w tę nagłą przemianę, ponieważ dziewczyna ochoczo zaczęła wyrywać się do pracy. Zawzięcie ubijała masło w maselnicy i uczynnie brała z rąk matuli dzieżę, by samej wyrobić ciasto. Sumiennie zamiatała wszystkie kąty chaty i oporządzała zagrodę. Pielęła grządki w przydomowym warzywniaku i pomagała w pracach na polu. Oczywiście tak jak do tej pory z koszem pełnym świeżych ryb chodziła też

do Ratajnik. Wynajdowała sobie coraz to nowe zajęcia, byle tylko nie rozmyślać o Marcinie.

Skowrońscy z pewną podejrzliwością przyglądali się nagłej przemianie córki, która chociaż kiedyś rezolutna, jeszcze tydzień wcześniej ruszała się jak mucha w smole. Martwiły ich zmiany humorów Sabiny, lecz nie mogli nic poradzić na jej zachowanie. Oboje dobrze wiedzieli, co za tym stoi, ale córka była dorosłą panną i do tej pory raczej dobrze radziła sobie ze wszystkim. Nie uszło ich uwadze, jak wielu kawalerów z okolicy wodziło za Sabiną maślanym wzrokiem. Było paru takich, z którymi pewnie chętnie pobłogosławiliby związek córki. Tym bardziej że lata uciekały i Teresa coraz częściej narzekała, że jak tak dalej pójdzie, to wybredna dziewczyna zostanie starą panną. A Sabina oganiała się od chłopaków jak od namolnych much, drażniły ją ich głupie, dziecinne zaloty i zbyt głośny śmiech. Dziewczyny ze wsi zazdrościły jej powodzenia, ale to, co one uważały za szczęście, dla niej było utrapieniem. Zwłaszcza jeden chłopak, Wacław Śmigiel, szczególnie ją sobie upatrzył i Sabina nie raz ukrywała się przed nim za krzakami, często wybierając potem dłuższą drogę. Wacek uchodził we wsi za najlepszą partię i kiedy okoliczne panny zorientowały się, że ich bożyszczce smali cholewki do młodej Skowrońskiej, z zazdrości i urażonej dumy wręcz ją znienawidziły.

– Nie rozumiem, co on widzi w tym chuchrze, ani to ni ma bioder, ani cyca, jedynie warkocz długi i gęsty. Ale przecież tego to żadnej z nas nie brakuje – mówiła ruda Sławka, której akurat Bozia poskąpiła bujnych włosów.

Przechodząc kiedyś obok zagajnika, za którym kończyła się dróżka, Sabina przypadkiem usłyszała rozmowę koleżanek ze wsi. Obśmiała się na te opowiadki i ciekawa, co jeszcze o niej myślą, przykucnęła, chowając się

za dziką kaliną. Nic sobie nie robiła z takiego gadania, jedyne co, to miała nadzieję na trochę śmiechu.

– Też tego nie rozumiem – wtórowała Sławce wysoka Jula, która wzrostem przewyższała wszystkich chłopaków w okolicy. – Gębę ma niewyparzoną i ciągle łązi w tej samej kiecce. Dziwię się Wackowi, że ślepia za nią wypatruje.

– A bo ona pewnie jaki urok na niego rzuciła – wtrąciła się Wiesia Zagórska, cicha myszka, która niezwykle rzadko się odzywała. Sabina pomyślała, że to spotkanie musi być wielkim wydarzeniem, skoro Wiesia zdecydowała się dodać swoje trzy grosze. – Pewnie poszła do szeptuchy i ta jej doradziła, co czynić, by sobie Wacka zjednać.

– Myślisz?! – odezwało się kilka głosów naraz.

– Tak mi się wydaje – odrzekła Wiesia już mniej pewnym tonem.

– No, ale same powiedzcie, czy to normalne, żeby dziewczucha podobała się aż tylu kawalerom naraz? – odezwała się dotąd milcząca Karola, którą chyba najbardziej z tego sekretnego grona zżerała zazdrość. – Zwłaszcza że ani to urodne, ani mądre.

– Ano nienormalne! – zgodziły się wszystkie.

Sabina uśmiechała się pod nosem na te dziewczynskie plotki. Od dziecka nie dogadywała się dobrze z rówieśnikami. Kiedy one jako małe dziewczynki bawiły się zrobionymi z jakichś szmatek lalkami w domu, ona wspinała się na drzewa i biegała z chłopakami do lasu, udając, że szuka groźnego potwora, który podobno tam grasował. Nie miała koleżankom za złe długich języków, bo nie pojmowała, co siedzi w ich głupiutkich główkach. Tylko się stroiły i strzelały oczami za chłopakami, marząc o rychłym zamążpójściu. Niechby sobie wzięły tego całego Wacka, przynajmniej Sabina nie musiałaby chadzać okrężnymi drogami albo siedząc w chałupie, udawać, że jej tam nie ma. Powodzenie, które

dziewczyny ze wsi uważały za sprowadzone przez czary szczęście, dla niej było kłopotem.

Chętnie posłuchałyby dłużej, co też Sławka, Wiesia, Karola i Jula mają jeszcze do powiedzenia – bądź co bądź stanowiło to zawsze jakąś rozrywkę w zazwyczaj nudnym i przewidywalnym życiu wiejskiej społeczności – ale zauważyła idącego przez pola Wąsowskiego, sąsiada słynącego z sokolego wzroku, dlatego postanowiła się stamtąd ulotnić, zanim mężczyzna ją zauważy. Potem znów musiała iść zarośniętymi bocznymi drogami i kiedy wróciła do chaty, miała podrapane łydki.

Jeszcze bardziej chciało jej się śmiać, kiedy po południu znów zobaczyła dziewczęta, tym razem przy kapliczce na nabożeństwie majowym. Z dłońmi złożonymi w modlitewnym geście, ze słowami litanii loretańskiej na ustach, co jakiś czas zerkały na Sabinę i słodko się do niej uśmiechały. Pośród licznie przybyłych do polnej świątyni mieszkańców wioski zjawił się i Wacek, który, co zrozumiałe, też nieustannie przyglądał się Sabinie.

To wtedy dziewczyna wpadła na pewien chytry plan. Postanowiła jeszcze bardziej się zabawić, a tym samym utrzyć nosa zazdrośnikom. Ledwo zaczęła śpiewać *Chwalcie łąki umajone*, posłała Wackowi zalotne spojrzenie. Może nie wypadało tego robić w takim miejscu, ale wierzyła, że Najświętsza Panienka wybaczy jej ten wybryk. Zauważywszy zainteresowanie Sabiny, Waclaw najpierw się wyprostował, dumnie wypinając pierś, a potem aż do końca nabożeństwa nawet na moment nie spuszczał z niej wzroku. Gdy wybrzmiały maryjne pieśni, Sabina odetchnęła z ulgą, że wreszcie ma to za sobą. Już zamierzała się oddalić, podchodząc bliżej do matki, gdy nagle poczuła na ramieniu czyjś dotyk. Obejrzała się lekko, a kiedy zauważyła swojego adoratora, zaraz opuścił ją dobry humor.

– Mogę cię odprowadzić? – spytał Wacek i nie czekając na odpowiedź, chwycił Sabinę za rękę i powiódł w stronę ścieżki.

Zanim Sabina się zorientowała, co się dzieje, rzuciła spanikowane spojrzenie w stronę umieszczonej w centralnej części kapliczki maryjnej figurki, obok której chybotliwie tańczył płomyk świecy. Przecież mogła przewidzieć, że swoim niecodziennym zachowaniem da chłopakowi przyzwolenie do dalszych awansów, i chyba o to jej chodziło. „Co ja sobie myślałam”, ganiła się w duchu, łowiąc zadowolone spojrzenie matki. Psoty psotami, ale pomimo narwanej natury miała już swoje lata i powinna wiedzieć, że w życiu trzeba ponosić konsekwencje swojego zachowania.

Jej uwadze nie uszedł też zawistny wzrok Bogusi, jednej z ładniejszych panien we wsi, która od dziecka uważała się za pępek świata. Pogardzała nie tylko innymi dziewczętami, uważając je za pospolite, ale też zadzierała nosa wobec większości kawalerów. Niejednego już pogoniła, ze słodyczą na ładnych karminowych usteczkach oznajmiając, że za wysokie progi na jego nogi. O ile Bogusia nie doceniała i nie szanowała większości rówieśników, o tyle akurat do młodego Śmigła miała zgoła inny stosunek. Zawsze patrzyła na niego przychylnie, czekając cierpliwie, aż chłopak zdecyduje się wreszcie dać jej choćby znak, że nie jest mu obojętna. Ale Wacek bagatelizował ukryte zaloty panny Bogusi, bo jego serce już dawno temu skradła inna. Dla jednego przychylnego spojrzenia Sabiny Skowrońskiej mógłby pójść do bram piekielnych, a nawet wyklócać się o nią z samym czortem. Dlatego kiedy dziś jego niedoścignione marzenie, panna o bławatkowych oczach, najpiękniejszych, jakie widział, spojrzała na niego tak, że aż go ciarki przeszły od łądzwi po czubek głowy, postanowił kuć żelazo póki gorące, upatrując w tym nieoczekiwanym zdarzeniu Bożą opatrność. Nie był zbyt religijny, ale w myślach obiecał Najświętszej

Panience, że gdy wieczorem wróci do chaty, w podzięce za przychyłność Sabinki odmówi dziesiątkę różańca.

Sabina przyspieszyła kroku, czując za plecami kilkanaście par ciekawskich oczu wpatrzonych w nią i Wacława. Robiąc dobrą minę do złej gry, uśmiechnęła się do niego. Właściwie niczego mu nie brakowało. Był może nawet przystojniejszy niż jasnowłosy Marcin o tajemniczym spojrzeniu. Wysoki, postawny, z brązowymi lekko falowanymi włosami i oczami w kolorze węgla. Świadomy swojej atrakcyjności, zwykle chodził wyprostowany, a jego znak rozpoznawczy stanowił szelmowski uśmiezek i ładne, równe zęby. Sabina westchnęła w duchu, po raz pierwszy myśląc o tym, że o wiele łatwiej by się żyło, gdyby jej serce nie zabiło dla Marcina, lecz właśnie dla tego całkiem miłego chłopaka, którego znała niemal od dziecka. Ileż to razy bawili się z Wackiem i innymi jego kompanami w ganianego albo wyznaczali sobie różne trudne wyzwania, które zwykle wygrywała właśnie Sabina. Tak było przez wczesne lata dzieciństwa, bo potem chłopcy, widząc, że zawsze miała nad nimi przewagę, nie chcieli się już z nią bawić. Przyjęła to z godnością, lekceważąco wzruszając ramionami, i oznajmiła, że to ona nie zamierza się już z nimi zadawać, bo nigdy nie potrafią z nią wygrać.

Teraz Wacław kroczył obok niej dumny niczym paw, a Sabina co rusz przyspieszała kroku, by mimo wszystko jak najszybciej schować się w domu.

– Bywaj – rzuciła tylko, gdy dotarli do płotu, na którym obsychały garnki, i już pomknęła do drzwi chaty.

Zaskoczony chłopak spojrzął na niebieski domek, w którego oknach czerwieńczyły się pelargonie, i smętnie opuścił ramiona. Tyle chciał powiedzieć Sabinie, o tak wiele ją zapytać, a nie dała mu szansy nawet na to, by się z nią pożegnał.

– Bywaj – odpowiedział dopiero po chwili, ale tego prawdopodobnie dziewczyna już nie usłyszała. Licząc na choć chwilę rozmowy, wciąż czuł w ustach ciężar niewypowiedzianych słów. Może i obiecywał sobie nazbyt wiele, ale cóż miał poradzić, kiedy młoda Skowrońska bez pytania skradła jego serce. Naprawdę chciał o niej zapomnieć, wszak we wsi znalazłoby się mnóstwo urodziwych dziewcząt skorych do umizgów, lecz Wacław nie potrafił wymazać z głowy obrazu ślicznej twarzy Sabiny i jej charakternego spojrzenia. Jakby ta młódka rzuciła na niego urok. Zły był na siebie, bo zdawał sobie sprawę, że łąząc za Sabina, robi z siebie barana. Dobrze, że choć dzisiaj dała mu się odprowadzić, przynajmniej Rysiek i Kazek nie będą się z niego naśmiewać. Odchodząc, kopnął niewielki kamyczek, który nieoczekiwanie poturlał mu się pod nogi. Potem zamyślony przeszedł jeszcze kilka metrów. Kiedy jednak dotarł do końca drogi, gdzie stała studnia, zatrzymał się i z oddali obejrzał się jeszcze na chałupę Skowrońskich. – Będziesz moja, Sabino. Czy ci się to podoba, czy nie, i tak zostaniesz moją żoną – powiedział do siebie z tak głębokim przekonaniem, że aż dodało mu to wigoru. Umocniony swoim postanowieniem, ruszył lekko, niemal w podskokach, wierząc, że los na pewno ześle mu szansę.

Zmieszana Sabina wpadła do chaty, a żeby uniknąć pytań rodziców i ich ciekawskich spojrzeń, od razu chwyciła za miotłę i jęła wyprzątać z izby kurz. Usłyszawszy za progiem głos Teresy i śmiech Władysława, tak szybko zaczęła wywijać miotliskiem, że omal nie wypadło jej z rąk.

– A co ty, Sabinko, znów omiatasz? – spytała zdziwiona Skowrońska, bo przecież kilka godzin wcześniej córka tak dokładnie wysprzątała izbę, że nawet małe licho nie miałyby szansy się w niej uchować.

– Aaa, bo przez nieuwagę naniósłam błota – odparła Sabina, nie odważając się spojrzeć na matkę.

– Błota? – Na twarzy Teresy pojawił się figlarny uśmiech. – Przecież parę chwil temu modliliśmy się o deszcz.

– A babunia gdzie? – spytała Sabina, chcąc jeszcze na chwilę odwrócić od siebie uwagę, chociaż wiedziała, gdzie jest Aniela.

– U Walerki – odparła Halina. – Tata zaraz po nią zajdzie.

Sabina cieszyła się, że staruszce ostatnio dopisywało zdrowie i siły, choć sama uparcie twierdziła, że nim minie rok, na pewno przyjdzie po nią jej ślubny, by powieść ją tam, gdzie już od dawna na nią czekał. Wszyscy dobrodusznie uśmiechali się na te wywody Anieli, bo jakoś nikomu nie chciało się wierzyć, że mogłoby jej zabraknąć.

– Oj, na pewno jeszcze mnie przeżyjecie – droczył się z teściową Władysław i czule poprawiał położoną na oparciu jej fotela poduszkę.

– Jak długo mam was niańczyć? Stara już jestem i trzeba mi wreszcie odpocząć, a nie młokosów doglądać, żeby głupot nie narobili – rzekła staruszka z typowym dla niej humorem.

– No tak, rzeczywiście, bez was na pewno tu nabroimy – przekomarzał się zięć.

Tego wieczoru Teresa dała spokój córce, chociaż korciło ją, by podpytać o Waclawa. Ucieszył ją widok Sabinki i tego chłopaka. Piękna byłaby z nich para, a poza tym Śmigiel pochodził z dobrej rodziny. Z dziada pradziada wiadomo było, że tam mężowie szanowali swoje żony. A różnie przecież we wsi się słyszało. Ojciec Waclawa nigdy nie chadzał do oberży jak wielu chłopów i mimo dwudziestu lat małżeństwa wciąż wodził za ślubną rozmiłowanym wzrokiem. Tylko że dotąd Sabinka na swoje nieszczęście wciąż rozmyślała o Marcinie.

Od czasu gdy dziewczyny zobaczyły Sabinę z Waclawem, jeszcze bardziej się na nią uwzięły i częściej kłapały dziobami na jej temat, wciąż od nowa roztrzāsając, jak to możliwe, że taki przystojny chłopak smali

cholewki do byle jakiej pannicy. Niezrażone, nadal wysyłały mu zalotne spojrzenia i zagadywały przy każdym spotkaniu, nie tracąc nadziei, że sytuacja się odmieni, ale młody Śmigiel zbywał je uśmiechkiem. Oj, ileż by one dały, by choć raz spojrział na nie tak, jak patrzył na Skowrońską. Mimo wszystko nie traciły nadziei, bo osnute słodkim zapachem kwiatów, coraz dłuższe wiosenne dni mają to do siebie, że rozpalają dziewczęce serca.

Kiedy skończył się maj, Sabina zauważyła, że brakuje jej nabożeństw pod kapliczką. Lubiała modły na łonie natury, tak jak lubiała ten najpiękniejszy ze wszystkich miesięcy. Jednakowoż dotarło do niej, że zaczęło jej też brakować Wacława, z którym mogła czasem ciekawie porozmawiać. Śmigiel niby zawsze kręcił się gdzieś obok, ale chyba czekał na wyraźny sygnał z jej strony. Ostatnio Sabina czuła, że się trochę pogubiła. Coraz częściej nachodziła ją złość na Marcina za to, że odszedł i ją zostawił, a najbardziej za to, że nie potrafił pokochać jej tak, jak ona jego. Zazdrościła dziewczętom ze wsi beztroski i nadziei, z jaką spoglądały w przyszłość, marząc o wielkim szczęściu. Ona poza tym, by Marcin zwrócił na nią uwagę i podarował jej serce, nie miała innych pragnień. Tylko że Marcina nie było już od wielu miesięcy. Do Sabiny coraz wyraźniej docierało, że pewnie już nigdy więcej go nie zobaczy. Pomimo tych sprzecznych uczuć wciąż chodziła do miejsca, gdzie go znalazła, przysiadła na brzegu i patrzyła w błyszczącą czerwcowym słońcem tafłę jeziora, a wtedy przez chwilę robiło jej się lżej na duszy.

Dzisiaj było jednak inaczej, bo nie mogła zaznać spokoju. Jak okiem sięgnąć, przyroda radowała oczy najcudowniejszymi barwami, ptaki nieustannie ze sobą flirtowały, a z każdym dniem cieplejsza woda w jeziorze kusiła, by się weń zanurzyć. Sabinę nieraz kusiło, by wejść choć na płyciznę, lecz przestrzegała rad babki i matki, że można to zrobić dopiero po dniu letniego przesilenia. W innym razie mogłoby spotkać ją

tam coś złego. Sabina raczej nie wierzyła w ludowe bajania, choć dzięki babci Anieli poznała wiele takich historii. Uważała, że prawdą jest tylko to, co człowiek widzi i da radę wytłumaczyć, resztę zaś można przypisać wyłącznie wyobraźni. Niemniej im bliżej było do najkrótszej nocy w roku, kiedy, jak mawiano, dzieją się cuda, tym Sabina bardziej odczuwała, że udziela się jej tajemniczy nastrój. Spojrzała na wzgórze, gdzie podobno kiedyś stał zamek, i dojrzała kołującego nad nim sokoła. W tym samym czasie usłyszała głos kukułki, dlatego skupiła się, by zapamiętać, ile razy zakukała.

– Raz, dwa, trzy – naliczyła Sabina, zastanawiając się, co może znaczyć dla niej ta liczba. Ale zaraz zganiła się w duchu za te głupoty, bo jeśli wierzyć w wiejskie bajania, to za tyle lat pewnie wyszłaby za mąż. Nie spieszyło się jej do zamążpójścia, ale niestety uświadomiła sobie boleśnie, że po tym czasie byłaby już pewnie starą panną i żaden kawaler, może poza wdowcem z przychówkiem, już by na nią nie spojrział. Może rzeczywiście, tak jak mówiła mama, Sabina powinna zacząć przychylniej spoglądać na jakiegoś chłopaka. Czas uciekał, a uroda przemijała.

Dotąd Sabina nigdy nie zaprzętała sobie głowy takimi tematami. Wydawało jej się, że zawsze będzie miała naście lat. Nie uciekała w przyszłość, ale na przekór jej młodzieńczemu zapałowi i przekonaniom życie niezauważenie upływało ciągiem kolejnych dni. A nieraz, zwłaszcza w czasie żniw, gnało wręcz na oślep. Przecież dopiero co tata nosił ją na barana, upominając, żeby za bardzo się nie wierciła, kiedy czasem tuż przed zachodem słońca brał ją na spacer na pobliską łąkę, a mama mówiła do niej: „Moja Sabinko, kiedy wreszcie ten chochlik, co w tobie siedzi, pójdzie sobie w siną dal”. Chochlik, jeśli rzeczywiście w Sabinie był, bo ponoć w niemowlęctwie i w dzieciństwie napsuła rodzicom sporo krwi, najpewniej sobie gdzieś polazł, znajdując miejsce pod inną strzechą, gdzie

urodziło się nowe dziecko, bo teraz Sabina, choć temperamentna, nie miała już w głowie takich głupot jak kiedyś. Nie wrzeszczała i nie miała rozbitych kolan. Sabina nawet myślała, że ponieważ Pan Bóg obdarował rodziców taką córką, nie zdecydowali się już później na inne potomstwo, choć często marudziła, że chce mieć siostrę i brata. Kiedy była już trochę starsza i więcej rozumiała, babcia Aniela powiedziała jej, że Bozia zabrała Tereni czworo dzieciaczków, takich, co to jeszcze się nie narodziły. Teraz Sabina doskonale wiedziała, co te słowa znaczyły, i ogromnie współczuła mamie takiej straty. Uwielbiała dzieci i trudno było jej sobie wyobrazić, co ona czuła. Cztery aniołki i półdiabłą, jak często z humorem myślała o sobie. Wyglądało jednak na to, że rodzice byli z niej dumni i szczerze ją kochali. Zresztą od wielu lat nie dawała im powodów do zmartwień. A wręcz starała się wynagrodzić poświęcony jej hojnie czas.

Nie wiedziała, czy to zrządzenie losu, czy zwyczajny przypadek, bo przecież Waław ciągle kręcił się gdzieś obok i często go widywała, ale gdy wracając znad jeziora, ujrzała go w oddali, naprawdę się ucieszyła. Jak rzadko kiedy akurat dziś miała ochotę z kimś pogawędzić, a przecież Wacek do takich rozmów idealnie się nadawał. Pomachała do niego ręką, żeby czasem nie skręcił w boczną ścieżkę. Wydawało jej się, że ten gest go zaskoczył, bo przystanął i zanim ruszył do niej, przez dłuższą chwilę jej się przyglądał. Spotkali się przy starej wierzbie, której długie witki ciągnęły się aż na dróżce.

– Skąd wracasz? – spytał Waław, nie ukrywając, jak bardzo cieszy go to spotkanie.

– Znad jeziora – odrzekła Sabina. – Woda wydaje się już naprawdę ciepła i nawet myślałam, żeby chociaż pomoczyć nogi, ale wiesz...

– No tak. – Chłopak uśmiechnął się krzywo. – Trzeba poczekać, ale już niedługo będzie można się kąpać.

Kilka minut stali w cieniu drzewa, lecz po chwili ruszyli do wsi i Sabinie ta droga zleciała nie wiadomo kiedy. Co jakiś czas się zatrzymywali, by popatrzeć na jakiegoś ptaka, który akurat przysiadł na najbliższej gałęzi, a Wacek opowiadał, jaki to gatunek, czym się żywi i gdzie mieszka. W ogóle miał wielką wiedzę na temat przyrody, czym Sabinie niezwykle zaimponował. Nie były to mądrości znane z ludowych opowiastek, ale wiadomości poparte naukowymi informacjami. Wacek mówił, że ma w domu dwie książki właśnie o przyrodzie, które przeczytał już kilka razy. Marzył, żeby mieć ich więcej. Gdy doszli do chaty Skowrońskich, tym razem Sabina nie umknęła do środka jak spłoszona łania, lecz jeszcze przez jakiś czas przyjemnie gawędziła z Waławem. Nie wiedziała, że z okna izby tym awansom z wielkim zadowoleniem przyglądali się jej rodzice.

Wróciwszy potem do domu, nie unikała wzroku Teresy i Władysława, lecz śmiało odpowiadała na ich pytania. Od dawna nie czuła się tak dobrze jak dzisiaj i stwierdziła, że z przyjemnością znów spotka się kiedyś z Waławem. A okazji do tego było bez liku. A to nabożeństwo czerwcowe, a to niedzielna suma, po której chłopak odprowadził ją do domu. To znów późnopołudniowe spotkania z innymi chłopakami i dziewczętami ze wsi w zagajniku. Sabina doszła do wniosku, że od czasu do czasu całkiem miło jest się z kimś zobaczyć i beztrosko pośmiać. Dziewczyny oczywiście patrzyły na nią jeszcze bardziej krzywo niż kiedyś, ale jak dawniej, tak i teraz nic sobie z tego nie robiła. Ostatnio wszyscy we wsi mówili tylko o jednym – o zbliżającym się dniu przesilenia. Panny zastanawiały się, jak się na ten szczególny dzień wystroją i uczeszą, żeby wydać się jeszcze piękniejsze. Dotychczas Sabinie za bardzo nie zależało, żeby się wyróżniać, ale o dziwo, udzielił jej się panujący wokół nastrój i też chciała ładnie wyglądać. Może bardziej dla siebie samej niż dla Waława i innych

chłopaków, którzy ukradkiem na nią zerkali. Po prostu postanowiła czuć się w tym dniu wyjątkowo dobrze. Rzecz jasna, zdarzało jej się nie raz rozmyślać o Marcinie, lecz szybko gasiła te rojenia, nie pozwalając, by obraz ukochanego mężczyzny rozpanoszył się za bardzo w jej wyobraźni. Przekonywała siebie w duchu, że skoro Marcin dotąd nie wrócił do Bukowej Góry, na pewno zapomniał już o niej i jej rodzicach.

W dzień przesilenia wstała o wiele wcześniej niż zwykle, choć rodzice i babcia jeszcze spali. Ledwo świtało, a ona już pobiegła na łąkę, by zebrać odpowiednie zioła do wianka. Rosa obficie zwilżała jej stopy, gdy zrywała drobne kwiaty rumianku, żółty niczym wyglądające zza wzgórze słońce dziurawiec, białe jak oprószone śniegiem kwiatki krwawnika i dziką miętę. Bylica, szałwia i ruta rosły przy chałupie, więc zostawiła je na koniec. Przykucnęła i rozłożyła rośliny przed sobą, zastawiając się, czego jej jeszcze brakuje. Szybko spostrzegła, że nie ma dziewanny. Przez chwilę myślała, gdzie ją znaleźć, po czym szybko wzięła zebrany pęczek ziół i ruszyła w stronę kamiennej dróżki. Zapamiętała, jak babcia wspominała kiedyś, że najładniejsza dziewanna rośnie na polanie przy południowym wejściu do lasu. Gdy zboczyła na połą ścieżkę, jej oczom od razu ukazały się wysokie kolby obsypane żółtymi kwiatami, wokół których latały pszczoły. Uradowana już wyciągała ręce, zmierzając w ich stronę, gdy nagle usłyszała jakąś melodię. Znieruchomiała, nasłuchując. Śliczny dziewczęcy głos niósł się po najbliższej okolicy, przywodząc na myśl anielski śpiew. Sabina nie przypominała sobie, by któraś z wiejskich dziewczyn tak pięknie śpiewała. Oczarowana nieznaną jej, chyba jakąś starą pieśnią, stała nieruchomo i słuchała jak urzeczona.

Nagle zza najbliższych krzaków tarniny wyłoniła się młoda ciemnowłosa dziewczyna z koszem w ręku, z którego wychylały się kolorowe rośliny. Dopiero po chwili Sabina się zorientowała, że to

Hiacynta, jedna z mieszkających we wsi dziewcząt. Sabina się zdziwiła, słysząc jej głos, tym bardziej w tak niezwykłym wydaniu. We wsi mawiano bowiem, że Cysia od Kulawików jest niemową. Zresztą Sabina też nie słyszała, by młoda Kulawikówna kiedykolwiek się odezwała. Zwykle, gdy kogoś widziała, umykała spłoszona niczym dzikie zwierzątko i w ogóle rzadko gdzieś się pokazywała. Sabina spojrzała na Hiacyntę z uśmiechem. Zawsze wygadana i pewna siebie, tym razem nie wiedziała, jak się zachować. Po pierwsze to niespodziewane spotkanie zaskoczyło ją, a po drugie, i to wydawało się Sabinie najbardziej niesamowite, dotarło do niej, że Cysia jest niebrzydką dziewczyną z długimi, sięgającymi pasa, falowanymi włosami, wyrazistym spojrzeniem zielonych oczu i delikatnymi rumieńcami. Wychylając się zza krzewów, wyglądała jak jakaś leśna boginka.

– Zbierasz zioła do wianka? – spytała w końcu Sabina, z ciekawością czekając na odpowiedź. Bo to, że Cysia potrafiła cudnie śpiewać, nie znaczyło, że umie też mówić.

– Uhm – mruknęła dziewczyna i nieśmiało opuściła wzrok.

Sabina podeszła bliżej i rezolutnie zajrzała do koszyka koleżanki, zauważając w nim te same zioła, które i ona zebrała. Na pewno nigdy wcześniej nie spotkała Hiacynty na żadnej z wiejskich uroczystości, nie widziała jej nawet pod kapliczką na nabożeństwach majowych. A szkoda, bo cudowny głos dziewczyny wzbogaciłby modły ku czci Maryi.

– Pójdiesz wieczorem nad jezioro? – Sabina drążyła dalej temat, a kiedy nie doczekała się odpowiedzi, zbliżyła się do Cysi i po przyjacielsku chwyciła za rękę. – Ja będę – dodała, sądząc, że w ten sposób może ją ośmielić.

Najpewniej zadziałało, bo dziewczyna uniosła wreszcie wzrok znad koszyka.

– Nie wiem – powiedziała cichutko, ale Sabina i tak zauważyła, że Cysia ma całkiem ładny, melodyjny głos.

– Przyjdź, na pewno będzie miło – zaproponowała Sabina, przeczuwając, że Hiacynta potrzebuje właśnie takiej szczerej zachęty.

– Ale, ja nie mogę, bo... – Dziewczyna urwała.

– Dlaczego nie możesz?

– Wszyscy będą się ze mnie śmiali. – Cysia znów opuściła wzrok.

– Nikt nie będzie się z ciebie śmiał. Poza tym ja się tam wybieram i niechby kto spróbował z ciebie podkpiwać, to ręczę, że dam mu porządnie do wiwatu – oznajmiła Sabina i robiąc śmieszoną minę, dumnie wypięła pierś, czym udało jej się wywołać uśmiech na twarzy dziewczyny. – To jak, przyjdiesz?

– Chciałabym bardzo – rzekła Cysia nieco głośniej, unosząc wyżej koszyk.

Sabina jeszcze raz do niego zajrzała i coś sobie przypomniała.

– Dziewanna... Nie mam dziewanny – zakomunikowała takim tonem, jakby to była epokowa sprawa.

– Tam jest najładniejsza. – Cysia pokazała na żółty gąszcz, po czym obie ruszyły w tamtą stronę.

Po kilku minutach wracały już do wsi. Cysia, choć wciąż nieco wycofana, z każdą kolejną chwilą coraz bardziej otwierała się przed nową koleżanką. Sabina nie mogła uwierzyć, że tej bystrej, choć chyba chorobliwie nieśmiałej dziewczynie na tak długo udało się ukryć przed światem. A na pewno przed mieszkańcami wioski.

Po drodze Cysia przyznała się Sabinie, że boi się odzywać w obawie, że nie będzie miała nic ciekawego do powiedzenia. Wstydziała się ludzi, a jeśli zdarzyło jej się już z kimś spotkać, zapominała, że ma język w gębie. Przyznała się, że wiele razy marzyła o tym, by pójść na zabawę, ale zwykle

w ostatniej chwili opuszczała ją odwaga i kończyło się to tak, że gdy młodzi ludzie z wioski bawili się w najlepsze, ona cicho roniła łzy w poduszkę, by matula i ojciec nie zauważyli, że jej smutno. Bała się zawieść rodziców, nie chciała, żeby się o nią martwili. Ale choć nie raz obiecywała sobie, że kiedyś wreszcie ośmieli się wyjść do ludzi, ze strachu przed śmiesznością i odrzuceniem opóźniała ten moment.

– Obiecuję ci, że będzie wesoło – zaręczyła Sabina.

Nieoczekiwane spotkanie z Cysią wprawiło ją w jeszcze lepszy nastrój. Weszła do chaty tanecznym krokiem, wesoło podśpiewując i energicznie się okręciła. Speszyła się nieco, gdy dostrzegła siedzącą w rogu na swoim fotelu babcię, która odmawiała poranną modlitwę, o czym świadczyły wysuwające się z jej dłoni lśniące drewniane paciorki. Z lekko przymkniętymi powiekami, kontemplująca Aniela dopiero po chwili zauważyła wnuczkę.

– A coś ty, Sabinko, dziś tak wcześnie na nogach i taka uradowana? – Staruszka, odmówiwszy ostatnią zdrowaśkę, spojrzała na dziewczynę.

– Byłam na łąkach po zioła. – Rozpromieniona Sabina przysunęła taboret i z uśmiechem od ucha do ucha przysiadła obok babuni. – Dziś święto przesilenia!

– Ach tak – rzekła Aniela z przejęciem. – Że też mnie nogi nie dadzą już rady zanieść nad jezioro, bo chętnie bym pohulała przy ognisku. Ech, w takie dni chciałoby się znów być młodym.

– Możecie iść ze mną! – Rozemocjonowana Sabina objęła dłonie babci. – Ostatnio dobrze się czujecie i często zachodzicie do Matysiaków.

– Oj, Sabinko, to moje ostatnie chwile – zawyrokowała Aniela. – Dlatego tak łążę do Walerki, żeby się jeszcze nacieszyć kumoszką.

– Co też mówicie, babciu?! Jakie ostatnie chwile?! – rzuciła z oburzeniem dziewczyna. – Przed wami jeszcze wiele takich!

Aniela zbyła słowa wnuczki pobłażliwym uśmiechem. Nie zamierzała jej wyjaśniać, że stare, wysłużone kości ostatnio trzeszczą nie tylko przy zmianie pogody, ale i wtedy, gdy Aniela zupełnie się tego nie spodziewa, a zmęczone serce coraz częściej podszeptuje, że nie ma już siły się tłuc w zapadniętej piersi. Wiedziała, że dni jej ziemskiej wędrówki są policzone, ale nie chciała martwić dziewczyny, zwłaszcza dzisiaj, gdy ta tak bardzo się weseliła. Staruszka coraz częściej czuła obok siebie swojego Józka i tęskno jej było do niego. W snach zaś niemal co noc przychodziły do niej jej dzieciaczki, małe aniołki, choć teraz wyglądały jak dorosłe chłopaki. Żeby nie psuć nastroju, postanowiła zmienić temat. Zresztą i tak chciała porozmawiać o tym z wnuczką. Nawet wszystko przygotowała.

– Podajże mi, Sabinko, tę szkatułkę. – Pokazała na stojący na jednej z półek kredensu nieduży malowany kuferek.

Dziewczyna wstała i posłusznie wykonała polecenie. Ciekawiło ją bardzo, co jest w środku, bo babcia zawsze pilnie strzegła swoich skarbów.

Aniela uchyliła wieczko i wyjęła z kufierka sznur pięknych czerwonych koralii o potrójnym splocie. Sabinie aż oczy się zaświeciły na ich widok.

– Miałam je tego dnia, gdy poznałam mojego Józka, a teraz najwyższy czas, byś i ty je nosiła – oznajmiła Aniela z jakimś szczególnym błyskiem w oku, a potem włożyła korale w rękę dziewczyny.

– Są przepiękne! – zawołała rozpromieniona Sabina. – Naprawdę chcecie mnie nimi obdarować?

Staruszka skinęła głową, a potem z trudem, wspierając się na podłokietniku, wstała, powolutku poczłapała do stojącej za jej łóżkiem skrzyni i zaczęła się mocować, żeby ją otworzyć.

– Pomogę. – Sabina w jednej chwili doskoczyła do babci, po czym podniosła wieko i ujrzała na wierzchu lniany worek.

– Weź to – poleciła staruszka. – I wyjmij...

Podeksytowana Sabina wyłożyła zawartość worka: z wielką starannością poskładane ubrania i skórzane, wyglądające jak nowe, buty. Potem zatrzymała na staruszce pytające spojrzenie.

– Na moje oko powinny być na ciebie dobre. Jesteśmy podobnej kości – wyjaśniła Aniela. – Rozłóż i zobacz, czy ci się spodobają.

Rzeczywiście miały z babcią ten sam wzrost i taką samą posturę. Nawet z rysów były do siebie podobne. To po Anieli odziedziczyła cudne chabrowe oczy, delikatną twarz i lekko zadarty nosek. Oczywiście teraz w pomarszczonej twarzy staruszki trudno by się doszukać dawnego uroku, ale z jej spojrzenia wciąż przebijała jakaś niepokorna iskierka mogąca świadczyć zarówno o temperamentie, jak i urodzie. Sabinie aż trzęsły się ręce z podeksytowania, gdy chwilę później przyglądała się przepięknej białej haftowanej bluzce z bufiastymi rękawami i suto marszczonej spódnicy w kolorowe pasy. Odzienie wyglądało niezwykle odświętnie. Nie mogła uwierzyć, że babcia zrobiła jej taką niespodziankę. Myślała, że wieczorem włoży swoją jedyną niedzielną bluzkę, która choć ładna, wykończona wymyślną mereżką, w niczym nie mogła się równać z tą podarowaną przez babcię. Wystarczyło jedno spojrzenie na kolorową spódnicę, a oczyma wyobraźni Sabina już ujrzała siebie wirującą w tańcu.

– Są przepiękne, dziękuję! – Sabina się nachyliła i cmoknęła starowinkę w policzek. – Bardzo dziękuję!

Potem, gdy nieco ochłonęła, opowiedziała babci o nieoczekiwanym spotkaniu z Cysią przy gajku, gdzie rośnie dziewanna, jeszcze raz przeżywając wcześniejszą rozmowę z koleżanką. Aniela przypomniała sobie, że zmarła dość młodo babcia Hiacynty też była bardzo nieśmiała, więc pewnie to właśnie po niej wnuczka przejęła tę cechę charakteru.

– Dzisiejszego wieczoru żadne serce nie powinno się smucić – rzekła Aniela. – Dobrze, że ta dziewczuszka akurat dziś spotkała ciebie. Z tobą

odważy się wyjść do ludzi.

– O tak, na pewno – zapewniła Sabina. – Poza tym wiecie, że i ja nie mam przyjaciółek od serca, więc we dwie będzie nam różniej i wesoło.

– Odgaduję, kto dziś wyłowi twój wianek. – Aniela popatrzyła na Sabinę z wymownym, figlarnym uśmiechem.

Czując, że zaczynają ją piec policzki, Sabina na moment opuściła wzrok. Lubiła Waclawa, nawet bardzo, ale nie była pewna, czy chce, żeby to właśnie on odnalazł jej wianek. Tylko że nie było innego chłopaka, w którego towarzystwie Sabina czułaby się tak dobrze, jak przy młodym Śmiglu. Mimo to wiedziała, że to miłe koleżeństwo na pewno nie jest miłością. Mieli z Wackiem podobne poczucie humoru, nieraz potrafił rozbawić ją do łez. Przynosił jej z miasteczka czekolady i obiecywał, że przy nim nigdy nic jej nie będzie zagrażać. Gdy pomyślała, że z jakiegoś powodu miałyby już nie zobaczyć Wacka, ogarniał ją smutek. Lecz jej serce ani razu nie zabiło szybciej na jego widok. Nawet gdy od czasu do czasu łapał ją za rękę, nie czuła żadnej przyjemności.

Doskonale pamiętała, jak zachowywało się jej ciało, gdy w pobliżu był Marcin. Wystarczyło, że nagle wszedł do izby, a Sabina zaraz czuła w brzuchu miłe łaskotki. Mimo wszystko tliła się w niej nadzieja, że uczucie do Waclawa jeszcze się w niej obudzi. Widziała, jak chłopak na nią patrzył, jakie podejmował starania. Nie chciała wylewać mu na głowę kubła zimnej wody, bo wciąż liczyła na to, że i ona zobaczy w nim to coś, co on w niej widział. Zwłaszcza dzisiaj było to możliwe. Wszak wiadomo od dawna, że w noc kupały może się zdarzyć wszystko. Dlatego też Sabina od świtu czuła, że to będzie szczególny czas. Humor nie popsuł jej nawet popołudniowy deszcz i porywisty wiatr, który na szczęście szybko przegonił ołowiane chmury i wysuszył przygotowane na wielkie ognisko zamokłe drewno. Późnym popołudniem znów wyszło bowiem słońce.

Pod wieczór wyszykowana w podarowane przez Anielę ubrania, z rozpuszczonymi włosami ozdobionymi wianuszkiem z polnych kwiatów, Sabina zmierzała w stronę jeziora. Z wielką ostrożnością trzymała przed sobą wianek, na który dzisiejszego ranka zbierała zioła. Wyglądał pięknie, choć przymocowana do niego świeczka trochę się chybotwała. Dlatego choć Sabinę korciło, by przyspieszyć kroku, szła powoli, żeby przypadkiem nie wypadł jej z ręki i się nie uszkodził. Kiedy jednak dojrzała stojącą pod maryjną kapliczką na polach Cysię, zapomniała o przezorności i popędziła przed siebie.

– Jesteś – powitała Cysia koleżankę z nieśmiałym, pełnym ulgi uśmiechem. – Bałam się, że nie przyjdiesz.

– No coś ty, przecież się umówiłyśmy – odparła Sabina.

– Pięknie wyglądasz! – Cysia przyglądała się koleżance z nieskrywanym podziwem.

– Ty też! Bardzo pięknie! – oświadczyła Sabina, patrząc na białą niczym śnieg, wyszywaną kolorowymi nićmi na wysokości biustu sukienkę koleżanki.

Nagle obie jednocześnie spojrzały na wianki, które każda z nich trzymała w dłoniach, i się roześmiały.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się Cysia. – Są takie podobne.

– Prawda, są takie same – przyznała Sabina.

Gdyby przyjrzeć się dokładnie obu wiankom, można by zauważyć, że jednak trochę się różniły, ale na pierwszy rzut oka wyglądały identycznie. Te same zioła ułożone obok siebie w taki sam sposób sprawiały, że obie kompozycje miały takie same kolory. A do tego Sabina i Cysia obwiązały je czerwonymi tasiemkami.

Gdy pojawiły się nad jeziorem, nie dało się nie zauważyć, jak wiele zaciekawionych oczu było zwróconych w ich stronę. Sabinę cieszyło, że

koleżanka wzbudza takie zainteresowanie, szczególnie u płci przeciwnej. Pewnie niewielu mężczyzn rozpoznało w tej pięknej, pełnej powabu pannie miejscową niemowę. Sama Hiacynta wydawała się tego całkowicie nieświadoma. Co chwilę zerkła niepewnie na Sabinę, a ta posyłała jej wspierające spojrzenia.

Na brzegu paliło się wielkie ognisko, przy którym, jak zauważyła Sabina, przystanąły Mularczanki, dwie starowinki, bliźniaczki, o dobrych kilka wiosen młodsze od babci Anieli. Kobiety rzucały w wybujające płomienie zioła mające ochronić mieszkańców wioski i najbliższą okolicę przed klęskami żywiołowymi i różnymi psotnymi duchami natury. Ognisko skwierczało i mruczało niczym zadowolony po sytym jadle człowiek, gdy lądowały w nim kolejno: ruta, bylica boże drzewko i srebrzysty piołun. Na szczęście pogoda dopisała, dlatego zebrane rankiem zioła dobrze obeschły, by teraz użyć ich do przekazywanych z dziada pradziada rytuałów.

Zarówno Sabinie, jak i Cysi szybko udzielił się tajemniczy, radosny nastrój. Nie minął nawet kwadrans, jak obie panny dały się porwać korowodowi innych dziewcząt, oddając się beztroskim pługom wokół ogniska. Miejscowi grajkowie przygrywali tak skocznie, że choćby człowiek nie chciał, nogi same wrywały się do tańca. Cysia była szczęśliwa i wydawało się, że po jej nieśmiałości nie pozostał nawet ślad. Miło było patrzeć na tak promienną i swobodną koleżankę, w niczym nieprzypominającą zahukanej niemowy. To pewnie działała magia dzisiejszego wieczoru. Wszyscy wydawali się poddawać unoszącemu się wokół szaleństwu. Ale na przekór temu Sabina nieoczekiwanie spochmurniała. Wystarczyło jedno spojrzenie na znajomy kawałek brzegu, by wróciły do niej wspomnienia i z całą mocą, z jaką ostatnio odganiała od siebie myśli o Marcinie, teraz boleśnie za nim zatęskniła. Nie zauważała wpatzonego w nią, rozpalonego spojrzenia Wacława ani innych

chłopaków, którzy też skrycie marzyli o najurodziwszej pannie z wioski. I choć chodziły słuchy, że ona prawie już przynależna Śmigłowi, to dopóki ten nie założył na jej palec obrączki, dopóty w kawalerskich sercach wciąż tliła się nadzieja, że Sabina spojrzy na nich przychylniej.

Sabina próbowała przepędzić z głowy ponure myśli, bo przecież kto to widział, żeby akurat dziś tak się frasować. Lecz choć usilnie starała się wygonić z głowy jakże wyraźny obraz Marcina, ten wracał jak zaczarowany, nie pozwalając cieszyć się zabawą. Sabina ukryła się za niską wierzba, tuż przy wodzie, i przysiadłszy na trawie, wpatrywała się w rozbujany w pofalowanej, srebrzystej toni księżyc, powstrzymując napływające do oczu łzy. Nagle znów poczuła do Marcina złość, że nie odwzajemnił jej uczucia i odszedł, pozostawiając w jej dziewczęcym sercu ogromną pustkę. Okazało się, że wcale niełatwo było ją zapełnić, choć bardzo się starała. W pewnym momencie nawet myślała, że jej się to udało. Szybko jednak uświadomiła sobie, że miłe rozmowy z Waławem to zbyt mało, by zbudować na tym solidny związek. Bez miłości to nie miało szansy przetrwać. A Sabina była pewna, że nie kocha i na pewno nigdy nie pokocha Waławu tak, jak kochała Marcina. Cóż, upartego serca nie dało się oszukać. Kiedy tak teraz nieugięcie wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo, jakby chciała wyczytać na nim jakąś wskazówkę, żal jej było nie tylko siebie, ale i Waławu, na którego oczekiwania nie mogła odpowiedzieć. Żal jej było wszystkich niekochanych ludzi tęsknie marzących o niemożliwym.

Zabawa wciąż trwała w najlepsze, ale Sabina podejrzewała, że dzisiejsza noc nie dla wszystkich okaże się spełnieniem snów. I choć pewnie wiele serc połączy magia miłości, inne przeżyją gorycz porażki i rozczarowania. Sabina, mimo że młoda, zdążyła się już przekonać, że życie często jest niesprawiedliwe. Raz hojnie rozdaje, a czasem zabiera,

a jeśli nawet coś otrzymujemy, nie zawsze nam się to podoba. Cieszyło ją, że przynajmniej Cysia dobrze się bawi i świetnie odnalazła się pośród tłumu. Co chwilę ktoś porywał ją do tańca i dziewczyna sprawiała wrażenie całkowicie zatraconej w zabawie. Sabinę ciekawiło, z myślą o kim koleżanka przygotowała swój wianek, bo gdy ją o to zagadnęła, Cysia tylko nieśmiało opuściła wzrok. Sabina najchętniej zostałaby w ukryciu, dopóki nie skończy się zabawa, ale dochodzące od strony ogniska odgłosy świadczyły, że wkrótce rozpocznie się kolejny etap świętowania.

„I po co to wszystko?! Dla kogo mi puszczać wianek, skoro ten, którego kocham, nie dla mnie?!”, myślała rozgoryczona, gdy chwilę później wracała do bawiących się. Potem szła jak skazaniec pomiędzy rozchichotanymi dziewczętami, chcąc mieć już tę ceremonię za sobą. W momencie, gdy puszczała wianek w atramentową toń jeziora, nagle jej myśli wyrwały się spod kontroli i poszybowały na wolność. „Płyn do mojego lubego, ukochanego Marcina, gdziekolwiek by był”, powtórzyła intencjonalnie trzy razy, dziwiąc się swojej naiwności i ślepej wierze w to, co jak wiedziała, jest przecież niemożliwe.

– Spójrz! – Nagle Sabina poczuła, że ktoś chwyta ją za ramię. – I znów są razem, tak jak my dzisiaj.

Obejrząwszy się, zobaczyła za sobą uśmiechniętą Cysię. Następnie powiodła wzrokiem w dal, na jezioro, łowiąc spojrzeniem dwa identyczne, płynące obok siebie, chyba zaplątane wianki. Sabina odwzajemniła uśmiech, ale daleko jej było do wesołości koleżanki. Nie chciała odbierać Cysi radości, ale nie miała siły dłużej udawać, że cieszy ją ta zabawa. Wyciszona nagle po długim tańcu Cysia od razu wyczuła nastrój koleżanki.

– Trapi cię coś? – spytała nieśmiało, jakby się obawiała, że mogła zadać niestosowne pytanie.

– Ech, nie. – Sabina westchnęła z bladym uśmiechem. – Jestem tylko trochę zmęczona.

– Usiądźmy – zaproponowała Cysia, wskazując starą brzozę, pod którą mech kładł się miękkim kobiercem.

Sabinie spodobał się ten pomysł, dlatego od razu udały się w to zaciszne miejsce. Usiadły jedna przy drugiej, opierając się o mozaikowy pień. Choć dotychczas Cysia nie nawykła rozmawiać z rówieśnikami, dzisiejszy dzień jakby całkiem ją odmienił i teraz miała ogromną ochotę wyrzucić z siebie wszystkie myśli, kłębiące się w niej przez ostatnie lata. Wyczuwając jednak, że Sabina chce milczeć, ona też zamilkła. Jak się okazało, nie na długo, bo za chwilę z jej ust wyrwała się cicha melodia, która już po kilkunastu sekundach zamieniła się w piękną pieśń. Sabinę zahipnotyzował śpiew koleżanki. To było tak piękne, zaśpiewane tak czarownym głosem, że nie sposób było pozostać obojętnym wobec talentu Cysi. Przymknąwszy powieki, zasłuchiwała się i nim się spostrzegła, znów uległa nastrojowi ciepłej czerwcowej nocy, zapominając o tym, co jeszcze przed momentem ją nurtowało. Nagle do jej uszu dotarł znajomy tembr głosu. Czarodziejska chwila została przerwana i Sabina odniosła wrażenie, że obudzono ją z miłego snu. Ujrzała kucającego przed sobą Waclawa. Mężczyzna uśmiechał się od ucha do ucha i patrząc wymownie na Sabinę, nieco zdenerwowany, obracał w dłoniach wianek.

– Czy to przypadkiem nie należy do panny? – spytał z szelmowskim uśmiechem, trochę zalotnie.

Przeniosła wzrok na Cysię i żal ścisnął jej gardło, bo nagle dotarło do niej, dla kogo mocno biło serce koleżanki. Jeszcze przed chwilą szczęśliwa i rozkwitająca jak letni kwiat Cysia teraz znów przypominała dawną siebie, smutną niemowę, za którą wszyscy ją mieli. Sabina wiele by dała, żeby role się odwróciły i Waclaw obdarzył miłością właśnie Cysię. Żeby to jej

wręczył ów nieszczęsny wianek. Już miała coś powiedzieć, gdy nagle jeden szczegół przykuł jej uwagę. Piękne kwiaty czarnego bzu tuż obok drobnych rumianków. Żeby się upewnić, przyjrzała się wiankowi jeszcze dokładniej. Po chwili była już pewna.

– To wianek Cysi – oświadczyła pewnym głosem, w którym wyraźnie słychać było ulgę.

Cysia uniosła głowę i spojrzała spłoszona na Wacława.

– Niemożliwe... – wydukał zmieszany kawaler. – Nie mógłbym się pomylić.

Usłyszawszy to, Cysia gwałtownie się podniosła i z płaczem uciekła przed siebie.

– Widzisz, coś narobił! – zganiała chłopaka Sabina, po czym też wstała i pognała za koleżanką. Niestety ciemność ukryła znajome dróżki i Sabinie trudno było cokolwiek zobaczyć.

– Cysia! – zawołała kilkakrotnie, ale nie zauważyła koleżanki. Pytała spotkanych po drodze osób, czy ktoś przypadkiem nie widział przebiegającej nieopodal ślicznej ciemnowłosej dziewczyny, ale nikt z uczestników zabawy nie kwapił się, żeby pomóc. Część towarzystwa już się rozeszła, a ci nieliczni, którzy jeszcze zostali, byli zbyt podchmieleni, by zwracać uwagę na to, co się działo obok.

– Cyyysiaa! – zawołała po raz ostatni, bo dotarło do niej, że zraniona koleżanka na pewno nie wyjdzie teraz z ukrycia.

Sabina powoli szła do wsi, zła i bezsilna, płacząc z żalu, że to, co tak dobrze się zapowiadało, okazało się wielką porażką. Była pewna, że po tym wydarzeniu Cysia już nigdy więcej nikomu nie zaufa. Gdyby Sabina wiedziała, że tak się to wszystko ułoży, na pewno starałaby się odwrócić bieg wielu spraw. Ale nie mogła tego przewidzieć, przecież nawet nią samą wstrząsnęła ta sytuacja. „Co za straszny kaprys losu!”, powtarzała gniewnie

w myślach, oskarżając ten los o najgorsze. „Niechby to dało się jeszcze jakoś odkręcić”, dumiała po drodze, chociaż i tak zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe.

Gdy doszła do błękitnej kapliczki, obejrzała się za siebie. Od strony jeziora dochodziły pojedyncze pokrzykiwania, śmiechy i muzyka, a miejsce, gdzie paliło się ognisko, rozjaśniała luna. To było najgorsze święto przesilenia w życiu Sabiny. Miała ochotę zapaść się pod ziemię, zapomnieć o wszystkim. Uświadomiła sobie dotkliwie, że sprawienie zawodu innym boli nie mniej niż własna krzywda. Spojrzała na kapliczkę, w której dostrzegła rozświetloną blaskiem księżyca figurkę Marii.

„Najświętsza Panienko, powiedz mi, jak mam żyć, by nie krzywdzić ani siebie, ani innych? Skąd wiedzieć, że podejmując jakąś decyzję, możemy popełnić błąd? Jak naprawić to, co zagmatwaliśmy?”, zaczęła wyliczać w żalu, ufna, że zaraz spłynie na nią odpowiedź w postaci natchnionej myśli. Ale nie zdarzyło się to, na co nieśmiało liczyła. Gipsowa figurka patrzyła na nią pomalowanymi na niebiesko oczami, tak wcześniej, jak i teraz nie wyrażając nic więcej poza wzniosłym uczuciem Bożej miłości.

– Przepraszam, że przychodzę tutaj z takimi błahostkami – szepnęła na koniec i przeżegnawszy się, z przeświadczeniem, że i tak niczego więcej nie wyduma, skierowała się na drogę prowadzącą do rodzinnej chaty. Należało zaczekać, aż czas przyniesie właściwe rozwiązanie.

Bukowa Góra dzisiaj



O powieść Rozalii wciągnęła mnie tak bardzo, że miałam ochotę od razu usiąść do laptopa i spisać historię Sabiny. Gdy jednak wróciłam, było już po dwudziestej trzeciej, dlatego zgasiłam zapał i postanowiłam poczekać z tym do rana. Lecz nawet kiedy położyłam się do łóżka, w mojej głowie wciąż przewijały się obrazy kolorowego lata, jakże różne od tego, co oferowała nam grudniowa sceneria. Niemal czułam zapach palonych w ognisku ziół i słyszałam wesołe śpiewy uczestników zabawy. Czułam dylematy Sabiny, jej tęsknotę za niespełnioną miłością i młodzieńczy bunt przed tym, czego nie dało się uniknąć. Gdy wychodziłam od Witkowskich, Gabriel wspomniał, że to dopiero początek i żeby dotrzeć do sedna opowieści, należy poznać jeszcze wiele ważnych rozdziałów. Niemniej miałam już całkiem sporo materiału, żeby rozpocząć pisanie. Wczoraj, tak jak za pierwszym razem, zabrałam ze sobą dyktafon, ale nie sądziłam, żebym musiała go odsłuchać. Wciąż bowiem pamiętałam w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co mówiła Rozalia. Oboje, zarówno ona, jak i jej mąż, byli świetnymi gawędziarzami. Nie każdy umiałby przedstawić historię w taki sposób, by tak wyraźnie zapisała się w pamięci słuchaczy.

Nazajutrz towarzyszył mi identyczny zapał jak wczorajszego wieczoru, dlatego po śniadaniu od razu włączyłam laptop i zabrałam się do pisania.

Czułam miły dysonans, gdy opisywałam czerwcową łąkę w całej krasie, a za szybą miękko szeleściły osiadające na parapecie płatki śniegu. Taka mała namiastka lata w grudniowej, przedświątecznej scenerii sprawiła, że gdy zadzwonił telefon, przez chwilę musiałam się zastanowić, gdzie jestem. Biel za oknem upewniła mnie, że to współczesna Bukowa Góra, a nie czasy, gdy to miejsce zamieszkiwali bohaterowie historii o Złotym Sercu. Ta opowieść była dla mnie tym bardziej wiarygodna, że dotyczyła krewnych Witkowskich, i choć jej początek wydał mi się nieco bardziej bajkowy, to słuchając dalszej części, opowiedzianej przez Rozalię, miałam wrażenie, że ci ludzie są mi o wiele bliżsi. A może jako kobieta po prostu bardziej utożsamiałam się z Sabiną niż z Marcinem.

Niechętnie oderwałam wzrok od monitora, wstałam i podeszłam do szafki, gdzie położyłam komórkę. Niestety akurat wtedy ucichła. Zerknęłam na wyświetlacz, dostrzegając jakiś obcy numer. Nie miałam pojęcia, kto to mógł być, ale choć zwykle nie oddzwaniałam do nieznanym mi osób, tym razem zmieniłam zdanie. Doszłam do wniosku, że może to ktoś z redakcji. Gdy byłam poza firmą dłużej niż kilka dni, zazwyczaj od razu do mnie wydzwaniali, zasypując masą nieistotnych pytań.

– Halo, ktoś dzwonił do mnie z tego numeru – powiedziałam zaskoczona, bo choć połączenie zostało odebrane, nikt się nie odezwał. – Halo... – powtórzyłam nieco poirytowana, a kiedy nie doczekawszy się odpowiedzi, już miałam się rozłączyć, usłyszałam cichy i niepewny męski głos.

– Sonia?

– Tak – odparłam, czując, że ogarnia mnie panika. Ten głos bardzo mi kogoś przypominał, ale na razie nie chciałam przyjąć tego do wiadomości.

– Kto mówi?

– Tu... tata – padła odpowiedź, a zaraz potem w słuchawce zaległa głucha cisza.

Byłam tak skołowana, że nie dałam rady wykrztusić z siebie nawet słowa. Zresztą nie wiedziałam, co mogłabym powiedzieć ojcu, z którym nie rozmawiałam od wielu lat i jak wciąż dokładnie pamiętałam, naszej ostatniej rozmowie towarzyszyła masa trudnych emocji.

– Co u ciebie? – zaczął po chwili drżącym, niepewnym głosem.

– A co ma być?! – odparłam zdenerwowana, bo uświadomiłam sobie, że wszystkie te uczucia, z którymi, jak sądziłam, już dawno temu zrobiłam porządek, wciąż we mnie siedzą. Nie interesowało mnie, dlaczego ojciec nagle sobie o mnie przypomniał, a jedynie wywoływało to złość, że w najmniej spodziewanym momencie poważił się zakłócać mi spokój. Nauczyłam się żyć sama i jego nieoczekiwana obecność była dla mnie teraz jedynie balastem. – Co chciałbyś usłyszeć?!

– Nie wiem – rzekł cicho po dłuższej chwili. – Chciałem się dowiedzieć, jak sobie radzisz, czy u ciebie wszystko dobrze...

– Radzę sobie – rzekłam, trochę tonując głos.

– A może moglibyśmy się spotkać i porozmawiać, bo...

– Nie mam czasu – weszłam mu w słowo, ponieważ cokolwiek jeszcze by dodał, nie zamierzałam tego słuchać.

– Rozumiem – odezwał się smutno. – Gdybyś jednak zmieniła zdanie, pamiętaj, że zawsze możesz do mnie zadzwonić na ten numer.

– Do widzenia – rzekłam zdecydowanym tonem, ale wbrew temu, co zakomunikowałam, jeszcze przez dłuższą chwilę się nie rozłączałam. Walczyłam ze sobą, by nie dodać czegoś jeszcze albo, co gorsza, nie zachęcić ojca do dalszej rozmowy. Odgłos przejeżdżającego drogą samochodu, co na tej cichej uliczce zdarzało się niezwykle rzadko, wreszcie przywołał mnie do rzeczywistości i nacisnęłam klawisz z czerwoną

słuchawką. Potem cisnęłam komórką na łóżko i zdenerwowana zaczęłam chodzić po pokoju.

„Jak on śmiał! Po co do mnie zadzwonił! Nagle obudziły się w nim ojcowskie uczucia?!”, takie i inne podobne myśli nie dawały mi spokoju, a ja miałam wrażenie, że zaraz eksploduje mi od nich głowa. Krążyłam po pokoju niczym rozsierzony lew po klatce. Nie było szansy, by znów usiąść do pisania, bo wzburzenie odbierało mi zdolność jasnego myślenia. Wyłączyłam więc laptop, bo wiedziałam, że w ciągu najbliższych godzin pewnie i tak nic nie napiszę. Gdzieś po godzinie takiego szamotania doszłam do wniosku, że muszę wyjść na zewnątrz, bo z minuty na minutę zaczęło mnie ogarniać czarnowidztwo. Najpierw zaszłam do Złotego Serca, ale nawet porcja mojej ulubionej czekolady nie pomogła osłodzić posmaku goryczy, którą czułam w ustach po telefonie od ojca. Rozmawiając przez chwilę z Rozalią, starałam się robić dobrą minę do złej gry, ale i tak nie umknęło to bystremu oku starszej pani.

– Soniu, wszystko w porządku? – spytała i mimo natłoku obowiązków nie spuszczała ze mnie wzroku. A kiedy przytaknęłam, wysilając się na najbardziej przekonujący uśmiech, na jaki w tej chwili było mnie stać, dodała: – Bo jakoś marnie wyglądasz.

Nie chciałam dłużej zatruwać kawiarnianej przestrzeni, gdzie panował cudowny przedświąteczny nastrój, moim paskudnym humorem, postanowiłam więc jak najszybciej się stamtąd ulotnić.

– Może bierze cię choroba, ostatnio ciągle się słyszy, że ktoś zaziębiony.

Wyglądało na to, że Rozalia naprawdę się o mnie martwi, co w pewnym sensie było nawet miłe i rozczulające, nikt bowiem od dawna tego nie robił. Mimo wszystko na razie nie miałam ochoty mówić o tym, co leży mi na sercu.

– Uważaj na siebie, a gdybyś czegokolwiek potrzebowała, to od razu daj znać – rzuciła jeszcze z oddali, gdy stałam już przy wyjściu.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością i szybko pożegnałam. Pierwsze kroki skierowałam w dół uliczki, a gdy doszłam do baszty, dalej droga zaprowadziła mnie do wyjścia z miasteczka. Już po kilku minutach wędrówki nieco zmarzłam, od rana dał bowiem lodowaty wiatr, który nie dość że powodował zamiecie, to jeszcze nieproszony próbował się wcisnąć pod szalik, mimo że zapobiegliwie zasłoniłam nim pół twarzy.

Szybko się przekonałam, że dziś pogoda nie służy spacerom, ale skoro dotarłam już tak daleko – dokładnie widziałam z szosy boczną dróżkę prowadzącą nad jezioro – głupotą byłoby teraz zawrócić. Zdecydowałam, że podejść do Laury i chwilę się u niej ogrzeję, a jeśli jej nie zastanę, co zdarzało mi się dość często, wrócę do siebie. W każdym razie, pomimo niesprzyjającej aury, przynajmniej się dotlenię. Na moje szczęście, bo chyba nie wzięłam pod uwagę wyjątkowych niedogodności dzisiejszej pogody i w związku z tym nieco przeceniłam swoje możliwości, przed domem zauważyłam samochód Laury. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że lada chwila schronię się w ciepłym, przytulnym wnętrzu. Otworzyłam furtkę i pędem puściłam się do drzwi, a kiedy stanęłam na wycieraczce, od razu nacisnęłam przycisk dzwonka.

– Już idę, idę – usłyszałam po drugiej stronie znajomy głos i wtedy dotarło do mnie, że trochę za długo przytrzymałam palec na guziku. Zrobiło mi się głupio, ale zziębnięty człowiek najwyraźniej działa pod wpływem impulsu.

– A co to za alarm? – przywitała mnie Laura żartobliwie w otwartych drzwiach. – Widzę jakiegoś zbłąkanego wędrowca.

– Zbłąkanego i zmarzniętego na kość – oznajmiłam, dygocząc już w środku. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię zastałam. W przeciwnym

razie pewnie uświerklałabym po drodze. Mogę liczyć na ciepłą herbatkę? – Zrobiłam proszącą minę.

– No jasne – oznajmiła Laura i objąwszy mnie, poprowadziła do pokoju. – Zaraz się tobą zajmujemy.

Kiedy usiadłam na sofie, wręczyła mi ciepły polarowy koc, którym od razu się opatuliłam, sama zaś na moment wyszła do kuchni.

– Proszę. – Po kilku minutach wróciła, wręczając mi kubek malinowej herbaty. – Aż się dziwię, że chciało ci się iść na spacer, dziś jest naprawdę zimno – oświadczyła, lokując się z herbatą obok mnie.

– Kiedy się zorientowałam, byłam już pod twoim domem – przyznałam z łobuzerską miną.

– A wiesz, że chyba ściągnęłam cię myślami, bo nie dalej jak kilka minut temu myślałam o tobie i tej sytuacji z kluczami. Ciekawiło mnie, jak to wszystko się ułożyło. Sądziłam, że wczoraj wieczorem wpadniemy do moich przyszłych teściów, bo wiedziałam, że masz tam być, ale Marysia była bardzo zmęczona i usnęła jakoś przed dziewiętnastą.

– Dobrze się skończyło – przyznałam z uśmiechem i zdałam Laurze relację z mojej wyprawy do pana Maurycego. Opowiedziałam o tym, jak się zdziwił, gdy zobaczył mnie na mostku w pobliżu swojego domu, i o jego nieufnym powitaniu. A gdy przeszłam do dalszej części tej miłej poniekąd dla mnie historii, nie wiem, czy to zasługa herbaty z sokiem malinowym domowej roboty, czy też sprawka miękkiego koca, ale było mi już o niebo cieplej.

– Kto by pomyślał. – Laura zareagowała podobnie jak Rozalia. – Tyle lat tu mieszkam, a pan Maurycy ucieka przede mną, jakbym była jakimś strasznym potworem chcącym zaraz go pożreć, a ty, kochana, ledwo się pojawiaasz, a nasz nadworny opiekun kapliczki od razu je ci z ręki – stwierdziła z humorem.

– To naprawdę bardzo miły człowiek i w sumie się dziwię, że tak się izoluje. Ja odebrałam go jako całkiem rezolutnego i raczej śmiałego – powiedziałam zgodnie z moimi odczuciami. Wyglądało na to, że moje subiektywne spostrzeżenia zdecydowanie odbiegały od tego, jak postrzegali Maurycego ludzie, którzy go znali.

Nagle znów powiązałam tę sytuację ze swoją. Nie ulegało wątpliwości, że oboje żyliśmy samotnie. Jeśli chodziło o mnie, nie nastąpiło to z mojego wyboru. To los wmanewrował mnie w ciąg zdarzeń, czego konsekwencją stała się moja zbyt wczesna, przymusowa samodzielność. A jak było w przypadku Maurycego? Czy świadomie wybrał życie w pojedynkę, czy żył sam, bo ponosił ciężar jakichś decyzji z przeszłości? Z relacji Rozalii i wypowiedzianych z humorem słów Laury wynikało, że Maurycy unika ludzi jak ognia. Może ktoś wcześniej go skrzywdził i żeby nie narażać się na ponowne zranienie, wolał przyjąć pozycję asekuracyjną. A może to on skrzywdził kogoś i z poczucia winy i wstydu zdecydował się odsunąć. Sprawa Maurycego wciąż do mnie wracała, a w związku z nią miałam wciąż takie same przemyślenia. I znów nieoczekiwanie, jak zawsze, kiedy go wspominałam, zrobiło mi się przykro. Samotność u wszystkich ma bowiem podobną twarz i człowiek, który jej doświadczył, jest w stanie trafnie ją rozpoznać w drugim człowieku. Z zamyślenia wyrwał mnie głos Laury.

– Na pewno jest ci już cieplej, bo jakoś tak nagle zmarkotniałaś? – spytała z niepokojem i odruchowo przysunęła w moją stronę koc, który kilka chwil wcześniej odłożyłam na bok.

– Jest dobrze – odparłam bez przekonania, bo w ciepłe i kojącej atmosferze przytulnego domu Laury nieoczekiwanie trochę się rozkleiłam.

– Sonia, o co chodzi? – spytała Laura bez przekonania, wyraźnie niepewna, czy rzeczywiście powinna to zrobić. Mimo to ciągnęła dalej: –

Coś cię trapi... Nie wiem, może masz jakiś kłopot?

– Dziś rano dzwonił do mnie mój ojciec – wyrzuciłam z siebie.

Laura nie zapytała o nic więcej, a jedynie sugestywnie uniosła brwi na znak, że jest ciekawa mojej odpowiedzi. Nagle zapragnęłam się przed kimś otworzyć, wyrzucić z siebie te wszystkie smutki, którymi do tej pory z nikim się nie dzieliłam. Nienawykła do zwierzeń, najpierw ostrożnie ważyłam słowa, lecz z każdym kolejnym zdaniem coraz śmielej otwierałam się przed nową znajomą i w ciągu godziny poznała całą moją historię. Dotąd wstydziłam się o tym mówić. Odrzucenie sprawiło, że czułam się gorsza. Teraz jednak, kiedy uświadomiłam sobie, że ktoś wie o mnie to, co dotąd pozostawało moją niechlubną tajemnicą, spłynął na mnie spokój. Laura okazała się wyjątkową kobietą, sama wiele przeszła, pewnie też dlatego była w stanie mnie zrozumieć. Chyba musiałam dopiero trafić na nią, by się zmierzyć ze swoimi problemami. Jej obecność wyzwoliła we mnie potrzebną do tego siłę. Jakby podarowała mi klucz do mojego wnętrza. Niby wciąż był w zasięgu mojej ręki, ale wcześniej nie potrafiłam go dostrzec. Nagle jeszcze niedawno zupełnie obca mi osoba stała się kimś bardzo bliskim. To tak, jakbym wróciła do czasu, kiedy żyła mama. W jednej chwili wszystko znów wydało mi się proste i oczywiste. Laura słuchała mnie uważnie i nie przerywała, lecz gdy zdarzyło się, że na chwilę zamilkłam, by zebrać myśli, wyciszyć emocje i złapać oddech, umiejętnie wtrącała kilka pokrzepiających słów, które sprawiały, że po chwili odnajdywałam w sobie chęć do zmierzenia się z kolejną porcją wspomnień.

– Dziękuję – powiedziałam w pewnej chwili, wzruszona. Dziwnie się czułam z tą lekkością wewnątrz siebie i chyba jeszcze nie umiałam sobie z nią radzić.

– To ja ci dziękuję – odparła Laura z tym swoim słonecznym uśmiechem.

– Ty mnie? – zdziwiłam się.

– Wyjątkowe spotkania i głębokie, szczere rozmowy czegoś nas uczą i coś nam uświadamiają. Zabiegani, zwykle nie dostrzegamy wielu rzeczy. Dopiero pewne sytuacje albo szczególne osoby, które przeważnie pojawiają się nieoczekiwanie w naszym życiu, sprawiają, że na to, co wydawało nam się znajome, patrzymy inaczej. Cieszę się, że cię spotkałam. – Laura spojrzała na mnie z wdzięcznością.

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć, więc tylko nieśmiało się uśmiechnęłam. Tymczasem Laura miała mi o wiele więcej do powiedzenia.

– Wiesz... – zaczęła z poważnym, nieco zamyślnym wyrazem twarzy.

– Gdy pierwszy raz pojawiłam się w Bukowej Górze, byłam całkowicie rozbita i zagubiona. W tamtym czasie bardzo pomogły mi Rozalia i Hania. A jeśli chodzi o Hanę, to w sumie obie byłyśmy sobie potrzebne. Kiedy tutaj trafiłam, poczułam, że to dobre miejsce, gdzie prawdopodobnie będę szczęśliwa, ale skutek tej przeprowadzki przewyższył moje oczekiwania. Pewnych spraw zwyczajnie nie da się zaplanować. Kupiłam dom, musiałam zorganizować porządny remont i zająć się sprawami, które dotychczas pozostawały dla mnie czarną magią, a reszta ułożyła się sama. Wielu pukało się w głowę, kiedy wpadłam na pomysł, by się przenieść ze stolicy na tę ukrytą pośród lasów i wzgórz prowincję, ale nie dałam się zniechęcić i twardo obstawałam przy swoim. Byłam pewna, że tego chcę, a pewność i niezachwiana wiara w sukces to solidny fundament, by mogło się udać. Skoro trafiłaś do Złotego Serca, to gwarantuję ci, że twoje życie niebawem się odmieni – stwierdziła Laura z wymownym uśmiechem i od razu dodała:

– Tym bardziej że przyjechałaś tutaj dla szczególnej opowieści.

– Taak – przyznałam. – Ta historia jest wyjątkowa, a opowieść Gabriela i Rozalii niezwykle wciągająca.

– Zaczekaj na fajerwerki – rzekła Laura z łobuzerską miną.

– To będą jakieś fajerwerki? – Udałam zdziwioną, choć przeczuwałam, że ta historia pewnie jeszcze nie raz mnie zaskoczy.

– Całe mnóstwo!

Właśnie sięgnęłam po kubek i dopiłam ostatni łyk herbaty, gdy z głębi domu dobiegł sygnał telefonu. Laura mnie przeprosiła i na moment wyszła. Potem przez kilka minut słyszałam pogłos prowadzonej rozmowy, a sądząc po swobodnym tonie Laury i częstym śmiechu, mogłam przypuszczać, że to ktoś, kogo lubi.

– To Hania – zakomunikowała z szerokim uśmiechem Laura, gdy wróciła.

– Wszystko u niej dobrze? – zainteresowałam się, bo wiedziałam, że w najbliższym czasie miało nastąpić rozwiązanie.

– Tak, pomijając fakt, że za każdym razem, gdy rozmawiamy, Hanka marudzi, że wygląda i, co gorsza, czuje się jak wielka foka. Nawet buty trudno jej założyć. Ale cóż, takie są uroki błogosławionego stanu – oznajmiła z humorem Laura. – Jak mogę, staram się ją odciążyć i dziś obiecałam, że po szkole zabiorę do nas Michałka, żeby spędził trochę czasu z Marysią. Pewnie zauważyłaś, że oboje za sobą przepadają.

– O tak, od razu mi się to rzuciło w oczy – potwierdziłam.

– A pojutrze po południu mamy w planie wyjazd do Krakowa, bo obiecałam im kino. A może... – Laura spojrzała na mnie znacząco. – Może chciałabyś się z nami wybrać?

– Ja? – Zaskoczyła mnie ta nagła propozycja.

– Rozerwałabyś się, jeśli oczywiście masz ochotę i lubisz takie atrakcje. Idziemy na komedię familijną o Świętym Mikołaju, który zamienił się w małego chłopca. Pewnie wiesz, teraz wszędzie to reklamują...

– O tak, nawet myślałam, że fajnie byłoby to zobaczyć – przyznałam.

– No więc jak, dołączysz do nas?

– Z wielką chęcią – zdecydowałam, postanawiając skorzystać z tej miłej okazji.

– W takim razie pojedziemy po ciebie koło piętnastej. Może być?

– Jasne. – Perspektywa wycieczki bardzo mnie ucieszyła.

Potem zaczęłyśmy rozmawiać o Hani. Sporym zaskoczeniem była dla mnie wiadomość, że Krzysiek nie jest biologicznym ojcem Michałka, bo widząc ich razem, to, jak świetnie się dogadywali oraz jak opiekuńczo i czule mąż Hani odnosił się do jej synka, byłam pewna, że łączą ich więzy krwi. Dowiedziałam się też tego, co do tej pory nurtowało mnie najbardziej, jeśli chodziło o Hanię. Domyślałam się, że w przeszłości jej życie nie było usłane różami, bo nawet Rozalia kilka razy o tym wspomniała. Poza tym sam fakt, że Hania wychowywała niepełnosprawne dziecko, w moich oczach czynił z niej bohaterkę. Mimo to nie sądziłam, że życie doświadczyło ją aż tak boleśnie. Gdy Laura opowiedziała mi, że zaraz po porodzie były mąż Hani i prawdziwy ojciec Michałka zostawił ją, ponieważ nie mógł zaakceptować niepełnosprawności syna, aż otworzyłam usta, żeby wyrazić swoje oburzenie. Ostatecznie nie przerwałam jednak Laurze, tylko dalej słuchałam, co ma do powiedzenia na temat swojej przyjaciółki, a niebawem szwagierki.

Podobno odkąd w życiu Hani pojawił się Krzysiek, jej dawna miłość, kobieta bardzo się zmieniła, złagodniała i uwierzyła, że nawet mając za sobą trudne chwile i wychowując niepełnosprawne dziecko, ona też zasługuje na drugą szansę i prawdziwe uczucie. Były mąż Hani bynajmniej nie przeszedł żadnej duchowej przemiany, dotąd nie zaakceptował syna i całkowicie poświęcił się nowej rodzinie i zdrowemu dziecku, które mu się urodziło. Hania nie liczyła na cud, ale teraz, gdy miała u boku mężczyznę, któremu mogła bezgranicznie zaufać i który kochał nie tylko ją, ale też

Michałka, zupełnie przestało jej zależeć na kontaktach jej synka z byłym mężem, co kiedyś stanowiło dla niej priorytet.

Szczerze ją podziwiałam i ogromnie współczułam, że musiała doświadczyć takiego rodzaju odrzucenia. Choć nie miałam dziecka, domyślałam się, jak bardzo Hania musiała cierpieć, codziennie obserwując nieugaszoną tęsknotę synka za ojcowską miłością i uwagą. Na szczęście Krzysztof z wielką perfekcją załatał w młodym sercu Michała lukę wynikłą z braku ojca.

Rozmowa z Laurą odciągnęła mnie od rozmyślania o własnym życiu, lecz gdy tylko znów znalazłam się w moim tymczasowym mieszkaniu, wróciła pamięć o porannym telefonie od ojca. Niby nic takiego, zwykła wymiana zdań, które teoretycznie nie powinny mieć na mnie wpływu. Mimo to miały, i to wielki. Naiwnie sądziłam, że skoro ujarzmiłam swoje wspomnienia i jako tako poukładałam codzienność, nigdy więcej nie będę musiała rozdrapywać zaleczonych ran. Czy tego chcę, czy nie, przekonałam się jednak, że ojciec nadal jest częścią mojego świata. Nieładnym i niezbyt pasującym fragmentem, który wolałabym zastąpić innym, lecz na razie nie miałam pomysłu, jak to zrobić. Domyślałam się, że zwyczajne ignorowanie problemu nie rozwiąże tej sytuacji. Mogłam mieć tylko nadzieję, że skoro milczał przez tyle lat, poza dzisiejszym, być może wykonany pod wpływem impulsu, telefonem już więcej się nie odezwie.

Nie wiem, czy to przez pogodę, czy emocje, ale nagle poczułam się wyczerpana. Położyłam się na moment, żeby załagodzić lekki ból głowy, a zwinęłam się w kłębek i usnęłam. Gdy się obudziłam, było już ciemno. Włączyłam światło, starając się dobudzić, i po chwili odszukałam wzrokiem zegar. Chociaż wydawało się, że to środek nocy, wskazówki pokazywały kilka minut po szesnastej. Resztki snu przegoniłam mocną kawą, przegryzając kupiony wcześniej po drodze rogalik z makiem, i znów

usiadłam do laptopa. Przeczytałam to, co udało mi się napisać rankiem, ale kolejne próby, żeby ruszyć dalej, nie przyniosły efektu. Miałam wrażenie, że mój umysł działa na zwolnionych obrotach. Niby wciąż dokładnie pamiętałam historię opowiedzianą przez Rozalię, ale nie potrafiłam jej opisać. Zamiast tego otworzyłam nowy plik i machinalnie zaczęłam wstukiwać historię Hani, koncentrując się na problemie rodziców samotnie wychowujących niepełnosprawne dzieci. Szło mi wyjątkowo szybko, nie musiałam tak jak zwykle przemyśliwać wielu kwestii, szukać zamiennych słów i sprawdzać zagadnień, które chciałam poruszyć, a nie byłam ich pewna. Tekst sam się układał i po dwóch godzinach uznałam, że jestem z siebie zadowolona.

Wstałam od laptopa, żeby się rozprostować i kolejny raz dotarło do mnie, jak wiele tajemnic i zwyczajnych ludzkich problemów skrywa to niewielkie miasteczko. Pewnie wszędzie tak jest, lecz odgradzeni od siebie, zamotani w szalonym pędzie dzisiejszego świata oduczyliśmy się dostrzegać innych. Ale przecież obok nas cały czas toczy się życie. W tym samym czasie ktoś świętował sukces, a ktoś inny ponosił porażkę. Ktoś pojawiał się na świecie, by dopiero tworzyć swoją historię, a ktoś inny napisał właśnie ostatnie słowo w epilogu swojego istnienia.

Egzystencjonalno-filozoficzne przemyślenia przerwało mi burczenie w brzuchu. Moje ciało nie dało się oszukać zapychającymi słodkościami i upominało się o porządny posiłek. Stwierdziłam, że czas na obiadokolację. Wyłączyłam laptop, doprowadziłam się do porządku, ubrałam i wyszłam na lodowatą ulicę. Zadrzałam, przysłaniając twarz szalem. Wiatr nieco ustąpił, ale temperatura spadła jeszcze o kilka kresek. Tym razem wzmocniona obiadem, w przyjemnym ciepłe jadłodajni, nie przysypiałam, lecz wręcz przeciwnie, wraz z porcją smacznych gołąbków dostałam spory zastrzyk

energii. Gwar i towarzystwo innych klientów sprawiły, że przynajmniej nie myślałam o porannym zajściu.

Później wybrałam się do Witkowskich. Krocząc cichą uliczką, przy której mieściło się Złote Serce, mimo chłodu zwolniłam kroku i napawałam się prószącym od kilku minut śniegiem. Tego wieczoru krajobraz wydawał się tak piękny, że aż nierealny.

W kawiarni jak zwykle panował ruch, wszystkie stoliki były zajęte, ale przy kontuarze nie zauważyłam nikogo.

– Dobry wieczór – przywitałam się, dostrzegając wyłaniającą się z zaplecza Rozalię.

– Dobry wieczór. – Starsza pani ucieszyła się i położyła na szafce opakowanie kawy. – Już od godziny spoglądałam na drzwi i zastanawiałam się, czy jeszcze dziś do nas wpadniesz.

– Rano wybrałam się do Laury, a po powrocie zapadłam w zimowy sen – wyjaśniłam z humorem.

– Ja też chodzę dziś ospała, to chyba wina pogody. – Rozalia westchnęła.

– A gdzie pan Gabriel? – Odruchowo rozejrzałam się po kawiarni, szukając wzrokiem męża Rozalii.

– No właśnie też nie czuł się zbyt dobrze. Po południu rozboleła go głowa, więc wysłałam go do domu.

– Szkoda, że nie wiedziałam, chętnie bym pomogła. – Spojrzałam na Rozalię współczująco. Wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną niż ostatnio.

– Dziś był względny spokój, a jutro nadejdzie wsparcie – oznajmiła z uśmiechem. – Wraca Agnieszka.

– To dobrze, ale jeśli będzie potrzebna pomoc, to wie pani, że można na mnie liczyć – zakomunikowałam z uśmiechem.

Potem Rozalia przygotowała mi moją ulubioną czekoladę i sama usiadła naprzeciw mnie. Ponieważ w lokalu nie pojawił żaden nowy klient, a ci siedzący przy stolikach byli zajęci konsumpcją i rozmową, mogliśmy swobodnie pogawędzić. W obecnej sytuacji nawet nie pytałam Rozalii o dzisiejszy wieczór, choć jeszcze rankiem wspominali z Gabrielem, żebym do nich zajrzała. Rozmowa toczyła się wokół Hani i Michałka. Odniosłam wrażenie, że starsza pani potrzebowała się wyzalić, bo ja głównie słuchałam i raczej niewiele się odzywałam. Rozalia opowiedziała mi o sytuacji jej córki, zanim w życiu Hani pojawił się Krzysztof, tym samym wzbogacając o wiele dodatkowych szczegółów wersję, którą usłyszałam od Laury.

Zostałam w Złotym Sercu aż do zamknięcia i pomogłam Rozalii doprowadzić lokal do porządku. Gdy się rozstawałyśmy, z grzeczności – bo widziałam, że pada z nóg – zaprosiła mnie do nich, lecz, co zrozumiałe, odmówiłam. Pożegnaliśmy się i już wychodziłam, gdy Rozalia zatrzymała mnie w drzwiach.

– Jak mogłam nie powiedzieć ci o czymś tak ważnym – usłyszałam i odwróciłam się, z ciekawością, czekając na nowinę.

– Ty wiesz, kto był u nas dzisiaj?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Maurycy – oznajmiła zadowolona Rozalia.

– Naprawdę? – zdziwiłam się i wróciłam do kontuaru, gdzie stała.

– Nadal z niego mruk, ale dziś wydał mi się jakiś bardziej przystępny. Mimo zachęty z naszej strony nie odważył się usiąść, ale przynajmniej zamienił kilka słów z Gabrielem. No i pytał o ciebie. Nie byłam pewna, czy chciałybyś, żebym zdradziła, gdzie dokładnie się zatrzymałaś, ale odniosłam wrażenie, że bardzo zależało mu na spotkaniu z tobą – zrelacjonowała Rozalia z uśmiechem.

– Szkoda, że się nie spotkaliśmy – rzekłam szczerze. – Myślę, że jutro z rana wybiorę się do niego.

– Świetny pomysł. Według mnie masz na niego dobry wpływ, skoro po tylu latach izolacji zdecydował się wreszcie wyjść do ludzi.

Nazajutrz, tak jak zaplanowałam, koło dziesiątej zaczęłam się zbierać do wyjścia. Wstałam, gdy na zewnątrz panowała jeszcze szarówka, i przy świetle lampki z powodzeniem napisałam to, czego nie udało mi się zawrzeć w artykule wczoraj. Opowieść naprawdę ładnie mi się układała i najchętniej jak najszybciej umówiłabym się z Rozalią i Gabrielem na kolejny wieczór gawęd, zakończyłam bowiem w takim punkcie, że historia aż prosiła się o dopisanie dalszego ciągu. Musiałam poskromić wyobraźnię, żeby niepotrzebnie zanadto nie ubarwić opowieści, lecz tak stonować opisy, by jak najwierniej oddać przekaz Witkowskich. Myślę, że to właśnie chęć zobaczenia się z Maurycym wywabiła mnie z łóżka tak wcześnie. Nie wypadło jednak zjawić się u niego jeszcze przed śniadaniem.

Na szczęście słońce i znacznie wyższa niż wczoraj temperatura oraz w ogóle o wiele przyjemniejsza aura sprawiły, że spacer był bardzo przyjemny. Zapobiegliwie znów włożyłam swoje najcieplejsze ubrania i idąc przez łąki, pokusiłam się nawet o zrobienie anioła na śniegu. Od dawna nie zachowywałam się tak beztrosko i niefrasobliwie. Nie pamiętam też, kiedy ostatnio śmiałam się sama do siebie. Jedyne, czego mi teraz brakowało, to może dobrego towarzystwa, kogoś, kto podzielałby mój entuzjazm. Osoby, z którą, dajmy na to, mogłabym się obrzucać śnieżnymi kulkami albo pojeździć z górki na tyłku. Wyglądało na to, że przynajmniej częściowo obudziła się moja dziecięca natura. Choroba mamy sprawiła, że zbyt wcześnie wydorostałam. Rodzice przez wiele lat, tak długo, jak było to możliwe, starali się, bym nie zauważyła, że w naszej rodzinie zadomowił się rak. Mimo ich starań ja i tak się tego domyśliłam, a potem ze

szczególnym wyczuleniem odbierałam wszystko, czego dla własnego spokoju ducha na pewno nie powinnam wiedzieć. Teraz, patrząc z perspektywy czasu, myślę, że dzieci to bardzo bystre stworzenia, których rodzice często nie doceniają. Z wiadomych względów, chcąc oszczędzić pociechom trosk, ukazują na pozór idealną wersję życia, ale nie każde dziecko się na to nabierze. Ja nie dałam sobie mydlić oczu. Nie wiem, może gdybym miała rodzeństwo, byłoby mi lżej, może ten lęk dałoby się wówczas sprawiedliwie rozdzielić, a tak wzięłam wszystko na siebie.

Choć byłam w Bukowej Górze zaledwie od kilku dni, moja kondycja najwyraźniej znacznie się polepszyła, bo nie minęło nawet pół godziny, a ja już stałam przed mostkiem, wpatrując się w szemrzącą, częściowo zamarznąętą wodę. Zaraz potem przemknęłam na drugi, hojnie obsypany śniegiem brzeg i białą ścieżką, na której nie zauważyłam świeżych śladów, ruszyłam wprost do domu Maurycego. To dziwne, lecz kiedy idąc, zauważyłam ulatniający się z komina dym i zapalone światło w jednym z okien, poczułam się tak, jakbym wracała do bliskiego miejsca. Jakbym to miejsce doskonale znała. Ledwo nacisnęłam dzwonek, w korytarzu już usłyszałam odgłos kroków.

– Sonia! Ale niespodzianka! – Maurycy szczerze się ucieszył, ujrzawszy mnie w drzwiach.

– Dzień dobry – przywitałam się i otrzepałam buty ze śniegu, żeby nie nanieść go do środka.

– Wejdz. – Gospodarz szeroko rozwarł przede mną drzwi. – Wybrałaś się na spacer?

– Pomyślałam, że pana odwiedzę – oznajmiłam zgodnie z prawdą. – Pani Rozalia wspominała, że był pan wczoraj w Złotym Sercu.

– Tak, zaszedłem tam, bo liczyłem, że cię spotkam – odpowiedział równie szczerze Maurycy. Później jednak, gdy weszliśmy do środka, wydał

mi się nieco onieśmielony nagłym wyznaniem. – Ech, ostatnio stałem się strasznym samotnikiem – przyznał z pewnym zakłopotaniem. – A rozmowa z tobą sprawiła, że przypomniałem sobie, jak miło być między ludźmi.

– Cieszę się – powiedziała zaskoczona tymi słowami i szybko się odwdzięczyłam, dodając: – Ja też nie jestem duszą towarzystwa, ale z panem tak cudownie mi się gawędzi. Mam wrażenie, że znamy się już od dawna...

– Ooo, właśnie, wyjęłaś mi to z ust – rzekł wyraźnie uradowany starszy pan i poprowadził mnie tym razem do pokoju.

Od razu dało się tutaj odczuć przyjemne ciepło. Maurycy wspomniął, że napalił w starym piecu i kiedy na moment wyszedł do kuchni, żeby przygotować herbatę, przyłgnęłam do ciepłych kafli, by się ogrzać. Wsłuchując się w dochodzące z kuchni pobrzękiwania naczyń, leniwie rozglądałam się po wnętrzu. W niewielkim pokoju wszystko wyglądało tak, jakby ktoś urządził go dawno temu, a potem nic w nim nie zmienił. Na kalwaryjskiej szafie leżały stosy starych książek, które najpewniej nie zmieściły się na stojącym obok, wypełnionym po brzegi regale. Ścianę obok okna zajmowała przeszklona szafka, gdzie poustawiano kryształowe naczynia. A pod podłużnym obrazem w ciężkiej pozłacanej ramie przedstawiającym Świętą Rodzinę stały kanapa, fotel i kwadratowy stolik, zarzucony jakimiś czasopismami. Zaciekawiona, gdy trochę się ogrzałam, podeszłam, żeby się im przyjrzeć. Zauważyłam kilka egzemplarzy starych numerów magazynu historycznego „Mówią Wieki” i zaintrygowana sięgnęłam po jeden z nich, otwarty, leżący najbliżej mnie. Wyglądało na to, że pan Maurycy musiał go akurat czytać, bo tuż obok dojrzałam okulary. Jakże się zdziwiłam, gdy pod gazetą dostrzegłam kartkę, a obok długopis. Nie planowałam się zagłębiać w prywatną korespondencję, lecz wpis rzucił mi się w oczy. „Moja kochana Basiu, zaczynam tak, jak zwykle. Nie ma

dnia, żebym za Tobą nie tęsknił, i nigdy nie wybaczę sobie tego, jak się zachowałem...”, przeczytałam, a słysząc dochodzące z korytarza kroki, wsunęłam kartkę pod gazetę. Zresztą nic więcej na niej nie było. Podejrzywałam, że właśnie przez moją nieoczekiwaną wizytę Maurycy musiał przerwać pisanie.

– Proszę – powiedział i przesunawszy na bok magazyny, położył na stoliku przygotowaną dla mnie herbatę.

– Dziękuję – bąknęłam zmieszana, bo w głowie wciąż wybrzmiewały mi przeczytane przed momentem słowa. Wyglądało na to, że Maurycy nie zwrócił uwagi na schowaną pod gazetami kartkę albo zwyczajnie o niej zapomniał. Kiedy wszedł, wydał mi się bowiem nieco rozkojarzony, a może po prostu przejęty moimi niespodzianymi odwiedzinami. Zagadnęłam go właśnie o te magazyny i na szczęście rozmowa zaczęła lekko się toczyć właśnie w tym kierunku. Maurycy wyznał, że uwielbia czytać stare czasopisma i od dawna je zbiera. Powiedział, że na strychu ma mnóstwo pudeł pełnych takich zdobyczy. Zaciekawilo mnie to, bo dwa lata wcześniej pisałam artykuł o pewnym starszym panu, mieszkańcu Łodzi, który od czterdziestu lat także zbierał stare książki i gazety. Całe nieduże mieszkanko przeznaczył dla swoich eksponatów. Maurycy wspomniał, że kolekcjonowanie dawno wydanych magazynów prasowych to jego hobby i choć nie ma zbyt wiele miejsca na swoje zakupy, nie może się oprzeć kolejnym egzemplarzom wyszperanym w antykwariatach i internecie. Widząc moje zafascynowanie, zaproponował, że mogę zabrać do przeczytania kilka czasopism. Ucieszyłam się, bo nieczęsto miałam okazję przyjrzeć się takim pamiątkom.

Kiedy ja popijałam herbatę z cytryną, podszedł do regału i wyjął plik przewiązanych tasiemką numerów periodyków z lat siedemdziesiątych, które zaraz mi wręczył, dodając, że znajdzie tam kilka wyjątkowych

ciekawostek historycznych, wzbogaconych co prawda czarno-białymi, ale mimo to wyjątkowymi fotografiami.

Było bardzo miło, a kiedy zdecydowałam, że pora się zbierać, Maurycy zaproponował, że kawałek mnie odprowadzi. Ten kawałek okazał się dość długi, bo zawędrowaliśmy do rozwidlenia drogi prowadzącej do kapliczki. Zatrzymaliśmy się na poboczu i jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy. Miałam nadzieję, że może Maurycy zaproponuje, żebym przedłużyła sobie spacer i tym samym towarzyszyła mu do bliskiego mu miejsca, jednak tego nie zrobił. Uznałam, że musi być ono dla niego zbyt ważne, zbyt osobiste, by szczególny czas tam spędzony dzielić z kimś innym. W drodze powrotnej do miasteczka nasza mnie myśl, że może kiedyś się tego dowiem.

Po dotarciu do centrum wstąpiłam do Złotego Serca na porcję mojej ulubionej czekolady. Już od drzwi dostrzegłam krzątającą się za kontuarem dziewczynę. Zapewne była to Agnieszka, pracownica Witkowskich, która wróciła z urlopu. Wkrótce z zaplecza wyszła Rozalia i od razu nas sobie przedstawiła. Agnieszka okazała się wyjątkowo sympatyczna, choć może trochę zdystansowana, ale jej szczerzy uśmiech i łagodne spojrzenie przeważały nad tą ledwo wyczuwalną nieufnością. Już po kilku minutach zauważyłam, że rezolutna dziewczyna jest dla starszego małżeństwa ogromnym wsparciem. Gdzież tam mnie do niej. Na wspomnienie moich nieudolnych prób pomocy Rozalii i Gabrielowi aż pokręciłam z politowaniem głową, a potem gdy na moment nowa znajoma przystanęła naprzeciw mnie, ośmielona swobodną atmosferą, opowiedziałam jej o zajściu z upiornym klientem. Agnieszkę to rozbawiło, ale przyznała, że mi współczuje, bo dla niej taka sytuacja byłaby bardzo stresująca. Przyznała się, że dopiero od jakiegoś czasu stała się nieco śmielsza

w stosunku do gości kawiarni, bo gdy zaczęła tutaj pracować, czuła się bardzo załęczniona.

Podejrzewałam, że za tym lękiem młoda kobieta coś ukrywa albo po prostu odezwało się moje reporterskie przeczucie. Odkąd bowiem pojawiłam się w Bukowej Górze, wszędzie węszyłam jakieś sensacje. Ale tak naprawdę historie, które opisywałam, same mnie odnajdywały.

Żeby nasycić się zimową i coraz bardziej odczuwalną świąteczną aurą, po wyjściu od Witkowskich powąłęsałam się jeszcze po urokliwych uliczkach miasteczka. Zatrzymałam się przed ciekawie zaaranżowaną wystawą sklepu z pamiątkami, wpatrując się w oryginalny, mozaikowy wazon, i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu naszała mnie myśl, że sprawiłoby mi przyjemność obdarowanie kogoś tak pięknym przedmiotem. Niestety z prostego i oczywistego powodu, że obok mnie nie było osoby, której mogłabym wręczyć prezent, od dawna tego nie robiłam. Ja też, co rozumiałe, ich nie dostawałam. Kiedyś było mi z tego powodu przykro, ale z czasem sama zaczęłam je sobie sprawiać w ramach mikołajkowych i gwiazdkowych niespodzianek. Nie cieszyły tak bardzo jak te otrzymane od kogoś bliskiego, ale z braku innych taka namiastka musiała mi wystarczyć.

W pewnej chwili pod wpływem impulsu weszłam do środka i mimo że w mojej głowie, wprawdzie cicho, tłukła się myśl, że to nierozsądne, kupiłam wazon. Potem zadowolona niosłam go przez pół miasteczka niczym trofeum. Nie zamierzałam zostawiać go dla siebie, choć bardzo mi się podobał – chciałam wreszcie zrobić komuś niespodziankę. Komu? Na razie nie miałam pojęcia, ale uznałam, że we właściwym czasie będę wiedziała. W końcu ostatnio w moim życiu pojawiło się kilka wspaniałych osób.



Laura zameldowała się pod moją kamienicą jeszcze przed czasem, ale na szczęście byłam już gotowa. Cieszył mnie wyjazd do Krakowa i perspektywa przyjemnie spędzonego czasu. Kiedyś zbyt duży gwar mi przeszkadzał, lubiłam ciszę i spokój, ale ostatnio łaknęłam towarzystwa. Zwłaszcza w obecności dzieciaków czułam się wyjątkowo swobodnie. Mogłam się śmiać, kiedy naszła mnie ochota, a nawet chlapnąć coś od rzeczy, nie narażając się na krytykę. Marysia i Michał byli nie mniej podekscytowani niż ja. Ulokowani na tylnym siedzeniu w fotelikach, kręcili się niespokojnie, dopytując się, kiedy wyruszymy w drogę. Przywitałam się z nimi i zajęłam miejsce z przodu obok Laury.

– Gotowi? – spytała koleżanka z zawadiackim błyskiem w oku, gdy odpaliła silnik.

– Taak! – odparły jednocześnie dzieci.

– To w drogę – dodała zaraz Marysia.

Podróż do Krakowa minęła szybko, choć na długim odcinku stałyśmy w korku. Nie nudziło nam się wcale, bo każde z nas miało sporo do powiedzenia. Nawet ja, choć uważałam się za największego milczka, byłam wyjątkowo rozgadana. Najwięcej jednak paplały dzieciaki, walcząc o naszą uwagę.

– Młodzieży, trochę ciszej. – W pewnym momencie Laura z humorem zwróciła uwagę córeczce i jej kuzynowi. – Bo zaraz pękną nam bębenki.

Poskutkowało na tyle, że Marysia rzeczywiście nieco ściszyła głos, ale buzia i tak się jej nie zamykała. Nim się spostrześliśmy, już staliśmy przed centrum handlowym Bonarka, gdzie mieściło się kino. Mimo drogowych zatorów i tak byliśmy wcześniej, dlatego postanowiliśmy wykorzystać ten

czas, żeby pochodzić po sklepach. Także tutaj wyraźnie odczuwało się już świąteczny nastrój, a to okazało się zaraźliwe.

Zauważyłam, że odkąd przyjechałam do Bukowej Góry, coraz częściej i chętniej myślałam o zbliżającym się Bożym Narodzeniu. Ze zdziwieniem spostrzegłam, że niemal wcale nie wspominam pracy w redakcji, związanych z nią ludzi i sytuacji. Właściwie jedynym łącznikiem, czymś, co przypominało mi, dlaczego się tutaj wybrałam, była perspektywa napisania, a najpierw wysłuchania z ust Gabriela i Rozalii, historii związanej z ich kawiarnią. Teraz nawet to w pewien sposób wydawało mi się nierealne. Opowieść snuła się niespiesznie, jakby jej bohaterowie sami decydowali o tym, kiedy mają ochotę się z nami spotkać. Święta natomiast zbliżały się coraz większymi krokami, ale chociaż zdawałam sobie sprawę, że lada chwila przyjdzie mi stąd odjechać, skutecznie odsuwałam od siebie te myśli, żeby się nacieszyć niepowtarzalnym czasem.

Przed wejściem do sali kinowej zauważyłam kilka osób. Nie zwróciłam na nie uwagi, gdyby jeden z mężczyzn nie wydał mi się dziwnie znajomy. Z początku nie mogłam sobie przypomnieć, skąd kojarzę tę twarz, lecz olśnienie przyszło niespodziewanie.

– Ciociu, chodźmy, bo się spóźnimy. – Poczulałam na nadgarstku ciepłą rączkę Marysi. Dziewczynka ponagląjącym ruchem ciągnęła mnie do otwartych drzwi.

Tymczasem ja stałam jak wryta i wpatrywałam się w Bartosza Chmielewskiego, nie mogąc uwierzyć w tak nieprawdopodobny zbieg okoliczności. On też mi się przyglądał i chyba tak samo jak ja nie dawał wiary w to zadziwiające spotkanie. Mimo że oboje się rozpoznaliśmy, nie odważyliśmy się wykonać wobec siebie żadnego gestu. Zaraz zresztą weszłam na salę i usadowiwszy się w swoim fotelu, straciłam Bartosza z oczu. Choćbym nawet chciała go zlokalizować, ze względu na liczną

publiczność było to dość trudne. Kilka razy dyskretnie się rozejrzałam, ale nie udało mi się go dostrzec.

Film okazał się zabawny i nawet się odprężyłam, ale gdzieś z tyłu głowy przez cały czas myślałam o mężczyźnie, z którym łączył mnie tak niefortunny początek znajomości. O ile w ogóle to przykre zajście można by nazwać zarzewiem znajomości. Jeśli już, to raczej nieciekawej.

Mimo takich wniosków po seansie nadal go wypatrywałam, ale niestety w tłumie wychodzących jeszcze trudniej było mi go dostrzec. Sam fakt, że chciałam znów zobaczyć Bartosza, wydał mi się zupełnie niezrozumiały. Jego imię i nazwisko znałam tylko z bileciku, na którym je zapisał. Nie wiem, czego oczekiwałam, bo przecież nie zamierzałam go przeproszać. To jemu zależało na spotkaniu ze mną.

Niemal już zwątpiłam, że zaraz jeszcze się gdzieś dojrzymy, gdy nagle mignęła mi przed oczami wysoka sylwetka z ciemnymi włosami. Stałam akurat z boku przy ścianie i czekałam na Laure, która poszła z dziećmi do toalety. Bartosz przechodził nieopodal z grupką znajomych, lecz kiedy mnie zauważył, odłączył się od nich i ruszył w moim kierunku. Kiedy dotarło do mnie, że lada chwila znajdziemy się ze sobą oko w oko, czekałam na niego stremowana.

– Dzień dobry. Ale spotkanie – zagaił.

– Dzień dobry – odrzekłam, starając się sprawiać wrażenie spokojnej i pewnej siebie.

Przez kilkanaście sekund nie odzywaliśmy się, tylko patrzyliśmy na siebie z zaciekawieniem, a każde z nas zastanawiało się pewnie, co powiedzieć.

– Przepraszam za tamto straszne zajście. Zachowałem się jak gbur. Zazwyczaj taki nie jestem, zresztą napisałem to pani... – Z zakłopotanym

wyrazem twarzy mężczyzna przesunął dłonią po włosach, burząc nieco ich gładką strukturę.

– Ja też zachowałam się nieprofesjonalnie. – Poczułam się zobowiązana, by się wytłumaczyć. – To pewnie by się nie zdarzyło, gdybym spontanicznie nie wtargnęła za kontuar, choć kompletnie nie znam się na tej pracy.

– Wiem, że pani tam nie pracuje. Wróciłem nazajutrz, żeby przeprosić, ale niestety czekała mnie przykra niespodzianka – przyznał szczerze. – Szkoda, że nie można cofnąć czasu, bo gdybym miał szansę, zupełnie inaczej zacząłbym naszą znajomość.

– Dziękuję za kwiaty – oznajmiłam w nawiązaniu do ostatnich słów mężczyzny.

– Cieszę się, że dotarły. Przynajmniej w ten sposób starałem się panią przeprosić. Szczerze mówiąc, po cichu liczyłem, że się pani do mnie odezwie.

Zbita z tropu tymi słowami, lekko chrząknęłam, żeby zatuszować zmieszanie.

– Choć raczej mogłem się spodziewać, że pani tego nie zrobi. Po tym, jak się zachowałem... – dodał po chwili, nie doczekawszy się mojej reakcji. – Może będzie to zbyt śmiało z mojej strony, ale czy mógłbym choć poznać pani imię?

– Sonia – rzuciłam swobodnie.

– Bartosz – oznajmił mężczyzna. – Ale to już wiesz... – W naturalny sposób przeszedł ze mną na „ty”.

Muszę przyznać, że było to o wiele wygodniejsze. Zupełnie jakbyśmy porzucając oficjalne tytułowanie, pozbyli się ograniczającej nas bariery. Poczułam, że między nami zrobiło się jakoś lżej.

– Słuchaj, a może... – zaczął Bartosz, lecz cokolwiek chciał powiedzieć, nie skończył, bo nagle dopadła do mnie Marysia.

– Ciociu, mama obiecała, że pojedziemy jeszcze na Rynek zobaczyć ogromną choinkę. Podobno jest jeszcze większa niż ta w Bukowej Górze.

Robiąc miejsce dziewczynce, Bartosz cofnął się o krok. Sytuacja nie sprzyjała rozmowie, z oddali dojrzałam zbliżających się Laurę i Michałka. Miałam ochotę porozmawiać jeszcze z Bartoszem, by się dowiedzieć o nim czegoś więcej i może poznać powód obcesowego potraktowania mnie wówczas w Żółtym Sercu, lecz było to dość trudne.

– Świetnie, Marysiu! – Chwyciłam za ręce podekscytowaną, podskakującą przede mną dziewczynkę, ale mój wzrok uciekał w stronę znajomego.

– Słuchaj, Soniu, a może... Może moglibyśmy kiedyś się spotkać? – zaproponował Bartosz jakby w akcie desperacji, obawiając się, że lada chwila może stracić na to szansę. – Nie chcę cię teraz zatrzymywać, jesteś zajęta, ale może podałaś mi swój numer. Zadzwońiłbym do ciebie i na spokojnie byśmy się umówili. Co ty na to?

– Jasne – odparłam, ciesząc się w duchu, że jeszcze nic straconego i być może kiedyś zyskam szansę, by zobaczyć się z Bartoszem. Szybko podałam mu swój numer telefonu, a on skrupulatnie go zanotował, dwukrotnie się upewniając, czy zrobił to prawidłowo. Wprawdzie ja też miałam jego numer, ale wolałam, żeby inicjatywa należała do niego.

– To ja uciekam, nie zatrzymuję cię już. Odezwę się – zapewnił niemal w chwili, gdy obok mnie stanęła Laura, i odszedł.

– No popatrz, nie wiedziałam, że masz w Krakowie znajomych – stwierdziła z zaskoczeniem.

– Bo to nowy znajomy – wyjaśniłam i krótko opowiedziałam, że spotkany przed momentem mężczyzna to gbur ze Żółtego Serca, którego

omal nie wysłałam na tamten świat.

Laura знаła tę historię, a słysząc teraz o nieoczekiwanym spotkaniu, aż pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Niebywałe – rzekła i odwróciła się w kierunku, w którym odszedł Bartosz, jednak już zniknął nam z oczu. – Wyglądał całkiem przyzwoicie. Nie pomyślałabym, że mógłby się okazać takim furiatem. Pewnie da się to jakoś wytłumaczyć. – Laura chciała chyba jeszcze ciągnąć ten temat, ale dzieciaki od razu sprowadziły ją na ziemię.

– Mamuś, no chodźmy już – niecierpliwiła się Marysia.

Także o wiele spokojniejszy i zwykle trzymający się nieco z boku Michałek wyrywał się do przodu. Nie pozostawało nam więc nic innego jak tylko dać się poprowadzić dzieciakom i szybko dotrzeć do samochodu, by pojechać zobaczyć obiecane atrakcje.

W centrum nie było tyle śniegu co w Bukowej Górze, ale Kraków i tak wyglądał zjawiskowo. Sam Rynek oraz odchodzące od niego urokliwe uliczki obficie przystrojone dekoracjami czarowały przedświątecznym klimatem. Imponująca, połyskująca świetlnymi łańcuchami choinka przyciągała wzrok już z oddali. Cudownie było przechadzać się z Laurą i dziećmi między ustawionymi na Rynku straganami bożonarodzeniowego jarmarku. Marysia i Michałek co chwilę zatrzymywali się przy różnych stoiskach, nie mogąc się nadziwić takiej ilości słodkości i ładnych ozdób zebranych w jednym miejscu. Na koniec wycieczki dostali od nas po dużym lizaku. Gdy wracaliśmy, byli tak zmęczeni, że przysypiali, ale ich szczęśliwe buzie nadal wyrażały emocje z dzisiejszego dnia. Ja też byłam szczęśliwa, już dawno tak świetnie się nie bawiłam.

Każdy dzień mojego pobytu w tym niesamowitym miasteczku był inny i zaskakiwał nowymi niespodziankami. Choćby dzisiejsze spotkanie

z Bartoszem. Wydawało się wręcz nieprawdopodobne. Gdyby nie zadzwonił jeszcze tego samego wieczoru, pewnie skłonna byłabym pomyśleć, że mi się to przywidziało, a tymczasem się umówiliśmy i teraz wypadało tylko czekać, aż się zobaczymy. Nasza rozmowa nie za bardzo się układała, trudno było bowiem na poczekaniu rzucać żartami i tryskać humorem przed dopiero co poznaną, właściwie obcą osobą. Oboje nie bardzo wiedzieliśmy, o czym mówić. Miałam jednak nadzieję, że dzięki rozmowie w cztery oczy zyskamy szansę, by się dowiedzieć czegoś o sobie, a ustalone spotkanie, z którym wiązałam nadzieję na miło spędzony czas, nie okaże się pomyłką.



Kolejny dzień upłynął błyskawicznie. Ledwo wstałam, wyszłam na spacer, na chwilę wpadając do Złotego Serca, a już było popołudnie. Do wieczora trochę postukałam w klawiaturę i uporządkowałam napisany wcześniej fragment dotyczący legendy. O dwudziestej umówiłam się bowiem z Rozalią i Gabrielem na kolejną porcję opowieści, dlatego chciałam przygotować sobie grunt pod to, co dopiero napiszę. Miałam wrażenie, że im dłużej byłam w Bukowej Górze, tym szybciej płynął, a wręcz gnał, czas. Właściwie już po dziewiętnastej byłam gotowa do wyjścia, lecz ponieważ ustaliłam z Witkowskimi, że przyjdę do ich mieszkania, gdy zamkną kawiarnię, nie chciałam nachodzić ich wcześniej w pracy.

Zrobiłam sobie herbatę i usiadłszy w kuchni, sięgnęłam po przyniesione od Maurycego czasopisma. Odwiązałam spinającą je tasiemkę i rozłożywszy wszystkie egzemplarze przed sobą, przyglądałam się grafikom i napisom na okładkach. Temat starożytności zawsze wydawał mi się atrakcyjny, zatem wzięłam numer z artykułem o egipskich piramidach. Otworzyłam gazetę i ze zdziwieniem zauważyłam wsuniętą w jej środek

kartkę. Po chwili przekonałam się, że to nie kartka, lecz zaklejona i zaadresowana koperta.

„Barbara Borowska”, przeczytałam i z wrażenia aż uniosłam wyżej kopertę, by w świetle lampy przyjrzeć jej się bliżej. Adresatka nosiła takie samo nazwisko jak pan Maurycy. Ciekawiło mnie, kim dla niego była. Czy Barbara to ta sama osoba, do której przeznaczona była wiadomość, jaką przez przypadek ostatnio zauważyłam u niego w domu? Czy Barbara Borowska to Basia, którą starszy pan przeproszał, wyrażając ubolewanie, że zachował się wobec niej źle? Co więcej, na kopercie napisano dokładny adres w Krakowie, gdzie miała trafić korespondencja. Dlaczego Maurycy jej nie wysłał? Pokażna objętość koperty sugerowała, że może być w niej list. Przyzwoitość wymagała, żeby jak najszybciej oddać go starszemu panu i choć w związku z tym nieoczekiwanym znaleziskiem miałam w głowie mętlik, wiedziałam, że nazajutrz powinnam mu go zanieść. Dziwnie się z tym czułam. To trochę tak, jakbym weszła do sekretnego świata Maurycyego, kiedy tam mnie się nie spodziewał, i podglądała go przez częściowo przysłoniętą szybę. Niby coś o nim wiedziałam, kierując się przeczuciami, ale najważniejsze pozostawało niewidoczne.

Siedząc nad porozkładanymi czasopismami, zamyślona wpatrywałam się w kopertę, aż do rzeczywistości przywołał mnie dźwięk sygnalizujący nadejście esemesa. Leniwie sięgnęłam po telefon i bez zbytej ciekawości zerknęłam na wyświetlacz, ale przeczytawszy wiadomość, poczułam, że moje serce zaczęło dudnić niczym dzwon na wieży kościoła w Bukowej Górze. Wystarczyło kilka słów, by wprawić je w tak intensywny ruch.

„Przepraszam, Kochanie. Pewnie nie starczy mi życia, bym wynagrodził Ci wyrządzoną krzywdę”, napisał ojciec, a mnie nieoczekiwanie zaczęły lecieć łzy. Nie spodziewałam się takiego wyznania. Nie spodziewałam się, że ojciec w ogóle się odezwie. Nie miałam pojęcia,

dlaczego to zrobił. Czemu akurat teraz za mną zatęsknił? Co stało się w jego życiu, że tak zdecydował? List Maurycego do Barbary Borowskiej zszedł na dalszy plan, bo nagle przed oczami pojawiła się twarz mojego ojca. Jego brązowe, kiedyś dobre i czułe, a potem jakby zalęknione oczy. Jasne włosy z wyraźnymi, pogłębiającymi się szybko zakolami i szczupłą, po śmierci mamy wyraźnie przygarbiona sylwetka. Nieoczekiwaną złość i niezrozumienie w stosunku do tego kiedyś przecież bliskiego mi człowieka zastąpiła tkliwość, o której istnieniu nie miałam pojęcia. Tych kilka słów sprawiło, że mój świat nieoczekiwanie zadrżał w posadach. Schowany pod płaszczem wypracowanej z mazołem obojętności żal zalał teraz moje serce, a ja poczułam się wobec tego całkowicie bezradna. Bagatelizując telefon od ojca, nie sądziłam, że odważy się on jeszcze do mnie napisać. A jednak to zrobił.

Zerknęłam na zegar, była ósma i wypadało jak najszybciej iść do Witkowskich, choć nagle zupełnie straciłam na to ochotę. Poczłapałam do łazienki i jako tako się ogarnęłam, starając się zatuszować na twarzy zaczerwienienia wywołane płaczem. Potem się ubrałam i powoli ruszyłam do wyjścia.

Przywitawszy mnie w drzwiach, Rozalia nie przestawała mi się przyglądać. Nie spytała, jak się czuję, ale gdy usiadłam tam, gdzie poprzednio, na miękkiej kanapie, po kilku minutach zapobiegliwie podała mi napar z melisy i rumianku.

– Proszę, wydaje mi się, że dobrze ci robi. – Uśmiechnęła się i wspierająco położyła dłoń na moim ramieniu.

Wkrótce w pokoju pojawił się Gabriel.

– To jak, drogie panie, zaczynamy? – spytał z tym swoim szelmowskim błyskiem w oku, świadczącym o wyśmienitym humorze.

Mnie nie było do śmiechu, ale odkąd Rozalia roztoczyła nade mną opiekę, zrobiło mi się źlej na sercu. Ponadto przygotowany przez nią napar pewnie też zrobił swoje, bo nieco uspokojona, zapragnęłam jak najszybciej zanurzyć się w snutej przez starsze małżeństwo historii. Ciekawa byłam, które z nich zaraz wcieli się w rolę gawędziarza.

– Gabrielu, dzisiaj twoja kolej – zdecydowała Rozalia, czule gładząc męża po policzku.

Tym razem Gabriel się nie sprzeciwiał ani nie droczył z żoną. Odniosłam wrażenie, że nie mógł się doczekać, aż zacznie opowieść. Wygodnie się rozsiadł obok Rozalii, a potem, zmrużywszy oczy, popatrzył przed siebie z zadowoloną miną, jakby dojrzał tam coś ładnego, a z jego ust zaraz popłynęły pierwsze słowa.

Opowieść Gabriela



Gdy Marcin po raz kolejny dotarł do Bukowej Góry, był zimny, wietrzny listopadowy dzień. Mężczyzna długo zwalczał w sobie pokusę powrotu, ale przygnała go tu miłość – gorące i głębokie uczucie, którego jeszcze rok temu nie był świadomy. Żałował, że zanim wyruszył w drogę, nie wyznał Sabinie tego, co kryło się w jego sercu. Być może wtedy miałby szansę na życie u boku ukochanej kobiety, a tak czekała go jedynie jałowa egzystencja. Zdawał sobie sprawę, że stracił Sabinę, i każdego dnia wyrzucał sobie swoją ślepotę. Jak mógł odrzucać uwagę tak pięknej, bystrej panny o dobrym, czułym sercu? Jak mógł być aż takim głupcem? Już samo to, że dziewczyna, znajdując go wyziębionego i wycieńczonego na brzegu jeziora, uratowała mu życie, stawiało ją ponad wszystkie inne. Odkąd Marcin zdał sobie sprawę, jak wielki popełnił błąd, odrzucając nieśmiało awanse młodej Skowrońskiej, trudno było się w nim doszukać dawnej wesołości i werwy. Teraz, gdy szedł, rzadko rozglądał się na boki, lecz zwykle wpatrywał się w czubki butów, co rusz kopiąc wpadające mu pod nogi kamienie. Ostatnio naprawdę kiepsko mu się wiodło. Od momentu, gdy przybył do rodzinnego Maciejowa i dowiedział się, że matula i ojciec go odumarli, stracił nadzieję na lepsze jutro. Przecież to właśnie pragnienie, by znów spojrzeć w oczy rodziców i na powrót przekroczyć próg rodzinnej chaty, było dla niego motywem do przetrwania

najczarniejszych chwil w ruskiej niewoli. Gdyby wiedział wówczas, że jego bliskich nie ma już na tym świecie, pewnie chciałby szybko się z nimi spotkać. A tak żył w iluzji, że jeśli wytrzyma kolejny dzień, kiedyś wreszcie nastanie piękny, spokojny czas.

Wojna się skończyła, Marcin nabrał ciała, wykurował się, odżył, a i mroczne wspomnienia związane z tamtym okresem nieco przybladły. Miał świadomość, że to głównie zasługa Sabiny i jej rodziny, która z wielką hojnością i dobrocią otworzyła przed nim drzwi swojej chaty, przygarniając go, a później przez wiele miesięcy traktując jak swojego. Za nimi także tęsknił, ale teraz, gdy Sabinka oddała serce innemu, nie śmiał się do nich wybrać. Nie chciał stawiać wszystkich w krępującej sytuacji. A pomyśleć, że tego lata miał nadzieję, że wszystko da się jeszcze naprawić. Kiedy zdecydował się wrócić do Bukowej Góry, choć pełen obaw, naprawdę wierzył, że uda mu się zdobyć serce ukochanej dziewczyny. Wybrał po temu nawet najwłaściwszy moment, bo czy może być lepszy czas na wyznanie miłości niż dzień letniego przesilenia?

Przez wiele miesięcy usychał z tęsknoty, chodził zgnębiony znanymi, choć teraz zupełnie obcymi mu drogami w rodzinnej wiosce, aż wreszcie podjął decyzję o powrocie. W Maciejowie nic go już nie trzymało. A w Bukowej Górze wręcz przeciwnie – tam żyli bliscy mu ludzie. Tam była jego miłość. Chociaż bardzo się niecierpliwił, czekał do wieczora i wybrał się nad jezioro dopiero wówczas, gdy zeszła się tam większość mieszkańców. Zobaczywszy Sabinę, najpierw od razu chciał do niej podejść i wyznać to, co od wielu tygodni układał sobie w głowie, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał, uznawszy, że robi tak, jak zaplanował.

Przypatrując się jej z ukrycia, gdy tak zwinnie i ponętnie oddawała się tańcom, słysząc jej perlisty śmiech, świadczący o dobrym humorze, zwalczał w sobie pokusę, by do niej nie podbiec i nie porwać w ramiona.

Aż wreszcie, kiedy nastał właściwy czas, zapobiegliwie podejrzawszy wcześniej, jak wygląda wianek ukochanej, rzucił się za nim w aksamitną toń jeziora, oczyma wyobraźni widząc siebie stojącego przed nią z tym trofeum. Jakież przeżył upokorzenie, zauważywszy przed Sabinką młodego Śmigła, z którym nieraz pracował przy wyrębie, a i od czasu do czasu słowo zamienił. Wacek wręczał jej wianek, niemal taki sam jak ten, który właśnie trzymał Marcin.

„Jak mogłem się pomylić?“, wyrzucał sobie Marcin, patrząc na piękny wianek z czerwoną wstążką. Był pewien, że należał do Sabiny, przecież dokładnie mu się przyjrzał. W jednej chwili dotarło do niego, że ta słodka panienka, dla której tak żwawo biło jego serce, już nie należy do niego. Stała teraz przed innym i pewnie patrzyła mu w oczy tak, jak powinna była patrzeć na Marcina. „Spóźniłem się“, przyznał ze smutkiem, ale jeszcze przez jakiś czas nie ruszał się z miejsca, tylko udęczony przyglądał się schowanym częściowo pod drzewem Sabinie i Wackowi. Nawet towarzysza Sabiny, miła dziewczyna o czarnych włosach, której Marcin nie pamiętał, odbiegła, zostawiając ich samych. Między parą trwała gorąca dyskusja, pewnie Sabinka szczęśliwa, że Waław złowił jej wianek, dziękowała mu za to. A on dumny i radosny, że w ten symboliczny sposób zdobył serce ukochanej, ekscytował się równie mocno, jak ona.

W końcu zwyciężyła gorycz i Marcin ruszył w stronę biegnącej wzdłuż jeziora ścieżki, skąd najszybciej można było się dostać do drogi. W pewnej chwili rozżalony, już miał cisnąć nieszczęsnym wiankiem w szuwarek, gdy nagle się powstrzymał. Nie wiedział czemu, lecz go zostawił. Zatrzymał się w chacie starej Jurczykowej, zrędlivej staruszki mieszkającej na krańcu sąsiedniej wioski, Łobiezowa, gdzie diabeł mówi dobranoc. Za drobną opłatę i pomoc w obejściu gospodyni przydzieliła mu izbę należącą niegdyś do jej syna. Nie chciał, żeby ktoś ze znajomych go zobaczył, zanim nie

rozmówi się z Sabiną, a potem, nie wiedzieć czemu, bo przecież w chacie marudnej i nieustannie utyskującej Jochasi nie było mu zbyt dobrze, został. Znalazł sezonową robotę w pobliskim tartaku i od kilku miesięcy dokładał gospodyni pieniądze za swoje utrzymanie.

Od pamiętnego dnia, gdy nad brzegiem jeziora Marcin przeżył osobistą porażkę, minęło wiele miesięcy i dziś pierwszy raz od owego czasu wrócił w znajome strony. Usiadł dokładnie tam, gdzie kiedyś umęczonego, na wpół żywego, znalazła go Sabina, i spojrzał na wzgórze, jawiące się mu niczym brama do piękniejszego, lepszego świata. Dawno już wyleczył się z uczucia, które żywił do ułudnej pięknej Marany. Do tej pory nie wiedział, jak wytłumaczyć to, co mu się wówczas przytrafiło. Czy były to jedynie majaki, czy w ponadmysłowy sposób doświadczył czegoś, co nie dane było przeżyć zwykłym śmiertelnikom. Gdyby nie kamień w kształcie serca, Marcin na pewno od razu uciałyby miłe, choć zwodnicze myśli, a to, co mu się przydarzyło, spisał na karb wycieńczenia. Zawsze jednak, gdy zaczynał wątpić w tę historię, wyjmował z sakwy kamienne serce i mu się przyglądał. Odnosił wtedy wrażenie, że jego niespokojny umysł się wyciszał, a ducha napełniała wielka siła skora pchać go naprzód, by uwierzył w to, co usłyszał. Nadal pamiętał każde słowo tamtego przekazu i chyba właśnie dlatego wciąż tkwił w chacie Jurczykowej. Bo przecież to Sabinę ujrzał, gdy wybudził się z tego dziwnego snu nad brzegiem jeziora. To ona wedle tej mglistej przepowiedni miała zostać jego żoną. Było tam też coś o odnalezionym szczęściu, słodczy i o tym, że mężczyzna pozostanie w Bukowej Górze po kres swoich dni. I chociaż zdrowy rozsądek kazał to podważyć, jakaś jego część Marcina nie chciała rezygnować z marzeń.

W pewnej chwili owionął go lodowaty wiatr. Od drugiej strony jeziora podpełzła mgła, a słońce, które nie ogrzewało ziemi tak szczerze jak

latem, teraz całkiem schowało się za las. Marcin podniósł się i zadrżał z zimna, dopinając dwa górne guziki kapoty, którą wczoraj podarowała mu Jurczykowa. Wiedział, że – choć z pozoru opryskliwa i nieufna – staruszka ma dobre serce, które z racji doznanych krzywd chowała pod szorstkim zachowaniem. Podejrzywał, że Jochasia widzi w nim jedyne go syna, którego straciła na froncie. Nawet kilka razy niby przez przypadek zwróciła się do niego imieniem tamtego. I chociaż chwilę wcześniej Marcin dostał od niej straszną burę, że odstawił wiadro w inne miejsce, niż mu kazała, odezwało się w nim wówczas tak wielkie współczucie i tkliwość, że miał ochotę objąć i przygarnąć do siebie drobną postać staruszki, odzianą w wysłużoną, pocerowaną sukienkę. Nawet się zbliżył i wzruszony wyciągnął rękę, ale go pacnęła i rzekłszy coś kąśliwego, szybko sprowadziła na ziemię.

Korciło go, żeby pójść do części wioski, gdzie stała chałupa Skowrońskich, ale coraz szybciej zmierzchało i żeby dotrzeć do łobieszowskich łąk, za którymi mieszkała Jurczykowa, musiał jak najszybciej wyruszyć w drogę. Od kilku dni dojrzewała w nim jednak myśl, by chociaż z oddali zobaczyć Sabinę. Coraz trudniej było mu ugasić rosnącą tęsknotę. Pomyślał, że może gdy znów ją ujrzy, uleci miłość, którą do niej żywi. W małych miejscowościach wieści szybko się rozchodzą i Marcin już nie raz słyszał, że Sabinka coraz częściej prowadzi się z młodym Śmigłem. Ktoś nawet gadał, że ten już dał na zapowiedzi, ale Marcin nie chciał za bardzo dać temu wiary. Wiedział jedno, że musi się przekonać, czy na widok dziewczyny jego serce zabije teraz równie mocno, jak kiedyś.

– Gdzieś łąził? – dobiegł go z izby gderliwy głos Jurczykowej, ledwo wszedł do sieni. – Żur już wystygł.

Marcin nie miał ochoty się tłumaczyć, lecz gdy stanął naprzeciw staruszki, przyznał się, że powędrował nad jezioro. Za każdym razem czuł się przy niej jak sztubak. Było coś takiego w starej Jochaśce, że nie mógłby jej okłamać. Pewnie z racji wieku gospodyni miał dla niej wiele szacunku i poważania.

– Siadaj i jedz – nakazała kobieta, puszczając jego słowa mimo uszu. – Jeno szybko, bo trza wreszcie stół oporządzić.

Marcin usiadł na zydlu i wcinał aż uszy mu się trzęsły. Dopiero teraz poczuł, jaki był głodny. Widząc pustą miskę, Jurczykowa jeszcze hojnie mu dołała, a potem usiadła w rogu izby na bujanym fotelu, który zmajstrował jeszcze jej mąż nieboszczyk, i z zadowoleniem przyglądała się mężczyźnie. Czując na sobie jej spojrzenie, Marcin co jakiś czas na nią zerkał. Oswoił, a nawet polubił jej bezzębny uśmiech, choć ten pojawiał się na skwaszonej twarzy niezwykle rzadko. Wstydził się tych myśli, ale gdy pierwszy raz zobaczył Jurczykową, pomyślał że trafił właśnie do chaty najprawdziwszej czarownicy. Głowę kobieciny ozdabiała kilka kępek lichych włosów, zwykle schowanych pod chustką, a wysunięta do przodu broda niemal dotykała haczykowatego nosa staruszki. Spojrzała na niego wówczas swoimi świdrującymi czarnymi niczym węgielki oczyma w taki sposób, że od razu chciał dać stamtąd nogę. Gdy się zatrzymał w przydrożnej oberży nieopodal Łobiezowa i spytał o nocleg, ktoś poradził, żeby podszedł do starej Jurczykowej, która odkąd została sama, przyjmuje czasem na nocleg jakiegoś wędrowca. Z trudem, bo było już ciemno, ale odszukał wówczas chatę Jochasi, schowaną za zagajem młodych brzoź, więc niełatwo było ją dojrzeć ze ścieżki. Teraz drogę do domu Jurczykowej znał na pamięć i mógłby tam trafić nawet po omacku.

– Ostatnio żeś zmarniał – zawyrokowała staruszka, gdy wstał i zaczął sprzątać ze stołu. – Żadna dziewczka niegodna, by się dla niej trapić.

– Nie trapię się i na pewno nie dla dziewczki – odpowiedział Marcin szybko, a chcąc dodać wiarygodności słowom, nienaturalnie się wyprostował.

– Ej, stara zem, ale nie głupia. Nie zwiedzisz mnie, łcesz jak pies! – wymawiając ostatnie słowa, Jurczykowa uniosła głos.

Po takim spostrzeżeniu Marcin tylko westchnął i odwrócił wzrok. Na co mu było przegadywanie się z tą kobietą. Tym bardziej że – co niestety musiał przyznać – miała rację.

Później przyniósł wody ze studni, oporządził zwierzęta w zagrodzie, a kiedy wreszcie się położył, mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Jezioro przywołało wspomnienia i wywlekło uczucia, wobec których był bezradny. Nie zdawał sobie sprawy, że strapienie i tęsknota tak wyraźnie wypisały się na jego twarzy. Dopiero uwaga Jurczykowej mu to w pełni uświadomiła. Nie mógł tak dłużej żyć. Należało wreszcie coś z tym zrobić. Może i staruszka miała rację: po co się tak rozżalać o dziewczynę. Kolejne dni mijały i przez to Marcin nie potrafił docenić uroku bieżącej chwili. A przecież wciąż żył, po jarzmie niewoli, wycieńczeniu i gasnącej w nim niegdyś woli istnienia jego serce nadal biło mocno.

Ponieważ nazajutrz, przy niedzieli miał więcej czasu, zaraz po mszy w małym drewnianym kościółku w Łobieszowie znowu wybrał się w stronę Bukowej Góry. Im bliżej był znajomych miejsc, tym bardziej czuł, że opuszcza go odwaga. Doszedłszy do kamienistej drogi, skąd już był rzut kamieniem do chaty Skowrońskich, omal nie zawrócił. Z obawy, by nikt go nie spostrzegł, skręcił w wąską ścieżkę prowadzącą do studni i przystanąwszy za gęstym świerkiem, niepewnie spoglądał w stronę widocznego z oddali gościńca. Nagle zobaczył grupkę osób. Szybko się domyślił, że zapewne wracają ze mszy, i westchnął z ulgą, że w porę się schował. Nie chciałby bowiem, żeby ktoś go tutaj dzisiaj zobaczył. Było

mu trochę zimno, bo ostatnie naznaczone przymrozkami noce wyziębiły ziemię, a cienka kapocina nie chroniła przed lodowatym wiatrem, który teraz, wtargnąwszy pod odzienie, dotkliwie kąsał wychłodzone ciało chłopaka.

Najpierw usłyszał znajomy śmiech, a dopiero potem, wychyliwszy się zza drzewa, dojrzał najdroższą mu pannę i żal ścisnął mu serce, Sabinka bowiem nie była sama. Obok niej, dumny i zadowolony, kroczył Wacek Śmigiel. By nie wydać z siebie okrzyku rozpacz i zazdrości, Marcin z trudem zapanował nad gulą, którą nieoczekiwanie poczuł w gardle. Do oczu cisnęły się łzy i zdezorientowany mężczyzna nie wiedział, co się z nim dzieje. Bo kto to widział, żeby płakać przez dziewczynę. A więc to prawda, co gadali. Młody Śmigiel od dnia letniego przesilenia, a może nawet wcześniej, utorował sobie drogę do serca Sabinki. A i ona, o czym świadczył beztroski śmiech, zapewne była mu przychylna. Ludziska mieli rację, pewnie lada chwila jego konkurent zawiedzie ukochaną przed oblicze Boga, by tam ślubowali sobie miłość. Te myśli sprawiły, że Marcin omal nie wybiegł zza drzewa i nie wszczął awantury. W ostatniej chwili się pomiarkował, uznając, że zazdrość pomieszała mu w głowie. Nie słyszał, o czym rozmawiali, ale nie dało się ukryć, że humor im dopisywał.

Każda kolejna chwila była dla Marcina mordęgą. Wyrzucał sobie, że niepotrzebnie tutaj przyszedł, bo tylko jeszcze bardziej rozognił swoje uczucia. Jakże się mylił, sądząc, że świeże spojrzenie na ukochaną ugasi w nim miłość do niej. Było wręcz przeciwnie – wystarczył jeden rzut oka na śliczną panienkę, by Marcin omal nie postradał zmysłów, tak bardzo poruszył go jej widok. Pomyślał, że nic tu po nim. Obejrzał się za siebie, oceniwszy, że jeśli się pochyli, da radę przemknąć do zagajnika, tak by nie zostać zauważonym. Pomiedzy nagimi o tej porze roku, wiotkimi brzózkami rosły krzewy dzikich malin, za którymi z powodzeniem mógł się

ukryć. Usłyszawszy kolejny beztroski śmiech Sabiny, cofnął się i tak, jak zaplanował, chyłkiem ruszył do nieodległej ścieżki. Odetchnął dopiero wtedy, gdy znów stanął na dróżce prowadzącej do jeziora. Tutaj, w dolince, nikt go nie zauważy, a jeśli odejdzie kawałek dalej i wespnie się na wzgórze, z oddali będzie widać tylko zarys sylwetki.

Tak się zamotał w pełnych rozgoryczenia myślach, co rusz przewijających się przez jego głowę, że ani się spostrzegł, a już widział błękitną kapliczkę, przy której, jak pamiętał, Sabinka często lubiła przystawać, by chociaż przez chwilę oddać pokłon Najświętszej Panience. Teraz wszak stała tam inna dziewczyna. Odwrócona tyłem, zapewne w modlitewnym uniesieniu, na razie go nie zauważyła. Nie chciał jej przeszkadzać ani spłoszyć, dlatego szedł ostrożnie, powoli, starając się nie kopać co chwilę wpadających mu pod nogi kamieni. Widział tylko jej czarne jak heban, długie, rozwiane przez wiatr włosy i szczupłą sylwetkę odzianą w wełniane palto. Od jeziora prowadziła tylko ta jedna droga, więc było nieuniknione, że w końcu dziewczyna dostrzeże Marcina. Zapewne nie spodziewając się tutaj nikogo, wyraźnie się spłoszyła i lekko opuściła głowę. Zauważywszy jej niepokój, Marcin nie wiedział, czy iść dalej, czy zatrzymać się i przywitać. W końcu uznał, że nie godzi się przejść bez pozdrowienia, więc przystanął.

– Dzień dobry – rzekł, starając się nadać głosowi przyjemne brzmienie.

Długo nie odpowiadała, lecz kiedy Marcin myślał już, że się nie odezwie, nagle cicho przemówiła.

– Dzień dobry.

To go ośmieliło, tym bardziej że dziewczyna wydała mu się znajoma. Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, nie mogąc przypomnieć sobie, gdzie już ją widział. Bo to, że ją kiedyś spotkał, było dla niego oczywiste. Nagle go olśniło i przyjemne wrażenie, jakie na krótko go opanowało,

równie szybko zniknęło. „Przecież to towarzyszka Sabinki w czasie radosnych zabaw kupalnej nocy”, zauważył ponuro w myśli, tracąc ochotę na rozmowę. Widok czarnowłosej panny żywo przywołał bowiem smutne wspomnienie ostatniej najkrótszej nocy w roku. Wpatrywali się tak przez pewien czas, ona w niego, a on w nią, aż nagle lodowaty wiatr znów wdarł się pod jego kapotę. Dziewczyna też się skuliła na ten gwałtowny podmuch i objęła się ramionami.

– Zimno – wyrwało się Marcinowi. – Lada dzień pewnie sypnie śniegiem.

– Matula mówią, że do następnej niedzieli na pewno się zabieli – rzekła dziewczyna.

Jej głos był cichy, ale bardzo pogodny, przywodził Marcinowi na myśl letnią melodię. Brzmiał kojąco i przypominał o czymś miłym. Marcin zapragnął znów go usłyszeć, dlatego szybko doszedł do wniosku, że powinien się dziewczynie przedstawić.

– Nazywam się Marcin Hurnik – powiedział może zbyt nienaturalnie, ale nie pamiętał już, kiedy ostatnio rozmawiał z nowo poznaną osobą.

– Hiacynta Kulawik, ale zwykle mówią na mnie Cysia – zaprezentowała się nowa znajoma i leciutko się uśmiechnęła. – Znam cię – dodała po chwili. – Kiedyś mieszkałeś u Skowrońskich.

– No... tak – bąknął Marcin i na chwilę opuścił wzrok.

– Wróciłeś do wsi? – zainteresowała się Cysia.

– Nie mieszkam w Bukowej Górze. Zatrzymałem się w Łobieszowie – wyjaśnił, żałując, że musi się z tego tłumaczyć. Przecież Cysia może teraz wszystkim o tym rozpowiedzieć i tylko patrzeć, jak znajomi z Bukowej Góry dowiedzą się o jego powrocie. Choć właściwie nie miał czego ukrywać. Ogarnęło go zakłopotanie, jak zawsze zresztą, gdy jego myśli

krążyły wokół Sabiny. Cysia najwidoczniej to spostrzegła, bo spojrzała na niego z życzliwym współczuciem.

– Nie chcesz, żeby cię tutaj zobaczono – stwierdziła ku jeszcze większej konsternacji Marcina.

Znów wbił wzrok w czubki butów, wstydząc się popatrzeć na Cysię. Nagle ich uwagę przyciągnął pisk krążącego nad górą dawnej warowni ptaka. Oboje dość długo patrzyli w tamtym kierunku, a potem, o dziwo, poczuli się jakoś mniej skrępowani niż przed chwilą. Cysia odwróciła się do drogi i oboje ruszyli w stronę wioski. Marcin zupełnie porzucił wcześniejsze obawy, że lada chwila może go ktoś zobaczyć, i nawet śmieszne wydały się mu dzisiejsze podchody. Skoro miał jeszcze zostać w chacie Jurczykowej, a do wiosny na pewno nie planował wyprowadzki, musiał się liczyć z tym, że wreszcie ludzie się dowiedzą o jego powrocie.

Nowa znajoma wyjaśniła mu, że mieszka przy gościńcu po drugiej stronie kościoła, dla Marcina było więc oczywiste, że skoro wyruszyli razem, powinien odprowadzić pannę do jej domu. Oba miejsca dzielił spory kawałek i chłopak się zdziwił, że tak szybko dotarli do celu. Na pewno sprzyjała temu miła pogawędka, przez co Marcin, przechodząc po raz pierwszy od swojego powrotu obok znajomych miejsc, niemal się nie stresował. Tylko raz mocniej zabiło mu serce, gdy z oddali dojrzał chatę Skowrońskich i stojącego przed nią Władysława, majstrującego coś przy drzwiach. Szybko zwalczył w sobie pokusę, by podejść bliżej i się przywitać z dawnym dobrodziejem. Sam nie wiedział, dlaczego się bał ponownego spotkania ze Skowrońskimi. Czy to wstyd z powodu odrzucenia przez Sabinę sprawił, że trzymał się z dala od Bukowej Góry i bliskich mu niegdyś osób? A może należało wreszcie wziąć byka za rogi i stanąć twarzą w twarz z prawdą? Dziewczyna, którą nosił w sercu, przychylna była innemu. Marcin powinien to wreszcie zaakceptować. Czyż

nie otrzymał dzisiaj jasnej odpowiedzi na dręczące go pytania? Czyż widok szczęśliwych Sabinki i młodego Śmigła nie stanowił wystarczającego powodu, by jak najszybciej pozbyć się rojeń, które nie miały szansy na spełnienie?

Po raz pierwszy od długiego czasu Marcin naprawdę przyjemnie spędził dzisiaj czas. Odprowadził Cysię, a potem w dobrym humorze, bez wcześniejszego lęku, że lada chwila natknie się na kogoś znajomego, ruszył do Łobieszowa. Nowa znajoma momentami sprawiała wrażenie nieśmiałej, lecz nie przeszkodziło jej to wspomnieć znacząco, że często bywa przy kapliczce, co Marcin jasno odczytał jako zachętę do kolejnego spotkania. Nie miałby nic przeciwko temu, choć popołudniami, gdy wracał z tartaku, robiło się już ciemno, zresztą z każdym dniem zmrok nadciągał jeszcze szybciej. Tak naprawdę mógł zobaczyć się z Cysią jedynie w niedzielę, może po południu w sobotę, ale wtedy zwykle starał się pomóc w obejściu Jurczykowej, żeby jakoś się odwdzińczyć za dach nad głową i jej dobre serce. W każdym razie zauważył, że i Cysia miło spędziła z nim czas. Wyglądało na to, że obojgu dobrze zrobiło to nieoczekiwane spotkanie.

Mimo że tego nie planował, drogi jego i Cysi się przecięły. Kiedy w kolejną niedzielę adwentu Marcin przekornie znów się wybrał do Bukowej Góry, tym razem rozmyślnie unikając przywołującego miłe, acz bolesne wspomnienia miejsca nad jeziorem Marana, przed błękitną kapliczką tak jak poprzednio dojrzał Cysię. Dziewczyna wyraźnie się ucieszyła na ponowne spotkanie z miłym kawalerem, którego, co wcześniej bardzo rzadko się jej zdarzało, bardzo polubiła. Nie było to uczucie, jakim darzyła Wacka Śmigła, ale coś zgoła innego. Marcin był dla niej raczej niczym cioteczny brat, drogi sercu przyjaciel, przed którym nie musiała się wstydzić wydobyć z siebie głosu. Sama była zdziwiona, że tak jasno i bez skrępowania wymawia przy tym chłopaku słowa, których wcześniej nie

odważyłaby się wypowiedzieć. Marcin wydobył z niej śmiałość i dziewczęcość, które niepewna od dziecka Cysia schowała w najgłębszym zakamarku siebie i bała się tam zajrzeć. W czasie rozmów z nowym znajomym zaczęła jakby na nowo budzić się do życia. Uczyła się dostrzegać siebie na tle innych mieszkańców wioski, a nawet rodziny, która choć zawsze ją kochała, to po części z powodu jej chorobliwej nieśmiałości traktowała trochę jak zacofaną.

Tak jak Cysia przepowiedziała, w kolejną niedzielę, gdy spotkali się ponownie, rzeczywiście spadł pierwszy tej później jesieni śnieg. Nie było go na tyle dużo, by utrudnił nowym znajomym spacer na łąki. Choć znali się od niedawna, oboje mieli wrażenie, jakby spędzili razem dzieciństwo. Długimi, szczerymi rozmowami szybko nadrabiali brak wiedzy o sobie. Nie zdradzili tylko jednego, dla kogo biją ich serca, choć każde z nich nieśmiało się tego domyślało. Gdy Cysia kiedyś mimochodem wspomniała o Wacku Śmiglu, zadrżał jej głos, co nieumiejętnie starała się zatuszować uśmiechem. Oczy błyszczały jej wtedy jak rozżarzone węgielki, a błoga mina od razu nasunęła Marcinowi jednoznaczne skojarzenie. Cysia natomiast od początku domyślała się, kogo kocha jej przyjaciel, jak go nazywała w myślach. Nigdy nie wymawiał imienia młodej Skowrońskiej, nie wspominał czasu spędzonego w chacie starej Anieli, co samo w sobie było aż nadto podejrzanym. Za to, gdy przechodzili nieopodal tamtego miejsca, stawał się nienaturalnie milkliwy, przyspieszał kroku i odwracał wzrok. Humor odzyskiwał dopiero, stanąwszy na gościńcu, z dala od części wioski, gdzie kiedyś mieszkał.

Cysia żałowała Marcina, ale ubolewała też nad swoim losem. Czasami nachodziły ją nawet myśli, że to sama Najświętsza Paniienka ich sobie przedstawiła, by choć na chwilę mogli zapomnieć o nieodwzajemnionych miłościach. Jakie by to było przyjemne, gdyby serca Marcina i Cysi zabiły

do siebie w takim samym rytmie. Gdyby młodzi spojrzeli na siebie przychylniej, skorzy dostrzec w sobie to, co wyraźnie widzieli w twarzy kogoś innego. Intencją Matki Boskiej z błękitnej kapliczki, od ponad wieku strzegącej w tym miejscu okolicznych mieszkańców, najwyraźniej nie było połączyć zagubione osoby, cierpiące z powodu uczucia bez wzajemności, a jedynie nieco rozweselić ich młodzieńcze życie. Bo właśnie tak się stało. Zarówno Marcina, jak i Hiacyntę ciągnęło do siebie. Oboje łaknęli swojego towarzystwa. Zdarzało się, że myśleli o sobie nawzajem przed zaśnięciem, a wtedy robiło się im lżej na duszy.

Niestety w połowie grudnia sypnęło śniegiem tak obficie, że nie dało się już pójść na łąki. Śnieg przykrył maryjną kapliczkę, która gdyby patrzeć na nią z oddali, wyglądała jak biała czapa. Wysokie zaspasy odcięły nawet dojście do części wioski, gdzie stała chata Skowrońskich. Można tam było teraz się wybrać wyłącznie od strony gościńca. Większość dnia Marcin siedział w chacie, bo i w tartaku było mniej roboty. Brakowało mu pracy, bo wtedy przynajmniej nie rozmyślał o Sabinie. Ale brakowało mu też spotkań z Cysią. Trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie stali się sobie tak bliscy.

Jurczykowa każdego dnia wstawiała zła jak osa, a potem aż do zmierzchu użalała się nad sobą i zmierzającym ku zagładzie światem. Nie było dnia, by nie wspomniała, że pewnie niedługo doczekamy się czasu, że Pan Bóg ześle na ziemię wielką klęskę. I nie będzie to plaga równa tym egipskim, lecz prawdziwa katastrofa, po której na ziemi zostaną jedynie zgliszcza. Marcin słuchał tych wywodów z przymrużeniem oka. Czasem po prostu się wyłączał i myślał o niebieskich migdałach, lecz staruszka potrzebowała uważnego słuchacza i nie raz się zdarzyło, że solidnie złażała Marcina za niewdzięczność i roztargnienie. Niemniej wolał to niż wgryzającą się do uszu ciszę, od której ogarniało go przygnębienie. Trawiły go tęsknota za matulą i tatulem oraz żal, że stracił Sabinę, swój urodny

kwiatuszek, i o to wszystko, czego za bardzo nie umiał nazwać, a co rozlewało się w nim falą gorzkiego smutku. Długie zimowe wieczory nie sprzyjały dobremu humorowi, za to przyciągały ponure, tęskne myśli za tym, co minione.

Któregoś ranka, kiedy Marcin tak jak zwykle wszedł do izby gospodyni, zdziwił się, że staruszka wciąż leży w łóżku, schowana pod pierzyną, spod której wystawał tylko czubek jej nosa. Odkąd tu zamieszkał, nie zdarzyło się bowiem, by Jurczykowa nie wstała razem z kurami. Nieraz brała go złość, bo ledwo słońce zaczęło się wyłaniać zza widocznego z okien domu wzgórza, a Jochasia już trzaskała garnkami i szaflikami, pomstując na świat i wszystko, co było jej znajome. Jej narzekanie niesło się wtedy po całej chacie i choćby chłopak chciał jeszcze zmrużyć oczy, nie dawał rady.

Zaniepokojony podszedł do staruszki i zaczął nasłuchiwać. Odetchnął, zauważywszy, że oddycha.

– Co tak nade mną stoi? – Nagle Jurczykowa wychyliła głowę spod pierzyny. – Sprawdza, czy dycham?

Zaskoczony i stremowany Marcin wyprostował się jak struna. Przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu, tylko patrzył na leżącą staruszkę, od razu się domyśliwszy, że trawi ją jakaś choroba.

– Zmartwiłem się, że jeszcze żeście dziś nie wstali...

– A co mnie tak szpieguje? – odezwała się cierpko staruszka lekko zachrypłym głosem. – Co to mi nie wolno w łóżku dłużej legnąć?

– Możecie odpocząć, ja się wszystkim zajmę – rzekł zmieszany chłopak. Zdawał sobie sprawę, że choćby nie wiadomo co powiedział i jak bardzo się starał wyrazić troskę o staruszkę, ta i tak go za to zbeszta. Jurczykowa nie lubiła, gdy uwaga koncentrowała się na niej. Może właśnie dlatego nieustannie paplała o wszelakich nieszczęściach trapiących dzisiejszy świat, by nie musieć mówić o sobie.

Na te słowa Jochasia znów schowała się pod pierzyną i odwróciła się do ściany. W ciągu dnia Marcin zachodził do niej co chwilę i proponował jedzenie albo picie, ale poza wodą staruszka nie wzięła do ust niczego więcej. Dopiero pod wieczór się przyznała, że pali ją gorąco, i nakazała Marcinowi, by zaparzył jej ziół, które trzymała w szafce.

Przez całą noc Marcin więcej czuwał, niż spał, bo martwił go kaszel staruszki, pojawiający się w coraz krótszych odstępach czasu i trwający coraz dłużej. Przy jednym z takich ataków załęczniony wpadł do izby Jurczykowej, chcąc jej pomóc, ale przepędziła go, wygrażając mu ręką. Złorzeczyła przy tym na przemian i charkała, aż chłopak musiał wyjść.

Na następny dzień nie było lepiej, a kolejnego Jurczykowa straciła siłę do utyskiwania, co według Marcina mogło świadczyć o najgorszym. Nie było chwili do stracenia, Marcin postanowił poszukać pomocy. Pamiętał, że we wsi, w której mieszkali Skowrońscy, w ostatniej chałupie żyła Makowcanka, kobieta zajmująca się leczeniem. Do niej było Marcinowi najbliżej, tym bardziej że jak pamiętał, niejednemu pomogła. Kawalek za Ratajnikami mieszkała zaś Jamrózowa, szeptucha, o której też miejscowi dobrze gadali, ale po pierwsze teraz, w zimowe zawieje pewnie by tam nie dotarł, a po drugie, po co chadzać daleko, skoro w pobliżu mieli dobrą zielarkę.

Gdy oznajmił Jurczykowej, że idzie do Makowcanki, by szukać pomocy na dolegliwości gospodyni, ta tylko stęknęła i spojrzała niego zmarnowanym wzrokiem.

– A idźże już – ponagliła go, uznawszy najwyraźniej, że zbyt długo stał przy drzwiach.

A on zwyczajnie się martwił, czy może zostawić staruszkę samą. Zdawał sobie sprawę, że dojście do wsi, a potem powrót zajmą mu pewnie ze dwie godziny. Tak czy inaczej, nie miał wyjścia, musiał iść po pomoc.

Napary, które kazała mu przyrządzać Jurczykowa, niewiele zdziałały, a Marcin choćby sam chciał jej pomóc, nie znał się na uzdrawianiu.

– Aleś ty ślamazarny... – dopadły go za progiem słowa Jurczykowej, co uznał za dobry znak.

Nie sądził wcześniej, że miłe mu będzie kiedykolwiek utyskiwanie tej nieznośnej, ale bliskiej mu kobieciny.

Chociaż włożył gruby kozuch, lisią czapę i skórzane rękawice, zimno i tak uprzykrzało mu drogę podczas wędrówki. Trafił akurat na straszną zawieję, a brnąc pod wiatr, z zacinającym w oczy śniegiem, trudno było cokolwiek zobaczyć. Szedł bardziej na wyczucie, niż kierował się ustalonym traktem, biel ukryła bowiem przed nim wszystko, co znajome. Odetchnął więc, zobaczywszy z oddali ośnieżone dachy chat i ulatujący z kominów dym. Nie myślał już o tym, że musi przejść obok chałupy Skowrońskich, byle jak najszybciej choćby na chwilę się schronić w ciepłe domostwa i co najważniejsze, sprowadzić pomoc dla Jurczykowej. Przemknął tunelem pomiędzy zwałami ubitego śniegu, starając się nie patrzeć na okna niebieskiej chałupy, w której spędził wiele szczęśliwych chwil i gdzie żyła jego ukochana dziewczyna, ale i tak kiedy przechodził nieopodal, ścisnęło go w sercu. Nie sądził, że wróci do tej wioski w takich okolicznościach.

Dotarłszy pod ostatnią chałupę, stojącą jakby nieco w odosobnieniu od pozostałych, zatrzymawszy się przed wejściem, najpierw otrzepał buty ze śniegu, a dopiero potem zastukał w drzwi. Po dłuższej chwili otwarła mu okutana w chustę starsza kobieta o łagodnym spojrzeniu. Znał ją z widzenia, ale wcześniej zwykle patrzył na nią jedynie z oddali. Mawiali, że Makowcanka to dusza człowiek i rzeczywiście miała coś takiego w spojrzeniu, że gdy się na nią spoglądało, zaraz robiło się lżej na sercu. Od razu zaprosiła Marcina do środka, po czym ugościła go ziołowym napojem,

którym ten szybko rozgrzał zmarznięte ciało, i kapustą z kartoflami sowicie omaszczonymi skwarkami.

Posilonego ciepłą strawą i życzliwością Marcina zaczął morzyć sen, ale szybko wziął się w garść i opowiedział, po co przyszedł. Makowcanka słuchała go uważnie. Kilka razy wtrącała się i o coś dopytywała. Potem wyszła do sąsiedniej izby, a gdy wróciła, wręczyła Marcinowi flaszkę z jakąś miksturą i lniany woreczek wypełniony ziołami, wyjaśniając, jak należy je stosować. Przestrzegła, że gdyby to nie pomogło, chłopak ma rychło wrócić, ponieważ być może zielarka sama będzie musiała się udać do chorej.

Posłuchał jej, podziękował, wręczył zapłatę, mimo że się przed tym wzbraniała, a potem przywdziawszy kozuch, wyszedł na zimnicę. Zadrzał, gdy pęd wiatru omal nie powalił go w zaspę, i ruszył w znajomym kierunku. Zimowa biel odarła krajobraz z intymności, wyraźnie ukazując ubogie chaty i obejścia, wiosną i latem hojnie ozdobione zielenią natury. Tylko dom Skowrońskich, choć przecież podobny do pozostałych, wydał mu się niemal idealny. Z komina spiralnie snuł się dym, co obudziło w Marcinie znane mu już uczucie tkliwości i wzruszenia. Od razu wyobraził sobie siedzącą w fotelu Anielę i jej córkę Teresę krzątającą się przy piecu. Zobaczył też Władysława wieszającego u powały pęczki ziół, z których rodzina przygotowywała później aromatyczne herbaty. Dom Skowrońskich przypominał mu jego rodzinny, gdzie też panowała serdeczność i miłość. Ojciec Marcina miał porywczą naturę, ale z jego ust nigdy nie padły słowa, którymi chciałby ubliżyć bliskim, a słyńca z anielskiej natury żona zawsze w porę potrafiła ułagodzić jego wybuchowy charakter.

„A może, skoro już tutaj jestem, powinienem zajść do Skowrońskich i choć się przywitać?”, pomyślał Marcin. Brakowało mu jednak odwagi.

Bał się, że bliska mu rodzina skarci go, że tak długo nie dawał znaku życia. Podejrzewał, że mogli się już dowiedzieć o jego powrocie, tym bardziej że od jakiegoś czasu przestał chadzać bocznymi drózkami. A wiadomo, że we wsi wieści szybko się rozchodzą. I pewnie gdyby nagle drzwi się nie otworzyły, Marcin nie ośmieliłby się zejść w odwiedzinę, a tak został postawiony przed faktem dokonanym. Zatrzymał się i z bijącym sercem wpatrywał się w wejście, ale nikt nie wychodził na zewnątrz. Od drzwi dzieliło go zaledwie kilka metrów i przez chwilę nawet się zawahał, czy nie odejść.

– Maarcin...? – Sabinka stała w progu z wiadrem w ręku i wpatrywała się w niego szczęśliwymi oczyma.

Ośmielony tym Marcin ruszył do niej, lecz nieoczekiwanie wzrok dziewczyny się zmienił.

– Po coś przyszedł? – spytała zupełnie do niej niepodobnym aroganckim tonem, traktując chłopaka z góry.

Zbity z pantałyku Marcin naprędce szukał w sobie słów, żeby mimo nieuprzejmości dziewczyny powiedzieć coś miłego. Choćby się przywitać i wyjaśnić, dlaczego akurat teraz znalazł się w tym miejscu. Ale wbrew temu milczał jak zakłęty, wyrzucając sobie w duchu, że zachowuje się jak przewrażliwiona panna. Nie wiadomo, jak rozwinęłyby się sytuacja, gdyby do drzwi nie podeszła mama Sabiny.

– Czemu drzwi nie zawrzesz? Zimno włązi do chałupy – zrugła córkę, lecz ujrawszy Marcina, zaraz się rozpromieniła. – Co też nic nie gadasz, że gościa mamy?!

Na twarzy Marcina pojawił się uśmiech ulgi. Po kilku sekundach otoczyły go opiekuńcze ramiona gospodyni i przez chwilę poczuł się tak, jak za pierwszym razem, gdy tutaj trafił. Łezka zakręciła mu się w oku, ale udało się mu zapanować nad wzruszeniem.

– Władek, chodź no tu! Zobacz, kto do nas zawitał! – oznajmiła radośnie Teresa, gdy weszli do sieni.

Nie minęła minuta, a ze stryszku po ustawionej w rogu sieni drabinie zszedł gospodarz.

– Marcin! – zawołał z radością, po czym on też, tak jak wcześniej jego żona, zamknął gościa w serdecznym uścisku.

Tylko Sabinka stała z boku i patrzyła na przybysza niechętnie. Nie podzielała entuzjazmu rodziców, na ich miejscu solidnie nawtykałaby Marcinowi. Drażniła ją ich wesołość i gościnność. Zaraz bowiem zaprosili chłopaka do izby i uraczyli zupą z rzepy. Syty po niedawnym poczęstunku u Makowcanki Marcin nie pogardził stawą u swoich dawnych dobrodziejów. Zajadał, aż mu się uszy trzęsły. Potem Skowrońscy usiedli obok niego, Teresa zaparzyła wcześniej kawę z cykorii, a na deser podała zebrane latem łakocie: słodko-kwaśne owoce berberysu i czeremchy oraz orzechy w miodzie.

Sabinka kręciła się po izbie, co rusz wyszukując sobie nowe zajęcia, byle tylko nie musieć gawędzić z Hurnikiem. Marcinowi było z tego powodu bardzo przykro, ale nadrabiał miną. Poza tym cieszył się, że znów może porozmawiać z Teresą i Władysławem. Dopiero teraz w pełni dotarło do niego, jak bardzo mu ich brakowało. Pochłonięty snuciem marzeń o ukochanej dziewczynie, niezbyt często rozmyślał o jej rodzicach. Zaniepokoił się, gdy nie zauważył zwykle siedzącej w izbie Anieli, lecz zanim zdążył o to zapytać, Teresa wyjaśniła mu, że mateczka śpi teraz w pomieszczeniu niegdyś zamieszkiwanym przez Marcina. Podobno w ciągu ostatnich miesięcy znacznie podupadła na zdrowiu. Drażniły ją kuchenne odgłosy, dźwięk przesuwanych garnków, rondli i szaflików. Denerwowało to, co niegdyś tak lubiła: ubijanie masła w maselnicy, wypiekanie chleba, nie mówiąc już o ręcznych robótkach, do których

zawsze miała wyjątkowy dryg. Teraz Aniela niemal nie rozstawała się z różańcem, od świtu do wieczora przesuając w spracowanych dłoniach wytarte buczynowe paciorki i powierzając Matce Przenajświętszej troski swojej rodziny.

Tak jak Marcin podejrzewał, do Skowrońskich dotarło już, że od jakiegoś czasu mieszka w Łobieszowie, ale – za co był im ogromnie wdzięczny – nie dopytywali, dlaczego dopiero dziś do nich zaszedł. Poznawszy wcześniej naturę młodego Hurnika, zapewne domyślili się powodów jego decyzji. Zwłaszcza że Sabinka też zachowywała się dość dziwnie.

– A chodźże do nas i spocznij na chwilę, a nie tuptaj tak tam i z powrotem. – Teresa zachęcała córkę, by się przysiadła, lecz ta tylko fuknęła, po czym stwierdziła, że źle się czuje, i wyszła z izby.

Marcin poczuł się nieswojo, widząc zaskoczoną i chyba też nieco zagniewaną minę matki Sabiny. Nie chciał być powodem niezgody w tej bezkonfliktowej rodzinie, dlatego postanowił się zbierać. Tym bardziej że martwił się o Jurczykową i wypadało jak najszybciej dostarczyć jej leki.

Skowrońscy chcieli go jeszcze zatrzymać, ale pożegnał się z nimi, obiecując, że odwiedzi ich ponownie, gdy tylko nadarzy się sposobność. Stanąwszy w sieni, zerknął nieśmiało w stronę swojej dawnej izby, gdzie teraz odpoczywała Aniela. Ledwo pomyślał, że wyszedłby stąd w pełni spokojny, gdyby się z nią przywitał, a Teresa wnet odczytała jego pragnienie. Rozwarła lekko drzwi i zajrzała cicho do starowinki, po czym zaraz zwróciła się do Marcina.

– Myślę, że matuli byłoby miło, gdyby cię zobaczyła. Często mawiała, że jej się za tobą cni. – Podeszła do chłopaka i ruchem dłoni zachęciła, by odwiedził seniorkę.

Ucieszył się, choć nie miał pewności, jak Aniela odbierze jego odwiedziny. Ostatecznie radość zwyciężyła obawy i po kilku sekundach Marcin wkroczył do izby z szerokim uśmiechem. Aniela siedziała w łóżku wsparta na dwóch poduchach i nakryta pierzyną. Patrzyła w okno, za którym wirowały płatki śniegu.

– Matulu, ktoś chciał się z wami przywitać – oznajmiła wesoło Teresa i zbliżywszy się do łóżka staruszki, pokazała na stojącego nieopodal chłopaka.

Aniela powoli odwróciła głowę od okna, a potem zatrzymała spojrzenie na gościu.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! To ty, Marcinie?! – zawołała radośnie Aniela.

Teresa wycofała się do wyjścia, a zachęcony przez staruszkę Marcin usiadł na zydlu nieopodal.

– Czemu żeś tela czasu zwlekał? Wnet by my się nie ujrzeli – rzekła Aniela, uściskawszy chłopaka.

Marcinowi łezka się w oku zakręciła w reakcji na to kolejne spotkanie z przeszłością. Ta przeszłość patrzyła teraz na niego przejrzystymi oczyma kobiety, która wiele w życiu doświadczyła i której nic nie jest w stanie zdziwić. Mimo to było widać, że nieoczekiwane przybycie chłopaka bardzo ją poruszyło.

– Eee, chciałem, ale... – Marcin z trudem próbował sklecić zdanie, ale nie wiedział, jak się wytłumaczyć przed Anielą. Nie mógłby jej okłamać, lecz wstydził się wyjawić prawdę.

– Ech, Marcinie, obojeście głupi, i ona, i ty. – Aniela cmoknęła z dezaprobatą.

– Ona? Nie wiem, o czym mówicie...

– Tylko nie udawaj przede mną gamonia. Chowacie się przed sobą jak dzieci. – Staruszka wbiła w Marcina przenikliwe spojrzenie.

– Sabinka przychylna innemu – burknął, uciekając spojrzeniem w róg izby. Po słowach Anieli, która od razu przejrzała go na wskroś, nie było sensu kłamać, że jest dobrze.

– Jakiemu innemu, cóż pleciesz? Tylko tyś w jej pstrokatej głowie i przekornym sercu – orzekła Aniela.

– Ale przecież Wacek Śmigiel...

– Z tej mąki chleba nie będzie – stwierdziła zdecydowanym tonem staruszka.

Po wypowiedzi Anieli serce zatłukło się w piersi Marcina i sapnął niczym kowalski miech. „Czy to możliwe? Czy młody Śmigiel naprawdę Sabince obojętny? Może jeszcze nic straconego?”, rozważał gorączkowo. Wszak wiadomo było, że stara Aniela wie wszystko. Nagle zapragnął podpytać staruszkę o jej wnuczkę, by wyciągnąć więcej szczegółów z życia Sabinki, które być może utwierdziłyby go w tym, co na razie jedynie wlało w niego nadzieję. Aniela nie zamierzała dalej tego roztrząsać. Zainteresowała się losem Marcina i chłopak, rad nierad, musiał zdać jej relację, co porabiał od momentu, gdy dwa lata wcześniej wyszedł z tego domu, udając się do rodzinnej wioski. Dowiedziawszy się o śmierci rodziców Marcina, staruszka szczerze mu współczuła, ale nie mogła darować sobie pewnej kąśliwości, napominając go, że tak długo zwlekał – najpierw z powrotem do Bukowej Góry, a potem z odwiedzinami u Skowrońskich. Marcin przyjmował słowa staruszki skruszony, ze spuszczoną głową, lecz nie umiał wytłumaczyć swojego zachowania. Chciał wrócić wcześniej, lecz coś go przed tym powstrzymywało. Bo chociaż jego serce wyrywało się już wówczas do Sabinki, jakaś jego część chyba bała się odrzucenia i rozczarowania. Jak się zresztą okazało, słusznie.

W pewnej chwili Marcin spostrzegł, że Aniela oparła się o poduchy; wydała się mu bardzo zmęczona. Wstał ze stołka i oznajmił, że pora mu ruszać w drogę. Staruszka przyjęła jego słowa ze spokojnym uśmiechem.

– Dobrze, żeś przyszedł, Marcinie, bo pewnie nie będzie nam dane się już zobaczyć – rzekła na pożegnanie.

Te słowa zaniepokoiły gościa. Bo jakże to tak? Mieliby się już nie ujrzeć, kiedy dopiero co obiecał, że będzie częściej zachodził do Skowrońskich? Czemuż to Aniela tak twierdzi? Skąd może to wiedzieć? Zamknął w czułym uścisku jej dłonie i żal zalał jego serce na myśl o tym, że mogliby się więcej nie spotkać. Mimo to starał się przywołać na twarz uśmiech, by swoim ponurym nastrojem nie przysparzać staruszce zmartwienia. Wychodząc, podał jeszcze Anieli różaniec, a ta nachyliła się nad uchem chłopaka i szepnęła, żeby się nie martwił, bo Pan Bóg jest jemu i Sabince przychylny.

Wyszedł z izby uskrzydłony, w roztargnieniu wpadając na Władysława. Pożegnał się z nim, a potem uściskał Teresę. Przywdział kozuch, czapę, rękawice, sięgnął po pakunek z lekami dla Jurczykowej i rozejrzawszy się jeszcze z nadzieją za Sabinką, w końcu niechętnie wyszedł z chaty. Uderzył w niego podmuch wiatru, który omal go nie powalił. Skulił się i śnieżnym korytarzem ruszył do głównej drogi. Z obawą zauważył, że w ciągu ostatnich dwóch godzin białego puchu znacznie przybyło. Coraz trudniej stawiało się kroki i trzeba było bardzo się starać, by nie wpaść w zaspę. Dochodził akurat do granicy wioski, gdy zdawało mu się, że coś usłyszał. Przystanął, odwrócił się i osłaniając twarz rękoma, spojrział pod wiatr.

– Czekaj! – zawołała dziewczyna.

Z wrażenia omal nie upadł, dostrzegając kroczącą w jego stronę Sabinkę. Nie tracąc czasu, cofnął się, by wyjść jej naprzeciw.

– Babunia kazali mi to tobie dać. – Gdy stanęli naprzeciw siebie, dziewczyna wepchnęła w rękę Marcina małe zawiniątko. Dało się zauważyć, że prośba seniorki nie była Sabinie na rękę i pewnie spełniła ją wyłącznie dlatego, że staruszce nie wypadało odmówić. Harda mina dziewczyny przeczyła temu, co Marcin przed chwilą usłyszał od jej babci. Sabinka była mu niechętna i z jakiegoś powodu go nie znosiła. Już odchodziła, gdy nagle złapał ją za rękę.

– Co to jest? – spytał, bo w takiej zimnicy trudno byłoby zajrzeć do owiniętego w płótno, oplecionego sznurkiem pakunku. Tak naprawdę w tej chwili zawartość zawiniątka nie interesowała go aż tak bardzo. Zależało mu raczej na tym, by zatrzymać Sabinę.

– A skąd mam wiedzieć? – prychnęła dziewczyna. – Babula prosili zanieść, to ci dałam.

Marcin zapobiegliwie wsunął prezent od Anieli do obszernej kieszeni kożucha, żeby przypadkiem nie wypadł mu z ręki, bo w śniegu potem trudno byłoby go znaleźć. Wszystko w nim rwało się do stojącej przed nim dziewczyny. Miał ochotę pochwycić ją w ramiona i uściskać, przytulić czule do serca i wyznać, jak bardzo za nią tęsknił, ale czuł dziwne onieśmienie. Zdarzyło się po raz pierwszy, że obecność Sabinki tak bardzo go peszyła. Nie wiedział, co jej powiedzieć, mimo że różne słowa krążyły w jego głowie. Co z tego, gdy nie chciało ułożyć się z nich nawet jedno dorzeczne zdanie.

– Dlaczego jesteś na mnie zła? – spytał w końcu ściśniętym ze zdenerwowania głosem.

– Bo może... może sobie na to zasłużyłeś – fuknęła, łypiąc groźnie wzrokiem. – Nie jesteś taki święty, za jakiego cię miałam.

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. Jeśli w jakikolwiek sposób cię zraniłem czy obraziłem, proszę, oświeć mnie, bo nie pamiętam, bym coś

takiego zrobił.

– Naprawdę? – Roześmiała się mu w twarz.

Wiedział, że Sabina ma nieokiełznaną naturę, nie dała sobie w kaszę dmuchać, a gdy coś jej nie pasowało, potrafiła dosadnie odpowiedzieć, a nawet odpyskować. Przy czym dotąd on sam nie odczuł z jej strony nawet krzty opryskliwości. Sabinka, którą Marcin znał wcześniej, patrzyła na niego rozmiłowanym, nieco kokieteryjnym wzrokiem, w którym kryła się wyłącznie słodycz. Nie umiał rozmawiać ze stojącą teraz przed nim nową wersją Sabiny. Zwiesił bezradnie ręce, gotów się poddać, gdy dziewczyna nagle w nieco zawoalowany sposób zdecydowała się wyjaśnić mu motywy swojego zachowania.

– Skryłeś się w Łobieszowie, żeby bezkarnie spotykać się z Cysią. Ale ludzie i tak o was gadają – wyrzuciła w złości.

Marcin nie wiedział, czy jej czerwone policzki to efekt mrozu, czy rozeźlenia.

– Ale wymyśliłaś! – Aż się roześmiał, usłyszawszy coś tak niedorzecznego. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na Sabinę, by zrozumiał. Jej śliczne oczy ciskały gromy i nagle do niego dotarło, że może Aniela rzeczywiście miała rację. Wszystko wskazywało bowiem na to, że Sabinka jest o niego zazdrosna. – Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego zamieszkałem w Łobieszowie, to wyznam, że zrobiłem to przez ciebie – dodał po dłuższej chwili poważnym głosem.

– Jak to przeze mnie? – Choć wciąż zła, spojrzała na niego nieco spokojniej.

– Ano tak. – Marcin chciał dosadnie powiedzieć, co mu leży na sercu, ale w ostatniej chwili uznał, że nie jest gotów na takie wyznanie. Tylko nie bardzo wiedział, jak to wyjaśnić, by Sabinka się nie zorientowała, że jest o nią zazdrosny. Przyzwyczajony do tego, że wcześniej to Sabinka go

adorowała, także w obecnej sytuacji zamierzał zachować choć niewielką przewagę. – Widziałem cię z Wackiem Śmigłem – dodał w końcu niewyraźnie.

– No i co z tego? – Wydawało się, że Sabina zupełnie nie rozumie tego, co oznajmił.

– Nie chciałem wam wchodzić w paradę... – Marcin zdawał sobie sprawę, że tymi słowami nasunie dziewczynie właściwy wniosek, ale stojąc teraz przed nią, nie potrafił dłużej udawać.

– Aleś ty głupi – orzekła Sabina. – Głupi jak but z lewej nogi.

Chociaż Sabina go obraziła, nie był na nią zły, ponieważ zauważył, jak bardzo jest poruszona. Zarówno ona, jak i on nie chcieli przyznać się do tego, co czują, pod pozorną śmiałością ukrywając niepewność i wahanie.

– Może i głupi, ale za to rozważny...

– Jeszcze skłonnam pomyśleć, żeś o mnie zazdrosny. – Na jej twarzy pojawił się podszyty nerwowością uśmiech.

– A jeśli tak, to co ty na to? – Marcin spojrzał na nią z czułą zadziornością.

– Nie uwierzę ci! – Uniosła wzrok, po czym zamasyście się odwróciła i zrobiła krok naprzód. Wzburzona, nie zauważyła, że ma za sobą wielką zaspę.

Omam w nią nie wpadła, na szczęście Marcin złapał ją w ostatniej chwili i mocno do siebie przygarnął. Wtem jego usta musnęły pasmo lnianych włosów dziewczyny, z których lekko zsunęła się chusta, a Sabina na moment zamknęła oczy, wbrew targającym nią emocjom. Zaskoczenie sprawiło, że przez kilkanaście sekund oboje zastygli w bezruchu. Nigdy wcześniej Marcin nie był tak blisko Sabiny, choć nieraz w najdrobniejszych szczegółach wyobrażał sobie taką scenę. Zalało go obezwładniające

szczęście i pewnie jeszcze przez jakiś czas trzymałby ją w ramionach, upajając się tą chwilą, gdyby dziewczyna mu się nie wyrwała.

– Nie musisz udawać! – Poruszona, nieco zdyszana Sabina hardo uniosła głowę, lecz choć starała się mówić stanowczo, i tak zdradzały ją drżący głos i błyszczące oczy.

– Nie udaję – powiedział spokojnym, lekko schrypniętym głosem, patrząc jej głęboko w oczy.

Sabina odwróciła się i popędziła do chałupy. Miał ochotę pobiec za nią, zatrzymać ją i znów przytulić, ale wbrew sobie odwrócił się i z trudem ruszył do szosy. Dotarłszy do Łobiezowa, w obsypanym śniegiem kożuchu i białej czapie, z brwiami, których mógłby mu pozazdrościć Święty Mikołaj, wyglądał jak najprawdziwszy bałwan. Zresztą tak też się czuł. Miał wrażenie, że całkiem ośmieszył się przed Sabiną i wyrzucał sobie, że nie wyznał jej tego, co teraz wyraźnie słyszał w głowie i sercu. Uważał, że nie potrafił wykorzystać szansy, którą niespodzianie podarował mu los.

Zanim wszedł do chaty, otrzepał się i zaklął siarczyście, zostawiając bluzgi i ubolewania przed progiem. Ostrożnie wkroczył do izby, z obawą wsłuchując się w świszczący oddech Jurczykowej. Nie darowałby sobie, gdyby zgasła podczas jego nieobecności. Najpierw dołożył do pieca, nalał wody do saganka i postawił go na gorącej blasze. Zaraz potem podszedł do staruszki. Przyjrzał jej się dokładnie i uznał, że obudzi ją dopiero, gdy przygotuje ziołowy napar, którym Makowcanka kazała pić chorą kilka razy na dobę.

Odkąd wrócił do chaty, dłużył mu się czas i zaczął rozpamiętywać ostatnie chwile. Z przyjemnością wrócił znów do rozmowy ze Skowrońskimi i z babką Anielą. Niemniej to Sabinka zagarnęła większość jego myśli. Wciąż miał przed oczami jej charakterną buźkę z łobuzerskim spojrzeniem i nie mógł nic poradzić na to, że przepadł w tym spojrzeniu bez

reszty. Raz po raz odtwarzał w głowie niedawną scenę z ukochaną, znów czując w sobie ogień i miłe rozedrganie.

– Rzuciła na mnie urok, czarownica – rzekł pod nosem pieszczotliwie, zbierając z ławy drobinki ziół, które wypadły, gdy przygotowywał napar.

– Kto tam bobruje? – usłyszał zrzędlawy głos Jurczykowej, która obudziwszy się nieoczekiwanie, wsparła się na łokciach, usiadła i nieobecny wzrokiem starała się rozeznaczyć w sytuacji.

– Nie chciałem was zbudzić, ale mam już lekarstwo. Zielarka mówiła, że powinno pomóc – oznajmił Marcin.

– Ktoś ty? – Zaspana staruszka patrzyła na Marcina jak na intruza, który ośmielił się wtargnąć na jej włości.

– No przecież to ja, Marcin... – Zbliżył się do Jochasi i pochylił tak, by w świetle świecy mogła mu się lepiej przyjrzeć.

– Coś tam gadał? – Jurczykowa najwyraźniej wracała do rzeczywistości.

– Że mam lekarstwo. Zaraz wam podam...

– Gdzieżeś tak długo łaził? Jeszcze chwila i ducha bym wyzionęła – gderiała.

Nie wdając się dłużej w pogaduszki, Marcin przyniósł staruszce napar. Piła go powoli i co chwilę cmokała z zadowoleniem, jakby jej bardzo smakował. Następnie natarł jej plecy borsuczym sadłem, mimo że zawzięcie się temu sprzeciwiała.

– Co ty, gołowasio, mnie, starą babkę, chcesz se pooglądać? – gderiała, ale widząc, że sama nie da rady się oporządzić, w końcu uległa i pozwoliła się posmarować. – Ino szybko, cobym nie umarła.

Kiedy gdzieś po dwóch godzinach nieustannych zabiegów staruszka wreszcie spokojnie się położyła i znów usnęła, Marcin był tak zmęczony, jakby przerzucił kilka stogów siana. Nieraz praca przy wyrębie tak go nie

wymordowała, jak obskakiwanie tej nieznośnej starowiny. Jurczykowa nieustannie go strofowała, a to, że za mocno ją ścisnął i połamał jej żebra, a to znów, że za lekko ją naciera i pewnikiem to nie zadziała. Na szczęście zrobił wszystko, co zaleciła zielarka, i wydawało się, choć oczywiście na całkowitą poprawę należało jeszcze cierpliwie poczekać, że staruszka czuje się odrobinę lepiej.

Wszedłszy do swojej izdebki, padł jak długi, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej zamknąć oczy. Nagle przypomniał sobie o prezencie od starej Anieli i wnet przeszła mu senność. Wstał, odszukał kozuch, który zdążył już obeschnąć przy piecu, i wyjął z kieszeni zawiniątko. Potem usiadł na łóżku i z ciekawością je rozwijał, a kiedy zobaczył, co jest w środku, aż mu się oczy zaświeciły.

– Święty Marcin. – Z zadowoleniem przyglądał się drewnianej miniaturce z wizerunkiem świętego, identycznym jak na głównym ołtarzu parafialnego kościoła w Bukowej Górze pod wezwaniem Świętego Marcina. Wciąż doskonale pamiętał, jak Aniela wspominała, że to właśnie u Świętego Marcina wyprosiła miłość swojego Józka, bo choć młodzi się mieli ku sobie, ich drogi nieustannie się rozchodziły. Chłopak w mig odczytał przekaz Anieli. Choć był wierzący, daleko mu było do zbytnej religijności. Owszem, codziennie odmawiał pacierz, jak nauczyła go jeszcze matula, i tydzień w tydzień chodził na niedzielną mszę, ale będąc w świątyni, nie umiał poczuć Bożej miłości tak, jak opisywali to natchnieni prorocy i święci. Niemniej wiedział, że musi pójść tam, gdzie może poprosić o łaskę i gdzie zapewne spotka Sabinę. Jeśli Bóg da i drogi okażą się możliwe do przejścia, jutro wstanie jeszcze przed świtem i wybierze się na roraty. Ta myśl na nowo rozbudziła w nim nadzieję i dodała energii. Postawił obrazek ze swoim patronem na szafce przy łóżku i usnął uspokoiony, pod powiekami przywołując uśmiech ukochanej.

Bukowa Góra dzisiaj



Tego wieczoru było mi tak dobrze u Witkowskich, że zostałam tam prawie do dwudziestej trzeciej. Skończywszy opowieść, Gabriel, najpewniej czując, że ja i Rozalia chciałybyśmy zostać same, wymówił się potrzebą czytania i przeszedł do drugiego pokoju. Właśnie tak było między tym starszym małżeństwem – nie tylko darzyli się szacunkiem i miłością, ale też rozumieli bez słów i dawali sobie osobistą przestrzeń. Podobnie wyglądała relacja moich rodziców. Tata kochał i poważał mamę, nie szczędząc jej czułości i uśmiechu. To działało w dwie, a nawet w trzy strony, bo ja też czułam się w tamtym czasie szczęśliwa.

Nowa żona całkowicie go zmieniła. Z radosnego, otwartego człowieka w krótkim czasie stał się jej nerwową, apodyktyczną kopią, coraz bardziej chowając się w jej cieniu. W końcu doszło do tego, że niewiele zostało w nim tego prawdziwego ojca, aż zupełnie zniknął, ukryty za wymówkami, nienależącymi do niego, lecz padającymi bez przekonania z jego ust, i zalęknionym spojrzeniem, rzucanym w moją stronę wyłącznie wtedy, gdy w pobliżu nie było jego żony.

Sądziłam, że to koniec, że gdy zbagatelizuję naszą niedawną rozmowę, ojciec nie podejmie kolejnej próby kontaktu. Tymczasem on spróbował. Najgorsze, że ta krótka wiadomość tak bardzo mnie poruszyła. Przecież nie musiałam się do niej odnosić, mogłam ją zignorować i, tak jak do tej pory,

odgrodzić się od ojca. Chciałam to zrobić, tylko że tym razem to nie działało. Myśli o nim napływały falami i nie potrafiłam się od nich opędzić. Ziołowy napar, który podała mi Rozalia, na pewien czas mnie uspokoił, Gabriel swoją niezwykłą gawędą natychmiast zabrał do świata, gdzie było mi wyjątkowo dobrze, i gdyby istniała taka możliwość, najchętniej ukryłabym się tam na jakiś czas. Niestety teraz znów upominała się o mnie codzienność.

– Soniu, wszystko w porządku? – odważyła się wreszcie spytać Rozalia, bo do tej pory czekała pewnie, aż sama zdecyduje się opowiedzieć, co mnie trapi.

– Ech... nie bardzo – odparłam smętnie. Nie planowałam się zwierzać Rozalii, która przecież sama miała masę problemów; zresztą któż ich nie ma. Mimo to najpierw bez przekonania, a potem coraz śmieiej, opowiedziałam jej o ostatnim telefonie i wiadomości od ojca. To pociągnęło za sobą kolejne wątki i nieoczekiwanie dla mnie samej Rozalia dowiedziała się o śmierci mojej mamy, odtrąceniu, wyprowadzce z domu i konieczności radzenia sobie w pojedynkę. Słuchając mnie, Rozalia wydawała się poruszona, lecz nie komentowała moich słów, tylko raz za razem kiwała głową.

Izolacja od rodziny stawiała mnie w gorszej pozycji. Wstydziałam się tego, czułam się gorsza i wybrakowana. Nie chciałam, żeby znajomi wiedzieli o mnie zbyt wiele. Dlatego tak niechętnie o sobie mówiłam i konsekwentnie unikałam spotkań towarzyskich, jakie od czasu do czasu organizowano w firmie. Jakoś na początku pracy w „Niezwykłościach” na odczepnego rzuciłam kilka zdań o sobie, ale później przy najmniejszej próbie wciągnięcia mnie w rozmowy na prywatne tematy od razu się wycofywałam. Myślę, że większość osób uważała mnie za dziwaczkę, ale przynajmniej miałam spokój. Nikt na siłę nie próbował mnie uszczęśliwić.

Właściwie tylko przedświąteczny czas i święta były tym okresem, gdy zaczynała doskwierać mi samotność. Chociaż i wtedy potrafiłam sobie z nią radzić, organizując życie tak, by odrobinę je umilić i przede wszystkim nie mieć czasu na rozmyślanie.

– W życiu twojego taty musiało się pewnie stać coś bardzo ważnego, skoro właśnie teraz zdecydował się z tobą skontaktować. – Słowa Rozalii wyrwały mnie z zamyślenia.

– Nie obchodzi mnie to! – wybuchnęłam, czując, że nie jestem w stanie dłużej panować nad emocjami. Też się tego domyślałam. To było oczywiste, że gdyby z jakiegoś powodu nagle nie ruszyło go sumienie, dalej miałby mnie w nosie. Nie wziął tylko pod uwagę jednego: że ja mogę nie mieć ochoty na przymusowy powrót do przeszłości.

– Spokojnie, Soniu. – Rozalia chwyciła moją dłoń i delikatnie pogładziła. – Ja wiem, że takie momenty nie są łatwe. Jeśli chodzi o uczucia, to wszystko się komplikuje, trudno bowiem robić coś wbrew sobie. Mimo to jestem pewna, że będziesz wiedziała, jak postąpić w tej sytuacji.

Spojrzałam na nią niepewnie, bo tego, co wcześniej wydawało mi się jednoznaczne, teraz już tak nie odbierałam. Chodziło o to, że nie miałam pojęcia, jak postąpić. Jeszcze niedawno tupnęłabym nogą i bez wahania powiedziała ojcu: „Nie! Idź do diabła!”, lecz teraz po cichu, ostrożnie, nawet jeśli niezbyt mi się to podobało, docierało do mnie, że jest też inne wyjście. Męczyła mnie ta wewnętrzna szamotanina, ponieważ nie wiedziałam jeszcze, co przeważy na szali moich wątpliwości. Nieoczekiwane pojawienie się w drzwiach Gabriela ucięło moje rozważania.

– Dotarło do mnie, że drogie panie mają ochotę na herbatę, a może i jakąś przekąskę. – Starszy pan stanął w progu z szelmowskim uśmiechem,

czekając na dyspozycję żony. – Wszak nie od dziś wiadomo, że ożywcze dyskusje zaostwiają apetyt.

Nie wiem, jak Rozalia, ale ja po ostatniej wymianie zdań miałam raczej ściśnięty żołądek.

– Ja dziękuję – odparłam, pochwyciwszy pytające spojrzenie Rozalii. – Chyba będę się już zbierać, nie wiedzieć kiedy zrobiło się tak późno.

– No i widzisz, Gabryś, spłoszyłeś dziewczynę – stwierdziła żartem Rozalia, kręcąc głową. – Ty to masz idealne wyczucie sytuacji.

Robiąc przeproszającą minę, starszy pan uniósł dłonie w obronnym geście.

– Nie będę zabierać wam więcej czasu, jesteście zmęczeni. – Podniosłam się i zrobiłam krok w kierunku wyjścia, lecz Rozalia chwyciła mnie za rękę i zatrzymała.

Zauważywszy to, Gabriel dyskretnie się wycofał i znów zostałyśmy same.

– Zaczekaj jeszcze chwilę... – Rozalia spojrzała na mnie tak, jakby się nad czymś zastanawiała. – Pomyślałam sobie, że może, jeśli oczywiście będziesz miała ochotę, zechciałabyś spędzić tegoroczne święta z nami – rzekła po chwili z serdecznym uśmiechem.

– Ja... – Propozycja starszej pani kompletnie mnie zaskoczyła i nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Do świąt pozostało jeszcze trochę czasu, więc spokojnie się nad tym zastanów, ale chcę, byś wiedziała, że jesteś dla nas kimś wyjątkowym i będziemy szczęśliwi, mogąc cię gościć przy wigilijnym stole.

Szczerze wyznanie Rozalii głęboko mnie poruszyło. Nie zdarzyło się dotąd, by ktoś tak od serca otworzył przede mną drzwi do swojego domu. Wprawdzie wcześniej nikomu nie dałam na to szansy, ale też nie spotkałam osób, którym mogłabym zaufać tak bezgranicznie jak Witkowskim. Nie

tylko Rozalia była mi bliska, lecz także pozostali członkowie jej rodziny okazali mi wyjątkową serdeczność i dyskretną opiekę.

– Przemyślę to sobie – odparłam, gdy opanowałam wzruszenie, choć odpowiedź znałam już w chwili, gdy padła ta propozycja.

Do mojego tymczasowego mieszkania pędziłam jak na skrzydłach. Czy mogłabym wyobrazić sobie piękniejsze święta? Jakby na potwierdzenie niezwyklej przedświątecznej atmosfery, wokół mnie wirowały śnieżne gwiazdki. Zatrzymałam się na moment i spojrzałam w niebo, w najgłębszej części siebie ciesząc się tą chwilą, a wtedy naprawdę do mnie dotarło, że nie jestem sama. Decyzja o przyjeździe do Bukowej Góry okazała się jedną z lepszych, jeśli nie najlepszą, w moim życiu. Otworzyły się przede mną dotychczas zamknięte drzwi, do których nawet bałam się podejść i chwycić za klamkę. A teraz coraz śmielej zaglądałam poza nie i uśmiechałam się do stojących po drugiej stronie ludzi, którzy zapraszali mnie do siebie. Co więcej, sama też miałam coraz większą ochotę wyjść im naprzeciw. Zmieniałam się i coś wewnątrz mnie szeptało, że ta zmiana będzie miała wpływ na moją przyszłość.

Nazajutrz z samego rana przedłużyłam pobyt o kolejny tydzień. Urlopem nie musiałam się martwić, bo ustaliłam, że w pracy pojawię się dopiero po Nowym Roku. Wyglądało na to, że mogę beztrósco cieszyć się czasem w Bukowej Górze i dalej spokojnie pisać swoją opowieść. W dosłownym i symbolicznym tego słowa znaczeniu. Czułam bowiem, że wraz z każdym spotkaniem u Witkowskich, gdy poznawałam dalsze losy bohaterów historii o Złotym Sercu, stopniowo, niemal niezauważenie, przeobrażało się też moje życie. Jeszcze nie potrafiłam tego nazwać, ale wystarczała mi sama świadomość, że dzieje się coś ważnego.

Najchętniej od razu pobiegłabym do Złotego Serca i poinformowała Rozalię, że przyjmuję zaproszenie, ale doszłam do wniosku, że muszę

ostudzić swój zapał. Ostatecznie zaraz po śniadaniu usiadłam do laptopa, podekscytowanie i nadmiar energii zamieniając na kolejne zdania. Tekstu przybywało błyskawicznie. Nie mogłam nadążyć z zapisywaniem kolejnych fragmentów historii Marcina i Sabiny. Stukając w klawiaturę, miałam wrażenie, że ich widzę, czuję ich obecność. Było trochę tak, jakbym oglądała film z ich udziałem.

W pełni usatysfakcjonowana, koło trzynastej wyłączyłam laptop, stwierdziwszy, że wypadaloby coś zjeść. Już miałam wyjść, gdy mój wzrok przyciągnęła leżąca na stoliku poźółkła koperta. Pomyślałam, że należałoby odnieść ją Maurycemu. Nie wiem dlaczego, ale patrząc na nią, pomimo tego, że przecież do niej nie zajrzałam, miałam dziwne poczucie zawstydzienia, że tej korespondencji nie powinno u mnie być. Ostrożnie, żeby się nie zmięła, wsunęłam ją do podręcznego notesu, który wpakowałam do niewielkiego plecaka, i wyszłam z mieszkania. Chociaż przyjemna, niemal świąteczna atmosfera w jadłodajni nieco mnie rozleniwiła, a pani Marlenka, właścicielka, która już doskonale mnie rozpoznawała, zachęcała do skosztowania kolejnych dań, ograniczyłam się do żurku z białą kielbasą i tym razem szybko się pożegnałam.

Doskonale znałam drogę, więc trasę pokonałam dość szybko. Ani się obejrzałam, a już dochodziłam do mostku, a po chwili zmierzałam do posesji Maurycego. Wszystko wskazywało na to, że jest w domu, ponieważ najbliższy teren i prowadzącą do wejścia ścieżkę pokrywał puszysty śnieg bez wyraźnych śladów butów. Jedynie wokół drzewa, gdzie gospodarz umieścił hojnie zaopatrzonego karmnika, skupiły się drobne stemple ptasich nówek. Ostrożnie wspierałam się po oblodzonych schodach i zapukałam do drzwi. Już po chwili usłyszałam charakterystyczny odgłos szurania kapci i zaraz w progu stanął Maurycy.

– Sonia, jak miło! – Wydawał się zaskoczony, ale chyba zadowolony, że mnie widzi.

– Dzień dobry – przywitałam się, niepewnie wchodząc do ciepłej sieni.

– Nie przeszkadzam?

– Ależ skąd, cieszę się, że mnie odwiedziłaś. Jakbym wyczuł, właśnie wstawiłem wodę na herbatę. – Ruchem dłoni zaprosił mnie do pokoju.

Weszłam, ale choć Maurycy odsunął przede mną krzesło, nie usiadłam, a nawet nie zdjęłam kurtki, tylko rozsunęłam plecak i włożyłam do środka rękę. Starszy pan przyglądał mi się niepewnie, jakby przeczuwał, że lada moment coś się wydarzy. Może zasugerowała mu to moja nieco poważna mina albo konspiracyjny wzrok, jakim wpatrywałam się w wyjęty z plecaka notes.

– Przyniosłam coś, co należy do pana – zakomunikowałam wreszcie i wyjąwszy spomiędzy kartek notatnika grubą kopertę, podałam ją Maurycemu.

Zaskoczony odebrał ją ode mnie, a potem uniósł i przez dłuższą chwilę się w nią wpatrywał. Nie umknęło mojej uwadze, jak w tym czasie zmieniał się wyraz jego twarzy.

– Skąd to masz? – spytał niegrzecznie, czym mnie zaskoczył.

Nie spodziewałam się z jego strony wylewnej wdzięczności, ale jego napastliwość zupełnie zbiła mnie z tropu.

– Znalazłam w jednym z numerów czasopism, które ostatnio od pana pożyczyłam – wyjaśniłam cichym, zdenerwowanym głosem.

– Nieładnie grzebać w czyichś rzeczach! – naskoczył na mnie Maurycy, tym samym wprawiając mnie w jeszcze większe osłupienie.

Zanim odzyskałam mowę, chyba przez minutę wpatrywałam się w niego szeroko otwartymi oczyma, bo jego irracjonalne insynuacje

i opryskliwy ton, jakim się do mnie zwracał, zwyczajnie wryły mnie w ziemię.

– Po prostu chciałam to panu zwrócić – szepnęłam i uznawszy, że nie ma sensu przedłużać tej kuriozalnej wizyty, zarzuciłam na ramię plecak, zapięłam kurtkę i ruszyłam do wyjścia. Będąc już przy drzwiach, rzuciłam jeszcze: „do widzenia”. Po cichu liczyłam, że Maurycy zechce się zrehabilitować i mnie zatrzyma. Nie usłyszałam jednak odpowiedzi, w domu panowała wręcz grobowa cisza.

Wypadłam na zewnątrz i klnąc siarczyście, gdy omal nie wywinęłam orła na schodach, pognałam ścieżką w znajomym kierunku. Ależ byłam wściekła. Kompletnie nie rozumiałam zachowania tego starszego człowieka, który wyjątkowo paskudnie mnie potraktował. Właśnie poznałam jego drugie, gburowate oblicze. To, co wcześniej słyszałam na temat Maurycego od Witkowskich, teraz nabierało nowego znaczenia. Najwyraźniej musiał się przede mną maskować, ale wystarczyła jedna nieprzewidziana sytuacja, a wyszło szydło z worka. Właśnie dotarłam do szosy, gdy usłyszałam za sobą znajomy głos. Zatrzymałam się i odwróciłam w stronę widocznego z oddali mostku, skąd szybkim krokiem zmierzał do mnie Maurycy. Nie zdążyłam jeszcze ochłonąć, dlatego nie ułatwiłam mu sprawy i nie wyszłam naprzeciw, lecz stałam, mimo że w bezruchu wyjątkowo odczuwałam każde lodowate smagnięcie wiatru. Gdy Maurycy dotarł do mnie, był tak zasapany i przejęty, że zrobiło mi się go żal.

– Przepraszam... bardzo cię przepraszam... – wyrzucił z siebie między kolejnymi urywanymi oddechami. – Nie wiem, czemu tak się zachowałem... Może to przez to, że... ech! – Wyraźnie się miotał, nie potrafiąc wyjaśnić tego, co się działo w jego wnętrzu.

– Znalazłam tę kopertę w jednym z numerów „Mówią Wieki” i od razu było dla mnie oczywiste, że muszę ją panu oddać – powtórzyłam i teraz

Maurycy gotów był przyjąć to tłumaczenie.

– Mogę cię prosić, żebyś wróciła? – Spojrzał na mnie błagalnie. – Chciałbym ci to wszystko jakoś wyjaśnić.

Przez chwilę się wahałam, a dowodem na to było moje niepewne spojrzenie skierowane na samochód jadący akurat w stronę miasteczka. Szybko jednak doceniłam starania starszego pana i skinęłam głową.

– Tak – potwierdziłam dodatkowo, widząc jego nieporadność i skonfundowanie. Domyślałam się, że pewnie nieczęsto, jeśli w ogóle nie po raz pierwszy, Maurycemu zdarzyła się sytuacja, kiedy w pewnym sensie musiał się ukorzyć i wytłumaczyć swoje zaskakujące zachowanie.

Powoli, w milczeniu ruszyliśmy w stronę domu. Ponowne rozpoczęcie rozmowy okazało się niełatwe. Widziałam, że Maurycy próbuje zagaić, ale wydawał się niezwykle onieśmielony. Mnie też się to udzieliło i choć chciałam zagadać, nie mogłam się odważyć. Usiadłszy na sofie, odczułam ulgę, gdy Maurycy wyszedł na chwilę do kuchni, by przygotować coś do picia. Niestety gdy wrócił, wcale nie było łatwiej. Stawiając przede mną szklankę, zrobił to tak nieostrożnie, że kilka kropel herbaty wychlusnęło na szydełkowy bieżnik.

– Ech, niezdarą ze mnie – powiedział takim tonem, jakby chciał siebie skarcić, a potem przez chwilę bezradnie przyglądał się zaplamionej serwecie, chyba nie bardzo wiedząc, co z tym począć. W końcu to zostawił, wyprostował się i ruszył w stronę komody.

Patrzyłam na Maurycyego z ciekawością, ale czułam się coraz bardziej zakłopotana obecną sytuacją. Przyszłam tu bez pewności, czy to dobry pomysł, a teraz, gdy dotarło do mnie, że może zbyt pochopnie się na to zgodziłam, trudno było się już wycofać. Po chwili starszy pan wrócił i usiadł obok mnie, trzymając w ręku wypakowaną siatkę. Ledwo zdążyłam pomyśleć, co może się w niej znajdować, gdy wysypał jej zawartość na

środek stolika. Przed moimi oczami pojawiła się piramida pożółkłych kopert. Kilka spadło na podłogę, ale Maurycy szybko się po nie schylił i zaraz położył obok pozostałych.

– Piszę je już od ponad trzydziestu lat, ale nie mogłem się odważyć, żeby je wysłać – odezwał się zawstydzony. – Zresztą do niedawna nawet nie znałem właściwego adresu.

Spojrzałam na najbliższej leżącą kopertę i zauważyłam na niej znajome imię i nazwisko. Mój wzrok nie uszedł uwadze Maurycego.

– Barbara Borowska... Basia to moja córka – wyjaśnił.

Przypomniałam sobie, że na kopercie, którą znalazłam, widniał dokładny krakowski adres, co mogło świadczyć o tym, że starszy pan zamierzał ją nadać.

– Tamten list, który znalazłaś, napisałem jakiś miesiąc temu. Miałem go wysłać, ale się zawieruszył. Uznałem więc, że to zapewne znak, by tego nie robić – wyjaśnił z wyraźnym przejęciem. – Ale teraz, gdy go przyniosłaś, sam już nie wiem...

Wciąż nie byłam pewna, co powiedzieć, dlatego tylko zerknęłam na Maurycego i z przeczuciem, że mam od niego przyzwolenie, sięgnęłam po kolejne koperty. Zaklejone i wypakowane po brzegi, wyglądały niemal identycznie. Na każdej widniało napisane z wielką starannością to samo imię i nazwisko. I rzeczywiście, tak jak wspomniał przed momentem Maurycy, brakowało na nich jedynie adresu.

– Zdaję sobie sprawę, jak to zabrzmiało, ale dopiero rok temu przez zupełny przypadek dowiedziałem się, gdzie mieszka Basia – wyznał, opuściwszy ze wstydem wzrok.

– Nie oceniam pana – powiedziałam i odruchowo objęłam dłoń Maurycego. – Życie nie jest czarno-białe – dodałam, a w mojej głowie pojawił się wyraźny obraz ojca. Słowa, które miały być pociechą dla

Maurycyego, także i mnie dały do myślenia. Mówią, że każdy zasługuje na szansę. Zresztą sama nie raz powtarzałam te słowa. Tyle że nigdy nie odnosiłam ich do siebie.

– Przepraszam, Soniu. Jeszcze raz gorąco cię przepraszam za ten wybuch. Dowiedziawszy się, gdzie mieszka Basia, nie mogłem się odważyć, żeby się z nią skontaktować. Przez wiele miesięcy nosiłem się z zamiarem, by tam pojechać i się z nią zobaczyć. W końcu uznałem, że napisanie listu będzie łatwiejsze i oboje, ja i ona, unikniemy w ten sposób trudnej konfrontacji. Pomyślałem, że jeśli Basia nie zechce przeczytać wiadomości ode mnie, to po prostu ją wyrzuci. Ale w duchu liczyłem, że da mi szansę. – Maurycy sięgnął po kopertę, którą przyniosłam, i pogładził jej wierzch. – Gdy przepadła, z jednej strony kamień spadł mi z serca, bo od razu wytłumaczyłem to sobie najprościej, że pewnie tak musiało być. Z drugiej strony nie dawało mi to spokoju. Kilka razy przetrząsałem pokój, ale nie znalazłem listu. Wiele razy siadałem, żeby jeszcze raz go napisać, ale każda taka próba okazywała się chybiona. Tutaj... – Sugestywnie uniósł list. – Byłem całkowicie szczery. Potem mimo najlepszych chęci nie umiałem już zmierzyć się z przeszłością, z tym, co nas rozdzieliło. Zobaczywszy ten list w twoich rękach, spanikowałem i zamiast podziękować ci, że pofatygowałaś się, by mi go przynieść, zachowałem się w taki sposób, jak niestety przez większą część mojego życia. Zaatakowałem cię, nie dając szansy na wyjaśnienie. Przez mój wybuchowy, wstyd się przyznać, niełatwy charakter, nie raz wiele straciłem. A te listy... – Maurycy zatrzymał wzrok na stercie pożółkłych kopert. – Pisanie ich przynosiło mi ulgę. Czułem, jakby Basia była obok mnie, jakby mnie słuchała, jakby mnie rozumiała. Chciałem jej wytłumaczyć, dlaczego tak okrutnie się wobec niej zachowałem. Dlaczego tak impulsywnie podjąłem jedną z najgorszych decyzji w moim życiu.

Decyzję, którą niewyobrażalnie skrzywdziłem moją jedyną córkę i która okazała się gwoździem do trumny naszej relacji. Długo nie mogłem przyjąć do wiadomości, że to moja wina. Nie zamierzałem przyznać się do błędu, ale serca nie da się oszukać. – Maurycy odłożył zaadresowaną kopertę na stolik, po czym spojrzał na mnie smutno.

Korciło mnie, żeby go zapytać, co takiego się wydarzyło pomiędzy nim a jego córką, ale pewnie byłoby to zbyt dużym wścibstwem. Skoro Maurycy nie zdecydował się o tym opowiedzieć, widocznie nie czuł się na to gotowy. Doceniałam fakt, że na ile potrafił, wyjaśnił sprawę listu. To rozwiało moje wcześniejsze wątpliwości, ale jednocześnie w związku z obecnym wyznaniem pojawiły się nowe pytania. Rozbudzonej ciekawości nie dało się tak łatwo zaspokoić, a Barbara Borowska zaczęła mnie intrygować jeszcze bardziej.

– A teraz... Czy teraz wyśle pan ten list? – Mimo pewnych obaw zdecydowałam się zapytać o to Maurycego.

W pierwszym momencie mężczyzna ściągnął brwi, co wyglądało tak, jakbym zaraz miała usłyszeć od niego coś niemiłego. Na szczęście zaraz odchrząknął i złagodniał na twarzy.

– Nie wiem – odparł szczerze i wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy tym razem starczy mi odwagi.

Nagle wpadła mi do głowy pewna myśl. Przez chwilę wpatrywałam się badawczo w Maurycego, zastanawiając się, czy powinnam to zaproponować, lecz wreszcie zebrałam się na odwagę.

– A może ja mogłabym to zrobić? – Uśmiechnęłam się niepewnie, acz zachęcająco.

– Ty...? – Maurycy wydawał się zdziwiony takim obrotem spraw.

Przytaknęłam zdecydowanie głową.

– Sam nie wiem – rzekł rozkojarzony i wsunął dłoń w i tak już rozwichrzone włosy. – Może trzeba dać sobie z tym spokój...

Czułam, że list powinien zostać wysłany, i to jak najszybciej, ale nie chciałam naciskać na starszego pana. Dlatego, chociaż na usta pchało mi się zapewnienie, że list należy wysłać, przełknęłam je i zmusiłam się do milczenia.

Maurycy jeszcze przez jakiś czas przyglądał się rozrzuconej na stoliku stercie kopert, aż nieoczekiwanie sięgnął po jedną, a potem zaczął wkładać je do siatki. W miarę jak osobliwy stos zaczął się zmniejszać, miałam wrażenie, że między nami zapanowało znów pewnego rodzaju napięcie, którego żadne z nas nie potrafiło rozładować. Uznałam, że skoro zadanie zostało wykonane, mogę się zbierać.

– Pójdę już, nie będę panu przeszkadzać – oznajmiłam dokładnie w chwili, gdy w przepastnej siatce zniknął ostatni list.

– Zdążyłaś się rozgrzać? – spytał starszy pan niezobowiązująco, ale odłożywszy pakunek, nie starał się mnie zatrzymać, tylko podreptał za mną do wyjścia.

Zapewniłam, że czuję się dobrze, a malinowa herbata z cytryną nie ma sobie równych, po czym wciągnąwszy na głowę wełnianą czapę i opatuliwszy się szalikiem, pożegnałam się z Maurycym i wyszłam na zewnątrz. Tym razem ostrożnie pokonałam oblodzone schodki i ruszyłam odśnieżonym fragmentem dróżki. Zwabiona głosem przekrzykujących się ptaków, przystanęłam, zwróciwszy się w stronę karmnika otoczonego przez kilka wróbelków i rudziki. Poniżej dwie sójki wydziobywały z zamarznętej trawy ziarno. Ten sielski widok natychmiast wywołał uśmiech na mojej twarzy.

– Soniu, zaczekaj chwilkę!

Spojrzałam na dom i w drzwiach, które kilka chwil wcześniej się za mną zamknęły, zauważyłam znów Maurycego. Cofnęłam się do schodów, a starszy pan z kurtką zarzuconą na ramiona zszedł do mnie.

– Ostrożnie. – Nie omieszkałam zwrócić mu uwagi, spostrzegłszy, że nieznacznie się zachwiał.

– Będę znów musiał je odsnieżyć, bo od rana nawiało – wytłumaczył, stając przede mną. – Myślę, że jeśli coś się zaczęło, należy to dokończyć. Masz rację, że ten list powinien ruszyć w drogę. – Wyjął z kieszeni znajomą mi już kopertę. – Mógłbym cię prosić, żebyś go wysłała? – Niepewnie uniósł list i spojrzał na mnie nieśmiało. – Ja chyba nigdy nie będę na to całkowicie gotowy.

– Oczywiście. – Ucieszyłam się takim nieoczekiwanym obrotem spraw.

– Dziękuję. – Maurycy, jakby z obawy, że jeśli nie zrobi tego w tej chwili, to zaraz się rozmyśli, pospiesznie przekazał mi list. – I jeszcze pieniądze.

Chciałam powiedzieć, że nie trzeba, ale nie zdążyłam, gdyż starszy pan wsunął mi do ręki pięćdziesiątówkę. – Mam nadzieję, że wystarczy.

– Wyślę od razu, gdy dojdę do miasteczka – zapewniłam, chowając list i monetę do kieszeni. – To dobra decyzja – dodałam z mocą. – Trzeba dać sobie szansę na pojednanie i wyjaśnienie pewnych spraw.

Maurycy nie odniósł się do moich ostatnich słów, tylko spojrzał na mnie ze smutnym uśmiechem. Widziałam w jego oczach lęk i niezdecydowanie. To, że w nieoczekiwanym przejawie odwagi zdecydował się poprosić mnie o wysłanie listu, nie znaczyło jeszcze, że naprawdę jest gotów stanąć twarzą w twarz z przeszłością. Poza tym nie wiadomo, czy jego córka będzie na to przygotowana. Nie miałam pojęcia, co zaszło między nimi, w jaki sposób Maurycy zawiódł Barbarę, że całkowicie zerwała z nim kontakt. Skoro jednak tak się stało, powód na pewno nie mógł być błahy.

Gdy zmierzałam w kierunku miasteczka, co chwilę przypominały mi się wypowiedziane przeze mnie kilka minut wcześniej słowa. I znów zaczęłam je analizować, a to, co radziłam Maurycemu, okazało się znaczące także i dla mnie. „Trzeba dać sobie szansę na pojednanie i wyjaśnienie pewnych spraw”, powtarzałam w myślach niczym zdarta płyta przez całą drogę, aż poczułam się tym zmęczona. Łatwo bowiem radzić coś innym, rzucać niezobowiązujące stwierdzenia. Trudniej przyjąć te wskazówki dla siebie. Wiedziałam, że nie zbawię świata, nie naprawię relacji Maurycego i jego córki, bo ten gest należy do niego. Mimo to miałam wpływ na własne życie i własne wybory. Skoro tak ochoczo, z głębokim przekonaniem udzielałam rad innym, może powinnam zacząć od siebie. Przecież nie byłam zakłamana. Licząc na dobre chęci Barbary Borowskiej, może ja też powinnam dać szansę swojemu ojcu. Wszak drobny gest z mojej strony, choćby to, że odpiszę na jego wiadomość i go pozdrowię, jeszcze o niczym nie świadczy. Może należy schować dumę i urazy do kieszeni. Nikt nie każe nam się kochać jak najtroskliwszy ojciec z córką, bo mimo wszystko, realnie oceniając sytuację, uważałam, że na takie uczucia i gesty jest już za późno. Zbyt wiele wody upłynęło w rzece, by ten stan dało się zmienić. Ale przecież chodziło jedynie o drobny przejaw życzliwości, która kiedyś stanowiła rdzeń naszej relacji.

Na poczcie było sporo osób, więc stanęłam na końcu kolejki. Wyjęłam list i z braku innego zajęcia przez kilka minut przyglądałam się adresom na kopercie, aż oba wbiłam sobie do głowy. Gdy doszłam do okienka, kupiłam znaczek, stanęłam z boku, nakleiłam go i biorąc głęboki wdech, z wrażeniem, że właśnie się dzieje coś epokowego i za chwilę nie będzie odwrotu, wrzuciłam list do skrzynki.

Wcześniej planowałam, że w drodze powrotnej wstąpię do Złotego Serca, by przekazać Rozalii nowinę, że spędzę z nimi święta, lecz tuż przed

wejściem w prowadzącą do kawiarni uliczkę odruchowo skręciłam w urokliwy zaułek, który tworzyły ładnie odrestaurowane kamieniczki. Stamtąd po kilku minutach dotarłam do mojego tymczasowego mieszkania. Zdjęłam ubranie Eskimosa, jak je nazywałam, po czym z podkulonymi nogami i kubkiem zaparzonej przed chwilą kawy w ręku usiadłam na kanapie i spojrzałam w okno. Potrzebowałam odpoczynku po półgodzinnym intensywnym marszu i wizycie na poczcie. Powoli zaczynało zmierzchać, doszłam więc do wniosku, że przez chwilę złapię oddech i jeszcze przed zamknięciem kawiarni zdążę wpaść do Złotego Serca. Wiedziałam, że dzisiaj późnym popołudniem Gabriel miał spotkanie z dawno niewidzianym znajomym, dlatego nie umówiliśmy się na wieczorną gawędę. Mimo to nie wyobrażałam sobie, bym mogła nie zobaczyć się z Rozalią.

Pomyślałam o tym, co mi się przydarzyło, nieuprzejmym zachowaniu Maurycego i nagłym zwrocie akcji, którego efektem okazała się moja wizyta na poczcie. Dopiero teraz poczułam, jak wiele emocji mnie to wszystko kosztowało. Byłam pewna, że starszy pan przeżywał całe zamieszanie jeszcze bardziej. Na pewno się zastanawiał, czy decyzja o wysłaniu listu coś zmieni. Być może żałował tego kroku, a może z nadzieją czekał, co w związku z tym przyniesie przyszłość. Zastanawiałam się, co takiego Maurycy napisał w liście do swojej córki i czy kobieta w jakiś sposób się do tego odniesie. Nieoczekiwanie mój wzrok powędrował w stronę komórki. Choć starałam się zdusić ją w zarodku, w mojej głowie coraz śmieiej dojrzewała myśl, by zrobić to, przed czym wciąż się wzbraniałam. Mimo niechęci mimowolnie wyciągnęłam rękę po telefon. Zanim wyszukałam numer ojca, długo patrzyłam na wyświetlacz, starając się zapanować nad szalejącą we mnie burzą niedawno obudzonych emocji. Tymczasem nagle stało się coś, czego

zupełnie nie przewidziałam. Usłyszawszy wyraźny dźwięk sygnalizujący przychodzące połączenie, aż się wzdrygnęłam. Wyglądało na to, że los ułatwił mi zadanie. Wystarczyło jedynie nacisnąć przycisk z zieloną słuchawką. Tak też zrobiłam.

– Halo – odezwałam się lekko ochrypłym ze zdenerwowania głosem.

– Dzień dobry. Dziękuję, że odebrałaś – przywitał się ojciec.

W nagłym odruchu chciałam wyznać, że właśnie miałam zamiar się z nim skontaktować, lecz nie chcąc wyjść na naiwną, w ostatniej chwili ugryzłam się w język.

– Myślałam, żeby kiedyś do ciebie zadzwonić – rzekłam, czując, że z całkiem niezrozumiałego dla mnie powodu twarda skorupa niechęci i wrogości skierowanych do ojca zaczyna kruszeć.

– Naprawdę? – zdziwił się i przez dłuższą chwilę w słuchawce zapanowała cisza.

Podejrzewałam, że ojciec próbował w tym czasie zapanować nad wzruszeniem, bo kiedy później się odezwał, jego głos lekko drżał.

– Marzę tylko o tym, żebyś mi wybaczyła...

Zamierzałam być dzielna, ale wbrew temu, co wcześniej sobie przyrzekłam, zaczęło mi się zbierać na płacz. Głos ojca, brzmiący tą samą co kiedyś, znajomą nutą, trafiał w moje najczulsze struny.

– Ja bardzo chciałabym, ale... – wydukałam, lecz dalsze słowa ugrzęzły mi w gardle.

– Nie chcę na tobie nic wymuszać, bo przecież nie da się oszukać serca. To, co zrobiłem, w jaki sposób cię potraktowałem, niełatwo zrozumieć, a tym bardziej wybaczyć. Ale... ale teraz to moje jedyne marzenie. Tylko na tym mi zależy, by móc... – Nagle urwał, jakby bał się powiedzieć o słowo za dużo.

A ja wręcz przeciwnie, nabrałam ochoty na tę rozmowę. Zdawałam sobie sprawę, że nie będzie łatwo, ale w pełnych ukorzenia słowach ojca wyczytałam też coś, co mnie zaniepokoiło.

– Co słyhać u ciebie i u... twojej żony? – spytałam, pokonawszy wyraźny opór.

– Nie jestem z Martą od dwóch lat. Rozstaliśmy się na dobre – wyznał.

– Ach tak – wyrwało mi się. Kompletnie się nie spodziewałam takich wieści. Wydawało mi się, że ojciec nigdy się nie uwolni od tej wiedzy. Sądziłam, że Marta już zawsze będzie oplatać go swoimi mackami, zagarniając w całości dla siebie. Chociaż w sumie ta informacja tłumaczyłaby fakt, że ojciec się ze mną skontaktował. Ciekawiło mnie, jak doszło do rozstania, co musiało się stać, że ojciec przejrzał na oczy. Prędzej mogłam zrozumieć sytuację, że to żona go rzuciła. Zawsze był dla niej zabawką, ale o tym zdawałam się wiedzieć tylko ja.

– Bardzo chciałbym ci wyjaśnić tak wiele spraw... – odezwał się po dłuższej chwili.

Już się wyrывałam, by powiedzieć, że za jakiś czas możemy się spotkać. Nagromadzone przez lata pokłady żalu, wbrew temu, co jeszcze niedawno na ten temat myślałam, teraz topniały we mnie niczym lodowce w konfrontacji z wysoką temperaturą. Już zamierzałam się zgodzić, gdy kolejne słowa ojca zbiły mnie z tropu.

– Pewnie uznasz to za staroświeckie, ale przez te wszystkie lata, kiedy nie było cię przy mnie, pisałem do ciebie listy. Jest tego cała masa i... I bardzo mi zależy, żebyś je przeczytała. Może wówczas łatwiej ci przyjdzie mnie zrozumieć. Może wtedy mi wybaczysz.

Tego się nie spodziewałam. Listy? Ojciec pisał do mnie listy? Wydało mi się to dziwne i tak bardzo do niego niepasujące. Nigdy wcześniej nie widziałam go z długopisem, kreślącego na kartce zdania. Nie znoślił pisać.

Cieszył się, że to po mamie odziedziczyłam lekkie pióro, bo on, jak często mawiał, w szkole z trudem potrafił sklecić nawet marne wypracowanie. Zapamiętałam, że często rozwiązywał za to różne trudne zadania i łamigłówki, które dla mnie były czarną magią. Jemu zaś, jako nauczycielowi fizyki, człowiekowi o ścisłym umyśle, wydawały się drobnostką. W pewnym sensie poczułam się zawiedziona, że teraz, gdy zdecydował się ze mną skontaktować – tym bardziej że zbliżały się święta – ojciec nie zaproponował spotkania.

– Chciałbym ci je przesłać – rzekł, nie doczekawszy się z mojej strony żadnej reakcji. – Czy mogłabyś mi podać swój adres...

– Nie ma mnie teraz w Łodzi i nie wiem, kiedy będę – weszłam mu w słowo, choć na dobrą sprawę nie byłam pewna, czy ojciec wie, gdzie ostatnio mieszkałam. Znał tylko mój numer telefonu, bo ten od lat się nie zmienił.

Jego milczenie sugerowało, że nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

– Ale jeśli tak bardzo ci zależy, mogę podać ci adres miejsca, w którym się zatrzymałam. – Zdecydowałam, że przeczytam te wiadomości, cokolwiek by w nich było. Stwierdziłam, że czas ma teraz dla mnie duże znaczenie. Dowiedziawszy się bowiem o listach, w których ojciec najpewniej chciał się przede mną wypowiadać, pragnęłam jak najszybciej poznać ich treść.

– Dobrze, zanotuję.

Uznałam, że bezpieczniej będzie, gdy przesyłka trafi do Złotego Serca. Tam zawsze ktoś był i mógł ją odebrać, a istniało prawdopodobieństwo, że w moim tymczasowo wynajmowanym mieszkaniu listonosz mnie nie zastanie.

– Hmm, Bukowa Góra, to chyba gdzieś na południu...? – skonstatował, zapisawszy podane przeze mnie informacje.

– Tak, trzydzieści kilometrów za Krakowem – wyjaśniłam.

– Co tam robisz? – spytał nieśmiało, być może uznawszy to za zbyt dużą nachalność. Wszak nie rozmawialiśmy od kilku lat i miałam wrażenie, że byle słowo może wywołać lawinę wyrzutów i żalu, które potem trudno będzie zatrzymać.

– Mam tutaj zobowiązania zawodowe – rzekłam.

Nagle zapragnęłam, żeby ojciec zapytał, jak się czuję i jak radziłam sobie przez te wszystkie samotne lata, ale on milczał, a jeśli już coś powiedział, wyglądało to tak, jakby zmierzał do mnie okrężną drogą. Domyślałam się, że przez swoje poczucie winy trudno mu mówić o emocjach. Pewnie stąd pomysł listów, wydawałoby się, że w dzisiejszych czasach wręcz archaicznej formy komunikacji. Zresztą ja też chciałam zapytać go o tak wiele spraw, ale wewnętrzny opór i nieśmiałość zawiązały mi język. Dlatego tak bardzo się zdziwiłam, kiedy odłożywszy później telefon, spostrzegłam, że rozmawialiśmy prawie pół godziny. Trudno mi było przypomnieć sobie cokolwiek z tej bezładnej, a mimo to nasyczonej emocjami plątaniny zdań.

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Chodząc z kąta w kąt, próbowałam odtworzyć w głowie wszystko, co usłyszałam od ojca. Najbardziej nurtowało mnie pytanie, dlaczego na razie nie chciał się ze mną spotkać. Byłam wręcz zawiedziona, że tego nie zaproponował. Zwłaszcza teraz, gdy przełamalam wewnętrzną barierę i oswoiłam jego nagłe pojawienie się. W obecnej sytuacji jeszcze bardziej ciekawiła mnie zawartość listów.

Gdy wyszłam z mieszkania, dochodziła osiemnasta i na dobrą sprawę nie miałam pewności, czy dotarłszy do Złotego Serca, zastanę jeszcze Rozalię. Na szczęście przez okno zauważyłam rześkie oświetlone wnętrza, w którym wciąż przebywali nieliczni klienci. Przywitałam się z krzątającą się przy jednym ze stolików Agnieszką, a dopiero później

dostrzegłam kucającą za kontuarem właścicielkę. W ciągu kwadransa kawiarnia opustoszała i szybko uporawszy się, z moją pomocą, z porządkami, usiadłyśmy jeszcze na chwilę, żeby pogawędzić. Mimo mojego nieśmiałego protestu Rozalia przygotowała dla mnie moją ulubioną czekoladę, a dla siebie i Agnieszki herbatę.

Wreszcie mogłam przekazać, że z radością przyjmuję propozycję spędzenia świąt z jej rodziną. Nie sądziłam, że starszą panią aż tak ucieszy ta nowina. Zaczęła opowiadać mi, jak wygląda u nich wigilia, i roztoczyła przede mną wizję tegorocznego Bożego Narodzenia, planując, co ugotuje i upiecze. Zaproponowałam swoją pomoc, twierdząc, że bezpośrednie włączenie w przygotowania będzie dla mnie wielką przyjemnością. I choć początkowo Rozalia się temu sprzeciwiła, argumentując, że jestem ich gościem, mój entuzjizm najwyraźniej ją przekonał, bo potem sama doszła do wniosku, że czas w kuchni też może być miły i chętnie znajdzie dla mnie jakieś obowiązki.

Wokół nas już teraz panował bożonarodzeniowy nastrój za sprawą kolorowych światełek mrugających na stojącej w rogu pomieszczenia choince, gustownych ozdób rozmieszczonych tu i ówdzie dla podkreślenia świątecznego klimatu oraz rozjaśnionego stojącą na kontuarze świecą w szklanej latarence lekkiego półmroku, w którym na ścianach odbijały się nasze cienie. Coraz bardziej czułam, że Gwiazdka tuż-tuż, i naprawdę się tym ekscytowałam. Byłam wdzięczna Rozalii za zaproszenie, dzięki któremu miałam szansę przeżyć takie święta, w jakich nie było mi dane uczestniczyć od bardzo dawna.

Naszej wymianie zdań pewnie nie byłoby końca, gdyby Agnieszka nie musiała pędzić na autobus. Wychodząc, zapobiegliwie uprzedziłam Rozalię, że niebawem na adres Złotego Serca ma dotrzeć do mnie przesyłka, i poprosiłam ją o odebranie. Wszystkie trzy pożegnałyśmy się

w doskonałych humorach, a kiedy z Agnieszką zamknęliśmy drzwi kawiarni, stwierdziłam, że odprowadzę ją na przystanek, dzięki czemu mogliśmy jeszcze przez chwilę ze sobą pobyc. Tak miło nam się rozmawiało, że trudno było się rozstać. Poza tym magiczny wieczór, skrzący się w blasku ulicznych latarni śnieg i rozgwieżdżone niebo, zapowiadające najpewniej mroźną noc, sprawiały, że bez końca chciało się chłonąć niezwykłą atmosferę grudniowego wieczoru.

Pomyślałam o telefonie od ojca i napisanych przez niego listach oraz kosztującej mnie wiele nerwów sytuacji w domu Maurycego i latami przechowywanej przez starszego pana niewysłanej korespondencji, a w zasadzie jednym, najważniejszym liście, który jako pierwszy niebawem miał trafić do jego córki. Doszłam do wniosku, że to nieprawdopodobna analogia. Maurycy przez lata pisał swoje wiadomości, podczas gdy być może w tym samym czasie w innym miejscu ktoś inny z mozołem starał się przekazać uczucia w podobny sposób. Tym kimś był mój ojciec, którego na pewno nie podejrzewałabym o taką formę komunikacji.

– Ooo holender! – usłyszałam najpierw podniesiony głos Agnieszki, a dopiero potem zauważyłam tył odjeżdżającego autobusu. Właśnie dochodziłyśmy do przystanku i domyślałam się, że na kolejny pewnie trzeba będzie trochę poczekać. – Następny dopiero za pół godziny – potwierdziła moje przypuszczenia Agnieszka.

– Słuchaj, może wrócimy do centrum i cię podwiozę – zaproponowałam, choć nie byłam pewna, czy samochód, którym nie jeździłam od kilku dni, odpali. Tym bardziej że ostatnio był spory mróz. Szybko wpadłam jednak na inny, jak mi się zdawało, lepszy pomysł. – A może pójdziemy do mnie?

Agnieszka spojrzała na mnie tak, jakby rozważała taką możliwość.

– Dziękuję, Soniu. W innych okolicznościach chętnie skorzystałabym z twojej propozycji, ale dziś muszę jak najszybciej wracać do domu. I tak spędziłam trochę więcej czasu w kawiarni, a nie chcę zbyt długo zostawiać mojego syna z mamą. Świetnie się dogadują. Jarek to już nastolatek, ma czternaście lat i jest bardzo samodzielny, ale powinnam poświęcać mu więcej czasu – oznajmiła Agnieszka z przejęciem.

– W takim razie zaczekamy. Może przejdziemy się w stronę Rynku? Po pierwsze, będzie nam o wiele cieplej, a po drugie, tam jest teraz wprost magicznie.

– Świetny pomysł, mimo zimna mamy naprawdę piękny wieczór – zgodziła się Agnieszka. – Musimy tylko wrócić tu nieco przed czasem, żeby znów mi nie uciekł autobus. Niestety następny odjeżdża później dopiero za godzinę.

Agnieszka mieszkała kilka kilometrów za Bukową Górą i czasami przy ładnej pogodzie do pracy chodziła na piechotę, lecz po zmroku trudniej i na pewno niezbyt bezpiecznie było przemieszczać się drogą bez chodnika. Ruszyłyśmy dość zwawo, lecz po kilku minutach, gdy doszłyśmy do zabytkowej bramy miasta, zwolniłyśmy kroku. Miałyśmy iść w stronę miejskiego placu, ale nagle skręciłyśmy w boczny, biegnący wokół centrum trakt, wiosną i latem podobno mieniący się bujną zielenią drzew, teraz zaś migoczący bielą ich zaśnieżonych czap. Ciągający się z prawej strony fragment muru, pozostałości dawnej fortyfikacji, osłaniał nas przed wiatrem, dlatego nie odczuwałyśmy aż tak dotkliwie minusowej temperatury.

– Soniu... – W pewnym momencie Agnieszka przystanęła i chwyciła mnie za rękę. – Chciałabym cię o coś zapytać – dodała nieco zmieszana.

Po przejętym wyrazie twarzy dziewczyny domyślałam się, że temat, który postanowiła poruszyć, prawdopodobnie nie będzie łatwy. Uśmiechem

dodałam jej więc odwagi.

– Pani Rozalia mówiła, że jesteś dziennikarką i piszesz różne artykuły... – Oczekując potwierdzenia, zatrzymała na mnie pytające spojrzenie. A kiedy skinęłam głową, ciągnęła dalej: – Bardzo mi zależy, żebyś opisała moją historię.

– Jeśli tylko zaufasz mi na tyle, by opowiedzieć mi o sobie, zrobię to z przyjemnością – zapewniłam.

– Dobrze, ja... długo się wahałam, czy powinnam o tym mówić, ale... Skoro się odważyłam stanąć twarzą w twarz z demonami przeszłości, to będzie chyba kolejny właściwy krok.

– Możesz przyjść do mnie, w ciszy i z dala od znajomych twarzy pewnie będzie ci łatwiej zebrać myśli – zasugerowałam.

– Nie wiem, nie chciałabym robić z tego jakiegoś specjalnego wydarzenia. Moja historia, choć skomplikowana, nie jest znów aż tak długa, by poświęcać temu mnóstwo czasu. Chodzi o to, że ktoś kiedyś, gdy byłam jeszcze bardzo młoda i nie umiałam się przed tym obronić, bardzo mnie skrzywdził. Wtedy przed tym uciekłam, bo nie potrafiłam inaczej, lecz po latach przeszłość wróciła i musiałam spojrzeć jej w oczy. Na szczęście na mojej drodze stanęła wówczas Laura, narzeczona syna państwa Witkowskich. To dzięki niej odważyłam się zrobić porządek z moim życiem, a efektem tego są kolejne zmiany.

Patrzyłam na Agnieszkę z coraz większą ciekawością i rosnącym z każdą chwilą napięciem, ale dziewczyna, zanim znów zaczęła mówić, najwyraźniej chciała poukładać myśli albo zwyczajnie musiała zebrać się na odwagę, bo po chwili ruszyłyśmy w milczeniu i tylko co jakiś czas zerkałyśmy na siebie. Kiedy już myślałam, że Agnieszka nie zechce wrócić do trudnego tematu, nagle się odezwała.

– Jako nastolatka w liceum zostałam wykorzystana przez nauczyciela plastyki. Efektem tego była moja ciąża. Zastraszył mnie i nikomu się wówczas do tego nie przyznałam. Mamie powiedziałam, że ojcem Jarka jest chłopak, z którym kiedyś przypadkowo się spotkałam. Nie uwierzyła mi, ale też nie miała podstaw, by podejrzewać, co naprawdę się stało. Ten człowiek był bardzo szanowanym obywatelem miasteczka, miał żonę i nastoletnie dzieci, a ja świącie wierzyłam, że to moja wina, że nie powinnam w ogóle na niego patrzeć. Tymczasem prawda jest taka, że mnie odurzył, by dostać to, czego chciał. Sądziłam, że sobie z tym poradzę, a dziecko, choć wcale go nie chciałam, sprawi, że zapomnę o tym, co się stało. Nic bardziej mylnego. Narodziny syna jeszcze spotęgowały moje lęki. Doszło do tego, że znienawidziłam nie tylko jego, ale też siebie. A potem uciekłam... Któregoś dnia po prostu wyszłam z domu i nie wracałam przez kilka lat. Mama przejęła na siebie opiekę nad Jarkiem. Było jej bardzo trudno, ale ja... ja wtedy nie potrafiłam inaczej... – Agnieszce załamał się głos.

To wyznanie wstrząsnęło mną do żywego. Na pewno nie byłam na nie gotowa. Obiło mi się o uszy, że Agnieszka jest samotną matką i szczerze mówiąc, spodziewałam się raczej historii o tym, jak to młoda dziewczyna zakochała się w niewłaściwym chłopaku, czego efektem okazała się niechciana ciąża. To, co usłyszałam, bardzo głęboko mnie poruszyło. Gdy dziewczyna zamilkła, przez dłuższą chwilę nie wiedziałam nawet, co powiedzieć, tylko machinalnie chwyciłam ją za rękę. A wtedy nieoczekiwanie do mnie przylgnęła i zaczęła cichutko szlochać.

– Przepraszam – wymamrotała, kiedy potem się ode mnie odsunęła. Otarła łzy rękawem kurtki, starając się opanować. – Choć od tamtego czasu minęło już wiele lat i zwykle teraz raczej na chłodno potrafię to analizować, zdarza się, że te wspomnienia znów mnie dotykają.

– Agnieszko, przeszłaś coś niewyobrażalnie trudnego. To naturalnie, że w jakiś sposób wciąż to przeżywasz – powiedziałam wreszcie, nie starając się nawet ukryć wzburzenia. – Nie mieści mi się to w głowie.

Owszem, nie byłam naiwna, zdawałam sobie sprawę, na jakim świecie żyję. Słyszałam nieraz podobne historie, lecz nie mogłam się uodpornić na ludzką krzywdę. Zawsze bardzo mocno przeżywałam usłyszane dramaty. Swego czasu nawet się zastanawiałam, czy rzeczywiście wybrałam dobry zawód, bo niestety nie umiałam pisać na sucho, bez emocji. Nie potrafiłam oddać jedynie faktów, nie dotknąwszy głębi sprawy. Nieraz próbowałam zachować stosowny dystans do różnych tematów, ale potem zwykle i tak odzywała się moja wrażliwość.

– A ten mężczyzna, skoro mówisz, że jest stąd... Czy on w jakiś sposób chciał ci ostatnio zaszkodzić? – spytałam, bo ta kwestia nie dawała mi spokoju. Z opowieści Agnieszki wynikało bowiem, że gdy była młodą dziewczyną, nauczyciel ją zastraszył. Ale przecież to zrozumiałe, że po powrocie, zdecydowawszy się rozprawić z przeszłością, Agnieszka musiała zmierzyć się także z człowiekiem, który ją skrzywdził.

– Nie może, jest w więzieniu – wydukała z pewnym onieśmieleniem.

– Rozumiem, że za to, co ci zrobił, został sprawiedliwie ukarany...

– Tak. – Agnieszka głęboko westchnęła. – Chociaż nie od razu odważyłam się stanąć przeciw niemu. Przez pierwszy rok po powrocie uczyłam się od nowa żyć, funkcjonować w rodzinie i społeczeństwie. Uczyłam się Jareczka, bo niestety porzucenie przez matkę miało na niego bardzo destrukcyjny wpływ. Wciąż jesteśmy pod opieką psychologa. Bałam się stawić czoło Sądeckiemu, choć wiele osób, które znały temat, namawiały mnie, bym starała się o alimenty na syna. Godziny rozmów z Laurą sprawiły, że zaczęłam na wszystko patrzeć inaczej. W którymś momencie dotarło do mnie, że jestem ofiarą i powinnam się domagać

zadośćuczynienia. Nie było łatwo mnie do tego przekonać. Cholernie się bałam znów go zobaczyć i ruszyć z tą sprawą, ale Błażej skontaktował mnie z panią adwokat, która mi to ułatwiła. Przez pierwsze miesiące po decyzji, że oskarżę go o gwałt, nie musiałam go widzieć. Na szczęście nie ośmielił się tutaj przyjść. A potem, czego wcześniej nie przewidziałam, wszystko obróciło się na moją korzyść. Zaczęły się pojawiać kobiety, które w młodym wieku też doświadczyły jakiejś formy przemocy z jego strony. Ostatecznie liczba zeznań okazała się tak duża, że podobno przez kilka lat nie wyjdzie na wolność. Bałam się, że mieszkańcy Bukowej Góry mnie za to zlinczują, ten człowiek przez długie lata cieszył się przecież nieposzlakowaną opinią, ale zamiast wrogości dostałam pomoc i masę wsparcia. Bywają momenty, że trudno mi uwierzyć w taki finał. Przez wiele lat myślałam, że nie dość, że straciłam syna i skrzywdziłam matkę, to jeszcze do końca życia przyjdzie mi się mierzyć z piętnem ofiary. Każdy mój dzień naznaczony był wtedy nieustannym strachem. Teraz wierzę w sprawiedliwość.

Opowieść Agnieszki tak bardzo mnie wciągnęła, że ani się obejrzałyśmy, a wróciłyśmy na przystanek. Do przyjazdu autobusu pozostało jeszcze dziesięć minut, ale stanąwszy przy ławce, postanowiłyśmy już zaczekać. Agnieszka wydała mi się o wiele spokojniejsza. Gdy jeszcze raz, teraz po usłyszeniu całej historii, obiecałam jej, że na pewno to kiedyś opiszę, uśmiechnęła się lekko.

– Dziękuję – powiedziała z wyraźną ulgą głose. – To kolejny etap tego, co kiedyś sobie postanowiłam. Chciałabym, żeby dzięki twojemu artykułowi poszkodowane osoby ośmieliły się zaważczyć o sprawiedliwość i nie bały się ujawnić sprawcy swojego nieszczęścia. Teraz wiem, że to jedyne skuteczne wyjście zapobiegające temu, by taki człowiek już nigdy nikogo nie skrzywdził. Tylko wtedy można doznać oczyszczenia, odzyskać

spokój i zacząć normalnie żyć. Poza tym przekonałam się też, jak ważne jest wsparcie otoczenia w takiej sytuacji. Nie można się bać. Dzięki Laurze i ludziom, którzy stanęli na mojej drodze, teraz jestem silniejsza, ale wiem, jak to jest być kłębkim nerwów i nie wierzyć w lepsze jutro.

Zanim nadjechał autobus, Agnieszka dokładniej opowiedziała mi o wcześniejszych umizgach Sądeckiego. Chociaż starała się go unikać, wciąż szukał sposobności, by znaleźć się z nią sam na sam. A to wpadał na nią na przerwie na szkolnym korytarzu, to znów na lekcjach plastyki nieoczekiwanie kładł rękę na jej dłoni. Ciągłe dawał jej czytelne sygnały, że jest nią zainteresowany. Ale choć dziewczyna spostrzegła, że zachowanie nauczyciela nie jest odpowiednie, nie umiała przewidzieć konsekwencji.

Dotarwszy później do mieszkania, długo nie mogłam ochłonąć, dlatego od razu włączyłam laptop i otworzywszy nowy plik, zaczęłam opisywać historię Agnieszki. Gdy skończyłam, dochodziła północ, a ta sprawa nadal siedziała mi w głowie. Opowieść kolejnej mieszkanki Bukowej Góry, która tak mocno mnie poruszyła. Przyjechałam poznać lokalną opowieść, a nieoczekiwanie oprócz ciekawej gawędy Witkowskich co rusz mierzyłam się z historiami skrzywdzonych kobiet. Kobiet, którym udało się spojrzeć w oczy własnym demonom i rozpocząć nowe życie. To było budujące. Wiedziałam już, że na pewno nie zostawię tych tematów. Zresztą obiecałam to Agnieszce, nie mogłam jej zawieść. Jakkolwiek górnolotnie by to zabrzmiało, świat musiał się dowiedzieć o losie skrzywdzonej dziewczyny z niewielkiej małopolskiej miejscowości. Miałam nadzieję, że także Laura i Hania zgodzą się, bym opisała ich życie.



Od rana przeżywałam spotkanie z Bartoszem. Wczoraj miałam do tego inny stosunek, zupełnie się tym nie przejmowałam. Dziś głupio się czułam,

myśląc, że za kilka godzin zobaczę się z właściwie obcym mężczyzną. „A co, jeśli nie będziemy mieli ze sobą o czym rozmawiać?”, zastanawiałam się, siedząc na kanapie i zjadając kanapki. Pytanie było zasadne, zwłaszcza że początek naszej znajomości był wyjątkowo nieciekawym. Wolałam tego dłużej nie roztrząsać, bo wątpliwości z tym związane obsiadały mnie niczym komary w upalną noc. Dlatego szybko wzięłam się w garść i zaraz po śniadaniu wyszłam z mieszkania.

Z Bartoszem umówiliśmy się dopiero na szesnastą w Złotym Sercu. Wcześniej wydawało mi się to dobrym pomysłem – w znajomym otoczeniu, z czuwającymi nieopodal Witkowskimi, miałam pewność, że będę się czuła komfortowo. Niemniej teraz pomyślałam, że może trzeba było pójść w inne, bardziej kameralne miejsce. Rozalia i Gabriel wiedzieli o naszym spotkaniu, podejrzewałam więc, że mogą nam się przyglądać. Czy świadomość, że jesteśmy obserwowani, nie stanie się przeszkodą w rozmowie?

Mimo licznych pomysłów na zorganizowanie sobie czasu trudno było mi konstruktywnie wypełnić kolejne godziny dzielące mnie od spotkania z Bartoszem. Błąkałam się po miasteczku bez wyraźnego celu i pomysłu. Do szesnastej pozostały jeszcze dwie godziny, a że pogoda wyjątkowo dopisywała, stwierdziłam, że zdążę jeszcze wybrać się na krótki spacer. Pójście w odwiedziny do Laury wydawało mi się świetnym pomysłem. Rozmowa z koleżanką na pewno dobrze by mi zrobiła. Niestety szybko się przekonałam, że nie będzie mi dane dziś się z nią zobaczyć. A na pewno nie teraz. Na podjeździe nie zauważyłam bowiem jej samochodu, a kiedy mimo to przekornie zapukałam do drzwi, chcąc się przekonać, czy rzeczywiście nikogo nie ma w domu, odpowiedziała mi głucha cisza. Jak niepyszna ruszyłam z powrotem do furtki.

W pierwszej chwili chciałam wrócić do głównej drogi, skąd wypadało już powędrować do miasteczka, ale zmieniłam zamiar i skręciłam w kierunku jeziora. Mimo białych łąk ścieżka okazała się możliwa do przejścia. Poza tym na świeżym śniegu zauważyłam ślady butów. Pomyślałam nawet, że być może zaraz spotkam się z Maurycym. I rzeczywiście, wszedłszy na pagórek, dostrzegłam zbliżającą się do kapliczki postać. Zatrzymałam się i wyteżywszy wzrok, starałam się zobaczyć coś więcej, lecz z tej odległości po zarysie sylwetki mogłam jedynie stwierdzić, że to mężczyzna. Raptowny podmuch wiatru zmusił mnie do dalszej wędrówki. Naciągnęłam czapkę niemal na nos, poprawiłam starannie zawinięty kilka razy wokół szyi długi szalik i tym razem z werwą pospieszyłam w dół wzniesienia.

Nagle na ścieżce zauważyłam odbijający się od przejrzystej bieli niewielki ciemny punkt. Pochyliłam się, żeby sprawdzić, co leży w śniegu. Jakże się zdziwiłam, widząc pęk kluczy. Na zasadzie skojarzenia moje myśli powędrowały najpierw do Maurycego, lecz przyjrząwszy się znalezisku, szybko stwierdziłam, że klucze raczej nie należą do niego. Chociaż kto wie. Wsunęłam je do kieszeni kurtki i wyruszyłam dalej. Kiedy się zbliżyłam do kapliczki, stojący obok niej mężczyzna w pewnym momencie mnie dostrzegł. W niczym niezmaconej bieli łatwiej dało się wszystko zauważyć. Krótko patrzył w moją stronę, ale później zwrócił się w kierunku kapliczki. Byłam pewna, że klucze należą do niego, dlatego nie zdecydowałam się zawrócić, choć wcześniej taka myśl pojawiła mi się w głowie. Stanąwszy na tyle blisko, by się upewnić, że nie mam do czynienia z Maurycym, ponieważ mężczyzna wydawał się stosunkowo młody, chciałam po prostu wyjaśnić sprawę z kluczami.

- Dzień dobry – przywitałam się, dochodząc na miejsce.
- Dzień dobry – odparł mężczyzna, zwróciwszy się do mnie.

Patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana, ponieważ pod wełnianą, nasuniętą głęboko na czoło czapką i szalem zasłaniającym dół twarzy mężczyzna wydał mi się zadziwiająco znajomy. Zresztą barwa jego głosu też o czymś mi przypominała. Nie wiem, czy on też odniósł podobne wrażenie, ale przyglądał mi się równie intensywnie.

– Czy my się przypadkiem nie znamy? – W pewnej chwili kąciki jego ust uniosły się w szelmowskim uśmiechu, a wtedy coś mnie tknęło.

– Bartosz... – rzekłam bez pewności, bo w zasadzie poznałam tylko jego spojrzenie.

Ciemne oczy mężczyzny patrzyły teraz na mnie z sympatią, ale też i zdziwieniem. Pewnie się zastanawiał, co robię w tym miejscu ukrytym pośród zasypanych śniegiem pól. Tak jak ja się zastanawiałam, co on tutaj robi. Zwłaszcza że, jak mi się wydawało, poprzednio był w Bukowej Górze jedynie przejazdem. Skoro jednak trafił na to odludzie, znaczyło to, że musiał się doskonale orientować w terenie.

– Sonia. – Wyraźnie się ucieszył.

Zanim dotarła do mnie przedziwność tej sytuacji, w pierwszym odruchu ja też się ucieszyłam. Mieliśmy się dziś spotkać, ale na pewno nie w tym miejscu. Tymczasem się okazało, że to, nad czym tak dumiałam i czego się obawiałam, było bez znaczenia. Niepotrzebnie zadręczałam się scenariuszem rzekomych wydarzeń, bo los miał dla mnie całkiem inne plany. W jednej chwili poczułam się niezręcznie, tym bardziej że to działało w obie strony. Zapanowało między nami krępujące milczenie. Odruchowo włożyłam rękę do kieszeni i wyjęłam niedawne znalezisko.

– Czy to przypadkiem nie należy do ciebie? – Uniosłam klucze wyżej, by Bartosz mógł się im lepiej przyjrzeć.

Spojrzał na mnie zdezorientowany, z mieszaniną przestachu i niedowierzania.

– Skąd je masz? – spytał, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Leżały przy ścieżce w śniegu, kawałek dalej. – Automatycznie odwróciłam się i wskazałam ręką w tamtym kierunku. – Proszę. – Wsunęłam klucze w dłoń wciąż oszołomionego Bartosza.

– Dziękuję! – rzekł dopiero po dłuższej chwili. – Nie mogę w to uwierzyć, jak zresztą w to, że cię tu spotkałem.

– Rzeczywiście dziwnie to wszystko wyszło – przyznałam.

– Jak ja ci się odwdzięczę. – Był wyraźnie przejęty, ale jego głos brzmiał już spokojniej.

– Po prostu zjawiłam się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie – rzekłam na pozór lekko, bo też nadal byłam pod wrażeniem tego zbiegu okoliczności. – Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale widocznie łatwo tu stracić głowę, bo już po raz drugi znalazłam tu klucze – dodałam.

Bartosz popatrzył na mnie z ciekawością, lecz nie odniósł się do tych słów.

– Miejsce jest naprawdę wyjątkowe – rzekł z powagą i w zamyśleniu popatrzył na podniszczoną figurkę Maryi, przysłoniętą z jednej strony stojącymi w wazonie jarmarcznymi kwiatkami. Z boku w szklanym lampionie jak zwykle migotał płomyk wypalanej do połowy świecy. Oboje zatrzymaliśmy na nim wzrok, a później jednocześnie spojrzeliśmy na siebie.

– Skoro się spotkaliśmy, to może wybierzemy się wcześniej do tej kawiarni? – zaproponował Bartosz. – Nie wiem jak ty, ale ja mam wrażenie, że zaraz zamarznię na kość. – Na potwierdzenie swoich słów zrobił zabawną minę i zadygotał.

– Noo ciepło to mi nie jest. – Uśmiechnęłam się.

– Żałuję, że zostawiłem samochód w miasteczku, bo teraz czeka nas długa droga. – Bartosz, mówiąc to, patrzył na mnie pytająco, bo przecież

nie wiedział, jak ja tutaj dotarłam.

– Nie jest tak daleko – oznajmiłam, tym samym przesądając o sposobie powrotu.

Odeszliśmy od kapliczki i ścieżką zaczęliśmy się wspinać na pagórek. Przechodząc obok domu Laury, tym razem zauważyłam zaparkowane tuż za ogrodzeniem auto, ale teraz nie miało to znaczenia. Z chwili na chwilę aura się zmieniała. Najpierw zaszło słońce, a gdy się zbliżaliśmy do bramy miasteczka, zaczął prószyć drobny śnieg, który w ciągu kilku minut zamienił się w prawdziwą zawieruchę. Naturalnie przyspieszyliśmy więc kroku i ostatni odcinek do Złotego Serca pokonaliśmy w kilku susach. W czasie wędrówki mało rozmawialiśmy, a jeśli już, to na jakieś bezpieczne tematy typu pogoda, zbliżające się święta i uroki tutejszego miasteczka. Jakoś nie mogłam się ośmielić, by zadać Bartoszowi bardziej osobiste pytania, a on, zapewne wyczuwając moją rezerwę, też zachowywał się powściągliwie. Miałam nadzieję, że ta sytuacja się zmieni, bo w zasadzie dowiedziałam się o nim tylko tyle, że mieszka w Krakowie. Ale pomimo pewnego rodzaju onieśmienia całkiem dobrze się przy nim czułam. Gdy weszliśmy do kawiarni, od razu ściągnęliśmy na siebie wzrok Rozalii. Także Agnieszka przyglądała nam się z ciekawością.

– Dzień dobry – rzuciliśmy oboje od drzwi.

Wszystkie stoliki były akurat zajęte, dlatego podeszliśmy do kontuaru.

Zdjęłam czapkę i poprawiłam rozwichrzone włosy, a potem odwinęłam szalik, rozpięłam kurtkę, z pewnym zażenowaniem zauważając, że mam na sobie gruby, zmechacony w kilku miejscach sweter „do zadań specjalnych”, jak go określałam. Wybierając się na spacer, włożyłam go, bo był najcieplejszy ze wszystkich moich ubrań i wiedziałam, że w nim nie zmarznę. Skąd mogłam wiedzieć, że sprawy przybiorą taki obrót. Po krótkiej wędrówce planowałam przecież wrócić do mieszkania i się

przebrać. Nawet przygotowałam już na tę okazję niezobowiązujący strój: elegancki sweterek z delikatnego kaszmiru i wełniane spodnie. Dobrze, że przynajmniej nie zdecydowałam się dzisiaj na stylizację *à la* Eskimos. Mimo wszystko wyglądałam jak obdartus.

– Tam chyba zaraz zwolni się stolik. – Głos Bartosza wytrącił mnie z zamyślenia. – Pójdę zająć.

Nim się zorientowałam, ruszył w stronę przytulnego kącika nieopodal cudownie udekorowanej choinki. Powiodłam za nim wzrokiem, myśląc z ulgą, że przynajmniej trafiło nam się dogodne miejsce. Na pewno nie będziemy narażeni na spojrzenia innych osób. Zaraz jednak zatrzymałam wzrok na wpatrującej się we mnie znacząco Rozalii.

– To jest...

– Tak, to Bartosz Chmielewski – wyjaśniłam, ubiegając jej pytanie.

– Ten raptus? – Agnieszka się podśmiewała, schowana za ścianą.

– Właśnie on – przyznałam skrepowana, ponieważ działo się to, czego się obawiałam. Bartosz i ja skupiliśmy na sobie uwagę. Nic dziwnego, skoro z naszym poznaniem wiązała się taka dziwaczna historia.

– No to pędź do niego – zachęciła Rozalia z wesołą miną. – Tylko uważajcie przy wyborze deserów.

Przewróciłam oczami i przy akompaniamencie śmiechu obu kobiet ruszyłam do mojego znajomego. Bartosz zdążył już zdjąć wierzchnią odzież i zaraz szarmancko zabrał ode mnie kurtkę z wciśniętymi w jeden z jej rękawów szalikiem i czapką, po czym odwiesił na stojący nieopodal drewniany wieszak. W tym czasie zajęłam miejsce i przyglądając się ostrożnie Bartoszowi, czekałam, aż wróci. Niestety krótkie oględziny upewniły mnie w tym, że znajomy prezentuje się znacznie lepiej ode mnie. Miał na sobie ciemne dżinsy i elegancki szary sweter, nienachalnie opinający się na jego dobrze, lecz nieprzesadnie zbudowanym ciele.

Krótkie brązowe włosy po zdjęciu czapki wyglądały tak, jakby dopiero co je ułożył. Nie dało się ukryć, że Błażej miał w sobie sporo magnetyzmu. Zachowywał się zupełnie naturalnie, a w jakiś szczególny sposób zwracał na siebie uwagę. Gdy usiadł naprzeciw mnie, wbiłam wzrok w kartę deserów.

– Może coś mi polecisz – zaproponował, by wreszcie przerwać panujące między nami skrępowanie.

– Nie boisz się ryzykować? – zażartowałam mimo napięcia.

– Lubię ryzyko – odparł ni to żartobliwie, ni poważnie.

Ostatecznie oboje zdecydowaliśmy się na pomarańczową czekoladę z imbirem i mango. W recepturze nie było orzechów, ale zamawiając, musiałam się co do tego upewnić. Rozalia przyjęła moje wątpliwości z poważnym wyrazem twarzy, ale i tak zauważyłam, że chciało jej się śmiać. Nurtowało mnie, dlaczego Bartosz wybrał się do błękitnej kapliczki, wszak nie miała ona jakiejś szczególnej wartości zabytkowej i nawet większość mieszkańców nie przypisywała temu miejscu specjalnego znaczenia. Nie wiem dlaczego, ale czułam jakiś dziwny opór, by zadać to z pozoru zwykłe pytanie.

– Mieszkaś w Bukowej Górze? – zagaił wreszcie Bartosz, chociaż wydawało mi się, że wcześniej już coś o tym wspomniałam, i upiwszy czekolady, przybrał błogi wyraz twarzy, mrucząc: – Nieziemska...

– O tak, też lubię ten smak – potwierdziłam, a potem wyjaśniłam: – Nie jestem stąd, przyjechałam tutaj tylko w celach zawodowych. Choć mogłabym powiedzieć, że właściwie spędzam tu urlop.

– Tylko pozazdrościć, praca, w której da się wypocząć – orzekł z uśmiechem. – A jeśli można zapytać, czym się zajmujesz?

– Pisaniem – rzuciłam oględnie, ale zauważywszy ściągnięte w namyśle brwi Bartosza, od razu wyjaśniłam: – Mieszkam Łodzi, a pracuję w redakcji

„Niezwykłości”. To taka lokalna gazeta, gdzie pisze się właściwie o wszystkim i o niczym.

Bartosz, zanim się odezwał, dość długo mi się przyglądał, a ja w tym czasie zastanawiałam się, co takiego powiedziałam, że znajomy patrzy na mnie w szczególności, nieco nieodgadniony sposób.

– Zatem wiele nas łączy, pracujemy w podobnej branży – odezwał się po dłuższej chwili. – Jestem redaktorem czasopisma „Kraków Kiedyś i Dziś”.

Znałam ten magazyn i często czytałam zamieszczone tam artykuły. Zwykle online. Moja gazeta w porównaniu z krakowskim wydawnictwem Bartosza była niczym okruszek przy okazałym bochnie chleba.

Nieoczekiwana informacja sprawiła, że rozmowa zaczęła się toczyć między nami lekko, a tematów wciąż przybywało. W międzyczasie zamówiliśmy jeszcze kawę, a ja z każdą kolejną chwilą przekonywałam się, że Bartosz jest naprawdę miłym człowiekiem. Wymienialiśmy się doświadczeniami, a nowy znajomy udzielił mi nawet kilku ważnych wskazówek. Nie dało się ukryć, że przewyższał mnie doświadczeniem, ale absolutnie nie pozwolił mi tego odczuć. Wyjątkowo dobrze się przy nim bawiłam i śmiało wyrażałam swoje zdanie. Kilka razy zahaczyliśmy też o tematy osobiste. Dowiedziałam się, że Bartosz uwielbia kryminały retro, należy do grupy wspinaczkowej i jest kinomaniakiem. To choć po części tłumaczyłoby, dlaczego wpadliśmy na siebie w Cinema City, bo dotąd uważałam nasze spotkanie za niesamowity zbieg okoliczności. Oczywiście nie obeszło się bez rozmowy na temat naszego poznania.

– Mam nadzieję, że trochę się zrehabilitowałam w twoich oczach i nie będziesz patrzeć już na mnie jak na psychopatę – rzekł Bartosz z szelmowskim uśmiechem i pociągnął łyk kawy.

– No wiesz! – Roześmiałam się. – Przecież nie patrzyłam na ciebie w ten sposób – zapewniłam go w równie żartobliwym tonie.

– Wiem, że zachowałem się jak cham, już to przerabialiśmy, ale naprawdę miałem wtedy kiepski dzień. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak wybuchnąłem, nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło – wyznał, tym razem poważnie.

– Mam nadzieję, że u ciebie już wszystko w porządku – rzekłam i spojrzałam na niego nieśmiało, badając, na ile zechce się przede mną otworzyć.

– Można powiedzieć, że kryzys chwilowo zażegnany – odparł oględnie, po czym zerknął na zegarek, co sugerowało, że być może chciałby już zakończyć spotkanie.

Jakiś kwadrans później zaczęliśmy się zbierać do wyjścia. Żegnając się z Rozalią, zapewniłam ją, że wieczorem pojawię się u nich na kolejny fragment opowieści. Coraz szybciej zbliżały się święta, a starsza pani zapowiedziała, że przed Wigilią powinnam poznać całą historię, bo w związku z tym czeka mnie jeszcze niespodzianka. O tej niespodziance wspomniała już wcześniej Laura, ale choć ciągnęłam ją za język, nie zamierzała niczego zdradzać. Zresztą skoro taka była część planu, może lepiej dowiedzieć się wszystkiego we właściwym czasie. Opuściwszy Złote Serce, skierowaliśmy się z Bartoszem w stronę Rynku, nieopodal którego zostawił na parkingu samochód.

– Dziękuję za cudowne spotkanie – powiedział Bartosz, gdy dotarliśmy na parking.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekłam z uśmiechem. – Świetnie mi się z tobą rozmawiało.

– Pojutrze znów będę w tych stronach, więc gdybyś miała ochotę, możemy pogadać – zaproponował.

– Pewnie, z miłą chęcią – przyznałam może trochę zbyt żywiołowo, lecz nic nie mogłam poradzić na to, że ucieszyła mnie propozycja Bartosza. Od dawna tak dobrze się nie bawiłam w czyimś towarzystwie. Miałam wrażenie, że nadajemy na tych samych falach. Aż trudno uwierzyć w koszmarny początek naszej znajomości i w to, co wówczas o nim myślałam. Teraz śmieszne wydawały mi się nawet moje rozważania, w których brałam pod uwagę możliwość wycofania się z dzisiejszego spotkania. Gdy Bartosz nieoczekiwanie się pochylił, by mnie uściskać, poczułam coś dziwnego i obawiałam się, że mógł wyczytać to w moim wzroku. Zresztą w chwili, gdy byliśmy tak blisko siebie, on też wydał mi się zmieszany. Dlatego szybko odsunęłam się od niego i pożegnałam. Potem, gdy odchodziłam, choć kusiło mnie strasznie, nie patrzyłam w jego stronę.

Po dziewiętnastej byłam już u Witkowskich. Rozalia zaprowadziła mnie do pokoju, gdzie zajęłam znajome miejsce na kanapie. Gabriel przywitał się ze mną, ale zaraz zniknął jeszcze w kuchni, gdzie coś pichcił. Kiedy tylko weszłam do przedpokoju, poczułam unoszący się w mieszkaniu przyjemny, słodki zapach.

– Jak się udało spotkanie? – zagaіła Rozalia. – Odniosłam wrażenie, że miło spędziliście czas.

– O tak, naprawdę fajnie nam się rozmawiało – odparłam z uśmiechem od ucha do ucha, a potem opowiedziałam o niespodziewanym spotkaniu pod kapliczką i naszym spacerze do miasteczka.

– To dziwne – rzekła Rozalia. – Wydawało mi się, że niewiele osób z okolicy wie o tej kapliczce. Znajduje się na odludziu i raczej rzadko kto tam się zapuszcza. Przyjezdni zwykle skupiają się na zwiedzaniu zabytków w obrębie murów miasteczka. – Nie zapytałaś go, dlaczego się tam wybrał?

– Właśnie nie. Na początku było mi niezręcznie, a potem rozmowa zeszła na inne tematy i wyleciało mi to z głowy – wyjaśniłam, żałując teraz, że tego nie zrobiłam.

Roztrząsanie sytuacji związanej z Bartoszem przerwał Gabriel, który wszedł do pokoju z górą naleśników na dużym talerzu.

– Małe co nieco, żeby nam się dobrze gawędziło. – Postawił talerz na stole, zachęcając, żebym się poczęstowała.

W tym czasie Rozalia rozlała do filiżanek herbatę i postawiła przede mną deserowy talerzyk. Kuszący zapach sprawił, że szybko skorzystałam z propozycji starszego pana, a naleśniki z domowej roboty malinową konfiturą okazały się tak pyszne, że zaraz skusiłam się na dokładkę.

Kilka minut później byliśmy już gotowi do wieczornej rozmowy. Tym razem obyło się bez przekomarzania i starsze małżeństwo od razu ustaliło, że dzisiaj rolę bajarki przejmie Rozalia. Swoją drogą odniosłam wrażenie, że aż się do tego paliła.

– Na czym myśmy to ostatnio skończyli? – Powiodła po nas wzrokiem.

– Marcin dostał w prezencie od Anieli obrazek ze swoim patronem – przypomniał Gabriel.

– I chyba wybierał się na roraty, żeby spotkać się z Sabiną – dodałam, coraz bardziej ciekawa dalszego ciągu historii.

– Taak – przyznała Rozalia z nieodgadnionym uśmiechem, co mogło znaczyć, że myślami jest już przy bohaterach historii. – Oj, działało się tam wtedy, działało... – dodała i oparłszy się wygodnie, zaczęła opowieść.

Opowieść Rozalii



Sabina z rozmodlonym wyrazem twarzy wpatrywała się w palącą się równym płomieniem roratnicę, lecz jej myśli ulatywały do stojącego nieopodal niej, pod chórem, Marcina. Dziewczyna nie mogła uwierzyć, że widzi go przed wejściem. Najpierw myślała, że jej się przywidziało, dlatego otworzyła szerzej oczy i przez pół minuty nie była w stanie oderwać od niego wzroku, a potem zerwała się niczym spłoszona łania, wpadła do kościoła i schowała się za grupkę osób, byle jak najdalej od młodego Hurnika. Bała się, że Marcin zobaczy w jej oczach to, czego niestety nie potrafiła ukryć.

Od wtorku, gdy nagle przyszedł do ich chaty, wciąż o nim myślała. Była na siebie zła za swoją niefrasobliwość, jakiś czas temu przyrzekła sobie bowiem, że wypędzi go ze swoich myśli i serca. Właściwie po części jej się to udało. Narzuciwszy sobie mnóstwo obowiązków, nie miała zbyt wiele czasu, by rozpamiętywać spotkanie z Marcinem. A te nieliczne wolne chwile całkiem miło spędzała z Wackiem Śmigłem. Oboje bardzo się polubili i Sabina się cieszyła, że czasami ma z kim się wybrać na zabawę czy spacer. Im lepiej się poznawali, tym bardziej ich do siebie ciągnęło. Niestety, nie było między nimi gorącego uczucia, na które niegdyś liczył Wacek. Sabina wiedziała o tym od początku, ale Wacek dopiero musiał się o tym przekonać. Stało się tak, że to, co chłopak uznawał za płomienną

miłość, przerodziło się w przyjaźń. A może zawsze nią było, tylko zapatrzony od wielu lat w Sabinę kawaler pomylił te dwa podobne, choć przecież różne uczucia.

Sabina lubiła te nabożeństwa, codziennie odliczając z radością dni do Bożego Narodzenia. Do oddalonego o kilka kilometrów kościoła chodzili liczną sąsiedzka grupą, a po drodze często dołączali do nich również mieszkańcy pobliskich miejscowości. Dziewczęta zwykle podśpiewywały, a chłopcy, niewinnie flirtując, rzucali w nie śnieżkami. Śmiechu było wtedy co niemiara i Sabina od razu przepędzała spod powiek resztki snu. Zresztą mroźne, świeże powietrze dodawało wigoru i nikt nie narzekał na zimno. Drogę oświetlano sobie lampionami z wetkniętymi w nie płonącymi świecami. Sabina dostała swoją latarnię od babci Anieli. A ta otrzymała ją jeszcze od swojej matuli. Dla Skowrońskich stanowiła ważną pamiątkę, dlatego szczególnie o nią dbano, rokrocznie odnawiając tworzące ją cieniutkie listewki i kolorowe witrażowe szybki. Świeca też była wyjątkowa, poświęcona przy okazji kolędy, miała wskazywać drogę do bożego miejsca, a w czasie wędrówki chronić przed niebezpieczeństwami. Zdarzało się bowiem, że radosna kompania, chcąc skrócić sobie drogę, na ile pozwolił na to śnieg, szła na przełaj przez las, gdzie o tej porze pojawiały się wygłodniałe wilki. W grupie nikt się jednak nie bał, że skończy jako ich przekąska.

Dziś, jak rzadko, zupełnie nieobecnej duchem Sabinie umknęły kolejne minuty mszy. Wychodząc później z kościoła, zadawała sobie pytanie, czy za chwilę znów ujrzy Marcina. Chciała i nie chciała go zobaczyć. Ogarniała ją wściekłość na myśl, że chłopak, dla którego nie mogło przestać bić żywiej jej serce, umizguje się do innej. Przynajmniej odetchnęła z ulgą, że w kościele nie zauważyła dziś Cysi. Pan Bóg zlitował się nad nią i oszczędził widoku dwojga obłudników. Wiedząc, że Marcin mieszka

w odległym Łobieszowie, zastanawiała się, co też strzeliło mu do głowy, by iść taki kawał do kościoła w Bukowej Górze. Przecież tamtejsi mieszkańcy chadzali zazwyczaj do położonego bliżej drewnianego kościółka poświęconego Sercu Pana Jezusa.

Wypadła na zewnątrz jako pierwsza i nie czekając na towarzyszy wędrówki, ruszyła w stronę kościelnej wieży. Stanęła za winklem, zerkając, czy z wnętrza wychodzą już wierni. Zauważywszy pojedyncze osoby, pognała w dół wzniesienia. Cieszyła się, że nie było z nią matuli, która na pewno nie opuściłaby nabożeństwa, lecz wczorajszego wieczoru trochę gorzej się poczuła i uznała, że teraz, gdy zbliżały się święta i w związku z tym czekała ją cała masa roboty, nie będzie ryzykować zdrowia. Sabina przynajmniej nie musiała się tłumaczyć, że ucieka przed Marcinem. Z jednej strony wydawało jej się to głupie i dziecinne, bo przecież nawet nie miała pewności, czy chłopak w ogóle planował się z nią przywitać i porozmawiać. Z drugiej – pod wpływem złości nie myślała racjonalnie. Wczorajsza rozmowa z Marcinem uzmysłowiła jej boleśnie, że wciąż go kocha. Obnażyła przed nią uczucia, które na pewien czas udało jej się przyćmić. Nie mogła mu teraz spojrzeć w twarz, bo wiedziała, że nie da rady udawać. Zdradzi ją byle gest i roziskrzone spojrzenie. Nie była w stanie ugasić pożaru, który od wczoraj ogarnął jej ciało.

Nagle poczuła, że coś stuknęło ją w plecy. Zwolniła kroku, ale się nie zatrzymała, a tymczasem znów coś w nią uderzyło, tym razem w ramię. Obejrzała się i dostrzegła Marcina, który już toczył w rękach kolejną śnieżną kulkę, by lada chwila rzucić nią w idącą przed nim dziewczynę. Zatrzymała się i wbiła wzrok w różową lunę nieba oraz wyłaniające się zza leśnego wzgórza jeszcze blade słońce. Wyglądało na to, że pomimo mrozu zaczynał się całkiem ładny dzień.

– Dzień dobry – przywitał się Marcin.

Dziewczyna powoli uniosła na niego wzrok. Zauważywszy, że chłopak jest nie mniej zdenerwowany od niej, nieco się ośmieliła. Może trochę niepewnie, ale spojrzała mu prosto w twarz.

– Dzień dobry – burknęła.

– Cieszę się, że cię spotkałem – powiedział Marcin.

Sabina patrzyła na niego w oczekiwaniu, ponieważ wydawało jej się, że chłopak chce jeszcze coś powiedzieć, ale on nagle zamilknął. Nie pamiętała go takiego. Marcina, którego znała, charakteryzowała śmiałość. Nawet gdy nie było mu do śmiechu, rzucał żartami i potrafił powiedzieć coś tak, że człowiekowi od razu robiło się lżej na duszy. Pewnie dlatego był tak lubiany, a okoliczne panny wodziły za nim maślanymi oczami. Teraz stał przed nią, jakby zapomniał, że ma język w gębie.

– Niedługo Boże Narodzenie... – zagaił wreszcie.

– Tak, zostały niecałe dwa tygodnie – podjęła Sabina. – Uwielbiam ten przedświąteczny czas. Pamiętam, że ty chyba też. Gdy mieszkałeś z nami, cieszyłeś się jak dziecko, kiedyśmy robili ozdoby ze słomy i ozdabiali chałupę.

– Ach, ależ było przy tym radości – przyznał Marcin z wyraźną nutką nostalgii w głosie.

Nieoczekiwanie przełamali onieśmielenie i od słowa do słowa zaczęli wspominać wspólne chwile. Siarczysty mróz zmusił ich do wędrówki, ale idąc, coraz odważniej kontynuowali rozmowę. Raptem Sabina przyłapała się na tym, że nie żywi już do Marcina złości i często, nawet częściej niżby sobie tego życzyła, uśmiecha się do niego. Zatrzymali się przy rozstajnych drogach, z których jedna biegła w stronę wioski, druga zaś wiodła do gościńca prowadzącego do Krakowa. Właśnie w tamtą stronę musiał się udać Marcin, by dojść do Łobieszowa. Sabina zaproponowała mu, by wstąpił do Skowrońskich i przez chwilę się ogrzał przy piecu, zanim ruszy

w dalszą wędrówkę, ale choć propozycja była kusząca, odmówił. Spieszył się, by odciążyć Jurczykową, która mimo że trochę wydobrzała, nie doszła jeszcze całkiem do siebie. Teraz wystarczyło, że zrobiła kilka kroków, a już sapała jak lokomotywa, a na jej czole pojawiały się krople potu. Na ile dał radę, bo staruszka była strasznie uparta, usłużny Marcin starał się ją jak najczęściej wyręczać.

– Przyjdiesz do nas jutro na roraty? – spytała nagle Sabina, bo myśl, że w najbliższym czasie miałyby nie zobaczyć Marcina, obudziła w niej panikę.

– Nie wiem – odparł chłopak i posmutniał. Naprawdę się martwił o swoją nieznośną gospodynię, która nie wiedzieć kiedy stała się dla niego rodziną. Wydawało mu się to dziwne, ale częściej go śmieszyło, że gderliwy ton Jurczykowej, który kiedyś tak bardzo go irytował, teraz budził w nim zadowolenie. Dlatego w czasie, kiedy trawiona chorobą, schowana pod puchatą pierzyną starowinka rzadko się odzywała, Marcin chodził po chacie wyraźnie zaniepokojony. Brakowało mu reprimendy i ostrych słów, za którymi kryło się całe morze ciepłych uczuć.

W jednej chwili zauważył, że Sabinka posmutniała i natychmiast skojarzył ten stan ze swoimi ostatnimi słowami.

– Będę się starał, bo bardzo mi zależy, żeby znów cię ujrzeć – oznajmił skwapliwie i uśmiechnął się promiennie, nie spuszczać z dziewczyny wzroku.

– Naprawdę...? – wyrwało się Sabinie i od razu chrząknęła sugestywnie, jakby zawstydziło ją to zbyt pochopnie wymówione słowo. – Myślałam, że...

– Że co? – Marcin zbliżył się do dziewczyny i ujął jej dłonie w grubych wełnianych rękawicach.

– Myślałam, że wolisz widywać się z Cysią – powiedziała Sabina i zaraz zmieszana opuściła wzrok.

– Lubię Cysię. Spotykamy się od czasu do czasu, żeby pogwarzyć...

– Sam widzisz... – Kąpana w gorącej wodzie dziewczyna weszła mu w słowo, bo wystarczył początek wyznania Marcina, by ogarnęła ją przemożna złość. Nie miała wpływu na zazdrość, która obficie rozlewała się w jej wnętrzu, nie pozwalając racjonalnie myśleć.

– Lubię Cysię jak siostrę, którą straciłem w dzieciństwie. Jak kogoś z rodziny, komu można zaufać i z kim można pożartować. Ale nigdy nie zobaczyłem w niej tego, com ujrzał w tobie, gdy po raz pierwszy spotkałem cię na brzegu jeziora – rzekł przekonująco Marcin. Doskonale wiedział, że Sabinka jest żywiołowa, często działała impulsywnie. A ostatnim, czego by sobie teraz życzył, była kłótnia z nią, a w najlepszym wypadku niepotrzebne prekomarzenie.

– Wydawało mi się, że nie jestem ci tak bliska jak... – Sabinka już chciała powiedzieć, że tak, jak bliski był jej zawsze on, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Wiem, popełniłem wielki błąd. Nie ma dnia, bym sobie nie wyrzucał, że nie potrafiłem rozpoznać drzemiącego we mnie uczucia. Codziennie byłaś tuż obok, a ja tego nie doceniałem. Teraz tak bardzo żałuję tego straconego czasu... – Marcin nie umiał gładko mówić o sobie, lecz o dziwo, w tej chwili słowa płynęły lekko i wylewało się wszystko, co tak długo chował w sercu. Jednocześnie mocniej ścisnął dłonie Sabinki, nawet na moment nie przestając patrzeć jej w oczy. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna może sporo z nich wyczytać, ale w tej chwili zupełnie o to nie dbał.

Sabina spojrzała na Marcina ostrożnie, stopniowo przyswajając to, co usłyszała. Aż zakręciło jej się w głowie od tego wyznania, rozpierała ją

radość. Mimo wszystko nie zamierzała pokazać Marcinowi, że i ona jest mu teraz przychylna. Niech chłopak trochę się postara i nie myśli, że Sabina zaraz pójdzie za nim w ogień. Niemniej kiedy spojrzała w oczy ukochanego, musiała naprawdę bardzo się starać, by nie pisnąć z radości i nie dać Bóg, rzucić mu się w ramiona. Już i tak wyskoczyła jak filip z konopi, kiedy niepotrzebnie zapytała Marcina, czy pojawi się w kościele w Bukowej Górze na roratach.

– Pójdę już – oznajmiła, żeby nie kusić losu, bo niestety nie mogła ręczyć za siebie. Wystarczyło, by Marcin powiedział jeszcze coś równie miłego i poruszającego, a niewykluczone, że przepadłaby z kretesem i straciłaby swoje dobre imię. A przecież nie chciała ukazać się mu jako zbyt naiwna i uległa. To, że Marcin odkrył w sobie uczucie do niej, ogromnie ją cieszyło. Ale nie znaczyło, że i ona musi okazywać mu to samo. Nic się nie stanie, jeśli potrzyzyma go trochę w niepewności. Przynajmniej będzie bardziej się starał.

Od razu zauważyła, że zmartwiły go te słowa. Pewnie liczył, że Sabina też szepnie mu coś przyjemnego.

– Pędź do chaty, bo umarzniesz – rzekł smutno. Wydawało się, że już odejdzie, bo cofnął się o krok, gdy nieoczekiwanie się odezwał: – Powiedz mi, Sabinko, czy... Czy Wacek Śmigiel jest dla ciebie kimś ważnym? – Zadawszy to pytanie, zrobił jeszcze parę kroków do tyłu, jakby szykował się do ucieczki.

– Jest ważny – odparła lakonicznie Sabina zgodnie z tym, co czuła, ale szybko pożałowała tych słów. Usłyszawszy je, kawaler najpierw opuścił ramiona, a potem z miną żalobnika odwrócił się i pospiesznie ruszył do drogi.

Dziewczyna się złękła. Gdy patrzyła teraz, jak się oddalał, pomyślała, że być może nigdy więcej go nie zobaczy i wpadła w panikę. Miała ochotę

krzyknąć za nim i odwołać to, co przed momentem powiedziała albo wyznać to inaczej. Miotła się, nie wiedząc, co począć. W końcu kucnęła, zagarnęła w dłonie śnieg i ulepiła z niego kulkę. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, rzuciła nią w ukochanego, ciesząc się w duchu, że zawsze miała celne oko. Nie mogło być zatem inaczej i tym razem. Uderzony śnieżką w plecy Marcin zatrzymał się i odwrócił. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie. Przyjęło się bowiem, że takie umizgi zarezerwowane były raczej dla chłopaków.

– Lubię Wacka tak samo, jak ty lubisz Cysię! – krzyknęła Sabina z oddali. To wyznanie kosztowało ją wiele wysiłku i nie zamierzała narażać się na więcej. Dlatego, by uchronić się przed ewentualnymi pytaniami Marcina, sięgnęła po postawiony na śniegu lampion i odwróciwszy się, pognała w stronę chaty.

Nie mogła tam jednak znaleźć spokoju, chodziła do okna, by popatrzeć na miejsce, w którym niedawno stali z Marcinem, to znów szła w stronę pieca, gdzie próbowała ogrzać zaczerwienione z zimna dłonie. Choć starała się zachowywać cicho, jej niespokojne ruchy i tak zbudziły Teresę.

– Jak się dziś czujecie, mateńko? – Sabina zbliżyła się do łóżka rodzicielki i przykucnęła.

– Dobrze, Sabinko, o wiele lepiej niż wczoraj. – Powiedziawszy to, kobieta zakaszła.

– Przygotuję wam te zioła co wczorajszego wieczoru i nie wychodźcie z łóżka, ja dziś wszystkim się zajmę – zapewniła dziewczyna z mocą.

– A coś ty dziś, Sabinko, jakaś taka... – Teresa zatrzymała na córce wzrok i potem przez dłuższą chwilę nie przestawała jej się przyglądać. – Dobrze się czujesz? Nie łapie cię jakieś choróbsko?

– Dobrze, bardzo dobrze – zaręczyła dziewczyna. – Przygotuję śniadanie, bo tatulo pewnie będzie głodny.

– Ano marudził już, że mu kiszki marsza grają – oznajmiła z humorem Teresa.

Skromnie było pod strzechą Skowrońskich, ale głodu i biedy nigdy nie zaznali. Potrafili docenić też dobro, jakie ich spotykało. A przeciwności losu, które nie oszczędzają żadnego człowieka, pokonywali z optymizmem, pokorą, ale też siłą potrzebną do tego, by łatwiej przejść przez trudniejszy okres. „W rodzinie siła”, mawiał często Władysław i dziękował swojej ślubnej, a także teściowej i córuchnie, że są razem. Niejednokrotnie powtarzał też, że bez ich wsparcia i miłości nie osiągnąłby za wiele. Bo ojciec Sabinki, jako jeden z nielicznych mężczyzn z wioski, nie wstydził się mówić o uczuciach i nigdy nie umniejszał roli kobiet. Dziewczyna miała więc szansę dorastać w bezpiecznym domu, pełnym dobrych wzorców. Zwykle obeiściem zajmowała się Sabina, lecz teraz, gdy córka biegła na roraty, chcąc ją odciążyć, Władysław przejął na siebie jej obowiązki i skoro świt zjawiał się u gadziny.

– Sabinko, zajdź no do babuli i sprawdź, czy czego nie potrzebuje – poleciła córce Teresa.

Gdy tylko podała mamie napar ziołowy, Sabina udała się do babci. Aniela siedziała w łóżku wsparta na poduszkach i jak zwykle, mamrocząc pod nosem, przesuwała w dłoniach buczynowe paciorki różańca. W stojącym na nakastliku lichtarzu paliła się łojowa świeca, dodając skromnemu pokojowi mistycznego blasku. Świt dopiero zaczynał się wdzierać do wnętrza przez nieduże okienko, na którym mróz tej nocy namalował wymyślne wzorki.

– Dzień dobry, babuniu – przywitała się Sabina.

Na twarzy Anieli pojawił się uśmiech. Przywołała wnuczkę, by ta przy niej usiadła. Sabina przycupnęła na skraju babcinego łóżka i powiodła wokół roztargnionym wzrokiem. Babunia była jej bardzo bliska i teraz

dziewczyna nagle poczuła, że chciałaby się jej zwierzyć ze swoich dylematów. Relacje z mamą też układały się dobrze, ale to babci mogła bez skrępowania powiedzieć o wszystkim. Nie wiedziała tylko, jak zacząć. Bała się, że tym razem krnąbrna natura może przynieść jej zgubę. Chodziło bowiem o kawalera, dla którego mocno biło jej serce. Marcin zdawał się wymykać jej dziewczęcym manewrom i Sabina się obawiała, że napotkawszy niechęć, chłopak zamiast dalej o nią zabiegać, odsunie się w cień. Od początku wiedziała, że młody Hurnik jest inny od większości kawalerów. Zwracał uwagę na istotne sprawy, nie zajmując się błahostkami. Pewnie właśnie dlatego Sabina z miejsca zapalała do niego uczuciem.

Jej racjonalna natura raczej nie pozwalała myśleć w ten sposób, ale coraz częściej się zastanawiała, czy przypadkiem na to, co stało się jej udziałem, a więc nieplanowaną miłość, nie miała wpływu legenda związana z jeziorem. Chociaż Marcin ani razu się z tym nie zdradził, wiedziała, że często chadzał nad brzeg, wpatrywał się w toń i górujące nad jeziorem wzgórze, gdzie niegdyś stała warownia, w której ponoć mieszkała piękna pani. Kiedy okoliczni bajarze o tym rozprawiali, chciało jej się śmiać z ludzkiej naiwności, lecz od jakiegoś czasu coraz częściej dumiała, czy aby w tych gawędach nie skryło się ziarno prawdy. Marcin wprawdzie przestał wędrować nad jezioro i wydawało się, że częściowo zapomniał o dramatach, jakich doświadczył, lecz Sabina wciąż doskonale pamiętała, jak bolało ją serce za każdym razem, gdy chłopak zamiast spaceru i rozmowy z nią wolał się udać do tamtego odludnego miejsca.

– Co się tak wiercisz? – Aniela popatrzyła na wnuczkę tym swoim zawadiackim wzrokiem, który nie przygasł mimo upływu lat i wielu trudów życia. Doskonale wiedziała, że dziewczynę coś nurtuje, bo Sabina weszła do izby z taką miną, jakby dopiero co jej się jaki święty objawił.

– Aaa, bo... trochę zmarzłam i nie wyspałam się – odparła dziewczyna nieprzytomnie.

– A mnie się zdaje, żeś kogoś ujrzała. – Staruszka wbiła we wnuczkę wymowne, nieco psotne spojrzenie.

Po słowach babci Sabina wyraźnie się speszyła, co jeszcze utwierdziło Anielę we wcześniejszych domysłach. Może to nie był święty, ale ktoś bardzo ważny.

– A kogóż bym miała ujrzeć? – Sabina uciekła wzrokiem. – W kościele uroczysty nastrój i coraz bardziej się czuje zbliżające się Boże Narodzenie.

– Gadaj, Sabinko, co ci leży na sercu – zwróciła się starowinka bez ogródek do dziewczyny, wiedząc, że wnuczka dość uparta i skryta, nie obnosi się ze swoimi problemami. Ale Aniela dobrze ją znała i zawsze potrafiła dostrzec, kiedy ta przyszła do niej po poradę i pociechę.

– Ach, wy to jednak dobrze mnie znacie – rzekła dziewczyna z westchnieniem. – Widziałam dziś na roratach Marcina Hurnika.

– No wreszcie, bom już zaczęła wątpić w pomoc świętego! – wyrwało się Anieli.

Patrząc na babcię, Sabina zmrużyła w namyśle oczy, lecz nauczona doświadczeniem, wiedziała, że babci nie pyta się o nic, bo sama wie, kiedy i co doradzić.

– Zdziwiłam się, że przeszedł taki szmat drogi, bo przecież w Łobezowie mają kościółek – rzekła Sabina.

– Gadałaś z nim? – dociekała staruszka.

– Tak, odprowadził mnie do rozstajów – wyjaśniła dziewczyna z błogim wyrazem twarzy. – Zaprosiłam go, żeby choć na chwilę ogrzał się przy piecu, ale odmówił, twierdząc, że powinien pomóc gospodyni, u której mieszka. Jakiś czas temu zachorzała i wciąż nie doszła do siebie.

– Dobry chłopak z tego Marcina, ja to od zawsze wiedziałam – zawyrokowała Aniela.

– Ano dobry, babuniu – przyznała Sabina z uśmiechem. Cieszyła się z dzisiejszego spotkania po mszy. Kiedyś wiele by dała za podobny obrót spraw, ale i teraz rosły jej skrzydła na myśl, że nie jest Marcinowi obojętna. – Powiedział, że darzy mnie uczuciem – dodała po chwili, a na jej policzki wpełznął rumieniec.

– Poszedł po rozum do głowy i dobrze, już najwyższy czas – rzekła Aniela z przekonaniem. – Ja nie od dziś wiedziałam, że para z was jak malowana, ale Marcin musiał się o tym przekonać. Miał na wyciągnięcie ręki cenny skarb, ale nie umiał go dostrzec. Na szczęście otrzeźwienie przyszło w porę, zanim żeś mu umknęła.

– Babuniu, ja mu serce oddałam, nie umknęłabym mu tak szybko. Dobrze wiecie, choć nigdy wcześniej tego nie przyznałam, że oczy za nim wypatrywałam, a kiedy odszedł, cierpiałam, jakby umarł mi kto bliski. O takiej miłości nie da się zapomnieć i niełatwo zastąpić ją inną – oznajmiła bez skrępowania Sabina. Teraz mogła powiedzieć babci o wszystkim. Udawała dotąd przed staruszką, że Marcin jest jej najlepszym druhem, może nawet kimś z rodziny, bratem, którego nie miała. Jakże była głupia i naiwna, sądząc, że babunia niczego nie zauważy.

– Masz rację, Sabinko, choć niektóre panny biorą jak leci, a po pewnym czasie łzy wylewają, że sobie hultaja obrały. Nieważne jaki, byle był – rzekła Aniela, kiwając przy tym głową. – Chcąc uchronić się przed staropanieństwem, krzyż na siebie ściągają. A potem nie ma zmiłuj się, trzeba to ciągnąć. Mało to takich we wsi...

– Ja na pewno bym tak nie postąpiła – odezwała się dobitnie Sabina.

– Nie wątpię, przecież tyś moja krew. – Aniela się zaśmiała. – Po co byle jaki chłop. Często lepiej dziewczynie samej. Szkoda tylko, że niektóre

matki i ojcowie tego nie rozumieją. Córka często mniej ważna dla nich niż dorodna jałówka.

W słowach babci było wiele prawdy. Sabina dobrze wiedziała, jak zachowywały się niektóre z dziewczyn we wsi. Strzelały oczami na prawo i lewo, czyniąc przy tym różne podchody, byle tylko zwrócić na siebie uwagę wybranych kawalerów. A czasem, jak słusznie zauważyła babcia, zadowalały się byle czym. Choćby taka Miśka Nowakówna, dziewczyna o gołębiim sercu, ale niestety mało urodziwa. Niektórzy gadali, że nawet szpetna. Nikt na nią uwagi nie zwrócił, tylko jeden Mietek, pijus i rozrabiaka, a ona z braku lepszego konkurenta przyjęła go z otwartymi ramionami i jeszcze wszystkim wokół oczy mydliła, że ten łotr ją na rękach nosi i dałby jej gwiazdkę z nieba. Rok minął od ich zaślubin, Miśka z brzuchem pod nos chodzi, lada moment czeka ją rozwiązanie, a niejeden gadał, że ją z okiem podbitym widział. Wszak wiadomo było, jak się to skończy. Wielu odradzało pochopne zamążpójście, ale biedula, ze strachu, że zostanie sama, za nic miała dobre rady.

– A rzeknę ci, wnusiu, przez chwilę myślałam, że Wacek od Śmigłów cię zbałamuci – powiedziała z szelmowskim uśmiechem Aniela.

– Ech, babuniu, co też mówicie. – Sabina się zawstydziała. – Lubimy się z Wackiem, ale nie tak, jak powinna się lubić dziewczyna i chłopak, którzy mają stanąć na ślubnym kobiercu.

– Wiem, wiem, szybko to odgadłam. Nieraz musiałam tłumaczyć Tereni, że nic z tego nie będzie, bo sobie ubzdurała, że Wacek zostanie jej zięciem. Dobrze, że wreszcie wszystko się wyjaśniło. Bo wyjaśniło się, tak? Dasz Marcinowi szansę? – Aniela zatrzymała na wnuczce skupiony wzrok.

– Tak, ale... – zająknęła się dziewczyna.

– Coś zaś nawywijała?

– Nic, tylko nie chciałam pokazać, że mi na nim za bardzo zależy i nie wiem, czy nie pomyślał sobie, że mi obojętny – wyznała przejęta dziewczyna.

– Jak kocha, to wróci – zawyrokowała Aniela. – O to już się nie bój.

Sabina uwierzyła babci, a na jej twarzy pojawił się uśmiech ulgi. Właśnie tego potrzebowała – pokrzepienia i zapewnienia, że wszystko dobrze się ułoży. Mądrość starowinki już nie raz uratowała ją przed bezdenną rozpaczą. Nieważne, czy chodziło o błahostki typowe dla szczenięcego wieku, czy głębsze rozterki, Aniela zawsze poważnie odnosiła się do tych spraw i nigdy nie dała odczuć wnuczce, że ta zawraca jej głowę bzdurami. Wychodząc z izby babuni, Sabina była pewna, że najbliższy czas przyniesie jej odpowiedź na większość nurtujących ją pytań. A Marcin, teraz, kiedy wreszcie zapalał do niej uczuciem, na pewno nie pozwoli jej o sobie zapomnieć.



Gwiazdy błyszcząły na granatowym niebie, a siarczysty mróz szczypał w policzki, gdy Sabina wraz z mamą i sąsiadami szła na roraty. Teresa już wydobrzała i choć od czasu do czasu jeszcze trochę pokasływała, nie chciała odpuścić uczestnictwa w ulubionych mszach ku czci Matki Boskiej. Marcin nie pojawił się w kościele od ostatniego spotkania i Sabina codziennie wracała do domu markotna. Każdego ranka kroczyła jednak do świątyni z nadzieją na spotkanie ukochanego, a potem wyrzucała sobie, że niepotrzebnie była taka dumna, bo w ten sposób pewnie go do siebie zraziła. Dziś też wciąż wypatrywała Marcina. Niestety nie było go, ale Sabina i tak nie traciła nadziei i wznosiła do Maryi gorące modlitwy, by ta dała jej i Marcinowi szansę. Byleby tylko znów mogła zobaczyć

ukochanego, na pewno tym razem powie mu to, co od dawna leżało jej na sercu.

Msza już się rozpoczęła i wszystkie oczy skierowane były na ambonę, gdzie tubalnym głosem przemawiał proboszcz Jelonek, gdy nagle z tyłu rozległ się odgłos zamykanej bramy. Napominana od małego przez matulę, by w świątyni się nie wiercić i nie rozglądać, Sabina przez dłuższą chwilę pilnowała się, by się nie obejrzeć. Mimo to ciekawość w końcu wzięła górę i dziewczyna zerknęła za siebie. Zamarła, a jej serce zaczęło walić niczym dzwon z kościelnej wieży, którego dźwięk pół godziny wcześniej przyzywał wiernych na nabożeństwo. Przyszedł. Był. Do końca mszy Sabina nie dała już rady skupić się na modlitwie i musiała dokładać nie lada starań, by jej wzrok nie uciekał w stronę ukochanego. Czuła na sobie jego spojrzenie i piekły ją policzki. Myślała tylko o tym, by proboszcz jak najszybciej udzielił błogosławieństwa. A kiedy wreszcie to się stało, zbliżając się chwilę później do wyjścia, denerwowała się tak bardzo, że aż drżały jej dłonie. Strofowała się w duchu za to roztargnienie, bo przecież ostatnio zachowywała się przy Marcinie zupełnie inaczej. Co chłopak sobie o niej pomyśli, widząc ją taką rozemocjonowaną i przewrażliwioną.

Ledwo spadły na nią pierwsze płatki śniegu, gdy ktoś dotknął jej ramienia. Zamarła i z uśmiechem na twarzy się odwróciła. Ogarnęło ją zdumienie i poczuła głębokie rozczarowanie. Przed nią stał bowiem Wacek. Nie widziała go długo, ponieważ od jakiegoś czasu nie przychodził na roraty. Mówiono, że był chory, co w jesienno-zimowym czasie nie wydawało się niczym zadziwiającym. Rumiane, zaokrąglone policzki i szeroki uśmiech chłopaka świadczyły o tym, że teraz miał się już dobrze.

- Dzień dobry – rzekł z wesołym błyskiem w oku.
- Dzień dobry – odpowiedziała Sabina.

Stanęli z boku, ale wzrok dziewczyny nieustannie uciekał w stronę głównej bramy i wyjścia z kruchty. W tłumie próbowała wyłowić wzrokiem Marcina. Tylko na tym jej teraz zależało. Najwyraźniej spragniony towarzystwa, a być może i stęskniony za nią, Wacek paplał jak najęty, ale Sabina wcale go nie słuchała. Dziś irytował ją jak nigdy wcześniej i chętnie by się go pozbyła. Nagle dojrzała Marcina i serce na moment jej zamarło. Nie był sam. Obok niego szła Cysia. Sabina myślała, że zaraz się rozpłacze. Więc wszystko na nic. Marcin najwyraźniej ich dojrzał, bo uśmiechnął się smutno i uniósł rękę. W ślad za nim podążyła Cysia, która również wykonała ledwo zauważalny, powitalny gest. Do Sabiny i Wacka po chwili dołączyła Teresa, którą bardzo ucieszył widok dawno niewidzianego chłopaka. Wszyscy troje ruszyli w dół kościelnego wzgórza.

Podczas gdy matula i Wacek zawzięcie rozprawiali, Sabina z nadąsaną miną wlokła się krok za nimi. Tak wiele miała Marcinowi do powiedzenia, w ciągu ostatnich dni wielokrotnie wyobrażała sobie ich rozmowę, a nie przewidziała, że jej nadzieje mogą się okazać płonne. W pewnym momencie straciła z oczu ukochanego i towarzyszącą mu pannę, ale zazdrość pozostała, do żywego rozpalając serce Sabiny. Gdy weszli na gościniec, dołączyli do grupki sąsiadów. Wszystkim było wesoło, tylko nie młodej Skowrońskiej. Wydawało się jej, że idzie w kondukcje pogrzebowym. Ze wzrokiem utkwionym w czubki trzewików nie zauważała świata. Aż dziw, że nie wpadła w jedną z zasp, które co rusz mijali, gdy skręcili w boczną drogę. W miejscu, gdzie jak mawiano, od dawien dawna przy drodze leżały wielkie głazy, pożegnali się z Wackiem, ale dla Sabiny nie miało to już znaczenia. Odburkiwała z niezadowoleniem na każde pytanie mamy i, o ile wcześniej wlekła się jako ostatnia z licznej grupy, im bliżej wioski, zaczęła się wrywać do przodu. Chciała jak najszybciej schronić się w ciepłutkiej chacie, nie tylko by się ogrzać, ale

przede wszystkim by ukryć pod strzechą swój smutek. Usłyszawszy w pewnym momencie znajomy głos, zwolniła. Długo nie mogła się przemóc, by się odwrócić.

– Dzień dobry, Marcinie – przywitała się Teresa. – Co też tym razem przygnało cię w nasze strony?

Sabina obejrzała się przez ramię i nadstawiła uszu, starając się sprawiać wrażenie, że cała sytuacja niewiele ją obchodzi.

– Kościół w Bukowej Górze nie ma sobie równych, byłem na roratach – oznajmił chłopak.

– Nic dziwnego, że ciągnie cię do patrona – powiedziała z humorem Skowrońska.

– Oj ciągnie, ciągnie i nie tylko do waszej parafii – rzekł wymownie Marcin, czym wzbudził jeszcze większe zainteresowanie Sabiny, która czując na sobie jego wzrok, niby od niechcienia, wreszcie zdecydowała się odwrócić.

– A może wstąpisz do nas, żeby się ogrzać? – zaproponowała Teresa.

– Z przyjemnością – odparł chłopak. – Czeka mnie jeszcze kawał drogi, więc w przerwie chętnie przysiadę na chwilę przy piecu.

Pomimo srogiego mrozu zły humor Sabiny zaczął powoli topnieć. Uśmiech pchał jej się na usta i na siłę starała się przywołać powagę. Nie mogła być taka przewidywalna i łatwowierna. To matula zaprosiła w gościnę Marcina, więc Sabina nie musi się wdawać z nimi w rozmowę. Tyle że nie dała rady się powstrzymać. Za nic miała narzucone samej sobie zakazy, uznawszy je teraz za niedorzeczne. Dotarło do niej, że zyskała szansę na spotkanie z ukochanym, a kolejna może się już nie powtórzyć. Podeszła do Marcina i się przywitała, a potem wszyscy ruszyli w stronę skrzącego się w porannym słońcu pagórka, zza którego na modrym niebie widać było ulatujące z kominów chat, snujące się obłoczki dymu.

Zanim doszli do chaty, Sabina całkiem zapomniała już o swoich wcześniejszych rozterkach. Wesoło gawędziła z Marcinem i oboje wydawali się zadowoleni z takiego obrotu spraw. Teresa, widząc, co się święci, zwolniła kroku, celowo pozostając nieco w tyle, by młodzi mogli się nagadać. Potem przy stole kontynuowali rozmowę, do której dołączył także Władysław.

– Ech, teraz to ani się obejrzyć, jak przyjdą święta. Od Świętej Łucji to już rychło – zauważył gospodarz, popijając kawę z cykorii. Taki sam napój znajdował się w czarkach ślubnej, córki oraz gościa.

– Nie wiadomo, kiedy to przeleciało. Dopiero witaliśmy lato, a tu zima w pełnej krasie. – Marcin wrócił myślami do nocy kupalnej, gdy zamiast słodkich ust upragnionej dziewczyny, musiał posmakować goryczy porażki. Do tej pory miał pamiątkę po tamtym wydarzeniu. Choć kwiaty uschły i się skurczyły, czerwona wstążka nadal ozdabiała misternie zapleciony zielny wianek.

– I roboty co niemiara – wtrąciła Teresa, patrząc wymownie na córkę. Wszak było wiadomo, że od Świętej Łucji w domach i obejściach zaczynały się gorące przygotowania do Bożego Narodzenia.

– Prawda. – Marcin uśmiechnął się smutno, bo nagle przypomniała mu się rodzinna chałupa i matula, która rok w rok trzynastego grudnia z samego rana wychodziła na pole i uważnie patrzyła w niebo. A potem przez kolejne dwanaście dni, aż do Bożego Narodzenia obserwowała przyrodę, co miało wróżyć pogodę i plony na kolejne miesiące nowego roku. Przypomniało mu się jeszcze coś związanego z tym dniem i zwrócił się do Sabiny: – A ty, Sabinko, pamiętaj, by dziś po zmroku z chaty nie wychodzić, bo w okolicy mogą się kręcić wiedźmy.

Sabina figlarnie się uśmiechnęła. Teraz, gdy obok miała ukochanego, niestraszne jej były żadne czarownice. Choć rzeczywiście matula,

a szczególnie zaś babunia, w dniu Świętej Łucji zawsze tego przestrzegaly i o zmierzchu nie wychodziły za próg. Oczywiście Sabina też musiała się tego trzymać, mimo że zupełnie nie wierzyła w takie gadanie. Co niektórzy śmiałkowie, brnąc po pas w śniegu, wyprawiali się wtedy na warowne wzgórze, z którym związana była legenda. Bo ponoć można było zobaczyć tam wówczas miedzianowłosą pannę i poprosić ją o jakieś dobrodziejstwo. Ludzie we wsi znali wiele takich historii, nie tylko związanych z Bukową Górą, i święcie w nie wierzyli. Sabinie, kiedy była jeszcze mała, takie bajania sprawiały radość, czasem śmieszyły albo wywoływały na ciele dreszcz strachu, lecz teraz słuchała tego z przymrużeniem oka.

– A czemuż bym miała z nimi nie potaćcować, skoro jestem jedną z nich? – rzuciła z humorem Sabina.

Nie uszło jej uwadze, że po tych słowach Teresa szybko wykonała znak krzyża.

– Dziewczyno, nie wywołuj wilka z lasu – przestrzegła córkę zatrwożonym głosem i z przestachem spojrzała w stronę okna i drzwi.

Sabina jedynie się uśmiechnęła. Chętnie by sobie jeszcze pożartowała, ale nie chciała już drażnić matuli, która wyjątkowo poważanie traktowała takie sprawy.

Mina jej zrzędła, kiedy Marcin nagle oznajmił, że powinien już wyruszyć w drogę, ale jak to ona, starała się tego po sobie nie pokazać. I tym razem chłopakowi zależało, by się przywitać z Anielą, lecz okazało się, że staruszka śpi. Zaniepokoiło to Sabinę i jej matkę, nestorka bowiem, choć od wielu miesięcy zmęczona i słabsza niż niegdyś, wstawała zawsze skoro świt, by odmówić poranną modlitwę i wziąć w dłonie wysłużony różaniec.

Marcin umówił się z Władysławem, że za kilka dni wybierze się z nim nad jezioro na połów. Obiecał też, że potem pomoże mu dostarczyć ryby na

przedświąteczny targ do Ratajnik. To znaczyło, że Sabina w najbliższym czasie będzie go widzieć częściej. Poza tym chłopak zapewnił, że na ile pozwoli mu sytuacja, pojawi się jeszcze na roratach w Bukowej Górze.

– Sabinko, widzę, żeś wreszcie szczęśliwa – zauważyła delikatnie zwykle dyskretna Teresa.

W pierwszym momencie dziewczyna już miała zrobić hardą minę i powiedzieć, że matula sobie coś ubzdurzyła, ale zamiast tego szeroko się uśmiechnęła.

– Tak, mateńko, radośnie mi w duszy. Niebawem święta...

– Czy tylko święta cię radują, córuchno? – Teresa zrobiła dobroduszną minę.

– Nie tylko. – Sabina skromnie opuściła wzrok, ale po chwili spojrzała na matkę. – Choć jeszcze nie do końca, ale spełniły się moje marzenia.

– Cieszę się, bo kiedy tyś szczęśliwa, to w chacie wesoło. Zawsze, gdyś uśmiechnięta, rozsiewasz radość.

– A bo to tak chyba jest, matulu, kiedy człowiek szczęśliwy, to i cały świat się do niego uśmiecha. A jak smutny, to ziemia i niebo razem z nim płaczą – rzekła mądrze dziewczyna i przybliżyła się do rodzicielki. – Przepraszam, mateńko, że nieraz była tak zgryźliwa i uparta. Niełatwym charakterem mnie Pan Bóg obdarował.

Teresa uśmiechnęła się na słowa córki.

– Nie pleć bzdur, Sabinko. Tyś dla nas najcenniejszym darem od Miłosiernego Ojca – powiedziała wzruszonym głosem, po czym przygarnęła do siebie córkę i utuliła jak kilkuletnie dziecko.

Sabina mogła się poczuć zadowolona, bo w czasie następnych kilku dni Marcin każdego poranka zjawiał się w bukowskim kościele i stojąc podczas mszy pod chórem, posyłał jej pełne uwielbienia spojrzenia. Od tej uwagi ukochanej dziewczynie rosły skrzydła. Marcin odprowadzał ją potem do

wioski, czasem wstępując do chaty Skowrońskich, by się ogrzać, a czasem pędził do Łobiezowa, by odciążyć w pracy Jurczykową.

Sabina upajała się tymi porankami i snuła na razie nieśmiałe marzenia o wiosnie i ich wspólnej z Marcinem przyszłości. Zdziwiła się, ale też ucieszyła, kiedy po którejś z mszy zauważyła wychodzących razem z kruchty Wacka i Cysię. Nie czekając na nikogo, młodzi ruszyli potem razem. Wydawali się przy tym bardzo zadowoleni, a Sabina słyszała nawet, co przyjęła z wielkim zdziwieniem, jak Cysia głośno się śmiała, pewnie z jakiegoś żartu swojego towarzysza. Doskonale pamiętała, że z Wacka jest niezły kawalarz i jak czasem co powiedział, to boki zrywać.

– Widziałeś? – zagadała potem do Marcina, sugestywnie zerkając na idących kilkanaście metrów przed nimi Kulawikównę i młodego Śmigła.

– I słyszałem – odrzekł z szelmowskim uśmiechem Marcin. – Chociaż zima, wróble w Bukowej Górze ćwierkają, że tych dwoje ma się ku sobie.

– Naprawdę? – Sabina się ucieszyła.

– Naprawdę – potwierdził równie wesoło chłopak, a potem przystanął, chwycił Sabinę i ruchem dłoni zatrzymał. – Widocznie nie tylko wiosną serce może rozkwitnąć. Moje ożyło pewnego listopadowego dnia, kiedy na brzegu jeziora ujrzałem pochylającą się nade mną panienkę o bławatkowych oczach i pszenicznych włosach.

– Nie gadaj głupstw, Marcinie. Obojętna ci byłam wtedy, choć wiele bym dała, byś spojrział na mnie przychylniej. – Sabina po raz pierwszy przyznała się do swoich uczuć, lecz nie zawstydziło jej to wyznanie, bo teraz, gdy była pewna uczuć Marcina, mogła mu wiele powiedzieć.

– Szybko tego pożałowałem, Sabinko, a kiedy zobaczyłem, żeś już nie moja, myślałem, że tego nie przeżyję – wyznał Marcin, a przed oczami jak żywy stanął mu obraz młodego Śmigła wręczającego Sabinie jej zielny

wianek. Tamto wspomnienie wciąż tłukło mu się po głowie i nijak nie potrafił się go pozbyć.

Dziewczyna popatrzyła na niego czujnie.

– Że nie twoja? Przecież nie dałam ci powodu do zazdrości, tylko tyś tak to odebrał.

– Ech, bo ze mnie baran nad barany – ozwał się Marcin z miną niewiniątka, chcąc jak najszybciej zmienić temat. Nie miał ochoty opowiadać Sabinie o swoich poczynaniach podczas kupalnej nocki. Może kiedyś, w innych okolicznościach jej o tym wspomni, ale na pewno nie dziś. Zresztą przedświąteczny czas temu nie sprzyjał. Teraz należało myśleć o zbliżającym się Bożym Narodzeniu.

Wraz ze wschodem słońca Marcin, Władysław i oczywiście Sabina, która nie mogła sobie darować takiej wyprawy, wyruszyli nad jezioro. Zaopatrzeni w wędki z brawurą brnęli przez wysokie zasy, by dotrzeć tam jak najkrótszą drogą. Dwa okrągłe przeręble znajdowały się nieopodal miejsca, które Marcin darzył sentymentem. Kiedy doszli do celu, spojrzał na teraz zupełnie biały, oblodzony brzeg, przywołując w pamięci jego listopadową wersję. Potem zaś zamajaczyła mu w głowie śliczna twarz miedzianowłosej niewiasty i długie złote czółno, z którego ta wysiadła, by przekazać Marcinowi niezwykłą przepowiednię. Do tej pory nie wiedział, jak się do tego odnieść, lecz zadziwiająco dokładnie wciąż pamiętał wszystko, co wtedy usłyszał. A może co mu się przyśniło? Jaskrawozieloną trawę, barwne kwiaty, małe chatynki przycupnięte po drugiej stronie jeziora, a także wyniosłe wzgórze, nad którym kołował sokół. I oczywiście kamień w kształcie serca, ze złotawą poświatą. Właśnie on stanowił dowód, że to, co Marcin przeżył, choć z racjonalnego punktu widzenia niemożliwe, mimo rzeczywiście mu się przydarzyło.

Szybko odnaleźli zabezpieczone trzcina i trawą przeręble. Marcin obserwował uważnie ojca Sabinki i pouczony przez niego, sam też próbował łowić ryby w taki sposób. Nie był zbyt dobrym wędkarzem, poza tym nigdy wcześniej nie łowił w zimowych warunkach. Nie wiadomo, czy sprawiła to aura tego osobliwego miejsca, czy też wyśmienity humor, jaki dopisywał Marcinowi, ale ryby dziś szcudrze się do niego garnęły. Skowroński patrzył na niego z podziwem, kiedy chłopak kolejny raz wyciągnął wielkiego szczupaka. A gdy trafił mu się okazały okoń, z zadziwienia i radości aż zaklaskał.

Marcin sam nie mógł uwierzyć, co też się stało, że dopisywało mu tak wyjątkowe szczęście. Nie było wszakże czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo lodowaty wiatr i ostry mróz temu nie sprzyjały. W pewnej chwili Sabinka, mimo że nie chciała wyjść na słabeuszkę, zaczęła narzekać, że z zimna nie czuje stóp, a zaraz też zamarzną jej ręce.

– A nie mówiłem, córuchno, że to męska robota? – gderał Władysław, ale jeden rzut oka na wypełnione po brzegi kosze sprawił, że zaraz złagodniał.

– Ech, bo tatulo by tu do nocy siedział – jęczała zziębnięta dziewczyna.
– A i tak nie ma już miejsca, wszystkie kosze pełne.

I to był argument nie do podważenia, bo nawet jeśli by próbowali, trudno byłoby im wetknąć gdzieś choćby jedną rybkę. Szybko więc się zebrali i obładowani ruszyli do chałupy, gdzie Teresa czekała na nich z ciepłą strawą. Chociaż każdemu marzyło się suto omaszczone jadlo, bez marudzenia zadowolili się cienką polewką z jarzynami. Każdy wiedział bowiem, że post to post i do Wigilii nie można sobie dogadzać.

Tak jak zaplanowali, nazajutrz Władysław i Marcin udali się do Ratajnik na targ. Zwykle w podobnych okolicznościach ojcu pomagała Sabina, ale tym razem potrzebna była w obejściu, by ulżyć matuli

w obowiązkach. Mężczyźni sądzili, że zabawią tam dłużej, ale uwinęli się w ciągu pół godziny. Ryby wyprzedziły się na pniu i kiedy wracali później do Bukowej Góry, mimo strasznej zimnicy przez całą drogę, nawet jeśli musieli brnąć po pas w śniegu, dopisywały im humory.



Sabina się zmartwiła, gdy dwa dni przed Wigilią Marcina nie było na roratach. Myślała o nim przez całą mszę i gdy wracała do domu. Podejrzewała, że pewnie jego gospodyni, ta nieznośna staruszka, którą Marcin z jakiegoś powodu uwielbiał, musiała się gorzej poczuć i chłopak został, by jej doglądać. Przez cały dzień liczyła na to, że Marcin się mimo wszystko pojawi u nich w chałupie, dlatego co chwilę podchodziła do okna i wymyślając, że musi coś zrobić na polu, dreptała za próg i tęsknie spoglądała na prowadzącą do gościńca dróżkę. Niestety do Wilii nic się nie zmieniło. Marcin nie przyszedł. Marna była z niej dzisiaj pomoc, ale Teresa podejrzewała, co leży córce na sercu, i choć miała ochotę pogonić ją do roboty, wolała machnąć ręką i samej zagnieść drożdżowe ciasto. Cóż bowiem byłby to za kołacz, gdyby przejął smutki dziewczyny. Zachorzeliby potem na ten smutek wszyscy domownicy.

– Nie trap się, córciu, jeden ponury dzionek kolejny wynagrodzi radością – rzekła Teresa, pocieszająco klepiąc dziewczynę po ramieniu, gdy ta na moment przysiadła na zydłu.

– Myślałam, że dziś go ujrzę – odezwała się smętnie Sabina.

– Ujrzysz na pewno – zawyrokowała matka. – Jeśli nie przyjdzie, spakujemy strawę i zajdziecie z ojcem do Łobiezowa. Jeśli rzeczywiście ta starowina, u której mieszka Marcin, zaniemogła, nie mogą przecie zostać bez jądła.

– Mateńka to zawsze wie, jak zaradzić. – Na twarzy dziewczyny od razu pojawił się uśmiech.

Pokrzepiona nadzieją, przez kilka godzin uwijała się potem razem z rodzicielką przy garnkach niczym mrówka. Z radością ucierała mak, jak każda panienska wierząc w szczęśliwe i rychłe zamążpójście. Zwłaszcza że teraz serce właściwego kawalera biło w takim samym rytmie jak jej serce.

Upiekły z matulą piernik, który dojrzewał przez kilka ostatnich tygodni, cierpliwie czekając na świąteczny czas. Zajęły się też rybami, lecz to Teresa je wypatroszyła i właściwie przygotowała. Sabina twierdziła, że nie ma tak dobrej ręki do gotowania jak mateńka, ale Teresa się temu sprzeciwiała, mówiąc, że córcia we właściwym czasie wszystkiego się nauczy. Już teraz zresztą świetnie radziła sobie w kuchni, brakowało jej jedynie lekkiego szlifu. Starannie przystroiły też z Teresą dom symbolizującymi życie i odrodzenie świerkowymi i jodłowymi gałązkami. Iglakami ozdobiły wiszące w chałupie święte obrazy i drzwi, większe umieściły zaś na furtce i płocie. Nad stołem zawisła natomiast podłaźniczka, okazała sosnowa gałąź, na której Sabina przywiesiła rajskie jabłuszka, orzechy, wycinanki z opłatka, ozdoby ze słomy i bibuły, sumiennie wykonywane przez nią w okresie adwentu, oraz kolorowe łańcuchy z kawałków słomy przetykane kwiatkami. Myśl, że cokolwiek by się stało, to i tak niebawem zobaczy się z Marcinem, dodawała jej otuchy.

Tylko babunia ją martwiła. Z każdym dniem Aniela wydawała się cichsza i coraz mniej zainteresowana tym, co dotychczas przynosiło jej radość. Z łóżka wstawiała jedynie za potrzebą i prawie nie rozstawała się z różańcem, mamrocząc w bezzębnych ustach kolejne zdrowaśki. W zeszłym roku o tej porze siedziała jeszcze w swoim ulubionym fotelu w głównej izbie i dyrygowała, co i jak córka z wnuczką powinny zrobić. Cieszyły ją wtedy zbliżające się święta i z radością wspominała minione

zimy. Teraz zdawało się, że utknęła w tamtym czasie i chyba nie miała już ochoty stamtąd wracać. Sabina dwoiła się i troiła, by wywołać na twarzy babuni uśmiech, ale było to zadanie niemal niewykonalne. Czasami jedynie oczy Anieli się śmiały. I to przeważnie, gdy usłyszała imię swojego ślubnego albo któregoś ze zbyt wcześnie pochowanych dziatki. Bieżące sprawy jej nie interesowały, a jadło stało w ustach. Wszyscy w chałupie bali się powiedzieć o tym na głos, ale każdy z bólem serca podejrzewał, że w przyszłym roku starowinki może już z nimi nie być.

Krótko po południu Sabina coraz częściej kręciła się przy oknie i drzwiach. Podejrzewała, że skoro Marcin znów nie zjawił się na roratach ani nie zawitał do ich chaty, pewnie już do nich dziś nie zajdzie.

– Zapakujemy do kosza wszystkiego po trochu i jak ojciec przyjdzie, możecie ruszyć w drogę – powiedziała Teresa do przycupniętej przy oknie córki, wypatrującej tatula, który na chwilę udał się do sąsiada.

– A po cóż go kłopotać w Wilię, przecież sama tam mogę pójść – zdecydowała Sabina.

– Do Łobiezowa kawał drogi, córuś – zauważyła Teresa i z troską spojrzała na dziewczynę. – Ledwo przestało sypać, trudno będzie znaleźć drogę.

– Dam radę, mateńko, w taki dzień na pewno wszystko będzie mi sprzyjać – zapewniła Sabina z uśmiechem.

– Ach, nie wiem, nie wiem... – Gospodyni pokręciła głową z wahaniem.

Sabina nie dała jej czasu do namysłu, bo poderwawszy się, popędziła pod prowadzące na stryszek schody po kosz, do którego planowały zapakować jedzenie. Zanim Teresa zdążyła się odezwać, dziewczyna już wyścieliła jego wnętrze odświętną, haftowaną serwetą i sięgnęła po misę z kutią, by przełożyć część tego wigilijnego przysmaku do mniejszej czarki.

Matka, widząc taki zapał u córki, zaraz do niej dołączyła. Nie minął nawet kwadrans, jak na stole stał wypakowany po brzegi kosz, kuszący świątecznymi smakołykami.

W tym momencie do izby wszedł Władysław.

– A co wy tak się na mnie gapicie jak sroki w kość? – Zdjął z uśmiechem czapkę i położył na zapiecku.

– Ano, uradziłyśmy, żebyś jednak ostał w chałupie i mnie pilnował, coby mnie jakie psotne duszki na marności nie zwiodły i stąd nie wywlekły, a do Łobieszowa pójdzie tylko Sabinka – oznajmiła z humorem Teresa.

Władysław podkreślił w namyśle węża i z miną, jakby zamierzał wyrazić sprzeciw, już chciał się odezwać, gdy córka dopadła do niego i z całym przekonaniem, na jaki tylko było ją stać, przekazała swoje racje. Choć ojciec się obawiał wypuszczać ją z chałupy w taką drogę, szybko uległ namowom ukochanej jedynaczki. Musiała jednak się ubrać tak grubo, że aż trudno było jej zrobić krok.

– Wyglądam jak beczka – marudziła dziewczyna, przeglądając się z lustrze, bo mimo rozsądnej natury teraz przemawiała przez nią też kobieca próżność. „Jak mnie Marcin zobaczy taką okutaną we wszystko, co się da, grubą niczym śniegowa kula, to mu się odwidzi do mnie umizgiwać”, myślała, spoglądając na swoje oczy, ledwo widoczne spod dwóch wełnianych chust. Niemniej szybko się przekonała, że bez grubej odzieży, kożucha od matuli i wielkich rękawiczek tatula niełatwo by jej było pokonać kilka kilometrów w kilkunastostopniowym mrozie, gdy przedzierała się przez zakryte śniegiem dróżki i wysokie zasy. Mimo że lodowaty wiatr smagał jej twarz, którą matula zapobiegliwie kazała nasmarować lnianym olejem, a na ustach przytrzymać plaster miodu, nie marudziła, tylko nucąc pod nosem, parła do przodu, niosąc przed sobą spory kosz. Lada chwila miała zobaczyć ukochanego. Aż się zdziwiła, że

tak łatwo dotarła na miejsce, bo przecież nigdy wcześniej nie była w tej sąsiedniej wsi i tylko Marcin nieraz opowiadał, gdzie stoi oddalona od innych domostw chałupa starej Jurczykowej.

– To musi być tutaj – skonstatowała Sabina, zatrzymawszy się pod wielką lipą, którą ozdabiał skrzący się w mdławym słońcu śnieg. Z oddali zauważyła przytuloną do zbocza niewysokiego pagórka chatynkę. Zaraz ruszyła w tamtym kierunku.

Stanąwszy przed lichymi, zbitymi z przypadkowych desek drzwiami chaty, zdjęła rękawicę i zapukała.

– A kogóż to licho niesie?! – usłyszała gderliwy, nieco skrzeczący, kobiecy głos. – Marcinie, a idźże ty wreszcie i sprawdź, kto się dobija!

Sabinę ogarnęła trema i na moment straciła pewność, że przyście tutaj było dobrym pomysłem. Lecz gdy w progu ujrzała ukochanego, na jej twarzy natychmiast pojawił się uśmiech.

– Sabinka? – Marcin miał taką błogą minę, jakby właśnie ujrzał Najświętszą Panią.

– Nie przychodziłeś ani do kościoła, ani do nas, więc pomyślałyśmy z mateńką, że... – Nie zdążyła dokończyć, bo Marcin, zauważywszy trzymany przez nią w rękach koszyk, szerzej rozwarł drzwi, by mogła wejść do środka.

Znalazłszy się w sieni, poczuła tak dotkliwy swąd spalenizny, że aż zakaszła. Jednocześnie usłyszeli dochodzący z izby głos:

– Kto tam przylazł? Chłopak czy, nie daj Bóg, dziewczucha?

Marcin wprowadził tam stremowaną dziewczynę.

– Dzień dobry – wymamrotała Sabina, ujrawszy na wpół siedzącą, na wpół leżącą na łóżku pod wysoką pierzyną prawie łysą staruszkę z wystającym podbródkiem.

– Nie masz litości, dziewczucho, żeby tak się pchać dzisiaj do kogo w gości – ozwała się z przejęciem Jurczykowa. – Teraz jeno zgryzot i mitręgi wypatrywać.

– Nie pomyślałam... – wydukała Sabina i zatrzymała wzrok na Marcinie, oczekując od niego wsparcia. Wiedziała, że staruszka po części ma rację. Bo zgodnie z tradycją, gdy jako pierwsza w Wilię dom odwiedzi kobieta, wróżyło to jedynie nieszczęścia. Zaś odwiedziny mężczyzny, najlepiej młodego chłopaka, zwiastowały dobry, pomyślny kolejny rok. Sabina nie przywiązywała do tego wagi, ale wiedziała, że rodzice i babunia święcie w ten przesąd wierzyli. Zgodnie z tym zwyczajem już z samego rana wpadł dzisiaj do Skowrońskich Janeczek, kilkunastoletni syn sąsiadów, by się przywitać i przekazać pozdrowienia od rodziców.

– Teraz to w naszej chacie na pewno będzie dobrze – oznajmił tatulo, ledwo za tamtym młokosem zamknęły się drzwi. – Dzisiaj to i tuzin bab może tu zajrzeć.

Sabina pokręciła tylko głową na te słowa, bo niektóre zwyczaje wydawały jej się nie tyle niedorzeczne, ile wręcz niesprawiedliwe i krzywdzące. Czemuż to niby odwiedziny kobiety miałyby być gorsze niż wizyta chłopaka? Dlatego właśnie nie wierzyła w takie gusła i głupoty, mogące niejednego obrazić i zranić. Ot, tak jak ją teraz. Cóż ona winna, że akurat zjawiała się dziś w chacie Jurcykowej jako pierwsza? Że w ogóle ośmieliła się urodzić w kobiecym ciele.

– Nie denerwujcie się. – Marcin próbował ugasić rozniecony nagle pożar. – Sabinka przyniosła dla nas dary, wilijne jadło.

Jurczykowa odchyliła pierzynę, by lepiej się przyjrzeć dziewczynie.

– A co ja się będę pieklić, skoro i tak rychło kostucha po mnie przylezie – rzekła cieplejszym nieco głosem. – Przynajmniej ostatnią wieczerzę godnie spożyję.

Sabina nieśmiało się uśmiechnęła.

– Przecie ten to niczego nie umie – zwróciła się Jurczykowa do chłopaka. – Z dymem by prędzej chatę puścił, niż byle jadło uwarzył.

Sabinę rozśmieszyły słowa staruszki, ale zagryzła usta, by czasem nie prychnąć. Teraz rozumiała, skąd się brał przykry zapach, który uderzył w nią, ledwo weszła do tego domu.

Strofowany Marcin podrapał się po głowie z zakłopotaniem.

– Chciałem przyszykować coś na wieczerzę, ale nie wyszło. – Zerknąwszy na Sabinę, rozłożył bezradnie ręce.

– Coś tam przyniesła? – spytała Jurczykowa, gdy dziewczyna odstawiła kosz na stół.

– To, co zwykle w naszej chacie się jada: śledź, groch z kapustą i grzybami, siemieniotka, kutia, piernik, strudel z miodem i kołacz z serem – wyliczała dziewczyna i ślinka jej ciekła, bo sama była już głodna po dzisiejszym ścisłym poście i wcześniejszych, ubogich w jadło dniach. – Matula dali też kawałek kiełbasy i słoninę na omastę.

– A jednak Pan Bóg nie zapomniał o nas, Marcinie. Nie będziemy dziś głodować, jeno zasiądziemy do wieczerzy, jak przystało – rzekła Jochasia do chłopaka z zadowoleniem, lecz szybko, jak to miała w zwyczaju go obsztorcowała. – Co tak stoisz jak niedojda? Nie widzisz, że dziewczucha umarznięta? Pewnikiem kawał drogi tu lazła, a ty jej nawet czego ciepłego na rozgrzewkę nie dasz do picia.

Wciąż siedząc na łóżku, staruszka opuściła nogi na podłogę i zarzuciła na plecy chustę. Była chyba jednak zbyt słaba, by stanąć, gdyż ta, wydawałoby się, lekka czynność sprawiła jej nie lada wysiłek.

– Mieliście odpoczywać – zwrócił się do niej Marcin, zalewając w glinianym kubku wrzątkiem zebrany w czasie letnich dni aromatyczny susz.

– Ty mi tu nie praw, co mogę, a czego mi nie wolno – oburzyła się starowina, ale z pomocą Marcina, który widząc, że się zachwiała, szybko do niej doskoczył, z powrotem wgramoliła się na łóżko, przyjmując tę samą co wcześniej pozycję.

Po chwili Sabina, która w międzyczasie zdążyła zdjąć ciepłe okrycia, a teraz siedziała przy stole, popijając smaczny i, co najważniejsze, rozgrzewający napar, usłyszała dochodzące od strony łóżka pochrapywanie. Uśmiechnęła się znacząco do Marcina i ręką przywołała, by usiadł obok.

– Teraz przynajmniej wiem, czemu ta babula ci taka bliska – rzekła szczerze, a słowa te przypieczętowała uśmiechem.

– Naprawdę tak myślisz? – zdziwił się Marcin.

– Tak – przyznała skwapliwie Sabina. – Szlachetny człowiek jest z pani Jurczykowej, ja to wiem. Pewnie tylko życie zbyt mocno ją wychłostało i teraz się boi dobra płynącego od ludzi. Nie wierzy w nie. Ale myślę, że dzięki tobie wreszcie go doznała.

Marcin na moment opuścił głowę i potarł oczy. Sabina się domyśliła, że zapewne się wzruszył i nie chciał tego przed nią pokazać. Miała niewiele ponad dwadzieścia wiosen – choć niektóre z wioskowych kumoszek i tak umieściłyby ją w kręgu starych panien – ale zdążyła już zauważyć, że w podobny sposób jak Marcin zachowują się też inni mężczyźni. Z zupełnie niezrozumiałego dla niej powodu bali się pokazywać uczucia, a już nie daj Bóg, by przy dziewczynie uronić choćby łzę. Co by to był za wstyd. Nie chciała dręczyć Marcina, więc się zabrała do wyjmowania wiktuałów z kosza. Dopiero gdy zauważyła, że doszedł już do siebie, zwróciła się do niego:

– Może byśmy tu trochę posprząтали i izbę ozdobili? – Rozejrzała się po osmolonych ścianach i burym wnętrzu.

Czasu było zbyt mało na gruntowne porządki, ale co nieco mogli zdziałać. Stół, ławę, lichą szafkę przy ścianie i kufer wyszorowali słomianym wiechciem, zamietli też klepisko, skropiwszy je wcześniej wodą. Wspiąwszy się na zydelek, Sabina powycierała lnianą szmatką święte obrazy. Potem wybrali się po iglaki i słomę. Wróciwszy, ozdobili zielonymi gałązkami ściany i obrazki, a jedną, najbardziej okazałą, sosnową, umieścili nad stołem. Nie była wprawdzie tak imponująca jak podłazniczka w chacie Skowrońskich, ale w skromnej izbie Jurczykowej od razu zrobiło się przyjemniej.

Marcin przypomniał sobie, gdzie gospodyni trzyma różne szpargały, i okazało się, że znaleźli tam pudełko z bibułą i bożonarodzeniowymi ozdobami. Niektóre były bardzo zniszczone, ale część z nich, nadająca się do wykorzystania, zawisała na jedlinowych i świerkowych gałązkach, a także okrasiała sosnowy stroik nad stołem. Rychło dołączyły do tego zbioru szyszki, orzechy i jabłka.

– Szkoda, że nie pomyślałam, by wziąć choć kilka ozdób. W tym roku niemało ich zrobiłam. – Sabina stanęła na środku izby i podpierając się pod boki, rozejrzała się wokół.

Wnętrze wyglądało całkiem przyzwoicie, ale brakowało tu jeszcze więcej upiększeń. Nagle się poderwała i chwyciwszy w dłonie słomę, usiadła przy stole i z wprawą zaczęła pleść łańcuch, przetykając go zrobionymi szybko kwiatkami z bibuły. Umieściwszy go na podłaznicze obok innych ozdóbek, wreszcie była z siebie w pełni zadowolona.

– Aleś ty zdolna, Sabinko. – Marcin patrzył na ukochaną z dumą i miłością, a ona aż unosiła się nad ziemią z radości.

Kiedy w kącie izby stanął symbolizujący dobrego ducha domu snopek zboża, zwany dziadem, a pod stół Marcin włożył siekierkę i kosę, mające

chronić domowników przed chorobami i złem, Jurczykowa akurat się przebudziła.

– Czemuż się tak trzaskasz? – zrugła Marcina, któremu jak na złość wypadł z ręki cebrzyk.

– Śpijcie spokojnie – rzekł chłopak.

– Spać to będę na tamtym świecie, a teraz trza wieczerzę uszykować.

– My tu już wszystko zrobili...

– Coście zrobili? – Podniosła się na rękach i spojrzała srogo na Marcina. – Aaa... – Dojrawszy Sabinę, uśmiechnęła się. Potem powiodła zdumionym wzrokiem po posprzątanym i udekorowanym wnętrzu. – Najświętsza Panienko, a cóż to za dziwy...

– Trochę tu uprzątnęliśmy i żeby było przyjemniej, przynieśliśmy zielone gałązki. – Nie wiedząc, jakiej reakcji może się spodziewać po staruszce, Sabina czujnie się w nią wpatrywała.

– Dziecinko, niech ci to Bóg wynagrodzi – rzekła wzruszona do żywego Jurczykowa, nie panując nad łzami, które obtarła z policzków wierzchem rękawa lnianej koszuliny. – Tam jest obrus, który jeszcze mojej świętej pamięci świekra wyhaftowała. Wyjmij i daj na stół. – Pokazała na kufer.

Sabina posłusznie podeszła i uchyliwszy wieko skrzyni, pod stertą zużytych, choć czystych i starannie ułożonych ubrań znalazła biały obrus obwiedziony ładną mereżką. Potem nakryła nim stół, na którym najpierw ułożyli z Marcinem opłatki, a potem całą masę przyniesionych przez Sabinę wiktuałów. Gdy wszystko było już uszykowane, Jurczykowa poprosiła Sabinę, by ta pomogła jej się obmyć i przebrać w czystą odzież. Marcin w tym czasie oddalił się do swojego kąta.

Do stołu zasiedli, zanim na niebie pojawiła się pierwsza gwiazdka, bo przecież Sabina musiała zaraz ruszyć w drogę, by zdążyć na wieczerzę do rodzinnego domu. Wybierając się do Łobiezowa, nie przypuszczała, że

sprawy przybiorą taki obrót. Ale cieszyło ją, że tak się stało. Wyjątkową radość sprawiał jej uśmiech na twarzy tej biednej, samotnej staruszki, która prawdopodobnie tak mało szczęścia zaznała w życiu. Poza tym ogrzewała ją miłość Marcina, którą chłopak okazywał jej za pomocą nieśmiałych gestów. Kilka razy niby przez przypadek dotknął jej dłoni albo zgarnął z twarzy wysunięty z warkocza kosmyk włosów. Sabina miała wtedy ochotę do niego przyłgnąć i mocno się w niego wtulić, ale wiedziała, że na takie pieszczoty dopiero przyjdzie czas. Nie mogła być taka narwana i nieskromna.

– A niech to! – krzyknęła nagle Jurczykowa, gdy odmówiwszy pacierz, połamali się opłatkiem i zajęli potem miejsca przy stole.

Oboje, zarówno Marcin, jak i Sabina, spojrzeli na staruszkę pytająco, gdy ta najpierw się pochyliła, sięgając po coś, co jej upadło, a potem wyprostowawszy się, uniosła łyżkę.

– Nie doczekam ja kolejnej Wilii – zawyrokowała.

Młodzi nie odnieśli się do tych słów. Oboje wiedzieli, co znaczy, gdy podczas wieczerzy ze stołu spadnie łyżka. Znaczyło to, że jednego z domowników w nowym roku czeka śmierć. Po ciele Sabiny nagle przeszedł dreszcz i zrobiło jej się smutno. Pomyślała o swojej babuni, o złym przeczuciu, które od jakiegoś czasu nieustannie jej towarzyszyło. Ledwo skończyli jeść, dziewczyna zdecydowała, że pora jej się zbierać. Zresztą staruszkę też nagle ogarnęło ogromne zmęczenie. Sabina pomogła jej dojść do łóżka i się położyć.

– Niech ci to Pan Bóg hojnie wynagrodzi, dziewczeczko. – Gdy Sabina już miała się cofnąć, Jurczykowa z całej siły objęła ją kruchymi ramionami.
– Od nikogo nie zaznałam tela dobra, co od was. Bądźcie szczęśliwi.

Sabinie zakręciła się w oku łza, bo słowa staruszki brzmiały jak błogosławieństwo. Marcin też się wzruszył. Podszedł do łóżka i pogładził

Jurczykową po spracowanej dłoni.

– Zaslugujecie na wszystko, co najlepsze – rzekł łamiącym się głosem.

– Idź, odprowadź swój skarb i oddaj w ręce matuli i ojca, coby go nikt po drodze nie zagarnął – poleciła staruszka.

Sabina próbowała protestować, że da sobie radę sama, ale ledwo otworzyła usta, Marcin już stał przy niej. Wychodząc, zabrali ze sobą lampiony z łożowymi świecami i tym razem inną, znaną Marcinowi drogą ruszyli do Bukowej Góry. Gdy tam dotarli, na niebie migotała już nie tylko jedna gwiazda, ale całe ich tuziny.

Sabinka miała ochotę przytulić się do Marcina, tak bardzo ciągnęło ją do niego, że trudno było jej się opanować. Cofnęła się nieznacznie, żeby broń Boże nie ulec pokusie, mimo że kosztowało ją to wiele wysiłku. Dłonie Marcina aż się rwały, by objąć ukochaną, lecz nie chciał zrobić niczego, co postawiłoby ją w niezręcznej sytuacji. Mimo że młodość rządzi się swoimi prawami, szanował Sabinkę i jej rodziców, którzy przecież mu zaufali. I choć na usta pchały mu się zupełnie inne słowa, spojrzawszy w nieboskłon, rzekł:

– Ooo, kury będą się dobrze niosły.

Sabina zachichotała.

– Tylko nie mów, że w to wierzysz. – Popatrzyła z kpiącą miną.

– Nie wiem. – Marcin się zmieszał. – Matula tak zawsze mówiła.

Gdy dotarli do chaty Skowrońskich, Władysław z Teresą akurat stali przed wejściem, z niepokojem wypatrując córki.

– Chwała Bogu, że jesteście... jesteście! – Kobieta uściskała córkę i przywitała się z Marcinem. – Ojciec już miał za tobą iść. Ale najważniejsze, żeś dotarła. Możemy siadać do wieczerzy.

Skowrońscy zaprosili do stołu także Marcina, ale choć bardzo go korciło, odmówił, czując, że powinien jak najszybciej wracać do

Łobiezowa. Nie chciał, żeby w takim szczególnym dniu jak dzisiaj i przez święta jego gospodyni, którą coraz śmielej nazywał w myślach babunią, była sama. Zajrzał tylko na chwilę do Anieli, by wreszcie móc się z nią przywitać. Oj, słabiutka mu się ona zdała i blada, jak gdyby życie z niej uchodziło. Podobnie jak Jurczykowa siedziała w łóżku, sprawiając wrażenie, jakby nie miała ochoty stamtąd wychodzić.

Hamując łzy wzruszenia, Sabina stała w progu, kiedy Marcin podszedł do jej babuni i się z nią przywitał. Może nie powinna podsłuchiwać, lecz nie mogła sobie darować nielicznych, jak czuła, chwil, jakie jeszcze miała przeżyć z babcią. Chciała się nią nacieszyć do końca.

– Marcinie, wreszcie żeś zmądrzał – rzekła Aniela, posapując. – A już myślałam, że nie doczekam tego dnia.

Zawstydzony chłopak uśmiechnął się jedynie na te słowa, bo cóż mógł powiedzieć. Wiedział, że wybrał okreśną drogę, by dojść do serca Sabinki. W tym czasie musiał sporo zrozumieć, wiele się o sobie nauczyć, ale najważniejsze, że dotarł w porę. Mogło się bowiem zdarzyć, że w miejscu, gdzie niegdyś kwitły piękne kwiaty, zastałby perzynę. Niemało brakowało, by utracił ukochaną dziewczynę. Nie chciał zamęczać seniorki swoją obecnością, dlatego szybko się pożegnał. Zerknąwszy na nią od drzwi, widział, jak Aniela położyła głowę na poduszce i zamknąwszy oczy, westchnęła. Choć nieruchoma, niemal uśpiona, odniósł wrażenie, że staruszka wybiera się w daleką podróż.

– Dziękuję za tę szczególną Wilię – powiedział wzruszony Marcin, gdy Sabina odprowadziła go za próg. Nie chciał jej już dłużej zatrzymywać, bo Skowrońscy życzyliby sobie w końcu spożyć wieczerzę, ale nie był w stanie się z nią rozstać. Najchętniej przygarnąłby ją do siebie, ale nie wypadało tak spoufalać się z panną niemal pod okiem jej rodziców.

Sabina nieśmiało się uśmiechnęła. Patrząc mu prosto w oczy, zdawało się, że czeka na kolejne słowa.

– Mam nadzieję, że kolejną Wilię spędzimy razem, a potem powiodę cię na pasterkę – rzekł Marcin.

– Chciałbyś?

– To moje wielkie, największe marzenie, żebyś ty... i ja... żebyśmy byli razem... – Mimo że Marcin mówił z głębi serca, kolejne słowa przychodziły mu z trudem. Po raz pierwszy próbował bowiem wyznać miłość. Po raz pierwszy się zakochał. – Nie wiem tylko, czy mnie przyjmiesz.

– Przyjmę cię, Marcinie – zapewniła Sabina, a ze szczęścia omal nie rzuciła mu się na szyję. Hamowała się tylko dlatego, że w oknie zauważyła ojca, który pewnie coraz bardziej się niecierpliwił.

– To najwspanialsza wiadomość dzisiejszego dnia. – Chłopak się ucieszył. – To w ogóle najwspanialsza wiadomość, jaką kiedykolwiek usłyszałem. W tę szczególną noc cudów jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Gdy Sabina wpadła potem do chałupy, z wrażenia nie mogła wymówić słowa, tylko wciąż rozsiewała uśmiechy.

– Oj, coś mi się zdaje, Tereniu, że w nowym roku szykuje się nam weselisko – wspomniał ni to poważnie, ni to żartem Władysław.

– Najwyższa pora, Władziu, najwyższa pora – odparła żona.

Sabina puściła te słowa mimo uszu, ale jej serce wyczyniało fikołki. Oby już nadszedł ten nowy rok. Oby Marcin wreszcie był jej, a ona jego. Oby wszystko dobrze się ułożyło.

Chwilę później rodzina Skowrońskich zasiadła do wieczerzy. Mimo wszystko to był dobry czas, który miał przynieść kolejne zmiany. Wszyscy niecierpliwie na nie czekali.

Bukowa Góra dzisiaj



O powieść Rozalii tak bardzo nastroiła mnie świątecznie, że przez kolejne dwa dni chłonełam wyjątkową atmosferę miasteczka, dostrzegając rzeczy, których nie zauważałam wcześniej. A to oryginalną dekorację w sklepie papierniczym, do złudzenia przypominającą wystrój wiejskiej chaty. Wielką gwiazdę i ozdoby ze słomy na małej żywej choince, a obok anioły w słomianych szatach. To znów urokliwą kwiaciarnię, urządzoną w taki sposób, jakby zatrzymał się tam czas, a w niej cudowne stroiki, w szczególności bożonarodzeniowe wieńce, które z powodzeniem mogłyby sto lat wcześniej ozdabiać chłopskie domostwa.

Byłam nad jeziorem, przy okazji odwiedzając też Laureę, i próbowałam odszukać miejsce, gdzie Sabina natrafiła na wycieńczonego Marcina. Niestety dotarłam tylko do pomostu, bo dalej dostępu broniły zasy. Oczywiście po drodze odwiedziłam też kapliczkę i zatrzymałam się tam trochę dłużej niż dotychczas. Kolejny raz się przekonałam, że maleńka świątynia miała w sobie coś niesamowitego. Łatwo można tam było wejść w szczególny nastrój przypominający medytację. Myśli stawały się klarowne, a duszę ogarniał spokój. To dziwne, bo chociaż w Bukowej Górze upomniały się o mnie sprawy z przeszłości, wydawało mi się, że wszystko jest na właściwym miejscu. Niecierpliwie czekałam tylko na listy od ojca, bo podświadomie wiedziałam, że cokolwiek z nich wyczytam,

wypełni to podsycaną żalem lukę nieświadomości, której istnienie przez lata skrupulatnie ignorowałam. A kiedy wreszcie przesyłka się pojawiła, bałam się po nią sięgnąć.

– Świetnie, że jesteś, zupełnie jakbyś wyczuła, bo zaledwie pięć minut temu był tu listonosz – zakomunikowała radośnie Rozalia, jakby miała wręczyć mi wyczekany podarek. – Przyniósł tę przesyłkę, o której wspominałaś.

– Ach... – wyrwało się mi jedynie, choć przecież za każdym razem, gdy przekraczałam próg Złotego Serca, liczyłam na ten moment. Bardzo chciałam wziąć do rąk te listy, a potem zaszyć się w cichym kącie i poznać ich treść.

– Proszę... – Rozalia, zauważywszy moje niezdecydowanie, ostrożnie wsunęła mi w dłoń niewielką paczkę. Wiedząc zaś, co zawsze poprawia mi humor, od razu zaproponowała moją ulubioną czekoladę.

W tamtej chwili nie bardzo docierało do mnie to, co mówiła, ale skwapliwie przytaknęłam. Kilka minut później siedziałam przy kontuarze, racząc się pysznym napojem, który i tym razem rozlał się po moim ciele przyjemną ciepłą słodyczą, uspokajając zmysły. Rozmawiałyśmy z Rozalią swobodnie, bo z rana ruch był mały, a w tym czasie mój wzrok co rusz uciekał w stronę leżącej na sąsiednim krześle przesyłki.

– To chyba coś ważnego – zagaiła Rozalia, gdy kolejny raz zerknęłam na paczkę.

– Tak – odparłam ze zmieszaniem, jakby przyłapała mnie na czymś niestosownym. Nie powiedziałam dotąd Rozalii, bo właściwie nie było okazji, o ostatniej rozmowie z ojcem i listach, które zdecydował się do mnie wysłać. – To listy...

– Listy? – spytała, ale bez nacisku.

– Listy od mojego ojca. Pisał je przez ostatnie lata i chce, żebym je teraz przeczytała – wyjaśniłam zwięźle.

– Ooo, w życiu bym na to nie wpadła. – Rozalia nie próbowała nawet ukryć zdumienia wywołanego moimi słowami. – Sądziłam, że teraz już nikt nie pisze listów.

Nagle przypomniał mi się Maurycy i odruchowo chciałam wspomnieć o pisanych przez niego wiadomościach i liście, jaki niedawno wysłałam do jego córki, lecz na szczęście w porę się powstrzymałam.

– Pewnie się obawiasz tego, czego się możesz z nich dowiedzieć – domyśliła się starsza pani.

– To prawda – potwierdziłam, bo o ile wcześniej niecierpliwie ich wyczekiwałam, o tyle teraz, myśląc o nich, miałam coraz większego pietra.

– Wiesz, to w sumie dobry sposób na wyznanie uczuć. Ludzie z reguły boją się mówić o tym, co siedzi im w duszy, a przenosząc to na papier, pewnie łatwiej jest się zmierzyć z własnymi emocjami. Gdy byłam młoda, popularne było pisanie pamiętników. Jak teraz myślę o tym z perspektywy czasu, wydaje mi się, że to naprawdę niegłupie rozwiązanie. Miałam kilka takich zeszytów i pewnie dziś śmieszyłoby mnie to, co wówczas tam nabazgrałam, ale przecież każdy wiek ma swoje prawa, a wchodzącym dopiero w dorosłość nastolatkom łatwiej w taki sposób poradzić sobie z problemami. Mam przecucie... Właściwie to jestem pewna, że te listy wiele wyjaśnią i na powrót zbliżą cię do ojca.

– Bardzo bym tego chciała – wyrwało mi się i zawstydziłam się tych słów. Moje bojowe nastawienie przegrywało w walce z ogarniającym mnie sentymentalizmem i chęcią poukładania w sobie tego, co wcześniej zdawało się w kompletnym chaosie i na co, jak sądziłam, nie miałam wpływu.

– Dzień dobry! – Do środka, wnosząc grudniowy chłód, ale za to ciepły uśmiech, wkroczyła Agnieszka. – Pani Rozalio, trzeba szykować masę talerzy i filiżanek. Przechodząc obok parkingu, zauważyłam autokar z włoskimi turystami.

Uznałam, że pora się zbierać. Słowa Agnieszki szybko zresztą się potwierdziły, ledwo bowiem stanęłam na chodniku, a dojrzałam zbliżającą się do kawiarni wycieczkę, o której wspomniała.

Szybko dotarłam do mieszkania, zrzuciłam zimową odzież i z bijącym sercem stanęłam w pokoju. Rozejrzałam się i położyłam karton na stoliku. Zanim zdecydowałam się go otworzyć, przez dłuższą chwilę mu się przyglądałam. W końcu impulsywnie rozdarłam tekturę, wyjęłam równo ułożoną stertę kopert, po czym rozsypałam je na blacie. W miejscu adresata na każdej z nich widniało moje imię i nazwisko oraz niewielkie cyfry, prawdopodobnie sygnalizujące, w jakiej kolejności powinnam czytać listy. Żeby ochłonać, ruszyłam do kuchni, gdzie pozbyłam się kartonu, a kiedy ponownie stanęłam nad wachlarzem kopert, byłam w pełni gotowa, by zacząć czytać.

Z przeczuciem, że teraz nie ma już odwrotu, a ja znajduję się na najlepszej drodze do poznania niewiadomego, uniosłam pierwszy z listów i spojrzałam na wymowną cyfrę „jeden”.

– No to zaczynamy. – Rozdarłam kopertę i wyjęłam kilka kartek zapisanych dobrze mi znajomym, niezbyt ładnym, ale najważniejsze, że czytelnym charakterem pisma.

Kochana Sonieczko,

Nie sądziłem, że naszą rodzinę może osiągnąć taka tragedia. Krysia była moją największą miłością, a Twoje narodziny jeszcze pogłębiły nasze uczucie. Jej śmierć mną wstrząsnęła, wywróciła świat do góry nogami.

Teraz wiem, że Ty przeżywałaś to równie mocno, a pewnie jeszcze bardziej ode mnie, ale wtedy, zagubiony w rozpacz, nie umiałem tego dostrzec. Zostawiłem Cię, tak bardzo

potrzebującą uwagi i zrozumienia, samotną. Trudno mi to sobie teraz nawet wyobrazić, a jeszcze trudniej wybaczyć, gdy myślę, że młoda, nierozumiejąca tego, co ją spotkało, dziewczyna, została zupełnie sama. Teraz wiem, że przez pierwsze miesiące po śmierci Krysi byłem przy Tobie jedynie ciałem. Starłem się zaspokoić Twoje życiowe potrzeby, całkowicie bagatelizując uczucia. Bałem się tego, bo w Twoich oczach widziałem nie tylko rozżalenie i ogromną tęsknotę, ale też kawałek przeszłości, wspomnienia, do których nie chciałem wracać. Masz takie same dobre i piękne oczy jak Twoja mama. Pamiętam, jak pierwszy raz ujrzałem Cię, gdy Krystyna wyszła z Tobą ze szpitala. Wówczas nie wpuszczano jeszcze ojców na porodówkę. Powziąłem wtedy decyzję, że przez całe Twoje życie będę cię ochraniał i nigdy się na mnie nie zawiedziesz. Niestety, zawiodłem Cię w najtrudniejszym momencie Twojego życia....

Czytałam kolejne zdania i ogarniało mnie coraz większe wzruszenie. Nie sądziłam, że tacie zapadły w pamięć takie, wydawałoby się, mało istotne fragmenty z mojego dzieciństwa, które w zabawny sposób tutaj opisał. Ja zupełnie nie pamiętałam momentu, gdy wdrapałam się na jedno z najwyższych drzew w parku niedaleko naszego osiedla i potem tata musiał mnie stamtąd ściągać. „Nazwałaś mnie wówczas swoim rycerzem i powiedziałaś, że kiedyś się ze mną ożenisz...” Kiedy czytałam trzy pierwsze listy, dotarło do mnie, jak wiele takich wyjątkowych, zagrzebanych we wspomnieniach chwil nas łączy. Okazuje się, że wystarczy zdmuchnąć z nich obłoczek kurzu, a odległe wydarzenia choć na chwilę, znów stają się dla nas realne. Wystarczy, że ktoś je dla nas przechowuje, by w odpowiednim momencie przekazać nam w formie zapisanych zdań i zaklętych w nich uczuć. Czułam się niezwykle błogo, powoli zagłębiając się w tamten odległy czas, choć ogrom towarzyszących temu emocji nieco mnie też przytłaczał. Nawet jeślibym chciała, nie dałabym rady przeczytać wszystkiego naraz. Musiałam przyswajać sobie te wyjątkowe wiadomości porcjami, żeby móc je spokojnie przemyśleć.

Już dziś, gdy odłożyłam przeczytane listy na bok, byłam pewna, że koniecznie muszę się spotkać z ojcem. To nie tak, że od razu go rozgrzeszyłam – nie wiedziałam przecież, co napisał na kolejnych kartkach

– czułam jednak, że bardzo za nim tęsknię i jakkolwiek by było, chciałam spojrzeć mu w oczy. W pierwszym odruchu od razu zamierzałam do niego zadzwonić, ale zanim zdążyłam wybrać numer, doszłam do wniosku, że najpierw muszę ochłonąć. Emocje, dobre czy złe, nie są właściwym doradcą.



Bardzo miło wspominałam ostatnie spotkanie z Bartoszem i, co mnie dziwiło, często przyłapywałam się na tym, że o nim myślę. Uśmiechałam się wówczas, bo odkąd wyjaśniliśmy sobie przykre zajście w Żłotym Sercu, całe to wydarzenie wydawało mi się nawet zabawne. Poza tym Bartosz potrafił tak wciągająco opowiadać, że chętnie znów bym go posłuchała. I oczywiście z nim porozmawiała, bo przekonałam się, że w jego towarzystwie ja też mam wiele do powiedzenia. Do tego rozbierał mnie jego humor. Był pierwszym mężczyzną, przy którym mogłam się całkowicie odprężyć, nie myśląc ani o tym, jak wyglądam, ani że zaraz palnę jakąś gafę. Uświadomiłam sobie, że przy Bartoszu czułam się atrakcyjna nawet w moim zmechaconym, rozciągniętym swetrze. Dlatego tak bardzo się ucieszyłam, gdy zadzwonił z samego rana, wspominając, że będzie dziś w Bukowej Górze i chętnie by się ze mną zobaczył. Chwilę pogawędziliśmy i umówiliśmy się na piętnastą w Żłotym Sercu.

Nie sądziłam, że aż tak będę przeżywać to spotkanie. W moim odczuciu czas nagle spowolnił, a ja najchętniej przesunęłabym wskazówki zegara przynajmniej na czternastą, żeby już mogła się przygotować. Tym razem chciałam się bowiem zaprezentować Bartoszowi w nieco lepszej wersji niż ostatnio. Rzuciwszy okiem do szafy, wybrałam już nawet na tę okazję spodnie w beżowo-brązową kratę i całkiem przyzwoity, nieprzesadnie elegancki, tabaczkowy sweterek z kaszmiru z raglanowym rękawem.

Sekundy i minuty pozostały jednak całkowicie poza zasięgiem moich sugestii, musiałam więc wymyślić dla siebie jakieś sensowne zajęcie, żeby dopołudniowy czas szybciej mi upłynął. Nie główkowałam nad tym zbyt długo, bo nagle wpadłam na pomysł, by odwiedzić Maurycego. Już wczoraj miałam się do niego wybrać, ale zniechęciła mnie śnieżycą. Ciekawiło mnie, czy było już coś wiadomo w sprawie listu, który wysłałam do jego córki. Zastanawiałam się, czy kobieta się z nim skontaktowała. A może postanowiła zignorować wiadomość od ojca? Wciąż przecież nie wiedziałam, co zaszło między tymi dwojgiem. Może krzywda, jakiej doznała Barbara, okazała się tak dotkliwa, że nigdy więcej nie zamierzała spotykać się ze swoim ojcem. Ta sprawa nie dawała mi spokoju i naprawdę chciałam, żeby skończyła się happy endem. Po pierwsze, polubiłam Maurycego i jak wszystko na to wskazywało, on chyba też polubił mnie. Po drugie, intrygowała mnie zbieżność okoliczności, w jakich się znaleźliśmy.

Wczorajsza zawieja pozostawiła wielkie hałdy śniegu, co szczególnie rzucało się w oczy poza centrum. Dziś na niebie pojawiło się słońce, ale trzymał też ostry mróz, więc chcąc nie chcąc, narzuciłam sobie szybkie tempo. Gdzieś w połowie drogi dostałam jednak zadyszki i musiałam zwolnić. Tym bardziej że w grubej odzieży trochę się zgrzałam. Dalej człapałam już w żółwym tempie. Doszedłszy do miejsca, skąd widać było skrzyżowanie, a w oddali mostek prowadzący do działki mojego starszego znajomego, zauważyłam przy drodze zaparkowany samochód. Zdziwiło mnie to, bo nigdy wcześniej nie widziałam, by ktoś się tu zatrzymywał. Co więcej, gdy podeszłam bliżej, auto wydało mi się znajome. Przed oczyma zamajaczyła mi pewna scenka, ale od razu ją odrzuciłam, a skojarzenie uznałam za mało prawdopodobne. Zaśnieżoną dróżkę, mostek i dalej do domu Maurycego przemknęłam już z werwą. Ledwo minęłam gaik, gdy od strony domu usłyszałam podniesione głosy. W pobliżu wejścia dostrzegłam

dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Maurycy. To głównie jego głos niósł się po okolicy. Drugi z mężczyzn, stojący do mnie tyłem, najwyraźniej ugodowo starał się coś perswadować, lecz z oddali wyglądało to tak, że wzburzony właściciel posesji nie daje mu na to szansy. W pewnej chwili Maurycy chyba mnie dostrzegł, bo zamilkł, a potem patrzył w moją stronę. Miałam ochotę zawrócić, ale opcja wyjścia po angielsku teraz raczej nie wchodziła w grę. Nie chciałam być świadkiem konfliktu, a wszystko wskazywało na to, że zaraz będę musiała się z tym zmierzyć.

– Dzień dobry! – zawołałam z pewnej odległości, bo nagle wokół zrobiło się tak cicho, że gdy stawiałam kroki na zmrożonym podłożu, dokładnie słyszałam skrzypiący odgłos.

Wtedy odwrócił się stojący przed Maurycym mężczyzna, a ja zamarłam.

– Bartosz? – Podeszłam bliżej i wbiłam w znajomego zaskoczone spojrzenie.

– Sonia! – On również sprawiał wrażenie oszołomionego moim niespodziewanym pojawieniem się. – Ty tutaj...

Maurycy przyglądał nam się przez chwilę z nieco nieodgadnioną miną, po czym wybuchnął.

– No tak, przecież mogłem się tego spodziewać! Najpierw pojawiłaś się ty. – Obrzucił mnie wrogim spojrzeniem, które zaraz przeniósł na Bartosza. – A potem ten chłoptaś! Czego, do cholery, ode mnie chcecie?! Nie mam pieniędzy, jestem biedny jak mysz kościelna! – Rozchylił poły rozpiętej kurtki, po czym wsunął dłonie w kieszenie spodni i wyciągnął na wierzch podszewkę. – Nie ma nic!

– Ależ panie Maurycy. – Insynuacje starszego pana zwyczajnie wbiły mnie w ziemię. – Co pan chce przez to powiedzieć?

– Już ja wiem, po co żeście się tutaj pojawili, cholerni naciągacze i złodzieje. Wara mi stąd, bo inaczej wezwę policję! – Zamaszyście pokazał na ścieżkę.

Spojrzałam prosząco na Bartosza, żeby mi to wyjaśnił, ale on zdawał się równie skonfundowany, jak ja.

– Chyba rzeczywiście będzie lepiej, jak stąd pójdziemy – szepnął, nachyliwszy się w moją stronę.

– Nigdzie stąd nie pójde, dopóki nie wyjaśnimy tej sytuacji – rzekłam butnie. Wiedziałam, jaki jest Maurycy, już raz doświadczyłam jego nieprzewidywalnej natury. Byłam pewna, że zaszło jakieś nieporozumienie i koniecznie chciałam to od razu wyjaśnić. Owszem, słowa starszego pana nie pozostały bez echa, natychmiast udzieliły mi się jego emocje, ale zacisnęłam zęby, postanawiając, że nie dam się sprowokować.

– Nie dajesz mi wyboru. – Maurycy zatrzymał na mnie srogie spojrzenie. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałam go tak zdenerwowanego. Wyjął z kieszeni kurtki komórkę, po czym spojrzawszy na mnie ostrzegawczo, rzucił: – Macie minutę, żeby zabrać stąd wasze parszywe tyłki!

Tego było za wiele, wulgarność Maurycyego i ten obcy, nieco dziki wzrok mnie od niego odepchnęły. Nagle dotarło do mnie, że w tej chwili i tak nic tutaj nie wskóramy.

– Chodź. – Pociągnęłam Bartosza za rękaw kurtki. – Nic tu po nas. Chyba że chcesz trafić do paki. Mam przeczucie, że gospodarz jest zdolny do wszystkiego.

Bartosz na chwilę lekko otworzył usta i chyba chciał coś powiedzieć, lecz zaraz zrezygnował. Skojarzył mi się z wyrzuconą na brzeg rybą, próbującą zachłannie złapać powietrze. W końcu cofnął się o krok, a potem objąwszy mnie, skierował na ścieżkę, którą zaraz gęsiego ruszyliśmy

w stronę mostku. Idąc, nie odzywaliśmy się do siebie. Gdy znaleźliśmy się na granicy działki, skąd widać było jeszcze dom, pokusiłam się o to, by się odwrócić. Mimo złości zrobiło mi się też przykro. Maurycy stał przed drzwiami i patrzył w naszą stronę. W głębi siebie wiedziałam, że ten wybuch to akt desperacji z jego strony. Może i miał porywczą naturę, ale zdążyłam poznać go na tyle, by wiedzieć, że nie jest złym człowiekiem.

– Podwiozę cię do centrum – oznajmił Bartosz, kiedy dotarliśmy do samochodu.

Otworzył drzwi, a ja usadowiłam się z przodu na siedzeniu pasażera. Jechaliśmy w milczeniu, bo chyba żadne z nas nie wiedziało, jak odnieść się do tej niejasnej, przykrew sytuacji. Dopiero gdy Bartosz zatrzymał się na jednej z wąskich uliczek miasteczka, spojrzałam na niego znacząco.

– Wyjaśnisz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

– Znasz tego człowieka... Maurycego? – spytał niemrawo.

– Poznałam go kiedyś przez przypadek, przy kapliczce, gdzie ostatnio się z tobą spotkałam. Znalazłam tam jego klucze. – Zatrzymałam na Bartoszu wymowne spojrzenie. Uważałam, że to mnie należą się tłumaczenia. – Potem widzieliśmy się kilka razy.

Bartosz zdjął czapkę i gwałtownie przesunął ręką po włosach, co wyglądało tak, jakby szukał rozwiązania.

– Może gdzieś usiądziemy i spróbuję ci to jakoś wyjaśnić... – odezwał się w końcu, ale bez przekonania.

– Chyba nawet byliśmy dziś umówieni. – Uniosłam brwi i spojrzałam na cyfry samochodowego zegara. Dochodziła dwunasta.

– Tak – zmieszał się. – Jakoś ciągle wpadamy na siebie przypadkiem.

– Skoro już się spotkaliśmy, chodźmy gdzieś – zdecydowałam.

– Złote Serce?

– Dobry wybór. Najlepszy... – przyklasnęłam.

Po dziesięciu minutach siedzieliśmy już w znajomej kawiarni. Tym razem trafił nam się stolik w bardziej widocznym miejscu, przy ścianie, ale dzisiaj nie miałam już takich obaw jak ostatnio związanych z naszym spotkaniem. Poza tym to atmosfera Złotego Serca była najważniejsza i każdy, bez znaczenia gdzie zajął miejsce, mógł się tutaj czuć wyjątkowo.

– Orzechowe Oczarowanie? – Gdy Bartosz zerkał do menu, pozwoliłam sobie nawet na żart.

Uśmiechnął się do mnie i widziałam, że towarzyszące nam od kilkunastu minut napięcie trochę zelżało. Ostatecznie oboje zdecydowaliśmy się na pomarańczową czekoladę i egzotyczne pralinki. Widać było, że Rozalia ucieszyła się na nasz widok, bo przywitała się z nami spontanicznie, uśmiechając się i żartując. A kiedy podawała nam zamówione słodkości, familiarnie poklepała nawet Bartosza po ramieniu. Zauważyłam, że i on czuł się tu wyśmienicie. Nie wiem, czy to magia, czy serdeczność właścicieli, ale nie raz się przekonałam, że nikt nie mógł pozostać obojętny na urok tego niezwykłego miejsca. Wyglądało na to, że żadne z nas nie ma ochoty wracać do przykrew sytuacji, w której się dzisiaj znaleźliśmy, bo najpierw zaczęliśmy mówić o tym, co znajome i co w pewnym sensie nawet mnie przynosiło frajdę – o pracy. Wypadało jednak poruszyć wreszcie niemiły temat.

– Przykro mi, że tak to wszystko wyszło. – W końcu Bartosz uznał, że nadszedł czas, by do tego nawiązać. Rozluźniony i uśmiechnięty, nie przypominał mężczyzny, którego godzinę wcześniej spotkałam pod domem Maurycego.

Zatrzymałam na nim wyczekujące spojrzenie. Ja wyjaśniłam mu, wprawdzie ogólnie, swoją relację z Maurycem. Teraz kolej na niego.

– Przyznaję, że byłem tam już dwukrotnie, więc starszy pan rzeczywiście mógł się poczuć tym zaniepokojony. Kręciłem się koło jego

domu. Myślałem, że mnie nie widział. Dopiero dzisiaj, gdy tak obcesowo nazwał nas złodziejami, dotarło do mnie, że wziął mnie za bandziora – rzekł z zawstydzeniem Bartosz.

– Po co tam byłeś? – Jego słowa rozpały moją ciekawość.

– Podejrzewam... – Wypowiedzenie kolejnych słów przychodziło Bartoszowi wyjątkowo opornie. – Podejrzewam, że to mój dziadek.

– Twój dziadek? – Wlepiłam w Bartosza oszołomione spojrzenie.

– Ech, to zawiła i wyjątkowo delikatna sprawa. Przez przypadek, jeszcze jako nastolatek, znalazłem u mojej mamy zdjęcie Maurycego. Pamiętam, że strasznie się wówczas na mnie zdenerwowała. Zapytałem, kto to, ale mama – jak nie ona – bezczelnie mi wtedy odpowiedziała, żebym nie wpychał łapsk w nieswoje sprawy. Ogromnie mnie to wtedy ubodło, ale przeprosiłem ją i obiecałem, że więcej nie będę zaglądał do jej rzeczy. Chociaż właściwie nigdy tego nie robiłem. To mama tamtego dnia kazała mi poszukać jakichś papierów. Wyjąłem starą teczkę i ta ukryta między papierami fotografia sama wsunęła mi się w rękę. Jak możesz się domyślić, później nie dawało mi to spokoju. Od tamtej pory zacząłem dokładniej przysłuchiwać się temu, co mama mówi, i przekonałem się, że między wierszami można wyczytać wiele wskazówek. Drażyłem, szukałem, ale przez lata stałem w miejscu. Domyśliłem się jedynie, że mężczyzna ze zdjęcia to prawdopodobnie ojciec mojej mamy, z którym ta z jakiegoś powodu nie chce mieć nic wspólnego. Na dobrą sprawę wciąż tego nie wiem. Dopiero dwa lata temu, gdy mama zdecydowała się na stałe wrócić do Polski i przyszła do niej jej dawna przyjaciółka, niechcący podsłuchałem ich rozmowę. Właściwie to sam koniec. To wtedy padło imię i nazwisko tego człowieka. Z kolejnych słów dowiedziałem się, gdzie mieszka i że to najpewniej mój dziadek. Ostatnio mama zrobiła się jakaś rozdrażniona, często się zamyślała. Nie wiem dlaczego, ale skojarzyłem, że to ma

związek z jej przeszłością. Pod wpływem impulsu przyjechałem do Bukowej Góry i postanowiłem się tu rozejrzeć. Gdy poprzednio byłem pod tamtym domem, kusilo mnie nawet, żeby zapukać i zwyczajnie wyłożyć kawę na ławę, ale nie uwierzysz, że w chwili, gdy wziąłem się na odwagę i już miałem zamiar wejść na schody, zadzwoniła moja mama i zrobiło mi się strasznie głupio, że węszę za jej plecami. Bądź co bądź, gdyby chciała, powiedziałyby mi o istnieniu dziadka. Widocznie ten człowiek nie był tego wart... – Bartosz spojrział z zastanowieniem w okno.

– Nie wiem... To wydaje się dziwne, ale... poznawszy pana Maurycego, odniosłam wrażenie, że mimo wszystko to jest dobry człowiek. – Z głębokim przekonaniem przekazałam to, co czułam.

Bartosz przeniósł na mnie zamyślane spojrzenie. Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć mu o listach, które Maurycy przez trzydzieści lat pisał do swojej córki, a szczególnie o ostatnim, który kilka dni temu wysłałam. Przekonałam się, że nie należy się mieszać w nie swoje sprawy, ale ta sytuacja była wyjątkowa. Może więc wypadało szepnąć coś na ten temat?

– A jak nazywa się twoja mama? – spytałam z ciekawości.

– Barbara Mayer – odparł, nie spuszczając ze mnie oczu.

Odpowiedź Bartosza wszystko skomplikowała. Może mama Bartosza to jednak nie Basia, córka Maurycego.

– O co chodzi? – Bartosz od razu zauważył, że nad czymś główkuję.

– Eee, nic... – Machnęłam ręką, bo doszłam do wniosku, że chyba rzeczywiście nie powinnam wyjawiać sekretu Maurycego. Zarazem czułam, że najlepiej byłoby teraz wszystko wyjaśnić.

– Coś wiesz, tak?

Westchnęłam, zrozumiałwszy, że raczej nie wywinę się od odpowiedzi.

– Ostatnio pan Maurycy poprosił mnie, właściwie to samo wyszło, żebym... wysłała list, który napisał do swojej córki. Ale ona nie nazywała się Barbara Mayer – rzekłam z poczuciem winy, że prawdopodobnie mówię o czymś, o czym nie wypada.

– A jak się nazywała? – Bartosz w napięciu oczekiwał na to, co usłyszy.

– Barbara Borowska, tak samo jak pan Maurycy.

– To panięskie nazwisko mojej mamy. Mayer nazywa się po drugim mężu – oznajmił Bartosz, nie kryjąc podekscytowania, ponieważ moja odpowiedź wiele wyjaśniała.

– A ty jesteś Chmielewski – zauważyłam, bo od wielości nazwisk zaczęło mi się już wszystko mieszać.

– To po moim ojcu – przyznał jakby nieco zawstydzony i opuścił wzrok, a ja uznałam, że niepotrzebnie o to zagadnęłam. Potem na kilka minut zrobiło się nieco niezręcznie. Oboje usilnie próbowaliśmy zacząć rozmowę, ale cokolwiek któreś z nas powiedziało, nic z tego nie wychodziło. Niczym gradowa chmura wciąż wisiała bowiem nad nami sprawa Maurycego i jego córki.

– Jak myślisz, co powinienem zrobić? – spytał Bartosz, patrząc na mnie uważnie, kiedy już wydawało mi się, że nie wrócimy do tematu.

– Ja... raczej nie mam prawa się w to mieszać... – wydukałam zakłopotana.

– Kurczę, wyszedłem przed nim na chuligana, a tak naprawdę... – Bartosz urwał nagle.

– Wiesz co, chyba na razie będzie lepiej, gdy ochłoniesz i na spokojnie to przemyślisz. Może samo życie podsunie ci wskazówkę – rzekłam. – Ciekawe, czy twoja mama przeczytała ten list.

– Tego nie wiem, nie mieszkamy razem. Nie widzieliśmy się od tygodnia, będę musiał ją w najbliższym czasie odwiedzić. Chociaż wiesz...

– Tak?

– Dzwoniłem wczoraj do mamy i jak nigdy rozmowa kompletnie nam się nie układała. Mama wydała mi się jakaś nieobecna i nawet dwa razy musiałem powtarzać pytania, bo wyszło, że mnie nie słuchała. Może powodem był ten list?

– Może...

– No nic, trzeba będzie to jak najszybciej sprawdzić. W ostatnim czasie nie miała łatwo. Trzy lata temu zmarł mój ojczym, wspaniały człowiek, z którym zresztą ja też od dziecka byłem mocno związany. Mama bardzo to przeżyła. Po śmierci Antona podjęła decyzję o powrocie do ojczyzny. Mam wyrzuty sumienia, bo ostatnio trochę ją zaniedbywałem – mówił zmartwiony.

– Na pewno wszystko sobie wyjaśnicie – rzekłam pocieszająco. – Zazdroszczę ci tej relacji, ja straciłam mamę wiele lat temu... – dodałam, po raz pierwszy odważając się na takie osobiste zwierzenie. Dotychczas nasze rozmowy, choć miłe i interesujące, krążyły wokół bezpiecznych tematów. A jeśli nawet przypadkowo wyjawiliśmy coś z prywatnego życia, nie było to szczególnie ważne. Teraz poczułam się gotowa, by kolejny raz, odkąd przyjechałam do Bukowej Góry, zmierzyć się z przeszłością. Ta przeszłość stanowiła przecież niezaprzeczalną część mojego życia, nie należało się jej wypierać.

– Przykro mi...

– To było dawno i... Chciałabym powiedzieć, że już się z tym pogodziłam, bo właściwie w pewnym sensie tak jest, ale myślę o tym, jak diametralnie zmieniło się przez to moje życie – ciągnęłam dalej z całkowitym przekonaniem, że chcę, by Bartosz dowiedział się o mnie czegoś więcej. Kolejne słowa popłynęły same, a wspomnienia układały się lekko, zachodząc jedno na drugie, i w ciągu kilkunastu minut, może trochę

dłużej – nie wiem, bo zupełnie straciłam poczucie czasu – przekazałam Bartoszowi najważniejszą część mojej historii. Postawiłam na całkowitą szczerść, niczego nie osładzałam ani nie ubarwiałam. Znow wróciłam do dnia, gdy zmarła mama, a potem opowiedziałam o tygodniach i miesiącach, gdy oddalaliśmy się z ojcem od siebie. O mojej samotności i nieoczekiwanym pojawieniu się w jego życiu Marty, której celem od początku było rozdzielenie nas. Wspomniałam o wyprowadzce z domu, moich zmaganiach, by się utrzymać, i życiu na własny rachunek. Ośmieliłam się powiedzieć o lęku przed zaufaniem i o braku odwagi, by sięgać po więcej. Mówiłam i mówiłam, a kiedy zamilkłam i spojrzałam w oczy Bartosza, wyczytałam z nich nie tylko współczucie, ale też podziw i coś jeszcze, czego nie potrafiłam rozszyfrować. Jakiś rodzaj tkliwości i fascynacji. W każdym razie speszyło mnie to, więc odwróciłam wzrok. Nie żałowałam i ani trochę nie wstydziłam się swojego wyznania, chodziło raczej o reakcję Bartosza na moje słowa.

– Nawet nie wiesz, jak dobrze cię rozumiem – rzekł Bartosz, po czym dotknął mojej ręki. Nie wiem, czy był to planowany gest, czy impuls, a może zwykły przypadek, gdy nasze palce nagle się zetknęły.

Moja reakcja zmusiła go do cofnięcia dłoni. Nie odsunęłam się wprawdzie, ale spojrzałam na niego w taki sposób, jakby popełnił *faux pas*. Nie wiem, dlaczego zareagowałam jak dzikuska, skoro ten dotyk sprawił mi wielką przyjemność. Może przestraszyłam się intymności, jaka na kilka sekund pojawiła się między nami, a od której chyba odwykłam. Bałam się mężczyzn. Bałam się zranienia i odrzucenia. Odcinając więzi z rodzinnym domem i postanawiając być samowystarczalną, podświadomie podjęłam decyzję, że to będzie też dotyczyć osobistej sfery mojego życia. Byłam singielką. Spotykałam się kilka razy z jakimiś mężczyznami, ale kończyłam znajomość, zanim mogło dojść między nami do czegoś istotnego.

Zwyczajnie nie chciałam się angażować i chyba celowo wybierałam takie obiekty moich uczuć, bym mogła łatwo zakończyć relację. Przy Bartoszu od początku, pomijając oczywiście nasze pierwsze spotkanie, czułam się wyjątkowo. Jako mężczyzna niepokoił mnie, lecz zarazem fascynował. Jego widok kusił i sprawiał przyjemność. Zastanawiałam się, czy to nie pora, by powiedzieć „stop”. Na szczęście moja gwałtowna reakcja go nie zraziła. W każdym razie zachowywał się jak gdyby nigdy nic, a potem zaczął mówić o sobie.

– Zwierzenie za zwierzenie – rzekł poważnie, ale jego oczy się śmiały i w ciągu kolejnych minut teraz to ja wsłuchiwałam się w jego opowieść.

Dowiedziałam się, że jego ojciec porzucił matkę, gdy Bartosz miał zaledwie kilka miesięcy, i przez pierwsze lata jego życia kobieta z trudem była w stanie zapewnić im byt. Gdy poznała Antona, za którego potem wyszła za mąż, Bartosz miał pięć lat. Rok później wyjechał z matką do Bawarii, skąd pochodził jej nowy ukochany. Było mu tam dobrze, ale tęsknił za Polską, choć będąc dzieckiem, niewiele stąd zapamiętał. Jako nastolatek zawarł i utrzymywał kontakty z rówieśnikami z Polski. Zakochał się w polskiej dziewczynie i chociaż młodzieńcza miłość nie przetrwała próby czasu, dla niej zdecydował się studiować w Polsce. Wsiąknął w tutejsze realia i mimo że wychowanemu w niemieckim porządku chłopakowi w polskiej rzeczywistości nie wszystko pasowało, po skończeniu dziennikarstwa zdecydował, że na pewien okres jeszcze tu zostanie. Ten „pewien okres” trwał już ponad dekadę i teraz Bartosz właściwie nie myślał o powrocie do Monachium. Po śmierci ojczyrna wprawdzie pojechał tam na jakiś czas, by wspierać mamę; praca nie stanowiła dla niego problemu, bo mógł działać zdalnie. W końcu jednak wrócił, a razem z nim jego mama.

Barbara najpierw doszła do wniosku, że wyjazd do Polski dobrze jej zrobi, pomoże się oderwać od trosk i wspomnień, lecz nie przewidziała, że kraj dzieciństwa i młodości znów ją zauroczy. Stwierdziła z sentymentem, że teraz widzi wszystko inaczej, jest o wiele spokojniejsza, i postanowiła przenieść się na pewien czas do Polski. A gdy kiedyś natrafiła przypadkiem na swoją dawną przyjaciółkę i odnowiła z nią znajomość, jeszcze bardziej się tu zadomowiła.

Wynurzenia Bartosza odprężyły mnie. Było mi z nim tak dobrze, że zupełnie nie myślałam o niczym. W tej chwili liczyła się jedynie ta kameralna przestrzeń, w której byliśmy tylko ja i on, a w tle świąteczna muzyka, śmiech szczęśliwych ludzi i coraz bardziej odczuwalna, rodząca się między nami bliskość. Gdy w końcu wyszliśmy z kawiarni, Bartosz zaproponował, że mnie odprowadzi, a potem, żeby jeszcze przedłużyć spotkanie, poszliśmy na Rynek i chwilę powłóczyliśmy się uliczkami miasteczka. Nie wracaliśmy już do przykrego zajścia z Maurycem. Wiedziałam, że Bartosz musi sobie wszystko poukładać, a teraz, gdy właściwie potwierdziło się to, co jeszcze niedawno jedynie podejrzewał, zapewne czekała go rozmowa z mamą. Ta sprawa mnie też nie dawała spokoju, bo chociaż z Maurycem nie łączyły mnie więzy krwi, byłam w nią bez reszty zaangażowana. Ostatecznie umówiliśmy się na kolejne spotkanie i chociaż początkowo rozważaliśmy moją wizytę w Krakowie, stanęło na tym, że za dwa dni to Bartosz znów przyjedzie do Bukowej Góry. Podejrzewałam, że do tego czasu będzie chciał pewnie porozmawiać z mamą i dowiedzieć się czegoś więcej na temat jej ojca i związanej z nim przeszłości. Być może niebawem ta kwestia się rozstrzygnie, na co zresztą bardzo liczyłam.



O ile w ciągu ostatnich dni rankiem wyfruwałam spod kołdry niczym skowronek, o tyle dziś nie chciało mi się wychodzić z łóżka. Jeden rzut oka za okno utwierdził mnie w przekonaniu, że przyczyną mojego lenistwa jest niżowa aura. Nad miasteczkiem wisiały ciężkie chmury, z których według aktualnych prognoz lada moment miało sypnąć śniegiem. Nie trzeba być meteorologiem, by się tego domyślić. Poza tym czułam się senna i poboлеваła mnie głowa.

W końcu wstałam, zarzuciłam na siebie szlafrok i powędrowałam do kuchni. Kilka minut później z kubkiem zielonej herbaty, mającej pobudzić mnie do aktywności, usiadłam przy biurku i wyjęłam listy od ojca. Przeczytałam już ponad połowę z tego stosu, ale chciałam się im jeszcze raz przyjrzeć. W tych pełnych czułości, ale i humoru wyznaniach wyraźnie czułam obecność taty. Momentami odnosiłam wrażenie, że tak jak dawniej siedzimy naprzeciw siebie i swobodnie gawędzimy. Listy przywołały masę dobrych wspomnień, które wcześniej zatarły się w mojej pamięci. W wielu momentach uroniłam łezkę, ale trafiały się też zdania, przy których głośno się śmiałam. Dotarło do mnie, że moje dzieciństwo i wczesna młodość były naprawdę dobre. Wychowywałam się w szczęśliwym, bezpiecznym domu, pod troskliwym okiem kochających mnie i siebie nawzajem rodziców. Śmierć mamy stanowiła punkt zwrotny, od tamtej pory dla mnie i dla taty zaczęła się inna era. W nowej, smutnej rzeczywistości zaczęłam gubić tamte wspomnienia i coraz bardziej utwierdzać się w przekonaniu, że teraz muszę być dzielna. Po co mi one, kiedy czułam się niepotrzebna i samotna. Ani mnie nie ogrzały, ani nie utuliły, a jedynie wzbudzały tęsknotę za minionym czasem. Pozbyłam się ich zatem, wyrzuciłam z hukiem, zastępując siłą i dotychczas nieznaną mi determinacją. Jako jedynaczce rodzice starali się przychylić mi nieba. Potem, gdy zatrzasnęłam do tego nieba drzwi, na ziemi musiałam wydeptać wiele ścieżek, by naprawdę

nauczyć się tutaj żyć. W marzeniach wszystko bowiem wydaje się łatwiejsze, dlatego chcąc przynajmniej część z nich wcielić w życie, trzeba było porządnie zakasać rękawy. Po drodze pożegnałam się też z wieloma ideałami.

Czytając listy po kilka razy, czułam potrzebę rozmowy z ojcem. Ale on milczał. Raz nawet trzymałam już w ręku telefon, by do niego zadzwonić, lecz tylko napisałam wiadomość, którą i tak kilka razy zmieniałam. Ostatecznie brzmiała: „Dzień dobry, tato. Co tam u Ciebie słychać?”. Zwykle, wydawałoby się, pozbawione wszelkich podtekstów pytanie, a i tak bardzo to przeżywałam. Tym bardziej że odpowiedź przyszła dopiero po kilku godzinach. A enigmatyczne słowa, nie dość, że nie przyniosły żadnego wyjaśnienia, to w pewien sposób mnie zaniepokoiły, a nawet zdenerwowały. „Przeczytaj wszystkie listy, może wtedy porozmawiamy”. Kiedy odezwał się do mnie po tylu latach nieobecności, myślałam, że chce odnowić ze mną kontakt, bo przecież mówił nawet coś o spotkaniu, ale on nagle przyjął pozycję asekuracyjną. Czy zależało mu jedynie na moim wybaczeniu? Nie czuł potrzeby, by mnie przytulić, spojrzeć mi w oczy? Zupełnie inaczej odebrałam to, czytając jego zwierzenia. Co jest grane? Dlaczego tak dziwnie się zachowywał? Nie miałam wątpliwości, że mnie kocha. A i we mnie budziło się to samo, długo tłumione uczucie, choć na razie nie chciałam się jeszcze do niego przyznać. Nie pozostało mi nic innego jak tylko zapoznać się z treścią wszystkich listów. Właśnie sięgnęłam po kolejny, gdy usłyszałam sygnał domofonu. Zdziwiło mnie to, bo nikogo się nie spodziewałam. Pospieszyłam do przedpokoju i z ciekawością uniosłam słuchawkę.

- Kto tam? – spytałam, niecierpliwie czekając na odpowiedź.
- Dzień dobry, to ja... Maurycy...

– Dzień dobry. – Nie pozwoliłam mu skończyć, tylko od razu otworzyłam drzwi. – Proszę wejść.

Po minucie starszy pan stał już w progu mojego wynajmowanego mieszkania i z pełną obawą miną rozglądał się na boki.

– Przyszedłem, żeby... cię przeprosić i wszystko wyjaśnić – wydukał ze skrepowaniem.

Uśmiechnęłam się szeroko i gestem dłoni zaprosiłam go, żeby wszedł do środka, co wyraźnie go ośmieliło. Gdy jednak zdejmował i odwieszał kurtkę, nie patrzył mi w oczy. Po chwili przeszliśmy do pokoju.

– Czego się pan napije? Na pewno pan zmarzł...

– Jeśli nie sprawię kłopotu, to herbaty z cytryną – zdecydował od razu.

Gdy nieoczekiwany gość usiadł na kanapie, ruszyłam do kuchni. Wstawiłam wodę, a w tym czasie przemknęłam do łazienki, żeby się przebrać. Wróciwszy później z kubkami herbaty i wyłożonymi na talerzyku pralinkami ze Złotego Serca, prezentem od Witkowskich, wręczanym za każdym razem, gdy tam byłam, przynajmniej miałam już na sobie przyzwoite ubranie, a nie rozchełstaną piżamę i puchaty szlafrok w owieczki, w którym sama wyglądałam jak jedna z nich.

– Proszę się częstować. – Postawiłam na stoliku przed Maurycym kubek z herbatą oraz cukiernicę i przesunęłam bliżej niego czekoladki.

– Dziękuję. – Nieporadnie sięgnął po pralinę, która wypadła mu z ręki, a kiedy ją podniósł, zaraz odwinął i włożył do ust. – Przyszedłem tu, bo... Chciałem cię przeprosić – odezwał się po dłuższej chwili, gdy zjadł czekoladkę i zapewne zebrał się nad odwagę.

– To znaczy, że teraz mi pan wierzy? – Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Wierzę, że jesteś dobrą dziewczyną i nie mogłabyś być zamieszana w jakieś występki – przyznał ze skrepowaniem. – Ale ten mężczyzna to już inna sprawa...

– Dziękuję za zaufanie – rzekłam i w pewnym sensie odetchnęłam z ulgą. Starszy pan mimo krótkiego stażu naszej znajomości poznał mnie na tyle, by nie tylko dać wiarę moim słowom, ale przede wszystkim mi zaufać. Obawiałam się pytań z jego strony, ponieważ doskonale zdawałam sobie sprawę, że pewnie na wiele z nich nie będę w stanie odpowiedzieć.

– Skąd go znasz i co o nim wiesz? – Pytanie padło szybciej, niżbym się spodziewała, a co więcej, Maurycy patrzył na mnie wyjątkowo przenikliwie.

Podejrzewałam, że będę musiała użyć nie lada dyplomacji, żeby nie zdradzić cudzych sekretów. To mogłoby jeszcze bardziej skomplikować i tak już zawiłą, na dodatek związaną z czyimiś uczuciami, sprawę. Nie chciałam nikogo jeszcze bardziej zranić.

– Spotkaliśmy się przez przypadek w Złotym Sercu, gdy na moment wcieliłam się tam w rolę kelnerki. Wyszły z tego same kłopoty, bo omal go wtedy nie ukatrupiłam, jak sam stwierdził... – wyjaśniłam nieco żartobliwie, mając nadzieję, że może to choć trochę rozładuje ciężką atmosferę, w której oboje w tej chwili ugrzęźliśmy. A potem zwięźle opowiedziałam o całej sytuacji. Wspomniałam też o naszym przypadkowym spotkaniu w kinie, licząc na to, że takie tłumaczenie Maurycemu wystarczy.

– Zachował się jak buc – wyraził się dosadnie starszy pan. – Nie wiadomo, co to za ziółko. Już trzykrotnie kręcił się koło mojego domu i przyznam ci się, że choć jestem odważny, bo przecież mógłbym go nawet pogonić widłami, to jednak miałem pietra. Teraz nie jest tak, jak za mojej młodości. Dawniej z chłopakami, gdy jeden do drugiego coś miał, daliśmy sobie po pysku i było kwita. A teraz... – Zastanowił się. – Nie wiadomo, kto ci się trafi. A nuż wyciągnie kosę albo, co gorsza, spluwę i po tobie. Bo po co ciągle łązi koło mojej chałupy?

– Nie sądzę, żeby chciał zrobić panu krzywdę. – Stałam w obronie Bartosza. Z mojego punktu widzenia insynuacje Maurycego wydawały mi się bezsensowne, a nawet śmieszne.

– Młoda jeszcze jesteś, życia nie znasz – odezwał się z charakterystyczną dla niego stanowczością. – Nie można ludziom tak bezgranicznie ufać.

– Bez zaufania trudno o dobre kontakty z drugim człowiekiem – zauważyłam, bo pomimo tego, że raczej stroniłam od ludzi, w jakiś szczególny sposób jednak się od nich nie izolowałam. Lubiłam nieraz porozmawiać z przypadkowymi przechodniami czy klientami w sklepie, w którym akurat i ja robiłam zakupy. Często się też do ludzi uśmiechałam. I niejednokrotnie się przekonałam, że uśmiech bywa zaraźliwy.

– A ja ci mówię, żebyś lepiej uważała, bo ten osobnik na pewno ma coś na sumieniu – obstawał przy swoim Maurycy. – Mam nadzieję, że już się u mnie nie pojawi, bo jeśli tak, tym razem na pewno wymyślę coś, żeby go pogonić. A to, niestety, może nie być dla niego miłe. Pamiętam jeszcze jakieś tam chuligańskie sposoby z młodości.

– Niech pan o tym nie myśli, na pewno nie będzie takiej potrzeby. – Staralam się ugasić rozbuchane emocje Maurycego. Wolałam nie domniemywać, jak mogłaby się skończyć kolejna wyprawa Bartosza na działkę jego dziadka. Miałam nadzieję, że ta sprawa jak najszybciej się wyjaśni i nikt nie odniesie obrażeń.

– Zobaczymy... – rzekł zdawkowo mój gość, ale nie wydawał się nawet trochę spokojniejszy. Patrzył w okno z zaciętą, srogą miną, jakby widział tam zbira, przed którym lada chwila będzie musiał się obronić.

– Czekoladkę? – spytałam z niewinną miną, unosząc przed oczy Maurycego talerzyk ze słodkościami.

Zgarnął jedną i rozwinąwszy ją ze złotka, szybko wpakował sobie do ust. O dziwo, później zachowywał się nieco spokojniej, dlatego skłonna byłam nawet uwierzyć w magiczne właściwości tych łakoci. Właśnie się zastanawiałam, co jeszcze powiedzieć, żeby załagodzić sytuację, gdy nagle usłyszałam sygnał mojej komórki. Przeprosiłam gościa i wyszłam do kuchni, skąd dochodził dźwięk. Ujrzawszy na wyświetlaczu znajomy numer, uznałam, że nie mogła mi się przydarzyć większa niezręczność. Na szczęście telefon przestał dzwonić, a żeby zapobiec kolejnemu połączeniu, wyciszyłam go. Szybko też napisałam i wysłałam wiadomość do Bartosza, że niebawem oddzwonię. Potem, starając się zachowywać naturalnie, wróciłam do pokoju. Źle się czułam w tej sytuacji, bo chcąc nie chcąc, tkwiłam w niej po uszy. A takie incydenty jak choćby ten niespodziewany telefon utwierdziły mnie w przekonaniu, że nie mam wpływu na bieg nie moich spraw. Bo przecież to nie była moja rodzina, nie moje zawirowania i kłopoty. A mimo to dałam się w nie wciągnąć.

Siadając na wcześniejszym miejscu, usłyszałam odgłos sygnalizujący nadejście esemesa. Podejrzywałam, że to odpowiedź Bartosza. Na razie postanowiłam skupić się na rozmowie z Maurycym, bo poznawszy go już trochę, wiedziałam, że ta wizyta na pewno wymagała od niego wiele wysiłku. Bądź co bądź, musiał poskromić impulsywność i schować dumę do kieszeni.

– Od dziecka byłem w gorącej wodzie kąpany, a to niestety miało zły wpływ na moje życie – odezwał się nieoczekiwanie gość, utwierdzając mnie w moich ostatnich wnioskach. – Zawsze robiłem coś, zanim pomyślałem. Przez to uchodziłem za wielkiego gbura. Co z tego, że po chwili zwykle żałowałem pochopnej reakcji, kiedy nie umiałem już tego odkręcić. A co najważniejsze, przeprosić.

– Mnie pan przeprosił, i to dwukrotnie – przypomniałam Maurycemu z uśmiechem.

– Ech, może jeszcze nie wszystko stracone. Może da się w końcu przegonić ze mnie tego jaskiniowca – powiedział i trochę się rozpogodził. – Nie wiem, czy to kwestia czasów, w jakich się wychowywałem, czy też rodziny, ale ani na podwórku, ani w domu nigdy nie mówiło się o tym, co siedzi w człowieku. Ojciec traktował mnie surowo, za byle co dostawałem po dupie. Czasem nawet za to, że chcąc usłyszeć od niego dobre słowo, przyszedłem się do niego poskarżyć. Nie winię go, bo taki był, zwykły przyjmować proste rozwiązania, a uczucia, jak twierdził, to babska sprawa. Chłop ma być twardy, tak często powtarzał, i w pewnym momencie chyba udało mu się wbić mi to do głowy. Nie żebym był jakąś wrażliwą paniusią, ale jak każdy dzieciak, a potem młody chłopak, potrzebowałem, by mnie ktoś zrozumiał, wysłuchał, przytulił. Może doradził... Niestety tego nie dostałem i później ja też nie umiałem tego dać. Starłem się wychowywać córkę jak najlepiej, kochałem ją bowiem ponad wszystko, ale nie mogłem się pozbyć tej siedzącej we mnie od zawsze szorstkości. Basieńka mimo to mnie uwielbiała i mi ufała. Jako kilkulatek wspinała mi się na kolana i obsypywała moje policzki słodkimi całusami. Nawet jako nastolatka miała do mnie mnóstwo śmiałości i mimo mojej opryskliwej natury zawsze potrafiła mnie rozmiękczyć. „Ech, tatko, tatko, uśmiechnij się, a od razu zrobi ci się lepiej”, mówiła, gdy ją karciełem, a potem zwykle, tak jak radziła, się uśmiechałem i rzeczywiście robiło mi się lżej na duchu. Co więcej, kiedy ogarniał mnie ten mój zrzędlawy nastrój i chciałem ją umoralniać, nigdy nie dała się złapać w sidła jałowej dyskusji, tylko cicho, z łagodnym i mądrym wyrazem twarzy, słuchała moich wywodów dotąd, aż znudziło mi się pieprzyć głupoty, że tak powiem prosto... – Maurycy z zakłopotaniem podrapał się po głowie. Być może nawet nie ostatnie

słowa, ale w ogóle fakt, że odważył się mówić o tak osobistych sprawach, były dla niego krępujące. – Wszystko zmieniło się po śmierci mojej żony. Celinka to wszystko trzymała w kupie i tak jak nasza Basieńka też miała do mnie mnóstwo cierpliwości. Naprawdę się dziwię, jak ona przez tyle lat ze mną wytrzymywała. W dodatku mało kiedy ześmy się kłócili. A jeśli już, zawsze potrafiła znaleźć właściwie argumenty, by mnie udobruchać. Niestety, kiedy odeszła, wszystko się zmieniło. Całkowicie rozbity, przez wiele miesięcy nie dostrzegałem cierpienia córki, która, co rozumiałe, rozpaczała i tęskniła za ukochaną mamą. Wiele razy chciałem ją przytulić, szepnąć jakieś słowo otuchy, które na pewno i mnie przyniosłoby ukojenie, ale niestety nie potrafiłem się do niej zbliżyć. I tak z dnia na dzień oddalaliśmy się od siebie. Basia, zawsze wzorowa uczennica, zaczęła przynosić ze szkoły coraz gorsze oceny, a potem coraz częściej znikać z domu. Reagowałem tak jak zawsze, krzykiem i wymówkami, lecz wiek dojrzewania rządzi się swoimi prawami i moja córka już nie słuchała mnie z tak anielską cierpliwością jak dawniej. Nigdy mi nie odpyskowała, ale patrzyła na mnie z drwiną i coraz częściej wybiegała, trzaskając drzwiami. Nie wiedziałem, jak z nią postępować. Bez wsparcia Celinki zupełnie się pogubiłem. Gdybym wtedy postąpił inaczej, gdybym... – Nagle Maurycy się zaciął, a ja ujrzałam w jego oczach lęk i zmieszanie. Być może się wystraszył, że lada chwila powie o słowo za dużo.

Jego zwierzenie bardzo mnie poruszyło. O czymś przypomniało. Wydawało się wręcz niewiarygodne, że tak wiele nas łączy.

– Nie wiem, co zaszło między panem a pana córką, ale to, co właśnie usłyszałam, bardzo przypomina moją historię – ośmieliłam się wspomnieć, bo poczułam, że muszę się tym podzielić z Maurycym.

Starszy pan spojrzał na mnie z oczekiwaniem, a ja, zauważając w jego oczach bezbronność i smutek, postanowiłam opowiedzieć mu więcej

o sobie.

– Ja też, tak jak pana córka Basia, straciłam mamę chyba mniej więcej w podobnym wieku i od tamtej pory w naszej rodzinie wszystko się zmieniło. Oddaliliśmy się z tatą od siebie... – Z chwili na chwilę mówiłam coraz więcej o sprawach, które do niedawna trzymałam głęboko w sobie. Właśnie dzieliłam się nimi z kolejną osobą, ale teraz wcale mnie to nie krępowało. Na dodatek czułam ulgę, jakbym mierząc się ponownie z moimi najtrudniejszymi przeżyciami, pozbawiała je emocji. Już mnie nie bolały, nie miały nade mną kontroli.

– Nie pomyślałbym – stwierdził nieco zaskoczony Maurycy, gdy usłyszał moją relację. – Rzeczywiście wiele nas łączy. – A twój tata... Czy ty z nim, teraz, po tym wszystkim... Dobrze się z nim dogadujesz?

W pierwszej chwili nie wiedziałam, jak odpowiedzieć, bo jedną zdawkową rozmowę przez telefon i równie enigmatyczne, zresztą nieczęste wiadomości, które do siebie pisaliśmy, trudno nazwać „dogadywaniem się”. Prawda była taka, że nadal nie miałam pojęcia, dlaczego tata się ze mną skontaktował, poza tym, że chciał uzyskać moje przebaczenie. W mojej ocenie bardzo dziwnie się zachowywał. Całkowicie mi to do niego nie pasowało. Ale właściwie nie mieliśmy kontaktu przez wiele lat, a jak wiadomo, ludzie się zmieniają. Zamiast udzielić jednoznacznej odpowiedzi, wstałam i podeszłam do biurka, a potem wzięłam do ręki kilka listów i zbliżywszy się na powrót do Maurycego, położyłam przed nim na stoliku.

– Dostałam od taty cały plik listów, które w ciągu ostatnich lat do mnie pisał – wyjaśniłam.

– Niebawale... – Starszy pan pokręcił z przejęciem głową. – Myślałem, że tylko ja jestem dziwakiem albo raczej, że brakuje mi śmiałości, by porozmawiać z Basią. Tylko że wcześniej nawet nie miałem pojęcia, gdzie ona mieszka – przyznał ze wstydem.

– Jak to? – zagadnęłam. Od Bartosza dowiedziałam się wprawdzie, że jego mama przez wiele lat żyła za granicą, ale ciekawiło mnie, jaką wiedzę ma na ten temat Maurycy.

– Ach, po tym, gdy... – Maurycy najwyraźniej nie był w stanie przyznać się przede mną do tego, co zaszło między nim a jego córką. – Całkowicie straciłem z Basią kontakt. Naprawdę nie wiem, co się działo z nią przez tamte wszystkie lata. Ani razu się do mnie nie odezwała, a ja nie miałem pojęcia, gdzie jej szukać. Możesz się domyślić, że kiedy trochę odparowała ze mnie złość i dotarło do mnie, jak karygodnie się zachowałem, chciałem ją odszukać, ale niestety zrobiłem to chyba za późno, bo zdawało się, że moja córka przepadła, spaliła za sobą wszystkie mosty. Niedawno... znaczy jakiś rok temu, będąc w Krakowie, spotkałem przez przypadek jej dawną przyjaciółkę z podstawówki. Grażynka wygadała się, że Basia mieszka teraz w Krakowie. Poprosiłem ją, żeby dała mi do niej adres. Długo się wahała, ale wykazałem się przed nią nie lada determinacją i chyba wziąłem ją na litość, bo naskrobała mi na kartce nazwę ulicy i numer mieszkania mojej córki. Prosiła jednak, bym w razie kontaktu z Basią nie zdradził jej, skąd wiedziałem, gdzie mieszka. Pod wpływem tamtego wydarzenia wiele się we mnie zmieniło. Nie potrafiłem przestać myśleć o mojej córce. Chciałem jej to wszystko jakoś wytłumaczyć, przeprosić ją, ale wciąż nie miałem odwagi spojrzeć jej w oczy. Zbyt wiele wody upłynęło w rzece przez ten długi czas, gdy się nie widzieliśmy. Nie bałem się odrzucenia, w gruncie rzeczy nie zdziwiłbym się, gdyby Basia po tym, co jej zrobiłem, mnie przepędziła. Chodziło raczej o to, że to mnie brakowało śmiałości, by stanąć twarzą w twarz z własnymi demonami i sobie wybaczyć. Po części rozgrzeszałem się, pisząc te wszystkie listy, których moja córka pewnie nigdy nie przeczyta...

– Proszę tak nie mówić – pocieszyłam Maurycego, bo aż mnie ścisnęło w sercu, gdy na niego patrzyłam. Poza tym jego sytuacja w każdej chwili mogła się zmienić. Zwłaszcza teraz, gdy na horyzoncie pojawił jego wnuk. Niemniej czułam, że nie miałam upoważnienia, żeby mu o tym powiedzieć, chociaż strasznie mnie korciło. Panowie musieli bowiem najpierw wyjaśnić sobie to sami. – Pańska córka na pewno sobie wszystko przemyśli i zechce się z panem skontaktować – rzekłam jedynie, żeby dodać Maurycemu nieco otuchy.

– Nie wiem, Soniu, czy gdyby mnie ktoś potraktował tak, jak ja Basieńkę, to potem, nawet po wielu latach, chciałbym się z tą osobą spotkać. Znając moją impulsywność, pewnie podarłbym ten list. Cóż znaczą słowa przeprosin wobec krzywdy, którą się wyrządziło ukochanej osobie? Marne to zadośćuczynienie – oznajmił smętnie Maurycy.

– Ja zdecydowałam się przeczytać listy od mojego taty... – Zerknęłam na leżące na stoliku koperty. – Myślę, że córka czeka na pana gest i w pewnym momencie na niego odpowie.

Maurycy nie miał tej pewności co ja. Opuścił wzrok i przemilczał moje słowa. Żeby czymś się zająć, poskładałam listy i wstałam, by je odnieść, gdy nieoczekiwanie zadzwonił domofon. Maurycy zatrzymał na mnie zaniepokojone spojrzenie, po czym też się podniósł.

– Nie będę ci już zabierał czasu – stwierdził, kierując się do drzwi.

Nie zdążyłam go zatrzymać, gdyż pospieszyłam do wyjścia i sięgnęłam po słuchawkę domofonu. Naprawdę niewiele osób wiedziało, że tu przebywałam, a moje tymczasowe mieszkanie przeżywało dziś wyjątkowe obłęzenie. Wyglądało jednak na to, że jeśli ktoś był na dole, prawdopodobnie odszedł, bo nikt się nie odezwał.

– Proszę jeszcze zostać – zwróciłam się dopiero teraz do Maurycego, który już wkładał kurtkę.

W tym czasie rozległo się pukanie do drzwi. Stałam nieopodal, więc odruchowo je otworzyłam.

– Bartosz...?! – Szok, jakiego doznałam, gdy ujrzałam znajomego, omal nie zważył mnie z nóg. Nie inaczej musiał się poczuć Maurycy, który gwałtownie pobił i oparłszy się ręką o ścianę, chyba nie bardzo wiedział, co zrobić.

– Byłam w pobliżu i pomyślałam... – Bartosz nie dokończył, tylko spoglądał to na mnie, to na Maurycego, a po jego minie można było wywnioskować, że niespodziewane spotkanie jego także wprawiło w osłupienie. – Dzień dobry – przywitał się, zwracając się do starszego pana.

– Dla kogo dobry, to dobry – bąknął Maurycy i ruszył do drzwi z taką werwą, że wciąż stojący w nich Bartosz aż musiał się odsunąć, bo inaczej zostałyby zepchnięty. – Ja ci dobrze radzę, uważaj na tego tu... – rzucił jeszcze w moją stronę, odwróciwszy się, gdy był już za progiem. Potem przeniósł spojrzenie na Bartosza. – Nie wiem, coś u mnie chciał zwęszyć, ale radzę ci więcej się nie pokazywać, bo jak nie, to inaczej z tobą pogadam – dodał butnym tonem, a zaraz potem pospieszył do schodów.

– To nie tak, jak pan myśli... – odezwał się Bartosz o wiele za późno.

Zrobiło mi się przykro i przez dłuższą chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć. Słyszając, że ktoś schodzi z góry, w końcu zamknęłam drzwi i zaproponowałam Bartoszowi, żeby wszedł i się rozebrał. Lecz wydawało się, że mnie nie słucha.

– Ale się porobiło. – Z przejęciem przesunął ręką po włosach, a dopiero potem zwrócił się do mnie. – Co powiedziałaś?

– Mówiłam, żebyś się rozgościł. – Wskazałam ręką pokój.

Bartosz ruszył za mną jak automat. Widać było, że jest nieobecny myślami. Zapytałam, czego się napije, a on odpowiedział, że mu wszystko

jedno. Gdy usiadł na sofie dokładnie w tym samym miejscu, które kilka minut wcześniej zajmował Maurycy, udałam się do kuchni. Uznałam, że obojgu nam dobrze zrobi mocna kawa. Wzięłam też pralinki.

– Proszę. – Wróciwszy, postawiłam na stoliku kubek ze świeżo zaparzoną arabiką, a na talerzyk dosypałam kilka czekoladek. – Poczęstuj się, to słodkości ze Złotego Serca. Bez orzechów – dodałam po chwili namysłu, zerknąwszy wcześniej na etykiety. Wszystkie czekoladki miały owocowe nadzienie.

Mężczyzna bez zastanowienia sięgnął po pralinkę i odwinąwszy ją, od razu włożył do ust. Nie uszło mojej uwadze, że zrobił to w podobny sposób jak Maurycy. W końcu łączyły ich więzy krwi, nawet jeśli jeden z nich nie zdawał sobie z tego sprawy, a drugi dopiero niedawno to odkrył i chyba jeszcze nie do końca przyswoił tę wiadomość. Ledwo przełknął czekoladkę, zaraz łyknął kawy, wykrzywiając twarz od gorąca.

– Właśnie dlatego nie odebrałam od ciebie telefonu – odezwałam się po chwili, gdy Bartosz odstawił kubek i wreszcie spojrział na mnie przytomnie. – Mieszkanko jest małe i jak się domyślasz, wszystko tu słyhać. Nie wiedziałabym, jak ci przekazać, że jest u mnie Maurycy.

– Rozumiem – przyznał, znów przesuwając dłonią po włosach. Być może wykonywał ten gest wtedy, gdy się denerwował. – Nie powinienem był do ciebie przychodzić. Nie wiem, co mnie podkusiło. Przecież napisałaś, że oddzwonisz, już samo to znaczyło, że jesteś zajęta.

– Mleko się rozlało, nie ma co gdybać – rzekłam przygaszona. Naprawdę żałowałam, że tak się to wszystko poukładało. Nasza szczerą, można by rzec, że nawet oczyszczająca, rozmowa z Maurycym została tak bezceremonialnie przerwana. Niby powiedzieliśmy sobie to, co istotne, lecz fakt, że starszy pan musiał niejako ewakuować się z mieszkania, gdzie

jeszcze chwilę wcześniej czuł się bezpieczny, naprawdę mnie przygnębił. Czułam się winna, jakbym celowo ściągnęła na niego ten stres.

– Byłem wczoraj u mamy. – Bartosz zatrzymał na mnie znaczące spojrzenie. – Podjechałem do niej w drodze powrotnej z Bukowej Góry.

– I...? Dowiedziałeś się czegoś?

– Tylko tego, że jest kompletnie rozbita. Ujrzawszy mnie, starała się udawać, niestety z marnym skutkiem, że wszystko w porządku. Usiedliśmy w kuchni, wypiliśmy herbatę, a gdy oznajmiłem, że się już zbieram, nawet nie próbowała mnie zatrzymać. To do niej zupełnie niepodobne. Nawet pomimo moich usilnych sprzeciwów nie zdarzyło się, by chciała mnie wypuścić bez kolacji.

Już miałem wyjść, kiedy wstąpiłem jeszcze do pokoju po stary przekład liryk Horacego dla kumpla z redakcji. Wtedy na książkach w bibliotece zauważyłem list. Wziąłem go do ręki, ale nie odważyłem się go czytać. Jedynie zahaczyłem wzrokiem o początek, który brzmiał: „Kochana Basiu, nawet nie wiesz, jak bardzo tęskniłem za Tobą przez te wszystkie lata...”.

– To na pewno od pana Maurycego.

– Też jestem tego pewien. Szkopuł w tym, że nie miałem pojęcia, w jaki sposób do tego nawiązać. Bo całe te moje samowolne poszukiwania... Mama o niczym przecież nie wie.

– Wydaje mi się, że powinieneś z nią o tym porozmawiać. To zaszło już trochę za daleko – zauważyłam, a utwierdziło mnie w tym dzisiejsze zdarzenie. Co będzie, gdy Bartosz znów zechce sam wybrać się do domu swojego dziadka? Nie daj Bóg, gdy tamtemu strzeli coś do głowy i jeszcze obaj się poturbują. W ich relacji aż iskrzyło od emocji.

– Brzmi rozsądnie, gorzej z wykonaniem... – Zamyślił się, lecz po chwili sam uznał, że chyba nie ma innego wyjścia. – Dam mamie jeszcze dwa dni. Jeśli w tym czasie nic się nie zmieni, pojedę do niej i przyznam

się, że odnalazłem jej ojca. To na pewno zainicjuje rozmowę i raczej nie będzie mogła się niczego wyprzeć.

– Dobry pomysł – przyznałam z lekkim uśmiechem. Miałam już trochę dość tego tematu. Najpierw nasycona osobistymi zwierzeniami rozmowa z Maurycem, a teraz to samo wałkowałam z Bartoszem.

Cieszyłam się, że – jeśli oczywiście nic się nie zmieni – wieczorem będę mogła poznać dalszy ciąg rodzinnej historii Witkowskich. Dziś szczególnie tego potrzebowałam.

– To ja uciekam. Widzę, że moja niespodziewana wizyta strasznie namieszała. Przepraszam – rzekł zdecydowanie Bartosz i zaraz wstał. – Jadąc tutaj, chciałem zrobić całkiem coś innego, ale jak już nie raz się przekonałem, czasami chyba lepiej nie planować...

Spojrzałam na Bartosza z ciekawością, co też wymyślił.

– Pewnie trochę ci się narażę po tym całym zamieszaniu, jakie na ciebie sprowadziłem, ale co tam, zapytam... – Popatrzył na mnie uważnie, jakby chciał wybadać mój nastrój i przewidzieć ewentualną odpowiedź. – Może wyciągnę cię na spacer? Wiem, że pogoda dziś niespecjalna, ale właściwie przyjechałem do Bukowej Góry w konkretnym celu i zależy mi, żebyś tam ze mną poszła...

– Tam?

– A może to pozostać niespodzianką?

– Pod warunkiem, że nie sprowadzisz mnie na manowce – odparłam wesoło. – Może powinnam wziąć na poważnie słowa Maurycego.

– Na manowce nie, ale... – Zrobił zakłopotaną minę. – Chciałbym coś sprawdzić i pomyślałem, że ty też lubisz takie historie...

– Ooo, zaintrygowałeś mnie. Zaraz będę gotowa – zdecydowałam, nie chcąc dłużej ciągnąć Bartosza za język. Wydawał się zmieszany i chyba rzeczywiście nie bardzo potrafił przekazać mi, co planował.

Kilka minut później staliśmy już na lekko zaśnieżonym chodniku i zaraz ruszyliśmy do Rynku. Przechodząc obok delikatesów, Bartosz się zatrzymał i stwierdził, że musi coś kupić. Żeby nie marznąć, weszłam razem z nim i z zainteresowaniem przyglądałam się, do którego regału się skieruje. Nie zauważyłam, żeby palił, ale nagle potrzeba zrobienia sprawunków w pierwszym momencie skojarzyła mi się koniecznością zakupu papierosów. Zdziwiłam się, gdy podszedł do półki ze zniczami i wybrał jeden, skromny, ale całkiem ładny, kulisty, z niewielką różą. Teraz przynajmniej podejrzewałam, dokąd chce pójść, i wydawało mi się to dziwne. Rzeczywiście, po wyjściu z delikatesów skierowaliśmy się w stronę cmentarza mieszczącego się na wzgórzu przy kościele Świętego Marcina. Bartosz zachowywał się bardzo tajemniczo, przez całą drogę nawet się nie zająknął, dla kogo przeznaczony jest lampion. Dopiero gdy minęliśmy kościelne ogrodzenie i zaczęliśmy schodzić w dół w kierunku starej nekropolii, wspomniał, że musi tutaj kogoś odszukać. Z ciekawością przyglądałam się zaśnieżonemu krajobrazowi. Z tej części miasteczka roztaczała się bowiem panorama na okolicę, a mnie ciekawiło wszystko, tym bardziej że znalazłam się tutaj po raz pierwszy. Widać było nawet fragment jeziora i warowną górę, gdzie niegdyś mieszkała mityczna Marana. Stary cmentarz mieścił się w małej dolince, teraz zamkniętej w białym objęciu zimy. Nie czuło się w tym miejscu tak dotkliwego zimna jak na wzgórzu. Bartosz spojrział na najbliższą tabliczkę z numerem i oboje ruszyliśmy jedną z alejek na południowy zachód.

– Myślałem, że to będzie trudniejsze – stwierdził, gdy po mniej więcej dwóch minutach zatrzymaliśmy się przed wiekowym grobem z mosiężnym krzyżem.

– Fakt, pełno śniegu – przytaknęłam, ale okazało się, że nie o to mu chodziło.

– Nigdy wcześniej tutaj nie byłem, a kwaterę znalazłem w cmentarnej bazie internetowej. Kto by kiedyś pomyślał, że wprowadzą takie udogodnienia. Świat się przeobraża w błyskawicznym tempie. Gdyby nasi przodkowie teraz wstali z grobów, pewnie niejeden w panice chciałby od razu wrócić na tamten świat, bo nie poradziłby sobie z nowoczesnością. To, co dla nas jest zmianą na lepsze i bez czego nie umielibyśmy już funkcjonować, wielu uznałoby pewnie za herezję – rzekł z humorem Bartosz.

– To prawda – przyznałam i powiodłam wzrokiem po najbliższych, wyglądających na bardzo stare, mogiłach. Dopiero potem skupiłam się na tabliczce z wytartymi, kiedyś zapewne złotawymi literami na grobie, przy którym staliśmy. Wyteżyłam wzrok, starając się odszyfrować napis.

„Hiacynta Śmigiel, ur. 1900, zm. 1987. Waław Śmigiel, ur. 1894, zm. 1980”, przeczytałam i przeniósłszy na Bartosza oszołomione spojrzenie, próbowałam ułożyć sobie w głowie tę informację.

– Moi prapradziadkowie – wyjaśnił, zanim zdążyłam zapytać.

– Ale... skąd wiedziałeś? – Tylko tyle dałam radę z siebie wydusić, choć w głowie krążyło mi mnóstwo pytań. Czy to możliwe, że bohaterowie historii opowiadanej mi przez Witkowskich mieli związek z rodziną Bartosza? Wszystko wskazywało na to, że tak. Nieśmiała Cysia i Wacek Śmigiel? Miałam wrażenie, że kolejne wątki opowieści się zapętliły. Rozalia wspomniała ostatnio, że powoli zbliżamy się do końca, lecz gdyby ktoś w tej chwili kazał mi dokładnie streścić tę legendę, chyba nie potrafiłabym. Dobrze, że systematycznie ją zapisywałam.

– Najlepiej będzie, gdy usiądziemy w jakimś ustronnym i, najważniejsze, ciepłym miejscu – zaproponował Bartosz. – A wtedy postaram ci się to wszystko wyjaśnić.

– Chodźmy zatem do Złotego Serca – zdecydowałam, bo wydawało mi się to oczywiste. Chociaż w Bukowej Górze znalazłoby się jeszcze kilka całkiem przyjemnych kawiarni, nie wyobrażałam sobie, żebyśmy mieli pójść gdzie indziej. – Ja też będę musiała ci o czymś powiedzieć.

Bartosz obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem, ale się nie odezwał. Za to się pochylił, sięgnął po znicz, który na moment odstawił na bok, po czym zapalił go i umieścił na środku mogiły, tuż pod krzyżem. Wróciłam myślami do opowieści Witkowskich. Przed moimi oczami stanęli jej bohaterowie, jak się okazało, postaci z krwi i kości, dawniej związane z tym miejscem. Na grobie Śmigłów zauważyłam też inny, wypalony znicz. Niewykluczone, że to Maurycy zachodził tu, by odwiedzić przodków.

W Złotym Sercu czekał na nas nasz ulubiony stolik w zacisznym kącie przy ścianie. Rozalia zaproponowała nam Śnieżynkę, gorącą czekoladę według najnowszego przepisu, z białą czekoladą, kokosem, marcepanem i śmietanką. Wcześniej się upewniła, że Bartosz nie ma alergii na żaden z tych składników. Widziałam, że kiedy odpowiadał, był nieco zmieszany, jak wywołany nagle do odpowiedzi uczeń. Chociaż teraz potrafiliśmy żartować z naszego pierwszego, niefortunnego spotkania, to zdarzały się momenty, na szczęście niezbyt częste, związanej z tym konsternacji.

– Gdy miałem kilka lat, mama opowiadała mi pewną historię. Brzmiała jak bajka, legenda, ale... Potem, właściwie niedawno, kiedy poskładałem to w całość, okazało się, że wszystko nabrało zupełnie innego kształtu – zaczął Bartosz, a ja, przewidując, że jego opowieść będzie trwała dłużej, upiłam kilka łyków nieziemsko smacznej czekolady i wygodnie oparłam się na krześle. – Była to historia o młodziutkiej, chorobliwie nieśmiałej dziewczynie, która umiała śpiewać tak pięknie, że czarowała głosem. Długo nie wierzyła w swój ponadprzeciętny dar i unikała ludzi. Często chadzała jednak do starej błękitnej kapliczki maryjnej i kiedy nikt nie słyszał, tam

zanosila swoje cudne pieśni. To przynosiło jej ukojenie. W tamtych chwilach, gdy jej krystaliczny głos tak lekko i subtelnie uwalniał się z krtani, czuła się wyjątkowa. Dlatego tak często tam się udawała. Zdarzyło się kiedyś, że serce panienki zabiło mocniej do pewnego młodzieńca. Niestety szybko się przekonała, że obiekt jej westchnień darzy miłością inną dziewczynę. Cysia cierpiała, ale choć chciała zapomnieć o ukochanym Wacławie, nie potrafiła tego zrobić. „Serce nie sługa”, mawiała i się modliła, by świat, który dotychczas był dla niej miejscem pełnym ograniczeń, stał się oazą pełną możliwości, gdzie Cysia wreszcie zazna miłości i prawdziwego szczęścia. – Bartosz przerwał na monet, upił łyk czekolady i spojrzał na mnie, by się upewnić, czy jestem jego opowieścią zainteresowana. Po chwili kontynuował. – To historia złożona z wielu wątków. Mama opowiadała mi ją przed snem, a ja czekałem na wieczór z wrażeniem, jakbym miał obejrzeć kolejny odcinek ciekawej bajki. Bo musisz wiedzieć, że z mamy była i wciąż jest świetna gawędziarka. Przez lata pracowała w radiu, gdzie zajmowała się słuchowiskami. Ma ciepły, kojący głos i zwykle w pewnym momencie jej opowieści usypiałem. Nie dlatego, że mnie nie ciekawiła. Tak jak ci mówiłem, jako kilkulatek myślałem, że to po prostu bajka. Mamę charakteryzowała bujna wyobraźnia i potrafiła na poczekaniu stworzyć jakąś historię. Ale w tych opowieściach wciąż powtarzały się te same nazwiska i nazwa miejscowości: Bukowa Góra. Były też kościół Świętego Marcina i jezioro Marana, z którym związana jest lokalna legenda o niezwykłej królowej od dawien dawna strzegącej nie tylko warownego wzgórza, ale i okolicznych wiosek. Od czasu gdy byłem świadkiem tamtej pamiętnej rozmowy mamy z jej przyjaciółką i potem, kiedy tak namiętnie zacząłem się interesować historią życia rodzicielki, dostrzegłem pewne zależności i powiązałem fakty. A kiedy Bukowa Góra naprawdę mi się zmaterializowała, po nitce do

kłębka zmierzałem w interesującym mnie kierunku. Nie sądziłem nawet, że to wszystko pójdzie tak gładko.

– Sądząc po tabliczce na grobie twoich prapradziadków, rozumiem, że Cysię w końcu połączyła miłość z Wacławem... – wtrąciłam, bo z oczywistych powodów bardzo ciekawił mnie ten motyw.

– Tak – przyznał Bartosz z uśmiechem. – Wiele słyszałem na ich temat, a najważniejsze, że przez długie lata byli dobrym, szczęśliwym małżeństwem, prapradziadek wpatrzony był w swoją lubą jak w obraz. Świata poza nią nie widział. I wiesz? Ślub wzięli pod błękitną kapliczką... Podobno wszyscy byli temu przeciwni: i rodzina, i stary proboszcz, któremu nie mieściło się w głowie, żeby taka ceremonia mogła się odbyć wśród pól. Młodzi jednak nie dali łatwo za wygraną i ślubowali sobie tam, gdzie postanowili.

– Teraz rozumiem, dlaczego tam cię spotkałam...

– Gdy pierwszy raz przyjechałem do Bukowej Góry, nie udało mi się odnaleźć tej kapliczki. W okolicy wiele jest podobnych do niej miejsc. Dopiero za drugim razem trafiłem na szutrową drogę kawałek za leżącymi przy szosie wielkimi głazami. Kiedy tam dotarłem, nie miałem żadnych wątpliwości. Kapliczka wygląda identycznie jak ta w opowieści mojej mamy.

– Dla Maurycego to miejsce jest również ważne – zauważyłam. – Przychodzi tam od lat i zapala znicz, żeby w tej małej świątynce nigdy nie zgasło światło.

– Ach, więc to on... Zastanawiałem się, kto dba o to miejsce.

– Z Bukową Górą związanych jest wiele pięknych historii. A co byś powiedział na to, że ja też słyszałam coś na temat twoich prapradziadków? – Spojrzałam na Bartosza wymownie.

– Twoja historia... – skojarzył. – To znaczy opowieść o Złotym Sercu, dla której tu przyjechałaś.

Potwierdziłam ruchem głowy.

– Poznam ją kiedyś?

– Może – rzekłam z przekorną miną. – Najpierw sama muszę wysłuchać jej do końca. I powiem ci, że jestem coraz bardziej ciekawa finału. To naprawdę piękna opowieść, a twoi prapradziadkowie też mają w niej niezwykle role. Wątek Hiacynty... Cysi wyjątkowo mnie wzruszył.

– Fajnie byłoby to kiedyś powiązać. – Bartosz popatrzył na mnie z oczekiwaniem.

– Wszystko w swoim czasie...

Potem mężczyzna wrócił jeszcze pamięcią do opowiastek mamy i kolejna godzina upłynęła nam w naprawdę miłym, momentami zabawnym, ale i romantycznym nastroju. Nie powiem, żeby mi się to nie podobało, zwłaszcza gdy kilka razy złowiłam na sobie wymowne spojrzenie Bartosza. Pewnie jeszcze trochę zabawilibyśmy w Złotym Sercu, gdyby nagle przypomniała o sobie codzienność. Pilny telefon z redakcji zmusił mojego znajomego do szybszego, niż planował, powrotu do Krakowa. Niemniej rozstaliśmy się w świetnych nastrojach, a kiedy się żegnaliśmy, Bartosz zapewnił, że następnym razem nie wpadnie do mnie znienacka. Ucieszyłam się, bo to znaczyło, że zanim wyjadę, pewnie znów się spotkamy. A w sumie nie miałabym nic przeciwko temu, żeby Bartosz znów pojawił się u mnie nieoczekiwanie.

Analizując kilka godzin później dzisiejszy dzień, miałam wrażenie, że zdarzyło się w nim więcej niż w ciągu ostatnich tygodni. Niezapowiedziana poranna wizyta Maurycego i równie nagłe przybycie Bartosza, a w związku z tym ciekawe rozmowy na ważne tematy. Z każdym dniem byłam coraz bardziej związana z tym miejscem i ludźmi, którzy je zamieszkiwali.

Odczuwałam także coraz większą bliskość z Bartoszem, ale wciąż konsekwentnie temu przed sobą zaprzeczałam.



Do spotkania u Witkowskich zostało jeszcze półtorej godziny i choć Rozalia wspomniała, że gdy będę miała ochotę, mogę przyjść wcześniej, postanowiłam poczekać. Po sytym obiedzie w jadalni dopadła mnie senność, lecz nie chciałam zapaść w drzemkę, obawiając się, że zaśpię i nie dotrę na kolejny fragment opowieści. A dzisiaj, jak chyba nigdy wcześniej, być może przez rozmowę z Bartoszem, byłam jej jeszcze bardziej ciekawa.

Ostatecznie, mimo późnej pory, zrobiłam sobie kawę. Tak czy inaczej, zapowiadał się długi wieczór, a nie wypadało ziewać podczas gawędy starszego małżeństwa. Właśnie zamierzałam usiąść i zagrzebać się pod kocem, gdy mój wzrok przyciągnął stosik nieprzeczytanych listów. Zgarnęłam wszystkie i tak jak wcześniej planowałam, usiadłam na łóżku, okrywając się pledem. Kawę postawiłam z boku na szafce i co chwilę brałam solidny łyk. Nagle zatęskniłam za ojcem, jakby część jego energii, ukryta w wiadomościach, upominała się o moją uwagę. Zatęskniłam za tamtym niegdysiejszym czasem, który nie miał szansy powrotu, ale zapisał się we mnie dobrymi wspomnieniami. Zatęskniłam za małą, szczęśliwą, ciekawą świata i otwartą na nowe wyzwania dziewczynką, którą kiedyś byłam. Zatęskniłam za towarzyszącym mi poczuciem ciepła, miłości i bezpieczeństwa. Jednocześnie odkryłam, że teraz, jako dorosła Sonia, w tym innym świecie, który jeszcze do niedawna uważałam za wrogi i samotny, też mogę się odważyć na szczęście. Wystarczy jedynie wykrzesać z siebie trochę śmiałości, a ta zainicjuje zmiany prowadzące do dobrego życia. Do spotkań z właściwymi, szczerymi ludźmi, gotowymi w każdej sytuacji wyciągnąć do nas pomocną dłoń; do wydarzeń,

odzierających nas z kompleksów i niewiary we własne umiejętności, dzięki którym możemy upewnić się o swojej wyjątkowości; do uśmiechów, jakich być może niejeden z nas już nie pamięta, bo kojarzą mu się jedynie z wyuczonym grymasem, a nie z prawdziwą radością. Zyskałam pewność, że to wszystko jest możliwe i jeśli tylko zburzę ostatnią, już prawie kruszejącą granicę moich lęków, ten lepszy świat wyjdzie mi naprzeciw. Nie mogło być inaczej, brałam do rąk kolejne listy, a ich treść, tak jak podejrzewałam, mnie zmieniała. W subtelny, niemal niewidoczny sposób roztopiała we mnie nagromadzone latami emocje. A ja czułam się coraz bardziej wolna. Momentami chichotałam, to znów na jakieś wspomnienie zaszkliły mi się oczy, ale szyba, za którą się ukrywałam, stawała się coraz bardziej przejrzysta i coraz cieńsza.

Właśnie zamierzałam sięgnąć po ostatni list, gdy zerknęłam na zegar. Niestety musiałam go odłożyć, bo lada chwila powinnam była dotrzeć do Witkowskich. Kładąc na biurko przeczytane listy, znów zapragnęłam porozmawiać z ojcem. W tej chwili na to, by do niego zadzwonić, nie miałam niestety czasu. Mimo wszystko, zanim opuściłam mieszkanie, chwyciłam komórkę i napisałam krótką wiadomość: „Dobrej nocy, tato”. Chciałam, żeby i on poczuł ten spokój, który spłynął na mnie podczas lektury jego listów.

Dzisiejszego wieczoru Rozalia sprawiała wrażenie zmęczonej, a że małżeństwo zawsze świetnie się uzupełniało, tym razem pałeczkę w rozmowie od razu przejął Gabriel. Starsza pani usadowiła się na sofie tuż obok mnie i podała mi miękki koc, żebym się nakryła. Na stoliku jak zwykle stał dzbanek z aromatyczną herbatą, a na talerzyku kusily babeczki z owocami. Zanim się zatopiliśmy w opowieści, każde z nas pokosztowało słodkości. W czasie pobytu w Bukowej Górze nie ważyłam się wprawdzie, ale boczki nieco mi się zaokrągliły, więc podejrzewałam, że mogło przybyć

mi parę kilogramów. Akurat tym się nie przejmowałam, bo w czasie stresu i intensywnej pracy zwykle szybko gubiłam takie nadwyżki.

Spojrzałam na Rozalię, a widząc, że lekko przymknęła oczy, ja też wygodnie ulokowałam się na sofie i oparłam głowę na gobelinowej poduszce, byłam w pełni gotowa na dzisiejszą gawędę.

Opowieść Gabriela



Wraz z nowym rokiem miłość pomiędzy Sabiną i Marcinem wybuchła z taką mocą, że nie byli w stanie już jej ukrywać. Zresztą żadne z nich tego nie chciało. Pragnęli dzielić się ze światem swoim szczęściem, a dobra nowina szybko obiegła Bukową Górę, dotarła do Łobieszowa i krążyła po okolicznych wioskach. Nic dziwnego, skoro najpiękniejsza w okolicy panna i godny pozazdroszczenia kawaler dali sobie słowo.

Skowrońscy wreszcie odetchnęli z ulgą, bo odkąd ich córka spotykała się z chłopakiem, do którego od dawna mocniej biło jej serce, nieco spokorniała i coraz rzadziej wpadały jej do głowy niefrasobliwe pomysły. Tylko ludzie, jak to zwykle bywa, nie przestawali gadać, że Sabina wodzi chłopaków za nos i ma się za nie wiadomo kogo. Władysław raz nawet pokłócił się o to z jednym z chłopów ze wsi, kiedy tamten rzucił niby w żartach, ale mimo to uszczypliwie, że z Sabinki to taka swawolnica, co nie zagrzeje długo miejsca przy żadnym chłopie. Skowrońskiego tak to wtedy ubodło, tak się zaperzył, zrobił się na twarzy czerwony, że o mało Działdowskiego nie łomotnął w łeb. Na szczęście zanim do tego doszło, wredny sąsiad szybko to odszczekał, ale we Władysławie jeszcze długo po tym zdarzeniu wrzała krew. Był nie w sosie i, co do niego niepodobne, nawet do żony mało się odzywał. Teresie w końcu udało się wyciągnąć z niego, co się stało.

– Gadaj ty mnie, Władku, co ci jest. – Stała obok niego niczym pies pasterza, nie zważając na jego dąsy i mrukliwość.

– Eee tam – bąknął tylko, choć wiedział, że jak jego ślubna się czegoś uczepli, to nie ma się szansy nic ukryć. Nie zamierzał jej jednak martwić gadaniną byle kpa.

– Władziu... – Teresa usiadła obok na ławce przed chałupą i zajrzała mężowi w oczy. – Widzę, żeś nieswój.

– Trzeba by Sabinkę rychło wydać za Marcina – rzekł, zerkając na przyodzianą w bladoróżowe kwiaty jabłonkę.

– A po cóż ten pośpiech? Niech no młodzi sami to ustalą. Ledwo się zesli...

– Przeszli by wtedy we wsi pleść androny – odezwał się z groźną miną, bo na powrót wezbrała w nim złość.

– Co słyszał? – spytała rzeczowo żona.

Chcąc nie chcąc, mężczyzna powtórzył wszystko, co powiedział Działdowski. A kiedy skończył, aż zacisnął pięści. Ta sprawa wciąż drażniła go niczym stojąca w przemyku ość. Nie przyznał się do tego Teresie, ale od tamtej pory starał się omijać sąsiada szerokim łukiem, bo się bał, że na jego widok znów mógłby się rozsrożyć. Aby go nie spotkać, rzadziej zachodził też pod chatę starego Gerarda, gdzie zwykli się spotykać mężczyźni z wioski. Prawda była taka, że Skowroński uchodził we wsi za rozsądnego i spokojnego mieszkańca. Bez obawy, że coś rozniesie, ludzie często dzielili się z nim wieściami z okolic. Władysław z każdym przystanął i pogawędził. Nieraz wyciągał też do ziomków pomocną dłoń.

Nie pożałował, że się wyzalił ślubnej. Jeszcze tego dnia uradzili bowiem, że trzeba z młodymi pogadać i jak najszybciej urządzić zrękowiny. Przecież Sabinka i Marcin aż się do siebie palili, na co więc dłużej czekać. Wszyscy byliby szczęśliwi, a ludziom we wsi przynajmniej zamknęłyby się

gęby. Tak jak uradzili z Tereską, gdy tylko młodzi wrócili ze spaceru, Władysław zawołał Marcina na słowo. Chociaż starał się być pewny siebie, i tak się denerwował. Nie miał syna i nie bardzo wiedział, jak teraz rozmawiać. Nie chciał, żeby Marcin poczuł z jego strony nacisk i czuł się przymuszany do ślubu. Ale przecież od dawien dawna świat się rządził ustalonymi prawami. Żeby kawaler mógł się spotykać z ukochaną panną, najpierw powinien zapytać o zgodę jej rodziców, czego zwieńczeniem miały być zrękowiny. Na tle innych mieszkańców wioski Skowrońscy i tak uchodzili za świątłych i nieraz pomijali zasady, które dla większości stanowiły świętość. Ponieważ jednak byli lubiani w okolicy, nikt się ich nigdy nie czepiał. Ale sytuacja z Działdowskim uświadomiła małżonkom, że trzeba wziąć sprawy w swoje ręce.

Marcin wyczuł zdenerwowanie Skowrońskiego i sam też się zdenerwował. Gdy szli pod starą czereśnię, żeby przysiąść na pniakach, nogi trzęsły się mu jak galareta. Bał się reprimendy, a najbardziej tego, że gospodarz zabroni mu się spotykać ze swoją córką. Marcin zdawał sobie bowiem sprawę, że zachowują się z Sabinką niefrasobliwie niczym para dzieciaków. Kochali się, chcieli kiedyś się poślubić, ale żadne z nich na razie o tym nie wspominało. Znając charakter Sabinki, jej upór, zdecydowanie i tęsknotę za niezależnością, chłopak się obawiał, że może nie zechce ona jeszcze wieść życia przeznaczonego dorosłym. Teraz mogła biegać radośnie na bosaka po zroszonej łące i kąpać się w jeziorze, kiedy nasza ją ochota. Wiele figli i głupich pomysłów uchodziło jej na sucho. Jako mężatka musiałaby się utemperować. Marcin kochał ją ponad życie i nie chciał jej ograniczać. Gdyby to zależało od niego, wcale nie kaza by jej się zmieniać. Wiedliby takie samo życie jak teraz. Gdyby był zamożny, wybudowałby solidną chatę z bali albo najlepiej porządny murowany dom, gdzie zamieszkaliby z Sabinką. Niestety był biedny jak mysz kościelna.

Nieraz się dziwił, że Skowrońscy byli mu aż tak przychylni, skoro mogli wybrać dla jedynaczki lepszego kawalera.

– Usiądźże. – Władysław wskazał pniak, a Marcin lekko przycupnął, opierając się o chropowaty pień. Wtedy Skowroński zajął drugi pniak, ale zanim się odezwał, długo ważył w sobie słowa. – Powiedz no mi, czy moja córa nadal ci droga? – spytał w końcu, kręcąc palcami młynka, żeby zatuszować zmieszanie.

– Najdroższa – zapewnił przejęty Hurnik. – Tylko ją kocham i kochać nie poprzestaną – dodał po chwili z emfazą.

– To dobrze, bardzo dobrze – rzekł Władysław, głośno odetchnąwszy, a potem przez dłuższą chwilę znów zbierał myśli. – Uradzili my z Teresą, żeście oboje powinni już żyć jak Pan Bóg przykazał. Sabince już dwudziesta wiosna idzie i ani patrzeć, jak mi się zestarzeje.

– Bardzo chciałbym, ale... – mamrotał Marcin, nie wiedząc, jak przedstawić przyszłemu teściowi swoje obawy.

– Ale...? – Skowroński spojrzał nań srogo. – Nie traktujesz mojej córuchy poważnie?

– Ależ nie! Żle żeście mnie zrozumieli – zaperzył się Marcin. – Kocham Sabinę i nieba bym jej przychylił. Tylko z nią mogę zaznać szczęścia, ale wiecie, że jestem ubogi. Mieszkam kątem u gospodyni i nawet chałupy pewnie rychło nie postawię.

– Tylko o to chodzi? – Władysławowi kamień spadł z serca. Ufał Marcinowi, od początku przyjął go jak swojego, ale po tej gadaninie Działdowskiego trochę się przeląkł i różne myśli mu po głowie chodziły. W ich rodzinie panny zawsze się dobrze prowadziły, żadna nie szła z brzuchem do ołtarza, i mężczyzna martwił się teraz, żeby jego ukochanej jedynaczce się coś takiego nie przydarzyło.

– Chciałbym, żeby Sabine niczego przy mnie nie zabrakło. Wasza córka zasługuje na wszystko, co najlepsze. Gdybym mógł, co dzień bym jej ptasie mleko przynosił. Ale znam swą pozycję i choćbym nie wiem jak bardzo się starał, nie załatam od razu lichych kieszeni. Co zarobię, odkładam, ale choć od dawna ciułam, grosza nie przybywa tak, jak bym sobie życzył. Wiecie, że do roboty jestem pierwszy, ale co z tego, gdy nie ma zajęcia.

– O to się nie trap, Marcinie. Po zaślubinach zamieszkacie z nami, a potem jakoś wam pomożemy. W swoim czasie wspólnymi siłami chałupę postawimy. Najważniejsze, by zdrowie było, reszta sama przyjdzie.

Marcina wzruszyły słowa Skowrońskiego, minęło kilka chwil, zanim był w stanie coś powiedzieć.

– Niczego bardziej nie pragnę. – Mimo że chciał wyjść przed przyszłym teściem na twardego, i tak zaszklily mu się oczy.

– No, tośmy se pogadali. – Władysław zatarł ręce. I jemu zrobiło się lżej na duchu, że ma za sobą tę rozmowę. – Nie ma na co czekać. Jeśli chodzi o mnie, to zarządziłbym te zrękowiny w najbliższą niedzielę.

– Jak sobie życzycie. – Marcin się ucieszył i choć targały nim obawy, czy podoła męzowskiej doli i nie zawiedzie ani przyszłej żony, ani jej familii, szczęśliwy był jak nigdy wcześniej.

Każdej nocy myślał, jak ułożyć wspólne życie z Sabinką. Nie bał się obowiązków, bo te znane mu były od dziecka. Robota zwykle paliła mu się w rękach i pierwszy gnał do niej. Martwił go jedynie jego status i brak perspektyw na wzbogacenie. Kiedyś myślał nawet, czy się nie udać do niedalekiego Krakowa i nie poszukać tam pracy. Wiadomo, że w mieście zawsze o nią łatwiej. Przyszły teść przyspieszył podjęcie decyzji. Marcin postanowił więc, że nie zawiedzie. Licho było u niego z pieniędzmi, ale miał uskładaną niewielką sumkę. Mimo że odkładał z myślą o budowie

chałupy, w której w przyszłości mieli zamieszkać z Sabinką, teraz powziął decyzję, że kupi za nią zrękowinowy pierścionek. Jakże by to wyglądało, żeby jego ukochana niczego od niego nie dostała? W oczy by potem nie mógł spojrzeć ani Sabine, ani sobie, ani Skowrońskim, czy nawet sąsiadom. Co to, to nie. Skoro ojciec jego wybranki przyszedł mu z pomocą, Marcin stanie na wysokości zadania. Niech zobaczą, że honorowy z niego chłopak.

W czwartek z samego wybrał się do Ratajnik na targ. Dzień wcześniej wyjął spod siennika wszystkie naskładane pieniądze i włożył do sakiewki, a przez całą drogę uważał, by mu gdzie nie wypadła. Pośród kramów pilnował zaś, by nie połasił się na nią jaki złodziejaszek. Wszak wiadomo było, że pośród ciżby licznie się tacy kręcili. Chodził od straganu do straganu, ale nie znalazł godnego Sabinki pierścionka. Wszystkie, które oglądał, wydawały się liche. Nie ośmieliłby się podarować wybrance takiej byle błyskotki. Szedł potem do Łobiezowa ze skwaszoną miną, bo szczerze liczył, że nie wróci z pustymi rękami. Tuż za lasem zaskoczyła go straszna nawałnica. Deszcz zmoczył go do suchej nitki, a kulki gradu wielkości dorodnych czereśni obtłukły mu głowę, zanim przysłonił się kapotą. Wkroczył później do izby zły i nawet nie starał się tego ukryć. Przywitał się grzecznie z wyrabiającą ciasto Jurczykową, która odchorowawszy zimą, ostatnio na szczęście miała sporo werwy. Marcin nie musiał już tak jak wcześniej wyręczać jej w wielu czynnościach. Od ostatniej Wigilii staruszka stała się jakby milsza i częściej niż kiedyś zagadywała do Marcina.

– A cóżeś dziś taki zły jak chmura gradowa? – zagała, gdy przebrawszy się w swoim kącie w suchą odzież, wrócił później do głównej izby.

– A bo mnie grad zsiekał. Cud, że mi głowy nie podziurawił – oznajmił wciąż podenerwowany.

– Siadaj, zaraz ci jadła dam, bo mi się widzi, żeś głodny. – Otarła ręce, po czym podeszła do blachy i przełożyła z gara na talerz godziwą porcję stawy.

– Nie za dużo żeście mi dali? – zaprotestował, lecz jedynie dla zasady, bo oczy mu się zaświeciły, gdy ujrzał swoje ulubione kluski z serem i ziemniakami, do tego suto omaszczone skwarkami.

– Jedz, boś zmarniał ostatnio. Jeno miłością się żywisz – rzekła gospodyni z humorem, ale Marcin wciąż zdawał się w ponurym nastroju. Staruszka zaczęła, aż zje, i dopiero potem go zagadnęła.

– Cóżżeś zdziałał w tych Ratajnikach? – spytała, ciekawa odpowiedzi. Wiedziała bowiem, jaki chłopakowi przyświecał cel.

– Ano nic nie załatwiłem – odparł ze smętną miną. – Nie znalazłem pierścionka dla Sabinki.

– Możeś zbyt wybredny – stwierdziła Jurczykowa.

– Eee tam, wybredny. Taką tandetę sprzedają, że za darmo bym tego nie wziął. Nie mówiąc już o tym, bym miał to dać Sabince.

– A w sklepie u Mikruta żeś patrzył?

– Za wysokie progi na moje nogi, nie mam tyle pieniędzy, by się tam pokazywać – odrzekł szybko.

– Trzeba było iść zobaczyć, a nie od razu gadać, żeś nędzarz – skwitowała Jurczykowa.

– Tego nie powiedziałem – odciął się rozeźlony Marcin.

– Sam żeś się tak nazwał – jątrzyła staruszka.

Marcin zwykle miał do Jurczykowej niespożyte pokłady cierpliwości, lecz dzisiaj czuł, że zaraz jej odpyskuje, więc w porę ugryzł się w język, zanim z jego ust wyrwało się kilka cierpkich słów. Gwałtownie wstał i ruszył do drzwi.

– Pójdę podwórko oporządzić, bo mi się zdaje, że wichura wszystkie śmieci z okolicy do nas przywlekła – oznajmił i wyszedł.

Przez ponad godzinę tak zapamiętale machał miotliskiem, że gdy staruszka wyjrzała później zza progu, nie mogła się nadziwić, że tak czysto. Potem zajął się sadem za domem i został tam aż do zmierzchu. Celowo robił wszystko, by być na zewnątrz, byle nie wdać się w utarczki z Jochasią. Poza tym robota na świeżym powietrzu go uspokajała. Pozbierawszy połamane gałęzie, zaczął łątać koślawy płot. I tak do samiutkiego wieczora wymyślał sobie najróżniejsze prace, byle tylko oderwać myśli od nurtujących go spraw.

Nie wiadomo, czy to skutki pracy, bo do tej przecież od dawna przywykł, czy raczej pełnego przygnębienia nastroju, w każdym razie wieczorem padł na łóżko jak długi. Ochlapał się tylko w misce i już leżał pod kołdrą. Za oknem zaczynało zmierzchać, ale ptaki zamilkły już jakieś pół godziny wcześniej. Właśnie zaczął go morzyć sen, gdy najpierw usłyszał zgrzyt zawiasów u drzwi i rytmiczne skrzypienie desek, a potem znajomy głos Jurczykowej.

– Śpisz już, Marcinie? – spytała i podeszła do łóżka.

Marcin otworzył oczy. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że ma przed sobą swoją świętej pamięci babcię, ale szybko zmiarkował, że to jego gospodyni. Usiadł i przetaił oczy, chcąc się pozbyć wszelkich zwidów.

Starowina postawiła na najbliższym stoliku kaganek z wetkniętą weń świecą i teraz Marcin wyraźnie ją widział.

– Nie śpię – odparł po długiej chwili.

– To dobrze – rzekła Jurczykowa. – Bo nie chciałabym cię budzić. Jutro z samego rana trzeba ci się bowiem zbierać do Bukowej Góry, by odwiedzić chytrego Mikruta.

– Co też gadacie – odezwał się rozdrażniony Marcin. Był zły, że kobieta przysłała tu i znów wraca do bolącej sprawy.

Jurczykowa bez słowa się nachyliła i wsunęła mu w rękę skórzaną sakiewkę. Zaskoczony, nie zdążył zapytać, co się w niej znajduje, gdy starowina sama mu to wyjaśniła.

– Pójdiesz jutro do złotnika i wybierzesz dla Skowrońskiej najpiękniejszy pierścionek, jaki ci wpadnie w oczy.

– Ale... – Marcin rozluźnił troczki, zajrzał do woreczka i zobaczył tam mnóstwo pieniędzy. Jego pierwszą myślą było to, że gdyby chciał uzbierać taką sumę, musiałby pewnie harować przez wiele lat. – Nie mogę tego przyjąć – rzekł honorowo, gdy minęło mu wcześniejsze oszołomienie.

– Niby czemu? – Jurczykowa wzięła się pod boki.

– Bo nie jestem darmozjadem – odparł z dumnym wyrazem twarzy.

– Przecie ja tak nie twierdzę...

– Nie...

– A ja ci gadam, żeś powinien to przyjąć. Do grobu tego nie zabiorę, a jak przeminę, to pewnie byś tego grosiwa nawet nie znalazł. Nie chciałbyś wiedzieć, gdzie to chowała. – Mówiąc to, zachichotała. – Myślisz, że ta twoja Sabinka nie zasługuje na kosztowny podarek? – Brała go pod włos.

– Zasługuje na wszystkie skarby świat – stwierdził chłopak pewnym siebie głosem.

– Ano widzisz! – Jurczykowa uśmiechnęła się chytrze. – Dlatego kupisz jej jutro jakieś cacko u tego sknery. Tylko musisz mi coś obiecać.

– Co? – Marcin zaczynał mięknać. Poza tym zdawał sobie sprawę, że skoro Jochasia podjęła decyzję, by obdarować go swoim skarbem, na pewno trudno będzie ją teraz od niej odwieść. Nie raz miał okazję się przekonać, że racja i tak zawsze musiała być po jej stronie.

– Trzeba z tym liczykrupą należycie popaktować, coby się nie dać oskubać. Wszyscy wiedzą, że stary Mikrut sprzedałby własną matkę. Trzeba ci być stanowczym.

– Postaram się – bąknął onieśmielony Marcin, próbując zaakceptować decyzję Jurczykowej. Powinien się radować i pewnie, że mu było wesoło, ale nie mógł się pogodzić z myślą, że ma wziąć od staruszki pieniądze, które ta prawdopodobnie oszczędzała przez całe swoje życie, nieraz odejmując sobie od ust.

– Ino dobrze tego pilnuj. – Pokazała na sakiewkę. – Dostałam ją jeszcze od mojego tatula, z kozłej skóry jest uszyta.

Marcin uśmiechnął się z wdzięcznością i chociaż wciąż czuł się nieco skrępowany, przycisnął woreczek do piersi.

– Dziękuję wam! Ponad wszystko dziękuję! Nie wiem, jak się wam odwdzięczę za tyle dobra... – rzekł wzruszony, nie panując nad głosem.

– Już żeś się odwdzięczył, w ostatnich latach życia miałam syna, od którego nigdy złego słowa nie usłyszałam. Nawet jak darłam gębę, tyś zawsze miło do mnie gadał. Drugiego takiego jak ty, Marcinie, ze świecą szukać. Ta młoda Skowrońska to ma wielkie szczęście, że się jej taki kawaler trafił. Niech no tylko cię doceni...

Następnego dnia Marcin wstał cały w skowronkach. Zajrzał do izby, ale Jurczykowa jeszcze spała, dlatego po cichu wziął sobie pajdę chleba i żeby nie robić hałasu, zjadł go przed domem. Popił wodą i już był gotowy do drogi. Zanim wyruszył, kilka razy sprawdzał, czy pełna pieniędzy sakiewka jest na swoim miejscu. W Bukowej Górze nie pętało się tylu złodziejasków, co na jarmarku w Ratajnikach, ale i tak wolał ukryć woreczek z oszczędnościami w specjalnej wewnętrznej kieszonce marynarki, którą kiedyś dostał od Jurczykowej.

– Masz się porządnie ubrać, Marcinie. Cobyś nie wyglądał jak dziad, bo z obdartusem to nikt nie będzie chciał gadać. A już tym bardziej interesów robić – przestrzegła go jeszcze wczoraj gospodyni.

Marcin wziął sobie do serca jej rady i prezentował się dziś nienagannie. Włożył nawet odświętną białą koszulę i ciemne wełniane spodnie. Eleganckie buty, by ich nie zedrzeć, na razie wpakował do lnianej torby, zamierzając założyć je dopiero po dotarciu do miasteczka. Na razie przemierzał łąki i pola w dziurawych, ale wygodnych trzewikach.

Denerwował się jak mało kiedy, dotąd nie planował bowiem takich szczególnych zakupów. Mimo wczesnej pory dzień był wyjątkowo parny. Ziemia oddawała nagromadzoną w ciągu ostatnich dni wilgoć, co dało się wyjątkowo odczuć. Gdy Marcin dotarł do bramy miasta, był zgrzany, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Otarł je bawełnianą chusteczką, a następnie się schylił i odpucował buty, które po przejściu kilkunastu metrów zdążyły się już lekko zakurzyć. Usiadłszy na murku, chwilę odpoczął, a kiedy ratuszowy zegar wybił godzinę dziesiątą, wstał i ruszył w stronę Rynku. Wędrując uliczkami Bukowej Góry, przyglądał się eleganckim wystawom sklepów i rozpierała go duma, że lada chwila wejdzie do jednego z nich i będzie mógł kupić coś tak cennego jak pierścionek z najprawdziwszego złota. Gdyby mu ktoś powiedział o tym kilka dni temu, pewnie by go wyśmiał. Teraz doszedł do wniosku, że życie bywa nieprzewidywalne.

Mijając sklep ze słodyczami, na którego wystawie piętrzyły się gustownie ułożone ciasta i łakocie ubrane w różnorakie lukry i polewy, przystanął na moment i spojrzał nań tęsknie. Kiedy pomyślał, jak wybornie musi smakować choćby taka czekoladowa babeczka albo kawałek sernika, od razu pociekła mu ślinka. Niemniej uznał, że teraz nie może sobie pozwolić na takie zbytki. Wiadomo było, że w tej eleganckiej cukierni

zaopatrywali się najbogatsi mieszkańcy Bukowej Góry i okolic. Nie były to rarytasy na kieszeń Marcina. Widząc wchodzącą do sklepiku paniusię w modnej sukni i kapelusiku, spod którego wystawało kilka ufryzowanych loczków, nieznacznie się cofnął od wystawy. A dostrzegłszy jej pełen pogardy wzrok, od razu postanowił odejść.

Zrobiło mu się przykro, bo zdał sobie sprawę, że nawet jeśli teraz kupi dla Sabinki choćby i najpiękniejszy, drogocenny pierścionek, to i tak nigdy nie będzie go stać, żeby zaprosić ją do takiej cukierni. Nie będzie mógł nabyć dla niej dobrych gatunkowo tkanin na suknie ani jedwabnych wstążek. Dotarło do niego, że mimo wszystko przy nim Sabinkę będzie czekać jedynie nędzne życie. Harówka w polu i codzienna robota w obejściu. Marcin nie znał innego życia, jego rodzina, choć honorowa, była biedna. Nieraz miał jednak okazję widzieć podobne damulki z wysoko zadartymi głowami, wyznające zasadę, że wszystko im się należy. Pogardzając takimi jak Marcin, uważały, że biedniejsi nadają się jedynie do usługiwania. Zdążył doświadczyć niesprawiedliwości świata, ale mimo wszystko wciąż radowało go to proste życie w zgodzie z odwiecznym rytmem natury. Doceniał zdrowe ciało, dzięki któremu był w stanie pracować i cieszyć się każdym dniem. Z rozrzewnieniem wspominał okres, kiedy Sabinka znalazła go wyczerpanego, niemal bez życia na brzegu jeziora i gdy później nabierał siły pod strzechą Skowrońskich. Niejednokrotnie się już przekonał, że ma wiele szczęścia. Czasem tylko niepotrzebnie nachodziły go, jak teraz, przygnębiające myśli, że bogaci mają w życiu łatwiej. Tymczasem szybko się otrząsnął z jałowych rozważań, jeszcze raz zerknął na piętrzące się w witrynie frykasy i ruszył dalej.

Zauważywszy z oddali wielki szyld z napisem: „Złotnik Alfred Mikrut”, przyspieszył kroku. Gdy dotarł do sklepu, zajrzał nieśmiało do

środku, namacał wybrzuszenie wewnątrz marynarki i uspokojony, że pieniądze są na właściwym miejscu, otworzył drzwi z elegancką klamką i przekroczył wysoki próg.

– Dzień dobry – przywitał się, a nie dostrzegłszy nikogo, rozejrzał się wokół.

W oczy rzuciły mu się eleganckie przeszklone gabloty, a w nich wyłożona biżuteria, od której widoku Marcinowi aż się zakręciło w głowie. Zrobił krok, a jego wzrok zaraz przyciągnęła półka z pierścionkami. Szczególnie jeden, z delikatnym karminowym oczkiem zamkniętym w misternej złotej koronce, zrobił na nim wielkie wrażenie. Niestety, ten był o wiele droższy od pozostałych. Marcin przyglądał mu się jak urzeczony.

– Dzień dobry – usłyszał nagle dobiegający od strony kantorka wysoki dźwięczny głos i zaraz zobaczył wysokiego, chudego mężczyznę wychodzącego zza kotary, oddzielającej część sklepu od pracowni.

Natychmiast się zorientował, że to właściciel, bo właśnie tak opisała mu go wczoraj Jurczykowa. „Suchy, z nochalem jak klamka od zakrystii i z rozbieganymi oczami”, mówiła starowina, która znała Mikruta nie tylko z widzenia, ale i z krążących na jego temat opowieści. A z tych wyłaniał się obraz nieciekawego cwaniaka, mającego o sobie wysokie mniemanie.

– Dzień dobry, dobry. – Uśmiechał się przymilnie złotnik. – Czego sobie szanowny pan życzy?

– Chciał... Chciałbym kupić pierścionek – zająknął się Marcin, lecz wnet przypomniał sobie rady swojej gospodyni, więc szybko się wyprostował i przybrał pewny siebie wyraz twarzy.

– Na pewno coś się tutaj zaraz znajdzie... – Mikrut otworzył gablotę i wyjął umieszczone na aksamitnej poduszeczce pierścionki o wiele skromniejsze, z mniejszymi oczkami niż ten, który wpadł w oko klientowi.

Marcin nic nie powiedział, tylko przyglądał się biżuterii, wysłuchując zachwalającego swój towar właściciela.

– Widzę, że szanowny pan bardzo niezdecydowany – rzekł w pewnym momencie już zniecierpliwiony złotnik. – Lepszych nie znajdziesz pan nigdzie. Powiem nieskromnie, że nawet z Krakowa do mnie zjeżdżają.

– Nie dziwię się, wszak można u pana dostać, czego tylko dusza zapagnie – odezwał się Marcin, zastanawiając się, jak wedle wskazówek Jurczykowej, powinien się targować z tym przecherà.

Widać, że słowa klienta połechtały mile złotnika, bo w mig słodko się uśmiechnął i nie tracąc wigoru, jął proponować inne precjoza. Wyjmował po kolei różne cudeńka, włącznie z naszyjnikami, ale omijał półkę z pierścionkiem, na który Marcin wciąż patrzył jak sroka w gnat. W pewnej chwili dostrzegł to również złotnik.

– Ten się szanownemu panu widzi? – spytał, ale nie kwapił się, by go wyjąć.

– Tak – przyznał Marcin z błyskiem w oku. – Jest piękny.

– I bardzo drogi. Najdroższy z tych tutaj... – Mikrut objął wzrokiem pozostałe pierścionki. – Zrobiony specjalnie dla baronowej Mileńskiej. Lada chwila powinna się tu po niego pojawić.

Marcinowi z miejsca zrzędła mina na takie wieści. „Ten albo żaden”, pomyślał. Ujrzawszy pierścionek z rubinem, teraz nie wyobrażał już sobie innego na palcu swojej ukochanej. Jakże pięknie ozdabiałby jej szczupłutką dłoń. Sabinka była drobniutka jak trzcinka, całkiem inna od dorodnych wiejskich dziewczyn. Dłonie, mimo że spracowane, i tak miała jak u jakiejś arystokratki. W tej chwili oddałby bez zastanowienia wszystkie pieniądze za to чудо. Wtem do sklepu weszła wysoka, przysadzista dama w zbyt ciasnej sukience, co Marcin od razu spostrzegł. Na jej widok złotnik błysnął białymi zębami i wyszedł zza kontuaru, by się przywitać.

– Witam szanowaną baronową. – Zgiął się w pasie tak nisko, jakby miał złamany kręgosłup.

Kobieta patrzyła na niego z chłodną rezerwą, a nawet niechęcią.

– Ma pan to, po co przyszedłem? – spytała i powiodła znudzonym wzrokiem po wnętrzu. Rzuciła też okiem na Marcina, lecz szybko się skoncentrowała na interesującym ją przedmiocie. Ku zgrozie młodego Hurnika wpatrywała się w „jego” pierścionek z rubinem.

– A jakżeby inaczej. – Zadowolony złotnik wyjął biżuterię z gabloty. – Proszę bardzo, niech szanowna pani przymierzy.

Kobieta sięgnęła po pierścionek, a potem nieudolnie próbowała go wetknąć na gruby serdeczny palec. Niestety wszedł tylko na najmniejszy, i to z wielki trudem. O mały włos baronowa by go później nie zdjęła. A kiedy wreszcie jej się to udało, zasyczała z bólu.

– Cóż mi to pan za lichotę dał? – Spojrzała na złotnika z góry. – Nie dość, że źle zrobiony, to jeszcze złoto marnej próby. Na pewno niewart takiej ceny. Ani połowy z tego zresztą niewart. – Prychnęła i z pogardą rzuciła pierścionek na kontuar.

– Ależ droga baronowo, to rzadki rubin, król klejnotów...

– Nie pleć pan bzdur – rzuciła ze złością kobieta. – Przychodzę tu już trzeci raz i niczego u pana nie mogę kupić. Albo koślawe, albo tandetne, albo... – Spojrzała wymownie na nieszczęsny pierścionek. – Za małe.

Po takim obsztorcowaniu właściciel prawie się zapowietrzył. Przez chwilę nie był w stanie wydobyć nawet słowa.

– A pan zadowolony z towaru? – zwróciła się nieoczekiwanie do Marcina klientka, a ten łapczywie zerknął na odrzucone przez nią cacuszko.

– Nie wiem, jeszcze nic nie kupiłem – odrzekł stremowany, że został wciągnięty w dyskusję. Nie lubił opowiadać się po czyjejś stronie, a konfliktów unikał jak ognia.

– To radzę panu poniechać zakupu. Lepiej będzie się panu wybrać do Krakowa, tam towar pierwszej klasy – mówiła z przekonaniem, ku coraz większej konsternacji złotnika. Przez kilka minut wychwalała różne salony złotnicze, w których przyszło jej się w przeszłości zaopatrywać, a kiedy się pożegnała i wreszcie wyszła, błądy już wcześniej Mikrut wyglądał tak, jakby całkiem z niego uszło życie. Aż wsparł się o ścianę.

– Dobrze się pan czuje? – spytał zaniepokojony Marcin.

– Niektórym to ciężko dogodzić – ozwał się smętnie. – Ludziom to się zdaje, że ja na workach z pieniędzmi śpię, a sam pan widzisz, jak to wygląda od kuchni.

Marcin wzruszył lekko ramionami. Żał mu się zrobiło Mikruta. Może i zasłużył sobie na opinię, jaka o nim krążyła, ale teraz sprawiał wrażenie, wręcz jakby go z krzyża zdjęli.

– Chcesz pan dalej ten pierścionek? – zwrócił się złotnik do Marcina.

Oniemiały chłopak najpierw tylko kiwnął głową.

– Tak – odparł zaraz pewnym tonem.

– Daj pan pół z tej ceny i będzie twój – zdecydował złotnik.

Marcin nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. W tej chwili gotów byłby nawet zapłacić właścicielowi całą kwotę, a ten zaproponował mu taką okazijną cenę. Z radości omal nie zrobił z siebie błazna i nie zaczął przed Mikrutem tańczyć.

Kiedy przyszło do ostatecznej transakcji, wyjął z kieszeni małe kółeczko z tymotki, którą zerwał przy dróżce prowadzącej do chałupy Skowrońskich i owinął na serdecznym palcu Sabinki, by mieć na wzór. Przymierzył je teraz do leżącego przed nim pierścionka z rubinem i oba zgrały się idealnie. Potem wyciągnął skórzaną sakiewkę i wyjął z niej potrzebną sumę. Mikrut chytrze spoglądał, gdy Marcin kładł na ladzie pieniądze, a po jego minie można było wywnioskować, że pewnie żałuje

naprędce podjętej decyzji. Wszak cena za pierścionek z rubinem wydawała się nie lada okazją. Niemniej słowo się rzekło i złotnik nie mógł się już wycofać. Zapakował pierścionek do eleganckiego, wyścielonego jedwabiem puzderka i podał Marcinowi.

– Na pewno spodoba się wybrance – rzekł z przekonaniem. – I przyniesie szczęście.

Uradowany chłopak pożegnał się z właścicielem, a potem niczym niesiony na skrzydłach ruszył w drogę powrotną.

Ależ było radości tego dnia w chacie Jurczykowej. Staruszka nie mogła się nachwalić Marcina, że taki zaradny i że wziął sobie do serca jej wskazówki.

– Dasz sobie radę w życiu, Marcinie – mówiła do chłopaka z uznaniem. – Jakżeś ty tego Mikruta tak okpił, to nigdy ci źle nie będzie. Nie pomyślałabym, żeś taki kuty na cztery nogi. Jakżem cię pierwszy raz zobaczyła, tobym złamanego grosza za ciebie nie dała. Taki niezdara... – rzekła szczerze do bólu ku konsternacji Marcina.



Tak jak zaplanowano, w najbliższą niedzielę u Skowrońskich odbyły się zrzękowiny. Na tę okazję gospodarze sprosili rodzinę i najbliższych sąsiadów. Niestety przy stole zabrakło Anieli, która od Wigilii z dnia na dzień była coraz licszego zdrowia i niezwykle rzadko wychodziła z łóżka. Za nic miała głośnie biesiady i harmider. W zaciszu swojej izdebki pobłogosławiła ukochaną wnuczkę i jej kawalera, mówiąc, że wreszcie doczekała się chwili, że niepokorna Sabinka w dorosłe życie się zabrała, a Marcin zszedł z obłoków na ziemię.

Już on dobrze wiedział, o czym mówiła starowinka. Trudno było mu bowiem zapomnieć, jak naiwnie się zachowywał, niemal każdego dnia wałęsając się na brzegu jeziora i tęsknym wzrokiem wypatrując ułudnej Marany. Choć tamto zdarzenie już jakiś czas temu spisał na karb wyczerpania, jakiego doznał, wciąż pamiętał obrazy, które wtedy zobaczył. Zupełnie inne niż dzisiaj wybrzeże, błękitną, jak gdyby z bajki, toń jeziora i wzgórze z okazałym zamkiem. Niczym cenny talizman nadal trzymał też pod poduszką złocisty kamień w kształcie serca, namacalną pamiątkę po tamtym, wydawałoby się, nierealnym wydarzeniu. Będzie musiał kiedyś opowiedzieć o tym Sabince. Chociaż ukochana twardo stąpała po ziemi, nawet gdyby miał się narazić na śmieszność, w przyszłości nie zamierzał mieć przed nią żadnych tajemnic.

Tak jak podejrzewał, Sabince oczy się zaświeciły na widok pięknego pierścionka z prawdziwym rubinem. A i Skowrońscy byli pod wrażeniem takiego podarku. Kiedy zgodnie z tradycją Sabina i Marcin trzymali później złączone, przewiązane wstążką dłonie nad dobrze wypieczonym, okazałym bochnem chleba, w chacie panowała wielka radość. Gospodarze przygotowali godny poczęstunek: gorzałkę, mięsiwo i kołaczki, żeby młodemu nigdy nie zabrakło słodczy. Rozpromieniona Sabinka co rusz zerkała na błyszczący czerwienią pierścionek, który ukochany wsunął na jej serdeczny palec, a którego mogłaby jej pozazdrościć sama hrabianka. A Marcin pękał z dumy i kolejny raz nie mógł się nadziwić, że pomimo różnych zgryzot i przeciwności los mu sprzyjał. Smutno mu było, że na biesiadzie zabrakło Jurczykowej, którą uważał za najbliższą krewną. Ale choć starowina po Nowym Roku zebrała się w sobie, nie miała na tyle siły, by nawet furmanką przejechać do sąsiedniej wioski. Narzekała, że ją po drodze wytelepie, a ponadto stwierdziła trzeźwo, że jeszcze by mu u przyszłych teściów wstydu narobiła.

– Wiesz, żem narowista i co u mnie w sercu, to zaraz na języku. Za to ludziska mnie nie lubią, bo nie chcą słuchać, jak im kto prawdę gada. Raduj się dziś beze mnie, a na pociechę weź mi kawałek kołacza i kwartę gorzałki, cobym za szczęście twoje i młodej Skowrońskiej wypila – zażartowała.

Świętowali do białego rana, a i nazajutrz było im wesoło. Młodzi nie zamierzali długo czekać, by już na zawsze, jak pan Bóg przykazał, być razem, dlatego ustalono, że ślub odbędzie się za dwa miesiące.

Po zrękowinach u Skowrońskich wszyscy z ich wioski i okolicy mówili tylko o zbliżającym się weselisku, które zaplanowano na tuż po żniwach. Wtedy każdy będzie mógł pozwolić sobie na beztróskie świętowanie.

Niestety, ustalając datę ślubu, nikt nie brał pod uwagę, że przekorny los może pomieszać młodym szyki. Mniej więcej miesiąc po zrękowinach zmarła Aniela. Odeszła spokojnie, we śnie, ze swoją buczynową koronką w dłoniach. Błogi uśmiech na jej twarzy świadczył być może o tym, że zanim wydała ostatnie tchnienie, ujrzała w izbie swojego Józka i przedwcześnie zmarłe ukochane dzieciętki. Może wszyscy oni zjawili się po nią, by przeprowadzić ją na drugi świat. Chociaż Skowrońscy wiedzieli, że prędzej czy później to nastąpi, chcieli mieć staruszkę przy sobie jak najdłużej i nikt nie zastanawiał się nad tym, jak to będzie, gdy starowinki zabraknie. Wszak wiadomo, że okres żałoby rządzi się swoimi prawami, i ślub należało przełożyć. Zresztą kto by tam w takiej chwili myślał o tańcach, kiedy tęsknota i żal za ukochaną krewną przykryły całunem serca Skowrońskich.

Marcin wspierał zrozpaczoną Sabinę, choć i on się smucił z powodu śmierci jej babci. Znał Anielę krótko, lecz zdążyła skraść i jego serce.

Pogrzeb odbył się w pogodny dzień, sosnową trumnę hojnie oświetlało słońce, a na jej brzegu przysiadł biały motyl. Ludzie ze wsi tłumnie

przybyli na ostatnie pożegnanie Anieli, bo była lubiana i szanowana. Wszyscy gadali potem, że matka Teresy swoim przykładnym życiem i dobrym sercem zasłużyła sobie na taki godny pochówek. Niejednemu puściła się z oczu łza, gdy wrzucał na trumnę grudkę ziemi.

– Więcej takich ludzi, a świat byłby lepszy – mówili.



Minęły dwie niedziele i kostucha zawitała tym razem do Łobiezowa, upominając się o starą Jochasię. Także i ona zmarła spokojnie, we śnie. Marcin pogrążył się w żałobie; nie podejrzewał, że aż tak bardzo będzie mu brakowało staruszki. Czuł, jakby po raz drugi stracił matulę. Wyrzucał sobie, że może czegoś nie dopilnował, chociaż Jurczykowa ostatnio wydawała się naprawdę dobrego zdrowia. Wstawała skoro świt, a warząc strawę, nieraz wesoło podśpiewywała. Pusto zrobiło się bez niej w chacie, więc Marcin, jak tylko mógł, starał się gdzieś wychodzić. Łapał w okolicy każde zajęcie, nie tylko by zarobić grosz na wspólną przyszłość z Sabinką, ale też by odgonić myśli o śmierci dwóch bliskich mu osób. Tęsknił za Jochasiowym gderaniem i napominaniem. Tęsknił za odgłosem jej wytartych chodaków i brzękiem garów, kiedy rozeźlona nimi trzaskała. Stara chałupa najpewniej też tęskniła za właścicielką, bo często pojękiwała, trzeszcząc wysłużonymi belkami i zawodząc rzewnie wraz z próbującym wtargnąć pod strzechę wiatrem.

Któregoś ranka Marcin przyjrzał się dokładnie wszystkim kątom, stwierdzając, że gdyby tak dom podreperować, być może mogliby na początek zamieszkać tu z Sabinką. Żeby jednak wyremontować starą chatynę, roboty byłoby co niemiara. Nie dało się ukryć, że od dawna brakowało tu męskiej ręki. Odkąd Marcin zamieszkał z Jurczykową, starał się wprowadzić załatać co większe ubytki, co chwilę coś majstrował

i naprawiał, ale chałupa wydawała się już zmęczona życiem, tak jak Jochasia. Przedstawił nawet swój pomysł Sabince, ale raczej nie uśmiechało jej się przenosić do innej wioski, gdzie nikogo nie znała. Na obrzeżach Bukowej Góry jej rodzina mieszkała z dziada pradziada, tak jak i familie bliskich sąsiadów. Tu ziomek zawsze mógł liczyć na ziomka. Lata tułaczki nauczyły Marcina, że spokój i szczęście można odnaleźć gdziekolwiek, lecz Sabince trudno było się rozstać z ukochanym miejscem.

– W Łobieszowie będą patrzeć na mnie wilkiem, tam zawsze będę obca – powiedziała nadąsana, ledwo Marcin o tym wspomniał. – Oni nie lubią ludzi z Bukowej Góry. Mówią, że mamy się za lepszych i jesteśmy swarliwi, a sami zawsze szukali zwady.

– Eee tam, nie zauważyłem – odezwał się ugodowo Marcin.

– Boś tam krótko żył. Pomieszkałbyś jeszcze, to byś ich rozgryzł. Nie gadałbyś tak, jak teraz.

Nie zamierzał Sabinki przekonywać, choć sam coraz częściej o tym myślał. Może i byle jaki, ale na początek przynajmniej miałby swój kąt. Poza tym kawałek ogródka i sad z wciąż rodzącymi drzewami. Na razie nie musieli podejmować takich decyzji, bo zgodnie z planami ślub miał się odbyć dopiero na wiosnę w przyszłym roku. Po co więc denerwować ukochaną, skoro teraz i tak niczego to nie zmienia. Bądź co bądź, doskonale rozumiał, że dziewczyna nie chce być daleko od matki i najbliższych.

Dziś było mu wszakże przykro, bo po raz pierwszy się z Sabinką powadzili. I choć szybko się pojednali, od razu przepraszając się za kilka niemiłych słów, to Marcin, wracając później do Łobieszowa, wyrzucał sobie, że był za mało cierpliwy. Znał charakter Sabinki i wiedział, że czasem lepiej jej przytaknąć, niż wchodzić z nią w dyskusję. Ostatnie miesiące bardzo ich doświadczyły. To, że musieli przełożyć ślub i zmienić plany, stanowiło gorzką lekcję pokory. Szczególnie dla Sabinki, która była

w gorącej wodzie kąpana i swoje pomysły zawsze chciała wcielić szybko w życie. Niestety, teraz należało zaczekać.

Tego wieczoru chałupa i obejście wydawały się Marcinowi jeszcze bardziej ciche niż zwykle. Nie gdały kury, które chłopak oddał najbliższej sąsiadce, i nawet ptaki obsiadające okoliczne drzewa sprawiały wrażenie jakichś ospałych, mimo że słońce nie schowało się jeszcze całkiem za las. Wyjątkowo zmęczyła go ta wędrówka, dlatego od razu się obmył, przebrał w czystą odzież i położył spać. Ponieważ jutro czekała go robota w tartaku, powinien zebrać się skoro świt. A w kurniku nie było koguta, który wcześniej budził domowników nawet wtedy, gdy sobie tego nie życzyli. Marcin długo nie mógł zasnąć, a kiedy wreszcie mu się to udało, męczyły go niespokojne sny. Najpierw, że obsiadł go rój ogromnych pszczół, z którym w starciu nie miał najmniejszej szansy, a potem, że pływał w gorącym jeziorze i nie umiał się stamtąd wydostać. Nagle znów był w łóżku i nad sobą zobaczył Jurczykową.

– Wstawaj! – Starowina targała go za poły koszuli. – Chyba że chcesz skończyć jak kura w rosole.

We śnie wszystko się miesza i trudno ocenić, co jest prawdą, a co ułudą, i Marcin też teraz nie potrafił dociec, dlaczego Jochaśka nagle się tutaj pojawiła i chce wykurzyć go z łóżka.

– Nigdzie się stąd nie ruszam – odrzekł hardo, na co za życia Jurczykowej na pewno by się nie odważył.

– Wyłaż z wyra, wałkoniu! – Staruszka nie ustępowała, ściągając z niego kołdrę.

– Nie! – sprzeciwił się Marcin, zadowolony z siebie, że wreszcie, choćby i po śmierci Jochaśki, może się jej przeciwstawić.

Wtem poczuł na twarzy bolesny raz, nie spodziewał się, że tak mu przysoli. Jak na taką starowinę, a raczej senną marę, Jurczykowa miała

naprawdę wielką krzepę. Marcin odruchowo dotknął gęby i sprawdził, czy mu nie wybiła zębów. Na szczęście były na swoim miejscu. Nagle otworzył oczy. Chyba się obudził, choć przez pewien czas nie mógł się połapać, czy nadal śpi. Wtem od strony drzwi ujrzał kłęby dymu i poczuł dotkliwy war. Szybko się ocknął i dotarło do niego, że chałupę trawi ogień. Tak jak stał, w krótkich gatkach i cienkiej koszulinie, dopadł do okna, rozwarł je, po czym łapczywie łapał świeże powietrze. Już miał się wspiąć na framugę, gdy nagle o czymś sobie przypomniał. Cofnął się do łóżka i wyjął spod siennika sakiewkę od Jurczykowej i kamienne serce, które wcześniej wsunął między pieniądze. Sięgnął jeszcze po parciany plecak, w którym trzymał kilka zdjęć i jakieś pamiątki. Zaraz poganiany przeraźliwym, niemal nie do wytrzymania gorącem, jednym susem wyskoczył na zewnątrz i pognął przed siebie, byle jak najdalej od rozbuchanych płomieni, które jęły zagarniać kolejne części chaty.

Stanąwszy pod rosnącą na skraju polany lipą, dygotał jak w febrze. Zaczynało docierać do niego, że o mały włos zostałyby z niego kupka prochu. Ogień z taką zapalczywością sięgał po wszystko, co stało na jego drodze, że Marcina połknąłby bez mlaśnięcia. Łuna w mig zwabiła najbliższych sąsiadów i nim Marcin się obejrzał, już kręciło się obok niego grono ludzi. Ktoś go o coś pytał, ktoś inny nakrył kocem i pocieszał, ale chłopak niewiele spamiętał z tej nocy. Dopiero gdy nazajutrz obudził się w chałupie rymarza, który przygarnął biednego pogorzela, powoli zaczynało do niego docierać, co się stało. Nie mógł w to uwierzyć, jak niewiele brakowało, by pożegnał się z życiem. Przypomniał sobie znamienny sen i starą Jochaśkę, która na wszelkie sposoby starała się wyciągnąć go z łóżka. Czy zjawiła się tutaj zza grobu, by go uratować? Na to wyglądało.

Wieści lotem błyskawicy dotarły wnet do Bukowej Góry. Sabinka omal ducha nie wyzionęła z nerwów, gdy kulawy Orlik przyniósł te nowiny. Od razu pędem rzuciła się w stronę ścieżki prowadzącej do Łobiezowa. Nie zważała na napominania matuli, by choć narzuciła na plecy chustę, tylko gnała przez pola niczym wiatr. Marcin w tym czasie, mimo gościny i troski rymarzowej, zaraz po śniadaniu, które choć porządne, stało mu w ustach, zebrał się, dziękując za strawę i dach nad głową. Musiał sprawdzić, jak wygląda pogorzelsko.

Koło trzeciej na szczęście przeszła solidna ulewa, która z miejsca unicestwiła rozbuchane płomienie. Na ratunek staremu domostwu było już jednak za późno. Marcinowi żal ścisnął serce, gdy stał później nieopodal miejsca, które przez ostatnie dwa lata stanowiło jego schronienie. Najpierw odeszła Jochasia, potem jej ukochana krasula, a teraz z tęsknoty za starowiną uleciała do niej z dymem jej chatynka. Także Marcin tęsknił za staruszką, ale nie zamierzał udawać się jeszcze do Świętego Piotra. Życie zabierało mu ludzi, których kochał i szanował, ale wiedział, że puste miejsce wypełni się nowym. Tak było w przeszłości i wierzył, że tak zdarzy się też w nieodległym czasie.

Przez kilkanaście minut krążył wokół chałupy, z której zostały kupa zwęglonych desek i popiół, z zagrzebanymi weń sprzętami, aż wreszcie usiadł na kamieniu przy studni i smętnie wbił wzrok w ziemię. Nie wiedział, jak długo dumał nad losem, gdy nagle usłyszał spanikowany, doskonale znajomy mu głos. Ledwo uniósł głowę i zdążył wstać, gdy ujrzał gnającą do niego Sabinę.

– Marcinie! – Dziewczyna szlochała i zaraz do niego dopadła. – Tak bardzo się o ciebie bałam, tak bardzo... – Nie była w stanie wymówić nawet słowa więcej, bo głos z emocji uwiązł jej w gardle.

Marcin przytulił ją mocno i lekko ukołysał, a potem trwali w takim uścisku przez kolejne minuty, zanim Sabina się trochę nie uspokoiła.

– Nie wiem, co ja bym zrobiła gdyby... gdyby tobie coś... – Nie dała rady dokończyć zdania, bo miała wrażenie, że ze strachu o ukochanego zaraz pęknie jej serce.

– Nic mi nie jest, Sabinko. – Marcin pogładził włosy lubej, które po intensywnej wędrówce wyglądały, jakby właśnie potargała je wichura. – Niejedno już przeszedłem i powinnaś wiedzieć, że co jak co, ale Hurnik tak łatwo się nie da. – Ostatnie słowa wypowiedział żartem.

– Ale ja... – Dziewczyna łkała. – Ja wczoraj byłam dla ciebie taka niedobra...

– Eee tam, już tego nie pamiętam. – Marcin się uśmiechnął. – Ja też nie jestem bez winy. Zresztą wszystko sobie już wyjaśniliśmy.

– Ale... gdyby tak... Ja bym nie umiała bez ciebie żyć – żaliła się dalej Sabina.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Sabinko. – Marcin zamknął rozedrgane usta ukochanej delikatnym pocałunkiem.

Wkrótce do Łobieszowa dotarł również Władysław z dwoma sąsiadami. Także on zdawał się wstrząśnięty nocnym wydarzeniem i tym, co ujrzał. Widok spalonej chaty był bowiem porażający. Szybko uradzili, że nie ma tu co robić i Marcin powinien jak najszybciej wrócić do Bukowej Góry. Dobrze, że rymarz dał mu koszulę, buty i portki. Wprawdzie były o wiele za duże i Marcin musiał związać je paskiem – pasków akurat w chacie jego dobrodzieja nie brakowało – ale przynajmniej nie paradował przez wieś w służących mu jedynie do spania lichych gatkach.

Takim to sposobem Marcin znów trafił pod strzechę Skowrońskich. Chociaż ludzie we wsi gadali, że się nie godzi, by młodzi po zrękowinach mieszkali we wspólnej chacie, rodzice Sabinki za nic mieli takie

rajcowanie. Nie zostawiliby przyszłego zięcia w potrzebie. Gdzie niby miał spać, pod gołym niebem?

Marcin zamieszkał w tej co poprzednio, maleńkiej izdebce, którą przez jakiś czas zajmowała Aniela. Młodzi starali się nie nadużywać zaufania Skowrońskich i na ile mogli, trzymali się na dystans. Tylko w czasie spacerów czule się obejmowali i kradli sobie całusy. Wiedzieli, że ludziska mełli ozorami na ich temat, dlatego nie chcieli dawać im ku temu dodatkowych powodów. Zarówno Sabina, jak i Marcin nie mogli się już jednak doczekać ślubu. A do tego pozostało niestety jeszcze wiele miesięcy.

– Co tam masz? – spytała któregoś wieczoru Sabinka, gdy zniecka weszła do Marcinowej izdebki, kiedy ten akurat zamierzał wreszcie wyjąć zawartość plecaka.

– Eee, takie... pamiątki... – Speszył się, jakby został przyłapany na gorącym uczynku.

– Mogę zobaczyć? – spytała Sabina i nie czekając na odpowiedź, usiadła na łóżku obok narzeczonego.

Chłopak wyjął kilka podniszczonych zdjęć, na których uwieczniono jego rodzinę: matkę, ojca, babunię, stryja i stryjenkę. Była też fotografia rodzinnej chałupy i obejścia. Na jednej uchwycono nawet psotną kozę Lolę, która zawsze chodziła za Marcinem wiernie jak piesek i po której chłopak płakał przez kilka dni, jakby mu zmarła prawdziwa przyjaciółka.

– Nie poznałam moich teściów – rzekła smutno Sabina, przyglądając się wpatrzonym w siebie kobiecie i mężczyźnie. – Ciekawe, czy by mnie polubili.

– Na pewno – odrzekł równie smętnym tonem Marcin.

– Tęsknisz za nimi?

– Tęsknię, a jakże – odparł Marcin. – Krótka dane mi było się nimi cieszyć. Ale los jest dla mnie przychylny, mam nową rodzinę. W życiu bym

nie pomyślał, że mnie takie szczęście spotka. – Spojrzał z miłością na ukochaną.

Sabinka miała ochotę przytulić się do narzeczonego, dlatego by nie kusić losu, próbowała zająć czymś ręce.

– Co tam jeszcze masz? – Starła się zajrzeć do plecaka, chociaż Marcin przysłonił go wierzchem dłoni. Dziewczyny to bynajmniej nie zniechęciło, zwinnie wsunęła do środka rękę i po chwili trzymała wyschnięty wianek, z którego na podłogę posypało się kilka kwiatków.

– Eee... – bąknął zawstydzony Marcin.

– Skąd to wzięłeś? – spytała, patrząc na niego oczyma wielkimi jak spodki.

Wianek był suchy i niemal całkiem pozbawiony dawnych barw, ale wstążka wciąż kusiła ładnym odcieniem czerwieni. Sabina doskonale pamiętała moment, gdy wiązała ją między kwiatami dziewanny i krwawnika. Nagle odżyło wspomnienie ciepłej czerwcowej nocy, która niestety nie zapisała się miło w jej pamięci. Myślała, że wianek przepadł gdzieś w trzcinach, bo nie wyłowił go z jeziora żaden kawaler. Marcin nie miał pojęcia, jak wyjaśnić Sabine obecność kupalnego wianka, musiałby bowiem opowiedzieć jej o wszystkim. Tyle że nie było wyjścia, bo Sabinka wpatrywała się w niego tak zawzięcie, jakby chciała dojrzeć w jego niebieskich źrenicach obrazy tamtych wydarzeń.

– Wyłowiłem go wtedy... – rzekł i ostrożnie spojrzął na ukochaną, a potem wrócił pamięcią do wieczoru, kiedy myślał, że stracił ją na zawsze. Nadal czuł gorycz zazdrości, gdy mówił, jak ujrzał stojącego przed Sabinką Wacka Śmigła, który wręczał jej wianek. Nie mógł sobie darować pomyłki i tego, że się spóźnił.

– Ach, to tyś złapał mój wianek, Marcinie. – Uśmiechnęła się promiennie dziewczyna.

– Myślałem, że to młody Śmigiel... Ech, zresztą wiesz... – Speszony Marcin machnął ręką.

– Wacek wyłowił wianek Cysi, choć był święcie przekonany, że to mój. Sama nie wiem, jak to się stało, ale uplotłyśmy z Cysią prawie identyczne wianki. Tylko wstążki je odróżniały, choć obie miały czerwony kolor. Trzeba by nie lada wprawnego oka, by je rozróżnić. – Dobrze, żeś się go nie pozbył.

Marcin sam nie wiedział, dlaczego zostawił ów nieszczęsny, jak mu się wtedy zdawało, wianek. Już miał go rzucić w krzaki, ale coś go przed tym powstrzymało. Kiedy wrócił do chałupy Jurczykowej, odłożył go na skrzynię, gdzie wianek przeleżał kolejne miesiące, a kilka dni temu jakoś odruchowo wsunął go do plecaka i to uchroniło tę szczególną pamiątkę przed spalaniem. „Gdybym ja wtedy wiedział, że tak się sprawy mają, pognałbym do Sabinki w te pędy, a tak żeśmy łazili obok jak ten żuraw z czapłą. Chwała Najwyższemu, że pomógł nam skrócić do siebie drogę”, dumiał Marcin.

Potem sam włożył rękę do plecaka i wyjął z niego coś jeszcze. Uznał, że najwyższa pora, by Sabinka poznała historię kamiennego serca.

Dziewczyna zerknęła z ciekawością, ale nie zdążyła o nic zapytać, ponieważ Marcin zaczął swoją opowieść.

– Sabinko, pamiętasz dzień, kiedyś znalazła mnie zmarniałego na brzegu jeziora? – spytał, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

– Jakżebym mogła o tym zapomnieć – odparła z mocą narzeczona.

Wtedy przekazał jej to, co od dwóch lat siedziało mu w głowie i sercu. Postanowił być z nią szczery, nawet jeśli miałyby pomyśleć, że zupełnie pomieszało mu się w głowie. Bo może i jemu się wtedy pomieszało, sam już nie wiedział, co o tym myśleć. Lecz jak wytłumaczyć obecność tego niesamowitego kamienia o złotawym połysku? Wydawało mu się to nawet

dziwne, że wciąż doskonale pamiętał słowa ułudnej Marany, i teraz opowiadał wszystko, co pozostało mu w pamięci.

Sabinka słuchała go uważnie. Sądził, że kiedy dotrze do fragmentu o pannie w kunsztownym czółnie, która do niego podpłynęła, luba zacznie się śmiać albo, jak to ona, przynajmniej zażartuje, lecz Sabina patrzyła na niego z poważną miną, ani razu mu nie przerywając. Gdy skończył, spodziewał się, że dziewczyna będzie się z niego natrzęsać, lecz ona przyglądała mu się w zastanowieniu.

– I tyś Marcinie wybrał mnie? – W pewnej chwili uśmiechnęła się szelmowsko. – Mogłeś mieć najprawdziwszą księżniczkę, a włożyłeś pierścionek na rękę zwykłej wiejskiej dziewczynie.

– Nie ma drugiej takiej na świecie jak ty, moja Sabinko – odparł zakochany po uszy Marcin. Cieszył się, że ukochana poznała wreszcie tę dziwną historię. Teraz nie miał już przed nią żadnych tajemnic. Zrobiło mu się lżej na duszy i ogarnęło go przemożne uczucie pewności, że z tą cudowną istotą zawojuje świat, że przy niej zazna prawdziwego szczęścia. „To ta jedyna, do tańca i do różańca”, pomyślał, gładząc Sabinkę czule po policzku.



Ani się wszyscy obejrżeli, a wiosenne i letnie dni, pachnące kwieciami i ciepłym wiatrem, stały się jedynie wspomnieniem. Nastąpiła jesień, najpierw słoneczna i wielobarwna, a później słotna i zimna. Mieszkańcy coraz rzadziej wychodzili z chałup, grzejąc się przy piecach, a jeśli już, to spotykali się u któregoś na sąsiedzkie gwarzenie. Zmęczona po ciężkiej pracy ziemia, wydawszy plony, odpoczywała, czekając na zimę, by niebawem zapaść w sen.

Po pracy u rymarza, który już kilka razy poprosił Marcina o pomoc, chłopak wrócił dziś do chaty zziębnięty i znużony. Na szczęście posiliwszy się strawą i ogrzawszy przy piecu, szybko doszedł do siebie. Musiał pójść jeszcze na wieczorną mszę, wszak dziś obchodzono święto jego patrona. Lada chwila zacznie się adwent, a wtedy do Bożego Narodzenia już z górki. Sabinka z matulą były na mszy wcześniej, a ponieważ Marcin rankiem umówił się w Łobezowie na robotę, musiał teraz dopełnić powinności. Bo jakżeby to wyglądało nie iść na nabożeństwo w takim szczególnym dniu. Nie chciało mu się opuszczać ciepłego kąta, ale sięgnął po kapotę i odprowadzony do drogi przez Sabinę, ruszył w stronę Bukowej Góry.

Kościół wypchany był po brzegi i Marcin musiał stać z samego tyłu. Zmęczenie dało o sobie znać, dlatego przez większość mszy przysypiał, ganiąc się w duchu za to, że zamiast wychwalać Najwyższego, marzył o przytulnym łóżku. Mimo wszystko dotrwał do końca, a kiedy wyszedł z kościoła, nie wiedzieć kiedy nogi poniosły go jeszcze do centrum miasteczka. Będąc w Bukowej Górze, lubił przejść się wzdłuż murów, skąd rozpościerał się ładny widok na okolicę. Ruszył wybrukowaną uliczką, lecz po przejściu kilkunastu metrów się zatrzymał. Wydawało mu się, że słyszał jakieś skamlenie, ale nie był pewien, czy to nie odgłos wzmagającego się wiatru. Gdy już pomyślał, że mu się to zdawało, nagle znów usłyszał, tym razem o wiele głośniejsze, pojękiwanie i wyraźne słowa.

– Przestańcie! Dajcie mi spokój! – niósł się przerażony męski głos.

Nie zastanawiając się nawet chwili, Marcin ruszył w kierunku, skąd dochodził dźwięk. Do jego uszu dobiegały coraz wyraźniejsze: śmiech, lament i brzmiące niczym bełkot, urywane zdania. W pewnej chwili wpadł w częściowo przysłonięty iglakami zaułek za fragmentem muru obronnego. Ujrzał dwóch chłystków pastwiących się nad jakimś starcem.

– Zostawcie tego człowieka! – wykrzyczał, śmiało dopadł do opryszków i zaczął ich okładać. Sam się sobie dziwił, że miał tyle siły i odwagi, bo bądź co bądź, on był sam, a ich dwóch. Darł się przy tym tak zawzięcie, że wrzaskiem pewnie by i umarłego zbudził. Zaciśniętymi w pięści dłońmi lał gdzie popadnie, nie patrząc, gdzie tyłek, a gdzie gęba. Pewnie wzbudził w sobie jakąś ponadludzką siłę, bo ani się obejrzał, jak smarkacze zaczęli uciekać. Marcin stał i patrzył, gdy wypadli za krzaki i pognali dalej, o czym świadczył chrzęst żwirku w alejce. Długo nie mógł wymówić słowa ani oderwać wzroku od luki między młodymi choinkami, przez którą przed chwilą przemknęli złoczyńcy. Dopiero czując, że ktoś obłapił jego rękę, Marcin wzdrygnął się nerwowo.

– Dzień... dziękuję – wydukał przejęty starzec. – Uratował mi pan życie, przecież te draby by mnie tu ukatrupiły.

Widząc, że zagrożenie minęło, Marcin dopiero teraz odetchnął z ulgą.

– Pewnie nic by nie zrobili, tylko chcieli was postraszyć – zwrócił się do przerażonego Żyda, bo teraz, kiedy odetchnął, zauważył u mężczyzny długą brodę, pejsy i charakterystyczną jarmułkę.

– Sam Bóg zesłał tu was we właściwej godzinie – mówił wciąż zdenerwowany człowiek. – Jak się wam za to odwdzięczę?

– Znalazłem się tu, to i pomogłem. Każdy by tak postąpił – zauważył Marcin.

– Nie każdy, drogi panie, nie każdy. – Mężczyzna pokręcił głową z przejęciem. – Nawet pan nie wiesz, jakie ludzie potrafią być podłe. Za byle złotego by cię w łyżce wody utopili. A pan żeś życie dla mnie narażał.

– Odprowadzę was do domu – zaproponował Marcin, widząc, że starzec nadal dygocze z nerwów.

– Byłbym wdzięczny – ozwał się już nieco pewniejszym tonem Żyd, ale łypnął jeszcze nerwowo okiem w stronę krzaków. – Zatem chodźmy.

Weszli na drogę przy baszcie, a potem przekroczyli bramę i udali się w stronę Rynku. Marcin nie dociekał, gdzie mieszka mężczyzna, tylko dał mu się poprowadzić. Gdy się zatrzymali przed znajomą Marciniowi kamienicą, gdzie kilka miesięcy wcześniej skuszony piętrzącymi się w witrynie najlepszymi w miasteczku frykasami przystanął, by nacieszyć nimi oczy, spojrzął na Żyda ze zdziwieniem. Ten nie wszedł do cukierni, bo o tej porze była zamknięta. Otworzył za to mieszczącą się z boku bramę i poprowadził Marcina na schludne podwórko, a potem do klatki schodowej. Wspięli się na pierwsze piętro i stanęli przed okazałymi rzeźbionymi drzwiami, co samo w sobie mówiło już o zamożności mężczyzny. W progu powitała ich krępa gospodyni o dobroduszej twarzy. Żyd powiodł Marcina do eleganckiego pokoju, gdzie uraczył go prawdziwą kawą i ciastem, jak Marcin się domyślał, a co zaraz potwierdziło się w rozmowie – wyrobem ze swojej cukierni.

Marcina kusilo, by wspomnieć o tym, że niegdyś stał przed wystawą ze słodkościami, ale nie odważył się wejść do środka, uznawszy, że nie są na jego kieszeń. Ostatecznie stwierdził jednak, że ta informacja nie jest teraz nikomu potrzebna, a on nie chce robić z siebie dziada. Jakkolwiek by było, dzisiaj mógł próbować tych ciastek do woli, a Aron Rosenberg nie zamierzał wypuścić go z pustymi rękami. Swojej gospodyni, Kaźmierce, nakazał zapakować dwa pudełka najprzedniejszych specjałów, by także bliscy Marcina mieli okazję ich skosztować. A potem zlecił swojemu szoferowi odwieźć chłopaka do wioski. Trudno było tam dojechać, więc Marcin wysiadł przy gościńcu i dalej szedł już na piechotę.

Ależ się działo tego wieczoru w chacie Skowrońskich. Marcin kilka razy z rzędu musiał opowiadać, jak uratował starego Arona z rąk opryszków, i za każdym razem pękał z dumy, że zadziałał impulsywnie i zgodnie ze swoim sumieniem, nie bacząc na zagrożenie, pomógł

człowiekowi. Sabinka, na ile mogła pozwolić sobie na czułości przy rodzicach, przytulała Marcina i z przerażeniem szeptała, że gdyby stało mu się coś złego, to ona by tego nie przeżyła.

– Co miałyby mi się stać, Sabinko? Zło można jedynie dobrym uczynkiem przepędzić. – Marcin pogładził ukochaną po włosach. Wiele by dał, by ją przygarnąć do siebie, a nawet spędzić z nią całą nockę, ale po minach przyszłych teściów spostrzegł, że powinien nieco powściągnąć pragnienia. Niestety ukochana mu tego nie ułatwiała. Co rusz obejmowała go tak, że trzeba było z jego strony nie lada determinacji, by wyswobodzić się z tych słodkich uścisków.

Do późnych godzin familia siedziała przy stole oświetlonym łożową świecą i raczyła się przyniesionymi przez Marcina smakołykami. A chłopak cieszył się jak dziecko, że mógł sprawić ukochanej i jej bliskim tyle radości.

Wieści o heroicznym czynie Marcina wnet rozeszły się po okolicy. Do chałupy Skowrońskich schodzili się sąsiedzi, gratulując chłopakowi odwagi i podziwiając go za wielkie serce.

– Dobrze mieć koło siebie takiego – gadali. – Człowiek przynajmniej wie, że jakby co, to ruszy z pomocą. Dobry chłopak z tego Hurnika. Skowrońscy wiedzieli, kogo przygarnąć pod strzechę.

Marcin przyjmował te laurki, uśmiechając się z zakłopotaniem, i raz za razem powtarzał historię z pamiętnego wieczoru.

W dzień Świętego Mikołaja po południu do chaty Skowrońskich zawitał nieoczekiwany gość. Wszyscy przecierali oczy ze zdumienia, widząc w skromnych progach starego Arona Rosenberga z towarzyszącym mu pomocnikiem. Marcina zdziwiło najbardziej, że starszy pan tak nieoczekiwanie pojawił się w wiosce, do której po ostatniej śnieżycy niełatwo było się dostać. Żyd strzepał z brody osiadłe na niej płatki śniegu,

zdział czapkę, rękawiczki i elegancki płaszcz, oddał je w ręce gospodarzy, i poprowadzony do izby, usiadł przy stole.

– Przyjemnie tu u was. – Rozejrzał się po skromnie urządzonej, lecz schludnym pomieszczeniu i łyknął przyrządzonej przez Teresę aromatycznej kawy z cykorii, przegryzając kawałkiem kołacza z serem.

– Hmm, przewyborne... – zamruczał, z apetytem zjadając ciasto do końca. – Widać, że gospodyni ma dryg do pieczenia.

– Sabinka to wypiekła, zdolną mamy córuchnę – rzekła z dumą Skowrońska.

Do stołu zasiedli wszyscy domownicy, a potem z ciekawością czekali na słowa gościa, które wyjaśniłyby jego niespodziewaną wizytę. Zarazem każdy zabiegał, by starzec nie odczuł, że dziwi ich jego przybycie. Starali się więc prowadzić miłą pogawędkę, choć nie mieli zbyt wielu wspólnych tematów.

– Zgaduję, że pewnie jesteście państwo zdziwieni. – Aron wreszcie przeszedł do rzeczy. – Długo się zastanawiałem, w jaki sposób mógłbym wynagrodzić drogiemu Marcinowi to, że naraził się dla mnie, starego. Proponowałem pieniądze, ale uniósł się honorem. A ja przecież nie zabiorę do grobu wszystkiego, na co zapracowałem przez całe życie. Nie mam też żony, bo zmarła młodo, ani dzieci, którym mógłbym pozostawić mój dorobek. Poza tym... – Zamilknął i zastanowił się nad czymś dłużej. – Mówią, że od przybytku głowa nie boli, ale przyznam się państwu, że ostatnimi czasy ja nie mogę z tego powodu spać. Bo kto to widział, żeby teraz, na stare lata, obarczać mnie dodatkowym majątkiem. Niemniej stało się tak, że odziedziczyłem dobrze prosperującą fabrykę obuwia, którą pewnie będę musiał się zająć zaraz po Nowym Roku. Zgodnie z przysłowiem, że nie da się trzymać kilku srok za ogon naraz, podjąłem decyzję, że trzeba się skupić na jednym. W związku z tym postanowiłem,

że cukiernię w Bukowej Górze przekazać Marcinowi, by z czasem zarządzał nią razem ze swoją przyszłą żoną. – Aron spojrzał na siedzącą naprzeciw niego Sabinę i przeniósł wzrok na zajmującego miejsce obok niej Marcina, który od tej informacji aż dostał wypieków na twarzy. – Jeśli oczywiście się zgodzi.

– Ale... ale jak to tak... – Marcin nie był w stanie ułożyć nawet zdania, które mogłoby oddać to, co poczuł, w tej chwili w jego wnętrzu szalała bowiem prawdziwa emocjonalna nawałnica.

Przy stole zapanowało wielkie poruszenie.

– Zdaję sobie sprawę, że moja propozycja może wydać się państwu osobliwa, ale zapewniam, że działałam w dobrej wierze. Wiem też, że ci młodzi ludzie zajmą się cukiernią z sercem. Przyznam się, że ja od wielu lat nie miałem już do tego zapału. Była to była, ale tak między nami, przy moim majątku, profity z niej nie są mi potrzebne. A młodym mogą ułatwić życie.

– Ale jakże to tak, drogi panie? – wtrąciła się Teresa. – Proszę się nie gniewać za te słowa, lecz przecież się nie godzi, by od obcego przyjąć taki majątek. – Ostentacyjnie złapała się za głowę.

– Czyn, na jaki się zdobył ten młody człowiek, zasługuje na największą chwałę. Moja skromna cukiernia jest jedynie małą rekompensatą za jego odwagę. – Starzec objął wspierająco dłoń Marcina.

Przez kilkanaście minut trwała jeszcze przy stole dyskusja, bo zarówno Marcin, jak i Skowrońscy byli honorowi i długo nie chcieli się przekonać do nieoczekiwanej propozycji. Początkowo podeszli do niej nieco podejrzliwie, ale poznawszy nieco bliżej Arona, odrzucili wcześniejsze obawy. Staremu Żydowi dobrze patrzyło z oczu, a to, o czym tak zawzięcie mówił, zdawało się mieć sens. Poza tym jego pełen wdzięczności wzrok skierowany na Marcina stanowił niezaprzeczone świadectwo jego czystych

intencji. Stało na tym, że chłopak z wdzięcznością przyjął propozycję starego Rosenberga. W równym stopniu się cieszył, co przepełniały go wątpliwości. Stanowczość jego dobrodzieja okazała się wszak siłą nie do odparcia. Umówili się więc za kilka dni, tuż przed Bożym Narodzeniem, u notariusza na sfinalizowanie tego zamysłu.

Gdy pożegnali później Arona, całą rodziną odprowadzając go do gościńca, gdzie czekał na niego szofer, Marcin miał wrażenie, że to wszystko mu się śni. Gdyby nie szczypiący w policzki mróz i lodowaty wiatr, bezceremonialnie wdzierający się pod poły kożucha, skłonny byłby pomyśleć, że to jakaś szatańska sztuczka. Ale takie założenie z góry odrzucił, bo Aron Rosenberg był bardzo pobożnym Żydem i z pewnością nie bratałby się z nieczystymi mocami.

I znów przez kolejne dni w okolicy mówiono o tym, co przydarzyło się przyszlemu zięciowi Skowrońskich. Niejednego brała zazdrość z powodu takiego, zdawałoby się wręcz nieprawdopodobnego, łuta szczęścia. Gadano, że mu się nie należy, bo nie jest z tych stron, a zgarnął samą śmietankę. Więcej było jednak takich, którzy szczerze się cieszyli ze społecznego awansu Hurnika i jego przyszłej żony. Przychodzili do chaty i gratulowali młodemu.

Sam Marcin starał się powoli oswajać myśl, że już niedługo przyjdzie mu się zmierzyć z nowym wyzwaniem. Nie obawiał się, że sobie nie poradzi, bo nie dość, że wspierała go rezolutna Sabinka, to przecież sam też był robotny i pomysłowy. Miał łeb na karku, jak często mawiali jego tymczasowi pracodawcy, i nie wypadł sroce spod ogona, co niejednokrotnie powtarzała mu jego świętej pamięci matka. Mimo przeciwności losu i ubożego pochodzenia nie czuł się gorszy od innych i zawsze doceniał to, co posiadał. Teraz niepokoił go raczej fakt, czy razem ze swoją lubą będą pasować do nowego świata, w którym przyjdzie im żyć. Czy nie

doświadczą ostracyzmu ze strony dotychczasowych klientów cukierni. Wiadomo było, że byle kto tam się nie pojawiał.

Kilka dni po tym nieoczekiwanym zdarzeniu Marcin znów zajrzał do plecaka i wyjął sakiewkę od Jochasi Jurczykowej. Nie zamierzał bynajmniej przeliczać pieniędzy, które wciąż się tam znajdowały. Jego wzrok przyciągnął złotawy kamień w kształcie serca i nagle z całą mocą uderzyły w niego zasłyszane niegdyś słowa tajemniczej miedzianowłosej panny, że dzięki niemu zapewni sobie i własnej rodzinie szczęście. Że gdy się obudzi i otworzy oczy, odnajdzie miłość życia i zostanie w Bukowej Górze do końca swoich dni, bo właśnie to miejsce wybrało go, by mógł być tu szczęśliwy i stworzyć coś, co będzie przynosiło ludziom słodycz, rozkosz i radość.

Pomyślał, że to naprawdę się dzieje, przepowiednia Marany się spełniała. Odnalazł miłość i wszystko wskazywało na to, że w Bukowej Górze, którą pokochał równie mocno, jak Sabinkę, zostanie po kres swoich dni. Teraz wypadało jedynie czekać na dalszy bieg wydarzeń, a w odpowiednim momencie zakasać rękawy i z zapalem poświęcić się temu, co nadejdzie. Teraz już wiedział, o co chodziło Maranie. Odgadnął znaczenie jej ostatnich słów. Przestał wątpić w historię, która mu się przydarzyła.

Z czułym błyskiem w oku spojrzął na trzymany w otwartej dłoni kamień, a wtedy gdzieś w głębi siebie usłyszał szept: „Ufaj sobie, Marcinie, dotarłeś tam, gdzie miałeś dotrzeć”.

Bukowa Góra dzisiaj



Z samego rana usiadłam, żeby zapisać kolejny fragment usłyszanej wczoraj opowieści. Pięknie się układała i najchętniej już teraz poznałabym jej finał. Choć wiele się wyjaśniło i mogłam podejrzewać, jak potoczyły się dalsze losy Sabiny i Marcina, ciekawiło mnie ich późniejsze życie. Witkowscy byli świetnymi bajarzami, opowiadali tak, że potrafiłam wyobrazić sobie tamte wydarzenia w niemal najdrobniejszych szczegółach. Wczorajszego wieczoru na ponad półtorej godziny zupełnie przepadłam. A dziś robota paliła mi się w rękach, stukałam w klawiaturę w tempie zawodowej maszynistki. Wstałam na moment, żeby się rozprostować i napić wody, po czym znów ruszyłam do laptopa. Zanim zatopiłam się w świecie bohaterów legendy, sięgnęłam po komórkę, by sprawdzić, czy nie nadeszły jakieś nowe esemesy. Od wczoraj nie dostałam bowiem wiadomości od ojca, co bardzo mnie niepokoiło. Kusiło mnie, żeby się przypomnieć, skrobnąć do niego choćby zdanie albo zadzwonić, lecz koniec końców postanowiłam nie być nachalna i dać mu jeszcze trochę czasu. Ostatni list wciąż na mnie czekał, ale najpierw musiałam się zająć pisaniem, by nie umknął mi żaden szczegół. Później planowałam wybrać się do Maurycego, bo wczorajsza sytuacja też nie dawała mi spokoju. Mimo wszystko nie chciałam, by pomyślał, że spiskuję za jego plecami. Ledwo

jednak z satysfakcją po owocnej pracy zamknęłam plik, nieoczekiwany telefon od Laury sprawił, że zmieniłam plany.

– Co ty na to, żebyśmy wpadły dziś na chwilę do Hani? Dasz się wyciągnąć? – zaproponowała. – Po drodze odebrałybyśmy ze szkoły Marysię i razem pojechałybyśmy do Kalinowa. Hanka co chwilę o ciebie wypytuje. Podobno obiecałaś, że kiedyś ją odwiedzisz.

– Jasne, z wielką przyjemnością – odparłam bez zastanowienia, ponieważ pomysł od razu mi się spodobał.

Rzeczywiście, gdy rozmawiałyśmy z Hanią, zapraszała mnie do siebie, zapewniłam więc, że chętnie się do niej wybiorę. Niestety czas uciekał, a ja, wiedząc od Rozalii, że jej córka w ostatnich tygodniach przed rozwiązaniem nie najlepiej się czuje, nie chciałam jej się narzucać. Propozycja Laury spadła mi z nieba, bo chociaż znałam Hanię krótko, brakowało mi jej. Laure, a nawet Błażeja i Marysię, z racji tego, że mieszkali w pobliżu i często choćby na chwilę wpadali do Złotego Serca, widywałam regularnie. Czasem udało nam się nawet poplotkować. Natomiast o sprawach Hani i jej rodziny dowiadywałam się głównie od jej mamy. Rozalia bardzo przeżywała wszystko, co się działo w domu córki, i zwykle dzieliła się ze mną swoimi radościami i obawami.

Umówiłyśmy się za dwadzieścia minut w kawiarni. Gdy tam dotarłam, Laura siedziała na wysokim krześle i raczyła się gorącą czekoladą. Kiedy mnie zobaczyła, wstała, żeby się ze mną przywitać. Po serdecznej wymianie uścisków ja też usiadłam przy kontuarze i skusiłam się na moją ulubioną czekoladę – nie mogło być inaczej. Rozalia oczywiście zapakowała nam na drogę słodkości dla Michałka i Krzyśka oraz specjalne pralinki z jagodowym nadzieniem, którymi Hania, oczywiście w granicach rozsądku, zajadała się podczas tej ciąży. Już na początku, gdy jej córka

coraz częściej i chętniej zaczęła sięgać po te pomadki, Rozalia orzekła, że skoro ma ochotę na słodkie, tym razem na pewno będzie dziewczynka.

– Byłoby miło, mamuś – powiedziała wówczas z lekkim, nieco zamyślonym uśmiechem Hania. – Ale najważniejsze, żeby dzieciątko urodziło się zdrowe.

Nic dziwnego, że teraz, gdy do rozwiązania pozostało tak niewiele czasu, rodzina coraz bardziej się denerwowała.

Tak jak zwykle, gdy człowiek rozsiadł się już w Złotym Sercu, nie chciało się stąd później wyjść. Czas wszakże naglił, bo lada chwila Marysia miała skończyć ostatnią lekcję i musiałyśmy się zbierać.

Kiedy dotarłyśmy już do szkoły, okazało się, że teatrzyk dla uczniów przeciągnął się, dlatego przycupnęłyśmy na ławce w szatni. Ostry dźwięk dzwonka, specyficzny zapach i harmider nieoczekiwanie przywołały wspomnienia ze szkoły podstawowej. Zamyśliłam się i nawet nie wiedziałam, że się uśmiechnęłam.

– Chyba ci tutaj dobrze – zauważyła Laura. – Przyznam ci się, że gdy czasami zdarzy się, że muszę poczekać dłużej na Marysię, zawsze wracam stąd z bólem głowy. Chyba nie dałabym rady pracować w takim miejscu.

– No tak, w końcu dzieciaki to dzieciaki, trochę tu jak w ulu – przyznałam. Lecz w odróżnieniu do Laury mnie było w szkole całkiem przyjemnie. Niewykluczone, że gdybym musiała bywać tutaj częściej, też wracałabym z bolącą głową. – Przypomniała mi się moja podstawówka.

– Aaa, rozumiem. – Laura się uśmiechnęła. – A jak sprawa listów? – zagadnęła delikatnie, bo wspomniałam jej o tym wcześniej bez wdawania się w szczegóły. Powiedziałam jedynie, że bardzo miło mi się je czyta i mam wrażenie, że lepiej rozumiem tatę, o co zresztą chyba właśnie mu chodziło. Chciał, żebym spojrzała na naszą relację z szerszej perspektywy. Nie tylko od chwili, gdy się pogubiliśmy i w związku z tym zaczęliśmy się

od siebie oddalać, lecz wracając do dzieciństwa i wczesnej młodości, czyli czasu, kiedy wszystko idealnie się między nami układało.

– Do przeczytania został mi tylko jeden i... – Zawahałam się przed wyznaniem, że coraz wyraźniej dojrzywało we mnie pewne pragnienie. – Bardzo chciałabym zobaczyć się z tatą – dodałam, ugruntowując je w sobie.

– Wspaniały pomysł. Zbliżają się święta, to idealna okazja, żeby się spotkać – rzekła Laura z entuzjazmem.

– Masz rację – zgodziłam się, lecz jednocześnie poczułam w sobie niewytłumaczalny niepokój. Zdawałam sobie sprawę, że pierwsze spotkanie po tak wielu latach może się okazać trudne, lecz miałam wrażenie, że chodzi jeszcze o coś innego. Wiedziałam, że tacie na mnie zależy, wyraźnie przekazał mi to w listach. Zresztą odezwał się do mnie, chociaż pomna wszystkich przykrości, jakich doświadczyłam ze strony Marty oraz jego bierności, sądziłam, że raczej już się nie spotkamy. Co więc teraz, gdy wykonał już pierwszy krok, powstrzymywało go przed zrobieniem kolejnego? Tym bardziej że ja, co chyba musiał odczuć, bo jasno dałam mu to do zrozumienia, byłam gotowa wyjść mu naprzeciw. – Powinniśmy się zobaczyć...

– A co słyhać u Bartosza? – spytała Laura z szelmowską miną.

– Chyba... dobrze – odparłam zbita z tropu, bo w pierwszym momencie nie skojarzyłam, o co znajoma pyta. Z Bartoszem łączyła mnie teraz miła, obiecująca znajomość, lecz także tajemnica z przeszłości jego rodziny, co na dodatek miało związek z Maurycym. Choćbym i chciała opowiedzieć o wszystkim Laurze, nie mogłam zawieść zaufania wielu osób, których dotyczyła ta sytuacja.

– Coraz częściej zagląda do naszego miasteczka. Najwyraźniej musi mieć ważny powód. – Uniosła brwi, nie odrywając ode mnie wzroku.

Uśmiechnęłam się pobłaźliwie, myśląc o tym, że Bartosz rzeczywiście ma ważny powód do częstych wizyt w Bukowej Górze, który niekoniecznie związany jest ze mną, co sugerowała Laura. Nie zamierzałam wyprowadzać jej z błędu. W rzeczy samej wyglądało na to, że Bartosz przyjeżdża, żeby spotkać się ze mną. Na dodatek zawsze przesiadywaliśmy wówczas w Złotym Sercu, więc nasze poufałe gesty nie mogły umknąć czujnemu oku Rozalii. Sama przyznała ostatnio, że polubiła Bartosza, co świadczy o tym, że każdemu należy dać szansę i nie można oceniać ludzi wyłącznie przez pryzmat pierwszego spotkania. I tu się z nią zgodziłam, bo szybko się przekonałam, że w Bartoszu nie ma nic z tego okropnego raptusa i gbura, za jakiego go wówczas wzięliśmy.

Pewnie ciągnęłybyśmy nadal ten temat, lecz nagle z drzwi prowadzących na pierwszą kondygnację wypadła Marysia.

– Mamo, wiesz, że widziałam aktora, takiego, co gra w prawdziwym teatrze? – wypaliła rozentuzjasmowana.

– Bardzo się cieszę, ale chyba należałoby coś powiedzieć, hm... – Laura spojrzała wymownie na córkę, dając jej czas, żeby sama naprawiła błąd.

– Dzień dobry – przywitała się mała i beztrósco przytuliła się do mamy.
– Jedziemy teraz do cioci Hani?

– Tak, jak ustaliłyśmy – odpowiedziała z uśmiechem Laura. – Biegnij po ubranie.

– A będzie Michał? – dopytywała chwilę później dziewczynka, zasuważąc zamek kurtki.

– Powinien być, wujek Krzysiek obiecał, że odbierze go dzisiaj wcześniej ze szkoły – wyjaśniła jej mama.

– Aaa, to się cieszę. – Marysia zaklaskała z radości.

A ja pomyślałam, jak cudownie szczerze są dzieci w okazywaniu emocji i uczuć. Zastanowiłam się, kiedy przychodzi moment, że się tego oduczamy, bo przecież ja też kiedyś taka byłam. Radosna i beztroska. W swojej kilkuletniej, czy nawet kilkunastoletniej głowie nie kalkulowałam, co należałoby zrobić, a czego nie wypada. Brałam życie takim, jakie jest, prosto i ufnie.

Laura pomogła małej zawiązać na szyi szalik i podała jej rękawiczki, bo inaczej ubieranie trwałoby pewnie o wiele dłużej. Marysi co chwilę przypominały się bowiem jakieś ważne sprawy, które od razu musiała przekazać swojej mamie. Najważniejsze, że do Kalinowa dotarliśmy na czas. Hania wyglądała dobrze, choć skarżyła się na typowe dolegliwości towarzyszące przyszłym matkom pod koniec ciąży, o czym ja przecież nie miałam pojęcia. Marudziła, że chciałaby mieć to już za sobą i żeby wszystko dobrze się skończyło.

– Na pewno będzie dobrze. – Staralam się ją pocieszyć, gdy później usiadłyśmy w salonie.

Hania poczęstowała nas kawą i sernikiem, który Krzysztof kupił w miejscowej cukierni. Wyjęła też słodkości, które przekazała Rozalia.

– Ooo, moje czekoladki! – Rozpromieniła się, widząc ulubione łakocie.

Przez pół godziny siedziałyśmy z Laurą i Hanią, miło gawędząc, dopóki do pokoju nie wpadły dzieci.

– Ciociu, chciałem pokazać ci coś za garażem – oznajmił konspiracyjnie do Laury chłopczyk.

– Daj spokój, Michałku... – Hania próbowała coś powiedzieć, lecz Laura jej przerwała.

– O co chodzi, Michasiu? – Spojrzała uważnie na chłopca.

Okazało się, że Michałek z Krzysztofem ulepili wczoraj wielkiego bałwana i zaczęli budować też igloo, ale na to potrzeba było więcej czasu.

Usłyszawszy takie wieści, Laura koniecznie chciała to zobaczyć. Ja też się wybierałam, ale ostatecznie, kiedy Laura poszła na zewnątrz poszaleć trochę z dziećmi, zostałam. Najpierw zaniósłam do kuchni brudne naczynia, a potem od słowa do słowa, zaproponowałam, że pomogę Hani i rozwieszę pranie.

Nawet nie wiem, jak to się stało, że kilka minut później wzięłam się do prasowania sterty niemowlęcych ciuszków. Hania najpierw oponowała, ale szybko usiadła obok i podziękowała mi za pomoc. Nasza rozmowa powoli stawała się coraz bardziej zażyła. Hania mówiła o sprawach, o których niby wcześniej wiedziałam, ale teraz, usłyszawszy to od niej, jeszcze bardziej jej współczułam. Nie zdawałam sobie sprawy, że rodzice dzieci niepełnosprawnych mierzą się na co dzień z tak wieloma problemami. Najgorsze, że przez pierwsze lata życia Michałka, gdyby nie pomoc rodziców i brata, Hania byłaby z tym zupełnie sama. Mówiła o alienacji i odrzuceniu, jakie odczuwała, będąc matką dziecka odróżniającego się od rówieśników. W rezultacie ona też zaczęła odstawać na tle znajomych, z którymi wcześniej utrzymywała w miarę dobre stosunki. Zakończyły się dawne sympatie i przyjaźnie. Niby każdy oferował pomoc, ale wydawało się to naciągane. Hania nie chciała słów rzucanych na wiatr, potrzebowała prawdziwego pokrzepienia i szczerych relacji. Niestety tego nie mogła odnaleźć w dotychczasowym środowisku.

– Haniu, a miałybyś coś przeciwko temu, gdybym kiedyś na podstawie twojego doświadczenia opisała problem samotnego wychowywania niepełnosprawnego dziecka? – zagaiłam nieśmiało, bo po tym, co dzisiaj usłyszałam od Hani, rosła we mnie coraz większa potrzeba, by poruszyć ten problem. Tym bardziej że zaczęłam już pisać co nieco na ten temat, o czym znajoma na razie nie miała pojęcia.

– A wiesz, to dobry pomysł. Zdecydowanie zbyt mało mówi się o nas, rodzicach dzieci niepełnosprawnych. Mnie się udało w tej sytuacji jakoś odnaleźć, ale swoje przeszłam i wiem, jakie to cholernie trudne. Mimo pomocy mamy i taty nieraz myślałam, że nie dam już rady, że dłużej tego nie udźwignę. Gdybym od początku miała partnera, z którym mogłabym dzielić się problemami, gdyby Michaś miał miłość i opiekę ojca, pewnie wszystko wyglądałoby inaczej. Ale to jeszcze inna kwestia...

– Samotne macierzyństwo i odrzucenie dziecka, bo nie spełnia wymagań, bo nie jest takie, jakiego się oczekiwało – podpowiedziałam, choć zauważywszy, że Hania wracając do bolesnych spraw z przeszłości, nieco posmutniała, wolałabym raczej zmienić temat. Teraz, gdy była już o krok od rozwiązania, takie emocje na pewno nie były jej potrzebne.

– Właśnie...

– Chętnie o tym napiszę – rzekłam, z jednej strony ciesząc się, że poruszywszy te niełatwe dla Hani tematy, tym samym dostałam od niej zielone światło, by kiedyś, we właściwym czasie móc się tym zająć.

Poważna rozmowa została przerwana, kiedy usłyszałyśmy trzask zamykanych drzwi i po chwili do pokoju wpadły rozbawione dzieciaki, a zaraz za nimi weszła Laura. Całej trójce dopisywały humory, wszyscy mieli w oczach wesołe iskierki, dlatego i nam od razu udzielił się ten nastrój. Hania, chociaż zmęczona ciążą, tryskała humorem.

– Dzięki, dziewczyny, że mnie odwiedziłyście – rzekła, gdy znów udało nam się usiąść spokojnie, bo Marysia i Michaś, zmęczeni harcami na świeżym powietrzu, postanowili zaszyć się w dziecięcym pokoju, żeby rysować. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio się tak świetnie bawiłam. – Chociaż... trochę mi głupio, bo Sonia zdecydowała się być dzisiaj u mnie pomocą domową... – Ze zmieszaną, na szczęście tylko przez chwilę, miną Hania zwróciła się do przyszłej bratowej.

Laura uniosła pytająco brwi, w związku z czym Hania kontynuowała.

– Cała sterta naczyń zapakowana do zmywarki, powieszona kopiata miska prania i wyprasowany stos wstydu. Krzysiek będzie wniebowzięty, bo od kilku dni się do tego zabierał.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. – Uśmiechnęłam się. – Jeśli coś, Haniu, to po prostu dzwoń, nie krępuj się. Chętnie przyjdę i znów się do czegoś przydam.

Planowałyśmy zostać dłużej, lecz nagły telefon od Błażeja zmusił nas do wcześniejszego powrotu. Okazało się, że mężczyzna zapomniał kluczy, a dziś akurat wcześniej wrócił do domu. Chwilę później Laura wkroczyła do pokoju Michałka, nakazując córeczce się zbierać. Marysia kaprysiła, starając się utargować jeszcze choćby kilka minut.

– Nie ma mowy – oznajmiła Laura. – Chcesz, żeby tata zamarzył nam pod drzwiami?

Argument mamy od razu przekonał dziewczynkę i Marysia, odłożywszy niedokończony rysunek, ruszyła do drzwi. Zauważyłam, że kiedy Laura mówiła słowo „tata”, nieznacznie załamał się jej głos. Wiedziałam, że Marysia zaczęła w ten sposób zwracać się do Błażeja niedawno i chyba wszyscy musieli dopiero z tym się oswoić. Podobno Błażej był przeszczęśliwy i niezwykle wzruszony, kiedy Marysia kilka dni temu podbiegła nieoczekiwanie do niego i zarzuciwszy mu ręce na szyję, poprosiła, żeby sprawdził jej zadanie z matematyki. Słowo „tatusiu” wypadło wówczas z jej ust tak miękko i naturalnie, że mężczyzna momentalnie się rozczulił. „Oczywiście, córeńko”, odpowiedział dopiero po chwili, bo zwyczajnie z emocji uwiązał mu głos w gardle. Laura bardzo to przeżywała i ogromnie się cieszyła, bo to znaczyło, że udało im się stworzyć prawdziwą, kochającą się rodzinę. Tym bardziej że wszyscy,

zarówno Błażej, Laura, jak i jej córka, zostali już dość mocno doświadczeni przez los.

Błażej był ojcem nastoletniego syna, ale niestety była żona skutecznie utrudniała im kontakt. Wyjechała z nowym partnerem do Niemiec i wcale nie zależało jej, żeby dziecko miało kontakt z biologicznym ojcem. Błażej robił, co mógł, by zmienić tę sytuację. Niestety, gdy już się wydawało, że wszystko zmierza we właściwym kierunku, bo chłopak miał wrócić z matką do Polski, pojawiły się kolejne komplikacje. Okazało się, że więź ojca i syna jest zbyt słaba, by mogli nawiązać głęboką relację. Była żona dołożyła i wciąż dokładała starań, by tak się stało. Kosztem dziecka chciała zrobić byłemu mężowi na złość, mimo że to ona okazała się niewierna i wcale nie zależało jej na utrzymaniu małżeństwa. Błażej był tym wszystkim przybity, mimo to nie tracił nadziei, że w przyszłości, kiedy chłopak dorośnie i będzie mógł sam ocenić obiektywnie rodzinną sytuację, nadejdzie czas, że się dogadają. Na razie jednak syn w ogóle nie miał ochoty go widywać. Dlatego tak bardzo Błażeja wzruszyła nieoczekiwana prośba Marysi. A słowo „tato” z miejsca zapadło mu w serce.

Chcąc uniknąć ulicznych korków, w drodze powrotnej do Bukowej Góry Laura pojechała mniej uczęszczaną, nieco dłuższą, ale za to prawie pustą drogą. Dodatkową zaletę tego wyboru stanowił cudowny pejzaż, któremu jako siedząca z przodu pasażerka mogłam do woli się przyglądać. Przed oczyma przepływały mi skrzące się białą małe dolinki i pagórki. Co jakiś czas widać było przycupnięte tu i ówdzie ludzkie siedliska. Zastanawiałam się, jak wyglądało to miejsce ponad sto lat wcześniej, kiedy mieszkali tu bohaterowie opowieści Rozalii i Gabriela. Przyroda, która od wieków wciąż rządziła się takimi samymi prawami, pewnie niewiele się zmieniła, za to wszystko wokół: domy, samochody, wygląd ludzi oraz ich oczekiwania i dążenia, przybrało inny kształt.

Przejeżdżając nieopodal miejsca, gdzie mieszkał Maurycy, zauważyłam stojący przy drodze samochód. Aż się obejrzałam, by mu się dokładniej przyjrzeć. To nie było auto Bartosza. W najbliższej okolicy nie stały też żadne domy, więc albo ktoś się zatrzymał, by pójść na przechadzkę, albo udał się z wizytą do mojego starszego znajomego. Pierwsza myśl od razu wydała mi się mało prawdopodobna, a druga zaostriła ciekawość. Kusiło mnie, żeby wysiąść i natychmiast to sprawdzić, lecz nie wiedziałam, w jaki sposób mogłabym wytłumaczyć ten pomysł Laurze.

Gdy dotarłam do swojego mieszkania, wciąż nie dawało mi to spokoju. Zerknąwszy na zegarek, przeliczyłam, że nawet gdybym zaraz wyszła i podążała w naprawdę szybkim tempie, i tak nie udałoby mi się wrócić przed zmrokiem. Mimo wszystko postanowiłam zaryzykować. Zmieniłam odzież na cieplejszą: ortalionowe spodnie i śniegowce, po czym z werwą ruszyłam do wyjścia. Pałaca ciekawość popychała mnie do przodu, dlatego nim minęły dwa kwadransy, znalazłam się w miejscu, skąd ukazywał się widok na mostek i fragment drogi, gdzie niecałą godzinę wcześniej dostrzegłam intrygujący samochód. Teraz go nie było. Rozejrzałam się wokół i po chwilowym zastanowieniu podreptałam zaśnieżoną ścieżką prowadzącą do posesji Maurycyego. Zauważyłam na niej lekko tylko przysypane ślady butów, odpowiadające mojemu rozmiarowi, co upewniło mnie we wcześniejszym podejrzeniu. Wszystko wskazywało na to, że ktoś starszego pana odwiedził. Pewnie nie powinnam tego sprawdzać, w końcu to nie była moja sprawa, ale przecież od rana myślałam o tym, by się do niego wybrać. Odbite na śniegu ślady butów prowadziły za mostek i ciągnęły się dalej, do wejścia domu.

Kiedy wreszcie stanęłam przed drzwiami, naszły mnie wątpliwości, czy moja wizyta okaże się pożądana. Może po ostatnim zajściu u mnie w mieszkaniu Maurycy stracił do mnie zaufanie i nie będzie chciał już

więcej ze mną rozmawiać? Lodowaty podmuch wiatru, który smagnął moją twarz, sprawił, że z miejsca przerwałam rozważania i zapukałam. Gospodarz długo się nie pojawiał, lecz kiedy już myślałam, że zaraz będę musiała odejść z kwitkiem, po drugiej stronie drzwi usłyszałam charakterystyczne szuranie kapci.

– Sonia. – Uśmiechnął się na mój widok, co dodało mi śmiałości, bo naprawdę nie wiedziałam, czego się spodziewać po tym spotkaniu. Przecież już nie raz się przekonałam, że Maurycy potrafi być nieprzewidywalny. Działał, zanim zdążył pomyśleć.

– Dzień dobry – przywitałam się i zatrzymałam na nim niepewne spojrzenie.

– Wejdz. – Szeroko rozwarł drzwi i wpuścił mnie do środka. – Miło, że przyszłaś.

Idąc tu, zastanawiałam się, czy nie wyznać Maurycemu, co naprawdę skłoniło mnie do odwiedzin, lecz ostatecznie uznałam, że lepiej to przemilczeć. Mogłabym wyjść przed nim na nadgorliwą. A przecież mogłam się wybrać do niego bez konkretnego celu.

W przedpokoju zdjęłam i odwiesiłam na haczyk kurtkę, po czym powędrowałam za gospodarzem do kuchni.

– Wstawię wodę na herbatę – oznajmił starszy pan i odwróciwszy się do mnie plecami, zaczął wyjmować z szafki kubki. Dopiero wsypawszy do nich herbaty, podszedł do stołu i zajął krzesło naprzeciw mnie. – Była dziś u mnie Basia... – rzekł łamiącym się głosem.

Spodziewałam się tego, ale słowa Maurycego sprawiły, że zaczęło mi szybciej bić serce. Bardzo chciałam usłyszeć, że to spotkanie przebiegło pomyślnie, ale po jego nieodgadnionej minie nie dało się niczego domyślić.

– Dostała list i... przyjechała ze mną porozmawiać... – Westchnął, a potem przez dłuższą chwilę się nie odzywał.

Siedziałam jak na szpilkach, lecz nie pozostało mi nic innego jak tylko cierpliwie poczekać, aż Maurycy, jeśli oczywiście zdecyduje się wobec mnie na całkowitą szczerść, opowie mi o wizycie córki.

– To nie była łatwa rozmowa – wyznał.

– Domyślałam się – rzekłam, chcąc zachęcić starszego pana do dalszych zwierzeń, bo bardzo trudno przychodziło mu wymówienie kolejnych słów. – Bardzo długo się nie widzieliście.

– Ona... Basia, ech... tak bardzo to przeżyłem, że nawet nie wiem, co powiedzieć. – Machnął ręką, po czym spojrzał na mnie czujnie. – Ten chłopak, który tutaj był i którego potraktowałem jak jakiegoś łobuza, to mój wnuk.

Ogarnęło mnie zmieszanie, a na policzki natychmiast wypełzł mi rumieniec. Nie wiedziałam, gdzie podziać oczy i jak się odnieść do tej oczywistej dla mnie informacji.

– Wiedziałaś o tym, tak? – Maurycy nie odrywał ode mnie wzroku, a ja tylko skinęłam głową.

– Tak – odezwałam się dopiero po chwili.

– Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedzieliście? Wtedy u ciebie, gdy po raz kolejny się zbłądziłem? – Spojrzał na mnie ze smutkiem.

– Nie chciałam się mieszać. Uznałam, że powinniście sami to sobie wyjaśnić z Bartoszem. Zresztą dla niego ta sytuacja też była nowa. Wcześniej, kiedy się kręcił koło pana domu, tylko podejrzewał, że może być pan jego dziadkiem. Nasza rozmowa wiele wyjaśniła, ale i skomplikowała. Co zrozumiałe, Bartosz nie chciał ujawniać się przed panem, zanim nie porozmawia ze swoją mamą. Był tym bardziej w niekomfortowej sytuacji, bo szukał pana wbrew jej woli. Właściwie to ona nigdy nie powiedziała mu o pana istnieniu – wyjaśniłam i spojrzałam czujnie na Maurycego, sprawdzając jego reakcję.

– Wiem – odparł smutno. – Wcale jej się nie dziwię. Po tym, w jaki sposób ją potraktowałem...

Ciekawiło mnie, co zaszło między Maurycym i jego córką, bo dotąd, choć wiele razy wydawał się już bliski wyjawienia tej zapewne wstydlivej dla niego tajemnicy, mimo wszystko tego nie zrobił.

– A jednak do pana przyszła.

– Przyszła, a wraz z nią wróciło moje poczucie winy. Trudno mi wybaczyć sobie to, co jej zrobiłem. Była wtedy taka bezbronna i samotna, a ja zamiast wyciągnąć do niej rękę, wyrzuciłem ją z domu.

Maurycy z roztargnieniem przesunął dłonią po włosach, a ja zauważyłam, że zrobił to w identyczny sposób jak jego wnuk. Potem na moment błędził wokół wzrokiem, a kiedy nasze spojrzenia znów się spotkały, rzekł:

– Któregoś poranka przed wyjściem do szkoły stanęła przede mną i oznajmiła, że jest w ciąży. Zamiast z nią o tym porozmawiać, usiąść i zapytać, jak widzi swoją dalszą przyszłość, to ja swoim zwyczajem wpadłem w furję. Basia siedziała cichutko i ze spuszczoną głową słuchała moich wrzasków. Nawet nie pamiętam, co jej wtedy powiedziałem, lecz kiedy wreszcie zamilkłem, ona jedynie szepnęła, że chce urodzić to dziecko. Ten jej spokój, zdecydowanie i typowa dla niej determinacja podziałały na mnie niczym płachta na byka. Oznajmiłem jej, że pod moim dachem na pewno nie będzie żadnego nieślubnego bachora. Na co ona, że to dziecko ma ojca i na pewno zajmą się nim razem. Znałem tego drania. Był dwa lata starszy od Basi i od początku tej, pożałuj Boże, znajomości miał na nią zły wpływ. Mydlił jej oczy, odciągał od nauki. Zwyczajnie się nią bawił, a ona po raz pierwszy się zakochała i myślała, że to wystarczy. Nie było przy mnie mojej Krysi, żeby mi doradziła, co robić w takiej sytuacji. Wtedy nie myślałem o córce, ale zdawało mi się, że zawiodłem

żonę. Po jej śmierci pogubiłem się w wychowywaniu Basi, z dnia na dzień traciłem nad nią kontrolę, nie potrafiłem jej upilnować. Wymykała mi się, a ja czułem do niej coraz większą złość. Ta złość eksplodowała tamtego pamiętnego dnia, gdy moja córka przyszła do mnie i ufnie, pewna, że będzie mogła na mnie polegać, wyznała mi swój sekret. „To znaczy, że mi nie pomożesz?”, spytała, gdy w pokoju wreszcie zapanowała cisza. „Nie, skoro jesteś taka dorosła, by wskakiwać chłopakom do łóżka, to radź sobie sama”, wyrzuciłem wciąż wściekły, bo to, co wtedy usłyszałem, nie mieściło mi się w głowie. Chyba nie dopuszczałem do siebie myśli, że ktoś mógł zbrukać moją Basieńkę. W moich oczach ona wciąż była dzieckiem. Moją małą córeczką. Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że to dorosła, pełnoletnia kobieta. Za dwa miesiące miała przystąpić do matury. Wówczas zupełnie o tym nie myślałem, wściekłość przesłoniła mi obraz całości. Nie wiem, czego ja wtedy od niej oczekiwałem, bo przecież nie zaproponowałbym jej, by usunęła czy oddała to dziecko. Widziałem, jak bardzo zabolęły ją moje słowa, ale chociaż przęłykała łzy, starała mi się tego nie pokazać. Wyprowadziła się już nazajutrz. Gdy wróciłem z pracy, w jej pokoju zastałem puste półki. Zostało tylko kilka drobiazgów, które, jak pewnie uznała, miały nie przydać się jej w dorosłym życiu, do którego się wybierała. Gdybym wtedy schował dumę do kieszeni, odnalazł ją i przeprosił, pewnie wszystko wyglądałoby inaczej. Ja jednak tego nie zrobiłem, tym samym skazując Basię na małżeństwo z tym łotrem. Wiem, jak jej było ciężko. O wszystkim mi opowiedziała. Niestety nie da się naprawić starych win, czasu nie cofniemy. Pocieszam się jedynie, że po tych wszystkich trudnych latach odnalazła swoje miejsce w życiu. Że była szczęśliwa.

Maurycy zamilkł, a mnie nagle ogarnął wielki smutek. Nie wiedziałam już, czy żał mi lat, gdy straciłam kontakt ze swoim ojcem, czy ubolewałam

nad tym, co przed chwilą usłyszałam od Maurycego. Oboje byliśmy rozbitkami, którzy na długi czas, nawet jeśli żadne z nas nie chciało się do tego przyznać, utknęli w emocjonalnej pustce. Bo tak było wygodniej, na pozór łatwiej. Tyle że bezludna wyspa w końcu okazała się dla nas za mała. Nadszedł dzień, że trzeba było wejść na niepewną tratwę, oddać się we władanie zmiennych prądów życia i uwierzyć, że kiedyś dotrzemy na właściwe miejsce.

– Na pewno z czasem wszystko się ułoży – rzekłam, naprawdę licząc na to, że tak będzie. Jednocześnie, odkąd odzyskałam kontakt z moim ojcem, jakaś część mnie, z każdym dniem coraz większa, pragnęła, by i nasza wspólna historia dobrze się zakończyła.

– Nie wiem... – Westchnął ciężko. – Ale zabrała listy, które do niej napisałem. Zdziwiła się, że aż tyle ich jest i że składałem je przez te wszystkie lata. Może pewnego dnia zdecyduje się je przeczytać.

– Nie mam co do tego wątpliwości – powiedziałam z przekonaniem. – Wiele jej wyjaśnią. Z listów, które mój tata napisał do mnie w tym okresie, gdy się rozstaliśmy, dowiedziałam się o nim więcej niż w ciągu lat, kiedy było między nami dobrze. Ludzie, nawet jeśli są ze sobą blisko, rzadko kiedy potrafią szczerze rozmawiać o swoich uczuciach. Wolą raczej analizować cechy charakteru, czepiają się nieistotnych spraw, co zwykle poprawia sytuację na jakiś czas. Ale nieczęsto chcą sięgnąć głębiej, do swojego wnętrza, bo prawdopodobnie boją się tego, co mogą tam odkryć.

– Mądrze mówisz, Soniu, bardzo mądrze. Tylko... w moim wypadku na takie odkrycia może być już za późno – rzekł Maurycy.

– Na to nigdy nie jest za późno.

Uznawszy, że Maurycy otworzył się przede mną na tyle, na ile mógł, nie zamierzałam go o nic więcej wypytywać. Ciekawiło mnie, jak

wyglądało spotkanie z jego córką, ale zagadywanie o to byłoby z mojej strony nie tylko nietaktem, ale też wścibstwem.

Nagle wpadłam na pomysł, co może odciągnąć myśli Maurycego od nurtujących go spraw i poprawić mu humor. Starszy pan zdawał sobie sprawę, dlaczego przyjechałam do Bukowej Góry, wspomniałam mu już kiedyś o historii związanej z założeniem Złotego Serca, którą po kawałku opowiadali mi Witkowscy.

– Panie Maurycy, proszę mi powiedzieć, czy Waclaw i Hiacynta Śmigłowie to pańska rodzina? – spytałam. Wiedziałam, jaką usłyszę odpowiedź, ale chciałam stworzyć odpowiedni grunt pod to, co planowałam mu przekazać.

– Tak, to moi dziadkowie. – Maurycy z miejsca się rozpromienił.

Wciąż nieswojo się czułam, stojąc niejako pomiędzy Maurycem a jego wnukiem. Jakkolwiek by było, łączyła ich niejasna relacja. Nie miałam pewności, na ile mogę wyjawić fakty, których się dowiedziałam. Postanowiłam o tym napomknąć i w zależności od przebiegu rozmowy nawiązać też do wersji Bartosza. Bez wnikania w szczegóły zaczęłam od głównych bohaterów opowieści, Sabiny i Marcina, stopniowo przechodząc do kolejnych wątków. Gdy doszłam do kwestii błękitnej kapliczki, niespodzianie Maurycy sam przejął pałeczkę w rozmowie. Nie dało się nie zauważyć, jak bardzo go to poruszyło i z jakim ożywieniem rozprawiał o znanej mu historii.

– To miejsce od dawna miało wielkie znaczenie dla naszej rodziny – mówił, żywo gestykulując. – Dziadkowie wzięli tam ślub, chociaż rodzina i proboszcz okolicznej parafii byli temu przeciwni. Ale w końcu ulegli zapałowi młodych, którzy ani myśleli ustąpić. W pewną słoneczną majową niedzielę ślubowali tam sobie miłość i oddanie.

– Tak jak i pana, spotkałam tam też kiedyś Bartosza. – Mimo wszystko zdecydowałam się o tym wspomnieć.

– Naprawdę? – Starszy pan się zdziwił, ale chyba i ucieszył. – Basia dobrze znała tę część rodzinnej historii. Wiele razy jej o tym opowiadałam. Można by rzec, że nadaliśmy nawet temu miejscu pewnego rodzaju mistyczne znaczenie. Babcia Cysia wyprosiła tam miłość dziadka, bo ponoć na początku w jego sercu była całkiem inna panna. A potem, na przestrzeni lat, rodzina doświadczyła jeszcze wielu cudów. Ja sam mam do tej kapliczki wielki sentyment. Gdy po latach wróciłem do Bukowej Góry, odżyło we mnie wszystko, co wyniosłem z dzieciństwa. Często tam chodzę, zresztą wiesz...

– To pan zajmuje się tą kapliczką i dba o to, by nigdy nie zgasnął tam płomień? – spytałam ostrożnie.

– Tak – odparł lekko. – Jeszcze jako dziecko uwierzyłem w wyjątkowość tego miejsca, i wciąż wierzę...

Domyślałam się, z jaką intencją starszy pan tak często pojawiał się przy kapliczce. Miałam nadzieję, że jak wcześniejsze życzenia zanoszone tam z ufnością przez członków jego rodziny, tak i jego prośba zostanie wysłuchana.

Postanowiliśmy z Maurycym, że kiedyś musimy się tam wybrać razem. Choć zostałam u niego jeszcze ponad godzinę, nie wróciliśmy już do sprawy jego córki. Rozmowa toczyła się wokół rodzinnych opowieści i legend, co obojgu nam dobrze zrobiło. Tuż przed osiemną przekraczaliśmy mostek. Starszy pan się uparł, by mnie odprowadzić, a ja, choć początkowo się temu sprzeciwiałam, w końcu dałam się przekonać. Ponieważ Maurycego czekała jeszcze później droga powrotna, ustaliliśmy, że rozstaniemy się przy wielkich głazach leżących na poboczu nieopodal

domu Laury. Stamtąd było już niedaleko do centrum i istniało duże prawdopodobieństwo, że każde z nas dotrze do siebie w podobnym czasie.

Wieczorem usiadłam jeszcze do laptopa i otworzyłam plik z tekstem dotyczącym sytuacji Hani, ale nagle ogarnęła mnie taka senność, że musiałam zrezygnować z pisania. Skończyło się na tym, że tuż po dwudziestej, wykąpana i przebrana w piżamę, leżałam w łóżku.

Co dziwne, pomimo tak wielu godzin snu nazajutrz wcale nie wstałam wcześniej. Gdy przewróciwszy się na drugi bok, zerknęłam na ścienny zegar, dochodziła dziewiąta, a mnie wydawało się, że jeszcze trwa noc. Ponieważ dziś do pokoju nie zaglądało słońce, panował w nim lekki półmrok. Jedno spojrzenie za okno, gdzie szeleściły dobijające się do szyby płatki śniegu, nasuwało myśl, że ten dzień prawdopodobnie zdominuje niżowa aura. Zresztą takie były prognozy na kilka najbliższych dni. Podobno w weekend miała nastąpić kumulacja opadów śniegu. Niechętnie, ale z przeświadczeniem, że nie ma co marnować czasu, wreszcie wstałam i przygotowałam sobie śniadanie. Kubek niezawodnej arabiki postawił mnie całkiem na nogi, dlatego postanowiłam ruszyć z tym, czego nie udało mi się zrobić wczoraj. Zanim jednak włączyłam laptop, mój wzrok przyciągnął leżący obok list. Ostatnia, być może najważniejsza, wiadomość od ojca. Wyjęłam z koperty trzy kartki, ale właśnie kiedy zamierzałam zacząć czytać pierwszą z nich, zadzwonił telefon.

– Halo. – Odebrałam natychmiast.

– Dzień dobry, Soniu – przywitała się Rozalia, po czym od razu przeszła do rzeczy. – Moja droga, dzwonię, żebyś, jeśli oczywiście możesz, przyszła teraz do nas. Jest tutaj pewna kobieta... – W tym momencie ściszyła głos i dodała nieco konspiracyjnie: – Która bardzo chce się z tobą zobaczyć.

– Ze mną? – Zdziwiłam się. Nie miałam pojęcia, kto mógł chcieć się ze mną spotkać. Poza rodziną Rozalii nie poznałam w okolicy innych kobiet. – Naprawdę nie wiem, kto to może być.

– Dlatego nie dałam tej pani twojego adresu. Niemniej odniosłam wrażenie, że ogromnie zależy jej na tym spotkaniu – wyjaśniła Rozalia.

– No dobrze, w takim razie zaraz tam będę – zdecydowałam.

Ciekawość sprawiła, że pięć minut później kroczyłam już dziarsko w stronę Złotego Serca. Z nieba sypał drobny śnieg, który moczył twarz i osiadał na ubraniu. W zadyńce trudno było nawet zauważyć świąteczną odsłonę miasteczka. Mało kto spacerował dziś po ulicach, chyba jedynie osoby, dla których wyjście stanowiło konieczność. Ledwo weszłam do kawiarni, a już zauważyłam stojącą obok kontuaru jasnowłosą kobietę w średnim wieku, ze wzrokiem utkwionym w drzwi.

– Dzień dobry – przywitałam się, zmierzając w stronę Rozalii, która opuściwszy na chwilę miejsce za ladą, wyszła mi naprzeciw.

– Soniu, to jest pani, która bardzo chciała się z tobą spotkać. – Wskazawszy stojącą obok kobietę, Rozalia wydawała się nieco onieśmielona i stremowana. Być może zastanawiała się, czy postąpiła słusznie, spełniając prośbę nieznajomej i wyciągając mnie z mieszkania, bo teraz w oczekiwaniu na moją reakcję przyglądała mi się badawczo.

– Dzień dobry. Przepraszam, że tak nalegałam na to spotkanie, ale bardzo chciałam się z panią zobaczyć. Nazywam się Barbara Mayer – przedstawiła się kobieta z niepewnym uśmiechem.

Usłyszawszy znajome imię i nazwisko, bezceremonialnie wlepiłam w nią wzrok, na szczęście tylko przez chwilę, bo w porę się opamiętałam i przedstawiłam.

Zajęliśmy stolik przy witrynie i dość szybko złożyliśmy zamówienie. Barbara zdała się na moje polecenie, dlatego kilka chwil później stały przed

nami kubki z orzechowo-anyżową czekoladą.

– Niezwykle miejsce, bardzo nastrojowe – zauważyła. – Wie pani... ja w dzieciństwie mieszkałam w tym miasteczku, ale niestety mało pamiętam z tamtego czasu.

– Tak, to wyjątkowa kawiarnia, na dodatek z tradycjami – rzekłam, ciesząc się, że przełamałyśmy pierwsze lody i zaczęłyśmy rozmowę.

– Przede wszystkim chciałam pani podziękować, że zgodziła się pani przyjść. Bardzo zależało mi, żeby z panią porozmawiać. Pewnie ciekawi panią, skąd wiedziałam, gdzie pani szukać, choć chyba nietrudno się domyślić, że wiem to od mojego... ojca. Mam nadzieję, że nie ma mu pani tego za złe.

– Oczywiście, że nie – zapewniłam z uśmiechem.

– Jestem pani coś winna... Ale może, mówmy sobie po imieniu, tak będzie o wiele wygodniej – zaproponowała Barbara.

– Z wielką przyjemnością.

– A więc, Soniu, ja bardzo... Chciałam ci bardzo podziękować, że wysłałaś do mnie ten list od mojego ojca. To... to wiele zmieniło. A wiem, właściwie jestem tego całkowicie pewna, że on by tego nie zrobił. Taki już jest – dumny i uparty, a na dodatek wielki raptus.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. Myślę, że pan Maurycy tak długo zwlekał z wysłaniem tego listu, bo się bał odrzucenia. Nie był pewien, czy kiedykolwiek będziesz chciała z nim jeszcze rozmawiać. To poczucie winy związało mu ręce – wyjaśniłam.

– W każdym razie gdyby nie ty, nadal tkwiłabym w niepewności i zastanawiała się, co u niego. Bo muszę ci się przyznać, że kiedy minął pierwszy wstrząs i jakoś poukładałam sobie życie, często o nim myślałam. Oczywiście byłam na niego wściekła, ale znając jego charakter, podejrzewałam, że pewnie szybko pożałował pochopnych słów, lecz honor

nie pozwolił mu mnie szukać. A we mnie też odezwała się wówczas przekorna natura i wbrew batom, jakie dostałam od losu, postanowiłam być dzielna. Nie zamierzałam przyznać się ojcu do porażki, w końcu jestem jego nieodrodną córką. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

Nie wiedziałam, na ile temperament Basi zbliżony jest do cech charakteru Maurycego, ale w jej delikatnej kobiecej twarzy znalazłam pewne podobieństwo do ojca. Ten sam kolor oczu i układ brwi. Drobne gesty, jak choćby sposób, w jaki Basia splatała ręce i opierała się na krześle. Genów nie da się oszukać. Przez chwilę pomyślałam o moim ojcu, o tym, jak kiedyś świetnie, często nawet bez słów, się ze sobą dogadywaliśmy. Mówiono zresztą, że w życiu by się mnie nie wyparł. Łączyła nas wyjątkowa relacja.

– Wiesz, że jestem już w połowie lektury listów, które wczoraj od niego wzięłam. Zarwałam dla nich prawie całą noc, ale było warto... Wiele się o nim dowiedziałam. Nigdy wcześniej nie odważył się być ze mną tak szczery, jak w tych wyznaniach. Przyznam ci się, że pewne zdania mną wstrząsnęły. To dlatego, pod wpływem impulsu postanowiłam przyjechać tutaj i się z tobą zobaczyć. Gdyby nie ty, nie miałabym tej okazji.

– To znaczy, że dasz panu Maurycemu szansę? – spytałam, chociaż domyślałam się odpowiedzi ze słów Barbary.

– Może... – odparła powściągliwie.

Spojrząwszy na nią, przeczuwałam, że między tymi dwojgiem wszystko dobrze się ułoży.

Rozmawialiśmy ze sobą około półtorej godziny, choć ten czas minął niespostrzeżenie. Basia opowiadała głównie o okresie spędzonym poza Polską. Raz tylko wspomniała o swoim pierwszym małżeństwie, ale odniosłam wrażenie, że nie chce wracać do tamtych spraw.

– Doświadczylam przy tym człowieku przemocy, ale kiedy pierwszy raz podniósł rękę na naszego małego synka, udało mi się znaleźć w sobie jeszcze na tyle siły, by od niego odejść. To była najlepsza, choć wtedy niełatwa decyzja w moim życiu. To małżeństwo i tak nie miało prawa przetrwać i właściwie od początku zdawałam sobie z tego sprawę, lecz mimo wszystko wyszłam za niego. Gdy zamieszkaliśmy razem, od razu spadły mi klapki z oczu. Musiałam jednak wziąć odpowiedzialność za wcześniejsze wybory – powiedziała szybko, jakby chciała mieć to już za sobą, a jednocześnie odgadłam, że zależało jej, bym o tym wiedziała.

Rozstałyśmy się w miłej atmosferze. Basia zapytała nawet, czy zanim wrócę do Łodzi, nie chciałabym się z nią znów spotkać. Ostatecznie ustaliłyśmy, że umówimy się w najbliższych dniach, na pewno przed świętami. Wymieniłyśmy się numerami telefonów, po czym odprowadziłam ją do wyjścia. Ja postanowiłam jeszcze chwilę zostać w kawiarni i porozmawiać z Rozalią i Agnieszką.

Okazało się, że ta chwila trwała kilka godzin i do mieszkania wróciłam dopiero po siedemnastej. W tym czasie pomagałam Gabrielowi w pracowni. Pakowaliśmy łąkocie do specjalnych świątecznych opakowań i przygotowywaliśmy też bożonarodzeniowe paczki z wyrobami ze Złotego Serca. Jak co roku, zapotrzebowanie na czekolady było ogromne i właściciele musieli się dobrze uwijać, by pogodzić pracę w kawiarni i w pracowni. Nie powiem, trochę się nabiegałam, ale za to jaka radość i satysfakcja, kiedy później na blacie na zapleczu leżały całe sterty większych i mniejszych torebek w oryginalne świąteczne wzorki wypełnionych najprzedniejszymi frykasami. Pakując te słodkie podarki, czułam się jak elf Świętego Mikołaja, w którego rolę z powodzeniem zresztą mógłby się wcielić Gabriel. Według mnie z jego jowialną twarzą,

dobrodusznym spojrzeniem i niesfornymi białymi włosami nadawałby się do tej roli idealnie.

Ileśmy się przy tej pracy z Gabrielem nażartowali, to nasze. Kilka razy wpadła do nas Agnieszka, przynosząc zapiski z nowymi zamówieniami, ale i w kawiarni panował dziś spory ruch, więc ledwo się pokazała, a już musiała zmykać za bufet. Rozalia też zerknęła na nas przez otwarte drzwi i dało się zauważyć, że i jej udzielił się nasz dobry nastrój. Z kawiarni przez ścianę dochodziły odgłosy śmiechu i swobodnych rozmów. W tle słychać było świąteczne szlagiery i chyba każdy czuł, że Boże Narodzenie tuż-tuż.

Do mieszkania wróciłam w wyśmienitym nastroju, wspominając miło nie tylko ostatnie godziny spędzone w pracowni, ale też poranną rozmowę z córką Maurycego. Kto by pomyślał, że tak ułożą się sprawy. Jeszcze kilka dni temu martwiłam się, czy Barbara Mayer w ogóle zdecyduje się przeczytać otrzymany od swojego ojca list, a ona nie dość, że go przeczytała, to jeszcze krótko po tym odwiedziła Maurycego. Nie mówiąc już o naszym dzisiejszym spotkaniu.

Okazało się, że to nie koniec miłych niespodzianek, bo ledwo usiadłam, zadzwonił Bartosz. Jego mama szybko zdała mu relację z wyjazdu do Bukowej Góry i spotkania ze mną. Nie wiem dlaczego, ale rozmawiając z Basią, czułam się trochę niekomfortowo, gdy akurat poruszyliśmy temat jej syna. Kobieta została już w całą sytuację wtajemniczona. Bartosz przyznał się jej do swoich samowolnych poszukiwań domniemanego dziadka i wszystko sobie wyjaśnili. To nie była łatwa, ale za to oczyszczająca rozmowa, po której wiele się odmieniło. Po pierwsze, Barbara zdecydowała się spotkać ze swoim ojcem, a po drugie, zrozumiała potrzebę swojego syna, by poznać własne korzenie. Nie sprzeciwiała się już temu, żeby Bartosz zobaczył się z dziadkiem. Niemniej on po swoich niejasnych podchodach wstydził się pokazać przed Maurycem. Wspomniał

nawet, żebym ja się tam z nim kiedyś wybrała, ale równie szybko dodał, że po prostu musi się zebrać na odwagę.

– Przecież to mój dziadek, nie przepędzi mnie – skwitował wcześniejsze rozważania.

To prawda. Nie wiem, czy to siła sugestii, ale teraz, kiedy to wyszło na jaw, dostrzegałam między nimi mnóstwo podobieństw. Nie chodziło o wygląd zewnętrzny – choć i tu można by się doszukać wielu wspólnych cech – ale raczej o charakter. Oczywiście Bartosz był świetnym, niezwykle sympatycznym i życzliwym mężczyzną, lecz wyczuwałam w nim też pewną hardość i pewność siebie, tak bardzo specyficzne dla jego dziadka. Skądinąd podczas naszego pierwszego spotkania być może zaprezentował mi właśnie tę mniej miłą mieszankę genów. Może tak jak Maurycy, jego wnuk od czasu do czasu też zwykł działać, zanim zdążył pomyśleć? Może ta krewkość i impulsywność były dziedziczne?

Długo rozmawialiśmy i na koniec Bartosz zaproponował, żebyśmy się jutro spotkali. Tym razem dla odmiany postanowiliśmy poczuć przedświąteczną atmosferę Krakowa. Znajomy stwierdził, że chciałby jeszcze kupić kilka świątecznych drobiazków i w związku z tym liczył na moją pomoc. Doszłam do wniosku, że to ostatni dzwonek, żebym i ja pomyślała o bożonarodzeniowych prezentach. Tym bardziej że tegoroczną Wigilię chciałam spędzić u Witkowskich. Na razie miałam tylko oryginalny wazon, który kupiłam zaraz po przyjeździe do Bukowej Góry. Czekały mnie więc spore sprawunki.

Ucieszył mnie ten telefon, ponieważ z dnia na dzień czułam się coraz swobodniej przy Bartoszu. Nieważne, czy widzieliśmy się osobiście, czy gawędziliśmy przez komórkę, rozmowom tym zawsze towarzyszył luz i duża porcja śmiechu. Za każdym razem odnosiłam wrażenie, że znam Bartosza od dawna, a teraz spotkaliśmy się po dłuższym okresie

niewidzenia się. Trochę za sobą stęsknieni, trochę siebie ciekawi, ale jeszcze nie na tyle odważni jedno względem drugiego, by wyznać, że za sobą tęsknimy i chcielibyśmy spędzać ze sobą więcej czasu. Zresztą już na wstępie starałam się zdusić wszystkie tego typu myśli, bo przecież zaraz po Nowym Roku miałam stąd wyjechać. Owszem, mogliśmy kontynuować naszą znajomość na odległość, na co zresztą liczyłam. Zdając sobie jednak sprawę, że dzielące nas kilometry na pewno nie będą sprzyjać zacieśnieniu relacji, próbowałam tłumić uczucia. A te jak na złość za każdym razem, gdy myślałam o Bartoszu, przypominały o sobie miłym łaskotaniem w okolicy serca. Nie byłam w stanie już przed sobą zaprzeczać, że Bartosz bardzo mi się podoba, a w jego obecności zawsze działo się ze mną coś dziwnego. Nie chodziło już tylko o to przyjemne muskanie, ale o jakąś wewnętrzną pewność, że mam przed sobą mężczyznę, z którym mogłabym być szczęśliwa. Niby to czułam, niby w to wierzyłam, ale lęk przed zaangażowaniem sprawiał, że wycofywałam się, gdy tylko Bartosz sugestywnie na mnie spojrzał, wymownie zniżył głos lub dotknął mojej ręki. Panikowałam, jak pensjonarka niepewna tego, co się z nią dzieje.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, nadal podekscytowana jutrzejszymi planami, postanowiłam zrobić listę sprawunków. Chciałam się przynajmniej przymierzyć do tego, co mogłabym komu kupić. Omiotłam wzrokiem zegar, upewniając się, że do spotkania u Witkowskich, na które się dzisiaj umówiliśmy, pozostawało wciąż mnóstwo czasu. Wyrwałam z notesu kartkę, wzięłam długopis i usiadłam przy biurku. Wówczas nieoczekiwanie mój wzrok padł na położony obok laptopa list. Pod wpływem jakiegoś wewnętrznego podszeptu sięgnęłam po niego, porzucając nagle wcześniejsze plany. Nim zdążyłam pomyśleć, czy chcę to zrobić, już czytałam najpierw miłe, napełniające mnie spokojem, lecz z każdym

kolejnym zdaniem zaczynające wzbudzać we mnie lęk, zdania. Ten lęk wydawał się uzasadniony, bałam się bowiem o najbliższego mi człowieka.

Kochanie,

Teraz już wiesz, dlaczego tak bardzo zależy mi, żebyś mi wybaczyła. Nie mam pojęcia, ile czasu jeszcze mi zostało, ale raczej niewiele. Przyznam Ci się, że gdy zaczynałem pisać te listy, wierzyłem szczerze, że uda nam się spotkać, ale teraz wiem, że to chyba jest niemożliwe. Twoja mama może przyjść po mnie w każdej chwili. Zresztą na to liczę, że pomoże mi znaleźć drogę, bo nie będę udawał, że choć zawsze dzielny był ze mnie facet, boję się jak diabli tej ostatniej podróży w nieznane.

Sonieczko, chciałbym, byś wiedziała, że to Ty i mama byłyście dla mnie najważniejsze na świecie. Wiesz już, że stchórzyłem, nie chcę się wymawiać depresją czy stanami lękowymi związanymi ze śmiercią Tereni, bo byłoby to z mojej strony nieuczciwe, ale nie potrafiłem znaleźć do Ciebie drogi. Kocham Cię, moja mała, najbardziej na świecie i to nigdy się nie zmieni. Pamiętaj, że nawet z góry będę nad Tobą czuwał, dlatego proszę, pomyśl o mnie czasem bez żalu i pretensji, wspominając nasze szczęśliwe dni.

Tata

Gdy skończyłam czytać, byłam tak roztrzęsiona, że wszystkie trzy kartki listu wypadły mi z ręki. Nie schyliłam się jednak po nie, lecz sięgnęłam po telefon i wybrałam numer ojca.

– Błagam cię, odbierz – zaklinałam raz za razem, starając się znów połączyć, a z oczu lały mi się łzy. – No odbierz!

Niestety nie odebrał. Wyglądało na to, że albo ma rozładowany telefon, albo był poza zasięgiem. „A może on już...”, pomyślałam, ale bezgłośnie słowa nie chciały ułożyć się w całe zdanie”. „Jezuu, jak długo to już trwa?! Jak on się czuje?! Dlaczego nie odezwał się do mnie wcześniej?!” Tak niewiele wiedziałam o nim i jego chorobie, że dobijała mnie bezsilność. Znów się skupiłam na wyświetlaczu telefonu i z głośnym biciem serca napisałam krótką wiadomość. „Kocham Cię, tatusiu! Bardzo cię kocham! Proszę, odbierz albo odpisz. Błagam”. Czułam się jak mysz w potrzasku, nie miałam pojęcia, jaki wykonać ruch. Co zrobić, gdzie go szukać, kogo o niego pytać. Straciliśmy kontakt na długie lata. Nie wiedziałam nawet,

czy nadal zajmuje nasze stare mieszkanie. Tak, to był teraz chyba jedyny właściwy trop. Powinnam jak najszybciej tam pojechać. Bez wątpienia tam go zastanę. Swoim zwyczajem na pewno nie chciał mnie niepokoić, dlatego jego słowa są takie niejasne.

Z paniką rozglądałam się po pokoju, zastanawiając się, co zabrać w podróż. Bo to, że jak najszybciej muszę ruszyć w drogę, wydawało mi się oczywiste. Po dziesięciu minutach byłam gotowa. Wrzuciłam do plecaka najbardziej przydatne ubrania i kilka najpotrzebniejszych rzeczy, po czym udałam się do wyjścia. Na zewnątrz wciąż nie przestawało sypać. Obawiałam się, czy po tylu dniach parkowania odpalę samochód, ale poszło bez problemu. Wytoczyłam się na zaśnieżoną drogę i skierowałam się w stronę Złotego Serca. Czułam się w obowiązku, by poinformować o wyjeździe Witkowskich.

Choć służby drogowe przez cały czas starały się oczyszczać jezdnie, padało tak intensywnie, że trudno było zaparkować na chodniku, gdzie utworzyła się nieduża zaspą. Gdy wreszcie wysiadłam z auta, skierowałam się do Złotego Serca. W witrynie zauważyłam, że wciąż kręci się tam Rozalia. Ponieważ drzwi już zamknięto, zapukałam w szybę.

– Dobrze, że już jesteś. Wszystko zrobione, zaraz zamykam. – Starsza pani ucieszyła się na mój widok i dopiero po chwili, gdy weszłam już do środka, bacznie mi się przyjrzała. – Stało się coś?

– Wyjeżdżam do Bydgoszczy – wyjaśniłam drżącym głosem.

– Teraz, na noc? W taką pogodę? – Rozalia załamała rękę.

– Ostatni list od taty... wiele wyjaśnił... On jest ciężko chory... – Wybuchnęłam płaczem.

Rozalia przygarnęła mnie do siebie i przez kilka chwil trwałyśmy tak jedna przy drugiej.

– Na pewno nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać – powiedziała później, gdy na moment przysiadłyśmy na krzesłach. Starsza pani uznała, że jeśli już rzeczywiście muszę jechać, powinnam napić się wzmacniającej czekolady z imbirem i limonką. Nie oponowałam, bo po wiadomości, jaka na mnie spadła, i rozpaczy, która wydrenowała moje ciało z pozytywnej energii, czułam się wyczerpana. A przecież czekało mnie kilka godzin intensywnej jazdy.

Przełykając łyzy i popijając gorący napój, opowiedziałam potem Rozalii o tym, co przeczytałam. Starła się mnie pocieszyć, ale nie potrafiła ukryć, że sama też jest wstrząśnięta. Zapakowała mi na drogę trochę słodkości i odprowadziła do samochodu.

– Te kawowo-cynamonowe czekoladki mają sporo kofeiny, sięgnij po nie, gdy zacznie cię ogarniać senność – pouczyła mnie, zanim się rozstałyśmy.

Zjadłam je już po godzinie jazdy. Podróż od samego początku okazała się ciężka. Ze względu na fatalne warunki atmosferyczne samochody posuwały się w żółwym tempie. Do tego paraliżował mnie lęk o to, co zastanę na miejscu. Włączyłam radio, ale dziś radosne głosy prowadzących, rozprawiających o nadchodzących świętach, wyjątkowo mnie drażniły. Wycieraczki nie nadążały omiatać przedniej szyby z mokrego śniegu.

Jechałam już ponad trzy godziny, a zdawało mi się, że posunęłam się zaledwie o kilkanaście kilometrów. W połowie drogi zatrzymałam się w jakimś zajeździe, żeby wzmocnić się herbatą. W końcu kilka minut po drugiej przekroczyłam granicę miasta. Od razu skierowałam się na Bielawki, do naszego dawnego mieszkania. Nie miałam pojęcia, co zrobię, gdy dotrę na miejsce. Bądź co bądź, była noc i nie mogłam tak bezceremonialnie dobijać się do drzwi. Nawet nie wiedziałam, czy pod tym adresem zastanę tatę. Wjechawszy na Powstańców Wielkopolskich,

zatrzymałam się przed blokiem, w którym spędziłam większość życia. Spojrzałam na to miejsce i ścisnęło mnie w sercu, a do oczu znów zaczęły napływać łzy.

Okna były ciemne. Właściwie światło paliło się tylko w kuchni naszej dawnej sąsiadki, pani Malinowskiej. Miło wspominałam panią Wiesię, to jedna z tych osób, o których się mówi, że są do rany przyłoż. Nieraz podrzucała nam różne smaczne kąski: a to naleśniki, a to pierożki, a to znów świeże ciasto. Oczywiście wszystko własnej roboty. Niestety nasza najbliższa sąsiadka miała jedną wielką wadę, lubiła sobie poplotkować. Zawsze wiedziała, co u kogo słychać i jak ją pamiętam, non stop siedziała przy otwartym kuchennym oknie, wyglądając na podwórko. Od kiedy się stąd wyprowadziłam i wskoczyłam w dorosłość, nigdy nie zdarzyło mi się zjeść równie pysznego jedzenia. Pani Wiesia potrafiła wyczarować w kuchni cuda. Na szczęście przeciw wagę dla jej długiego języka stanowiło wielkie serce. Sąsiadka nigdy nie mogła przejść obojętnie wobec kogoś, komu działo się krzywda. Zapamiętałam, że często włączała się w różne akcje charytatywne, dokarmiała też okoliczne bezdomne koty. Po dziesięciu minutach siedzenia w samochodzie i popatrywaniu w przednią szybę zauważyłam, że u pani Malinowskiej ktoś kręci się w kuchni. Widocznie sąsiadka nie mogła spać. Musiała dostrzec moje auto, bo widziałam, że wygląda przez okno. Pewnie trawiła ją ciekawość, kto nie wpasował się w nocny porządek. Upewniwszy się, że kobieta nie śpi, postanowiłam podejść do klatki i zadzwonić do domofonu.

Zgasiłam silnik i podreptałam do drzwi. Tutaj śniegu nie było tak dużo jak w Małopolsce, ale i tak pokrywał trawniki, a nawet drogę. Z pewną obawą nacisnęłam przycisk.

– Kto tam? – usłyszałam znajomy, lekko szorstki kobiecy głos.

– Dzień dobry. Tu Sonia Polańska. Właśnie przyjechałam i zauważyłam, że świeci się u pani światło – przywitałam się i wyjaśniłam krótko powód mojego nagłego pojawienia się.

– Sonia...?! – Sąsiadka z wrażenia aż uniosła głos. – Wejdźże, dziecko.

Kiedy się wspięłam na drugie piętro, pani Wiesia stała już w drzwiach.

– Matko Przenajświętsza, dziewczusko, gdzieś ty się podziewała przez te wszystkie lata? – Malinowska mnie wyściskała.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, bo przecież wydawało mi się, że sąsiadka była wtajemniczona w naszą sytuację. Pamiętam zresztą, że od początku nie polubiły się z Martą. Malinowska ubolewała, że tata wziął sobie taką heterę. Nie mogła zrozumieć, zresztą nie tylko ona, dlaczego to zrobił.

Dopiero gdy zdjęłam z siebie ciepłą odzież i zapadłam się w miękkim fotelu, poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Sąsiadka zaparzyła mi ziołowej herbaty z miodem i usiadła nieopodal mnie na sofie. Wiem, że świerzbił ją język, ale widząc, w jakim jestem stanie, o nic mnie nie wypytywała. To ja, odpocząwszy trochę, zaczęłam rozmowę.

– Pani Wiesiu, proszę mi powiedzieć, czy mój tato... Czy on jest w naszym mieszkaniu? – Sugestywnie obejrzałam się na ścianę, za którą znajdowało się moje rodzinne gniazdko.

Odniosłam wrażenie, że zwykle wygadana Malinowska poczuła się nieco skrępowana moim pytaniem.

– To ty nic nie wiesz? – Spojrzała na mnie dopiero po chwili.

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Wiem tylko tyle, że tata jest chory. Dowiedziałam się zresztą o tym niedawno... Wczoraj... – wyjaśniłam, a mój głos znów zadrżał.

– Ach, dziecko, co ja ci mam powiedzieć... – Pani Wiesia posmutniała.
– Naprawdę nic nie wiesz, co tutaj się działo?

– Nie mam pojęcia. Nie widziałam się z tatą przez wiele lat – rzekłam i z zawstyżeniem opuściłam głowę.

– Będzie chyba ze dwa lata, jak twój tato się stąd wyprowadził. Gdy rozwodzili się z Martą, sprzedał mieszkanie, a potem kupił kawalerkę dwa bloki dalej.

– Czyli tam teraz mieszka, tak? – Nie odrywałam wzroku od Malinowskiej.

– Coś tam pomieszkał, ale przez większość czasu to chyba był w szpitalach.

– A teraz, teraz go tam zastanę? – Nie mogłam opanować emocji, cała drżałam.

– Soniu. – Pani Wiesia mocno uściśnęła moją rękę, jakby w ten sposób chciała uśmierzyć ból, jaki miały mi zadać jej kolejne słowa. – Twój tato... On od jesieni przebywa w hospicjum.

– Nie! To nie może być prawda! – Rozszlochałam się.

– Tak bardzo mi przykro, kochanie. Naprawdę chciałabym mieć dla ciebie jakieś dobre wieści... – rzekła pani Wiesia, a z jej oczu też polały się łzy. – Skarbie, powinnaś się położyć, pościelę ci łóżko w małym pokoju. Podróż cię wyczerpała. Odpoczniesz i jutro znów o tym porozmawiamy. Jest noc, więc teraz i tak niczego nie zdasz.

Informacja pani Wiesi dosłownie zwała mnie z nóg. Przez dłuższą chwilę siedziałam oszołomiona, nie potrafiąc wymówić nawet słowa. Dopiero po pewnym czasie udałam się do łazienki, gdzie jako tako się ogarnęłam, a później sąsiadka zaprowadziła mnie do niedużego pokoiku, w którym znajdowały się tylko jednoosobowy tapczanik i wąska komódka. Wcześniej zapobiegliwie zaaplikowała mi tabletkę na uspokojenie. Nie wiem, czy to emocje, czy wyczerpująca podróż, a może właśnie ta ziołowa

pastylka, w każdym razie usnęłam już po kilku minutach, ledwo tylko się położyłam.

Obudziły mnie zagładające przez szybę promienie słońca. Najpierw nie mogłam skojarzyć, gdzie jestem, lecz pamięć szybko wróciła. Skoczyłam na równe nogi i popędziłam do kuchni, skąd dochodziły odgłosy krzątania.

– Dzień dobry – przywitałam się, stając w drzwiach, i powoli weszłam do środka.

W pomieszczeniu unosił się przyjemny słodki zapach, a pani Wiesia krzątała się przy blacie.

– Jak spałaś? – spytała, a ujrawszy moją bladą twarz, którą i ja kątem oka dostrzegłam w szybce kredensu, zapobiegliwie wysunęła spod stołu jedno z krzeseł. – Usiądź.

Przycupnęłam na skraju miękkiego siedziska i utkwiałam wzrok w oknie, patrząc na znajomy krajobraz, którego od tak dawna nie widziałam.

– Usmażyłam naleśniki. Masz ochotę? – Postawiła przede mną talerz ze zwiniętymi w rulon naleśnikami przełożonymi malinowym dżemem.

– Muszę do niego pojechać... – odparłam, całkowicie ignorując słowa sąsiadki.

– Oczywiście, ale dobrze byłoby, gdybyś najpierw coś zjadła. Napiała się kawy, herbaty... – wtrąciła pani Wiesia.

– Dlaczego nie powiedział mi o tym wcześniej? – spytałam retorycznie, znów gapiąc się na pejzaż za oknem, osiedlową drogę, wzdłuż której stały zaparkowane samochody, zmodernizowany plac zabaw i drzewa o rozłożystych koronach, teraz ubranych w czapy białego puchu.

Pani Wiesia długo się nie odzywała. Dopiero gdy przyniosła do stołu dzbanek z kawą i filiżanki, usiadła naprzeciw mnie i zdecydowała się na wyjaśnienie.

– Gdy się dowiedział o chorobie, zaczęły się problemy z jego żoną. Ostatecznie, zamiast być dla niego wsparciem, Marta szybko go zostawiła, a mówiąc nieładnie, puściła z torbami. Zabrała nowy samochód, działkę za miastem i podobno do zera wyczyściła ich konto. Za pierwszym razem udało mu się na jakiś czas powstrzymać chorobę, niestety pewnie stres sprawił, że szybko pojawiła się remisja. Staraliśmy się tutaj, wszyscy sąsiedzi, by zebrać potrzebną kwotę na innowacyjne leczenie, ale chociaż wreszcie się to udało, okazało się, że jest na to za późno. Choroba rozwinęła się tak, że raczej nie było szansy, by ją powstrzymać. Zresztą twój tato zdecydował, że tego nie chce. Nie wierzył, że mu się uda.

– Boże, gdybym wiedziała, poruszyłabym niebo i ziemię, by mu pomóc! – rzuciłam emocjonalnie.

– Kochanie, to naprawdę bez znaczenia. Sławek miał pomoc, mnóstwo ludzi wyciągnęło do niego rękę. Po prostu czasem nie da się przeciwstawić chorobie.

– Gdybym przy nim była, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej! – Załkałam.

– Nie mów tak. Oskarżanie siebie to ostatnia rzecz, jaka jest ci teraz potrzebna – rzekła pani Wiesia stanowczo. – Sama miałaś pod górkę przez tę harpię Martusię. A twój tato widocznie kierował się jakimiś powodami, by nie informować cię o tym wcześniej.

Pani Wiesia cały czas coś mówiła, starała się mnie pocieszyć, lecz do mnie zupełnie nic teraz nie docierało. Na kilka chwil zapadłam się w pustkę i kiedy później ocknęłam się z tego dziwnego stanu, nie potrafiłabym powtórzyć nawet słowa z tego, co próbowała mi przekazać. Wiedziałam jedno, że muszę wziąć się w garść, by broń Boże się nie rozkleić. Skoro niebawem miałam się zobaczyć z tatą, powinien ujrzeć we mnie siłę i pogodę ducha, a nie nerwowość i panikę. Tak jak sugerowała pani Wiesia,

wmusiłam w siebie naleśnika i wypięłam filiżankę kawy, a dopiero potem zaczęłam myśleć o wyjściu z domu. Sąsiadka zaproponowała, że może mi towarzyszyć, ale odmówiłam. Po pierwsze, czułam, że zrobiła to wyłącznie z grzeczności, bo sprawiała wrażenie nieco przestraszonej. Po drugie zaś, nie chciałam przy sobie przyzwoitki. Chwila, kiedy zamierzałam spojrzeć w oczy ojcu po tak wielu latach nieobecności, wydawała mi się zbyt doniosła, bym mogła dzielić ją z kimś jeszcze. Nawet, jeśli ta osoba była życzliwa, pomocna i empatyczna.

Gdy wyszłam na zewnątrz, od razu orzeźwiło mnie lodowate powietrze. Odruchowo popatrzyłam na okna mieszkania pani Wiesi. Kobieta stała w kuchennym oknie, a kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uniosła rękę. Też do niej pomachałam, po czym wsiadłam do samochodu i uruchomiłam silnik. Trochę trwało, zanim w środku zrobiło się ciepło. W międzyczasie zeskrobałam lód z przedniej szyby i omiotłam ze śniegu karoserię. Nad ranem przestało sypać, więc nie było z tym zbyt wiele pracy. Do przejechania miałam zaledwie pięć kilometrów i przy ładnej pogodzie raczej wolałabym wybrać się tam pieszo, ale mimo słońca grudniowa aura trochę mnie odstraszała. Nie czułam się gotowa, by już za kilkanaście minut przekroczyć drzwi hospicjum. Mimo wszystko potrzebowałam jeszcze trochę czasu, żeby całkiem oswoić się z tą myślą.

Pojechałam nad Wisłę, w okolice mojego ulubionego miejsca, gdzie dawniej często piknikowaliśmy z rodzicami. Teraz, zimą nie dało się tak łatwo dojść do brzegu, ale stwierdziłam, że nawet krótki spacer dobrze mi zrobi. Poza tym szum przepływającej wody zawsze mnie uspokajał. A tego potrzebowałam teraz najbardziej. Chodziłam prawie godzinę, dotąd aż zmarzłam. Potem znów musiałam rozgrzać nie tylko samochód, ale też siebie. Przechadzka po znajomym terenie dobrze mi zrobiła i kiedy dotarłam wreszcie na miejsce, byłam gotowa zmierzyć się z sytuacją. Do

środka weszłam nieco oszołomiona, na trzęsących się nogach, bezradnie rozglądając się wokół. Na szczęście trafiłam na kompetentną pielęgniarkę, która od razu wprowadziła mnie w szczegóły dotyczące choroby ojca. Teraz, kiedy wiedziałam, jak bardzo poważny jest jego stan, jeszcze bardziej się bałam tego spotkania. Dziś czuł się trochę lepiej i mogłam się z nim zobaczyć.

– Proszę tędy. – Słowa pielęgniarki wyrwały mnie z chwilowego stanu odrętwienia.

Kobieta próbowała dodać mi otuchy miłym słowem i uśmiechem, ale miałam wrażenie, że tracę grunt pod nogami. Idąc korytarzem do właściwych drzwi, za wszelką cenę starałam się spokojnie oddychać i się nie rozkleić.

Pielęgniarka wprowadziła mnie do niewielkiego pokoju, w którym wyczuwało się zapach medykamentów. Tata leżał tyłem do drzwi, nie zauważył nas.

– Panie Sławku, ma pan gościa. – Kobieta obeszła łóżko i stanęła naprzeciw pacjenta.

Ja wciąż nie mogłam się na to odważyć. Dopiero gdy z pomocą pielęgniarki tata się podniósł do pozycji półleżącej, spojrzałam w jego twarz i nagle uderzyło mnie tak wielkie wzruszenie, że nie byłam w stanie zapanować nad łzami. Takich spraw nie da się zaplanować, nie można działać według narzuconego sobie schematu. Niemożliwe jest oddzielenie głowy od serca.

Tata przyglądał mi się bez mrugnięcia i w pewnym momencie pomyślałam nawet, że może mnie nie poznał. Wtedy chwycił się za serce.

– Sonieczka, to naprawdę ty...

– Wszystko dobrze, panie Sławku? – upewniła się pielęgniarka.

– Tak, tak, dobrze... – Westchnął z ulgą, jakby z jego barków spadł ogromny ciężar.

Gdy pielęgniarka wyszła, ostrożnie zbliżyłam się do łóżka, lecz nie byłam w stanie się przełamać, żeby się odezwać. Stałam sztywno, patrząc na niego jak zahipnotyzowana i zupełnie nie wiedziałam, jak się zachować.

Dopiero kiedy tata wyciągnął do mnie rękę, chwyciłam jego dłoń, a wtedy coś we mnie pękło.

– Tatusiu... dlaczego? – wyszeptalam drżącym głosem.

– Przepraszam, Sonieczka, bardzo cię za wszystko przepraszam. To nie tak powinno wyglądać.

– Tato, dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałeś? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? Czemu postanowiłeś być z tym sam? Przecież gdybym wiedziała, wszystko mogłoby być inaczej – mówiłam, patrząc na tatę z obawą, że lada chwila może mi zniknąć i nie zdążę wyznać mu tego, co od wielu lat siedziało mi w sercu.

– Musiałem do tego dojrzeć – wyznał. – Nie chciałem obarczać cię dodatkowym problemem. Wierzyłem, że sobie z tym poradzę, ale wymknęło mi się to paskudztwo spod kontroli.

– Tatusiu... – Załkałam i nie zważając, że jest taki szczupły i kruchy, przytuliłam głowę do jego piersi. – Kocham cię, tatusiu. Nie możesz mnie teraz zostawić. Mam tylko ciebie...

– Przede wszystkim masz siebie, kochanie. Zobacz, jaka jesteś dzielna. Poradziłaś sobie sama w dżungli życia. Rzuciłem cię na pożarcie drapieżnego świata, a ty zdałaś ten test śpiewająco. Po co ci taki ojciec, który nie jest w stanie obronić dziecka, kiedy ono najbardziej tego potrzebuje? Zawiodłem cię, córciu, i to boli mnie najbardziej.

– Wyjaśniłeś mi wszystko w listach, rozumiem cię... Mnie też nie było łatwo, ale gdy przeczytałam to, co do mnie napisałeś, zrozumiałam,

dlaczego tak się zachowywałaś. Zresztą teraz to nieistotne... Najważniejsze, że znów się spotkaliśmy. Teraz będzie dobrze...

Tata uśmiechnął się smutno i pogładził mnie po włosach.

– Jesteś taka śliczna, tak bardzo podobna do mamy... – szepnął ze wzruszeniem.

– Mam twój nos – rzekłam, próbując z marnym skutkiem zrobić zabawną minę.

– Opowiedz mi, co robiłaś przez te wszystkie lata i jak to się stało, że jesteś teraz w tej małej miejscowości w Małopolsce... – poprosił tata.

– Bukowej Górze – odpowiedziałam.

Nie zamierzałam go martwić, ale chcąc opisać cały ten czas, kiedy się nie widzieliśmy, nie mogłam pominąć co ważniejszych faktów. Musiałam być z nim szczerą, nawet jeśli miałyby to znów obudzić jego wyrzuty sumienia. A więc zaczęłam od początku, gdy wyprowadziłam się z domu, a potem starałam się zrelacjonować kolejne lata. Słuchał uważnie, czasem się uśmiechał, to znów jego brwi ściągał fraszunek. A ja wracałam do dawnych chwil, lecz gdy teraz o tym mówiłam, nie było już we mnie żalu, tylko zrozumienie. Tamten okres miałam za sobą i dopiero w tej chwili, tutaj, siedząc przy tacie, uświadomiłam sobie, jak przez to wyrosłam i ile życiowej mądrości zgromadziłam. Słowo po słowie doszłam w końcu do ostatnich dni. Wspomniałam o przyjeździe do Bukowej Góry, o Złotym Sercu, jego właścicielach i związanej z nim legendzie. Mówiłam o ludziach, których tam poznałam, i o tym, jak bardzo odmieniło to moje życie. Zauważyłam, że kiedy wróciłam do ostatnich wydarzeń, uśmiechałam się.

– Opowiesz mi tę historię? – spytał w pewnym momencie ojciec.

– Naprawdę chcesz tego posłuchać? – Ucieszyłam się.

– Musi być wyjątkowa...

– Tak, jest wyjątkowa. Mam wrażenie, że nie tylko pobyt w Bukowej Górze mnie odmienił, ale właśnie ta historia. Wiele dobrego wydarzyło się w tym czasie, a nie poznałam jeszcze zakończenia.

Zanim zaczęłam opowieść, poprawiłam tacie poduszkę i upewniłam się, czy czuje się dobrze. Rozejrzawszy się po sali, najpierw dziwnie się poczułam i przez chwilę trudno było mi znaleźć w sobie słowa, od których mogłabym zacząć. Na szczęście te szybko się pojawiły i historia zaczęła płynąć. Spokojnie i rytmicznie. Chciałam oddać jak najwięcej szczegółów, dlatego nie przyspieszałam, tylko tak jak Gabriel z Rozalią, ja też powolutku snułam tę wyjątkową opowieść. W ciągu godziny tata poznał Marcina, Sabinę i jej rodzinę. Mógł ujrzeć oczyma wyobraźni jezioro Marana, a nawet miedzianowłosą pannę i osobliwego Basałyka, do którego Marcin wybrał się po poradę. Opowiadałabym pewnie dłużej, gdyby nie pielęgniarka, która nieoczekiwanie weszła do pokoju. Zauważyłam, że tata gorzej się poczuł. Może już wcześniej czuł się źle, ale na ile dał radę, starał się wytrzymać.

– Pójdę już – szepnęłam, bo nagle znów ogarnęło mnie przerażenie. Chwilowo razem z tatą schroniliśmy się w bezpiecznym świetle, gdzie nie mogło nas dosięgnąć żadne zło, ale teraz upomniała się o nas rzeczywistość.

– Wrócisz? – Spojrzał na mnie lekko zamglonym wzrokiem, jakby się oddalał.

– Tak – odparłam z przekonaniem. – Czekaaj na mnie.

– Muszę poznać całą opowieść...

Zanim opuściłam hospicjum, rozmawiałam jeszcze z lekarzem, który zajmował się tatą od początku. Niestety, to, czego się dowiedziałam, całkiem pozbawiło mnie złudzeń. Gdy wyszłam na zewnątrz, miałam w sobie mnóstwo sprzeczności, spokój mieszał się we mnie z narastającym

buntem, dlaczego nasze życie: moje i taty, ułożyło się tak zawile. Nie chciałam, żeby odszedł. Nie teraz, kiedy się odnaleźliśmy. Może on był na to gotowy, jak kilka razy dał mi to dzisiaj do zrozumienia, ale ja na pewno nie. Bałam się, że kiedy przyjadę tu następnym razem, jego może już nie być. A jednocześnie żywiłam nadzieję, że czeka nas jeszcze kilka czułych i bliskich spotkań. Dopiero kiedy wsiadłam do samochodu i wyjechałam poza parking hospicjum, przestałam się kontrolować i rozsłochałam się na dobre. Płakałam przez całą drogę, ocierając oczy chusteczką, bym mogła widzieć drogę. Poinstruowana przez tatę, zatrzymałam się przed blokiem, gdzie mieszkał jego kolega Zdzisław.

– Idź do Zdzicha, on da ci klucze od mojej małej dziupli. Żadne tam wygody, ale przynajmniej nie będziesz musiała tułać się po obcych. Zresztą ja już wszystkiego dopilnowałam, spisałam testament i mieszkanie należy do ciebie. Ja już tam nie wrócę. Niewiele zostało, Marta wycisnęła mnie jak cytrynę, ale jest jeszcze działka w Bielicach. Może kiedyś zdecydujesz się tam osiąść. Pamiętam, że zawsze bardzo ci się tam podobało – powiedział tata, a wyczuwając mój wewnętrzny opór, nie pozwolił mi dojść do słowa.

Działka rzeczywiście usytuowana była w malowniczej okolicy, nieopodal jeziora i lasu. Rodzice kupili ją, gdy byłam dzieckiem, i planowali, że kiedyś, gdy odłożą odpowiednią sumkę, wybudują tam nieduży dom z bali. Niestety marzenie się nie spełniło, lecz okazało się, że miejsce wciąż czeka, aż ktoś się nim zaopiekuje.

Kiedy wreszcie jako tako się ogarnęłam i wysiakałam nos, wyszłam z auta i ruszyłam w stronę właściwej klatki. Klawisz domofonu naciskałam z obawą, bo chociaż dobrze znałam przyjaciela taty, to nie widzieliśmy się szmat czasu.

– Dzień dobry, tu Sonia, córka Sławka – przedstawiłam się, gdy po drugiej stronie usłyszałam męski głos.

Pan Zdzisław zareagował na moje nieoczekiwane pojawienie się podobnie jak pani Wiesia, jakby lada chwila miała stanąć przed nim zjawa. Zaniemówił, lecz szybko wpuścił mnie do środka, a kiedy dotarłam na trzecie piętro, tak jak pani Malinowska przywitał mnie w otwartych drzwiach.

– Wszelki duch Pana Boga chwali, Sońka! – odezwał się dudniącym głosem, z którego słycał, a potem mnie wyściskał.

Pamiętałam, że w odróżnieniu do taty jego przyjaciel był strasznym gadułą, ale dzisiaj przez pierwsze dziesięć minut nie mógł wypowiedzieć przy mnie całego zdania. Ledwo coś wydukał, a już urywał, bo przypominało mu się coś innego. Dopiero kiedy usiedliśmy w pokoju i łyknął herbaty z odrobiną rumu, zauważyłam, że nieco się uspokoił. Powiodłam wzrokiem po wnętrzu, którego wystrój niewiele się zmienił, odkąd byłam tutaj ostatnio. Północną ścianę zajmowała zakupiona trzydzieści lat temu w Kalwarii meblościanka, a komplet wypoczynkowy zyskał nowe obicie w przyjemnym piaskowym odcieniu. Na stoliku w rogu stała sztuczna choinka, na której wisiały dobrze mi znajome ozdoby. Pamiętam, że jako dziecko zachwycalam się srebrnymi aniołkami z plastiku i pan Zdzisiek specjalnie dla mnie zdjął jedno takie чудо. Teraz wyblakłe przez lata ozdoby wydawały mi się kiczowate, ale jednocześnie przywodziły na myśl przyjemne chwile pełne bezpieczeństwa i świątecznej magii.

– Szkoda, że nie ma mojej Mirki, bo nieraz cię wspomina – rzekł Zdzisiek, patrząc na mnie sentymentalnym wzrokiem. – Ech, dopiero byłaś taka, że ledwo dostawałaś do barku, a tu taka pannica z ciebie wyrosła. – Wskazał zamykaną na klucz podłużną szafkę w meblościance. – Widziałaś się z tatą?

Skinęłam głową i od razu zaczęło mi się zbierać na płacz.

– Ech, tak się to porobiło – przyznał smutno Zdzisiek. – Gdyby mi kto wcześniej powiedział, nie uwierzyłbym, że mojego najlepszego kumpla taka zmora dopadnie.

Przez dłuższą chwilę nie wiedzieliśmy, jak mówić o chorobie taty, ale w końcu sobie z tym poradziliśmy i rozmowa potoczyła się gładko. Sporo się dowiedziałam o sytuacji taty, trudnym rozwodzie z Martą i początkach jego choroby. Ja też opowiedziałam panu Zdziškowi co nieco o sobie. Cudownie było wrócić tu po tak wielu latach i poczuć, że wciąż jestem mile widziana. W końcu mężczyzna zaproponował, że zaprowadzi mnie do kawalerki taty.

– To niedaleko, w tamtym ostatnim bloku. – Pokazał ręką na koniec chodnika.

Postanowiłam, że na razie zostawię samochód, bo i tak musiałam wrócić, żeby podejść jeszcze do pani Wiesi i jej podziękować.

Mieszkanie znajdowało się na parterze. Zrobiło na mnie dobre pierwsze wrażenie. Choć niewielkie, wydawało się jasne i schludne. Pan Zdzisiek oprowadził mnie po trzydziestometrowym wnętrzu, instruując, gdzie co jest. Podłączył też do prądu lodówkę i upewniwszy się, że sobie poradzę, wyszedł. Gdy zostałam sama, przez pierwsze kilka minut nie mogłam się odnaleźć. Chodziłam z kąta w kąt, starając się oswoić nowe miejsce. Tata zawsze miał dobry gust i to małe lokum też urządził ze smakiem. W pokoju znalazło się miejsce na drewniane łóżko, szafę, komodę, a także dwuosobową sofę i mały stolik. Przez okno przesłonięte gładką kremową firanką do środka wpadało jasne południowe światło. Skromna kuchnia zabudowana meblami z sosnowego drewna, ze stolikiem pod oknem też robiła przyjemne wrażenie, podobnie jak łazienka z flizami w waniliowym kolorze. Na wyłożonych panelami podłogach zauważyłam kilka dywaników, a na meblach ustawiono parę oryginalnych bibelotów.

W zabudowanej szafie w przedpokoju wypatrzyłam świeżą pościel, koce i kilka przedmiotów potrzebnych w gospodarstwie, które zapewne nie zmieściły się w kuchennych szafkach. W tych natomiast znalazłam kawę, herbatę, cukier i jakieś przyprawy. Włączyłam do prądu bezprzewodowy czajnik i wstawiłam wodę. Gdy się zagotowała, zalałam w kubku kawę rozpuszczalną. Potem usiadłam przy oknie w kuchni i po prostu przyglądałam się drzewom, na których gałęziach przymocowano suto zaopatrzone karmniki. Widok ten przypomniiał mi o domu Maurycego, białym podwórku z zaspami po pas i częściowo zamarzniętym potoku, który zawsze, gdy przechodziłam przez drewniany mostek, zatrzymywał mnie dźwięcznym szemraniem. W tej chwili obraz ten, jak i wszystko, co związane z Bukową Górą, wydawało mi się bardzo odległe. Dotarło do mnie, jak niewiele trzeba, by zmienić optykę. Ten sam świat widziany chwilę później możemy odbierać jako całkiem obce miejsce. Teraz, co zrozumiałe, moją głowę zaprzętały zupełnie inne sprawy. Widok chorego ojca wrył się pod powiekami, stając się najważniejszym. Bezradność, jaką odczuwałam i z którą nie mogłam sobie poradzić, raniła mnie do żywego. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że za jakiś czas taty może już nie być. To mieszkanie, które dopiero poznawałam, w jakimś sensie stanowiło dla mnie łącznik z nim i naszym dawnym wspólnym życiem. Nie wiem, na jak długo przepadłam w stanie zadumy, kiedy nieoczekiwanie usłyszałam sygnał komórki. Niechętnie wstałam i poczłapałam do pokoju. Zanim sięgnęłam po telefon, poczułam zaciskającą się na sercu obręcz strachu. „A co, jeśli to... Jeśli dzwonią z hospicjum?”. Przez kilka sekund bałam się spojrzeć na wyświetlacz i odebrałam niemal w ostatniej chwili.

– Halo – rzekłam beznamiętnym, zmęczonym głosem.

– Cześć – rzucił wesoło Bartosz. – Czy ty masz zamiar dotrzeć dziś na nasze spotkanie?

– Ja... – Spojrzałam na zegar i dopiero teraz dotarło do mnie, że przecież byłam dziś umówiona z Bartoszem w jednej z knajpek na Kazimierzu. – Przepraszam, ale nie przyjadę.

– Stało się coś? – spytał kolega, bo najpewniej wyczytał to z mojego głosu.

– Jestem w Bydgoszczy – wyjaśniłam, ale nie miałam na tyle siły, by się zmierzyć ze szczegółami mojej nagłej podróży.

– Wyjechałaś... Dlaczego?

– Długo by o tym mówić. – Westchnęłam. W końcu doszłam do wniosku, że powinnam wytłumaczyć mu tę sytuację. – Ten ostatni list od mojego taty... Dowiedziałam się, że on... że jest ciężko chory.

Przez chwilę w słuchawce zaległa cisza.

– Mógłbym ci jakoś pomóc? – spytał. – Może do ciebie przyjadę?

– Nie – odparłam, choć jego słowa mnie rozczuliły. Wiedziałam, że Bartosz nie rzucił ich na wiatr, lecz naprawdę chciał być ze mną, by mnie wesprzeć. – Daję sobie radę.

– Długo zamierzasz tam zostać?

– Nie wiem – odparłam bezradnie, bo pytanie uświadomiło mi, że nie mam zupełnie żadnych planów na najbliższą przyszłość. Teraz było dla mnie najważniejsze, by jak najczęściej być przy tacie. Jeśli tylko pozwoli na to stan jego zdrowia, odwiedzać go i cieszyć się wspólnymi, choćby i krótkimi chwilami. Nasycić się nim do woli. Wynagrodzić sobie jego obecnością wszystkie te samotne lata, kiedy myślałam, że jestem mu obojętna. Ani jedno z nas nie odważyło się wcześniej wykonać wobec drugiego pojednawczego gestu i teraz w pośpiechu, lecz świadoma tego wyjątkowo cennego czasu, starałam się to nadrobić.

– Bardzo, bardzo mi przykro. Nie pomyślałbym... To znaczy, gdy ostatnio rozmawialiśmy o tych listach, sądziłem raczej, że twój tata

w ostatnim z nich będzie miał dla ciebie jakąś dobrą niespodziankę.

Nie odezwałam się, bo znów ogarnęło mnie rozżalenie. Jeszcze niedawno i ja myślałam, że na koniec tej osobliwej korespondencji dowiem się o tacie czegoś miłego. Nie wpadłabym na to, że przygotował dla mnie tak szokującą informację.

– Przepraszam, niepotrzebnie chlapnąłem... – rzekł Bartosz, zorientowawszy się, że niechcący sprawił mi przykrość.

– Nie przepraszaj. Ta wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba i pewnie musi minąć trochę czasu, zanim to wszystko oswoję – wyjaśniłam.

W tym samym momencie usłyszałam sygnał domofonu, co stanowiło doskonały pretekst do zakończenia rozmowy. Bartosz był mi bliski, ale dziś nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. Już to, że musiałam wyjaśnić mu, dlaczego tak nagle wyjechałam z Bukowej Góry, okazało się dla mnie niemal ponad siły. Pożegnaliśmy się i odłożywszy komórkę, popędziłam do przedpokoju. Zanim jednak zdążyłam podnieść słuchawkę domofonu, ktoś pukał już do drzwi. Wyjrzałam przez judasza i zobaczyłam panią Wiesię.

– Dzień dobry. – Gdy otworzyłam drzwi, weszła do środka zdecydowanym krokiem. – Widziałam, jak szliście tu wcześniej ze Zdzińskiem, i pomyślałam, że przyniosę ci obiad.

– Dziękuję, ale naprawdę nie trzeba... – Wzięłam od kobiety pakunek i wyjaśniłam: – Miałam przyjść później do pani.

– Pierogi z serem. Zjedz, póki ciepłe, nie będziesz musiała odgrzewać. – Pani Wiesia spojrzała znacząco na trzymaną przeze mnie siatkę.

Zaprosiłam ją, żeby usiadła, ale odmówiła, twierdząc, że nie chce mi przeszkadzać. Byłam jej wdzięczna za to wyczucie. Zapytała jedynie, czy odwiedziłam tatę, a kiedy potwierdziłam ruchem głowy, okazała się na tyle taktowana, by nie zadawać kolejnych pytań. Myślałam, że dziś raczej nic

już nie przełknę, ale o dziwo, z apetytem zjadłam bezkonkurencyjne danie pani Wiesi.

Kilka minut po szesnastej stwierdziłam, że wypadałoby odwiedzić najbliższe delikatesy i zaopatrzyć lodówkę. Ubrałam się, wzięłam jedną z zawieszonych na haczyku w kuchni ekologicznych toreb i wyszłam z mieszkania. Tutaj też ulice migotały świątecznymi ozdobami, nic dziwnego, skoro za dwa dni miała być Wigilia. Idąc niespiesznie przez osiedle i patrząc na rozjaśnione światłem lamp okna, zatęskniłam za spokojem i urokiem Bukowej Góry. Tam nawet niebo wydawało się inne, atramentowe, z nisko zawieszonymi nań gwiazdami, których blask mógłby śmiało konkurować z lśnieniem atrakcyjnych bożonarodzeniowych dekoracji.

Włóczyłam się tak koło godziny i dopiero gdy zmarzłam, weszłam do sklepu i zrobiłam zakupy. W drodze powrotnej przeparkowałam też samochód bliżej mieszkania taty. Obawiałam się, że po dniu wrażeń, w dodatku na nowym miejscu, trudno będzie mi zmrużyć oko, tymczasem zasnęłam zadziwiająco szybko. To była dziwna noc, bez snów, nie nękały mnie też żadne przemyślenia. Niestety poranek zaatakował lękiem przed tym, co niebawem mogło nadejść. Szybko się ubrałam i wypiwszy herbatę, już stałam przed drzwiami, gotowa, by jechać do taty. Oczywiście, tak jak to uzgodniłam, najpierw miałam zadzwonić i się upewnić, czy dzisiaj moja wizyta będzie możliwa. Wczoraj stan taty podobno przedstawiał się zadziwiająco dobrze, ale z relacji pielęgniarki wiedziałam, że takie dni nie zdarzają się często. Drżącą ręką wybrałam znany mi już od wczoraj numer telefonu, którego widok budził we mnie uczucie strachu. Odetchnęłam na wieść, że mogę przyjechać. Że zyskałam kolejny dzień, by zobaczyć się z tatą. By się nim nacieszyć.

Dziś też wchodziłam do hospicjum pełna lęku i różnych skrajnych emocji, ale widok taty wpatrującego się wyczekująco w drzwi sprawił, że z miejsca wstąpiła we mnie otucha. Tak jak wczoraj, usiadłam bardzo blisko niego, a kiedy chwyciliśmy się za ręce, znów zaczęłam opowieść. Tata wydawał się wręcz nienasycony w słuchaniu, co chwilę o coś dopytywał albo chciał poznać więcej szczegółów. Sprawiał wrażenie spokojnego i skupionego.

Niestety moja dzisiejsza wizyta nie przebiegła tak dobrze jak wczoraj. Tata nagle źle się poczuł i w pewnej chwili zupełnie straciłam z nim kontakt. Stałam w drzwiach, zakrywając dłonią usta, by nie wybuchnąć szlochem, gdy pielęgniarka aplikowała mu lek mający uśmierzyć ból. Kiedy kobieta wychodziła, wspierająco dotknęła mojego ramienia.

– Może potrzebuje pani leku na uspokojenie? – spytała, patrząc na mnie ze współczuciem. – Nie musi być pani silna. To, co pani przeżywa, jest naprawdę bardzo trudne.

– Nie, dziękuję. Radzę sobie – odparłam, zmuszając się do bladego uśmiechu.

Tymczasem zupełnie sobie nie radziłam i gdy tylko wpadłam do auta, rozpłakałam się jak dziecko. Nie byłam gotowa na ten widok, na cierpienie i odejście ukochanej osoby. Zapamiętałam tatę zdrowego, silnego i radosnego, ale ten wizerunek skruszał. Nie pasował do taty, którego odzyskałam po latach. Pojechałam znów nad Wisłę, gdzie wałęsałam się jeszcze dłużej niż wczoraj. Potem, gdy niemal skostniałam z zimna, wróciłam do samochodu i ruszyłam w stronę centrum. Samochód zostawiłam na jednym z parkingów, sama zaś bez celu chodziłam ulicami miasta. Tutaj też wszystko wokół krzyczało w radosnym uniesieniu, że święta tuż-tuż. Na koniec przysiadłam w restauracji i zamówiwszy danie

dnia, próbowałam zmusić się do jedzenia. Niestety daleko mu było do potraw pani Wiesi, dlatego niemal go nie ruszyłam.

Kiedy wreszcie dotarłam do mieszkania, dochodziła siedemnasta. Wzięłam prysznic, przebrałam się w piżamę i licząc na to, że natrafię na jakiś interesujący program, włączyłam telewizor i zaczęłam przerzucać kanały. Jedyne, czego teraz potrzebowałam, to chwili zapomnienia. Czegoś, co choć na pewien czas oderwie mnie od nurtujących myśli. Nie znalazłam tam jednak tego, a głośne reklamy jeszcze bardziej mnie rozstroiły. Nagle spojrzałam na telefon. Poczułam przemożną chęć, by podzielić się z kimś moimi problemami. Wiedziałam, do kogo chcę zadzwonić. Bez wahania wybrałam numer, który znałam już na pamięć, i czekałam, aż usłyszę znajomy głos.

– Sonia, kochanie, jak się czujesz? – spytała z troską Rozalia.

– No właśnie niespecjalnie... – wyszeptałam. Wczoraj zadzwoniłam do Rozalii, ale tylko po to, by jej przekazać, że dotarłam na miejsce i widziałam się z tatą. Nie miałam siły, by wchodzić w szczegóły, a ona nie dopytywała, tylko życzyła mi dużo siły i zostawiła otwartą furtkę, bym w każdej chwili, gdy zajdzie taka potrzeba, mogła się z nią skontaktować.

– Pani Rozalio, ja... kompletnie sobie z tym nie radzę. Najgorszy jest lęk, że lada chwila może go tutaj nie być. Tak bardzo się boję... – Załkałam.

– Kochanie, nie ma takich słów, które mogłyby cię pocieszyć. Tylko ty wiesz, co czujesz i z jak ogromnym bólem musisz się mierzyć. Ale wierzę, że sobie poradzisz, bo zawsze byłaś dzielna... – rzekła ostrożnie Rozalia.

– Tata też tak mówił – zauważyłam.

– Bo to prawda. Nie raz udowodniłaś sobie w życiu, że potrafisz sprostać każdej sytuacji.

– Najpierw odeszła mama, a teraz gaśnie on. Nie pomyślałabym, że stracę ich tak wcześnie. Tym bardziej teraz, gdy znów się z nim spotkałam i między nami mogłoby być dobrze.

– Soniu, najważniejsze, że dostałaś szansę, byście się jeszcze mogli zobaczyć, porozmawiać ze sobą i wiele sobie wyjaśnić. Pomyśl, gdybyś kiedyś przez przypadek się dowiedziała, że tata zmarł, a tobie pozostałby ten cały żal, smutek i mnóstwo oskarżeń w stosunku do niego. Pewnie byłoby ci wtedy niełatwo i rozmyślałabyś o tym, że straciłaś szansę, by się z nim pożegnać.

– Ma pani rację, tylko że jest mi tak strasznie ciężko. Trudno mi to zaakceptować, zrozumieć. Wciąż się zastanawiam, czy gdybym to ja odezwała się do niego wcześniej, tej sytuacji można by było uniknąć.

– Skarbie, nieznane są nam wyroki boskie – rzekła Rozalia. – Moja droga, nawet jeśli bardzo chciałabyś pomóc tacie, niestety nie masz na to wpływu.

Czas na rozmowie z Rozalią upływał bardzo szybko. Wreszcie mogłam wyrzucić z siebie to, co naprawdę czuję. A na dodatek mądre, pełne otuchy słowa starszej pani przyniosły mi ukojenie.

Rozmawiałyśmy już z kwadrans, gdy Rozalia nagle zamilkła. Po chwili odezwała się z pewnym ożywieniem.

– Kochanie, mam pewien pomysł, tylko nie wiem, co ty na to... – rzekła enigmatycznie, lecz zaraz przeszła do dalszych wyjaśnień. – Wiem, co zawsze poprawiało ci humor. Pomyślałam sobie, że może dzisiejszego wieczoru chciałabyś posłuchać dalszej, właściwie to ostatniej części opowieści o Złotym Sercu.

– Ale jak... – Nie zdążyłam dokończyć, ponieważ Rozalia zaraz weszła mi w słowo.

– Już zamknęliśmy kawiarnię, ale jeszcze siedzę na zapleczu. Zaraz jednak się stąd zbieram i kiedy dotrę do mieszkania, usiądę spokojnie, a wtedy możemy się przenieść do dawnej Bukowej Góry.

– Byłoby cudownie. – Ucieszyłam się.

– Więc umówmy się, że teraz się rozłączymy i zadzwonię do ciebie za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Może być?

– Oczywiście – zapewniłam skwapliwie, a potem, gdy odłożyłam telefon, czekałam niecierpliwie, kiedy znów usłyszę Rozalię.

W tym czasie zrobiłam sobie herbatę i wyjęłam z szafy pled, bym w razie czego mogła się nim nakryć. Umościłam się też wygodnie na sofie i zasunęłam zasłony, żeby nie rozpraszały mnie światła ulicy. Miałam nadzieję, że przynajmniej na te kilka chwil czas znów spowolni, a ja, jak za każdym razem, gdy słuchałam opowieści Witkowskich, uwierzę, że niezależnie od tego, co mnie jeszcze spotka, i tak wyjdę z tego obronną ręką.

Opowieść Rozalii



Sabina nie mogła uwierzyć, że już za parę godzin wreszcie zostanie żoną Marcina, a tym samym spełni się jej największe marzenie. Tylko tego brakowało jej teraz do szczęścia. Zarówno ona, jak i jej wybranek nie byli już w stanie się powstrzymać od okazywania sobie czułości, a niestety pod czujnym okiem rodziców trudno było pozwolić sobie na wiele. Zresztą dziewczyna pilnowała się, by Marcin nie uznał jej za zbyt swawolną. Z coraz większym oporem przychodziło jej jednak odrzucać dotyk rąk upragnionego mężczyzny, a przed zaśnięciem nie rozmyślać o pocałunkach, które coraz mocniej rozpalały jej ciało.

Dziś wreszcie te męki się skończą i lada chwila zaczną z Marcinem wspólne życie. Cieszyło ją to niezmiernie, ale trochę się obawiała tak wielkich zmian. Przyzwyczajona do skromnych warunków wiejskiej chaty, nie wiedziała, czy uda jej się odnaleźć w nowym świecie. Czy dobrze będzie się czuła, mieszkając w kamienicy? Czy podoła spełnieniu pokładanych w niej nadziei i będzie potrafiła zarządzać cukiernią? Gdy się dowiedziała, że stary Aron Rosenberg podarował Marcinowi lokal, myślała, że złapała Pana Boga za nogi. Sądziła, że takie niespodzianki raczej nie przydarzają się nikomu, i skłonna była nawet uwierzyć w magiczne moce kamienia, który jej ukochany uważał za szczególny. Potem, przy spotkaniu u notariusza okazało się, że wdzięczny Żyd przeznaczył dla młodych

jeszcze swoje mieszkanie, z którego lada moment miał się wyprowadzić. Sabina fruwała ze szczęścia. Wszystko wydawało jej się bajką. Z czasem zaczęła odczuwać lęk przed tą nową, wydawałoby się, piękną przyszłością. Teraz wciąż jeszcze była pod znajomą, bezpieczną strzechą rodziców, gdzie znała każdy kąt i wiedziała, co może ją spotkać. Rodzice, a do niedawna także świętej pamięci babula Aniela, zawsze stanowili jej opokę. Mogła popełniać błędy, bo w rodzinnej chacie większość uchodziła jej na sucho. Teraz wszystko miało wyglądać inaczej i Sabinę przerażały te zmiany.

Skarciła się w duchu za niepotrzebne frasunki, bo zamiast cieszyć się ostatnimi chwilami w rodzinnym domu, ona się zamartwiała. Niebawem pewnie nadejdą dziewczęta, żeby uszykować ją do tego najpiękniejszego dnia, by wyglądała jak prawdziwa dama.

Marcin obiecał jej, że zrobi wszystko, by niczego nigdy jej nie zabrakło, i zapewnił, że będzie z nim szczęśliwa. Kiedy wczoraj widzieli się po raz ostatni, w swojej śmiałości posunął się nawet do tego, by przyrzec, że przy nim Sabinę czekać będzie iście królewskie życie. Niepotrzebnie więc szukała dziury w całym, bo niejeden poszedłby do bram piekła i chciał przekupić samego diabła, by otrzymać od losu tak hojny podarek.

Dziewczyna przeżywała też czekającą ją ceremonię. Wiedziała, jak wyglądają weselne obrzędy, które dotychczas, gdy obserwowała wszystko jedynie z boku, wydawały się miłą zabawą. Teraz obawiała się być w centrum uwagi. Nigdy nie brakowało jej śmiałości, ale dziś, jak na złość, zżerała ją trema. Na szczęście druhenom wnet udało się ją rozweselić.

Nie miała zbyt dużo czasu na niepotrzebne roztrząsanie. Cysia bardzo ostrożnie, niemal z namaszczeniem, podała przyjaciółce piękną suknię z prawdziwego atłasu, którą dla panny młodej uszyła ceniona krawcowa z Bukowej Góry. Wiejskie dziewczęta zwykle wdziewały skromne, często nawet podniszczone sukieneczyny, jakie zazwyczaj przyszło im otrzymać od

którejś mężatki z rodziny. Suknia Sabiny była nowa, a na dodatek przepiękna. Skromna i delikatna, ale przez wyszywany połyskliwymi koralikami dekolt – niepowtarzalna.

We wsi raczej niełatwo było znaleźć dziewczęta, od których Sabiny nie oddalały wzajemne animozje, więc sądziła, że gdy przyjdzie co do czego, z trudem przyjdzie jej wybrać drużny. Tymczasem one same się znalazły. Cysia stała się jej powiernicą już kilka miesięcy temu i od tamtej pory często jedna zwierzała się drugiej. Wyjaśniły sobie wcześniejsze nieporozumienia, a wówczas rozkwitła między nimi prawdziwa przyjaźń. Marcin za to zaprzyjaźnił się z Wacławem, który w ostatnim czasie stał się mu się bliski niczym brat. Oprócz Cysi drużnymi były dziewczęta z bliskiego sąsiedztwa: Marcysia Milakówna i Elizka Sokolnikówna. Do tego zacnego grona dołączyły również: młodsza siostra Śmigła, Lucynka, która na jesieni miała wejść w pełnoletność, oraz Izabela Sołek, córka krawcowej, która szykowała Sabinie ślubny strój. Dziewczęta poznały się przez przypadek i zadziwiająco szybko do siebie przyłgnęły. Tak więc teraz wszystkie w dobrych humorach, rozchichotane, podeszły do Sabiny, a Cysia rozplotła jej piękne warkocze i jąła czesać pszeniczne pasma.

– Tak mi szkoda mojego warkocza – uzalała się Sabina, czując na głowie pociągnięcia drewnianego grzebienia.

– I tak długo się w nim nachodziłaś. Wszyscy kawalerowie ze wsi zawsze go podziwiali – rzekła Marcysia. – Sabinko, tobie we wszystkim ładnie, nauczysz się inaczej upinać włosy.

Sabina westchnęła, ale cóż miała począć, skoro warkocze przeznaczone były jedynie dla pańienek. Jeszcze do niej nie docierało, że rychło stanie się mężatką, a w związku z tym czekać ją będzie wiele zmian. Teraz nawet myśl, że nigdy więcej nie uplecie ulubionego warkocza, wydawała się niezrozumiała i głupia.

Dziewczęta nie dały się Sabinie frasować. Piękne pasma zostały szybko upięte zwinnymi dłońmi Izabeli, która miała do tego dryg. Dziewczynie się marzyło, by kiedyś pracować w prawdziwym salonie fryzjerskim. Czytała o takim w jednym z czasopism, które zostawiła pewna klientka u jej matki. Przychodziły tam podobno wielkie damy i prawdziwe modnisie. A fryzjerzy, kierując się nowinkami ze świata mody, potrafili przepięknie upiąć włosy. Izabela stanęła w pełni na wysokości zadania, bo główkę przyszłej panny młodej ozdabiały miękkie fale upięte z tyłu głowy w taki sposób, by ładnie układał się na nich welon przymocowany do mirtowego wianuszka. Przód fryzury z przedziałkiem pośrodku pozostawał gładko zaczesany, tym samym podkreślając delikatną urodę dziewczyny. A kiedy Sabina wdziała jeszcze suknię, wyglądała tak olśniewająco, że druhny aż zapiszczały z zachwytu. Kiedy z pewnym onieśmieleniem i zachwytem przyszła panna młoda przyglądała się potem swojemu odbiciu w lustrze, zawołała na nią Marcysia:

– A chodźże tu, Sabinko, bo pewnie rychło młody nadjedzie z druźbami, a czas nagli. Usiądźże tu. – Pokazała na dzieżę nakrytą kozuchem, którą do małej izdebki, gdzie szykowałą się córka, specjalnie na tę okazję przyniósł Władysław.

Dziewczyna odeszła od lustra i spoczęła na wskazanym miejscu. Nie wierzyła w te wiejskie przesady i zwyczaje, ale dzisiaj była tak podekscytowana i szczęśliwa, że nie chciała nikomu psuć zabawy. Właśnie tak to potraktowała – jak zabawę. A jeśli rzeczywiście siedzenie na wyścielonej baranim futrem dzieży miałoby jej w przyszłości zapewnić bogactwo i obfitość, nie zaszkodzi, gdy przez chwilę na niej przycupnie. Nie było zresztą czasu, by marudzić, bo zaraz wokół zrobiło się gwarno. Wyglądało na to, że przybył Marcin z druźbami, bo z zewnątrz niósł się śmiech i śpiewy. Dziwna była sytuacja w chałupie Skowrońskich, bo

przyszły zięć, sierota, mieszkał już z nimi. Żeby jednak zwyczajowi stało się zadość, wczoraj Marcina odprawiono do kamienicy w Bukowej Górze. Sam Aron przyjął na siebie rolę opiekuna chłopaka i na poważnie wziął sobie do serca, by na ile podoła, włączyć się w wiejską zabawę. W młodszym wieku lubił poswawolić i nie wylewał za kołnierz, ale wraz z dojrzałością odeszły dawne upodobania i teraz starzec z sentymentem przyglądał się młodym, którzy cieszyli się z przynależnych im przywilejów.

Nie było już czasu na rozmyślanie, czy tradycje, jakim od dawien dawna hołowali nie tylko bliscy Sabiny, ale też wszyscy mieszkańcy wioski, mogą mieć wpływ na jej nowe życie, bo dziewczyna zaraz została wciągnięta w ich wir. Do chaty wreszcie udało się wtargnąć drużbom i młodemu. Drużki jęły śpiewać pożegnalną pieśń i Sabinę ogarnęło rozrzewienie. Ponad ten dźwięczny, wzruszający śpiew najbardziej przebijał się krystaliczny głos Cysi. Słowa starej piosnki o tym, że Sabinie zaraz przyjdzie się pożegnać z mateczką, ojcem, domem, obejściem, sąsiadami, a nawet ze znajomą ścieżyną, gdzie beztriosko biegała na pola, wyciskały z jej oczu łzy. Ze wszystkich sił starała się nie rozplakać, ale jedno spojrzenie na stojącego nieopodal Marcina upewniło ją, że i on jest wzruszony. A przecież oboje powinni się radować. Potem nie było łatwiej, kiedy ona i jej przyszły mąż klęknęli przy stole, a matka i ojciec pobłogosławili ich na nową drogę życia, wykonując nad głową każdego z nich znak krzyża. Pośród śpiewów wyszli rychło z chałupy, by jechać do kościoła, a każde ulokowało się na innym wozie. Na przodzie zasiedli drużbowie, potem Sabina w otoczeniu kawalerów, za nią Marcin, któremu towarzyszyły drużny, a dalej muzykanci, którzy już ochoczo przygrywali. Ostatni wóz zajęła rodzina i sąsiedzi. Wesoły orszak ruszył szybko, lecz zanim dotarł na kościelną górę, musiał po drodze przebrnąć przez kilka bram. Wtedy w ruch szły gorzałka i słodkości, by wykupić młodych.

Proboszcz Jelonek podczas mszy świętej wspiął się na wyżyny swojej elokwencji. W trakcie kazania powiedział tak, że niejeden rozdziawiał gębę w zadziwieniu, skąd w duchownym objawiło się nagle tyle mądrości. To nabożeństwo miało przejść do historii, nigdy później bowiem nie udało się słudze bukowskiego kościoła wzbudzić u wiernych takiego uznania. Po mszy młodzi, rodzina i goście wrócili wspólnie do domu. A tam przed progiem chlebem i solą powitali ich Skowrońscy.

Sabina, odkąd wyszła z kościoła, czuła, że opadła z niej nagromadzona od wczoraj nerwowość. Teraz pośród rodziny i weselnych gości mogła się wreszcie naprawdę radować. Na szczęście pogoda dopisała, był ciepły, słoneczny czerwcowy dzień i wszyscy ochoczo rozsiedli się przy porozstawianych przed chałupą i w sadzie stołach, na których kusily same specjały: pieczone mięsa, kiełbasy i zimnica. Chociaż początkowo Skowrońscy nie chcieli na to przystać, Aron dopilnował, by na weselnej uczcie znalazły się wyborne ciasta z cukierni, która oficjalnie należała już do Marcina i jego żony.

Przy wtórze okolicznych muzykantów, z krótkimi przerwami na sen, zabawa trwała przez kilka dni. Sprzyjały temu ciepłe noce i niespożyta wesołość biesiadników. Bo i świętować było co. Niemniej wiadomo, że wszystko, co dobre, szybko się kończy, i należało wreszcie wrócić do rzeczywistości.

Sabina cieszyła się na myśl o nowym życiu z mężem, ale smutno było jej się rozstać z domem. O ile wcześniej jedynie o tym myślała, teraz nadszedł czas nieuchronnego rozstania. Niebawem nadjechać miał Marcin, by zabrać ją do Bukowej Góry. Dziewczyna spojrzała na stojący w izbie malowany w letnie kwiaty duży kufer z jej wianem. Znalazły się w nim nie tylko pierzyna i poduszki wypchane pierzem, które Sabina nieco niechętnie musiała drzeć w czasie długich jesienno-zimowych wieczorów, ale też

bieżniki, serwetki i pościele z misternym haftem, wydziergane jeszcze przez świętej pamięci babcię Anielę. A poza tym cała masa drobiazgów, mogących przydać się w domu.

Sabina usiadła na ławie i z nostalgią rozejrzała się po znajomym wnętrzu. Wnet do izby weszła Teresa. Jej też nie było do śmiechu, dlatego by zbyt nie roztkliwiać, od samiotkiego rana wynajdowała sobie robotę.

Jedyna córuchna wychodziła teraz z chałupy. Każdy niby wiedział, że kiedyś do tego dojdzie, ale nikt nie lubi pożegnań. Zwłaszcza jeśli trzeba się rozstać z kimś bardzo bliskim. Po śmierci Anieli w domu zrobiło się pusto i nijak nie dało się tego wypełnić. A dziś Sabinka miała odejść stąd wraz ze swoją radością i entuzjazmem. Teresa pomyślała, że teraz przyjdzie im żyć tutaj samotnie z Władysławem.

– Coś taka markotna, córuś? – Mimo że od rana unikała tematu, w końcu postanowiła pomówić o tym z Sabiną. Obie już od świtu snuły się po chałupie i obejściu niczym dusze pokutne.

– Ech, nic... – Sabina uśmiechnęła się niemrawo, a kiedy matula usiadła obok, nagle do niej przyłgnęła. – Tak mi smutno, mateńko, od was odchodzić. – Załkała, wreszcie uwalniając z siebie żal.

– I nam smutno, Sabinko. Będzie nam ciebie bardzo brakowało, ale nie odchodzisz daleko. Kiedy ci się za nami zacni, od razu możesz do nas przybiec. Tutaj zawsze będzie twój dom. A z Marcinem czeka cię dobre, szczęśliwe życie – powiedziała Skowrońska, starając się, by jej głos brzmiał pewnie, a jednocześnie miękko. Nie chciała się przy córce rozrzewniać, zależało jej, by Sabinie dodać otuchy.

– Wiem, wiem... – Sabina jeszcze mocniej przytuliła się do mamy. – Było mi u was jak u Pana Boga za piecem, nigdy mi niczego nie zabrakło.

Mieliście wiele pobrażania dla moich częstych psot i nigdy od was złego słowa nie usłyszałam. A tatulek ani razu nie podniósł na mnie ręki.

– Jakże by miał na swoje dziecię rękę podnosić? – oburzyła się Teresa.
– Tyś nasza, długo wyczekana i ukochana. Oczko w głowie Władysława.

– Oj, mateńko, czasem chciałabym, by wróciły dawniejsze czasy. Bym znów miała kilka lat i żeby była z nami ukochana babunia. Tylko że wtedy nie znałam jeszcze Marcina...

– A widzisz. – Teresa zdjęła z policzka Sabiny kosmyk włosów, który wymknął jej się z upięcia. Przyzwyczajona do zaplatania warkocza dziewczyna nie nauczyła się jeszcze z wprawą układać nowej fryzury.

– Taka to kolej rzeczy, córuś. Ja też się troskałam, gdy przyszło mi się rozstać z rodzicami. Ale ani się obejrzysz, a już pocieszysz się nowymi powinnościami i zapomnisz o starych. Poza tym, jak dobry Bóg da, pewnie rychło pojawią się u was dziateczki.

Po słowach matuli Sabina się zarumieniła. Miała już za sobą pierwszą wspólną noc z Marcinem. Podejrzewała, że z czasem to minie, ale na razie krępowała się mówić o takich sprawach z matką. Gdy jakoś zaraz po zrękowinach Teresa próbowała z nią o tym porozmawiać, dziewczyna czuła się wyjątkowo zawstydzona. Wolała, kiedy rodzicielka ocierała jej łzy, czy nawet ją strofowała, a nie pouczała, co robić z mężem w noc poślubną. O tym mogła pogwarzyć z Cysią, a nawet Izabelą, ale z mamą milej było mówić o czymś innym.

– Pewnie tak będzie – rzekła Sabina i odruchowo skierowała wzrok na drzwi, bo do jej uszu z zewnątrz dobiegły męskie głosy. Domyśliła się, że to Marcin z Wacławem do pomocy przybyli, by przewieźć rzeczy Sabiny i ją samą do nowego mieszkania. Słyszając to, dziewczyna niecierpliwie się pokręciła, po czym wstała i podeszła do okna. – Są już, nadjechali – oznajmiła, gdy ujrzała zmierzającego ścieżką męża i jego przyjaciela.

– Pora ci się zbierać, córciu. – Teresa zbliżyła się do dziewczyny i objęła ją wspierająco. – Nie dajmy czekać panu Rosenbergowi. Wielka to uprzejmość z jego strony, że użyczył swojego samochodu.

Na twarzy Sabiny pojawił się blady uśmiech.

– Tak, pora na mnie – rzekła lekko drżącym głosem.

Już wcześniej pobiegła nad jezioro i na łąki, by się pożegnać z ulubionymi miejscami. Pożegnała się też z domem i rodzicami. Teraz wypadało ruszyć wreszcie w objęcia nowego życia.



Trzymając w rękach dwie wydziergane serwetki, Sabina już od dwudziestu minut przechadzała się po mieszkaniu i nie mogła zdecydować się, gdzie je położyć. Gdziekolwiek je przymierzyła, wyglądały pięknie. I na biedermeierowskim kredensie, i na komódce z rzeźbionymi kołatkami, i na okrągłym orzechowym stolczku przy kanapie w salonie. W kamienicy, którą dostali od Arona Rosenberga, mieszkali już od ponad dwóch tygodni, ale Sabina wciąż od nowa wpadała w zachwyt, przyglądając się eleganckim meblom, dywanom w piękne roślinne ornamenty, zasłonom z prawdziwej tafty i wszystkim drobiazgom, które stary Żyd, wyprowadzając się do Wrocławia, postanowił im pozostawić. Zabrał tylko trochę najdroższych mu sprzętów i rodzinne pamiątki. Cała reszta pozostała dla młodych państwa Hurników. Przez pierwsze dwa dni Sabina co chwilę podchodziła do kranu w łazience i odkręciwszy kurek, nie mogła się nadziwić takiemu wynalazkowi.

– Uszczypnijże mnie, Marcinie, bo mnie się zdaje, że trafiłam do jakiegoś rajku – powiedziała do męża, kiedy wieczorem po kąpieli w żeliwnej wannie na ozdobnie wygiętych nóżkach, przebrana w elegancką,

długą koszulę nocną, stała przed dużym lustrem i przyglądała się swojemu odbiciu. Wciąż wyglądała tak samo, ale świat wokół niej zupełnie się zmienił.

Marcin się nachylił i ucałował żonę, na kilka chwil zamykając ją w czułym objęciu. Zaraz potem udali się do sypialni, gdzie w dużym, wygodnym łóżku, wykonanym na specjalne zamówienie u znanego stolarza, oddawali się miłosnym igraszkom. Sabinie coraz bardziej podobały się małżeńskie powinności. Krótco po nocy poślubnej porzuciła nieśmiałość i teraz często nie mogła się doczekać momentu, aż wreszcie zostaną z Marcinem sami.

Błyskawicznie się przekonała o słuszności stwierdzenia, że do dobrego człowiek szybko się przyzwyczaja. Po kilku dniach mieszkania w tak komfortowych warunkach wychowanej w ubogiej chacie dziewczynie trudno było sobie wyobrazić, by teraz znów miała nosić wodę ze studni, obmywać się w misce i prać bieliznę na tarze. Do dyspozycji miała teraz nie tylko bieżącą wodę, ale też sprowadzoną z Ameryki pralkę, którą Aron podarował im w prezencie ślubnym. Stare gliniane kubki i talerze zastąpiła elegancka, biała zastawa, a proste bawełniane sukienki Sabiny – wymyślna garderoba. Właścicielce cukierni nie wypadało byle jak się ubierać, dlatego już na wstępie Marcin zadbał o to, by jego młoda żona godnie się nosiła. Marianna Sołek, matka Izabeli, wciąż miała przy młodej pani Hurnikowej pełne ręce roboty.

Zanim Aron Rosenberg na dobre wyprowadził się z Bukowej Góry, zadbał o to, by przedstawić młode małżeństwo znanej mu śmietance towarzyskiej. Na początku, gdy rozniosły się wieści o „szaleństwie” starego Żyda, większość mieszczan kręciła nosem na ten niedorzeczny pomysł. Mówili, że postradał zmysły, niejeden nawet skłonny był przyznać, że może to sprawka jakichś ciemnych mocy. Nie mieściło się w głowie, by dorobek

życia oddać w ręce zwykłego biedaka. Staruszek zaś dopiął swego i zapewnił młodemu protekcję. Nie wiadomo, jakich użył do tego sztuczek, ale w dość krótkim czasie zaakceptowano Hurników wśród okolicznej socjety. Oni sami nie czuli się dobrze na salonach, choć z racji swojej nowej pozycji społecznej byli tam coraz częściej zapraszani. Ale zarówno Sabina, jak i Marcin nie mieli też większego problemu, by przyjąć swoje nowe role. O ile Marcin początkowo nie mógł się odnaleźć w cukierni i wydawało mu się, że ma dwie lewe ręce, o tyle Sabina niemal od pierwszego dnia poczuła się tam jak ryba w wodzie. Zaraz też znalazła wspólny język z pracującą u Arona od dwudziestu lat piekarką i dwiema młodymi pomocnicami. Wydawało się, że młoda Hurnikowa była stworzona do tej pracy. Marcinowi jednak nie w pełni odpowiadało takie zajęcie. Byłby strasznym niewdzięcznikiem, gdyby choć raz się na to poskarżył, ale gdy patrzył na te wszystkie przepiękne, kunsztownie ozdobione i co najważniejsze, smaczne ciasta, czasami aż go mdliło od nadmiaru słodkości. Sabina podejrzewała, że mężowi nie sprawia radości ubijanie piany z białek, zarabianie ciasta czy finezyjne ozdabianie gotowych już wyrobów, lecz nie chciał się przed nią do tego przyznać.

W sobotnie popołudnie, kiedy zostali w cukierni sami, Sabina zastała go tuż obok, w pracowni, gdy z dziwną miną przechadzał się po pomieszczeniu.

– Czego ty tutaj szukasz, Marcinie? – Spojrzała na męża z zaciekawieniem.

– Aaa, bo tak się nad czymś zastanawiam. – Marcin skierował wzrok na swoje dłonie.

Dopiero teraz Sabina zauważyła, że coś w nich zaciskał.

– Co tam masz? – spytała i nie czekając na wyjaśnienia, podeszła bliżej. A kiedy Marcin rozwarł rękę, dojrzała nań znajomy złotawy kamień

w kształcie serca. – Co chcesz z nim zrobić? – spytała, nie kryjąc zdumienia.

– Pomyślałem, że powinienem go gdzieś tutaj schować. Wiele mu zawdzięczam... – rzekł z wyraźnym zawstydzeniem, jakby wciąż nie potrafił się przyznać do doświadczenia niezrozumiałego zjawiska. Lecz przecież wciąż dokładnie pamiętał to, co usłyszał od tajemniczej Marany. Nie musiał dawać wiary w te słowa, ale tak czy siak, przepowiednia się spełniła.

– To dobry pomysł. – Sabina od razu poparła męża i wnet spojrzała na miejsce, które według niej idealnie nadawało się na skrytkę. – Chyba wiem, gdzie moglibyśmy go ukryć. – Podeszła do stojącego w rogu pracowni starego, nieużywanego pieca z ładnymi oliwkowymi kaflami, kucnęła, otworzyła szabaśnik i zatrzymała na Marcinie wymowne spojrzenie. Kiedy mąż się do niej zbliżył, wstała i rzekła: – Pamiętasz tę historię o starym piecu, w którym babcia Arona wypiekała smaczne trójkątne ciasteczka z nadzieniem z pestek z moreli i makiem? Nasz dobrodziej mówił o nich „szczęśliwe hamantasze”, bo zawsze, kiedy je zajadał, dusza mu się radowała. Sam najbardziej lubił z czekoladą, ale takie były jedynie od święta.

– Jakżebym mógł o tym zapomnieć? – przyznał z uśmiechem Marcin. – Od tego wszystko się zaczęło. Babcia Arona, Miriam, miała upodobanie do pieczenia i za namową rodziny, najpierw skromnie, a z czasem w coraz większych ilościach, zaczęła sprzedawać swoje wyroby.

– O ile pamiętam, pan Aron mówił, że to szczęśliwy szabaśnik, i dał do zrozumienia, żebyśmy go należycie traktowali. Widziałam nieraz, jak patrzył na niego z tęsknym błyskiem w oku, pewnie wracał wtedy pamięcią do dzieciństwa – przypomniała sobie Sabina. – Dlatego myślę, że właśnie tu trzeba by schować kamień.

– Wspaniale, Sabinko. Zatem niech tak będzie – przytaknął z aprobatą Marcin, po czym włożył błyszczące niczym złoty brokat, niewielkie serce w drobne dłonie żony.

Wiedząc, jak wiele ten przedmiot znaczy dla męża, Sabina ujęła osobliwą pamiątkę delikatnie, a potem umieściła tam, gdzie zaplanowali.

– Wiesz... – W pewnym momencie Marcin spojrzał na żonę w taki sposób, jakby nagle doznał olśnienia. Przez dłuższą chwilę tylko tajemniczo się uśmiechał, aż zniecierpliwiona kobieta musiała przywołać go do rzeczywistości.

– No mówże, cóżeś wymyślił. – Złapała go za rękę i lekko potrząsnęła.

– Jeśli nasz dobrodziej nie będzie miał nic przeciwko temu, to pomyślałem sobie, że moglibyśmy nadać cukierni nazwę – oznajmił radośnie. – Co sądzisz o Złotym Sercu?

– Złote Serce – powiedziała z uśmiechem Sabina. – Pięknie.

Aron Rosenberg z miejsca poparł pomysł nowych właścicieli. Co więcej, sam zlecił wykucie misternego szyldu, który miałyby informować stałych bywalców cukierni o jej nowej nazwie. Wszyscy szybko zaakceptowali tę zmianę. Odtąd mówiono, że najlepsze wypieki są w Złotym Sercu. A największą popularnością cieszyły się hamantasze z czekoladowym nadzieniem i ciasta czekoladowe. W miasteczku szeptano, że młoda właścicielka ma dryg do pieczenia jak mało kto. Nikt nie wierzył w powodzenie interesu, kiedy stary Żyd przekazywał go w ręce biedaków, mimo to stała się rzecz dla wielu nie do uwierzenia. Kiedy cukiernią zajmowali się Marcin z Sabiną, nie tylko nie odeszli od nich stali klienci, ale w zadziwiająco szybkim tempie zaczęło przybywać też nowych. Interes rozkwitał. Poza tym, gdy nad drzwiami zawisł szyld ze znaczącą dla Marcina nazwą, w Hurnika wstąpiły nowe siły. Z dnia na dzień polubił swoje obecne zajęcie i wciąż zadziwiał świeżymi pomysłami. Razem

z Sabinaą świetnie się uzupełniali, a praca przynosiła im coraz większą satysfakcję.

Któregoś późnojesiennego popołudnia Sabina co chwilę podchodziła do witryny, wypatrując Marcina. Kiedy więc wrócił, pocierając poczerwieniałe z zimna dłonie, od razu do niego dopadła i ucałowała policzek.

– Od razu lepiej. – Mąż się uśmiechnął z błogą miną i nadstawił do całusa drugi policzek.

– A zaraz będzie ci jeszcze milej – rzekła Sabina z szelmowską miną i nie bacząc, że Marcin ledwo zdjął kaszkiet, a teraz próbował naprędce odpinać guziki wełnianego surduta, złapała go za rękę i pociągnęła na zaplecze. – Usiądź tu sobie – poleciła, pokazując na zydel przy stoliku, na którym piętrzyły się blachy.

Kiedy Marcin spoczął i sycił się przyjemnym ciepłem, Sabina podeszła do jednej z szafek pod ścianą i przez kilka minut się tam krzątała. Gdy później stanęła przed mężem, podała mu kubek z parującym napojem.

– Spróbuj – powiedziała z zadowoleniem, a potem z ciekawością czekała na reakcję Marcina.

– Ummm, pyszne – zamruczał z zadowoleniem Marcin. – A cóż to takiego?

– Czekolada – odparła coraz bardziej podekscytowana Sabina. – Gorąca i gęsta do picia.

– Pociągając ją, mam wrażenie, że trafiłem do nieba – zażartował mąż. – Jak na to wpadłaś i co tam jeszcze dołożyłaś? – spytał, bo oprócz czekoladowego smaku w napoju wyczuł też inne aromatyczne dodatki.

Sabina wyjaśniła mu, że najpierw zmieliła ziarno kakaowca i zagotowała je z wodą i mlekiem. Potem dodała gryczanego miodu, trochę imbiru, szczyptę pieprzu cayenne, a do tego pomarańczę i odrobinę rumu.

Marcin słuchał jej z zainteresowaniem, w wyjątkowo szybkim tempie opróżniając naczynie.

– Ech, Sabinko, teraz to się ode mnie nie odgonisz. Ciągle będę cię prosił o taką ambrozję. Toż to niebo w gębie... – Mlasnął z zadowoleniem.

– Nie będę musiała się od ciebie opędząć. Wiesz, co wymyśliłam? – Rzuciła wzrokiem na męża i nie czekając, aż odpowie, wyjaśniła: – Pomyśl no, skoro tobie smakuje ta czekolada, a i dziewczyny, jak im dałam do picia, wzdychały, że pychota, to pewnie i klientów zachwyci. Za pasem zima, każdy będzie chciał popróbować na rozgrzewkę. Sam żeś widział, jak szybko zrobiło ci się gorąco.

– To prawda. – Marcin przyciągnął Sabinę i posadził sobie na kolanach. – Moja żonka ma główkę nie od parady.

– Chodź. – Sabina wyrwała się z mężowskich objęć i chwyciwszy go za nadgarstek, pociągnęła, by wstał.

Licząc na jeszcze kilka całusów i przytulenie, Marcin zrobił to niechętnie. Lecz widząc zapal w oczach Sabinki, nie mógł przecież pozostać bierny. Poszedł za nią do głównego pomieszczenia cukierni. Poza stojącą za ladą Danusią akurat nie było tam nikogo więcej, Sabinka bez skrzępowania stanęła więc na środku i zaczęła snuć swoją wizję.

– Spójrz, Marcinie, ile tu miejsca, które możemy wykorzystać. Ja tu widzę stoliki z krzesłami jak w prawdziwej kawiarni. Klienci będą mogli się napić u nas gorącej czekolady albo kawy, a do tego oczywiście zjeść ciasto – mówiła rozplómięta.

Entuzjazm Sabiny okazał się zaraźliwy, bo i Marcin szybko go poczuł. Słuchał żony z uwagą, a ta miała tak wiele pomysłów, że gotów był od razu zacząć je wdrażać. Tak też zrobili. Nazajutrz z samego rana Marcin udał się do stolarza i zamówił siedem niedużych kwadratowych stolików. A do każdego z nich po cztery krzesła z ażurowymi oparciami. Rzemieślnik,

który miał wielki szacunek dla młodego Hurnika, obiecał, że zostawi rozpoczęte prace i od razu się zajmie nowym zleceniem. Marcin wspomniał bowiem, że bardzo zależy mu, by jak najszybciej otworzyć kawiarnianą część w cukierni. Oczywiście swój pomysł skonsultowali też z Aronem, wysyłając do niego depezę. Stary Żyd niejednokrotnie podkreślał, że nie muszą każdorazowo zdawać mu relacji ze swoich poczynąń w cukierni, bo interes należy teraz wyłącznie do nich i mogą robić wszystko według własnego uznania. Zresztą widząc duże sukcesy młodych Hurników, wzrost zysków i większą liczbę klientów, był dla nich pełen podziwu. W przeszłości, z pomocą różnych doradców, sam próbował rozwinąć swoją działalność, ale cukiernia wciąż prosperowała tak samo.

Sabina rzuciła się w wir przygotowań. Zamówili specjalne szklanki, więcej ziaren kakaowca i niezbędną maszynę do mielenia. Do tego mnóstwo dodatków, bo Sabina obmyśliła menu z wieloma smakami czekolad. Marcin zaś stwierdził, że skoro mają tyle ziaren kakaowca, mogą spróbować też wyrabiać tabliczki czekolady. W związku z tym odwiedził Tadzika, młodego snycerza z Łobieszowa. Pochodzący z wielodzietnej rodziny chłopak, którego z racji nieśmiałego usposobienia wielu uważało za niedorajdę, posiadał wielki talent. A umiał spożytkować go tak, by rodzinie zawsze skapnęło trochę grosza. Tadzik od najmłodszych lat strugał zmyślne figurki z drewna i różne drobiazgi potrzebne w domostwie: łyżki, nabieraki, miski, cedzaki i półeczki. Z byle kawałka drewna potrafił wyczarować prawdziwe cuda. Marcin zlecił młodemu artyście wykonanie kilku form na tabliczki czekolady. Kiedy rozmawiali, Hurnikowi przyszło jeszcze do głowy, by chłopak zrobił też inne foremki. Zaświtała mu bowiem myśl, by skomponować nadziewane pralinki.

Sabina czekała niecierpliwie, aż mąż wróci do domu i zda jej relację z przebiegu spotkania. A kiedy Marcin o wszystkim dokładnie jej

opowiedział, z radości aż klasnęła i zawirowała w tańcu przed mężem.

– Idealny pomysł, Marcinie. Widzę, jakiś szczęśliwy, gdy siedzisz w pracowni i robisz przy czekoladzie – rzuciła z pasją, bo w mig udzieliły jej się radość i entuzjazm męża. Odkąd przejęli cukiernię, każdego dnia nieustannie wymieniali się dobrymi emocjami. A kiedy mąż przywdziewał fartuch i wchodził do ostatniego pomieszczenia na zapleczu, zamieniał się w prawdziwego czarodzieja. Błyszczały mu oczy i wydawało się, jakby wkraczał do innego świata. Miał wówczas w sobie mnóstwo zapału, a pomysły na nowe wyroby spadały mu wręcz z nieba. Sabina nie mogła tego wszystkiego spamiętać, dlatego założyła specjalny gruby brulion, w którym zaczęła je zapisywać. Potem w wolnym czasie siadali z Marcinem przy stole i zastanawiali się, jak na tej podstawie stworzyć właściwą recepturę. W taki sposób powstawały przepisy na czekolady i różne smaki pralinek.

Tadzik migiem wywiązał się z powierzonego mu zadania i Humnikowie mogli szybko zacząć realizować swoje zamierzenia. Przez pierwsze dni wydawało się, że Marcin będzie nocował w pracowni. Z takim zapałem przystąpił do pracy, że nic nie mogło go stamtąd wyciągnąć. Zresztą Sabina też zostawała niemal do północy i razem z mężem zalewali czekoladową masą kolejne, mniejsze i większe, formy. Tym bardziej że zbliżały się święta, a nowe wyroby sprzedawały się na pniu. Z początkiem grudnia do Złotego Serca przywieziono stoliki i krzesła. W międzyczasie Sabina zamówiła u jednej z kobiet we wsi wykonanie ozdobnych obrusów z bożonarodzeniowymi motywami. Kawiarnia coraz bardziej nabierała wymarzonego kształtu. Młoda właścicielka miała idealne wyczucie i potrafiła udekorować niewielką przestrzeń tak, by stworzyć tam wyjątkowy klimat.

Pełni dobrych myśli Sabina i Marcin, inicjując swoje pomysły, raczej nie brali pod uwagę porażki, ale też nie przewidzieli tak wielkiego powodzenia całego przedsięwzięcia. Doszło do tego, że w krótkim czasie od stworzenia w cukierni kawiarnianego kącika trudno było tam o wolne miejsca. Hurnikowie chętnie powiększyliby przestrzeń i wstawili więcej stolików, ale nie pozwalał na to metraż. Pracownia wraz z pomieszczeniami gospodarczymi zajmowała dość małą powierzchnię i nie dało się z niej zrezygnować na rzecz głównej sali. Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem musieli nająć jeszcze dwie dodatkowe osoby do pomocy przy pakowaniu czekoladowych bombonierek i zamówionych prezentów.

Praca szła pełną parą, tylko czas upływał młodemu małżeństwu zbyt szybko. Niemal co dzień sypał śnieg, mróz malował na witrynie oryginalne wzorki, a Bukowa Góra w przedświątecznej scenerii wyglądała wręcz baśniowo, lecz Sabina i Marcin nie mieli zbyt wielu wolnych chwil, by spoglądać w stronę okna i podziwiać uroczy krajobraz. Przyświecał im jeden cel. Zajęci pracą myśleli tylko o tym, by sprawić radość klientom Złotego Serca.

Kiedy Sabina obudziła się w wigilijny poranek, w pierwszym odruchu wyswobodziła się z czułych objęć wciąż śpiącego męża, delikatnie odłożyła jego rękę na poduszkę i chciała pędzić do kawiarni. Dopiero po kilku sekundach, gdy usiadła i postawiła nogi na miękkim dywanie, dotarło do niej, jaki dziś dzień. Lecz to odkrycie zamiast ją uradować, zmartwiło. Przypomniało o tym, jak ważna dla niej i dla jej bliskich jest to data. Jak gorączkowo i z radością oczekiwała zawsze nadejścia Bożego Narodzenia. Już od Świętego Marcina po trochu wypatrywało się świąt. A po Świętej Łucji przygotowania zawsze szły pełną parą. Sabina zatrzymała tęskne spojrzenie na suto udrapowanej firanie, niestety całkiem zasłaniającej biały pejzaż za oknem. Tak jak w zeszłym roku Wigilię i kolejne dwa świąteczne

dni mieli spędzić u siebie, z mamą i tatą. Kucharka zobowiązała się, że pomoże przygotować Sabinie większość potraw, ale widząc, z jak wielkim ruchem młodzi muszą się mierzyć w ostatnim czasie, w domowym zaciszu upichciła dla nich wszystkie wilijne dania. W gruncie rzeczy powinno to Sabinę teraz radować. Skąd więc ten smutek?

– Dlaczego moja żonka już ode mnie uciekła? – Marcin ledwo otwarł oczy, już szukał obok ukochanej Sabinki. – Zostań jeszcze w łóżku. Gdzie ci tak spieszno? Przecież dziś Wilia.

– Wiem. – Sabina odwróciła się do męża, a potem na powrót wsunęła się pod ciepłą kołdrę i pozwoliła Marcinowi, by ją utulił.

– Co się stało, Sabinko? Mnie się zdaje, żeś jakaś strapiona. – Mąż spojrział na nią czule.

Długo nie odpowiadała, tylko wdychała kojący zapach Marcina, który zawsze ją uspokajał. W końcu uniosła głowę i zajrzała mu w oczy.

– Nie wiem czemu. – Uniosła bezradnie ramiona. – Przecież wszystko już gotowe, dom pięknie udekorowany, zaraz po południu mają nadjechać rodzice, a mnie jakoś markotnie.

– Mnie się zdaje, Sabinko, żeś przemęczona. Ostatnio zbyt wiele wzięłaś na swoje delikatne kobiece barki. To robota dla mężczyzny. Tyś powinna więcej odpoczywać w zaciszu domu, a nie harować jak wół w pracowni. Zbyt szybko chcieliśmy te nowe pomysły wdrożyć, a na to potrzeba więcej czasu – rzekł Marcin z przejęciem.

– Nie będę odpoczywać, jak w kawiarni tyle pracy! – oburzyła się Sabina. – Poza tym co ja niby miałabym tu sama robić? Sprzątać nie ma dla kogo i dzieciaczek wciąż się nie pojawia. – Smętnie zwiesiła głowę.

– Pojawi się we właściwej chwili, jak Bóg da – pocieszył Marcin żonę. Podejrzewał, że brak maleństwa gryzie Sabinę, ale nie mógł nic poradzić

na to, że chociaż bardzo się starali, jego wciąż nie było, mimo że od dnia ślubu minęły już ponad dwa lata.

– Oby, Marcinie, oby... – Sabina znów wtuliła się w męża, by ukryć cisnące się do oczu łzy. Nie spodziewała się, że tak szybko zacni jej się za małą istotką. Z coraz większą zazdrością spoglądała na odwiedzające kawiarnię matki z dziatczkami. Wiele by dała, by ona i Marcin mieli taką słodką córuchnę albo ślicznego chłopczyka. Niestety, dzieciątko się nie pojawiało i Sabina głównie w sobie dopatrywała się przyczyny braku potomstwa. Jej matula przecież też długo nie była w błogosławionym stanie i ponoć, gdy powiła Sabinę, straciła szansę na to, by mieć jeszcze kolejne maleństwo. W sypialni młodym układało się tak, jak powinno. Niemal każdego wieczoru Sabina z radością, miłością i wielką ochotą zdążała tam, by paść w ramiona męża. Jak widać, to nie wystarczyło.

Na szczęście obecność Marcina sprawiła, że Sabinie szybko minęły poranne smutki. A gdy jeszcze uświadomiła sobie, że w tak ważnym dniu nie wolno być markotnym – wszak wiadomo, że jaka Wilia, taki potem cały rok – uspokoila się i wzięła w garść. Ostatecznie ten dzień minął całkiem miło. Niedługo po południu nadjechali Teresa i Władysław, a ich obecność zawsze przynosiła Sabinie ukojenie. Widok rodziców stanowił namiastkę rodzinnego domu, który w ciągu ostatnich miesięcy z braku czasu odwiedzała bardzo rzadko. Szczególnie brakowało jej mamy, ta bowiem zawsze potrafiła pocieszyć Sabinę we właściwej chwili.

Skowrońscy zadbali o to, by także w eleganckim mieszkaniu córuchny i zięcia tradycji stało się zadość. Przywieźli snopek zboża i Władysław ustawił go w kącie salonu, by dobry duch tego miejsca chronił jego mieszkańców. Wzięli też dużą sosnową gałąź i kiedy później Teresa z Sabiną przyozdobiły ją orzechami, rajskimi jabłuszkami i zabranymi z rodzinnego domu ozdobami ze słomy, udekorowana podłóżniczka zawisła

nad kuchennym stołem. Sabina już wcześniej zadbała o to, by w innych częściach domu znalazły się okazałe stroiki. Niemniej kiedy później patrzyła na znane jej z dzieciństwa bożonarodzeniowe ozdoby, stwierdziła, że te eleganckie nie mogą się równać ze swojskimi, znajomymi. Wykonane przez znajomą bukieciarkę wianuszki udekorowane szklanymi kulami, srebrnymi śnieżynkami i brokatem wydawały się wszystkie takie same. Trudno szukać w ich monotonnym widoku przebłysku wspomnień i radości. Szczęśliwe święta można było przeżyć jedynie z bliskimi.

Skowrońscy zostali aż do pasterki, na którą wszyscy razem udali się do kościoła Świętego Marcina. Sabinka miała nadzieję, że może uda jej się namówić rodziców, by po mszy wrócili z nimi do mieszkania i zostali, jeśli nie na całe święta, to przynajmniej do jutra, lecz Władysław się nie zgodził.

– Co też ty, córuś, mówisz? Toć nie wiesz, że dzisiejszej nocy trzeba nam w chałupie ognia pilnować, coby ogrzały się przy nim duchy zmarłych? – rzekł z lekkim oburzeniem, bo kto jak kto, ale ojciec Sabiny wyjątkowo trzymał się świątecznych tradycji.

Natomiast w domu Hurników Sabina zapaliła białą świecę w lichtarzu ku pamięci zmarłych z rodziny. Dzięki temu symbolicznemu gestowi wierzyła, że i ją odwiedzi dziś ukochana babunia Anielka ze świętą znajomych jej duszyczek.

Minęły święta, sylwester i zaczął się skuty lodem i wyjątkowo śnieżny styczeń. Luty nie pozostał za nim w tyle, bo też hojnie sypnął śniegiem, a tegoroczna zima trzymała aż do końca marca. Ludzie z miasteczka marudzili na śliskie chodniki, to znów chlape, a we wsi narzekali, że przydałoby się już ruszać w pole. Kto to widział, by niebo tak marnie wydzielало słońko. Zajęta pracą w Żłotym Sercu Sabina niemal nie zauważała upływu dni. Klientów, tak jak i pomysłów na nowe łakocie,

wciąż przybywało. Kobieta cieszyła się, obmyślając kolejne receptury i zmyślne opakowania, które dodatkowo radowałyby oczy kupujących.

W końcu nadeszła wiosna, ale i wtedy pochłonięci pracą, młodzi Hurnikowie niemal nie wychodzili ze swojej kawiarni. Wreszcie nadszedł maj, a wraz z nim radosne wydarzenie, którego Sabina i Marcin niecierpliwie wyczekiwali. Pod błękitną kapliczką, ku zgromadzeniu okolicznych mieszkańców, ślubować mieli sobie Wacław i Cysia. Po wielu bojach stoczonych z rodziną, konserwatywnym proboszczem Jelonkiem i najbliższymi sąsiadami, uważającymi, że taka uroczystość może się odbyć jedynie w świętym miejscu, czyli kościele, młodzi wreszcie postawili na swoim. Anula, starsza siostra Cysi, pięknie udekorowała polną świątynię białym kwieciami: bzem, begonią i pachnącymi słodko konwaliami. Przed kapliczką postawiono prowizoryczny, ozdobiony piękną tkaniną ołtarz, a obok dwie duże białe świece, które paliły się potem przez kilka dni, przypominając miejscowym o wyjątkowej uroczystości. W wianku ze świeżych kwiatów i zwiewnej białej sukienki za kolano Cysia wyglądała przepięknie. Ale to rysujące się na twarzy szczęście stanowiło jej największą ozdobę. Wacław też prezentował się dostojnie. W ciemnym garniturze i białej koszuli, z gładko przyczesanymi kruczymi włosami, przyciągał damskie spojrzenia. Niejedna panienka ubolewała, że taki przystojny kawaler nie jest już do wzięcia. A młodzi promienieli. Jedno spojrzenie na nich wystarczyło, by wiedzieć, że łączy ich wielka miłość. Na koniec mszy Cysia zaśpiewała ku chwale Najświętszej Pani *Serdeczna Matko*, a wtedy wszystkie oczy zwrócone były wyłącznie na nią. Wielu, którzy dotąd nie mieli okazji usłyszeć, jak dziewczyna śpiewa, nie mogło uwierzyć, że z jej ust wydobywa się tak anielski głos. Cysia bowiem po raz pierwszy odważyła się na publiczny występ. Nawet proboszcz Jelonek, nie

bacząc na to, że tak nie przystoi, zapamiętałe bił jej brawo. A później poprosił ją, by uświetniała swoim śpiewem niedzielne sumy.

Po zaślubinach młodzi, rodzina i weselni goście udali się piechotą do chałupy Kulawików, gdzie w sadzie pod kwitnącymi jabłonkami ustawiono uginające się od jądła stoły. Radowano się przez kilka dni, tańcząc, gwarzając, śpiewając, zjadając się i polewając gorzałką. Sabina cieszyła się, że przyjaciółka jest szczęśliwa.

Nie wiedzieć kiedy wspomnieniem pozostały ciepłe późnowiosenne oraz letnie dni i nastąpiła jesień. Ale nawet ta okazała się łaskawa – złota, ciepła, wielobarwna. Jakby natura piękną aurą: słońcem i wysokimi temperaturami, chciała wynagrodzić ludziom chłodny marzec i kwiecień.

Tymczasem któregoś niedzielnego popołudnia mimo ładnej pogody Sabina wróciła do domu pochmurna. Ledwo zamknęła drzwi, już popędziła do sypialni, a tam, łkając, rzuciła się na łóżko. Cieszyła się, że męża akurat nie ma w domu i bez skrępowania, dając upust łzom, może sobie ulżyć. Niestety płacz nie przyniósł ukojenia i kiedy Marcin wrócił, zastał ją smutną.

– Co jest, Sabinko? – spytał z niepokojem, ponieważ od razu zauważył opuchnięte od płaczu oczy żony. Zdziwił go jej nastrój, Sabinka miała się dzisiaj bowiem spotkać z przyjaciółką. A po takich spotkaniach zawsze wracała rozpromieniona i nie mogła się nagadać, co u Cysi słychać. – Powadziłyście się z Cysią? – zagadnął ostrożnie, obserwując reakcję kobiety.

– Nie – rzekła cicho, po czym znów wybuchnęła płaczem i przyłgnęła do męża.

Zaskoczony i coraz bardziej zaniepokojony Marcin głaskał ją delikatnie, obawiając się już odezwać, by przez przypadek jej nie urazić. Czekał więc, aż żona ulży sobie i sama zdecyduje się wyznać, co ją trapi.

Minęło ponad dziesięć minut, zanim Sabina obtarła załzawione oczy, chlipnęła i spojrzała na Marcina tak, że aż mu się serce krajało.

– Cysia jest przy nadziei – szepnęła i już zadrżała jej broda.

– To... to chyba dobrze – rzekł Marcin. – Nie raduje cię szczęście przyjaciółki?

– Raduje, a jakże! Wiesz, że życzę Cysi samych dobrodziejstw, ale... Ale tak mi smutno, że mi nie dane przeżyć tego samego – powiedziała z żalem.

– Dane ci to będzie, Sabinko. – Marcin czule pogładził żonę po policzku. – Trzeba nam jeszcze trochę zaczekać.

– Ile jeszcze, Marcinie?! No ile?! – wybuchnęła kobieta. – Przecież Cysia i Wacek ledwo wiosną wzięli ślub, a już będzie dzieciaczek. Trzy miesiące się tylko starali. A my? Dlaczego Bóg nie chce obdarzyć nas maleństwem?

– Obdarzy, Sabinko. Nie trać wiary, jestem pewien, że jeszcze zostaniemy rodzicami. – Marcin starał się pocieszyć żonę, ale bywały chwile, jak choćby ta, że i on zaczynał wątpić, czy uda się im powołać na świat dziecko. Ta sytuacja uświadomiła mu, że muszą się zmierzyć z problemem. Tym bardziej że Sabinka bardzo to przeżywała. A teraz, gdy jej najlepsza przyjaciółka niebawem miała zostać mamą, jeszcze bardziej się martwił o ukochaną. Postanowił coś z tym zrobić. Nie można było dłużej beczynn timer czekać.

Dowiedział się, że w Krakowie przyjmuje znany doktor, który pomaga kobietom w takich kłopotach. Zleca ponoć stosowne badania i proponuje różne kuracje. Krążyły opinie, że niejednej z jego pacjentek udało się spełnić największe marzenie i zostać matką. O swoim pomysśle powiedział żonie dopiero wtedy, gdy umówił ją na wizytę. Tak jak przewidział, na początku Sabinka się sprzeciwiała, ale Marcin miał masę argumentów,

którymi ją przekonał. Szczególnie jeden, najważniejszy, by w końcu pod ich dachem pojawiła się mała istotka. Sabina jechała do Krakowa cała w nerwach, a potem w ciągu miesiąca wracała tam jeszcze trzy razy. Niestety, doktor nie znalazł przyczyny stojącej Hurnikom na drodze do tego, by mieli potomka. Według niego Sabina była młodą, zdrową kobietą, nie doszukał się w jej zdrowiu nic, co mogłoby go zaniepokoić. Zalecił jedynie cierpliwość i spokój. Sabina wydawała się zrozpaczona, choć umiejętnie starała się to ukryć. Mąż znał ją jednak na tyle, by wiedzieć, kiedy ją coś gnębi.

– Nic nie pomaga, ani doktor, ani modlitwy, ani nawet stara Jamrózowa – wyrzuciła któregoś wieczoru z żalem.

– Stara Jamrózowa? – Marcin spojrzał na żonę pytająco. Nic mu nie było bowiem wiadomo, by ślubna radziła się u mieszkającej za Ratajnikami szeptuchy.

Sabina się spieszyła, na moment opuściła wzrok, lecz potem czule zajrzała Marcinowi w oczy. Komu jak komu, ale mężowi ufała najbardziej na świecie. Teraz żałowała, że nie powiedziała mu o tym wcześniej. Sądziła, że rady Jamrózowej zadziałają i oboje z Marcinem rychło będą mogli się cieszyć upragnionym maluszkiem.

– Byłam u niej z mamą – przyznała się, badając wzrokiem reakcję męża na to wyznanie.

– Czemuś o tym nie powiedziała? Przecież bym tam z tobą poszedł – ozwał się przejęty Marcin, którego martwiło, że żona od tak długiego czasu boleje nad brakiem dzieciaczka. – Nie pomogła?

– Nie, zaleciła zioła i okłady na dół brzucha, ale nie zadziałało – odpowiedziała markotnie. – Ja już straciłam nadzieję, Marcinie. Wszystko zawiodło. Skoro nawet dobry Bóg modlitw nie wysłuchuje, to pewnie nie nadaję się na matkę.

– Co też mówisz! – oburzył się Marcin, coraz bardziej bezradny wobec rozpaczony żony. – A ja ci mówię, że nasze dzieciątko pojawi się we właściwym czasie. Trzeba zaufać opatrności i poczekać.

– Czekać i czekać, tylko to wciąż słyszę! A ja nie chcę już czekać, pragnę utulić nasze maleństwo! Marzę, by ono wreszcie się pojawiło! – rzekła Sabina podniesionym głosem.

– Kochasz mnie, Sabinko? – Marcin chwycił mocniej jej dłonie, tym samym zmuszając ją, by spojrzała mu prosto w oczy.

– Cóż za pytanie?! – fuknęła Sabina. – Oczywiście, że cię kocham. Najbardziej na świecie.

– A ufasz mi?

– Ufam jak nikomu innemu – przyznała skwapliwie żona.

– No to ja ci mówię, że niebawem doczekamy się dzieciątka! – zapewnił z mocą Marcin.

Tego wieczoru ani przez kolejne dni nie mówili już nic na ten temat. Sabina nieco się uspokoiła. Brzmiące niczym obietnica stanowcze słowa męża tak głęboko w nią zapadły, że potem w chwilach zwątpienia od razu starała się je sobie przypomnieć. A one szybko odpędzały pochmurne myśli, pozostawiając ukojenie i nadzieję.

Któregoś listopadowego wieczoru, kiedy Sabina wróciła wieczorem od krawcowej, zdziwiła się, ale i zaniepokoiła, że nie zastała męża w domu. Nie zdjęła nawet jesionki, lecz zaraz zamknęła drzwi i ruszyła na dół, by sprawdzić, czy nie ma go w pracowni. Odetchnęła, zauważywszy zapalone światło, a jeszcze bardziej się uspokoiła, widząc Marcina nad stołem zarzuconym kolorowymi, pachnącymi dodatkami. Odniosła wrażenie, że ujrawszy ją, spieszył się i chyba nie był zadowolony. Wydawało jej się, że mąż próbuje coś przed nią ukryć.

– Co tu robisz, Marcinie? – spytała i nie pozostawiając mu czasu na wyjaśnienia, zbliżyła się do niego.

– Chciałem... – wydukał i machnął ręką. – Ech, chciałem ci zrobić niespodziankę.

– Niespodziankę? – Zdziwiła się. – Z jakiegoż powodu?

– Zbliża się rocznica naszego poznania – wyjaśnił. – Nigdy nie zapomnę, jakieś mnie znalazła takiego zmarniałego, prawie bez życia na brzegu jeziora.

– I ja tego nie zapomnę. – Sabina rozpromieniła się pod wpływem miłego wspomnienia i dociekliwie zerknęła na blat stołu. Zauważyła, że mąż nieumiejętnie starał się zasłonić coś łokciem. Zamiast udać, że tego nie widzi, jeszcze bardziej ją to zainteresowało i nie dała ślubnemu szansy, by to ukrył. – Co tam masz?

– Miał być prezent – odparł Marcin niezadowolony, że jego plan się nie powiódł. – Aleś zobaczyła.

– Co zobaczyłam? – Sabina jeszcze raz łypnęła okiem na stół, pośród kolorowych drobiazgów szukając odpowiedzi na frapujące ją pytanie.

Wtedy Marcin przysunął w jej stronę niewielką drewnianą formę w kształcie serca. Sabina wzięła ją w dłonie i się uśmiechnęła. Choć sporo większa, skojarzyła się dziewczynie z połówką łupiny włoskiego orzecha.

– Zamówiłem ją niedawno u Tadzika. Chciałem zrobić dla ciebie wyjątkowe serce, ale... nic z tego, bo żeś to już odgadła – wyjaśnił Marcin lekko poirytowany, że jego pomysł się nie powiódł.

– Nie gniewaj się. – Sabina cmoknęła go w policzek i nagle poczuła, że musi coś zrobić. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale miała wrażenie, że ogarnęło ją jakieś szaleństwo. Myślała tylko o tym, by jak najszybciej usiąść nad foremką w kształcie serca i zająć się tym, co jeszcze kilka minut wcześniej zamierzał mąż.

– Co ty, Sabinko? – Marcin wstał i z zaskoczeniem przyglądał się żonie, która już sięgała po tygielek z roztopioną czekoladą. – Mnie się zdawało, że byłaś dziś zmęczona i nie miałaś zacięcia do pracy – dodał, ponieważ tego dnia Sabinie wszystko leciało z rąk i nawet sama przyznała, że nie idzie jej robota.

– A jakże, tak było, Marcinie – potwierdziła, nie odrywając się od zajęcia. Część czekolady wypełniła już drewniane serce, a teraz kobieta upychała w niej suszone owoce.

Marcinowi nie umknęło, że Sabinka najchętniej sięga po jagódki. Sam planował zupełnie inne czekoladowe serce. Miało być wyrazem jego miłości, przesycone czerwienią, z kandyzowanymi wiśniami, podczas gdy to, które właśnie robiła żona, stanowiło mieszaninę wszystkiego. Najwięcej było w nim jednak słodkich leśnych jagód, których Sabina nazbierała jeszcze podczas ciepłych letnich dni.

– Ale tak mnie to raduje, czuję się taka spokojna... – Na chwilę zatrzymała na mężu spojrzenie, lecz zaraz wróciła do pracy. – Jest! Gotowe! – rzuciła na koniec z pasją, oblizując oblepiony czekoladą palec i sięgając po kilka leżących na stole jagód. – Jak kiedyś będziemy mieć córeczkę, to damy jej na imię Jagódka – rzekła jak w transie i dopiero po chwili zastanowiła się nad swoimi słowami. – Jeśli będzie nam to dane...

– Na pewno będzie. – Marcin przytulił żonę, która nagle posmutniała. – Będziemy mieli naszą słodką Jagódkę.

Kiedy czekoladowe serce tężało w wystruganej przez Tadzika foremce, Sabina jakby częściej się uśmiechała, a rzadziej zamyślała. Zdawało się, że odzyskała wcześniejszą, tak bardzo charakterystyczną dla niej radość. Znów zaczęła żartować i przekomarzać się z Marcinem. Widać było, że praca w kawiarni ją uszczęśliwia. A to zaraz udzieliło się pozostałym pracownikom.

Pomimo tego, że na zewnątrz panowała plucha, w Złotym Sercu nikt nie narzekał na listopadowy ziąb, bo nagle wokół zrobiło się jakoś jaśniej, weselej, zupełnie jakby przez okienne szyby do środka zaglądało słońce.

Kiedy wraz z początkiem roku nieznacznie zaczęło przybywać dnia i później, gdy za oknem zieleniła się wiosna, Sabina zyskała jeszcze więcej zapału. Pomysły przychodziły jeden za drugim, a że było ich dużo, młoda właścicielka od razu rzucała się w wir pracy, by je zrealizować. Smaczne czekolady i pralinki, w zmyslnych opakowaniach, nie zagrażały dłużej miejsca na półkach, rozchodziły się błyskawicznie, ledwo wystawiono je w kawiarnianych gablotach. Poza tym znaczną część czekolad Humnikowie wyrabiali na specjalne zapytania. Niestety ta sytuacja miała też minusy – zaaferowana pracą Sabina często zapominała o systematycznym spożywaniu posiłków. Marcin nieraz usilnie się starał wyciągnąć żonę z pracowni, by przyszła do mieszkania na obiad, ale uparcie twierdziła, że pojawi się dopiero wtedy, gdy skończy pracę. Zwykle kobieta przesiadywała w Złotym Sercu aż do wieczora. Marcin się martwił, że może w ten sposób Sabina próbuje zagłuszyć dojmujące uczucie niespełnienia jako matka. Poza tymi przypuszczeniami nic nie wskazywało na to, by Sabina ubolewała z powodu braku potomstwa. Tak jak dawniej w niedzielne popołudnia spotykała się z Cysią i zdawało się, że szczerze cieszy ją brzemienny stan przyjaciółki. Zresztą często spotykali się ze Śmigłami we czwórkę. Przyjaciółki, odczuwając potrzebę zwierzeń, zaszywały się zwykle w jakimś kąciku, by zamienić parę słów na osobności.

Sabina nie zwracała uwagi, że sukienki, które dotychczas ładnie opinały się na jej apetycznych krągłościach, teraz tu i ówdzie smętnie zwisają. Zmizerniała, a jej zwykle świeża cera z lekkimi rumieńcami stała się blada, niemal ziemista. Zaniepokoiła się dopiero kiedy któregoś ranka, gdy chciała

wstać z łóżka, zakręciło jej się w głowie. Zawrotom tym towarzyszyła dziwna słabość. Stany te zaczęły nękać ją coraz częściej. Dopiero wtedy wzięła sobie do serca rady męża i starała się więcej jadać. Cóż z tego, kiedy wszystko rosło jej w ustach. Zauważyła, że Marcin raz po raz spogląda na nią z troską, lecz nie chcąc go niepokoić, przywoływała na twarz uśmiech i ruszała do pracowni. Ale wystarczyło, że mąż na moment zniknął jej z oczu, a już siadała, starając się zapanować nad zmęczeniem i zawrotami.

Pewnie dalej zwodziłaby w ten sposób męża, choć ten z dnia na dzień przyglądał jej się z coraz większą czujnością, gdyby nie pewne zdarzenie. Któregoś poranka, usiłując nagle wstać, Sabina zemdląła. Zaniepokojony Marcin natychmiast wezwał doktora. Zanim ten zdążył dojechać z nieodległych Wieliczek, kobieta doszła już do siebie, ale troskliwy mąż nie pozwolił jej wyjść z łóżka. Choć słaba i mizerna, Sabina była zła nie tylko na siebie, że niepotrzebnie wywołała panikę, a też na Marcina za to, że pilnował jej teraz niczym czujny wartownik. Nie mogła nawet westchnąć, bo ten od razu się zamartwiał, by mu nagle żona nie umarła. Okazało się, że medyk miał dla młodego małżeństwa wspaniałą nowinę.

– Jest pani przy nadziei, pani Sabino – oświadczył kobiecie z uśmiechem, kiedy już dokonał odpowiednich badań. Potem przeniósł wzrok na Marcina, który chwilę wcześniej wszedł do pokoju. – Pewnie zimą, bo tak wynika z przebiegu ciąży, zostaną państwo rodzicami.

– Ale... ale jak to możliwe? – wypaliła zaskoczona Sabina, a kiedy dotarł do niej wydźwięk tych słów, jej blade policzki oblał rumieniec.

– Nie wie pani? – Na twarzy doktora, który był żartownisiem, na moment pojawił się szelmowski uśmieszek.

– Tak, ale... Który to miesiąc?

– Wygląda mi na trzeci – oznajmił pewnie doktor.

– Nie rozumiem, przecież ostatnio miałam krwawienie... – wyszeptała spanikowana Sabina, bojąc się, że medyk zaraz pozbawi ją złudzeń, a dobra nowina okaże się nieprawdziwa.

– Sama pani przed chwilą wspomniała, że ostatnie krwawienie było nikłe – zauważył doktor.

– Tak było – potwierdziła kobieta.

– To się często zdarza na początku. Teraz musi pani szczególnie na siebie uważać. Zwłaszcza dopóki nie miną zawroty. Poza tym znacznie straciła pani na wadze. To oczywiście w ciągu najbliższych miesięcy się zmieni, lecz obecnie zalecam całkowity odpoczynek – perorował doktor.

Sabinę oszołomiła ta wiadomość i na razie nie wiedziała, jak odnieść się do słów medyka. Niedowierzanie mieszało się u niej z radością, ekscytacja z lękiem, a nade wszystko nie mogła uwierzyć, że dziwna słabość, która od jakiegoś czasu ogarniała jej ciało, miała konkretną przyczynę. Wystarczyło jedno spojrzenie na Marcina, by zauważyć, że przepełniają go podobne uczucia.

Musiało minąć kilka dni, zanim młode małżeństwo uwierzyło w przekazaną przez doktora dobrą nowinę. Fizycznie Sabina wciąż czuła się niezbyt dobrze, ale jej serce przepełniało wielkie szczęście. Dałaby radę znieść wiele, byle tylko móc doświadczyć upragnionego stanu macierzyństwa. Dlatego znosiła cierpliwie najpierw zawroty głowy, potem poranne nudności i wymioty, a także ogólne osłabienie. Ku jej irytacji Marcin dbał o nią bardziej, niżby sobie tego życzyła. Obchodził się z nią jak z jajkiem, chuchał i dmuchał, gotów spełnić najmniejszą zachciankę. Ale tych Sabina raczej nie miewała. Może właściwie poza jedną – garściami mogłaby zajadać jagody i pralinki z tymiż owocami. Poza tym cierpliwie i z radością znosiła niedogodności ciąży. A kiedy te nieco zmaląły, znów zaczęła się pojawiać w pracowni.

Kolejne miesiące błogosławionego stanu przebiegły u Sabiny nadzwyczaj dobrze, a wcześniejsze dolegliwości szybko stały się dla niej wspomnieniem. Gdyby nie powiększający się brzuch, pewnie trudno byłoby jej uwierzyć, że niebawem na świecie powitają z Marcinem ukochaną dziecinę. Mąż dbał jednak o to, by Sabina za bardzo się nie przemęczała, kiedy bowiem pasja przekuwa się w pracę, łatwo stracić w niej umiar.

Na jesieni Marcin wpadł do Złotego Serca uradowany, przynosząc dobrą nowinę.

– Cysia powiła córuchnę! – Mówiąc to, aż drżał z emocji, a te szybko udzieliły się też jego ślubnej.

– Kiedy? Czy u nich wszystko dobrze? No mówże, Marcinie! – Zniecierpliwiona Sabina szarpnęła męża za rękaw jesionki.

– W nocy. Choć już wczesnym wieczorem Wacek pędził po Kostecką, bo Cysię złapały bóle.

– Ależ się cieszę! – Sabina, która akurat układała na regale zapakowane wcześniej czekolady, z wrażenia aż usiadła. – Cysia i Wacek mogą już przytulić swoją kochaną kruszynkę.

– My też niedługo przytulimy naszą... – Marcin pogładził żonę po włosach. Przywyknął już do tego, że jej niegdyś okazały, gęsty warkocz zastąpił gładki koczek z tyłu głowy. Dla wygody Sabinka skróciła też włosy i teraz, gdy je rozpuściła, sięgały niewiele poza ramiona.

– Tak – rzekła ze spokojnym uśmiechem.

Małgosia Śmigiel była spokojnym niemowlakiem, niesprawiającym Cysi i Wackowi najmniejszych kłopotów. Od początku przesypiała niemal całe noce. Budziła się tylko na chwilę, by przywrzeć do matczynej piersi i nasycić się mlekiem. Trzy miesiące później na świecie pojawiła się dziewczynka, która jeszcze w dzieciństwie stała się jej wielką przyjaciółką.

Jagoda Hurnik weszła w życie swoich rodziców z przytupem, od razu wprowadzając wiele zamieszania. Mała była bardzo wymagającym dzieckiem i ciągle domagała się uwagi. Krzyczała, wierciła się, a uspakajała się tylko na rękach Sabiny albo Marcina. Młoda matka, niewyspana i zmęczona, na początku nie potrafiła się cieszyć upragnionym i wyczekiwany macierzyństwem, ale z miesiąca na miesiąc nauczyła się obchodzić z temperamentną córuchną.

– Nie dziw się, Sabinko, że Jagódka taka niesforna – mówił często z uśmiechem Marcin. – Przecież ona jak nic wrodziła się w ciebie.

– Ech, głupoty gadasz – denerwowała się wówczas Sabina, choć zdawała sobie sprawę, że to prawda. A kiedy przypomniła sobie momenty ze swojego dzieciństwa, cierpła jej przy tym skóra, co może ją jeszcze czekać przy tym energicznym dziecięciu.

Z małej była żywa iskierka, a kiedy zaczęła chodzić, nie można było jej ani na chwilę spuścić z oczu. Wieczorami Sabina padała ze zmęczenia. Marcin starał się pomagać żonie przy córce, ale zaangażowany w sprawy kawiarni, nie miał na to zbyt wiele czasu. Towarzyskiej Sabinie brakowało ulubionej pracy i kontaktów z ludźmi. Często spotykały się wprawdzie z Cysią i pchając przed sobą wózki z pociechami, spacerowały po Bukowej Górze. Ale to nie wystarczało, by zaspokoić ambicje i pragnienia młodej Hurnikowej. Coraz częściej zaglądała do Złotego Serca z małą, lecz to zwykle nie kończyło się dobrze. Jagódki trzeba było nieustannie pilnować. Dziewczynkę ciekawiło tam wszystko, co rusz wyciągała rączki po kolorowe dodatki, a kiedy jej się tego zabroniło, zaczynała płakać. Uparciuch był z niej straszny, nie dawała sobie wytłumaczyć, że czegoś jej nie wolno, lecz wrzeszcząc zapamiętała, dopominała się o swoje. Zmęczona przepychankami z córką Sabina, wodząc tęsknym wzrokiem po znajomym

wnętrzu, wychodziła z nią czym prędzej, bo mała darłaby się wniebogłosy, dopóki nie dostałaby upragnionej rzeczy.

Sabinka coraz częściej rozmyślała nad tym, że tęskni za czasem spędzonym w kawiarni, i obiecywała sobie, że wróci do pracy, jak tylko Jagódka trochę podrośnie.

Marcinowi żal było żony. Co dzień widział jej rozdarcie i markotność, żal, że nie jest w stanie robić tego, co sprawia jej satysfakcję. Od dłuższego czasu zastanawiał się, jakby to obmyślić, by Sabinka znów mogła się radować upragnionym zajęciem. Któregoś jesiennego wieczoru Marcin usiadł obok żony, kiedy ta zmęczona opadła na sofę, dopiero co wróciwszy z dziecięcego pokoju. Na szczęście dziś, jak rzadko kiedy, udało jej się wcześniej uśpić córkę.

– Sabinko, tak sobie pomyślałem, że... – Spojrzał na żonę z wahaniem, bo w gruncie rzeczy nie był pewien, czy pomysł, na jaki wpadł już jakiś czas temu, jej się spodoba. I czy w ogóle to dobry pomysł. – Może chciałabyś znów popracować w Żłotym Sercu?

– Pracować w Żłotym Sercu? – Do zmęczonej i zamyślanej Sabiny dopiero po chwili dotarł wydźwięk słów męża. – Przecież wiesz, że to na razie niemożliwe. Zanim odchowam Jagódkę, minie sporo czasu – zauważyła ze smutkiem.

– Ale przyznaj, że ci tęskno za naszą kawiarnią. – Marcin musiał się upewnić, że właściwie odczytuje pragnienia żony.

– A pewnie, że tęskno. Przecież wiesz... Kocham naszą Jagódkę nad życie, ale brak mi też zajęcia, które przed jej narodzinami było dla mnie bardzo ważne. Czasami wydaje mi się, że uschnę bez tego. – Ośmieliła się szczerze wyznać, od dłuższego czasu bowiem miała wrażenie, że w pięknej, choć monotonnej codzienności umyka jej coś cennego.

– W takim razie, Sabinko, musisz koniecznie wrócić do pracowni. Przyznam ci się, że serce mi się ściska, gdy patrzę na twoją tęsknotę. Prawdę mówiąc, mnie też tam cię brakuje. Jak żeśmy pracowali wspólnie, robota szła jak z płatka. Wesoło było, gdy podśpiewywałaś, a czasem nawet wywijałaś piruety przy pracy. Wtedy czas migiem leciał. Powiem ci, że nawet klienci coraz częściej o cię pytają. Nie mówiąc już o naszych dziewczynach.

Sabina popatrzyła na męża ze zdziwieniem. Nie żeby się jej nie spodobał jego pomysł, bo spodobał się aż za bardzo, lecz zamotana w obowiązkach dnia codziennego kobieta nie mogła w tej chwili przyjąć do wiadomości tego, co usłyszała. Bo jak niby pogodzić pracę w kawiarni z wychowywaniem córki? Tym bardziej że Jagódka była dzieckiem wymagającym dużej uwagi.

– Ale przecież mała... Kto miałby się nią wtedy zająć? – Sabina spojrzała na męża z jakąś nadzieją, że ten mimo wszystko zaraz przedstawi jej właściwe rozwiązanie.

– Najmiemy nianię – wyjaśnił Marcin.

– Obca kobieta opiekowałaby się naszą kruszynką? Jakże to tak?! – Nie kryła oburzenia, lecz ziarno już padło na podatny grunt. Wizja pracy jaśniała w głowie Sabiny coraz wyraźniej, a wewnątrz rozpierał dawny entuzjizm.

– Zwyczajnie, Sabinko. Wiele osób tak robi. Oczywiście nie pracowałabyś tak długo jak wcześniej. Myślę, że kilka godzin poza domem zrobiłoby dobrze i tobie, i małej.

– Może masz rację – stwierdziła, przyglądając się mu w zamyśleniu. Wiejskie kobiety radziły sobie z liczną dziatwą. Nie dość, że pracowały w polu, w obejściu, to i przychówkiem trzeba było się zająć. Dlaczego ona

miałaby sobie nie poradzić. Jagódce lada moment mijał roczek, może to najwyższy czas, by wrócić do pracy.

Tego wieczoru Sabina nie dała Marcinowi jasnej odpowiedzi, co o tym myśli. Musiała się nad tym dłużej zastanowić. Doskonale wiedziała, czego pragnie, ale wciąż nie była pewna, czy rozłąka – choćby chwilowa – z upragnioną córką, nie odbije się źle na samopoczuciu małej. Podzieliła się swoimi rozważaniami z najbliższymi kobietami: z mamą i z przyjaciółką, a te obie jednogłośnie stwierdziły, że Sabina powinna zrobić tak, jak czuje. A jeśli zdecyduje się pracować, Jagódka na pewno na tym nie ucierpi.

W końcu decyzja zapadła i Sabina postanowiła wrócić do pracy. Uradzili, że małą Jagódką w tym czasie zajmie się Kasia, sąsiadka Skowrońskich, młoda dziewczuszka, która dopiero co wchodziła w dorosłość. Doskonale umiała się obchodzić z dziećmi, bo sama miała czwórkę młodszego rodzeństwa. We wsi mawiano, że Kasiula ma dryg do dziatwy, bo ta zawsze się jej słuchała i do niej Ignęła. Przy chałupie Jarząbków często pełno było okolicznej dzieciarni, która przybiegała specjalnie do Kaśki. Nie zdarzyło się, by dziewczyna nie pocieszyła któregoś nicponia, gdy ten stłukł sobie kolano albo napsocił. Mawiali, że z Kasi byłaby udana piastunka. I z tego gadania wyszło, że teraz młodziutka Jarząbkówna miała się zajmować ukochaną córuchną Hurników.

Początki owego niańczenia nie były łatwe. O ile Jagódka z miejsca polubiła Kasię, o tyle Sabina nie od razu przywykła do nowej sytuacji. Przez pierwsze tygodnie pracy co chwilę biegała do mieszkania, by sprawdzić, czy córcia za nią nie płacze. I nawet szeroki uśmiech Jagódki jej nie przekonywał. Musiało minąć sporo czasu, zanim młoda mama się uspokoila. A wtedy znów zaczęła czerpać radość z ulubionego zajęcia.

Zbliżało się Boże Narodzenie, więc pracy było co niemiara, ale w Złotym Sercu nikt na to nie narzekał. Wszystkim udzielał się dobry

humor młodej właścicielki, która rozsiewała wokół radość i dzieliła się z pracownikami swoim zapachem. Sabina właśnie zapakowała i odłożyła na bok kolejną partię czekolad, gdy nagle coś spostrzegła. Wsunęła rękę za leżące jedna na drugiej formy i po chwili trzymała przed sobą drewniane serce. Uśmiechnęła się na myśl, w jaki sposób ponad dwa lata temu się z nim obchodziła. Przez jej głowę lotem błyskawicy przemknęła myśl, że owe działania nie były bezowocne. Niewielka foremka kusiała, by znów ją wypełnić czekoladową masą. Sabina wiedziała jednak, że nie może zrobić tego ot tak sobie. To nie była zwykła forma, lecz przedmiot o szczególnym znaczeniu. Postanowiła, że na tegoroczne Boże Narodzenie podaruje mężowi wyjątkowy prezent.

– Co tam trzymasz, Sabinko?

Zobaczywszy męża, który nieoczekiwanie wszedł do pracowni, kobieta drgnęła, nieumiejętnie próbując ukryć za sobą drewniane serce.

– Eee, takie... – Jedyne tyle zdążyła wydukać, bo Marcin już był przy niej.

Objął żonę czule, a ta sama pokazała mu, co chciała ukryć.

– Miał być prezent, aleś niepotrzebnie wszedł i zobaczył – rzekła niezadowolona Sabina.

– Niepotrzebnie, powiadasz? – Marcin się podśmiewał. – A kto kiedyś tak samo pomieszał mi szyki, hmm?

Kiedy mąż znów przypomniał jej o zdarzeniu sprzed dwóch lat, Sabina uśmiechnęła się niepewnie.

– Ano ja – odrzekła, znów czując tamten twórczy zapach i towarzyszący temu spokój.

– Wiesz co, Sabinko, mnie się zdaje, że to serce jakieś krnąbrne. Umyka i mnie, i tobie. Ale może, jeśli zajmiemy się nim razem, spokojnie – zażartował Marcin.

– Co masz na myśli? – spytała z zaciekawieniem Sabina.

– Wypełnijmy je wspólnie. Spójrz. – Wskazał zagłębienie wyglądające jak łupina orzecha i otoczył palcem charakterystyczny kształt. – Widzisz te dwie połówki?

Sabina potwierdziła ruchem głowy.

– To jak? – Marcin spojrzał na nią z łobuzerskim błyskiem w oku. – Mamy jeszcze trochę czasu.

– Przygotuj w tygielku czekoladę, a ja zajmę się dodatkami – podchwyciła szybko Sabina.

Kilka minut później oboje siedzieli przy stole w pracowni, wpatrując się w środek foremki. Marcin przelał do niej połowę zawartości mosiężnego naczynia, a potem małżonkowie zaczęli wypełniać je dodatkami. Działali wyjątkowo zgodnie, a wewnątrz brązowej masy znalazły się i kandyzowane wiśnie, i suszone jagody, i mnóstwo innych delikatesów. Ostatecznie serce wyglądało apetycznie i ładnie. Sabina przysiadła potem z Marcinem nieopodal, spoglądając nań co chwilę, gdy tężało.

– Wiesz, pomyślałem sobie, że na pamiątkę naszego poznania możemy co roku wypełniać to serce, by przypominało nam o tej ważnej chwili. Poza tym wydaje mi się, że jeśli tak jak teraz usiądziemy nad nim z dobrą intencją, to ono skore nas w tym wspomóc – rzekł Marcin z przejęciem, choć odrobinę zawstydzony swoim sentymentalizmem. Znał bowiem pragmatyczną naturę swojej żony.

– Też tak myślę – zgodziła się poruszona Sabina, a przed jej oczyma jak żywa stanęła scena sprzed dwóch lat, kiedy jak w amoku wsuwała w czekoladową masę drobne jagódki, myśląc o tym, czego wówczas najbardziej pragnęła. Dopiero niedawno to do niej dotarło, ale obawiając się wyśmiania, wciąż nie odważyła się powiedzieć o tym mężowi. Skoro jednak Marcin uznał, że takie działania mają sens, a jej też się to spodobało,

nic nie stało na przeszkodzie, by z tego całkiem miłego zajęcia uczynić rodzinną tradycję.

– W takim razie, Sabinko, niech to będzie nasza rodzinna tradycja. – Marcin dosłownie wyjął jej to zdanie z ust, dlatego aż się roześmiała.

– Powiedziałem coś nie tak? – Marcin się spieszył.

– Nie, śmieję się, bo bardzo mi się ten pomysł podoba – zapewniła męża, przytulając się do niego.

Odtąd zawsze w listopadzie na wspomnienie dnia, kiedy Sabina na brzegu jeziora znalazła wycieńczonego Marcina, a także na pamiątkę pojawienia się w ich życiu małej istotki – choć żadne z nich nie chciało wypowiedzieć tego na głos – małżonkowie rok w rok siadali w swojej pracowni, by przygotować kolejne czekoladowe serca. Wokół nich wiele się zmieniało, Sabina powiła jeszcze bliźniaki: Zosię i Juleczka. Życie, jak to życie, obdarzało ich radością, ale nie szczędziło też trosk. Sabina posiwała, ale z jej oczu do później starości wyzierały psotne ogniki i nigdy nie straciła typowego dla niej zapachu, będącego filarem Złotego Serca. Marcin też pozostał pogodny, choć w starszych latach bardziej cenił sobie wyprawy do lasu i nad jezioro niż wytwarzanie czekoladowych łakoci w pracowni. Opierając się nieuchronnemu upływowi czasu, niezmienna pozostała tylko ich miłość. Wciąż prawdziwa i gorąca jak wtedy, gdy po raz pierwszy odważyli się ją sobie wyznaczyć.

Bydgoszcz dzisiaj



Gawęda Rozalii mnie uspokoiła i z miejsca zatęskniłam za Bukową Górą. Tą dawną, którą znałam tylko z opowieści, ale też tą współczesną, gdzie mieszkało wiele bliskich mi osób. Przekonałam się, że mogę na nich liczyć. Może nie okazałam się zbyt rozmowna, ale i tak było mi miło zamienić parę słów z Laurą, Hanią, Agnieszką, panem Maurycym i oczywiście z Bartoszem. Wszyscy zapewniali mnie o swoim wsparciu. Wiedziałam, że gdyby zaszła potrzeba, w każdej chwili mi pomogą. Tylko że ja tej pomocy nie chciałam. Sama musiałam się zmierzyć z trudną sytuacją. Uczyłam się jej, ostrożnie oswajając słowo „odchodzić”, bo chociaż gdzieś w głębi mnie wciąż tliła się nadzieja, bolesne fakty odzierały mnie z ufności, że to, czego pragnęłam, da się jeszcze zatrzymać. Co dzień się bałam, czy jeszcze zobaczę tatę. Odkąd przyjechałam do Bydgoszczy, nieustannie towarzyszyła mi emocjonalna huśtawka.

Dziś też zbliżałam się do budynku hospicjum z mocno bijącym sercem, starając się powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Przekroczywszy próg, wyężdżając wszystkie siły, wzięłam się w garść. Już sam fakt, że będę mogła porozmawiać z tatą, sprawił, że poczułam wdzięczność. Miałam świadomość tego, że wydarłam losowi kolejne chwile bezcennej bliskości z ukochanym człowiekiem.

Przywitaliśmy się bez słów, wymieniając się uśmiechami. Powoli podeszłam do taty i delikatnie objęłam jego rękę, a on zacisnął ją na mojej dłoni. Patrzyliśmy sobie w oczy, a w tym krótkim momencie wyznaliśmy sobie więcej, niż moglibyśmy sobie powiedzieć w ciągu długiej rozmowy. Nie umiałam mówić z tatą o tej sytuacji. Momentami odnosiłam nawet wrażenie, że on wykazuje w tym większą dojrzałość. Jest bardziej odważny ode mnie i spokojny jakimś dziwnym, niezrozumiałym dla mnie rodzajem spokoju, wynikającym chyba z tego, że całkowicie zaakceptował to, co go spotkało. Ja musiałam dopiero się tego nauczyć. W tej chwili po prostu cieszyliśmy się sobą, zdając sobie sprawę, że ten czas niebawem pozostanie dla mnie jedynie wspomnieniem. Najważniejsze było to, że wciąż miałam tatę przy sobie i czułam jego bezgraniczną miłość. Oboje nigdy wcześniej nie byliśmy wobec siebie na tyle odważni, by w sposób tak prosty i bezpośredni, a jednocześnie szczery, sobie ją wyznać.

– Opowiesz mi o Sabinie i Marcinie? – odezwał się w pewnej chwili tata.

– Tak – powiedziałam z uśmiechem. – A wiesz, że znam już nawet zakończenie? Wczoraj wieczorem długo rozmawiałam z Rozalią i dowiedziałam się, jak potoczyły się ich losy.

– Pojawiłaś się u mnie we właściwym momencie, bo każda historia musi mieć kiedyś swój koniec... – rzekł tata, a mnie, nie wiem dlaczego, od tych słów przeszły ciarki.

– Nic nigdy się nie kończy – odparłam przekornie i nieco filozoficznie.

Spojrzał na mnie w taki sposób, jakby chciał coś dodać, lecz tego nie zrobił. A ja odruchowo zaczęłam opowieść. Zanim dotarłam do wydarzeń, o których wczoraj usłyszałam od Rozalii, wróciłam jeszcze do wcześniejszych przygód Sabiny i Marcina. Najpierw ważyłam słowa powoli, zastanawiałam się, co nastąpiło dalej, ale w pewnej chwili historia

zaczęła się toczyć lekko, spójnie, a kolejne wątki łatwo się zazębiały. Słuchając mnie, tata wydawał się spokojny i zadowolony. W pewnej chwili nawet zamknął oczy, lecz co jakiś czas je otwierał i zerkał w moją stronę, bym wiedziała, że mnie słucha. Nie wiem, czy to magia tej legendy, czy udzielił mi się spokój taty, lecz na ponad pół godziny udało mi się naprawdę przenieść w czasie i niespiesznie snując znajomą historię, byłam w miejscach bliskich jej bohaterom. Jednocześnie w jakimś sensie sama czułam, że uczestniczę w tamtych wydarzeniach.

– Wiesz, to niesamowite, ale mam wrażenie, że znalazłem się w tych wszystkich miejscach, o których mi opowiedziałaś – zwrócił się do mnie tata, gdy skończyłam mówić. – Że znam Sabinę, Marcina, ich rodzinę i bliskich...

Nie miałam na to wytłumaczenia, ale i ja odbierałam to podobnie.

– Obiecuj mi... – Tata znów chwycił mnie za rękę i nieznacznie do siebie przyciągnął.

Nie wiedząc, czego się spodziewać, popatrzyłam na niego z pewną czujnością. Jedyne, na co się zdobyłam, to blady uśmiech, słowo „obietnica” miało bowiem zbyt wymowny wydźwięk.

– Sonieczko, obiecuj mi, że zawalczysz o swoje szczęście, tak jak Sabina i Marcin. Musisz się odważyć kochać naprawdę i żyć naprawdę. Nie zamykaj się w sobie tak, jak przez ostatnie lata, tylko spróbuj sięgnąć po to, co dla ciebie ważne... – Patrzył na mnie z determinacją, a ja czułam w sobie wyjątkowy opór, żeby się odezwać. W odpowiedzi na jego słowa jeszcze sugestywnie zacisnęłam usta.

– Nie wiem przecież, co mnie czeka... – wydukałam wreszcie po dłuższej chwili.

– Wybierz dla siebie dobre życie. Nie zadowolaj się byle czym, bo ani się obejrzyysz, a już trzeba będzie zrobić rozrachunek z przeszłością. Rzadko

kto potrafi szczerze, bez wymówek spytać siebie, co jest dla niego ważne. Ludzie obawiają się sami podejmować decyzje, bo to zawsze niesie ryzyko niepowodzenia. Córeńko, ale bez tego nie ma nic prawdziwego. Spójrz na mnie... – Przerwał na moment i zmusił mnie wzrokiem, bym głęboko spojrzała mu w oczy. – Zbyt długo chowałem się za plecami innych, bałem się zrobić to, czego pragnąłem. Asekurowałem się, tłumacząc sobie w duchu, że tak robi większość ludzi. Ale pozorny spokój jest niczym innym jak zakamuflowaną tęsknotą za odkryciem drzemiącej w nas prawdy. Odważ się odnaleźć tę prawdę w sobie. Nie bój się tego.

Słowa ojca niespodziewanie trafiły na podatny grunt. Coś we mnie obudziły, o czymś przypomniały. W tej chwili nie potrafiłam o tym nic więcej powiedzieć. Nie umiałam określić kłębiących się we mnie uczuć. Ale jednego byłam pewna. Nigdy więcej nie powiem „tak”, gdyby miało mnie to w jakikolwiek sposób zranić. Nie sprzeniewierzę się sama sobie. Nauczę się siebie słuchać, bym zawsze wiedziała, co jest dla mnie najlepsze. Ani razu w sobie nie zwątpię. Będę żyć tak, by kiedyś nie mieć sobie do zarzucenia, że moje życie było jedynie letnie, podczas gdy mogłam odkryć w nim swoją krainę szczęścia.

– Postaram się, tatusiu... – rzekłam, z coraz większym trudem panując nad ogarniającym mnie z chwili na chwilę wzruszeniem. – Dziękuję ci za te słowa, bardzo ich potrzebowałam.

Potem znów nie odzywaliśmy się do siebie, ograniczając się tylko do wymownych spojrzeń. Trzymaliśmy się za dłonie, spokojni i szczęśliwi, że ta ważna chwila wciąż trwa i nic nie jest w stanie jej teraz zakłócić. W pewnym momencie tata zamknął oczy, a po jego oddechu spostrzegłam, że śpi. Pielęgniarka, która co jakiś czas do nas zaglądała, dała mi do rozumienia, że spotkanie powinno dobiec końca. Mimo to nie mogłam się zdobyć na opuszczenie sali. Jeszcze przez kilka minut stałam z boku

i patrzyłam na tatę. Wydawał się taki kruchy i bezbronny, delikatny niczym małe dziecko, a jednak teraz, po naszej dzisiejszej rozmowie, dostrzegłam w nim też siłę, której wcześniej nie potrafiłam albo nie chciałam zauważyć. Tata był prawdziwym bohaterem. Dla niego pragnęłam żyć tak, by wreszcie poczuć prawdziwy smak tego życia.

Z hospicjum znów pojechałam nad Wisłę, lecz dziś śnieżne poddmuchy wiatru uniemożliwiały dłuższą wędrówkę. Jakimś cudem dotarłam wprawdzie do brzegu, ale po kilku minutach stania w miejscu miałam wrażenie, że zaraz zamarznę. W szybkim tempie wróciłam potem do auta, które w czasie mojej nieobecności zdążyła już pokryć kilkucentymetrowa warstwa śniegu. Wyjęłam więc z bagażnika miotełkę i oczyściłam karoserię. Zaraz potem odpaliłam silnik i skierowałam się do centrum. Trochę czasu spędziłam w restauracji, a kiedy stamtąd wyszłam, miasto, które ogarnęła już wczesnowieczorna szarówka, tonęło w magicznej powodzi świateł. Cudownie wyglądał Stary Rynek w świątecznej odsłonie i gdyby nie mój melancholijny nastrój, pewnie szybko dałabym się porwać jego wyjątkowej aurze. Przy choince ktoś robił sobie zdjęcia, a obok mnie przechodziła grupka roześmianych ludzi. Trudno było pozostać obojętnym na tę unoszącą się wokół radość. Ale czy ja w ogóle miałam do niej prawo? Czy mogłam się cieszyć w chwili, gdy mój tata gasnął? Jeszcze kilka dni wcześniej planowałam zakup bożonarodzeniowych podarków i wigilię u Witkowskich. Naprawdę cieszyłam się na ten szczególny czas w gronie bliskich mi osób. Jeden moment, a właściwie jeden list, zmienił wszystko. Gdybym, dajmy na to, nie okazała się tak skrupulatna i nie czytała wiadomości od ojca według ustalonej chronologii, lecz przekornie zaczęła od ostatniej, zyskałabym więcej dni, by dłużej z nim pobycć. Tyle że wtedy, nie wiedząc tego, czego dowiedziałam się o tacie z całej korespondencji, pewnie nie umiałabym go zrozumieć. Być może nawet nie potrafiłabym

wyrzucić z serca urazy. Kolejne listy otwierały we mnie przestrzeń konieczną dla wybaczenia. A kiedy ono się pojawiło, między nami znów mogła płynąć miłość.

Mimo wszystko nie mogłam się oprzeć i wstąpiwszy do jednego ze sklepów, do którego zwabiły mnie stojące na wystawie stylowe anioły, zdecydowałam się kupić choinkę w ozdobnej doniczce. Była naprawdę mała, bez problemu mogłam więc wziąć ją w dłonie, a dzięki wiszącym na niej kilku słomkowym dekoracjom od razu skojarzyła mi się z wiejską chatą Skowrońskich w dawnej Bukowej Górze. Ta myśl nieoczekiwanie ogrzała mnie od wewnątrz i w konsekwencji tego skusiłam się jeszcze na dwa anioły uszyte z lnu i kremowego batystu, bo te zajmowały tutaj najwięcej półek. Pomyślałam, że jednego podaruję jutro tacie, a drugiego zostawię dla siebie.

Niestety w tym miejscu mój zapal się skończył. Poza odwiedzinami u taty nie planowałam niczego na ten szczególny dzień. Wypadałoby przygotować jakąś skromną kolację i kupić coś do jedzenia na kolejne świąteczne dni, ale zupełnie nie miałam do tego głowy. Stwierdziłam, że zajmę się tym jutro przed południem.

Wróciwszy na osiedle, poszłam jeszcze na chwilę do pani Wiesi. Sąsiadka już od wczoraj suszyła mi głowę, bym do niej zajrzała, więc nie wypadało odmówić. Ostatecznie całkiem miło spędziłam tam wieczór i kiedy wreszcie dotarłam do mieszkania taty, marzyłam już tylko o tym, by jak najszybciej się położyć. Pani Wiesia zaprosiła mnie do siebie na wigilię, ale tak, by jej nie urazić, uprzejmie odmówiłam. W obecnej sytuacji pragnęłam jedynie spokoju i nie uśmiechało mi się spotkanie towarzyskie. A przy wigilijnym stole u sąsiadki miało zasiąść dość liczne grono.

Nazajutrz pierwszym, co zobaczyłam po obudzeniu, była zamyślona twarz anioła, którego postawiłam tuż przy łóżku. Jego zwiewne szaty

delikatnie lśniły w zagląającym przez okno słońcu, przez co wyglądał jak prawdziwy wysłannik niebios. Pomyślałam, że to dobry znak, a ten dzień na pewno okaże się miły. Mawiają, że jaka Wigilia, taki cały rok, więc byłoby idealnie, gdyby wszystko poszło dziś jak z płatka. W odróżnieniu do kilku ostatnich dni dziś towarzyszył mi wyjątkowy spokój. Podejrzywałam, że wpływ na to miała moja wczorajsza rozmowa z tatą. Kilka znaczących zdań, które od niego usłyszałam, spowodowało we mnie głęboką przemianę. Już się nie bałam przyszłości, nie winałam się za to, że czegoś nie dopatrzyłam, nie zastanawiałam się na darmo, jak wyglądałoby moje życie, gdyby sprawy ułożyły się inaczej. Było jak było i chyba wreszcie, przynajmniej częściowo, zaakceptowałam trudną sytuację.

Spokojnie zjadłam śniadanie, wypijałam kawę, myśląc nad tym, co kupić na symboliczną kolację wigilijną, którą zamierzałam spędzić sama ze sobą. Po cichu liczyłam, że może uda mi się dziś dłużej побыć z tatą albo podjechać do niego jeszcze raz późnym popołudniem. Tak czy siak, wypadało kupić coś do jedzenia. Ponieważ sklepy zamykano dziś wcześniej, postanowiłam zająć się tym od razu. Ubrałam się, wzięłam siatki i ruszyłam do znajdującego się nieopodal dyskontu. Zamierzałam iść na piechotę, lecz w ostatniej chwili skręciłam na parking i skierowałam się do samochodu. Choć planowałam niewielkie zakupy, podejrzewałam, że tak jak zazwyczaj, pakunki okażą się większe, niż zakładałam. Włączyłam radio i od razu usłyszałam wesoły głos prowadzącego informujący uroczyście, że dziś mamy Wigilię. Później rozległa się melodia znanego świątecznego szlagieru, który kojarzyłam z dzieciństwa, co wprawiło mnie w jeszcze lepszy nastrój. Pojechałam znaną mi drogą, ale szybko się przekonałam, że tamtędy nie dojadę. Cofnęłam się więc do głównej szosy i utknęłam w sporym korku. W pewnej chwili zaczęłam się niecierpliwić, bo samochody przede mną poruszały się w żółwym tempie, a czas

przymusowego postępu znacznie się przedłużał. Licząc na objazd, nagle pod wpływem impulsu skręciłam w osiedlową uliczkę. Takich jak ja było wielu, ale i tak udało mi się ominąć zator. W pewnym momencie zorientowałam się, że znajduję się nieopodal drogi prowadzącej do hospicjum. Znowu zadziałałam machinalnie i ruszyłam na wcześniejsze, niż planowałam, spotkanie z tatą. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam wcześniej zadzwonić i spytać o jego stan, ale znajdowałam się już tak blisko, że grzechem byłoby tam nie podjechać. Zerknęłam na zegarek, upewniając się, że później spokojnie zdążę jeszcze zrobić zakupy.

Uspokojona po wczorajszym spotkaniu z tatą, dziś chyba po raz pierwszy wchodziłam do hospicjum bez ucisku w klatce piersiowej, opanowując drżenie rąk i bagatelizując zalewające mnie w tej sytuacji obawy. Weszłam do pokoju, kierując wzrok na miejsce pod ścianą, i zamarłam. Starannie zaścielone łóżko stało puste. Jeszcze nie docierało do mnie, co mogło się stać, choć w mojej głowie coraz wyraźniej próbowała dojść do głosu pewna upiorna myśl. Zbagatelizowałam ją i wypadłam z sali, by się dowiedzieć, gdzie jest tata. Była Wigilia, więc może przeniesiono go gdzieś indziej. Nie wiedziałam do końca, jakie reguły panowały w tym miejscu. Dotarwszy do głównego holu, zauważyłam znajomą pielęgniarkę. Jedno spojrzenie na nią wystarczyło, by zrozumieć, co się stało.

– Bardzo mi przykro, pani ojciec zmarł dziś rano. Dzwoniliśmy do pani... – powiedziała kobieta, lecz już jej nie słuchałam. Zrobiło mi się ciemno przed oczami i chyba zasłabłam, bo po chwili, gdy świadomie rozejrzałam się wokół, zauważyłam, że siedzę na krześle w dyżurce.

To, co działo się potem, zlało się w jedną pełną niepokoju i rozpacz chwili. Gdy wyszłam z hospicjum, zachowywałam się jak automat, wiedziałam, co robię, ale uczucia i emocje pozostawiłam gdzieś z boku. Pielęgniarka poinformowała mnie, o czym nie pamiętałam, że

zaaplikowano mi coś na uspokojenie, więc pewnie stąd to spowolnienie. Przez kilka godzin jeździłam potem po mieście. Raz zatrzymałam się na stacji benzynowej, żeby zatankować, a potem znów błąkałam się znajomymi i obcymi mi ulicami. Miałam wrażenie, że czas stanął w miejscu, i trudno mi było zauważyć jego upływ. Spostrzegłam jedynie, że niebo zdążyło poszarzeć, a w oknach domów, które mijałam, zapalały się już światła. Pewnie mieszkańcy zasiadali już do wigilijnej kolacji. W pewnym momencie zorientowałam się, że zbliżam się do osiedla mojego dzieciństwa. Zanim podjechałam pod znajomy blok, zatrzymałam się jeszcze przed apteką i kupiłam tabletki uspokajające.

Gdy weszłam do mieszkania, najpierw zauważyłam anioła, który rankiem przyciągnął mnie swoim spokojnym wzrokiem. Nieopodal stał jego bliźniaczy brat, lecz ten nie zdążył dotrzeć do miejsca swojego przeznaczenia. Później usłyszałam sygnał telefonu i dostrzegłam leżącą na stole komórkę. Na wyświetlaczu pojawił się numer Rozalii, ale nie znalazłam teraz siły, by z nią rozmawiać. Nic dziwnego, że nie odebrałam połączenia z hospicjum, skoro wyszłam bez telefonu. Nie zapalając światła, przez kilka minut snułam się po mieszkaniu, aż zatrzymałam się przy oknie w kuchni. Wychodziło na szpaler ośnieżonych drzew, teraz lekko podświetlonych blaskiem ulicznej latarni. Patrząc przez okno, jednocześnie sięgnęłam po kupione po drodze leki i wyjąwszy z blistra jedną tabletkę, pospiesznie wpakowałam ją sobie do ust, szybko popijając wodą z butelki. Potem usiadłam na krześle i znów wpatrywałam się w monotony krajobraz za oknem. Nie wiem, ile minęło czasu, ale w pewnej chwili wzięłam się w garść, sięgnęłam po komórkę i oddzwoniłam do Rozalii. Nie zdążyłam nawet poinformować jej o śmierci taty, bo już usłyszałam w słuchawce jej radosny głos.

– Dzień dobry, Soniu. Kochana dzwoniłam do ciebie, by podzielić się radosną nowiną. Dziś rankiem urodziła się nam Jagódka. Hania i dziecinka czują się dobrze – mówiła uradowana.

– Bardzo się cieszę... – wydukałam po dłuższej chwili milczenia.

– Soniu, stało się coś?

Chciałam odpowiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle.

– Coś z tatą? – spytała ostrożnie moja starsza przyjaciółka.

– Tak... on... tata zmarł – wyrzuciłam wreszcie z trudem tę bolesną prawdę.

– Boże drogi, tak mi przykro – rzekła Rozalia. – Kochanie, jak ty się czujesz?

– Nie wiem – odparłam szczerze, bo na razie trudno było mi określić, w jakim jestem stanie. – Chyba... chyba jeszcze całkiem to do mnie nie dotarło.

– Dasz sobie radę? Może ktoś z nas przyjechałby do ciebie, bo ty raczej nie powinnaś teraz wsiadać za kółko.

Pomyślałam, że akurat dziś spędziłam wiele godzin za kółkiem i chwała Bogu, że nie spowodowałam żadnej kolizji czy poważniejszego wypadku.

– Tak – odparłam po kilkunastu sekundach, starając się brzmieć pewnie. Choć chciałam dodać jeszcze coś miłego o Hani i jej nowo narodzonej córeczce, w głowie czułam jedynie pustkę.

Przez dłuższą chwilę, być może chcąc mnie wybadać, Rozalia starała się jeszcze przeciągać rozmowę, ale moje milczenie zmusiło ją w końcu do odłożenia słuchawki. Zanim się rozłączyła, musiałam obiecać, że w razie czego do niej zadzwonię. Kobieta zapewniła mnie, że ona i Gabriel lub ktoś z jej rodziny w każdej chwili mogą do mnie przyjechać.

„Co za paradoks, podczas gdy tata odszedł, Hania wydała na świat swoje maleństwo”. Pomyślałam ze smutkiem, że koniec i początek to dwie

strony tej samej monety i wbrew pozorom dzieli je nieduża odległość. Ktoś oszedł, robiąc miejsce komuś innemu. Jedno serce opanowała rozpacz, a inne radość. Nagle poczułam wyjątkowe znużenie. A może zaczęła działać pastylka na uspokojenie. W każdym razie ogarniała mnie coraz większa senność. Zadzwoiłam jeszcze do pani Wiesi i pana Zdziśka poinformować ich o śmierci taty. Zaraz potem wstałam i powlekłam się do pokoju, gdzie padłam na łóżko, zwinęłam się w kłębek i nakrywszy się kocem, nim się spostrzegłam, usnęłam.

Kiedy się przebudziłam, wydawało mi się, że słyszę sygnał telefonu. Mimo to zamknęłam oczy i odwróciłam się na drugi bok. Nadal się czułam zmęczona, a na dodatek rozbolała mnie głowa. Po chwili dźwięk się powtórzył, a ja się zorientowałam, że dobiega on z przedpokoju. Mój umysł wciąż spowijała mgła i dopiero gdy dotarłam do drzwi, upewniłam się, że dzwoni domofon. Nawet nie spytałam, kto to, tylko wpuściłam tę osobę do środka. Już po chwili usłyszałam pukanie. Widok stojącego na wycieraczce Bartosza tak mnie zdziwił, że momentalnie oprzytomniałam.

– Ty... tutaj...? – spytałam ledwo słyszalnym głosem.

– Mogę wejść? – Bartosz patrzył na mnie nieco zmęczonym wzrokiem, a ja zauważyłam, że trzymał sporych rozmiarów ortalionową torbę.

– Tak, oczywiście. – Wpuściłam go do środka i zamknęłam drzwi.

Zapaliłam światło, Bartosz zdjął buty i kurtkę, a kiedy przeszliśmy do pokoju, spojrzał na mnie ostrożnie.

– Jak się czujesz? – spytał cicho.

– Skąd wiedziałeś? – Zamiast odpowiedzieć, spojrzałam mu prosto w oczy.

– Pani Rozalia mi powiedziała. Podała mi twój adres. Mam nadzieję, że nie masz nam tego za złe...

– Nie, oczywiście, że nie, tylko... Jechałeś tu taki kawał drogi. – Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Martwiłem się o ciebie. – Bartosz przybliżył się do mnie, lecz nie odważył się na śmielszy gest, tylko nieznacznie uniósł rękę. Objęłam ją, a kiedy poczułam bijące od Bartosza ciepło, gdy dostrzegłam w jego wzroku troskę, coś we mnie pękło i nagle przylgnęłam do niego. Objęłam go mocno, zupełnie tak, jakbym się obawiała, że zaraz mi się wymknie. Najpierw tylko lekko dygotałam, ale po chwili moje oczy nabrzmiały od łez i nim się spostrzegłam, rozszlochałam się na dobre. Bartosz gładził mnie po włosach, co jakiś czas ocierał mi łzy z policzków, po czym znów mocniej przytulał i lekko kołysał. To mnie uspokajało, ale jednocześnie jeszcze bardziej się rozczuliłam. Nie wiem, skąd nabierało się we mnie tyle łez, ale miałam wrażenie, że nie przestanę płakać. Gdy spostrzegłam, że zmoczyłam Bartoszowi sweter, nieznacznie się odsunęłam.

– Przepraszam – wydukałam, chlapiąc. – Zupełnie się przy tobie rozkleiłam.

– Miałaś bardzo trudny dzień – zauważył Bartosz i znów spojrzał na mnie czujnie, prawdopodobnie nie wiedząc, czy jestem gotowa zmierzyć się z sytuacją.

– Taak – rzekłam z głębokim westchnieniem. – Wiesz... dopiero teraz, przy tobie, tak naprawdę dotarło do mnie, co się stało. Przez cały dzień chodziłam jakaś otumaniona i widziałam wszystko jak przez szybę.

– Wiem, że to trudne, ale poradysz sobie. – Bartosz znów przygarnął mnie do siebie.

Boże, ależ mi to przyniosło niewyobrażalną ulgę. Nie zdawałam sobie sprawy, że obecność właściwego człowieka i jego szczere wsparcie mogą tak bardzo podnieść na duchu. Właśnie się przekonałam, że Bartosz jest dla mnie kimś wyjątkowym i bardzo, bardzo bliskim. Bliższym niż sądziłam.

– Jechałeś taki szmat drogi, pewnie jesteś głodny i zmęczony. – Mimo że moje oczy były nieco opuchnięte, popatrzyłam na kolegę już zupełnie przytomnym wzrokiem. – Chodźmy do kuchni, zrobię ci chociaż coś do picia, bo z jedzeniem u mnie dość marnie. – Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że planowałam robić zakupy.

– Jedzenie to ja akurat przywiozłem. – Bartosz się schylił i sięgnął po torbę. A zauważając moje pytające spojrzenie, od razu wyjaśnił: – Pani Rozalia zapakowała mi tutaj kolację wigilijną i jakieś specjały ze Złotego Serca, a do tej wałówki dorzucili się też moja mama i mój dziadek.

– Twój dziadek... pan Maurycy...? – Wciąż pełna emocji, skojarzyłam dopiero po chwili. – To znaczy, że...

Nie zdążyłam dokończyć, bo Bartosz wszedł mi w słowo.

– Sporo się wydarzyło w tym czasie, gdy wyjechałaś – wyjaśnił oględnie.

– Usiądźmy i opowiedz mi wszystko. Potrzebuję tego w tej chwili – poprosiłam.

Zanim wygodnie się ulokowaliśmy, wstawiłam wodę w czajniku, wyjęłam z szafki talerze, a Bartosz wyjął z torby przywiezione jedzenie. Część z tego trzeba było podgrzać, więc rozejrzałam się też za garnkami. Nie sądziłam, że będę w stanie coś przełknąć, kompletnie bowiem nie czułam głodu, a zawiązany w supeł żołądek wydawał się twardy jak kamień. Gdy poczułam zapach podgrzewanego barszczu i kapusty, zaburczało mi w brzuchu. A kiedy potem usiedliśmy z Bartoszem przy stole, na którym zdążyliśmy poustawić wszystkie wiktuały, wbrew temu, co podejrzewałam, dopisywał mi apetyt.

Dochodziła dwudziesta czwarta, a my dopiero zjedliśmy wigilijną kolację. Bartosz zażartował nawet, że teraz wypadałoby wybrać się na pasterkę. Zapakowaliśmy brudne naczynia do zmywarki, resztę jedzenia

włożyliśmy do lodówki i z kubkami wypełnionymi herbatą ruszyliśmy do pokoju. Zajęliśmy miejsca na sofie bardzo blisko siebie i tam kontynuowaliśmy rozmowę. Cudownie było się oderwać od wydarzeń dzisiejszego dnia i posłuchać tego, co miał do powiedzenia przyjaciel. Cieszyłam się, że Maurycy pojednał się ze swoją córką, a nawet spędzili razem wigilię. Bartosz też bez większego trudu przekonał się do swojego dziadka i o dziwo, jak sam zaznaczył, już w czasie drugiego spotkania zaczął tak się do niego zwracać.

Później mówiłam ja, a wtedy nie było już tak przyjemnie. Znowu polały się łzy i nie dało się zapanować nad emocjami. Powoli wracałam do dzisiejszych wspomnień i słowo po słowie, z wielkim trudem opowiedziałam Bartoszowi o porannej wizycie w hospicjum. Potem wróciłam do wcześniejszych spotkań z ojcem, naszych nieoczywistych rozmów i tego, co we mnie zmieniły. W pewnym momencie Bartosz znowu mnie przytulił. Przy czym tym razem spojrzał na mnie w inny sposób i jeszcze bardziej się przybliżył. Znieruchomiałam, mając świadomość tego, co się zaraz stanie. Bartosz musnął ustami moje wargi, a wtedy serce biło mi jak szalone. Ale chociaż obietnica pocałunku wydawała się tak przyjemnie kusząca, wbrew sobie i temu, czego pragnęłam, gwałtownie się od niego odsunęłam.

– Przepraszam – bąknął z zawstydzeniem. – Nie powinienem, zwłaszcza dziś...

– To nic, tylko, ech... – Ja też poczułam się niezręcznie, tym bardziej że było nam ze sobą tak dobrze i właściwie to chyba sama zachęciłam Bartosza do tego gestu. – Chyba powinniśmy już pójść spać – zasugerowałam, po czym wstałam i żeby zająć czymś ręce, sięgnęłam po stojące na stoliku kubki.

Bartosz też się zerwał i ruszył za mną do kuchni. Zaraz jednak wróciliśmy do pokoju, a ja bez słowa zajęłam się rozkładaniem i ścieleniem sofy.

– Gdzie wolisz spać: tu czy na łóżku? – spytałam, nie patrząc na przyjaciela.

– Gdziekolwiek – odparł i dodał z humorem: – Nie jestem wybredny.

Ponieważ łóżko zdążyłam już oswoić, pościeliłam Bartoszowi na sofie. Sprawiała wrażenie wygodnej, więc miałam nadzieję, że przyjaciel dobrze się wyśpi.

Wydawało się, że ta noc nie ma końca. Wiedziałam, że Bartosz też nie mógł zasnąć. Poznałam to po jego oddechu, niespokojnych odgłosach poruszanej kołdry. Niemniej żadne z nas się nie odezwało. Przez moją głowę galopowały tabuny rozszalałych myśli, zalewały mnie sprzeczne uczucia i wmawiałam sobie, że nie mam prawa czuć tego, co czułam. Mimo to nie mogłam zaprzeczyć przed sobą, że coraz bardziej ciągnie mnie do Bartosza i momentami męczyła mnie ta pozorna samotność, przeszkadzała granica, którą nieoczekiwanie wyznaczyłam, podczas gdy on był tak blisko. Rankiem to ja obudziłam się pierwsza i na palcach udałam się najpierw do łazienki, a potem do kuchni. Zrobiłam sobie herbatę i usiadłam pod oknem, do którego optymistycznie zaglądało słońce. Kwadrans później w drzwiach pojawił się Bartosz.

– Hej. – Wszedł, uśmiechając się, i zajął miejsce obok mnie. – Jak samopoczucie?

– Bywało lepiej, ale może być – odparłam. – Napijesz się czegoś? – zagadnęłam, bo dotarło do mnie, że mimo wszystko jestem tu gospodynią.

– Wezmę wodę. – Sięgnął po butelkę nałęczowianki i nalał sobie do kubka.

Mimo że na początku zapadło między nami milczenie, później całkiem miło nam się już gawędziło. I kolejny raz się przekonałam, że przy Bartoszu w każdej sytuacji mogę się czuć swobodnie. Zjedliśmy śniadanie, a potem znów przenieśliśmy się do pokoju. Bartosz złożył sofę, więc wygodnie się tam rozlokowaliśmy. Dzisiaj się pilnowałam, by trzymać stosowny dystans, więc gdy tylko za bardzo się do siebie przybliżyliśmy, od razu przesuwałam się dalej. Robiłam to niechętnie, jakby pod przymusem, bo wszystko we mnie, ciało i serce, garnęło się do Bartosza, lecz wspomnienie wczorajszej sytuacji powstrzymywało mnie przed skróceniem dystansu.

Koło drugiej zjedliśmy obiad, a Bartosz nieoczekiwanie stwierdził, że dobrze zrobiłby mi spacer. Wtedy wpadłam na pomysł, by pojechać nad Wisłę w miejsce, które tak lubiłam. Tym bardziej że pogoda dopisywała, trzymał lekki mroziak, ale świeciło słońce. Doszłam więc do wniosku, że w takich okolicznościach powinno się dać swobodnie dojść do brzegu. Spacer okazał się sentymentalny, poląły się łzy i znów było pełno emocji. Sądziłam, że wczoraj powiedziałam Bartoszowi już wszystko, a okazało się, że wciąż przypominałam sobie coś ważnego, czym chciałam się z nim podzielić.

Gdy byliśmy na zewnątrz, naturalnie i szybko porzuciłam rezerwę i nie protestowałam, kiedy najpierw Bartosz chwycił mnie za rękę, a potem objął. Czując jego opiekuńczą siłę, pozwoliłam mu się prowadzić i było mi z tym niezwykle dobrze. Nie wiem, jak przetrwałabym bez niego ten trudny czas. Pewnie wciąż faszerowałabym się tabletkami na uspokojenie i zakopała się pod kołdrą, byle tylko przetrwać. Bartosz pomógł mi się z tym skonfrontować, jego obecność mnie uspokajała. Z nim łatwiej weszłam w nową rzeczywistość. Nie sprzeciwiłam się nawet wtedy, gdy w pewnym momencie mnie pocałował. Stanęliśmy akurat pod potężnym

dębem, nieopodal szumiała rzeka i przez kilka chwil zapomniałam o drzemającym we mnie smutku. Od tego momentu częściej okazywaliśmy sobie czułe gesty i obojgu nam przychodziło to łatwiej. W domu nie uciekałam już przed nim, gdy akurat stanął obok, a wręcz szukałam okazji, by być bliżej niego.

Przegadaliśmy niemal pół nocy, a nazajutrz znów zjedliśmy razem śniadanie. Przyjazd Bartosza wiele zmienił. Czułam, że choć jestem na życiowym zakręcie, mimo wszystko znalazłam bezpieczne schronienie. Nie pytałam, jak długo zostanie, ale trzymałam się jego słów, że będzie ze mną, dopóki to konieczne, i pozwoliłam mu się sobą zaopiekować. Nie rozmyślałam na temat naszej relacji, bo w obecnej sytuacji raczej nie dało się niczego zaplanować.

Minęły święta, a Bartosz wciąż był ze mną i wziął na siebie organizację pogrzebu. Czułam ogromną wdzięczność za ten wspólny, z mojego punktu widzenia bezcenny, czas. Codziennie dzwoniła też do mnie Rozalia i przyjaciele z Bukowej Góry. Nie byłam samotna, miałam wokół liczne grono bliskich osób. Ale to Bartosz sprawił, że zaczęłam z determinacją, cegielka po cegielce, odbudowywać mój zdruzgotany świat. Mówią, że czas leczy rany, i zapewne jest to prawda. Ale obecność kogoś wyjątkowego sprawia, że zablizniają się one szybciej.

Tatę pożegnaliśmy trzydziestego grudnia. W kaplicy zgromadziło się kilkanaście osób, głównie jego znajomych. Zastanawiałam się, czy pojawi się też Marta, ale albo nie miała ochoty uczestniczyć w takiej ceremonii, albo niewiele obeszła ją śmierć byłego męża. Sądziłam, że zniosę pogrzeb o wiele gorzej, ale okazało się, że tak jak powiedział Bartosz, byłam niezwykle dzielna. W tym dniu często płakałam, ale też dużo mówiłam. Odczuwałam ciągłą potrzebę, by wspominać tatę, na każdym kroku coś mi się przypominało i chciałam, żeby Bartosz też o tym wiedział. Nieustannie

napływały do mnie przyjemne wspomnienia z dzieciństwa, ale też takie związane z późniejszym, trudnym czasem, kiedy rzucona na głęboką wodę, musiałam radzić sobie sama.

W ostatnim dniu roku dotarło do mnie, że powinnam wreszcie stanąć na własnych nogach. Chociaż przynosiło mi to wielką ulgę, nie mogłam wciąż się wspierać na ramieniu Bartosza. Poza tym kończył mi się urlop i we wtorek należało przecież pojawić się w pracy. Następnego dnia czekała mnie więc podróż do Łodzi. Nie wiedziałam jeszcze, jak to wszystko zorganizuję. Czy sprzedam mieszkanie po tacie, czy je wynajmę. Nie było szansy, żebym stale kursowała między Łodzią a Bydgoszczą. Pobyt w Bukowej Górze i ostatnie wydarzenia sprawiły, że myślałam o swoim dawnym życiu z dużą niechęcią. Nie uśmiechał mi się powrót do pracy, a przecież jeszcze niedawno wychodziłam z redakcji z myślą, że kiedy znów tam się pojawię, będę miała materiał na świetny artykuł.

– Nad czym się zastanawiasz? – spytał Bartosz i usiadłszy na sofie obok mnie, podał mi szklankę soku marchewkowego.

Dochodziła dwudziesta druga i po swojemu, na ile pozwalała nam na to sytuacja, szykowaliśmy się do powitania Nowego Roku. Przygotowaliśmy skromny poczęstunek i teraz co chwilę sięgaliśmy a to po ciastko, a to po jakąś przekąskę.

Ostatnia noc jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyła i choć wciąż się broniłam przed jednoznacznym określeniem, co czuję do Bartosza, miałam wrażenie, że jestem z nim tak blisko, jakbyśmy stanowili jedną całość. Na pewno dotąd nie byłam w takiej relacji z żadnym mężczyzną. Przy Bartoszu nie tylko odważyłam się mówić o ukrywanych przez lata, bolesnych sprawach, lecz także zdobyłam się na szczere uczucie. Czy była to miłość? Nie wiem, chyba zbyt krótko się znaliśmy, by móc jasno to stwierdzić.

– Wkrótce się rozjedziemy – zauważyłam smętnie, upijając kilka łyków soku i odstawiając szklankę na stolik.

Bartosz wspomniał wczoraj, że po Nowym Roku czeka go kilka ważnych projektów i prawdopodobnie będzie musiał się pojawić w swojej redakcji. Dodał jednak, że gdy wszystko omówi z pracownikami, będzie mógł działać zdalnie. Nie odniosłam się do jego słów.

– Chyba wreszcie powinniśmy o tym pogadać. – Spojrzał na mnie z poważnym wyrazem twarzy. – Mówiłaś, że masz gęsią skórkę na myśl o powrocie do redakcji.

– Bo tak jest – oznajmiłam pewnym głosem. – Na razie jestem zbyt rozbita, by rzucać robotę i szukać czegoś innego. Nie mam na to siły.

– Słuchaj, ja miałem ci to zaproponować już wcześniej, ale zawsze coś stawało na drodze. Potem wyjechałaś i ta sytuacja z twoim tatą... – Zamilknął na chwilę, ale zaraz wrócił do tematu. – Wiem, że to byłaby dla ciebie wielka zmiana, także miejsca zamieszkania, ale chciałem ci zaproponować, żebyś zaczęła pracę w naszej redakcji. Potrzebuję w ekipie kogoś tak piekielnie zdolnego jak ty.

– Miałabym pracować razem z tobą? – Utkwiłam na Bartoszu zaskoczone spojrzenie. Zupełnie nie spodziewałam się takiej propozycji.

– To aż takie straszne? – zażartował i wzniosł oczy ku sufitowi.

– Nie! – Roześmiałam się. – Nie to miałam na myśli.

– Boisz się czegoś? – spytał, pewnie odczytując z mojej twarzy wątpliwości.

– Nie wiem, czy bym sobie poradziła. Nie mam takiego doświadczenia jak ty i ludzie, którzy tam pracują. Nie czarujmy się, „Niezwykłości” to jednak nie „Kraków Kiedyś i Dziś” – wyraziłam swoje obawy.

– Nie słyszałem większych głupot – oburzył się Bartosz. – Jesteś utalentowana, pracowita, sumienna, szczerą... – wymieniał Bartosz, lecz

mu przerwałam.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – spytałam przekornie.

– Czytam między wierszami, poza tym jestem świetnym obserwatorem
– rzekł z przekonaniem.

– No nie wiem, a może tylko udawałam, bo chciałam ci się pokazać z jak najlepszej strony – przekomarzałam się z nim.

– Soniu. – Bartosz chwycił mnie za rękę. – Bardzo mi zależy, żebyśmy razem pracowali, bo wierzę, że efekt tego będzie oszałamiający. Tak jak wierzę we wszystko, co przed chwilą powiedziałem o tobie. Ale... ale zależy mi też, żebyś była blisko mnie, bo teraz... po tym, co ostatnio razem przeszliśmy, nie wyobrażam sobie, żebym miał się z tobą rozstać.

Zaniemówiłam po tym wyznaniu i ze wzruszenia zaraz zaszkliły mi się oczy. Wydawało się, że w ciągu ostatnich dni wypłakałam już morze łez, tymczasem się okazało, że wciąż jest ich jakiś zapas. W jednej chwili dotarło do mnie, że czekałam na te słowa. Zagubiona w domysłach i niepewna jutra, oddalałam od siebie myśli dotyczące najbliższej przyszłości. Było jak było, dlatego odkąd przyjechałam do Bydgoszczy, żyłam wyłącznie chwilą. Ale kiedy teraz spojrzałam Bartoszowi w oczy, miałam pewność, że i ja nie chcę się z nim rozstawać. Domyślałam się, że związek na odległość być może miałby rację bytu, ale nie zamierzałam tego sprawdzać. Pragnęłam dzielić z Bartoszem codzienność, cieszyć się z drobnych gestów, chodzić na długie spacer, każdej nocy usypiać wtulona w niego i budzić się z przeświadczeniem, że przed nami kolejny dobry dzień. Jak nigdy wcześniej, wreszcie miałam pewność, że to ten właściwy mężczyzna. Ktoś, kto nie tylko zobaczy we mnie zewnątrz piękno i młodość, bo te przecież szybko przemijają, lecz kiedy zajdzie potrzeba, w bólu i smutku, dojrzy też prawdziwego człowieka. Bartosz widział mnie w jednym z najtrudniejszych momentów w życiu, kiedy rozsypanej na

kawałki ciężko mi było samodzielnie egzystować. Trwał przy mnie, cichy, lecz jednocześnie stanowczy, dbając o to, bym się pozbierała. Codziennie dodawał siły, której mi brakowało. Cierpliwie podawał chusteczki, żebym otarła zapuchnięte od płaczu oczy i wysiękała nos. Zostawił swój spokojny, poukładany świat i wszedł w sam środek huraganu, doświadczając ze mną bezgranicznego smutku i wszystkich tych emocji, które po raz pierwszy przeżyłam dopiero po stracie taty. Jak miałabym zrezygnować z kogoś takiego?

– Postaram się nie zawieść – wydukałam w końcu wzruszona.

– To znaczy, że się zgadzasz?

– Zaryzykuję... – rzekłam z szelmowskim uśmiechem, a przytuliwszy się do Bartosza, po chwili wyszeptałam mu jeszcze do ucha: – Ja też nie chcę się z tobą rozstawać.

Bukowa Góra rok później



Szłam gruntową drogą, kierując się w stronę jeziora, i patrzyłam na znajomy pejzaż. Choć była połowa listopada i łąki nie przyciągały już wzroku soczystymi barwami, samo przebywanie w tym miejscu sprawiało mi radość. Trudno uwierzyć, że minął prawie rok, odkąd po raz pierwszy pojawiłam się w Bukowej Górze. Rok intensywnych zmian, które znów mnie tutaj przyprowadziły. Czas odkrywania siebie i jednocześnie dzielenia go z Bartoszem.

Początkowo obawiałam się naszej wspólnej pracy, bo mimo że miałam swój gabinet, bardzo często widywaliśmy się w ciągu dnia. Na razie nie wywoływało to między nami jakichś problematycznych czy konfliktowych sytuacji. Muszę przyznać, że Bartosz bardzo się starał, bo jak zdążyłam już zauważyć, sporadycznie odzywała się w nim porywcza natura Maurycego. Na szczęście zdawał sobie z tego sprawę i co więcej, chciał pracować nad uciążliwymi cechami charakteru. Staraliśmy się oddzielać życie zawodowe od prywatnego, lecz czasami, gdy rozmawialiśmy wieczorem, próbowałam jak najdelikatniej przedstawić mu to, co zaobserwowałam w jego zachowaniu w redakcji. Ogólnie był tam lubiany, pomocny i zawsze gotów do negocjacji, ale wiadomo, że w pełnych napięcia sytuacjach czasami trudno zapanować nad emocjami. Bartosz słuchał moich uwag wnikliwie i z humorem mówił do mnie: „moja terapeutko”. Poza tymi nielicznymi

wadami – któż ich zresztą nie ma – był najcudowniejszym partnerem na świecie. Kochałam go, teraz mogłam to powiedzieć z ręką na sercu, bo wspólny rok mnie w tym całkowicie utwierdził. Z jednej strony pod wieloma względami byliśmy do siebie bardzo podobni, z drugiej zaś – każde z nas zachowywało swoją odrębność potrzebną do tego, byśmy się od siebie za bardzo nie uzależnili.

Świetnie się czułam w gronie znajomych Bartosza, często razem wspólnie gdzieś wychodziliśmy. Ale szanowałam też jego potrzebę samotności, ponieważ i ja ją posiadałam. Dlatego od czasu do czasu Bartosz spotykał się w męskim gronie; od lat należał do grupy wspinaczkowej i miał tam kilku dobrych kumpli, z którymi jeździł na różne wypadki. Ja w tym czasie wcale nie usychałam z tęsknoty. Krótco po przeprowadzce do Krakowa zapisałam się na zajęcia jogi, gdzie poznałam świetne dziewczyny, Anię i Beatkę. Po sesjach zawsze zaszywałyśmy się w jakiejś kafejce na plotki, poza tym często też do siebie dzwoniłyśmy. Na ile pozwolił czas, spotykałam się też z Laurą i Hanią. W pracy niestety nie udało mi się z nikim zaprzyjaźnić. Choć ze wszystkimi dobrze się dogadywałam, miałam wrażenie, że większość osób, zwłaszcza kobiet, patrzy na mnie jak na „dziewczynę szefa”. Właściwie nie stanowiło to problemu we współpracy, a jedynie niewielki próg na drodze pogłębienia znajomości. Kto wie, może w przyszłości i to się zmieni, w ekipie pracowali bowiem naprawdę fajni ludzie.

Bartosz był nie tylko wspaniałym facetem i wniósł do mojego życia kolory, o których dawno już zapomniałam, ale też umożliwił mi spełnienie marzeń, jeśli chodziło o moje aspiracje. Praca w tym oldskulowym, a jednocześnie wychodzącym naprzeciw nowym trendom czasopiśmie przynosiła mi ogromną satysfakcję. Realizowałam nie tylko swoje projekty, na których pomysł wpadłam, przyjeżdżając do Bukowej Góry, ale też wciąż

szukałam nowych wyzwań. Nie sądziłam, że Kraków i jego okolice będą dla mnie taką inspiracją, tematy pojawiały się same i tylko brakowało czasu, by można było je wszystkie szybko zrealizować. Na razie miałam za sobą udany artykuł o Agnieszce, a w przygotowaniu był tekst opisujący doświadczenia Laury. O ile Agnieszka zdecydowała się ujawnić, a wręcz zależało jej, by mocno przemówić swoim głosem, Laura postanowiła pozostać w ukryciu. Wiedząc, jak wiele przeszła, szanowałam jej wybór. Opowiadając pod pseudonimem o swoich doświadczeniach, chciała ostrzec kobiety, zwłaszcza młode, przed zagrożeniami tam, gdzie mogłyby się ich nie spodziewać. Potem miałam się zająć sytuacją Hani, a coraz śmielej dojrzewała we mnie też myśl, by opisać historię moją i mojego taty.

Powolutku zaczęłam się już nawet do tego przymierzać. Zależało mi, by był to szczególny, na wskroś szczery tekst. Pragnęłam oddać w nim wszystkie uczucia, które charakteryzowały naszą skomplikowaną relację na różnych jej etapach. Wiedziałam, że temat nie będzie łatwy, bo ta sprawa wciąż budziła we mnie mnóstwo emocji. Pogodziłam się ze śmiercią taty, co nie znaczyło, że jego zbyt wczesne odejście przestało mnie boleć. Akceptacja nie znaczy, że od razu wszystko w nas idealnie się poukłada. Być może czas jest najlepszym lekarstwem, ale ja dodałabym do tego jeszcze silną wolę i gotowość na zmiany. Bo co z tego czasu, jeśli nie pozwolimy odejść wspomnieniom tam, gdzie ich miejsce – do przeszłości. Teraz jednak najbardziej przeżywałam nasz grudniowy, wyjątkowy artykuł, który miał się ukazać kilka dni przed świętami. *Opowieść błękitnego jeziora* – na taki tytuł się zdecydowaliśmy, choć przyznam, że wybór nie był łatwy. Do mnie na początku bardziej przemawiał inny: *Legenda o złotym sercu* albo coś związanego właśnie ze złotym sercem. Niemniej po wielu rozmowach ustaliliśmy, że wybieramy opcję z jeziorem. Jezioro było w całej historii bardzo istotne. To z nim związana była legenda

o miedzianowłosej Maranie i to właśnie na jego brzegu, gdzie Sabina znalazła wycieńczonego Marcina, zaczęła się ich miłość. Pomyśleć, że ta opowieść zmieniła i moje życie. Zmieniła mnie. Ze względu na nią przyjechałam do Bukowej Góry, a to pociągnęło za sobą mnóstwo nieprzewidzianych wydarzeń.

Coraz bardziej się denerwowałam publikacją grudniowego numeru. Uzgodniliśmy, że *Opowieść błękitnego jeziora* ukaże się w czterech częściach, bo trudno byłoby zmieścić całą tę historię na kilku stronach. Denerwowałam się tym, jak tekst zostanie przyjęty. Włożyłam w jego napisanie całą siebie, poza tym nie chciałam zawieść Rozalii i Gabriela, którzy ze względu na rodzinną historię otworzyli dla mnie drzwi nie tylko do swojego domu, ale też do swoich serc. Zdawałam sobie sprawę, jak wiele znaczy dla nich ta opowieść, choć oboje, pewnie żeby mnie nie denerwować, twierdzili, że dla nich liczy się sam fakt, że ta historia będzie miała szansę dotrzeć do wielu osób. Ja chciałam, żeby *Opowieść błękitnego jeziora* nie tylko dotarła do sporej liczby odbiorców, ale żeby coś w nich poruszyła. To była wyjątkowa historia i miałam nadzieję, że osoby, które ją przeczytają, dojdą do takiego samego wniosku. Wierzyłam w powodzenie tego artykułu, ale momentami dopadały mnie chwile zwątpienia. Na szczęście mijały dość szybko, więc przeważnie skupiałam się na pozytywach.



Z oddali na tle zgaszonej zieleni dojrzałam błękitną plamkę, cel mojej wędrówki, i przyspieszyłam kroku. Po południu umówiłam się z Rozalią, która ponoć szykowała dla mnie niespodziankę i zależało jej, żebym przyjechałam do Bukowej Góry. Zamierzałam być już w zeszłym tygodniu, ale grypa żołądkowa skutecznie pokrzyżowała mi plany. Dziś jednak

wzięłam wolne, postanowiłam skorzystać z okazji i zanim dotrę do Złotego Serca, chciałam odwiedzić jeszcze znajome miejsca. Ukryta w odludnej dolinie kapliczka z wielu względów miała dla mnie wielkie znaczenie.

Cudownie było tutaj znów być. Z uśmiechem zauważyłam, że w lampionie obok figurki Marii niezmiennie płonął znicz. Teraz wiedziałam, kto go zapalał, choć rok temu wiele razy się nad tym zastanawiałam. Okazało się, że choć marzenia Maurycego się spełniły, nadal poczuwał się do kultuwowania rodzinnej tradycji i dbał o tę małą świątynię. Wzruszyłam się, przypominając sobie pierwszą wędrówkę do tego miejsca i późniejsze, jak się okazało, nieprzypadkowe spotkanie z tym starszym panem. Jakże nasze życie krótko po tym nieoczekiwaniu się zapętiło, wciągając w ten wir inne osoby. Jak bardzo dwoje, wydawałoby się, że zupełnie różnych ludzi, może zbliżyć się do siebie w chwili, gdy oboje tego potrzebują.

Wsunęłam rękę do torby i wyjęłam sztuczne, choć wykonane z niezwyklej precyzją hiacynty o delikatnych białych płatkach oraz mozaikowy wazonik, po czym umieściłam kwiaty w jego wnętrzu i postawiłam we wnęce, gdzie kiedyś stał stary fajansowy wazonik. Podczas ostatniej wichury podobno spadł i się rozbił, i od tego czasu miejsce po nim stało puste. Kiedy Laura wspomniała mi o tym podczas którejś z naszych telefonicznych rozmów, od razu przypomniał mi się śliczny wazonik, który kupiłam w jednym ze sklepów z pamiątkami w Bukowej Górze, niedługo po tym, jak tam przyjechałam. Miałam zamiar podarować go komuś bliskiemu w prezencie świątecznym, ale nieoczekiwany wyjazd do Bydgoszczy i śmierć taty zmieniły wszystko. Schowałam wazon i nie zastanawiałam się, co z nim zrobić do chwili, gdy słowa Laury nasunęły mi pewną myśl. „Całkiem ładnie wyglądałby w błękitnej kapliczce. A gdyby jeszcze włożyć do niego kwiaty, byłoby wręcz doskonałe”. Doszłam do

wniosku, że to całkiem niezły pomysł, a potem w ciągu kilku dni w krakowskich sklepach i w internecie szukałam idealnych hiacyntów. Kiedy już wydawało się, że są nie do zdobycia, znalazłam je w kwiaciarni, którą codziennie mijałam w drodze do pracy. Byłam przeszczęśliwa.

Teraz, kiedy na nie patrzyłam, jak wychylają się z kolorowego wazonu, stwierdziłam, że wyglądają cudownie i Cysia na pewno doceniłaby ten symboliczny gest. Stałam dłuższą chwilę przy kapliczce, a potem powędrowałam nad jezioro i do lasu.

W drodze powrotnej kusilo mnie, żeby wstąpić jeszcze do Laury, tym bardziej że przy domu zauważyłam jej samochód. Ostatecznie zdecydowałam, że zobaczymy się wieczorem, tak jak się wcześniej się umawialiśmy. Zanim dotarłam do Witkowskich, odwiedziłam jeszcze znajomą jadłodajnię i zafundowałam sobie smaczne gołąbki w sosie pomidorowym, które rok wcześniej skradły moje serce. Dopiero potem, syta i zadowolona z wcześniejszego spaceru, ruszyłam do Złotego Serca.

– Witaj, Soniu. Nawet nie wiesz, jak bardzo się za tobą tęskniłam. Wspaniale, że jesteś – przywitała mnie serdecznie Rozalia, a chwilę później z zaplecza wyłonił się Gabriel.

– Ja też za wami tęskniłam. Ach, już niemal zapomniałam, jak tu cudownie. – Kiedy zdjęłam kurtkę, z przyjemnością się rozgościłam na znajomym miejscu przy kontuarze i zostałam ugoszczona moją ulubioną gorącą czekoladą.

W kawiarni panował względny spokój, więc właściciele mogli spokojnie ze mną porozmawiać. Wiedziałam, że po siedemnastej ma wrócić Agnieszka, która zwolniła się dziś na dwie godziny, by pójść z synem do dentysty. Wtedy właśnie Rozalia zaplanowała dla mnie ową niespodziankę. Pamiętam, że rok temu zaraz po przyjeździe do Bukowej Góry, gdy dopiero zaczęłam poznawać historię związaną z założeniem Złotego Serca, Laura

napomknęła mi o jakimś zagadkowym zdarzeniu, określając je „fajerwerkami”, ale choć starałam się wówczas wyciągnąć od niej coś więcej, trzymała język za zębami. Podejrzywałam, że ma to związek z opowieścią, ale nie chciałam ubiegać faktów, dlatego wolałam cierpliwie poczekać.

Agnieszka wpadła do środka jak burza z uśmiechem od ucha do ucha. Zauważyłam, że od czasu ukazania się artykułu opisującego jej sytuację nabrała więcej pewności siebie. Kiedy ostatnio, po części właśnie z tej okazji, widziałyśmy się na kawie, oznajmiła mi, że zaczęła działać w jednej z fundacji zajmujących się przeciwdziałaniem wykorzystywaniu seksualnego nieletnich. Miałam pewność, że ta dziewczyna teraz może wiele zdziałać. Była niezwykle przekonująca. Czułam w niej ogień. Chwilę porozmawiałyśmy, w nieco komiczny sposób Aga zdała nam relację z wizyty u stomatologa, a zaraz potem, upewniwszy się, że Gabriel z jej pomocą sobie poradzi, udałyśmy się z Rozalią do pracowni.

Przyjemnie było znów się tu znaleźć. Przez kilka minut przyglądałam się znajomym półkom uginającym się od kolorowych dodatków i nie mogłam się nadziwić, zwłaszcza teraz, gdy poznałam już całą opowieść, że to to samo miejsce, które z pasją urządzali jeszcze Sabina i Marcin. Wiem, że od tamtej pory sporo się tu zmieniło. Idąc z duchem czasu, Witkowsy zakupili nowe maszyny do wyrobu czekolad, a także wprowadzili kilka technologicznych udogodnień. Nadal na tych samych co wtedy regałach stały słoje z przyprawami, a na dębowej ławie leżały niektóre ze starych form. W tym miejscu przeszłość mieszała się ze współczesnością, ale odnosiłam wrażenie, że tej pierwszej jest tutaj znacznie więcej.

Rozalia podeszła do kaflowego pieca i wyjęła z szabaśnika złocisty kamień w kształcie serca. Potem zbliżyła się do mnie i nieoczekiwanie włożyła mi go w dłoń.

– Soniu, wiesz, że jesteś nam wszystkim bardzo bliska i chociaż nie łączą nas więzy krwi, stałaś się częścią naszej rodziny. Chciałabym, żebyś dzisiaj zrobiła coś, co było ważne dla przodków Gabriela. Co zapoczątkowali, a co stało się tradycją naszej rodziny.

Uśmiechnęłam się, podejrzewając, że wiem, o czym mówi starsza pani. Zresztą szybko się to potwierdziło. Podczas gdy ja z podekscytowaniem i pewną tkliwością przyglądałam się kamiennemu sercu, nie mogąc uwierzyć, że ponad sto lat temu było ono świadkiem narodzin uczucia między Sabiną i Marcinem, a niewykluczone, że wiązało się z nim też tajemnicze spotkanie, którego wycieńczony młodzieniec nie umiał wytłumaczyć, Rozalia w tym czasie kręciła się koło stołu.

– Usiądź, kochanie – zwróciła się do mnie w pewnym momencie, wskazując drewniany taboret. Z zainteresowaniem przyglądałam się rozsypanym na tacce kolorowym dodatkom i tygielkowi z czekoladową masą. Tuż obok zauważyłam starą drewnianą foremkę przypominającą połówkę łupiny orzecha, tyle że w kształcie serca.

– Domyślasz się? – Rozalia zatrzymała na mnie spojrzenie.

Przejęta, skinęłam głową, po czym odłożywszy ostrożnie kamień, sięgnęłam po formę, by się jej przyjrzeć. Znałam okoliczności, w jakich Marcin udał się do Tadzika, by ten zrobił dla niego formę w kształcie serca, w której mężczyzna zamierzał zrobić wyjątkowy prezent dla żony. Z opowieści Rozalii dowiedziałam się, że sprawy przybrały później niespodziewany obrót i dzięki temu Hurnikowie zapoczątkowali w rodzinie pewną tradycję. Teraz Rozalia postanowiła mi o tym przypomnieć.

– Wiesz, że w naszej rodzinie panuje zwyczaj, że w listopadzie, gdy Sabina znalazła na brzegu jeziora wycieńzonego Marcina, na pamiątkę tamtego zdarzenia wyrabiamy czekoladowe serca. Ta foremka ma dla nas wyjątkowe, symboliczne znaczenie.

– Wiem...

– Robiąc to serce, pomyśl o czymś, czego pragniesz, a ziści się szybciej, niż myślisz – rzekła Rozalia. – Teraz, gdy znasz całą historię Sabiny i Marcina, wiesz, że wszystko jest możliwe, a to, co czasem wydaje się niepojęte, często sprawia, że życie nabiera szczególnego smaku. Ty też jesteś częścią tej opowieści.

W czasie gdy Rozalia mówiła, ze mną zaczęło się dziać coś dziwnego. Ogarnęło mnie jakieś trudne do opisanie szaleństwo, chciałam jak najszybciej zabrać się do robienia czekolady. Już sięgnęłam po tygielek, wypełniłam połowę foremki ciemnobrązową pachnącą masą, a potem zaczęłam się rozglądać po stole za licznymi dodatkami, które przygotowała dla mnie Rozalia. Pomimo podekscytowania, miałam jednocześnie poczucie wewnętrznej równowagi. Tak jakbym dotarła do celu. Miałam świadomość tego, że trudny okres wreszcie się skończył, a ja jestem na właściwej drodze, by wreszcie żyć tak, jak zawsze pragnęłam. Spokojnie, ale podejmując liczne wyzwania. Nie goniąc bezsensownie za serwowaną nam na co dzień ułudą, lecz świadomie wybierając to, czego chcę doświadczyć. Otaczając się ludźmi, którzy nie mówią o pomocy, ale gdy zajdzie potrzeba, zawsze są obok, by po cichu, bez afiszowania się, wyciągnąć do nas dłoń. Kochając właściwych ludzi, bez strachu, że zostaną zraniona. Uświadomiłam sobie, że nie ma we mnie już tego lęku, który przez bardzo długi czas kazał mi się chować we własnej skorupie. Zastąpiło go zaufanie do siebie i niezachwiana wiara, że w moim życiu jest tak, jak ma być.

Rozalia tymczasem odeszła na bok i zajęła się pakowaniem czekolad, a ja z zapalem tworzyłam swoje wyjątkowe serce. Znalazły się w nim i jagody, i kandyzowane wiśnie, i cała masa kolorowych dodatków: delikatne płatki migdałów, kokosowe gwiazdki, a nawet pachnące latem

różane płatki i drobne niczym piórka suszone kwiaty chabrów. Gdy skończyłam, jeszcze przez dłuższą chwilę siedziałam nad wypełnioną po brzegi foremką i myślałam, że chciałabym, by właśnie tak wyglądało moje życie. Kolorowo, słodko i ciekawie. By nigdy nie zabrakło w nim ani miłości, ani wrażeń. By każdy dzień zaskakiwał mnie różnorodnością doświadczeń. Byłam pewna, że nigdy więcej nie pozwolę się zamknąć w kokonie obojętności. Bo żeby poczuć życie, codziennie trzeba je smakować. Nawet jeśli nie zawsze ten smak nam odpowiada. A najlepiej, gdy dzielimy je z kimś szczególnym. Wiedziałam, komu je podaruję.

Tak jak się umawiałyśmy, do Złotego Serca zajrzeli później Laura z Błażem. Akurat dzisiaj mogli pozwolić sobie na dłuższą wizytę, bo zachwycona małą kuzyneczką i stęskniona za Michałkiem Marysia została na noc u Hani. Gdy Rozalia z Gabrielem zamknęli kawiarnię, poszliśmy do ich mieszkania i przegadaliśmy jeszcze trzy godziny.

Do Krakowa wracałam dopiero przed północą. Przynajmniej uniknęłam w ten sposób ulicznych korków. Dzisiejszy dzień okazał się wyjątkowy. Trudno to określić, ale naprawdę miałam wrażenie, że w Złotym Sercu dzieje się magia. Skoro, jak oznajmiła Rozalia, teraz ja też byłam częścią historii, to do *Opowieści błękitnego jeziora* wypadało dopisać jeszcze jeden, ostatni wątek. Postanowiłam zabrać się do tego nazajutrz, póki dokładnie czułam niesamowitą atmosferę malutkiej pracowni i wciąż doskonale pamiętałam obraz wypełnionego wielobarwnymi dodatkami czekoladowego serca.

Ostatnio dni mijały w zawrotnym tempie i ani się obejrzałam, nadeszła Wigilia. Długo dyskutowaliśmy z Bartoszem, jak spędzić ten dzień, ale sprawy nieoczekiwanie same się ułożyły. Okazało się, że zarówno nas, jak i Maurycego z córką, zaprosili na wieczerzę Witkowscy. Rozalia już kilka miesięcy temu o tym wspominała, ale w wirze codziennych obowiązków,

skoncentrowana na bieżących sprawach, nie zastanawiałam się nad tym. W końcu trzeba było podjąć decyzję. Maurycy, jak to on, oczywiście na początku się opierał. Basia natomiast wydawała się nieco onieśmielona propozycją. Gospodarzy znała jedynie z licznych opowieści, więc co rozumiała, obawiała się, jak przebiegnie uroczystość. U obojga ciekawość i dobre chęci zwyciężyły i po kilku dyskusjach dali się wreszcie przekonać do tego pomysłu.

W mikołajki zorganizowaliśmy spotkanie zapoznawcze i przyjechaliśmy do Witkowskich razem z Basią. Szybko stało się jasne, że niepotrzebnie się obawialiśmy, bo kobieta zachowywała się bardzo swobodnie, zupełnie, jakby znała gospodarzy od dawna. Nie zabrakło też Maurycego, który zadziwił wyjątkową jak na niego otwartością i humorem. Rozmawialiśmy głównie o historii Złotego Serca i rodzinnych koligacjach, a wszyscy wydawali się wówczas niezwykle ożywieni. Każdy miał coś do dodania i naprawdę całkiem miło się tego słuchało.

Odkąd Maurycy pojednał się z córką, często się spotykali. Od czasu do czasu także ja i Bartosz uczestniczyliśmy w tych spotkaniach. Starszego pana raczej trudno było wyciągnąć gdzieś dalej, więc przeważnie to my przyjeżdżaliśmy do Bukowej Góry. A wtedy wybieraliśmy się zwykle na spacer, a w chłodniejsze dni siedzieliśmy w przytulnej kuchni przy piecu i popijaliśmy herbatę. Muszę przyznać, że z przyjemnością obserwowałam tę rodzinną relację. Będąc przy swoim ojcu, Basia sprawiała wrażenie powściągliwej, ale czujny obserwator mógłby się dopatrzeć w jej zachowaniu przejawów czułości, której kobieta prawdopodobnie na razie nie umiała w pełni okazać. Ja jednak zauważałam, że z każdym kolejnym spotkaniem ta granica samokontroli stawała się coraz cieńsza. O wiele łatwiej dogadywali się mężczyźni. Często żartowali z tragikomicznego początku swojej znajomości, a robili to w tak zabawny sposób, że śmiechu

było potem co niemiara. Nie wiem, czy to przez zbieżność charakterów, czy po prostu zadziałała męska solidarność, ale Bartosz naprawdę świetnie się rozumiał ze swoim dziadkiem. Jeśli ktoś nie znał sytuacji, mógł pomyśleć, że to szczęśliwa rodzina, bez problemów i trudnych spraw z przeszłości. W każdym razie było dobrze, a wszystko zmierzało jeszcze ku lepszemu.

Ponieważ Wigilię i pierwsze święto zdecydowaliśmy się spędzić w Bukowej Górze, dzień wcześniej wybraliśmy się do Bydgoszczy na cmentarz. Stojąc nad grobem taty, nie mogłam uwierzyć, że od jego śmierci minął już rok. Rok smutku, ale i radości, czyli wszystkiego tego, co zwykle przynosi życie.

Kiedy zdecydowałam się przenieść do Krakowa i zamieszkać z Bartoszem, postanowiłam wynająć mieszkanie po tacie. Moją kawalerkę w Łodzi natomiast sprzedałam i spłaciłam resztę kredytu. Swoje dalsze życie wiązałam z Krakowem i myśleliśmy z Bartoszem, żeby kupić coś większego, bo w jego jednopokojowym lokum z kuchnią i wnęką, którą ewentualnie można by uznać za dodatkowe pomieszczenie, czasem trudno było znaleźć odrobinę intymności, której każde z nas potrzebowało. Zapaliliśmy się do tego pomysłu i zaraz po Nowym Roku zamierzaliśmy się zabrać do poszukiwania naszego wspólnego gniazdka.

Poprzedniego dnia pojechaliśmy z Basią do Bukowej Góry, żeby pomóc Rozalii w przygotowaniach. Był to wspaniały, radosny czas, spędzony w kobiecym gronie. Przyszła też Laura z Marysią, a na moment wpadli nawet Hania z Michałkiem. Pośród wesołych rozmów na przeróżne tematy, których na pewno woleliby nie słyszeć mężczyźni, lepiłyśmy uszka, wykrawałyśmy pierniki, choć to zajęcie właściwie całkowicie przejęły dzieciaki. Rozalia przygotowywała potrawy według starych przepisów swojej mamy i babci Gabriela. Staralam się wszystko zapamiętać, by kiedyś samodzielnie ugotować wspaniały czerwony barszczyk na kiszonce,

kapustę z grzybami i grochem, zrobić śledzie w galarecie, kutię i wiele innych pyszności. Było tego bardzo dużo, na pewno więcej niż dwanaście dań, i łąpałyśmy się z Laurą za głowę, kto to zje. Niezrażona Rozalia stwierdziła, że przygotowuje jedzenia akurat tyle, by nas wszystkich obdzielić. Piekłyśmy też ciasta według receptur, które zachowały się jeszcze w starym brulionie Sabiny: okazały makowiec, sernik z czekoladą i staropolski piernik. Ciasto na ten ostatni Rozalia przygotowywała już od wielu tygodni. A wczoraj wreszcie, zamknięte w okrągłej formie, trafiło do piekarnika. Do domu wróciłam po dwudziestej trzeciej i potem jeszcze przez godzinę pakowaliśmy z Bartoszem prezenty.

– Wzięłaś torbę z ubraniami? – spytał Bartosz, kiedy wyjechaliśmy już poza granicę Krakowa.

– Tak – odparłam, ale jeszcze się odwróciłam i spojrzałam na tylne siedzenie, sprawdzając, czy torba tam jest. Mieliśmy do zabrania sporo pakunków, a ja byłam dziś strasznie rozkojarzona. Planowaliśmy zostać w Bukowej Górze do jutra, więc potrzebowaliśmy odzieży na zmianę. – Bardzo się cieszę na tę wigilię – dodałam z uśmiechem.

– Ja też – rzekł Bartosz, a ja spojrzałam na niego z czułością, bo nagle przed oczyma stanęła mi scena z ubiegłorocznych świąt.

W jednej chwili zaszklily mi się oczy i choć starałam się zapanować nad wzruszeniem, po moim policzku i tak potoczyła się łza.

– Dziękuję – szepnęłam i dotknęłam ramienia Bartosza. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że ciebie mam.

– Hej, skarbie. – Bartosz na moment oderwał wzrok od przedniej szyby, by na mnie spojrzeć. – Zrobiło się sentymentalnie. Mam zjechać, by cię przytulić?

– Nie przejmuj się mną. – Roześmiałam się przez łzy. – Po prostu poczułam, że muszę ci to powiedzieć. Jedź, bo jeszcze się spóźnimy. Nie

wiadomo, jaka będzie droga.

Od kilku dni zima mocno dawała się we znaki, a w nocy znów zaczął obficie padać śnieg. Teraz też prószło, ale miałam wrażenie, że im bardziej oddalaliśmy się od Krakowa, tym krajobraz stawał się coraz bielszy.

– Też cię kocham. – Bartosz się przechylił i z szelmowskim uśmiechem cmoknął mnie w policzek.

– Wariacie, skup się na jeździe, bo zaraz wylądujemy w rowie – rzekłam z udawaną srogością, gdyż ten całus sprawił mi wielką przyjemność.

Gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że jesteśmy ostatni. Chwilę przed nami przyjechali Basia z Maurycym. Wczoraj, po przygotowaniach u Witkowskich, zdecydowała, że zostanie u swojego ojca. Niewątpliwie stanowiło to kolejny etap na drodze do polepszenia ich relacji.

Rozalia z Gabrielem zarządzili, że w tym roku wieczerza odbędzie się w Złotym Sercu, żebyśmy wszyscy swobodnie się pomieścili. Już dzień przed Wigilią złączyliśmy stoliki i nakryliśmy je białymi obrusami, a dziś zauważyłam na nich elegancką zastawę, a także urocze świąteczne dekoracje i białe świece w lichtarzach. Pośrodku na ozdobnym talerzyku leżały opłatki, a spod obrusu wychylało się sianko. Gabriel zadbał też o to, by zgodnie z tradycją jego przodków w rogu pomieszczenia stanął snopek zboża. Nad kontuarem zaś zawisła podłaźniczka udekorowana wykonanymi przez Marysię i Michałka ozdobami.

Ta Wigilia była tym bardziej wyjątkowa, że dziś świętowaliśmy także roczek małej Jagódki. Ponieważ dziewczynka dwa tygodnie wcześniej zaczęła chodzić i bardzo jej się ta umiejętność spodobała, należało jej szczególnie pilnować. Córeczka Hani i Krzyśka z miejsca skradła serca nas wszystkich. Najbardziej, oczywiście poza rodzicami, zapatrzony był w nią jej braciszek. Michał nie odstępował Jagody na krok, pilnował, żeby się nie

przewróciła, i dbał, by ciągle miała do dyspozycji jakieś zabawki. Zauważyłam, że Hania patrzyła na synka i córeczkę z wielką czułością i dumą. Przypomniałam sobie, jak rok wcześniej bała się porodu i tego, co będzie potem. Okazało się, że ona, Krzysiek i dzieci tworzyli w czwórkę wyjątkową, szczęśliwą rodzinę.

Kiedy później usiedliśmy do wieczerzy i w pewnym momencie atmosfera się rozluźniła, mimochodem przyglądałam się po kolei uczestnikom kolacji z wdzięcznością, szczęśliwa, że jestem w tym szczególnym gronie. Wszyscy obecni przy wigilijnym stole wydawali się szczęśliwi, ale zdawałam sobie sprawę, że każda z tych osób, włącznie ze mną, musiała przejść swoją wyboistą drogę, by dotrzeć do miejsca, gdzie czekała nagroda. Nie byłam naiwna, podejrzewałam, że pewnie los niejednokrotnie jeszcze każdego z nas zaskoczy, lecz teraz pielęgnowałam tę dobrą, nasyconą nieskazitelnym szczęściem chwilę, by na wskroś się nią nasycić.

Oczywiście szczególny punkt dzisiejszego wieczoru stanowiły prezenty. Michałek i Marysia jeszcze przed rozpoczęciem kolacji zaglądali pod choinkę, lecz upominani przez rodziców, raz za razem odchodzili z nosem na kwintę, wiedząc, że należy poczekać. Ja też czekałam, mimo że od dawna nie byłam dzieckiem. Z ekscytacją zastanawiałam się, jaką reakcję wywoła u Bartosza mój podarek. Zerkaliśmy potem na siebie, kiedy każde z nas, odwijając warstwy ozdobnego papieru, starało się dotrzeć do środka opakowania.

– Dziękuję – rzekł Bartosz, trzymając książkę o wspinacze wysokogórskiej. Wiedziałam, że bardzo zależało mu na tym tytule, i musiałam się sporo nagimnastykować, żeby go zdobyć. – Moja gwiazdka jest cudotwórczynią.

– Jak to gwiazdka, przecież nie ma dla niej nic niemożliwego. – Zrobiłam śmieszna minę. W rękę ścisnęłam zamknięte pudełeczko, ale choć ciekawiło mnie, co jest w środku, bardziej interesowało mnie zachowanie Bartosza.

– Co my tutaj jeszcze mamy... – mruzczał z uśmiechem.

Tak skrętnie schowałam serce, zawijając je w kilka warstw papieru, że Bartosz nie mógł się do niego dostać. Kiedy wreszcie mu się to udało, najpierw przez dłuższą chwilę mu się przyglądał, a potem nagle przygarnął mnie do siebie i pocałował.

– Dziękuję – wyszeptał mi do ucha. – To takie... Ono jest wyjątkowe.

Musiałam nieskromnie przyznać, że serce prezentowało się przepięknie. Kiedy je tworzyłam, bardziej pochłonięta uczuciami, jakie mnie wtedy zalały, nie myślałam nad tym, jaki będzie jego ostateczny wygląd. Tymczasem wyszło rewelacyjnie, przypominało kolorową mozaikę. Malutkie dzieło sztuki.

– To symbol tego, co nas łączy... tak czuję... – wyznał Bartosz.

Wciąż zerkałam na Bartosza, ale w pewnym momencie przypomniałam sobie, że przecież ja również dostałam prezent, i z ciekawością spojrzałam na trzymane w dłoniach drewniane zielone puzderko.

– No zajrzyj tam... – zachęcił mnie Bartosz, bo zamiast otworzyć, już dłuższą chwilę podziwiałam namalowane na pudełeczku kwiatki.

Wreszcie uniosłam wieczko i zamarłam, to bowiem, co ujrzałam w środku, zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Ostrożnie wyjęłam niewielkiego złotego ptaszka na łańcuszku i odruchowo przymierzyłam do dekoltu.

– Jest cudowny! – rzekłam podekscytowana.

Bartosz przechylił się i pomógł mi go zapiąć.

– A wiesz, do kogo należał wcześniej? – Spojrzył na mnie zawadiacko.

Zaprzeczyłam ruchem głowy, nie odrywając od niego wzroku.

– Do mojej praprababci Hiacynty. Dostała go od swojego męża. Waclaw do późnej starości mówił na nią „moja ptaszyno”. Tym podarunkiem chciał pewnie uhonorować ją za przepiękny głos.

– Niesamowite... – Dotknęłam wisiora i przytrzymałam na nim dłoń. – A skąd go... – Nie zdążyłam dokończyć, bo w tej samej chwili spojrzałam na Maurycego, a jego utkwiony we mnie, wymowny wzrok był dla mnie wystarczającą odpowiedzią.

– To pomysł dziadka – wyjaśnił mimo to Bartosz.

– Dziękuję! To dla mnie wielki zaszczyt! – Nie przestawałam się ekscytować.

Kolejny raz dotarło do mnie, że naprawdę jestem częścią historii związanej ze Złotym Sercem i z dawną Bukową Górą. Co więcej, Bartosz też miał w niej swój udział, a teraz kontynuowaliśmy ją razem. W pewnej chwili wszystkie oczy zwróciły się na mnie i musiałam pokazać podarek, który przeleżał w zamkniętym pudełku ponad pięćdziesiąt lat, by w odpowiednim czasie znów ujrzeć światło dzienne i trafić do właściwej osoby. Tą osobą byłam ja, choć wciąż jeszcze nie bardzo to do mnie docierało.

Potem przez większość wieczoru temat legendy i rodzinnych spraw wracał w naszych rozmowach. Rozalia czytała na głos pierwszą część *Opowieści błękitnego jeziora*, a na tę chwilę wokół zapanowała cisza jak makiem zasiał. Nawet mała Jagódka w tym czasie nie pisnęła. Wszyscy słuchali uważnie, a ze mnie spadła część napięcia, które towarzyszyło mi od kilku miesięcy. Bardzo mi zależało, żeby ten artykuł miał dobry odbiór, i tak się stało. Docierały do nas naprawdę świetne opinie. Mówiono, że to najlepszy tekst w tym numerze, a czytelnicy czekali niecierpliwie na kolejną część. Najważniejszy dla mnie był jednak głos Rozalii i Gabriela,

a ci jednomyślnie orzekli, że nie wyobrażają sobie, by ktoś mógł napisać to lepiej. Poza tym cieszyli się, że o legendzie związanej z powstaniem ich małej fabryczki czekolady mogło się dowiedzieć tak liczne grono.

Rozalia z namaszczeniem trzymała w rękach grudniowy numer „Krakowa Kiedyś i Dziś” i co chwilę zerknęła na umieszczone w tekście zdjęcia: te archiwalne, które udostępniła z rodzinnego albumu, przedstawiające dawne Złote Serce, i aktualne, gdzie ukazano dzisiejszą kawiarnię i pracownię. Widziałam, że oboje z Gabrielem byli wzruszeni. Patrząc na gazetę, szeptali coś do siebie i się uśmiechali. Miałam wrażenie, że gdzieś zza kurtyny czasu przyglądali nam się dawni właściciele: Sabina i Marcin. Niewykluczone, że obok byli też Cysia z Waławem, a pewnie i inni bohaterowie legendy. Być może przywołaliśmy ich wspomnieniami i dobrymi myślami, wielokrotnie wracając do dawnych wydarzeń z ich udziałem.

Nagle mój wzrok padł na puste krzesło naprzeciw mnie, przeznaczone dla zbłąkanego wędrowca. Wydawało mi się, że cicho zaszurało, jakby ktoś nieznacznie je przesunął. Jednocześnie poczułam na twarzy delikatny powiew, który sprawił chyba, że płomyk stojącej na stole, umieszczonej w lichtarzu świecy lekko się zachybotał. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam o starym Aronie Rosenbergu, dobrodzieju Marcina i Sabiny. Może i on tutaj był. Przyglądał się z zadowoleniem obecnym właścicielom swojej dawnej cukierni i wieszował sobie dobrze podjętej decyzji. Dopóki w szabaśniku starego kaflowego pieca biło kamienne serce, roztaczając wokół złotawą poświatę, dopóty żyła legenda o miedzianowłosej pani z błękitnego jeziora, która w pewien listopadowy dzień podarowała je zbłąkanemu, wycieńczonemu człowiekowi, przekazując mu zarazem obietnicę cudownego życia. Słuchając opowieści Gabriela i Rozalii,

a potem opisując tę historię, całkowicie w nią uwierzyłam. Bo to, w co wierzymy i czego pragniemy całym sercem, staje się naszą rzeczywistością.



Sięgnij też po pierwszą część nowej serii Doroty Gąsiorowskiej. *Córki żywiołów* to cykl o kobietach w szczególny sposób związanych z naturą, które podążając za swoją intuicją, potrafią dostrzec więcej niż inni.



Przepiękna i mądra historia o tym, że każdy z nas ma szansę na szczęście.
Ciepła, magiczna, przywracająca nadzieję oraz wiarę w miłość i cuda.

Magdalena Kordel

Dzięki tej powieści przeniesiesz się do zimowej scenerii Bukowej Góry, usiądziesz w manufakturze czekolady Złote Serce, skosztujesz pyszności i posłuchasz opowieści błękitnego jeziora. Ta książka zajęła szczególne miejsce w moim sercu. Polecam gorąco!

Katarzyna Czarnecka-Kuc

autorka bloga „Matka Książkoholiczka”

Dorota Gąsiorowska niczym gawędziarz przy akompaniamencie trzaskającego w kominku ognia snuje pachnącą czekoladą opowieść o wielkiej miłości i ciepłym rodzinnym domu. Czy stara legenda zachowała swą magiczną moc? Daj się porwać tej pięknej historii, która wprowadzi cię w atmosferę świąt Bożego Narodzenia.

Joanna Wolf

autorka bloga „NIEnaczytana”

Rozkosznie rozgrzewająca serce powieść! Pełna świątecznej magii i pachnąca czekoladowymi pralinami historia o wybaczeniu i drugich szansach, rodzinnej bliskości i legendarnej kawiarni z duszą. O miłości czulej, a zarazem trwałej niczym tajemnicze kamienne serce. Tylko Dorota Gąsiorowska potrafi z nici ludzkich losów tkać tak urokliwe i zajmujące opowieści!

Dagmara Łagan

@books.cat.tea autorka bloga „BooksCatTea”

Każde zdanie Doroty Gąsiorowskiej wypełnione zostało baśniową atmosferą. Słodkie praliny i aromatyczna gorąca czekolada towarzyszą tej historii przesyconej magią błękitnego jeziora. Niezwykle kameralna, rozgrzewająca i sentymentalna. Jestem oczarowana szeptem dawnej przepowiedni!

Milka Kołakowska

@mozaikaliteracka

Autorka ponownie zabiera czytelników w literacką podróż, gdzie przeszłość splata się z teraźniejszością. To jak chwila spędzona przy kominku z kubkiem gorącej czekolady, po długim spacerze wśród wirujących płatków śniegu. Przy *Opowieści błękitnego jeziora* można zanurzyć się w bajkowej atmosferze nadchodzących świąt. Z całego serca polecam!

Dominika Orluk

@rude.kadry